

**Wspomnienia  
Artysty Andersa**



Tadeusz Wojnarski (Jan Pył)

# Wspomnienia Artysty Andersa

Opracował, poprawił i przygotował do druku

Michał Dworski

Wprowadzenie

Jan Wiktor Sienkiewicz

Lublin 2023

Projekt okładki  
Tadeusz Wojnarski junior

© Copyright by Tadeusz Wojnarski i spadkobiercy  
© Copyright by Instytut im. gen. Władysława Andersa  
© Copyright by Wydawnictwo Werset, Lublin 2023

Książka „Wspomnienia Artysty Andersa” została opracowana i przygotowana do druku w Centrum Analiz i Badań Historycznych Instytutu im. gen. Władysława Andersa

Sfinansowano ze środków Narodowego Instytutu Wolności –  
Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego  
w ramach Rządowego Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018–2030 PROO



ISBN 978-83-67951-14-2

Wydawnictwo Werset  
ul. Radziszewskiego 8/216, 20-031 Lublin  
tel. 81 533 53 53; kom. 501 061 226  
wydawnictwo@werset.pl; www.werset.pl

## SPIS TREŚCI

Prof. dr hab. Jan Wiktor Sienkiewicz, Wprowadzenie .....	9
Wstęp syna autora .....	27
Tadeusz Wojnarski (1922–1999). Kalendarium .....	29
<b>OPOWIADANIA Z WCZESNEJ MŁODOŚCI .....</b>	<b>37</b>
Słowo wstępne autora .....	37
Wrzesień 1939 .....	38
Powrót .....	40
W więzieniu .....	43
W nieznanie .....	46
W kurorcie .....	48
Proza .....	50
Poezja .....	52
Szkoła życia .....	54
Rzemiosło i rozrywki .....	55
Wyroki .....	58
„Ku białym niedźwiedzim” .....	61
W Charkowie .....	64
Etapy .....	66
w Czelabińsku .....	69
Pluskwy .....	72
U celu .....	74
Lubieżności .....	76
Pierwsze wrażenia .....	78
Racjonalna praca .....	81
Nosiwoda .....	83
Powódź .....	86
Wojna! .....	88
Komary .....	89
Muszki .....	92

Na „przystani”	94
Amnestia	95
Jagody	98
Flegmona	100
Biegunka	102
W szpitalu	104
Promienie	105
Chleb i ryba	107
W Iwdielu	109
Rejestracja	111
Znów w szpitalu	112
Na wolność!	114
Zmiana warty	116
Pierwsza wolna noc	118
Znów w Czelabińsku	119
Prowidencje	121
Beztroska	122
Kielbasa	124
W Czkałowie	126
Wszy	128
W Taszkencie	130
W ogonku za chlebem	132
Uśmiech szczęścia	134
W Namanganie	136
Cisza przed burzą	138
Burza	140
Współpraca	142
Wielka gra	144
Dni rozterki	145
Przestroga Allaha	147
Pobór	151
Pożegnanie	154
W wojsku	157
Meldunek	159
Raport	161
Wygnanie z rajy	162
W Persji	164
Teoria względności	166
W Palestynie	168
Szkolenie	170
Popadacza	171
Epilog	173
Nie wierzę	175

<b>OPOWIADANIA Z PÓŹNIEJSZEJ MŁODOŚCI</b> .....	179
Wstęp autora .....	179
<b>NA STRACONYCH POZYCJACH</b> .....	181
Palestyna: w naszej baterii .....	181
Organizacja .....	182
Szeł .....	183
Koledzy .....	185
Staszek .....	186
Lutek .....	188
Franio .....	189
Koledzy Żydzi z naszej baterii .....	190
Irak: w daleką drogę .....	192
Na podchorążówce .....	197
Palestyna: na kursie maturalnym .....	201
<b>WE WŁOSZECH NA FRONCIE</b> .....	203
Powrót do pułku z przygodami .....	203
Dezercja na front .....	205
Powiązanie ogniowe .....	207
Monte Cassino .....	208
Dzień „D” .....	210
Eksplozja w piątej .....	212
Spotkanie – po latach .....	214
Na górze – po latach .....	217
Na widmie: raport Staszka .....	220
W Bolonii – po latach .....	222
Wojna skończona .....	223
Dalszym szlakiem wojennym – dalsze wspomnienia .....	224
Awans .....	225
Co jeszcze miało sens? .....	227
Różne mało ważne epizodniki .....	231
Po przegranej wojnie .....	234
Inne wspomnienia z czasów „Cyklopa” .....	237
<b>DRUGIE POWOŁANIE (WE WŁOSZECH NA STUDIACH 1946)</b> .....	239
Do Rzymu! .....	239
W Rzymie .....	241
Podróże na południe .....	250
Inne myśli... .....	252
Znów Staszek na horyzoncie .....	254
Rozdział: żołnierska komedia – skończony .....	259

<b>ŻOŁNIERSKA KOMEDIA</b> .....	263
Słowo wstępne autora .....	263
<b>ŻOŁNIERSKA KOMEDIA</b> .....	265
Prolog .....	265
Akt I .....	272
Akt II .....	299
Akt III .....	329
<b>Bibliografia</b> .....	355



**Prof. dr hab. Jan Wiktor Sienkiewicz**

Kierownik Katedry Historii Sztuki XX w. w Europie Środkowej i na Emigracji  
Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

## WPROWADZENIE

### TADEUSZ WOJNARSKI – ARTYSTA ANDERSA. Z „NIELUDZKIEJ ZIEMI” DO SZWAJCARII

Do stycznia 2019 roku twórczość Tadeusza Wojnarskiego – jednego z najwybitniejszych artystów plastyków uratowanych z „niełudzkiej ziemi” przez generała Władysława Andersa – pozostawała w Polsce całkowicie nieznana<sup>1</sup>. Niektóre prace artysty, z tak zwanego okresu „rzymskiego”, udało się autorowi niniejszego Wprowadzenia „wyłuskać” na początku XXI wieku z zachowanej dokumentacji akademickiej rzymskiej Accademia di Belle Arti za lata 1945–1946<sup>2</sup>. W końcu 1946 roku – tj. w czasie, kiedy żołnierze 2. Korpusu generała Władysława Andersa przetransportowywani byli z Półwyspu Apenińskiego na Wyspy Brytyjskie – wówczas 22-letni Tadeusz Wojnarski był „nieobecny” w dostępnych dokumentach archiwalnych, do jakich dotarłem w Rzymie i w Londynie w latach 2010–2012.

Przez wiele lat miałem niedosyt wiedzy o dalszych losach tego utalentowanego adepta sztuki. Aż tymczasem w styczniu 2019 roku otrzymałem telefon ze szwajcarskiego Wintenthur. W słuchawce usłyszałem męski głos: „Nazywam się Tadeusz Wojnarski... Tadeusz Wojnarski Junior. Jestem synem Tadeusza Wojnarskiego, żołnierza i artysty generała Władysława Andersa. Dowiedziałem się o pańskiej książce poświęconej artystom Andersa, w której opisana

---

1. W 2020 r. tekst pt. *Twarze i pejzaże. Tadeusz Wojnarski – z „niełudzkiej ziemi” do Szwajcarii* opublikowany został w czasopiśmie „Niepodległość i Pamięć” 2020, nr 3 (71), s. 79–100. Niniejszy tekst jest zaktualizowaną, uzupełnioną o nowe ustalenia (dotyczące kalendarium życia i twórczości T. Wojnarskiego) wersją tego opracowania. Systematycznie informacje o artyście uzupełnia jego syn Tadeusz Wojnarski Jr i publikuje na stronie: Tadeusz Wojnarski – Artysta Andersa 1922–1999 ([wojnarskiartysta.art](http://wojnarskiartysta.art)), stan z 3 listopada 2023 r.

2. Pierwsze w literaturze fachowej informacje (wraz ze zdjęciem artysty) o T. Wojnarskim zostały opublikowane w: J.W. Sienkiewicz, *Artyści Andersa. Continuità e novità*, wyd. I, Warszawa – Toruń 2013.

jest również historia rzymskich studiów mojego Ojca, kończąca się na 1946 roku”<sup>3</sup>. „Rzeczywiście tak jest – odpowiedziałem zaintrygowany niezwykle telefonem. Albowiem po 1946 roku tropy i ślady życia i twórczości Tadeusza Wojnarskiego po prostu się urywają”. Na co odparł Tadeusz Wojnarski Junior: „To zrozumiałe. Bo mój Ojciec nie wyjechał z 2 Korusem z Włoch do Anglii. Otrzymał stypendium hiszpańskiej organizacji katolickiej «Pax Romana» i zdecydował się kontynuować studia w Madrycie. Ostatecznie drugą ojczyzną mojego Ojca stała się Szwajcaria – w której i ja do dzisiaj mieszkam. Zapraszam Pana do Winterthur – gdzie ojciec tworzył od lat 50. XX wieku i gdzie zmarł. A cała jego twórczość – uporządkowana i skatalogowana – jest w posiadaniu moim i mojego rodzeństwa”. Cztery miesiące później w Muzeum Polskim w Rapperswilu, wraz z Synem artysty i pracownikami muzeum, zorganizowaliśmy wystawę wojennych prac artysty – która stała się impulsem do kolejnych prezentacji, które od połowy 2019 roku systematycznie pojawiają się w placówkach muzealnych w Polsce. Jest więc nadzieja, że twórczość Tadeusza Wojnarskiego – z poczekalni sztuki – rozpoczęła swój marsz w kierunku odzyskania godnego miejsca w dziejach sztuki polskiej XX wieku<sup>4</sup>.

Przemierzony przez Tadeusza Wojnarskiego, żołnierza i artystę malarza jednocześnie, wraz z 2 Korusem generała Władysława Andersa szlak od Morza Kaspijskiego po Monte Cassino, Ankonę, Bolonię i Rzym, jawi się w jego dziełach plastycznych – rysunkach, szkicach i kompozycjach akwarelowych – o wiele bezpieczniejszy i bardziej przyjazny od koszmaru sowieckich więzień i łagrów, które na „niehumanitarnej ziemi” przyszło mu przeżyć w latach

---

3. Dzieje polskich artystów spod skrzydeł generała Władysława Andersa, od kilku dziesięcioleci badane przez autora tekstu, otrzymały poważne opracowania, m.in.: J.W. Sienkiewicz, *Artyści Andersa. Continuità e novità*, wyd. I, Warszawa – Toruń 2013; tenże, *Artyści Andersa. Continuità e novità*, wyd. II, Warszawa 2014; tenże, *Artyści Andersa. Continuità e novità*, wyd. III, Warszawa 2016; tenże, *Artyści Andersa. Uratowani z „niehumanitarnej ziemi”*, Warszawa 2017. Także artykuły (w wyborze): tenże, *Czas walki, czas tworzenia. Edukacja żołnierzy-artystów 2. Korpusu generała Władysława Andersa*, [w:] *Słowa, obrazy dźwięki w wychowaniu*, red. Sz. Kawalla, E. Lewandowska-Tarasiuk i J.W. Sienkiewicz, Warszawa 2011, s. 208–245; tenże, *Wyprowadzeni z niehumanitarnej ziemi. Artyści wokół Andersa*, [w:] *Polska – Rosja. Sztuka polska, sztuka rosyjska i polsko-rosyjskie kontakty artystyczne XX–XXI wieku*, t. II, red. J. Malinowski, I. Gavrash i Z. Krasnopolska-Wesner, Warszawa – Toruń 2014, s. 409–416; tenże, *W drodze do Italii*, [w:] *Świadectwa/Testimonianze*, t. 7: *W poszukiwaniu piękna. Polscy artyści plastycy we Włoszech (II poł. XIX w. i I poł. XX w.)*, wybór tekstów i opracowanie red. E. Prządka, Rzym 2014, s. 219–224. Wiele ustaleń zawartych we wszystkich cytowanych opracowaniach autora zostało wykorzystanych w niniejszym tekście.

4. Syn artysty – Tadeusz Wojnarski Jr. prowadzi systematycznie uzupełnianą nowymi wydarzeniami związanymi z twórczością Ojca (kalendarium wystaw, publikacje, relacje w środkach masowego przekazu) stronę internetową: Tadeusz Wojnarski – Artysta Andersa 1922–1999 (wojnarski-artysta.art), stan z 3 listopada 2023 r.

1940–1942<sup>5</sup>. Dołączając w 1942 roku jako dziewiętnastolatek, w stanie ciągnącej się od dłuższego czasu niedyspozycji fizycznej spowodowanej chorobą nogi, do powstającej na terenie Związku Sowieckiego po układzie Sikorski–Majski Armii Polskiej, uratował własne życie. Jak tysiące innych Polaków, których los rzucił w głąb Rosji Sowieckiej, młody Wojnarski przeszedł na zesłaniu piekło śmiertelnych zagrożeń, biedy i upokorzeń. Podobne cierpienia stały się zresztą udziałem milionów jego rodaków, którym scenariusz życiowej drogi narzuciła w 1939 roku wojenna rzeczywistość<sup>6</sup>.

Tadeusz Wojnarski urodził się w Warszawie 12 września 1922 roku. Jego ojciec, Witold, był radcą prawnym w Departamencie Służby Zdrowia, matka zaś – Eugenia z Bernatów, zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. Wybuch drugiej wojny we wrześniu 1939 roku zaskoczył Wojnarskiego w momencie, kiedy miał rozpocząć naukę w ostatniej (maturalnej) klasie gimnazjum im. Tadeusza Rejtana w Warszawie. Jak czytamy we wspomnieniach pt. *Żałobna karta*, opublikowanych po śmierci artysty w 1999 roku, „ojca powołanego do wojska w 1939 roku już nigdy nie zobaczył. Matkę z Tadeuszem i młodszym bratem ewakuowano na wschód. Kiedy w początkach 1940 roku Tadeusz próbował powrócić do rodzinnej Warszawy, Sowietrzy zatrzymali na linii granicznej niemiecko-rosyjskiej i osadzili na rok, jako szpiega, w uwięzieniu w Odessie. Stąd został deportowany do pracy w lasach syberyjskich. Z tej «niełudzkiej ziemi» wyszedł jakby cudem w marcu 1942 roku wraz z Armią Polską generała Władysława Andersa z Uzbekistanu przez Persję do obozu Qastina w Palestynie. Następnie w Iraku trafił do Szkoły oficerskiej w Khanaqin, zaś maturę zdał w Junackiej Szkole Kadetów w obozie Barbara w Palestynie”<sup>7</sup>.

Wrodzony talent plastyczny zaczął uzewnętrzniać się u Tadeusza Wojnarskiego po wyzwoleniu z łagru – w czasie podróży przez Związek Sowiecki. Pierwszymi szkicami, rysunkami i wprawkami plastycznymi, które dawały początkującemu samorodnemu artyście radość – były portrety osób, które miał w swoim otoczeniu. W swoich *Opowiadaniach* pisał, że zdolność

---

5. Wszystkie zawarte w tekście ustalenia autora opublikowane zostały jako: J.W. Sienkiewicz, *Tadeusz Wojnarski. Artysta 2. Korpusu generała Władysława Andersa*, [w:] *Z niełudzkiej ziemi do Włoch. Żołnierz i artysta. Malarstwo Tadeusza Wojnarskiego (1922–1999)*, katalog wystawy pod red. A. Tomczak i T. Wojnarskiego Jr., Muzeum Polskie w Rapperswilu, Rapperswil 2019, s. 7–17.

6. Por.: J.W. Sienkiewicz, *Wyprowadzeni...*, dz. cyt., s. 409–416. Przed pięcioma laty nieznane były autorowi tekstu znajdujące się w Szwajcarii – w rodzinie syna T. Wojnarskiego – dokumenty artystycznej działalności młodego samouka-artysty, który dotarł do Armii Polskiej na Wschodzie w 1942 r.

7. J.S. Morkowski, *Tadeusz Wojnarski (12.09.1922–7.08.1999). Z żałobnej karty*, „Nasza Gazetka” [Zurych], nr 5 (1999); zob. także: [http://www.nasza-gazetka.com/Menu\\_NG/ng1999/ng1999\\_5/woj-3.htm](http://www.nasza-gazetka.com/Menu_NG/ng1999/ng1999_5/woj-3.htm), dostęp: 21 stycznia 2019.

rysowniczo-malarska już w czasach szkolnych była umiejętnością, z której mógłby teraz korzystać, by zarobić na chleb. Stworzenie wizerunku pełnej emocjonalnych stanów twarzy ludzkiej, będącego swoistym odbiciem i jednocześnie świadectwem aktualnej rzeczywistości, stawało się dla niego niezwykle interesującym zajęciem. W szwajcarskich zbiorach rodziny malarza zachował się zaledwie jeden, ale niezwykle istotny dla oceny talentu wówczas dziewiętnastoletniego artysty, portret „Młodego Uzbeka”, wykonany 23 stycznia 1942 roku w Namanganie w Uzbekistanie, tuż przed wstąpieniem do Armii Polskiej generała Władysława Andersa<sup>8</sup> (choć, co należy podkreślić, tworzeniu prac rysunkowych i malarskich Wojnarski oddał się już wcześniej, jesienią 1941 roku, podczas pobytu w szpitalu w Czelabińsku<sup>9</sup>). Jak wspominał sam artysta: „na tym portrecie jeden szczegół na ubraniu nie podobał się tej osobie, która ten portret zamówiła. Ja namalowałem nowy portret, a ten zachowałem jako jedyną pamiątkę dowodzącą mojej pracy tamtych czasów” (zob. il. 56). Obok [innego – przyp. JWS] małego szkicu, jest to najstarszy udokumentowany obraz Wojnarskiego. Odtąd podróżował z młodym artystą w jego bagażu – od sowieckiej Rosji, poprzez Iran, Irak, Palestynę, Afrykę aż do Italii, Hiszpanii i Szwajcarii.

Ta niewielkich rozmiarów wczesna praca wykonana w technice gwaszu jest świadectwem nie tylko rodzącego się talentu plastycznego. Jeśli bowiem zważymy na fakt, iż Tadeusz Wojnarski nie pobierał w Warszawie przed 1939 rokiem lekcji rysunku, a więc zasad kompozycji i umiejętności korzystania z modelu, to mamy przed sobą dzieło niezwykle dojrzałe. Frontalne ustawienie modelu, z akademicko poprawnymi proporcjami i najprawdopodobniej dobrze oddanymi cechami indywidualnymi portretowanego, tworzy z tego niewielkiego szkicu kompozycję monumentalną w swoim wyrazie. A skupione, skierowane wprost na widza oczy sportretowanego ukazują rodzaj wewnętrznego zamyślenia i głębokiej refleksji. Nastrój ten podkreśla też niezwykle oszczędna kolorystyka (nawet jeśli założymy, iż artysta nie miał zbyt wielkich możliwości technicznych w postaci szerokiej palety barwnej), ograniczona do głębokiego granatu uzbeckiego tradycyjnego uniformu i ciemnobrązowej, lekko pochyłonej w lewo czapki.

Choć Tadeusz Wojnarski nie utrwalił wówczas na papierze żadnych obrazów sowieckiej rzeczywistości z łagrów i obozów pracy, to zachowane głęboko w pamięci wrażenia i przeżycia z tego okresu powróciły ze zdwojoną siłą w jego późnej twórczości malarskiej. Z perspektywy czasu i dystansu

---

8. Miejsce formowania 25 Pułku Piechoty w Gorczakowie (w okolicy Namanganu) zostało otwarte pod koniec stycznia 1942 r. A z *Opowieści* Wojnarskiego można wywnioskować, że tylko na to czekał. 15 lutego 1942 r. stworzył karykaturę przedstawiającą polskich żołnierzy w tym miejscu.

9. Zob. s. 157.

dojrzałego człowieka koszmar owych wydarzeń ukazany został w serii dzieł rysunkowych i malarskich wykonanych przez artystę czarną kredką i w technice gwaszu gdzieś pomiędzy 1970 a 1990 rokiem<sup>10</sup>. Prace te zostały wykorzystane jako ilustracje do ogłoszonych drukiem wspomnień Wojnarskiego pt. *Opowiadania z wczesnej młodości* (które już między 1974 a 1981 ukazywały się w odcinkach na łamach „Naszej Gazetki” pod pseudonimem Jan Pył)<sup>11</sup>.

Najcenniejsze jednak z zachowanej przez rodzinę spuścizny artystycznej Tadeusza Wojnarskiego pozostają te prace, które artysta tworzył już jako żołnierz 2. Korpusu na szlaku swojej wędrówki – z sowieckiej niewoli, poprzez Bliski i Środkowy Wschód, Afrykę, aż po Półwysep Apeniński i prawie roczny kontakt z rzymską Akademią di Belle Arti w Rzymie w 1946 roku<sup>12</sup>. Należy „podkreślić, iż rozwój odkrytego jeszcze w sowieckiej niewoli przez młodego Wojnarskiego talentu malarskiego, nie został pogrzebany w trakcie szkoleń, które jako żołnierz przechodził w obozach w Palestynie i Iraku w szeregach 2 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej. Wręcz przeciwnie – tutaj, jako plastyk, swoje umiejętności realizował między innymi w postaci wielkoformatowych scenografii malowanych na wielkich paneau konstruowanych z dykty i papieru, przygotowywanych dla pułkowego teatru, czy też w szeregu portretów-karykatur wojskowych towarzyszy naszkicowanych do pamiętnika «Ku pamięci». Krótco po tym zaś, już w Palestynie, w obozie wojskowym Barbara, gdzie Wojnarski przygotowywał się do matury, wyszedł spod jego ręki kolejny cykl karykatur, tym razem przedstawiających kadrę nauczycielską tamtejszej Junackiej Szkoły Kadetów. Zostały one nawet opublikowane w piśmie «Junak» oraz w dodatku do niego zatytułowanym «Zabieramy Głos – dział kursów maturalnych APW»<sup>13</sup>.

Owe portretowe rysunki-karykatury zdradzają znaczne wyrobienie warsztatowe młodego przyszłego adepta sztuki, a co najważniejsze – poza syntezą ujęcia poszczególnych twarzy – umiejętność oddania ich charakterystycznych

---

10. O powstaniu cyklu z niewoli sowieckiej: <https://wojnarskiartysta.art/andersa-pl/>, dostęp: 20 stycznia 2024.

11. J. Pył, *Opowiadania z wczesnej młodości*, Zurich 1998.

12. O polskich artystach-żołnierzach w Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie: J.W. Sienkiewicz, *Artyści plastycy 2. Korpusu we Włoszech 1943–1946*, [w:] *Świadectwa/Testimonia*, t. 7: *W poszukiwaniu...*, dz. cyt., s. 231–244.

13. Starsi od T. Wojnarskiego koledzy malarze, z dyplomami akademickimi sprzed 1939 r. Swoje prace prezentowali na wielu wystawach, organizowanych przez Józefa Jaremę i Józefa Czapskiego w latach 1941–1946 m.in. w Iranie, Iraku, Palestynie i Egipcie. Szeroko o wystawach dzieł polskich artystów w Egipcie: J.W. Sienkiewicz, B. Andrzejewski, *Polscy artyści w Egipcie 1941–1946*; [w:] *Polscy artyści malarze żołnierze w Egipcie 1941–1942/Polish artists painters soldiers in Egypt 1941–1946*, s. 23–61, Kair/Cairo 2022; tekst o tym samym tytule, w języku arabskim, ss. 27.

indywidualnych cech oraz ich psychologicznego opisu malarskiego. Popisowym dziełem zdaje się być autokarykatura malarza, w której za pomocą niezwykle syntetycznej kreski Wojnarski przedstawił swój prawy profil w niemalże portretowy sposób<sup>14</sup>.

Pod koniec 1943 roku 3 Dywizja Strzelców Karpackich, a z nią kilkadziesięcioosobowa grupa artystów plastyków z 2. Korpusu generała Władysława Andersa, znalazła się na Półwyspie Apenińskim. Tadeusz Wojnarski, ze względu na zaplanowaną wcześniej maturę (świadectwo dojrzałości otrzymał 26 lutego 1944), dołączył do swoich kolegów – już wówczas przebywających na południu Italii – w marcu 1944 roku. Niebawem, bo w maju 1944 roku, wszyscy wzięli czynny udział w bitwie o Monte Cassino. Po raz pierwszy od wyjścia z sowieckiej niewoli prawdziwe starcie polskich żołnierzy z Wehrmachtem stawało się niezwykle nośnym i ważnym, nie tylko z racji na wartości historyczne i dokumentacyjne, powodem do frontowych tematów malarskich, które – oprócz Tadeusza Wojnarskiego – podejmowali tacy artyści jak: Stanisław Westwalewicz, Stanisław Gliwa<sup>15</sup>, Mikołaj Portus<sup>16</sup>, Tadeusz Wąs<sup>17</sup>, Karol Badura<sup>18</sup> czy Roman Burdyłło<sup>19</sup> (który zginął podczas walk o klasztor benedyktynów).

Niespełna miesiąc przed pierwszą próbą zdobycia przez żołnierzy 2. Korpusu wzgórza Monte Cassino, Tadeusz Wojnarski skierowany został – jak sam wspominał – na linię frontową nad rzeką Sangro. Tutaj, siedemdziesiąt kilometrów od wzgórza Monte Cassino, wykonał swoją pierwszą na ziemi włoskiej kompozycję, ilustrującą widok małomiasteczkowej włoskiej ulicy. To banalne,

---

14. Sienkiewicz, *Artyści plastycy 2. Korpusu we Włoszech 1943–1946*, [w:] *Świadectwa/Testimonia*, t. 7, dz. cyt., s. 19.

15. O artyście: <http://www.kulturaparyska.com/pl/ludzie/pokaz/g/stanislaw-gliwa>, stan z 24 stycznia 2019.

16. Mikołaj Portus po wojnie powrócił do Polski. Pracował jako scenograf. Realizacje: 1953, *Żołnierz zwycięstwa*, kostiumy; 1953, *Domek z kart*, scenografia i kostiumy; 1954, *Opowieść Atlantycka*, współpraca scenograficzna. Za: <http://www.filmpolski.pl>, dostęp: 23 stycznia 2019.

17. Tadeusz Wąs (1912–2005). Studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, jego domeną było malarstwo ścienne i tworzenie witraży. Po rozpoczęciu II wojny światowej został aresztowany przez NKWD i zesłany do obozu jenieckiego, z którego udało mu się uciec. Dostał się do Armii Andersa, służył w piechocie, przeszedł szlak bojowy przez Bliski Wschód i Włochy, gdzie po zakończeniu wojny pozostał. Od 1945 przez dwa lata studiował w Rzymie, w 1947 wyjechał do Glasgow. Za: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Tadeusz\\_W%C4%85s](https://pl.wikipedia.org/wiki/Tadeusz_W%C4%85s), dostęp: 25 stycznia 2019.

18. J.W. Sienkiewicz, *Karol Badura. Nie tylko kronikarz 2. Korpusu*, [w:] *Świadectwa/Testimonia*, t. 7: *W poszukiwaniu...*, dz. cyt., s. 375–390.

19. J.W. Sienkiewicz, *Roman Burdyłło. Z Krynek na Monte Cassino, katalog wystawy. Wystawa szkiców wykonanych na szlaku wędrówki II Korpusu Polskiego*, Kryniki 15 lipca – 10 września 2016, Gminny Ośrodek Kultury w Krynkach, ul. Grodzieńska 7, Kryniki 2016.

zdawać by się mogło, przedstawienie, w którym perspektywa została wydobyta w znakomity sposób za pomocą ukazania drogi biegnącej w głąb obrazu, stało się okazją do zaprezentowania przez Wojnarskiego swoich aktualnych umiejętności budowania kompozycji. Z kolei rozjaśniona kolorystyka pracy, z przełamany różami i soczystą zielenią wiosny, stanowi świadectwo dużej wrażliwości artysty na kolor i intensywne światło południa Europy. Tak samo malarska jest inna scena, powstała w kwietniu 1944 roku, przedstawiająca jar na stanowiskach artyleryjskich pod Monte Cassino, która jest popisem malarskiej biegłości młodego artysty w trudnej technice akwarelowej.

Po zwycięskiej bitwie o Monte Cassino pułk artyleryjski Tadeusza Wojnarskiego wraz z 2. Korpusem Władysława Andersa rozpoczął „pościg” za Niemcami na froncie adriatyckim. Po drodze artyleria, w której służył artysta, posuwała się w odległości kilku kilometrów za piechotą i saperami. Dawało to malarzowi szansę na poznawanie, na ile było to możliwe, przemierzanych okolic. Stąd jako tematy malarskie zaczęły pojawiać się w szkicowniku artysty widoki włoskich miasteczek czy też „portrety” architektury, czego przykładem jest akwarela przedstawiająca dom niedaleko rzeki Chienti, w którym miała miejsce narada dowództwa 2. Korpusu dotycząca natarcia na położoną 45 km dalej Ankonę. Tak samo ważnym tematem malarskim stawały się dla Wojnarskiego przedstawienia wojskowego wozu terenowego, intymne wnętrza sadów pod Ankoną i Loreto czy widoki góry Conero znajdującej się na południowy wschód od Ankony.

Wszystkie te kompozycje są rejestrem i plastycznym dokumentem zwykłego, codziennego, pozafrontowego życia. Uzupełniają znany nam do tej pory największy zbiór kompozycji autorstwa artystów malarzy z 2. Korpusu, znajdujący się w posiadaniu Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie oraz w kolekcji Archiwum Emigracji Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu<sup>20</sup>. W obu tych ośrodkach przechowywane są między innymi wykonane „na żywo” pod Monte Cassino szkice i rysunki autorstwa Karola Badury<sup>21</sup>, Zygmunta Turkiewicza<sup>22</sup>, Jana Mariana Kościałkowskiego<sup>23</sup>, Aleksandra

---

20. Patrz: <https://www.bu.umk.pl/sztuka-polska-na-swiecie-w-xx-w.-kolekcja>, dostęp: 26 stycznia 2019.

21. Materiały archiwalne dotyczące życia i twórczości Karola Badury posiada Papieski Instytut Studiów Kościelnych w Rzymie.

22. Zygmunt Turkiewicz (1912–1973). Szerzej o artyście: [http://www.muzeum.umk.pl/sztuka\\_polska/zygmunt-turkiewicz](http://www.muzeum.umk.pl/sztuka_polska/zygmunt-turkiewicz), dostęp: 23 stycznia 2019.

23. Marian Janusz (Jan) Kościałkowski (1914–1977). Malarz, rzeźbiarz, rysownik, autor szkiców o malarstwie. Szerzej o artyście: [http://www.muzeum.umk.pl/sztuka\\_polska/marian-koscialkowski](http://www.muzeum.umk.pl/sztuka_polska/marian-koscialkowski), dostęp: 20 stycznia 2019.

Wenera<sup>24</sup> i Henryka Siedlanowskiego<sup>25</sup>. Są to najczęściej – uchwycone tak podczas pobieżnych, jak gruntownych obserwacji – fragmenty bitewnych scen, ruiny benedyktyńskiego klasztoru (z historycznego i dokumentacyjnego punktu widzenia bezcenne są szczególnie prace Zygmunta Turkiewicza, które w wyborze zostały wykorzystane w pierwszym wydaniu książki Melchiora Wańkowicza *Monte Cassino*) czy też – jak to czynił Tadeusz Wojnarski – liczne portrety kolegów i towarzyszy broni<sup>26</sup>.

Co znamienne w przypadku Wojnarskiego – portrety, które wyszły spod jego ręki, tchną właśnie największą siłą i prawdą. Artysta sam, jak się wydaje, do tej tematyki swoich prac bardzo się przekonał i ją lubił. W komponowanych portretowych popiersiach swoich frontowych towarzyszy broni (ale także we własnych autoportretach), ustawianych frontalnie lub  $\frac{3}{4}$  w prawo lub w lewo, malarz przekazuje nam całą prawdę o emocjonalnych stanach, które te twarze wyrażają – a zwłaszcza niknącą wówczas coraz bardziej nadzieję na powrót do wymarzonej wolnej ojczyzny. Potrzeba portretowania swoich kolegów stała się rodzajem misji i rejestru ich osobowości, szczególnie podczas trudnych operacji związanych z przełamaniami linii Gotów w sierpniu 1944 roku, dokonywanej notabene przez żołnierzy 2. Korpusu w tym samym czasie, kiedy nad Wisłą rozpoczynało się powstanie warszawskie, a w którym krwawą klęskę już niebawem ponieśli koledzy artyści z jego szkolnych warszawskich lat<sup>27</sup>.

W październiku i listopadzie 1944 roku, kiedy to 3. Dywizja Strzelców Karpackich „walczyła zaciekle przy rzece Montone w pobliżu Trebbio nad Forlì”, gdzie celem było wsparcie przez Polaków oddziałów alianckich, które na równinie Via Emilia (prowadzącej od Piacenzy aż do Rimini) nieskutecznie próbowały zdobyć Forlì<sup>28</sup>, Tadeusz Wojnarski jakby w przyspieszeniu i niezwykłej płodności artystycznej portretował swoich kolegów<sup>29</sup>. Pochodzące z tego okresu dzieła charakteryzować zaczęły się znacznie większą ekspresją wykonania i siłą wyrazu. Zdecydowana, wyraźna kreska-kontur zaczęła być bardziej

---

24. Aleksander Werner (1920–2010). Szerzej o artyście: [http://www.muzeum.umk.pl/sztuka\\_polska/aleksander-werner](http://www.muzeum.umk.pl/sztuka_polska/aleksander-werner), dostęp: 24 stycznia 2019.

25. Henryk Siedlanowski (1906–1979). Przed drugą wojną światową kształcił się w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a następnie w Warszawie. Prace artysty znajdują się w zbiorach Muzeum Okręgowego w Częstochowie oraz w Muzeum Sztuki w Łodzi. Por.: [http://www.bu.umk.pl/cymelia/polscy\\_malarze.html](http://www.bu.umk.pl/cymelia/polscy_malarze.html), dostęp: 13 stycznia 2019.

26. M. Wańkowicz: *Bitwa o Monte Cassino*, t. 1–3, Rzym–Mediolan 1945–1947. Oryginalna teka tych rysunków przechowywana jest w zbiorach Archiwum Emigracji w Toruniu.

27. Por.: J. Jaworska, *Polska walcząca 1939–1945*, Warszawa 1985.

28. O tych walkach: W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału*, wyd. 3, Londyn 1959, s. 288.

29. Por.: T. Wojnarski, *Żołnierz-malarz...*, s. 30.



dynamiczna, rozedrgana i płynna, nadając portretowym przedstawieniom ukierunkowania zmierzającego ku ich ekspresjonistycznemu wyrazowi. Ten wektor artystycznej manieri podkreślają dodatkowo abstrakcyjne, wykonane za pomocą dynamicznych pociągnięć pędzla, wielokolorowe tła. A podkreślone czernią i brązami, często pofalowane fryzury młodych mężczyzn (choć zdarzały się również portrety kobiet, jak ten wykonany 31 stycznia 1945 roku), dopełnione są głęboką zielenią wojskowych mundurów.

Podobny sposób komponowania i kolorystycznej palety pojawił się w akwarelowych kompozycjach przedstawiających górskie krajobrazy, jak chociażby w dziele ilustrującym okolice Rocca San Casciano, położone niedaleko Modigliany<sup>30</sup>. Ekspresjonistyczne ukierunkowanie i redukcja szczegółów na rzecz malarstwa szczególnie ujawniły się w szkicu pt. „Przy włoskim kominku” z 11 stycznia 1945 roku, a także innych dziełach, jak w akwareli z datą 2 lutego 1945 roku, ilustrującej ufortyfikowane schronienia przy rzece Senio, czy w widoku ilustrującym przebieg linii kolejowej (być może w dolinie Lamoné), powstałym 13 lutego 1945 roku. Wszystkie te kompozycje pozostawały w tym czasie prywatną własnością młodego artysty. Artysta samouk nie miał siły przebicia, by rozpowszechnić swoje prace choćby poprzez ich publikację na łamach frontowej prasy<sup>31</sup>.

Szansę na przedruk swoich szkiców, rysunków i kompozycji malarskich na łamach wielu polskojęzycznych, wychodzących wówczas we Włoszech gazet mieli natomiast starsi koledzy Tadeusza Wojnarskiego, wykształceni jeszcze w Akademiach Sztuk Pięknych w przedwojennej Polsce. Na przykład w wojskowym czasopiśmie „Łazik” swoje karykatury – w sobie właściwym klimacie, manierze oraz satyrycznym ujęciu, bliskie kompozycjom Tadeusza Wojnarskiego – zamieszczali między innymi Włodzimierz Kowańko i wybitnie

---

30. Krajobrazy, a szczególnie krajobraz górski, stał się głównym tematem malarskim polskiego artysty, który od lat 50. XX w. na stałe zamieszkał w Szwajcarii. Dzisiaj bogaty zbiór prac o tej tematyce znajduje się w kolekcji prywatnej w Szwajcarii, będącej własnością rodziny artysty. W 2021 r. Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa, Oddział Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie, zorganizowało wystawę prac T. Wojnarskiego o tematyce pejzażowej. Patrz: J.W. Sienkiewicz, *Krajobrazy Tadeusza Wojnarskiego. Dusza w lustrzanym odbiciu*, [w:] *Pejzaże Szwajcarii. Tadeusz Wojnarski 1922–1999*, katalog wystawy, 29 października 2021 – 27 lutego 2022, Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa – Oddział Muzeum Łazienki Królewskie, Warszawa 2021, s. 7–10. Także tekst w j. angielskim: J.W. Sienkiewicz, *Tadeusz Wojnarski's landscapes: A reflection of the soul*, [w:] *Landscape of Switzerland. Tadeusz Wojnarski 1922–1999*, Catalogue of exhibition, The Muzeum of Hunting and Horsemanship – Branch of the Łazienki Królewskie Museum in Warsaw, Warszawa 2021, pp. 11–14.

31. Por.: O.S. Czernik, *W drodze do utraconej Itaki. Prasa, książka i czytelnictwo na szlaku Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich (1941–1946)*, Warszawa 2012.

uzdolniony papieroplastyk Władysław Szomański<sup>32</sup>. Ilustracje do rzymskiego tygodnika „Il Travaso” wykonywał z kolei Eugeniusz Markowski<sup>33</sup>, związany wówczas z grupą *Libera Associazione Arti Figurative* i z Art Clubem w Rzymie.

Wyzwolenie Bolonii i podpisanie kapitulacji Armii Niemieckiej we Włoszech 29 kwietnia 1945 roku, a następnie ogłoszenie bezwarunkowej kapitulacji Wehrmachtu 8 maja 1945 roku w Berlinie, nie przyniosło wymarzonego zwycięstwa polskim żołnierzom służącym w szeregach 2. Korpusu generała Władysława Andersa. Polska, która na mocy postanowień konferencji Wielkiej Trójki w Jałcie 4 lutego 1945 roku stała się państwem lennym Związku Sowieckiego, oddaliła się od swoich żołnierzy na kolejne prawie półwiecze.

Od maja 1945 roku Tadeusz Wojnarski był świadkiem, jak do 2. Korpusu – wraz z zacieśnianiem się pierścienia wokół bliskiej kłęski Trzeciej Rzeszy – dołączali także ci (w większości mężczyźni, byli żołnierze, ale także cywile), którzy nie byli na wojennych frontach, a nie chcieli (tak samo jak żołnierze Andersa) wracać do Ojczyzny pod komunistyczną władzą<sup>34</sup>. Byli pośród nich między innymi wyzwalani z obozów jenieckich polscy żołnierze (w tym AK-owcy) i cywile, którzy znaleźli się w czasie wojny na terenie Niemiec. Byli tam i uciekinierzy z terenów Polski będących pod okupacją niemiecką – tak jak to miało miejsce w przypadku Ryszarda Demela, późniejszego kolegi Wojnarskiego z rzymskiej Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie, któremu jako pracownikowi niemieckiego urzędu pocztowego udało się dostać do 2. Korpusu dzięki ucieczce podczas przewożenia poczty na terenach północnych Włoch<sup>35</sup>.

W tym czasie Tadeusz Wojnarski próbował jednocześnie odnaleźć się w powojennej rzeczywistości. Po części dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności, po części zaś dzięki własnej zaradności, został przyjęty na drugi

---

32. Władysław R. Szomański (1911–1996), grafik, rysownik i malarz. W latach 1935–1939 studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie na Wydziale Grafiki Użytkowej. Po kłęsce wrześniowej został aresztowany. W 1945 roku trafił do Austrii. Stąd dostał się do 2. Korpusu we Włoszech. Po zakończeniu wojny pozostał w Wielkiej Brytanii i osiadł w Londynie. Zajmował się grafiką użytkową – projektowaniem wnętrz, witryn sklepów, aranżacją wystaw, projektami okładek książek i znaków firmowych. Patrz: J. Gacek, *Sztuka z papieru. Władysław Szomański (1911–1996)*; <http://www.antyki.autogiielda.pl>, dostęp: 27 stycznia 2019.

33. Eugeniusz Markowski (1912–2007). Absolwent ASP w Warszawie w pracowni T. Pruszkowskiego. W latach 1940–1950 przebywał we Włoszech. Do Polski wrócił w roku 1955; inf. za: K. Strzałka: *Między przyjaźnią a wrogością*, Warszawa 2001, s. 430–436.

34. Patrz: *Artyści wyklęci. O polskiej sztuce imigracyjnej, „Artystach Wyklętych” oraz Chicago, jako białej plamie na mapie polskiej sztuki na emigracji, z historykiem sztuki, prof. Janem Wiktorem Sienkiewiczem rozmawia Grzegorz Dziedzic*, „Dziennik Związkowy” (Chicago) 2018, z 15–17 czerwca, s. 6.

35. Por.: J.W. Sienkiewicz, *Ryszard Demel. W drodze do tajemnicy światła/exploring the mysteries of light*, Toruń 2010.

rok studiów w rzymskiej Akademii Sztuk Pięknych (Accademia di Belle Arti di Roma). Szczegółowy opis swojej ważnej życiowo (aczkolwiek zaledwie kilkumiesięcznej) artystycznej przygody z tą rzymską uczelnią Wojnarski pozostawił w postaci wspomnień pt. *Opowiadania z późniejszej młodości* (będących kontynuacją *Opowiadań z wczesnej młodości*), które niebawem – opatrzone aparatem krytycznym i naukowo opracowane – ukażą się drukiem. Jak wspomina w nich przyszły artysta: „pożegnanie z baterią [w której służył w 2. Korpusie – przyp. JWS] i przyjazd do Rzymu nastąpił na początku roku 1946. Dość krótko byłem jedynym Polakiem, studentem na Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Niedługo też mieszkałem w hotelu oficerskim, bo lawina polskich studentów, jaka niebawem spadła na włoskie uczelnie, zmieniła też moje położenie”<sup>36</sup>. Procedura wstąpienia na rzymską Akademię Sztuk Pięknych, przebiegła we wręcz ekspresowym tempie. Dzięki szczęśliwemu spotkaniu z Karolem Badurą, wówczas już doskonale zorientowanym w administracyjnych formalnościach związanych z zasadami, jakie obowiązywały obcokrajowców przy przyjmowaniu na uczelnię, „w ślad po zdanym egzaminie, ponieważ sprawa była szczególnie pilna, po uiszczeniu jakiejś niewysokiej opłaty stemplowej, miałem w kieszeni tak upragniony dowód, który **kwał**, że miałem gdzieś kiedyś rozpoczęte studia w dziedzinie Sztuk Pięknych” – napisał Wojnarski w swoich *Opowiadaniach*<sup>37</sup>.

Niewiele wcześniej od Tadeusza Wojnarskiego znalazł się w Rzymie profesor Marian Bohusz-Szyszko, który do 2. Korpusu dołączył w 1945 roku (po wyjściu z niemieckiego obozu jenieckiego) i decyzją generała Władysława Andersa został mianowany opiekunem żołnierzy studentów-artystów, przygotowujących się do wstąpienia na studia artystyczne we Włoszech<sup>38</sup>. Praktycznie od maja 1945 roku dowództwo 2. Korpusu, które ulokowało się w Cecchignoli pod Rzymem, rozpoczęło organizację ośrodków akademickich dla żołnierzy 2. Korpusu w kilku miastach Italii: w Bolonii, Mediolanie, Turynie i Rzymie. Artyści i kandydaci na studia artystyczne, w tym Tadeusz Wojnarski, zostali przydzieleni do Rzymu<sup>39</sup>. Do listopada 1946 roku Wojnarski, podobnie jak inni polscy studenci w Rzymie, utrzymywał – poza środowiskiem Accademia di Belle Arti – ścisły kontakt z Bohuszem. Był też w tym czasie – co jest nie bez znaczenia, bo świadczy o umiejętnościach organizacyjnych młodego

---

36. Zob. s. 242.

37. Zob. s. 241.

38. O artyście: J.W. Sienkiewicz, *Marian Bohusz-Szyszko. Życie i twórczość*, Lublin 1995.

39. K. Lanckorońska, *O powstaniu i organizacji studiów wyższych dla żołnierzy 2. Korpusu*, [w:] *Świadectwa/Testimonia*, t. 5: *Czas wojny i czas pokoju w „polskim Rzymie”*, red. E. Prządka, Rzym 2009, s. 411–420.

malarza – „szefem” grupy polskich artystów-studentów, pozostających pod opieką Mariana Bohusza-Szyszko, który, nie będąc profesorem w Akademii rzymskiej, był traktowany (ze względu na swój autorytet i pedagogiczny talent) przez żołnierzy 2. Korpusu tak samo jak włoscy nauczyciele akademicy. Tadeusz Wojnarski wspominał: „zajęcia w Akademii ograniczały się praktycznie do przedpołudnia. Resztę dnia mogliśmy sobie ustalać sami. W pobliżu Piazza di Spagna znajdowało się (...) Circolo Artistico, gdzie popołudniu można było korzystać z rysunku aktu. Mam z tego czasu sporo szkiców. Ze strony organizacyjnej Korpusu różne grupy studenckie miały przyznaczonych tutorów. Dla malarzy był nim prof. Marian Bohusz-Szyszko, artysta malarz, który był równocześnie wybitnym matematykiem i opiekował się równocześnie studentami, którzy potrzebowali pomocy w tej dziedzinie. Dla nas organizował on wykłady niezależne od włoskiej Akademii oraz oprowadzanie po muzeach rzymskich”<sup>40</sup>.

Grupa zebranych przez generała Władysława Andersa plastyków, pod koniec 1945 roku liczyła jedenastu oficerów oraz trzydziestu sześciu podoficerów i szeregowych<sup>41</sup>. Obok Tadeusza Wojnarskiego byli to: Jerzy Stocki (Sosnowski), Hilary Braun, Karol Badura, Marian Kościalkowski, Stefan Łukaczyński, Jerzy Olszański, Ignacy Paprotny, Mikołaj Portus, Władysław Wiliński, Antoni Dobrowolski, Władysław Kraszewski, Marian Panaś, Nikander Kukso, Tadeusz Walik, Aleksander Werner, Wiesław Łabędzki, Piotr Macuk, Kazimierz Halski, Napoleon Kołosowski, Kazimierz Stachiewicz, Adam Kobierski, Kazimierz Kowieski, Stanisław Brunsztein, Stanisław Dewoniuk, Arpad Marchalko, Jan Wojciech Nowicki-Osęki, Emil Wronka, Józef Kubiak, Tadeusz Beutlich, Stanisław Dominicki, Ryszard Demel, Kazimierz Dźwig, Józef Konarski, Janusz Eichler, Antoni Mikalski, Leon Piesowocki, Czesław Politowicz, Waclaw Twarowski, Leon Śmieciuszewski, Stefan Starzyński, Alojzy Mazur, Benon Paszkowski, Władysław Markiewicz, Henryk Paar, Mirosław Sokołowski, Piotr Kaufman oraz – poza listą – ochotniczka Irena Duch-Chyłak.

Przyszłych studentów rzymskiej Akademii Sztuk Pięknych rozlokowano w Ośrodku Akademickim w Cecchignoli pod Rzymem, gdzie 17 lutego 1946 roku na zebraniu Zrzeszenia Studentów formalną pieczę nad nimi objął, jak już zostało powiedziane, prof. Marian Bohusz-Szyszko, który (poza ową opieką i wykładami z historii sztuki) szczególnie zasłużył się wśród swoich podopiecznych organizowaniem dla nich wycieczek i objazdów naukowych po Włoszech – między innymi do Asyżu, Orvieto, Padwy, Sienny, Florencji

---

40. Zob. s. 243–244.

41. Codziennie na Plac Wenecki w Rzymie jeździł samochód zawożący studentów na wykłady.

i Wenecji, o których wspomina też Wojnarski w swoich *Opowiadaniach*<sup>42</sup>. Grupę ochotniczek-studentek pod swoją kuratelę otrzymała z kolei dr Karolina Lanckorońska<sup>43</sup>. Warto również podkreślić, iż Komenda 2. Korpusu z własnych funduszy zaopatrywała początkujących polskich malarzy w pędzle, kartony, płótna i farby. Listę osób, które w kwietniu 1946 roku otrzymały tego typu pomoc – wraz z Tadeuszem Wojnarskim – tworzyło siedemnaście nazwisk<sup>44</sup>.

Organizując życie w ośrodku, sztab Korpusu powołał komisję do weryfikacji wykształcenia kandydatów chcących studiować w rzymskiej Akademii Sztuk Pięknych. Obowiązywał na niej egzamin wstępny z rysunku. Polacy, w tym Tadeusz Wojnarski, zdawali go u profesora Amerigo Bartoliego. Polscy adepci sztuki uczęszczali ponadto do pracowni malarskich takich mistrzów jak: Ferruccio Ferazzi, Giuseppe Piccolo i Carlo Sievero. Historię sztuki wykładał profesor Mario Rivosecchi, z którym Tadeusz Wojnarski z całą pewnością miał dobry kontakt i w którego zajęciach uczestniczył (o czym świadczy zachowana ikonografia fotograficzna z tego okresu, będąca w posiadaniu rodziny malarza). Swoje akademickie doświadczenia z pracowni Amerigo Bartoliego, Wojnarski tak wspominał: „dla mnie osobiście najważniejsze było to, co dawały mi lekcje u prof. [Amerigo – przyp. JWS] Bartoliego. Gdzieś na wojnie «zdobyłem» drewnianą kasetę z farbami olejnymi. Może to nie było zbyt uczciwe, bo pudełko to w rzeczywistości znalazłem na strychu jakiego opuszczonego domu i jako przedmiot tak bardzo dla mnie atrakcyjny, po prostu sobie wziąłem, czego raczej się wstydzę, ale do malowania w Akademii bardzo mi się przydawało. Wycisnąłem więc sobie na paletę, która do tego kramu też należała, całą gamę wspaniałych farb i usiłowałem malować temat ustawiony przez profesora: akt dziewczyny siedzącej. Okazało się, że jednak nie całkiem byłem dojrzały do roku drugiego [studiów – przyp. JWS], ale trzymałem też «fason» na swój sposób, czekając, co na to powie profesor. On nie przychodził każdego dnia, a kiedy się zjawił po raz pierwszy, nie byłem zbyt pewny moich umiejętności. Czekałem więc z pewnym napięciem na «nauki». Profesor [Amerigo – przyp. JWS] Bartoli, osoba niskiego wzrostu, za to dość obfitej szerokości, patrzył przez jakiś czas to na ustawiony model, to na moje malarskie wyczyny, to na paletę dzierżoną z niemałą satysfakcją w rękę. Bo wyobrazałem

---

42. W pamięci studentów zapadł szczególnie pobyt w Wenecji, obejmował on bowiem zwiedzenie najważniejszych kościołów, zbiorów i galerii sztuki w tym mieście.

43. K. Lanckorońska, *O powstaniu i organizacji*, dz. cyt., s. 420.

44. Por.: J.W. Sienkiewicz, *Artyści Andersa. Z sowieckich łagrów, przez Monte Cassino, do Rzymu i Londynu*, [w:] *Za naszą i waszą wolność. Bitwa o Monte Cassino z perspektywy polskiej i włoskiej*, red. C. Salmieri, Katowice 2017, s. 89–111.

sobie, że komplet, którego właścicielem był Włoch, chyba jakiś artysta-malarz, musiał być wysokiej jakości. Tym bardziej niezrozumiale zabrzmiał w moich uszach wyrok profesora: «No tak, to jest zrozumiałe, że pana malowanie tak wychodzi. Ja bym dał panu radę. Z farb, które pan ma na palecie, zostawiłbym tylko te...» – Tu nastąpiło druzgocące pouczenie: farby, na które wskazał jako godne używania mój profesor, były tak zwanymi «ziemiami», czyli kolorami naturalnymi. Ugier, sjena naturalna i palona, umbra, czerwień Pozzuoli, zieleń szmaragdowa, ziemia zielona, ultramaryna, biel... «Do tego może ewentualnie jeszcze ta...» Tu wskazał na czerń. – «Resztę radziłbym zeskrobać z palety i więcej nie używać. Proszę jednak nie traktować tego jako mojego nakazu, lecz raczej jako radę starego malarza. Wszyscy mistrzowie dawnych czasów malowali przede wszystkim ziemiami». Jeślibym w tym miejscu powiedział, że taką radę zostałem zdruzgotany, to bym skłamał. Owszem, byłem zaszokowany, ale gdy sobie przypominałem szereg obrazów Tycjana, czy innych malarzy renesansu, to poza barwami ziemi można było znaleźć rzadkie i drogie farby jak karmin czy lapis lazuli i inne. Kolory uzyskane drogą procesów chemicznych nie były znane. W uznaniu autorytetu profesora [Amerigo – przyp. JWS] Bartoliego zastosowałem się do jego rady i od tej pory zacząłem «wojnę kolorów», albo raczej całą serię prób z tą tak ograniczoną paletą<sup>45</sup>.

Ten dość obszerny, przywołany fragment wspomnień Wojnarskiego z rzymskiej Akademii Sztuk Pięknych jest niezwykle ważny, a nawet powiedziałbym przełomowy i potwierdzający jednocześnie znane nam zupełnie inne (a przez to niezwykle wzbogacające i uzupełniające) akademickie doświadczenia polskich artystów, bo pełne ekspresyjnego, dynamicznego i bogatego w żywe kolory „widzenia” malarstwa, jakie przekazywał swoim uczniom w Rzymie profesor Marian Bohusz-Szyszko. Jego wczesne, przedwojenne jeszcze kolorystyczne doświadczenia, bliskie tendencjom zaczerpniętym z dorobku artystów z Komitetu Paryskiego, już w okresie wojny – a szczególnie od pobytu w Rzymie w 1945 roku – zaczęły ewoluować w kierunku ekspresjonistycznego wektora i dynamiki kompozycji podkreślanej fakturowością farby malarskiej i jej bogatą kolorystyką.

Ogromnym doświadczeniem artystycznym, mającym znaczny wpływ na manierę twórczą i warsztat Wojnarskiego, był również kontakt z jego kolegami artystami. Niezwykle silne piętno wywarła na Tadeuszu „kreska” – wówczas już ukształtowana, pewna i jednoznacznie rozpoznawalna, którą prezentował z swoich rysunkach Aleksander Werner. Podkreślał ten fakt, pisząc: „Wtedy miał na mnie szczególny wpływ Alek [Aleksander Werner – przyp. JWS],

---

45. Zob. s. 246–247.

który miał własny, bardzo oryginalny styl w szkicowaniu domów, ulic i zaułków, bardzo dobry zresztą w zastosowaniu do jakiegokolwiek innego tematu. Swoje rysunki robił tuszem i piórką, ale tak były one tak ogromnie proste a wymowne, że czarowi tej techniki od razu uległem. Poprosiłem go, aby mi wytłumaczył, jak on to robi, odpowiedział: – «Całkiem prosto...» ...że całkiem prosto, to widziałem, ale chciałbym, byś zdradził coś więcej ze swojej tajemnicy, wtedy wyjaśnił: – «Wybieram sobie temat i zaczynam go rysować z lewej strony aż do prawej...» – «Muszę spróbować!» – odpowiedziałem, bo więcej wyjaśnień przy takiej absolutnej prostocie dać by mi nawet nie mógł<sup>46</sup>.

Rzymska Akademia Sztuk Pięknych, środowisko polskich kolegów skupionych wokół Mariana Bohusza-Szyszki oraz doświadczenia zdobyte w pracowniach artystycznych skupionych wokół Circolo Artistico przy via Margutta, a także osobiste kontakty i wymiana doświadczeń warsztatowych z kolegami-studentami – to bogactwo artystycznych impulsów, które złożyły się na, już niebawem, pełne ukształtowanie artystycznej manieri (czy jak wolimy: *stylu*) dzisiaj łatwo rozpoznawalnej, charakterystycznej dla Tadeusza Wojnarskiego twórczości, zwieńczonej dyplomem artystycznym w Hiszpanii, do której wyjechał z Rzymu w 1946 roku.

Decyzja o wyjeździe 2. Korpusu z Włoch do Wielkiej Brytanii była dla Tadeusza Wojnarskiego, jak i dla wszystkich zapuszczających korzenie w środowisku akademickim Rzymu polskich studentów (nie tylko tych z Akademii Sztuk Pięknych), niezwykle smutną wiadomością. Wojnarski pod koniec października 1946 roku pożegnał swoich kolegów z 2. Korpusu. Było to trudne pożegnanie. Nocą z 2 na 3 listopada 1946 roku, w gęstej mgle, okręt z polskimi żołnierzami 2. Korpusu, który wypłynął z portu w Neapolu, dobił do portu w Glasgow. Dla zdecydowanej większości Polaków, w tym dla byłych już studentów Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie i podopiecznych profesora Mariana Bohusza-Szyszki, była to podróż do miejsca przeznaczenia<sup>47</sup>. Na marginesie należałoby wspomnieć, iż w Wiecznym Mieście pozostała jedynie niemająca już od tej pory ze sobą ściślejszych kontaktów zawodowych ani osobistych niewielka grupa kilkunastu polskich artystów-studentów, w tym: Karol Badura, Adolf Glett, Kazimierz Halski, Adam Kobierski, Mikand Kukso, Piotr Macuk, Wiesław Łabędzki (który powrócił do Polski w 1947 roku), Jan

---

46. Zob. s. 248–249.

47. W Wielkiej Brytanii w obozie w Sudbury, a następnie w Kongwood Common, rozlokowani zostali adepci sztuk plastycznych z 2. Korpusu, którzy rozpoczęli swoje studia artystyczne w Polsce przed 1939 rokiem, oraz ci, którzy po zakończeniu wojny studiowali w Rzymskiej Szkole Malarstwa Mariana Bohusza-Szyszki lub w Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie.

Wojciech Osęki-Nowicki, Ignacy Augustyn Paprotny, Marian Panas, Wiesław Twarowski, Zbigniew Zawadzki oraz Gemma Riccardi<sup>48</sup>.

Ponieważ w przypadku większości studentów-żołnierzy 2. Korpusu włoski okres w edukacji trwał maksymalnie zaledwie trzy semestry, oznaczało to, iż wielu studentów rzymskiej Akademia di Belle Arti przybyłych do Wielkiej Brytanii nie ukończyło egzaminów w sesji zimowej roku akademickiego 1946/1947. Żaden z polskich studentów do 1946 roku nie zdążył otrzymać pełnego wykształcenia w rzymskiej Akademii ani zdobyć upragnionego dyplomu tej prestiżowej uczelni artystycznej (dopiero w następnych latach jej absolwentami zostało ostatecznie kilkoro Polaków spośród tych, którzy pozostali nad Tybrem: Karol Badura, Jan Wojciech Osęki-Nowicki, Jan Głowacki i Mikołaj Portus<sup>49</sup>).

Studiów na rzymskiej Akademii nie ukończył także Tadeusz Wojnarski. Zdemobilizowany 14 listopada 1946 roku, dzięki perspektywie otrzymania akademickiego stypendium w Madrycie, w drugiej połowie miesiąca wraz z Mirosławem Sokołowskim wyruszył statkiem z Genui do Barcelony<sup>50</sup>. Był jednym z niewielu żołnierzy 2. Korpusu, którzy zdecydowali się na wyjazd do Hiszpanii. Rzymscy koledzy pozostawali ze sobą w kontakcie, czego dowodem jest chociażby ich wspólna wystawa, zorganizowana w maju 1953 roku w hiszpańskim mieście Vitoria, w której oprócz Wojnarskiego i Sokołowskiego udział wzięło dwóch innych (nieznanych nam) Polaków<sup>51</sup>. Jak się jednak okazało, odnalezienie się w Hiszpanii w oderwaniu od wojskowych rygorów, w samotności – nie było łatwe. Były polski żołnierz 2. Korpusu zapisał się na studia architektoniczne w Madrycie, co potwierdza korespondencja pomiędzy artystą a jego przyjaciółmi mieszkającymi wówczas w Wielkiej Brytanii<sup>52</sup>. Z zachowanej dokumentacji oraz szkiców i rysunków wiemy, że w 1947 roku, poza studiami, Tadeusz Wojnarski podróżował. Odwiedził Toledo, Segovia, Ronda i Malagę, a pod koniec 1947 roku swoje prace z okresu włoskiego oraz

---

48. J.W. Sienkiewicz, *Gemma Riccardi – „pittrice polacca” z Via Margutta w Rzymie*, [w:] *Świadectwa/Testimonianze*, t. 7: *W poszukiwaniu piękna...*, dz. cyt., s. 307–312.

49. Por.: J.W. Sienkiewicz, *Gli artisti polacchi intorno al. Generale Władysław Anders. 1941–1949*, [w:] *Ricordare il 2o Corpo d'Armata polacco in Italia (1943–1946). Inter arma non silent Musae. Atti del Convegno del 23–24 aprile 2013 promosso dall'Accademia Polacca delle Scienze, Biblioteca e Centro di Studi a Roma e della Fondazione Romana Marchesa J.S. Umiastowska*, red. P. Morawski, Rzym, s. 115–124.

50. Dokument demobilizacji Tadeusza Wojnarskiego z datą 14 listopada 1946 r. w posiadaniu syna artysty, T. Wojnarskiego jun. w Szwajcarii.

51. Zaproszenie na wystawę grupową w posiadaniu syna artysty, T. Wojnarskiego jun. w Szwajcarii.

52. Patrz: 05.3.1 PL – 1947 – 1949 Pierwsze lata – Tadeusz Wojnarski – Artysta Andersa 1922–1999 (wojnarskiartysta.art), stan z 3 listopada 2023.



te wykonane już w 1947 roku w Hiszpanii prezentował w renomowanym Museo del Arte Moderno w Madrycie. W połowie marca 1948 roku przerwał studia architektoniczne. Już niedługo po przyjeździe do Hiszpani zbliżył się do środowiska księży katolickich w Madrycie, szukając drogi wyjścia z psychicznego ciężaru wojennego. Jeszcze 26 marca 1948 roku Wojnarski wykonał w Salamance serię rysunków tamtejszej ponurej procesji wielkopiątkowej. Wkrótce potem wstąpił do katolickiego Colegio Cristo Rey z zamiarem pozostania księdzem lub mnichem. Po około pół roku zrezygnował z Colegio i po poświęcił się od nowa wyłącznie twórczości plastycznej. Ostatecznie, wiosną 1949 roku rozpoczął studia w Escuela Central de Bellas Artes de San Fernando w Madrycie, które ukończył w 1953 roku z tytułem magistra rysunku.

Swoją przyszłą żonę, Ewę Zawadyńką poznał na drugim roku studiów, podczas podróży do Szwajcarii. Po okresie narzeczeństwa, jeszcze przed ukończeniem madryckiej akademii, w czerwcu 1951 roku narzeczeni wzięli ślub w Zurychu, stając się niebawem rodzicami czworga dzieci (w 1952 roku urodził się syn Tadeusz; rok później, w 1953 – córka Teresa; w roku 1956 – drugi syn, Antoni i w 1964 roku – druga córka, Elżbieta).

Pomimo obowiązków związanych z wychowywaniem dzieci, młodzi rodzice przez pierwsze lata swojego małżeństwa objeżdżali hiszpańskie wioski i miasteczka ze stworzonym przez nich samym teatrykiem marionetek, ratując dzięki tej pomysłowej formie zarobkowej swój niełatwy materialny byt. Ostatecznie, nie mając większych perspektyw na stałe dochody, zapewniające egzystencję dla wówczas pięcioosobowej rodziny w Hiszpanii, w 1959 roku na stałe osiedlili się w Zurychu. Obok malarstwa, którego artysta nigdy nie zarzucił i które do końca życia było jego największą pasją, Tadeusz Wojnarski swój artystyczny talent wykorzystał przy dekoracjach wykonywanych na zlecenie największej szwajcarskiej sieci sklepów spożywczo-towarowych MIGROS. I chociaż do dzisiaj zachowały się jedynie szczątkowo niektóre z tych prac, to ich dokumentacja fotograficzna jest świadectwem najwyższego mistrzostwa w tej dziedzinie twórczości. Prace te wpisują się w bogatą, jeszcze przedwojenną tradycję polskiej papieroplastyki, którą niezwykle dynamicznie rozwijał i popularyzował szczególnie profesor Wojciech Jastrzębowski w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych<sup>53</sup>. Należy dopowiedzieć, iż to dzięki polskim artystom, którzy przybyli do Anglii wraz z 2. Korpusem generała Władysława Andersa, powojenny Londyn – w zakresie sztuki dekoracyjnej – stał pod właśnie znakiem papieroplastyki artystów znad Wisły. Andrzej Krzysztof Bobrowski,

---

53. O twórczości akademickich kolegów T. Wojnarskiego, którzy po studiach w Rzymie zajęli się techniką papieroplastyki po 1946 r. w Wielkiej Brytanii: A. Borkowski, *Papieroplastyka polska. Polish Paper Sculpture*, Londyn 1995.

Andrzej Czyżowski, Antoni Dobrowolski, Waław Jerzy Hryniewicz, Jan Kępiński, Zygmunt Kowalewski, Tadeusz Lipski, Feliks Matyjaszkiewicz, Stanisław Niczewski, Stefan Osiecki czy Władysław Szomański – to w większości koledzy Wojnarskiego z czasów rzymskich, którzy w Polsce studiowali przed drugą wojną światową pod kierunkiem Edmunda Bartłomiejczyka, Władysława Skoczylasa, Bonawentury Lenarta i Władysława Jastrzębowskiego i którzy odnosili wielkie sukcesy w zakresie sztuki dekoracyjnej nad Tamizą<sup>54</sup>.

Osiadłszy w Szwajcarii, Tadeusz Wojnarski swoją wiedzą i umiejętnościami z zakresu sztuk plastycznych dzielił się również ze swoimi uczniami – od 1967 roku aż do swojej emerytury – jako nauczyciel w miejskiej szkole w Zurychu<sup>55</sup>. Dzisiaj cała jego działalność artystyczna – ta malarska i ta w zakresie sztuki dekoracyjnej – czeka na pełne naukowe opracowanie i monograficzną publikację, tak jak dorobek artystyczny wielu innych malarzy spod skrzydeł generała Władysława Andersa.

---

54. Por. J.W. Sienkiewicz, *Artyści Andersa*, Warszawa 2014, s. 385.

55. <https://wojnarskiartysta.art/kalendarium-pl/>, dostęp: 20 stycznia 2024.

## WSTĘP SYNA AUTORA

Wspomnienia mojego śp. Ojca są autentycznym świadectwem człowieka, który opowiada swoją historię „od dołu”: W styczniu 1940 r. został aresztowany przez Sowieców w okupowanej Polsce i – jak ponad sto tysięcy swoich rodaków – został deportowany do „niehumanitarnej ziemi”. Atak III Rzeszy na Związek Radziecki z 22 czerwca 1941 r. doprowadził do jego wyzwolenia wraz z ponad 100.000 Polaków. Jako „pył” nadal wirował w przestrzeni i czasie straszliwej wojny: po odbyciu szkolenia wojskowego na Bliskim Wschodzie został przeniesiony w lutym 1944 roku na front włoski. Jako artylerzysta walczył w 2. Korpusie gen. Władysława Andersa przeciwko niemieckiemu Wehrmachtowi – od Monte Cassino (maj 1944) aż do Bolonii (kwiecień 1945). Jako jedyny dotychczas znany „Artysta Andersa” tworzył rysunki, walcząc podczas całego szlaku wojennego. Po wojnie – jeszcze w mundurze – rozpoczął studia artystyczne w Rzymie, m.in. u prof. Mariana Bohusza-Szysko. Po demobilizacji musiał opuścić Włochy. Odrzucił Wielką Brytanię, dokąd wyemigrowała większość żołnierzy 2. Korpusu. Zbyt mocno rozczarował się Brytyjczykami, którzy zostawili Polskę bolszewikom. Polacy walczący we Włoszech uznali to za zdradę. Po otrzymaniu oferty stypendium od katolickiej organizacji „Pax Romana” w Hiszpanii postanowił tam spróbować szczęścia. Poślubienie mojej matki w 1951 roku dało mu nowe życie, ale problemy finansowe pozostały.

W Szwajcarii, po pierwszych trudnych latach, znalazł wreszcie czas i siłę, aby zaangażować się w środowiskach polonijnych na rzecz swojej ukochanej ojczyzny. Wówczas większość członków organizacji polskich w tym kraju stanowili żołnierze 2. Dywizji Strzelców Pieszych gen. Bronisława Prugara-Ketlinga. Jednym z jego dużych i trwałych projektów był miesięcznik „Nasza Gazetka” dla Polaków w Szwajcarii. W listopadzie 1973 roku ukazał się numer zero. Od piątego numeru, mój ojciec zaczął publikować tam cykl wspomnień: „Opowiadania z wczesnej młodości”. Jako założyciel i redaktor naczelny przyjął pseudonim „Jan Pył”. Cykl zakończył się w 1981 roku. Dziesięć lat później w Muzeum Polskim w Rapperswilu odbyła się jego druga wystawa sztuki.

Po raz pierwszy pokazał swoje obrazy, które stworzył w tym samym roku dla swoich „Opowiadań”, udokumentowane fotografiami i kilkoma autentycznymi portretami żołnierskimi.

28 września 1974 roku ojciec pokazał w Zurychu fragment swojej „Żołnierskiej komedii”. Tytuł jest ironiczną aluzją do rozczarowania polskich żołnierzy przegraną wojną – mimo ofiarnego zwycięstwa nad niemieckim Wehrmachtem. Bohaterem dramatu jest żołnierz walczący o wolność Polski na ziemi Włoskiej. Przedstawiono jego wizję Powstania Warszawskiego, jednego ze szczytowych momentów dramatu żołnierskiego.

W 1996 roku u ojca zdiagnozowano raka. To go coraz bardziej osłabiało. Ostatnie dwa obrazy, o których mam wiadomość, wykonał w 1997 roku. Od tego czasu całą pozostałą energię poświęcił pisaniu drugiej części swoich wspomnień z wojny, „Opowiadań z późniejszej młodości”. Obejmują one szkolenie wojskowe na Bliskim Wschodzie od wiosny 1942 r., walki we Włoszech do kwietnia 1945 r. i studia w Rzymie w 1946 r. Pisał raczej w układzie tematycznym niż chronologicznym. Są to epizody, wiele z nich tragiczne, wzbogacane zabawnymi anegdotami.

W 1998 roku, naznaczony ciężką chorobą, przekazał kierownictwo „Naszej Gazetki” Tadeuszowi Kilarowskiemu. W tym samym roku ukazała się – jako jubileuszowy numer 200 – całość „Opowiadań z wczesnej młodości” w formie małej książeczki. Kiedy mój ojciec pisał „Opowiadania z późniejszej młodości”, oczywiście wiązało się to z zamiarem ich opublikowania. Teraz, 25 lat po jego śmierci, to życzenie się spełnia.

Dla mnie ważne było, aby w tym samym tomie opublikować „Żołnierską komedię”. Opisuje ona bowiem nastroje panujące wśród polskich żołnierzy na Bliskim Wschodzie i podczas walk we Włoszech, które z pewnością były również jego odczuciami. Z listów, które znalazłem w rzeczach pozostawionych przez ojca, wynika, że po wojnie wpadł w traumatyczną i religijną depresję, stało się to jednak dopiero w Hiszpanii. Trzeci akt „Żołnierskiej komedii” rozgrywa się we Włoszech, ale wydaje mi się, że oddaje właśnie ten nastrój. Z tego punktu widzenia „Żołnierska komedia” jest emocjonalnym przetwarzaniem jego wspomnień.

Na koniec pozytywny dodatek: Dopiero po śmierci moich rodziców dowiedziałem się z korespondencji przedślubnej, że to moja matka, swoim kobiecym urokiem i wielką miłością, uratowała mojego ojca z depresji. Po ślubie rozkwitł, co jest również wyraźnie widoczne w jego obrazach. Dziękuję Ci Matko.

Wspomnienia T. Wojnarskiego zawierają oryginalną pisownię, w którą nie ingerowano w trakcie opracowywania książki.

*Tadeusz Wojnarski junior*

## TADEUSZ WOJNARSKI (1922–1999)

### KALENDARIUM

#### 1922–1938

Tadeusz Wojnarski urodził się 12 września 1922 roku w Warszawie. Jego matka pochodziła z byłej rodziny fabrykantów, ojciec był prawnikiem w służbie państwowej. Tadeusz miał szczęśliwe dzieciństwo. W okresie tym uczęszczał do warszawskiego gimnazjum im. Tadeusza Rejtana.

#### 1939

Agresja niemieckiego Wehrmachtu na Polskę. Ewakuacja matki z dwoma synami do Lwowa. Ojciec został powołany jako oficer rezerwy, dostał się do niewoli po inwazji bolszewickiej i został zamordowany wraz z tysiącami oficerów. Polska została podzielona.

#### 1940

Tadeusz Wojnarski chciał wrócić do Warszawy, został aresztowany po przekroczeniu linii demarkacyjnej i po dwóch miesiącach osadzenia w więzieniu w Przemyślu – został przeniesiony do więzienia w Odessie.

#### 1941

Deportacja do obozu pracy na północnym Uralu. Okrutne warunki życia, ciężka praca w zimnie i głodzie. Ponieważ w gułagu życie ludzkie nic nie znaczyło, jego ciężka rana w nodze z pewnością doprowadziłaby do jego śmierci. Jego szczęściem był atak Hitlera na ZSRR. Po układzie Sikorski-Majski został zwolniony wraz z ponad 100 000 Polaków. Aby sfinansować życie i podróż do polskiego punktu zbiórki w Uzbeckiej Republice Radzieckiej, stworzył wiele portretów.

#### 1942–43

Ostatni portret z tego okresu przedstawia młodego Uzbeka – zachował się jako jedyny. Pod koniec stycznia wstąpił do Wojska Polskiego i został ewakuowany

na Bliski Wschód. Szkolenie wojskowe w brytyjskim obozie wojskowym. Narysował wiele karykatur kolegów i przełożonych. Pierwsze publikacje. Po ukończeniu szkolenia wojskowego otrzymał możliwość ukończenia matury.

#### **1944**

Przeniesienie do Włoch na front. W przerwach w walkach Wojnarski malował wiele akwareli, w tym przede wszystkim portrety żołnierzy. Są one bardzo ważne dla Polski z perspektywy kulturowo-historycznej. Mają bowiem unikalny charakter w porównaniu do innych prac powstałych na szlaku 2. Korpusu we Włoszech.

#### **1945**

Ponieważ alianci pozostawili Polskę w strefie wpływów Związku Radzieckiego, polscy żołnierze walczący we Włoszech czuli się zdradzeni. Mimo to walczyli do końca. Po wojnie jednostki polskie przez jakiś czas pozostały we Włoszech, Wojnarski kontynuował malowanie.

#### **1946**

Wejście do Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie i kursy malarstwa u prof. Mariana Bohusza-Szyszko. Tworzył akty i niezliczone widoki miast tuszem. Potem wybór: powrót do Polski lub emigracja do Wielkiej Brytanii. Odrzucił oba rozwiązania. Zdecydował się na wyjazd do Hiszpanii ze względu na otrzymane stypendium – podróż w nieznaną.

#### **1947**

Aby zapewnić sobie pewniejsze dochody, początkowo studiował architekturę. Pierwsza indywidualna wystawa w październiku. Trauma wojenna i prywatne zmartwienia doprowadziły do narastających problemów psychicznych.

#### **1948**

Kryzys życiowy pogłębił się, porzucił studia architektoniczne i wstąpił do klasztoru jako nowicjusz. Opuścił klasztor po sześciu miesiącach na polecenie mistrza nowicjatu. Kryzys życiowy pozostał. Wznowienie działalności artystycznej.

#### **1949**

Wiosną rozpoczął studia artystyczne w Escuela Central de Bellas Artes de San Fernando w Madrycie. Podczas wakacji akademickich pierwsza podróż do

Szwajcarii. Poznał swoją przyszłą żonę, Ewę Zawadyńską, Szwajcarce o polskich korzeniach. Powrót do Madrytu. Pierwsze próby malarstwa olejnego. W Prado powstała pierwsza kopia obrazu Velázquez. W związku z tym nastąpiły znaczne postępy w technice olejowej. Następują kopie El Greco, Tycjana i innych. Jego obrazy olejne udawały się coraz lepiej.

### **1950**

Latem odbyła się druga podróż do Szwajcarii.

### **1951**

Ślub na początku czerwca w Zurychu, a następnie sponsorowany przez rodzinę żony miesiąc miodowy na Majorce. Powstało co najmniej 15 obrazów olejnych. Najciekawsze „Odporne drzewko” – podobnie jak on, trzykrotnie ugięte drzewko również przeżyło wiele tragicznych losów. Teraz wraca optymistycznie do siebie i dąży do góry – to autoportret!

### **1952–53**

Narodziny syna Tadeusza, później córki Teresy. Ukończenie studiów artystycznych.

### **1954**

Dobry znajomy zamówił cykl Drogi Krzyżowej dla wcześniej spalonego kościoła wiejskiego w Polsce. Wpływ El Greco wyraźnie widoczny. Wiele rysunków tuszem dokumentuje podróże po Hiszpanii. Szwajcarska firma Roche opublikowała folder z 20 rysunkami tuszem i akwarelami.

### **1955**

W styczniu wystawa prac sakralnych i zamówień dla Kościoła Katolickiego, m. in. plakatów. Podczas podróży przez Portugalię w maju powstało 58 rysunków tuszem. Wystawa w Lizbonie, później pierwsza mała wystawa w Szwajcarii.

### **1956–58**

Narodziny drugiego syna Antoniego. Kolejne podróże po Hiszpanii, m.in. ze swoim teatrzykiem marionetek. Roche opublikowała kolejne portfolio artystyczne. To jednak nie wystarczało, by przeżyć. Pod koniec 1958 roku Ewa wyjechała z dziećmi do Szwajcarii. Tadeusz potrzebował jeszcze zezwolenia na pobyt stały, co wymagało złożenia podania w ambasadzie szwajcarskiej w Madrycie.

**1959**

W Hiszpanii powstały ostatnie rysunki tuszem. Otrzymał hiszpański dyplom państwowy profesora rysunku, a następnie ostatecznie przeniósł się do Szwajcarii. Zatrudnienie jako dekorator w Migros Genossenschaftsbund Zürich. Projektował papieroplastyki i kierował ich produkcją.

**1960**

Od maja 1959 r. do sierpnia 1961 r. powstało co najmniej 45 akwarelowych rysunków przedstawiających szwajcarskie miasta, które zostały opublikowane w formie kartek.

**1961**

W październiku wystawa w Kunstkammer zum Strauhof (Miejska Izba Sztuki) w Zurychu. Prasa szwajcarska zareagowała bardziej krytycznie niż hiszpańska twierdząc, że tym razem wystawa nie jest warta odwiedzenia, ponieważ obrazy są realistyczne. To zabolalo Wojnarskiego. Nastąpiła długa przerwa twórcza. Codzienna walka o przetrwanie materialne również odegrała pewną rolę.

**1962–66**

Udokumentowane są tylko dwa portrety i dwa rysunki tuszem z tego okresu. W 1964 roku na świat przyszła najmłodsza córka Elżbieta. Praca jako dekorator dawała mu coraz mniej satysfakcji. Rosnące zaangażowanie Polonii w Szwajcarii, która dystansowała się od PRL-u, zdominowanej przez Związek Radziecki.

**1967–68**

Rozpoczęcie pracy jako nauczyciel rysunków w urzędzie szkolnym miasta Zurychu. Tutaj ponownie rozkwitł. W ciągu tych dwóch lat powstało co najmniej 30 prac, głównie w oleju i gwaszu.

**1969–72**

Wznowienie wystaw, początkowo w jego pracowni w Zurychu-Seebach. Coraz częściej otrzymywał zlecenia na portrety wykonane węgłem, pastelami i olejem.

**1973–75**

Z techniki tuszem przeszedł na technikę gwaszów z węgłem lub czarną kredką. Wydaje zerowy numer miesięcznika „Nasza Gazetka”. Tu rozpoczął



publikować swoje wspomnienia z czasów wojny („Opowiadania z wczesnej młodości”).

#### **1974**

Pokazał na scenie pierwszy i ostatni raz fragment ze swojego wojennego dramatu „Żołnierska komedia”.

#### **1975**

Pierwsza wystawa w „Domu Polskim” w Zurychu”. To centrum spotkań Polaków i kultury polskiej powstało z jego inicjatywy.

#### **1976–78**

Podróżowanie po Szwajcarii i Włoszech coraz bardziej inspirowało jego twórczość.

#### **1979**

Pierwsza wystawa w Muzeum Polskim w Rapperswilu.

#### **1980–83**

Dzieci wyprowadzały się jedno po drugim, dając Wojnarskiemu więcej czasu na sztukę, podróże po Szwajcarii i Włoszech oraz zaangażowanie społeczne, polityczne i kulturalne. Jedna lub dwie wystawy rocznie.

#### **1984–85**

Druga wystawa w „Domu Polskim” w Zurychu. Kontynuacja działalności artystycznej i społecznej.

#### **1986–90**

Po przejściu na emeryturę w 1986 r. jego twórczość artystyczna i podróże osiągnęły szczyt.

#### **1991**

Druga wystawa w Muzeum Polskim w Rapperswilu. Pierwszy raz pokazał swój cykl gwaszowy do swoich „Opowiadań z wczesnej młodości”. Podczas wernisażu został odznaczony nagrodą im. Juliana Godlewskiego przez Polską Fundację Kultury Libertas za osiągnięcia kulturalne w Polonii szwajcarskiej oraz Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta przez Rzeczpospolitą Polską. Na legitymacji widnieje podpis ówczesnego Prezydenta Rzeczypospolitej Polski, Lecha Wałęsy.

**1991–95**

Tadeusz Wojnarski kontynuował swoją twórczość artystyczną i działalność polonijną w Szwajcarii.

**1996–97**

Diagnoza raka wstrząsnęła Tadeuszem Wojnarskim. W 1997 roku spadła jego siła twórcza. Namalował dwa ostatnie obrazy, w tym staw z liliami wodnymi w oleju – jako hołd złożony Claude'owi Monetowi.

**1998**

Swoje funkcje w Polonii przekazał młodszemu, w tym naczelną redakcję „Naszej Gazetki” Tadeuszowi Kilarskiemu. Publikacja „Opowiadań z wczesnej młodości” przez nowego naczelnego redaktora „Naszej Gazetki”. Resztkami sił pisał drugą część swoich wojennych wspomnień („Opowiadania z późniejszej młodości”).

**1999**

Zmarł 7 sierpnia 1999 roku w klinice „Zürcher Höhenklinik” w Davos.

## JAM PYŁ

Pamiętam, kiedy nieraz jako dziecię małe  
Promyki słońca skrycie się przedzierające  
Okiennic szczelinami i w świetle tańczące  
Drobniutkie kurzu pyłki pilnie podziwiałem.

Niektóre, większe, nawet schwytać próbowałem  
W maleńkie paluszki, lecz wtedy jasne słońce,  
Zakryte nagle, zaciemniało małe gońce,  
A potem lecących pyłków już nie widziałem.

To wtedy też czasem jak gdyby mi się zdało,  
Że pyłkiem maleńkim, świecącym sam także byłem  
I lecieć gdzieś daleko tak by mi się chciało!...

Lecz kiedy lat moich starszych później dożyłem,  
W wir losów me istnienie rzucone zostało,  
Pojąłem, że byłem naprawdę tylko pyłem...



## OPOWIADANIA Z WCZESNEJ MŁODOŚCI

### SŁOWO WSTĘPNE AUTORA

Jak doszło do napisania moich przeżyć z sowieckiego epizodu życia? Opowiadając je innym nieraz słyszałem zachętę: „To wszystko powinieś uwiecznić w książce!” Rad tych nie brałem poważnie, bo ostatecznie każdy, kto przeżył tę straszną wojnę, mógłby napisać książkę. Zwłaszcza każdy Polak.

Kiedy jednak udało mi się stworzyć „Naszą Gazetkę”, czasopismo polskie w Szwajcarii, zdecydowałem się przekazać tamte wspomnienia w odcinkach na jej łamach. W rzeczywistości każda, nawet tak bardzo osobista opowieść jak moja, jest przecież częścią historii, dokumentem przydającym barw obrazowi wielkich wydarzeń. Powstały wcześniej pomysł pseudonimu „Jan Pył” wydał mi się słuszny przy pisaniu tych opowieści. „jam pył” – to przecież najlepsze samookreślenie drobnego uczestnika losów nieprzewidywanych a dramatycznych w tym okrutnym odcinku historii ludzkości. Pyłów była niezliczona ilość, jak pyłków w zwykłym powietrzu, ale każdy z nich był przecież żywym, czującym, myślącym człowiekiem.

Wspomnieniom tym dałem tytuł „Opowiadań z wczesnej młodości”, bo zawarły się pomiędzy 17-tym a 19-tym rokiem mojego życia. Ich objętość dopasowałem do proporcji „Naszej Gazetki”. Każdy odcinek był w sobie zamknięty; wszystkie razem składały się na jedną całość. Myśl wydania tych opowiadań w zwartej całości podjął następca w redaktorstwie, Tadeusz Kilarski. Zadał sobie ogromny trud przeniesienia wszystkiego na komputer i wydania jako numer jubileuszowy Gazetki, za co mu gorąco dziękuję.

Z mojej strony, poza korektą i sporadycznymi zmianami w tekście, zdecydowałem się ożywić tę książeczkę własnymi ilustracjami. Bo ostatecznie jestem bardziej malarzem niż pisarzem.

*Tadeusz Wojnarski*

## WRZESIEŃ 1939

Złota polska jesień była tego roku jeszcze złocistsza niż innymi laty. Gdyby nie ten niepokój zawieszony w powietrzu na niewidzialnych nitkach, można byłoby pomyśleć, że są to wakacje, tym przyjemniejsze, że nieprzewidziane, dodatkowe. Po wybuchu wojny przydzielono nas, to znaczy mnie oraz moją matkę i młodszego brata, do gościnnego domu należącego do uprzejmego chłopca ukraińskiego. Matce wypłacono wówczas sześciomiesięczną pensję ojca, a resztę pozostawiono losowi. Mówiliśmy sobie – niedługo wrócimy... Linia frontu się konsoliduje – tylko patrzeć, jak Francuzi i Anglicy uderzą z drugiej strony.

Z nielicznych aparatów radiowych istniejących wówczas na wołyńskiej wsi wylawialiśmy wiadomości płynące z eteru. Zawsze ktoś miał nasłuch – nie wolno było niczego pominąć. Warszawa I podtrzymywała cały naród na duchu<sup>1</sup>. Program jednak rwał się coraz bardziej i wreszcie główna radiostacja stolicy zamilkła. Warszawa II przejęła rolę głosu narodu, lecz i to źródło informacji wkrótce zamarło. W złocistym, nasłonecznionym powietrzu zawiązała złowroga cisza. Czasem jeszcze żołnierze z rozbitych oddziałów przynosili jakieś wiadomości. Chociaż były one najczęściej sprzeczne. Wierzyliśmy bowiem, że nasza armia nie da się pokonać. Front podobno ustabilizował się na Bugu, a nasi żołnierze mieli przejść do kontrofensywy. Ale czy Francuzi i Anglicy uderzyli już z zachodu?

Ach, dlaczego wywieziono nas z Warszawy? Dlaczego ewakuowano na tę wieś wołyńską? W stolicy na pewno mógłbym się na coś przydać... Dostałem przecież opaskę pomocniczej służby obrony przeciwlotniczej<sup>2</sup>. Z taką opaską i maską przeciwgazową wybiegałem na ulicę na każdy ryk syren, aby w moim rejonie kierować przechodniów do najbliższego schronu. Nie bałem się formacji tych czarnych kruków<sup>3</sup>, ani tych srebrzystych orłów, zabranych Czechom bez walki<sup>4</sup>. Przecież nasze myśliwce, choć nieliczne, wpadały między nie jak pieski, mnożyły się w swojej ruchliwości, rozpraszały napastników i coraz jakiś

---

1. W 1939 roku funkcjonowało w Polsce dziesięć stacji nadawczych Polskiego Radia: Warszawa I (Raszyn), Baranowicze, Wilno, Katowice, Lwów, Poznań, Toruń, Kraków, Łódź, Warszawa II (kolejność została podana według mocy i długości fal).

2. 1 września 1939 roku powołano pomocniczą służbę bezpieczeństwa na mocy rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych (zob. Dz.U.1939 nr 88 poz. 560)

3. Prawdopodobnie T. Wojnarski nawiązuje tutaj do niemieckich samolotów „Junkers Ju 87 Stuka”. Były to bombowce nurkujące – wykorzystywane również jako samoloty szturmowe.

4. Zdobywcze samoloty produkcji czeskiej, wyróżniające się „błyszczącym” poszyciem, które miały być wykorzystywane przez Niemców w trakcie wojny obronnej 1939 roku.

czarny krzyż<sup>5</sup>, dymiąc spadał z przestworzy jak potępiony anioł. Dalej i bliżej słychać było wprawdzie wybuchy bomb, ale to ostatecznie była wojna! Nie taka w jaką chłopaki się bawią! W związku z tym moja matka klęczała przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i modliła się, aby temu na ulicy nic się nie stało, aby nas wszystkich i cały polski naród miała w swej matczynej opiece...

Gdy w nocy z czwartego na piątego września zadzwonił telefon z ministerstwa, że rodziny pracowników mogą skorzystać z pociągu ewakuacyjnego odjeżdżającego za kilka godzin, matka nie wahała się z decyzją: musimy uść przed tym piekłem, które jeszcze się na dobre nie rozpoczęło! Byłem wprawdzie najstarszym dzieckiem z męskiego rodu, który został w domu, ale nie było szans, aby matce jakkolwiek ten wyjazd odradzać.

Pociąg z ewakuowanymi z Warszawy zamiast jakichś ośmiu godzin kluczył do miejsca przeznaczenia cztery dni. Samoloty niemieckie bombardowały dworce, stacje i tory kolejowe. Poprzerywane linie zmuszały do cofania się. Musieliśmy poruszać się jedynie dostępnymi drogami. Po nocach, gdy stało się gdzieś w pustym polu z pogaszonymi światłami, łuny pożarów tłumaczyły nam, że potrzeba cierpliwości. Mogliśmy jeszcze Bogu dziękować, że żaden nalot nie dosięgnął naszego transportu...

Teraz, pośród nasłonecznionej ciszy wsi wołyńskiej, wspomnienia te nie pocieszały nas bynajmniej. Dzień po dniu płynął wolno i smętnie, tym smętniej, im niebo śmiało się jaśniej. Gdyby tak spadły deszcze i ulewy rozmoczyły pola oraz te nasze kiepskie drogi to Niemcy byłiby ugrzęźli ze swymi czołgami, a nasze rozproszone oddziały mogłyby się pozbierać, zaś Francuzi i Anglicy...

Tymczasem słońce świeciło tak jaskrawo, jak gdyby niebo przeciw nam się sprzysięgło... Czasami gospodarz, Ukrainiec, brał mnie nad Seret<sup>6</sup> aby ryby łowić. Był uprzejmy, ale na koniec Bóg wie, gdzie się podział. Gdzieś przepadł z wozem, a żona na pytania dawała tylko wykrętne odpowiedzi.

\* \* \*

Jednego poranka zbudził nas dziwny ruch we wsi: bolszewicy idą nam na pomoc! Zerwałem się z łóżka, ubrałem pośpiesznie i wybiegłem z domu. Stojący grupami ludzie nie mówili o niczym innym, jak tylko o odsieczy ze wschodu. 17-ty września – dzień ratunku dla ginącej Ojczyzny!

Pędziłem co tchu ku szosie odległej o kilometr, aby przekonać się o prawdziwości tej wieści. Już z daleka było słychać turkot czołgów po bruku

---

5. Symbol Luftwaffe.

6. Seret – rzeka na Ukrainie, lewy dopływ Dniestru. Przepływa przez m.in. Tarnopol, Dołyne i Czortków.

z polnych kamieni. Była to prawda: Jeszcze Polska nie zginęła! Jeszcze chwila, a znalazłem się przy szosie. Gromady ludzi przyglądały się defilującej Armii Czerwonej. Także grupka polskich żołnierzy-rozbitków przystanęła z boku i gapiła się na to niezrozumiałe widowisko. Nagle jeden z czołgów zatrzymał się. Przez lukę wysunął się zasmarowany, skośnooki bolszewik, zeskoczył na ziemię, podbiegł do gromadki żołnierzy i... wyrwał im karabiny! To oni idą na pomoc i rozbijają naszych żołnierzy?! Dziwiłem się. W jednej chwili pojąłem jednak to, czego jeszcze przed chwilą moje myśli nie dopuszczały. Najchętniej wyrznięłbym pięścią tego kocmołucha w roześmianą gębę! Lecz skośnooki bolszewik szybko wskoczył przez lukę i czołg ruszył dalej. Obróciłem się i pędem pobiegłem z powrotem. Matka, gdy mnie zobaczyła, zawołała: „A co, idą naprawdę na pomoc?” Nie mogłem wyrzec słowa. Coś dławilo mnie w gardle. Rzuciłem się na łóżko twarzą w dół i zaciskałem pięści, żeby nie wybuchnąć płaczem...

## POWRÓT

Rząd białych postaci postępował w milczeniu. Chrząst śniegu zagłuszał bicie serc. Bezgwiazdna i bezksiężycowa wczesna noc była naszym sprzymierzeńcem. Nie tą granicą pragnąłem przechodzić, a jednak dał się odczuć posmak wielkiej przygody. We Lwowie, gdy czekaliśmy na wiadomość o przepuszczaniu uchodźców, spotkałem kolegów szkolnych, którzy się wybierali na Rumunię<sup>7</sup>. Stamtąd do Francji – do formujących się polskich oddziałów. Całą duszą pragnąłem się do nich przyłączyć. Myśl o walce, o bohaterstwie przepępiała młodzieńczy umysł. Gdy odkryłem ten zamiar matce, przestraszyła się, słyszeć o tym nie chciała. „Dzieciaku, wiesz ty co znaczy taka przeprawa? Nie myśl więcej o tym”. Człowiek po czterdziestce, po nabieraniu wielu doświadczeń życiowych, uważa nastolatków za duże dzieci. Gdy się jednak jest nastolatkiem we własnej skórze, widzi się świat z wysokości ludzi dorosłych i wydaje się, że świat ten ocenia się zdrowiej, właściwiej, że jest się zdolnym do wszystkiego, co prawem uzurpatorstwa ci „starzy” uważają za domenę własną i wyłączną. Skądinąd różnica dwóch, czy trzech lat pomiędzy tymi nastolatkami bywa nieraz przedziałem większym, niż ten istniejący pomiędzy nimi, a światem dorosłych. Choć wtedy uważałem się za dorosłego i dojrzałego do samodzielnych decyzji, to jednak zdawałem sobie sprawę, że ci koledzy z dawnej klasy byli

---

7. Władze Rumunii otworzyły granicę dla polskich uchodźców wojskowych i cywilnych już 15 września 1939 roku.



średnio o dwa lata ode mnie starsi. Nie byłem nawet zdolny myśleć o tych bohaterstwach, które w walce podziemnej w Warszawie staną dla mnie otworem. Tak, za wcześniej posłano mnie do szkoły! Czułem, że oni takiego „szczeniaka” niechętnie ze sobą by ciągnęli.

W tych okolicznościach sen o bohaterstwie minął tak szybko, jak się pojawił. We Lwowie mogliśmy zatrzymać się u zamieszkałej tam macochy mojego ojca. Otrzymała od niego kartkę z Łunińca, oddalonego o 17 kilometrów od granicy sowieckiej, dokąd miał przydział mobilizacyjny jako sędzia-audytor. Został umundurowany i czekał na dalsze rozkazy. Co się z nim stało, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Bóg jeden wie... Wiemy jedynie, że bolszewicy oficerów, a zwłaszcza sędziów, nie darzyli sympatią. Mieliśmy pewne nadzieje, że ojciec zjawi się we Lwowie, bo to było jedyne miejsce po tamtej stronie kordonu, dokąd mógłby skierować swoje kroki. Niestety nie pojawił się, a my musieliśmy wracać do domu w Warszawie. Czy on jeszcze istniał? Po czterotygodniowym bombardowaniu, oblężeniu i po desperackich walkach znaczna część miasta została zniszczona. Wiadomości nie mieliśmy żadnych. Jakoś prawem przynależności do tamtego a nie innego miejsca chcieliśmy wrócić choćby do ruin. Ale o żadnym zorganizowanym powrocie uciekinierów nie było słychać. Los tych ludzi niewiele obchodził nowe władze po obu stronach Bugu i Sanu. Każdy musiał swoje problemy rozwiązywać sam. Tak też matka postanowiła pojechać z nami nad granicę i czekać na miejscu na otrzymanie przepustki. Wszak w Przemyślu podobno ludzie zaczęli przechodzić na drugą stronę – na tereny okupowane przez Niemców<sup>8</sup>.

Wylądowaliśmy więc w przepełnionym uciekinierami Przemyślu. Tylko, że tu nie mieliśmy żadnej rodziny i musieliśmy korzystać z gościny obcych ludzi. Matka miała na razie czym płacić, gdyż polskie pieniądze były nadal ważne. Poza tym, choć wzięliśmy przy ewakuacji tylko to co na grzbiecie, jednakże rzeczy najwartościowsze, złoto i biżuterię matka przezornie zabrała „na czarną godzinę”. Można było więc jakiś czas przetrzymać. Jak długo? Kiedy otworzą granicę? Z zaopatrzeniem w mieście coraz gorzej, kolejki za chlebem były coraz dłuższe, a inne towary na czarnym rynku pochłaniały posiadany grosz w zastraszającym tempie. Nawet jakąś cieplejszą, watowaną kurtkę, choć tandetną, jak wszystko co jeszcze można było otrzymać, musiała mi matka kupić.

Pewnego dnia znajomi panowie z ministerstwa zdradzili w tajemnicy, iż znaleźli przewodnika. Drogi, ale pewny. Matka i młodszy brat nie mogliby pójść – to za trudna przeprawa, ale mnie by wzięli ze sobą. Z ciężkim sercem

---

8. We wrześniu 1939 roku miasto Przemyśl zostało podzielone pomiędzy dwóch okupantów – niemieckiego i sowieckiego. Rzeka San stała się granicą. Stan ten trwał przez prawie dwa lata – do czerwca 1941 roku.

matka przystała na tę propozycję. Z wykonaniem zamierzenia nie można było zwlekać. Następnego dnia mieliśmy z przemyskiego Zasania dać znaki w umówionym miejscu...

Teraz w głowie było co najmniej tak ciemno, jak dookoła w tę bezksiężycową, bezgwiezdną noc, kiedyśmy jak upiory, w białych prześcieradłach, brnęli przez śnieg. Nie byłem nawet w stanie myśleć o tych bohaterstwach, które w walce podziemnej staną się moim udziałem. Matka prosiła, abym do niczego podobnego nie dał się ciągnąć. Odpowiedziałem jej zdecydowanie i otwarcie: „Zobaczę co będzie. Słowa ci nie dam”.

Przejęci biciem serc, ciszą panującą wokół i pustką w głowie, zdani bez reszty na dobrze zapłaconego przewodnika, stanęliśmy nagle jak skamienieli, jak gromada bałwanów śniegowych. Krótki ostry głos o parę kroków: „Postoj! Kto idiot?” Po tym kilka strzałów, ujadanie psów. Padliśmy plackiem w śnieg, ale to na niewiele pomogło. Strażnicy graniczni nie potrzebowali zbyt dużo czasu. Zamiast powrotu do Warszawy nastąpił więc powrót do Przemyśla. Tylko w innych, nieoczekiwanych warunkach. Już nie było przekupionego przewodnika, lecz świadomi swego obowiązku sowieccy strażnicy.

Wszystko działo się tak szybko, że nie byłem w stanie zastanawiać się nad moim położeniem. „Potrzymają kilka dni, zobaczą, że chciałem wrócić do domu i wypuszczą. Drugi raz nie pójde już na „zielono”! Takie tylko myśli mogły plątać się po głowie jako mające sens. Na większy wysiłek wyobraźni nie było mnie stać. Wstępna ceremonia przyjęcia w więzieniu nie była długa. Sprawa jasna: w białych prześcieradłach i na białym śniegu przyłapano nas na gorącym uczynku przekraczania granicy. Nie było się czego wypierać! Zabrano nam papiery, pieniądze, zegarki... Poza tym nic podejrzanego nie znaleziono. Sporządzający protokół bolszewik, gdy podpisałem moje złożone w bardzo kiepskiej ruszczyźnie zeznania, zaśmiał się od ucha do ucha: „No charaszo! Sieczas pajdiosz chesać biełyje niedwiecie”. Zrozumiałem... Poczuję mróz... Nie, to niemożliwe! Przecież ja nic takiego nie zrobiłem. Ja tylko chciałem wrócić do domu. I to tylko przez tę sztuczną granicę w poprzek naszej Polski po tej i po tamtej stronie Sanu...<sup>9</sup>. A matka jutro będzie na darmo wypatrywała na Zasaniu... Potem będzie modliła się w Kościele.

---

9. W 1943 roku T. Wojnarski wspominał ten moment w sposób następujący: „Zostałem aresztowany w Przemyśle, przy usiłowaniu przejścia linii demarkacyjnej na stronę okupacji niemieckiej. Muszę zaznaczyć, że pochodzę z Warszawy i – nie mając możliwości przejścia legalnego jako Polak (osoby podające się za pochodzenia niemieckiego miały możliwość specjalnymi transportami kolejowymi powrócić do swych rodzinnych miast) – musiałem obrać drogę nielegalną. Aresztowanie nastąpiło 9 lutego 1940 r.” – zob. Świadcstwo Tadeusza Wojnarskiego zlokalizowane w Biurze Dokumentów Armii Polskiej na Wschodzie (Samodzielny Referat Historyczny Dowództwa PSZ

## W WIEZIENIU

Prowadzono nas długim labiryntem ponurych korytarzy zaopatrzonych w szeregi masywnych, okutych i dobrze zaryglowanych drzwi. Wreszcie konwojent zatrzymał się przed jednymi z nich i kazał strażnikowi je otworzyć. Zgrzytnęły rygle, zaskrzypiały drzwi, wepchnięto nas do środka. Znaleźliśmy się w obszernej, cuchnącej, lekko oświetlonej jedną żarówką celi. Część więźniów leżała na podłodze i spała. Inni siedząc, półgłosem rozmawiali, nieliczni tylko chodzili...

Było nas trzech, oprócz przewodnika. Teraz nas rozdzielono. Mnie zostawiono z zaprzyjaźnionym z Warszawy panem, którego z dawien dawna zwałem „Wujkiem”. Wujek był kiepskiego zdrowia, długie lata chorował na gruźlicę kości. Pamiętam, gdy byłem małym chłopcem, lubiłem przychodzić z matką w odwiedziny do jego rodziny. Wujek leżał od dawna przykuty do łóżka, podnosić się prawie nie mógł i stanowił troskę swoich rodziców. Zwykle, gdy biegłem do niego to się ożywia! Moja obecność bowiem przerywała mu długą monotonię dni. Wiedział czego oczekiwałem! Notes większych rozmiarów, ołówki już leżały w zasięgu ręki. Po zwykłej ceremonii przywitania zaczynało się rysowanie. Czego Wujek nie potrafił! To był prawdziwy czarodziej! Kilkoma pociągnięciami kreślił na kartach notesu zabawne małpki, groźne lwy, niezdarne hipopotamy, fantastyczne ptaki – wszelką dziką i swojską, rzeczywistą i nierzeczywistą menażerię. Potem ludzi, dzieci, samoloty, samochody – wszystkie wypowiedziane przeze mnie życzenia w mgnieniu oka przybierały formy pod wprawna ręką chorego Wujka. Lubiliśmy się bardzo: ja, mały chłopiec i on, dorosły, tak ciężko chory młody człowiek. Później Wujek jakoś się wykaraskał i ojciec mój wystarał mu się o pracę w ministerstwie, gdzie sam był urzędnikiem. Stąd też znaleźliśmy się razem na ewakuacji. Wujek ze względu na stan zdrowia nie poszedł do wojska i tak od tamtych dni dzieliliśmy los tułaczy. Teraz nie rozdzielono nas i to było dla obydwu jedyną pociechą. Jego matka pozostała z moją i tak mogły sobie dodawać wzajemnej otuchy.

Przebywając w tej ponurej celi najpierw nic do siebie nie mówiliśmy. Nasze beznadziejne położenie jednoczyło nas bez słów. Byliśmy całkowicie zrównani: on przez słaby stan fizyczny, a ja przez młodociany wiek. Od jednego ze starszych więźniów dowiedzieliśmy się, że ten wielki, blaszany kubeł w kącie, to „kibel”, gdzie załatwia się potrzeby. Nietrudno było domyślić się: z tamtego kąta szczególnie ostro ciągnęło. Stąd też pochodziło słowo „kiblować”, co

w żargonie więziennym oznaczało: „siedzieć”. Oczywiście za kratami. W baniaku podobnych rozmiarów tkwiła woda do picia. Dla celów higienicznych służyć ona wiele nie mogła z braku umywalki, a jeszcze bardziej ze względu na ograniczoną dostawę. Z kibelem do opróżniania i z baniakiem do napełniania wodą mogło raz, najwyżej dwa razy na dzień, wychodzić trzech więźniów. O to zaszczytne zadanie ubiegało się wielu, bo sam fakt znalezienia się na krótko poza drzwiami celi był dostateczną rozrywką. Dla palaczy była to szczególnie szansa do skombinowania czegoś do palenia: na korytarzu można było znaleźć niedopałki rzucone przez strażników.

Łóżek oczywiście tu nie było. Ani żadnych materaców czy koców. Dobrze, że podłoga była drewniana. Uzgodniliśmy z Wujkiem, że jego palto pójdzie na podłogę zamiast materaca, bo było cieplejsze od mojej tandetnej kurtki. Ta musiała służyć za koc. Tak zorganizowawszy się w potrzebie, przytuliwszy jeden do drugiego, aby było cieplej, usnęliśmy snem sprawiedliwych więźniów.

Nazajutrz zaczęliśmy zapoznawać się z programem dnia. Jak można wywnioskować z dokonanego już omówienia urządzeń sanitarnych – toaleta poranna była nader ograniczona. W rzeczywistości od chwili przebudzenia następowało czekanie na śniadanie. Szczególną emocją było rozdawanie chleba, który wreszcie dotarł do celi w formie niedużych, nierówno ukrajanych kropek oraz miski napoju, nazywanego w tamtejszym żargonie „kawą”. Później miało miejsce chodzenie w koło, specjalnym, równomiernym „więziennym” krokiem: dwójkami, ci z lewej strony przeciwną nogą niż ci z prawej. Z braku innego zajęcia było to wcale zdrowym urozmaiceniem. Kto nie chciał, chodzić nie musiał. Mógł siedzieć pod ścianą i nudzić się, albo rozmawiać z innymi czy bić poza programem swoje wszy. Ta czynność była i tak przewidziana nigdy i nigdzie nie spisany, ale sumiennie przestrzegany regulaminem. Niezbyt długo musieliśmy czekać na zawarcie znajomości z nowymi towarzyszami niedoli, które, jak się okazało, wcale nie miały upodobania do brudasów. Obgryzanie takowych było dla nich w pewnym sensie sytuacją przymusową, gdyż jak miały wybór, to garnęły się do tych czystszych. Na początku należeliśmy na pewno do klasy obdarzanej preferencją przez wybredne stworzenia! Zrównanie klas nastąpiło jednak po niedługim czasie.

Około południa, stęsknieni po nader sutym śniadaniu za czymś do zjedzenia, zaczęliśmy wypytywać współwięźniów, jak się ma sprawa z obiadem. Wyjaśniono nam, że pora jego wypada bardzo nieregularnie, w zależności od tego, z której strony zacznie się roznoszenie. Zazwyczaj jednak miało to miejsce późnym popołudniem. Żeby można było się obejść bez kolacji! W ten sposób następowało jedno z najważniejszych zajęć w programie codziennym: oczekiwanie na obiad.

Nadeszła wreszcie ta ceremonia! Już od jakiegoś czasu było słycać odgłosy ją zwiastujące: specyficzny ruch na korytarzu, tupot nóg, pobrzękiwanie kotła, czasami jakieś krzyki i wymyślenia. Najpierw otrzymaliśmy chleb, po takiej samej kromce i takiej samej jakości, jak rano. Kto miał cierpliwość, to czekał ze spożyciem jej aż do nadejścia zupy. Było to jednak związane ze zbyt dużym wysiłkiem woli i większość towarzystwa, obejrzawszy dokładnie swoją porcję i porównawszy z wielkością kawałków otrzymanych przez innych, w stosunku do których oko ludzkie nabierało cech szkła powiększającego, spożywała swoją, mniejszą kromkę, patrząc, z której strony ją zacząć, aby poczuć większe zadowolenie organów trawiennych. Zanim zazgrzytały znowu rygle i „kucharz” wraz z pomocnikiem wtoczyli do celi kocioł z „zupą”, większość zakończyła już ceremonię z chlebem.

Po dłuższym czasie mogliśmy rozpoznawać różne rodzaje zup. Wszystkie smakowały jednakowo: jak pomyje i zawartość miały podobną do pomyj. Jeżeli „kucharz” był łaskawy i sięgnął chochlą do dna, to czasem wpadł szczęśliwcowi kawałek kartofli, warzyw albo ochłap bliżej nieokreślonego pochodzenia. Tylko, że „kucharz” miał swoje humory, no i niektórych uprzywilejowanych więźniów. Choć to jedzenie nie było ani zbyt pożywne, ani nadto apetyczne, to z czasem zaczęliśmy oceniać jego wartość: pożądlivość była wielka, a smak był tym wyborniejszy, im bardziej potężniało uczucie głodu<sup>10</sup>.

Największym problemem było dla nas, aby dać znać naszym matkom. Chcieliśmy, aby dowiedziały się przynajmniej, że żyjemy. Gdy zaś okazało się, że niektórzy czasem otrzymywali paczki z domu, wzbudziła się w nas nadzieja, że przecież nasze matki też by nam posyłały co tylko można! Doświadczeni więźniowie poradzili, jak to się robi: na małej karteczce trzeba było napisać adres i nazwisko matki, podpisać się imieniem i oddać kucharzowi, kiedy strażnik akurat nie patrzy. Kucharz, sam więzień, ma jednak kontakty ze światem zewnętrznym i sprawę załatwi. Zrobiliśmy z Wujkiem jak nam poradzono. Po kilku dniach, nadeszła pierwsza paczka!

Wiedząc, że matka przychodzi odtąd codziennie do bramy więzienia, żeby oddawać paczki, w określonej porze starałem się dostać do wysokiego,

---

10. W 1943 roku T. Wojnarski tak wspominał warunki panujące w przemyskim więzieniu: „Przez półtora miesiąca siedziałem w więzieniu w Przemyślu. Warunki panujące w tym więzieniu: cele dość duże, początkowo 20 do 30, potem nawet do stu osób w celi. Okna pozbawione szyb, nieopalone piece, załatwianie potrzeb osobistych do wiadra (*paraszy*) w celi, niewyprowadzanie więźniów na świeże powietrze, brak wody do picia (o myciu nie było mowy), mnożące się w zastraszającym tempie wszy – wszystko to powodowało, że po upływie półtora miesiąca każdy chodził, trzymając się ścian – dzienna porcja chleba [wynosiła] ok. 35 dag, raz herbata i raz pół litra zupy” – zob. Świadectwo Tadeusza Wojnarskiego...

zakratowanego okna razem z innymi współwięźniami i wypatrywałem... Wiele dni tak minęło.

Moja matka zapewne też się domyślała, że ja gdzieś jej wyglądam. Pewnego więc razu – przepchawszy się naprzód pomiędzy tłumem innych ludzi – widziałem, jak wodziła oczami od okna do okna. Wtedy ją ujrzałem! A ona mnie! Oczy nasze przez chwilę się spotkały... Była bardzo blada i mizerna. Posiwiiała zupełnie w ciągu tego tak krótkiego czasu. O, gdybym wiedział: zęby jej wypadły, że wypluwać mogła je, jak gdyby pestki... Ale wtedy nie wiedziałem... Domyślałem się tylko, że z przynoszonych przez nią paczek zaledwie mała część do mnie docierała. Tak samo zresztą jak i do Wujka od jego matki, której on nigdy nie miał zobaczyć...

## W NIEZNANE

Mój pobyt w przemyskim więzieniu zbiegł się z okresem wielkopostnym. Gdybym był wówczas w stanie zastanawiać się nad możliwościami obrócenia tego intensywnego postu na wartości duchowe, zgromadziłbym spory kapitał nadprzyrodzony. Byłem jednak zbyt młody, a w każdym razie nieprzygotowany w zakresie mistyki. Tak czy inaczej czuliśmy, że taka asceza prowadzi do niebezpiecznego uduchowienia. Nieraz, aby nie stracić równowagi, trzeba było szukać podpory nie-duchowej, np. ściany. To też, pragnienie jakiejś zmiany było powszechne. O wyjściu na wolność nikt teraz nie marzył: Przemysł był tylko stacją przejściową, gdzie spraw więźniów nie rozpatrywano i poza protokołem wstępnym nikogo na przesłuchania nie brano.

Pewnego dnia dało się usłyszeć ożywiony ruch w więzieniu. Najpierw niepokój, a po tym nadzieja na rychlejsze zakończenie „kiblowania” zaczęły poruszać nasze umysły. „Z pewnością szykują transport do Lwowa, gdzie zbadają nasze sprawy i albo wypuszczą, albo osądzą” – próbowano się domyślać. Tak, czy inaczej ta vegetacja i wykarmianie wszy nareszcie się skończy...

Istotnie, przyszła kolej i na naszą celę. Ustąpiły rygle i weszła grupa dobrze odpasionych „bojców”, a komendant z listą w ręku odczytał szereg nazwisk. Ja byłem na liście. Ale Wujka nie było. Niepokój nas ogarnął: czyżby mieli nas rozdzielić? Lecz nie było czasu na dalsze refleksje. „Sobierajsia z wieszczami” (zabieraj się z rzeczami) – wrzasnął komendant. Pożegnałem się w pośpiechu z Wujkiem i zabrałem wszystkie rzeczy, to znaczy moją watowaną kurtkę, bo resztę miałem na sobie. Po chwili donośny głos komendanta dał rozkaz do wychodzenia. Z niepewnością w sercu, ale i z nadzieją, że się z Wujkiem jeszcze spotkamy, wyszedłem wraz z innymi na korytarz. Nadzieja moja okazała

się jednak zupełnie bezpodstawną. Ostatnia więź między przeszłością dzieciństwa, a niejasną przyszłością przyspieszonej dojrzałości została bowiem zerwana.

Przeprowadzono nas do innej celi, gdzie zarządzono rewizję. Była ona bardzo dokładna – bo do naga. Zabrano nam wszystko, co tylko mogło być podejrzane i niebezpieczne: metalowe sprzączki, guziki, papierki, ołówki, nie mówiąc oczywiście o takiej groźnej broni, jak scyzoryki i małe nożyki, które ktoś jakoś przeszmygłował do tego momentu. Po niedługim czasie cały zespół wymaszerował na więzienne podwórze. Od półtora miesiąca po raz pierwszy na świeżym powietrzu! Tu czekał już rząd ciężarówek. Ładowano nas bardzo racjonalnie: wchodziło się na platformę wozu czwórkami i siadało rzędem, tyłem do kierunku jazdy. Kolana zgięte i rozstawione. W te „gniazda” sadowiła się następna czwórka. I tak dalej, aż do tylnej krawędzi. Później klapę zamykano. Po czterech rogach siedzieli strażnicy z karabinami i nasadzonymi „sztykami”, czyli długimi, sowieckimi bagnetami. W międzyczasie wyprowadzano dalszych więźniów. Wujka jednak pomiędzy nimi nie mogłem się dopatrzeć...

Nader sumiennie przygotowany transport wyjechał więc z więzienia. Podróż, a raczej pierwsza jej faza, nie była długa, bo podwieziono nas do stacji kolejowej. Tu czekał już pociąg, „eszałon”, złożony z tak zwanych „tępłuszek”, to jest zamkniętych towarowych wagonów, wyposażonych w dwupiętrowe prycze i w piecyk z rurą wychodzącą na zewnątrz. Wyładowano nas na placu, z tyłu za stacją kolejową i ustawiono w szeregu. Strażnicy ze swymi karabinami i sztykami flankowali szeregi co kilka kroków i po obydwu stronach. Komendant wystąpił przed wszystkich i donośnym głosem oznajmił: „Szag w lewo, szag w prawo szczytajetsja pobiegom. Konwoj prinimajet urużja bez predupreżdzenia. Szagaj szagom w pierod!” (Krok w lewo, krok w prawo jest uważany za ucieczkę. Konwojent użyje broni bez uprzedzenia. Naprzód marsz!) Kto zrozumiał, tłumaczył innym.

Rozdzielono nas po wagonach, po około trzydziestu na wspomnianą „tępłuszkę”. Kto z osłabienia nie mógł się dobrze wygramolić, pomagano mu krzykami: „dawaj paskariej!”. W miarę zaś potrzeby używano do tego kolb od karabinów. Po załadowaniu całej grupy zasuwano i ryglowano drzwi. Byliśmy głodni i zmarznięci, ale ponieważ leżała przygotowana kupa drzewa, wkrótce zrobiło się przynajmniej przyjemnie ciepło. Chciało się pić. Wiaderko na wodę było wprawdzie wewnątrz wagonu, ale stało puste. Ładowanie transportu trwało jeszcze długo. Ciężarówki kursowały między stacją a więzieniem aż do zmierzchu.

Nowa sytuacja ożywiała umysły. Dociekaliśmy, co z nami będzie. „Pewnie zawiozą nas do Lwowa” – opiniowała większość „A jeżeli dalej?” – podsuwali

pesymiści. „Jeżeli we Lwowie nas nie wyładują, to znaczy, że wiozą aż do Rosji” – brzmiała logiczna synteza. Poza takimi zmartwieniami zastanawialiśmy się, w jaki sposób dać znać rodzinom, że nas wywożą? Pomimo szczegółowej rewizji znalazły się jeszcze świstki papieru – a także kawałki przemyconych ołówków. Kto mógł, pisał więc kilka słów. I adres, do kogo. Postanowiliśmy jednak wyrzucać te kartki dopiero jak pociąg ruszy, bo inaczej zobaczą, skonfiskują i cały trud na nic. Pod wieczór pozwolono wyjść jednemu z nas z wiadrem po wodę. Nieco później rozdzielono chleb, po bochenku na głowę. I po ... kawałku kiełbasy! „Kiełbasa, panowie, kiełbasa!”. Radość wywołana – podłą skądinąd – kiełbasą była nieopisana i pomagała do przezwyciężenia innych, mniej przyjemnych uczuć, a zwłaszcza dręczącej niepewności. „A dokąd jedziemy?” – próbowaliśmy pytać się, kiedy otwarto drzwi dla zaopatrzenia w żywność. „Uwidicie” (zobaczycie) – brzmiała lakoniczna odpowiedź. Byliśmy równie mądrzy, jak na początku... Staliśmy na bocznym torze jeszcze przez całą noc. Dopiero na drugi dzień z rana zaczął się nadzwyczajny ruch około transportu i wreszcie ruszyliśmy w nieznaną. Karteczki sypnęły się przez małe, zakratowane okienko wagonu. Pofrunęła też i moja: „Wywożą nas w nieznanym kierunku”. Podpis, nazwisko i adres matki. Jeszcze data...

## W KURORCIE

Minęliśmy Lwów. Pociąg musiał odstać swoje, ale nie, nikogo nie wyładowano. Owszem, otrzymaliśmy wodę, natomiast drzewa więcej nie dostarczono. A zima tego roku, mimo że już marzec się kończył, była szczególnie ostra. Nic więc dziwnego, że w dalszej podróży, gdy drewno się skończyło – przyszła kolej na prycze. Kilku mocniejszych chłopów z przedziwną miłością do dzieła zniszczenia zaczęło łamać deski. Próbowiałem oponować, mówiąc, że nie będzie na koniec na czym leżeć, ale śmiali się tylko z mojego gadania. A hałas był taki, że na najbliższym postoju strażnicy kontrolowali dokładnie cały wagon, myśląc, że szykuje się ucieczka. Inni postanowili pościć z okazji Wielkiego Tygodnia. Jedli tylko chleb, a kiełbasę zachowali na Wielkanoc. Ja tyle woli nie miałem i pomimo Wielkiego Tygodnia zjadłem całą kiełbasę sporo przed zakończeniem podróży.

Mijaliśmy różne stacje i doszliśmy do wniosku, że jedziemy w kierunku Odessy. Ziąb był nieznośny i bardziej racjonalnie niż na początku, trzeba było ofiarować dalsze deski z prycz. Leżeliśmy na zmianę, a najchętniej stało się koło piecyka. Pociaszaliśmy się, że jeżeli nas rzeczywiście wiozą do Odessy, to tam przynajmniej będzie ciepłej. I rzeczywiście zajechaliśmy do Odessy!



Czwartego dnia podróży. Podczas gdy cała Ukraina leżała przykryta grubą warstwą śniegu, tu już z niego prawie nic nie pozostało. W powietrzu czuć było wiosnę. Co za kontrast w przeciągu tak krótkiego czasu!<sup>11</sup>

Na dworcu, zapewne towarowym, rozładowano wagony jeden po drugim, uformowano szeregi, znów znany prolog: „szag w lewo, szag w prawo...”, znówu otwarte ciężarówki, znów ten sam racjonalny sposób sadowienia więźniów, znówu „bojcy” ze sztykami na czterech rogach platformy... Wieźli nas dzielnicą bardzo ponurych, szarych, parterowych domów, tworzących monotony szereg po obu stronach ulicy. Mieszkania robotnicze? Wyglądały raczej na trupiarnie. Zresztą nie było tam widać żywego ducha.

Odessa, to podobno bardzo ładne miasto. Niestety nic z jej piękna nie było nam dane widzieć. Zajechaliśmy w rejon więzienia jakimiś szczególnie nieciekawymi drogami. Wyładowano nas i zostawiono na podwórzu. Ogromne to było więzienie! W formie wielkiego, czteropiętrowego krzyża i z obszerną częścią centralną. Niektórzy twierdzili, że to był kiedyś klasztor. Każde z czterech skrzydeł było oddzielnym blokiem. Na oknach „kosze”, czyli zasłony z desek przed widokiem na świat, otwarte tylko na niebo. W części centralnej okna były znacznie większe i bez koszów, tylko zakratowane. Po kratkach laziły dzieci i przeraźliwie wrzeszczały: „Ej, Polaki!” – „Co oni tak krzyczą?” – pytaliśmy jedni drugich. Ktoś kto zrozumiał, tłumaczył innym: „Ej, Polacy, jak wróćcie kiedyś do was, to powiedźcie, że w Związku Sowieckim dzieci trzymają w więzieniach”. Skąd te więzione dzieci mogły wiedzieć, że my Polacy? Czy więzienie jest tu metodą poprawczo-wychowawczą?

Ubolewanie nad sowieckimi dziećmi i inne refleksje przerwała nagle ostra komenda: „Dawaj w period!”. Pomaszrowaliśmy do obszernej celi, w której znów szczegółowa rewizja z rozbieraniem do naga. Następnie poprowadzono nas do „bani”, czyli łaźni. Głowy i brody (kto miał, bo ja jeszcze nie) ostrzyżono maszynką. Potem kąpiel pod prysznicami z gorącą wodą, a w międzyczasie dezynfekcja rzeczy w „woszobojce” pod wysoką temperaturą. Każdy dostał po kawałku bardzo szarego mydła. „Panowie, co za luksus. Mydło, gorąca woda!”. A gdy zaprowadzono nas do celi na bloku numer 5, położonym poza więzieniem centralnym, gdzie na betonowych podłogach, wzdłuż ścian, leżały sieniaki wypchane słomą i gdy rozdano porcje chleba białego o potrójnej nieomal wielkości niż te w Przemyślu oraz po garści małych, solonych rybek, tak zwanych „tiulek” i po jednym gotowanym kartoflu w obierkach, z błogim uczuciem, że nie jesteśmy już gryzieni przez wszy, jednomyślnie zawyrokowaliśmy: „Panowie, to kurort!”. I rzeczywiście, jeżeli się uwzględni warunki poprzednio

---

11. Więzienie NKWD w Odessie znajdowało się wówczas przy ul. Lustdorfskaja doroga 9.

poznane, a jeszcze bardziej te, które czekały nas później, to pobyt w Odessie był niemal jak uzdrowisko. Dziwnym zrządzeniem losu znalazłem się w jednym z najlepszych więzień, jakie były w Związku Sowieckim! W każdym razie spośród tych, które mnie było danym poznać – było ono na pewno najlepsze.

A jutro Wielkanoc! Alleluja!

## PROZA

„Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie. Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił”. Dla mnie z utratą Ojczyzny szła w parze utrata wolności. Ona jest częścią integralną zdrowia i szczęścia narodu i każdej poszczególnej jednostki. Najlepsze przysmaki w klatce nie zastąpią wolności. Tak więc zachwyty warunkami w „kurorcie” prędko ustąpił uczuciu trudnej do opisanego tęsknoty. Poprzez szczeliny pomiędzy deskami kosza na bloku czwartym, do którego nas wkrótce przeniesiono, patrzyliśmy na bramę więzienną i pytaliśmy: „Kiedy ona dla nas się otworzy?”. Czynność manipulowania przy rozszerzaniu szczelin w koszu była niebezpieczna, choć nie tak niebezpieczna jak rozmawianie z sąsiednimi celami, gdyż rozepchnięcie desek było sprawą jednorazową. Po ułamaniu patyka na tyle krótko, na ile pozwalała odległość pomiędzy kratami a deskami kosza sprawa była załatwiona. „Telefonowanie” natomiast było chlebem codziennym.

Wróćmy jednak na chwilę do celi na bloku piątym. Nie na długo, bo też i krótko na niej byliśmy, gdyż rychło przeniesiono nas do bloku czwartego. Blok piąty był o tyle ważny, że tam zapoznaliśmy się z tymi najogólniejszymi zwyczajami, jakie panowały w Odessie. Tak więc odkrywaliśmy coraz więcej dobrych stron naszej nowej rezydencji. Poza nieporównanie lepszym wyżywieniem niż w głodowym Przemysłu, gdyż codzienna porcja chleba, otrzymywana rano, wynosiła 600 gramów i można było żądać sprawdzenia, jeśli się podejrzewało niedoważenie; gdyż porcja cukru, prawdziwego cukru, a nie sacharyny skonfiskowanej przemytnikom, miała swoich 20 gramów w naturze, a nie w herbatce; gdyż zupa choć bez tłuszczu ani mięsa, posiadała zazwyczaj swoją gęstość i odmierzana była miarą litrową, zaś kasza na drugie danie – półlitrową; gdyż ponadto była kolacja w postaci litra zupy lub pół litra kaszy. Poza tym wszystkim mieliśmy dwa razy w tygodniu dwudziestominutowy spacer na świeżym powietrzu, a co dziesięć dni kąpiel i odwzienie, choćby nawet wszy nie było... Wszystkie te „luksusy” pomagały przetrwać pierwsze, najgorsze tygodnie, a odnosiły się także do bloku czwartego. Różnica leżała gdzie indziej: podczas

gdy na bloku piątym cele były obszerne, od 80 do 100 metrów kwadratowych, a w nich około pięćdziesięciu więźniów, to w bloku czwartym były pojedynki, dwa na trzy i pół metra. Po przeprowadzce umieszczono nas po dziesięciu w celi. Kto jest specjalistą od planowania przestrzeni, niech się pogłowi, jak się należało układać, aby można było spać jako tako wyciągniętym. Oczywiście w pierwszym rzędzie musieliśmy to przestudiować. Do właściwego rozwiązania problemu dopomogło nam wspomnienie puszek z sardynkami z tym, że wchodziło w grę układanie w jednej tylko warstwie. Otóż wszyscy mogliśmy leżeć nawet na wznak, gdy się poukładaliśmy na przemian: raz głową, raz nogami w tę samą stronę; w ten sposób pięciu miało głowy pod jedną, a pięciu pod drugą ścianą. Proste, genialne, nieprawdaż? Tragedii nie było, zwłaszcza, że mieliśmy sienniki ze słomą pod sobą. Komu się coś nie podobało, na przykład zapach nóg sąsiada, kto miał jeszcze resztki arystokratycznych nawyków, temu się radziło usiąść na kiblu. Bo „kibel” był też na celi. To zrozumiałe. Koło drzwi, we wgłębieniu grubego muru. Z ruska nazywał się „paraszą”. Używanie tego naczynia rozmiarów sporego wiaderka z przykrywą ograniczało się do potrzeb mniejszych. Coś więcej, *pro publico bono*, trzymało się aż do wyjścia do ustępu, czyli z ruska „do ubornej”. Wyprowadzano nas celami dwa razy na dzień, rano i wieczór. Tam można było załatwiać potrzeby mniejsze i większe, myć od czasu do czasu podłym mydłem oraz zaopatrywać w „surowce”, gdy się jakieś zauważyło. Na przykład kawałek drutu albo patyka. Poza tym „Uborka” była też miejscem przekazu wiadomości: na ścianach wypisywano w telegraficznych skrótach najważniejsze wiadomości. W miarę czasu oczywiście, bo mimo wszystko główną czynnością w tym przybytku było załatwianie się. A to nie zawsze idzie na zawołanie. Nawet przy największej koncentracji. Po czterech czy pięciu minutach nadzorca sygnalizował stukaniem, że czas się kończy, a trzeba było jeszcze po sobie zrobić porządek. Potrzeby załatwiano bowiem na kamienną posadzkę, a potem zamiatano do otworu kanalizacyjnego w jednym z rogów. Następnie polewano to obficie wodą. Po chwili drzwi się otwierały i choćby się znajdowało w najkrytyczniejszej sytuacji, musiało się wstać i wychodzić.

Organizm ludzki posiada niewątpliwie ogromne zdolności dostosowania się do warunków i do regularności w czynnościach fizjologicznych. Tak więc i w tym wypadku nie powinno być zasadniczych trudności. Gdyby nie pewne dodatkowe okoliczności, które tę teorię nieco komplikowały. Te dodatkowe okoliczności były związane z faktem istnienia ponad trzydziestu cel na jednym piętrze i tylko jednego ustępu. Znowu zadanie dla ludzi systematycznie planujących. Na każdorazową toaletę całego piętra przeznaczano nie więcej niż dwie godziny. Wylicz, biegły rachmistrzu, jeśli potrafisz! Jak nawet potrafiłeś,

to niewiele osiągnąłeś. Problem bowiem leżał nie tyle w czasie trwania tych przeraźliwie przyziemnych czynności, ile, aż wstyd się na ten temat tak rozwozić, ile w tym, z którego końca nadzorca zaczął wyprowadzać, jak i w położeniu twojej celi na piętrze. Było ono jako tako centralne, to po pewnym okresie dostosowawczym wszystko grało. Ale jeżeli cela leżała na skraju, to biada wam, teoretycy! Choć was by to nie dotyczyło, tylko tych pechowców niedogodnego położenia w odeskim „kurorcie”. Bo gdybyście tak musieli fajdać raz o piątej rano, a drugi raz o siódmej albo jeszcze później. Takie czynności nie zawsze chcą iść na rozkaz. Tak więc, mieszkańcu skrajnie położonych cel, musiałeś wyjść z „uborki” z najlepszymi tylko chęciami i chęci te *pro publico bono* trzymać aż do wieczora. A kto Ci mógł zagwarantować, że po całodziennym wstrzymywaniu się, choćbyś się zwijał, albo palcem zatykał, wieczorem mięśnie kiszki odbytowej na zawołanie i na czas się zdołają odprężyć? Proza, panowie, proza:

Wolności, ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie kto cię utracił!

## POEZJA

Wszystkiemu, nawet najwulgarniejszej prozie, można nadać formę poetyczną. Nakarmieni, albo raczej rozepchani kaszą, nie byliśmy nazbyt skłonni do poetyzowania... Jednak tęsknota za utraconą ojczyzną i wolnością, wywoływała stany nieraz nie pozbawione sentymentu, wypowiadającego się w formie śpiewu pieśni w rodzaju tej:

Wokoło lasy, dzikie pustkowia,  
Wokoło wały, znów partia burz.  
Polska Syberia u nas nastąpiła,  
A my wygnańcy żyjemy tu.

Więc pijmy zdrowie, polscy więźniowie  
Niech smutek pryśnie w rozbitym szkle,  
Bo choć nam tęskno, nikt się nie dowie,  
Czy dobrze było nam czy źle.

Choć szkła nie było, a jeszcze mniej zawartości doń przynależnej, serca się rozrzewniały, pieśń się zamieniała w hymn na melodię międzynarodówki, kończący się słowami: Ty zginiesz tyranie, powstanie polski lud.

Oczywiście w pobożnym odniesieniu do dobroczyńcy ludów, batuszki Stalina. Ktoś przypominał prorocтва Wernyhory albo innych wiarygodnych Sybilli, w uniesieniu oczekiwało się zbawienia nie wiadomo skąd. Zrozumiałe, że w takim nastroju nadśluchiwalimy wiadomości zza świata, to znaczy zza naszego, grubymi murami oddzielonego, świata. Każda otrzymana od kogoś wiadomość czy to z gazety, na którą na przesłuchaniu ktoś zdołał zerknąć, albo zasłyszana gdzieś, w szpitalu więziennym, albo innego, nieokreślonego bliżej pochodzenia, biegła zaraz drogą „telefoniczną” od celi do celi. Gdy się rozlegało lekkie pukanie w ścianę, podbiegał ktoś do okna i słuchał niewidzialnego głosu z góry, z dołu, z lewej czy z prawej strony. Później, w deficycie informacji, stawiało się pytania niewidocznemu głosowi i podawało z kolei otrzymane wiadomości lojalnie dalej, mówiąc do zakratowanego i kosztem odgradzonego okna, możliwie wysoko wspinając się i nie tyle głośno, ile dobitnie wymawiając treść przed chwilą zasłyszanego komunikatu. Tak dowiadywaliśmy się o wydarzeniach prawdziwych i nieprawdziwych, o walkach na froncie zachodnim, później na Bałkanach, ale nie zawsze dochodziła do nas świadomość fatalnego w rzeczywistości położenia aliantów. Mając głowy głębiej jak strusie w piasku, niechętnie przyjmowaliśmy te informacje, które mogłyby nadzieję osłabić ...

Wspomniałem już, że takie „telefonowanie” nie należało do czynności bezpiecznych. Owszem, ryzykowało się pięć dni karceru, to jest celi-izolátky ciemnej, chłodnej i głodnej. Gdy „telefonowanie” się zaczynało, ktoś stawał w pobliżu drzwi tak, aby zasłonić „wołczok”, judasza, maleńkie okienko, przez które strażnik w każdej chwili mógł niepostrzeżenie zaglądać do wnętrza. Strażnicy dostawali meldunek od towarzyszy z zewnątrz, albo sami podejrzewali, że się „coś święci”. Zresztą to należało do ich psiego obowiązku zagładanie przez judasza i obserwowanie więźniów. Każda podejrzana czynność powodowała szybkie odryglowanie i otwarcie drzwi, a następnie zabranie delikwenta. Winowajca niekoniecznie zaraz musiał być odprowadzony do karceru. Przeważnie został zapisany i wracał do celi, a dopiero na drugi albo trzeci dzień następował odmarsz: „sobierajsja z wieszczami i wychadi!” (zabieraj się z rzeczami i wychodź) – oznajmiał strażnik i wszyscy wiedzieli o co chodzi. Nie pomagało stawianie się, wszelki opór lub pyskowanie mogło spowodować najwyżej pogorszenie sytuacji, w postaci pozbawienia winowajcy większej części garderoby.

Choć klimat w Odessie był łagodny, to jednak przesiedzenie w samotności i negliżu pięciu nocy i dni w podziemnej, zimnej i wilgotnej celi – zaopatrzonej tylko w pryczę bez materaca oraz zakratowany i zasiatkowany kilkakrotnie jakiś kanał gdzieś z zewnątrz – o kawałku chleba i kubku zimnej wody, nie

należało do zbyt wielkiej przyjemności. Mnie ten „zaszczyt” spotkał w czasie epizodu odeskiego dwa razy. Miałem jednak szczęście, bo ubrania mi nie zabrano, a raz zostawiono nawet moją nieocenioną kurtkę, tę tandetną, kupioną przez matkę na ewakuacji.

Po powrocie z pokuty miało się twarz koloru zielonkawego. Możliwości przemian zabarwienia skóry są jednak nieograniczone. Jeden z towarzyszków celi, młody Żyd o niewyparzonej gębie, który raczej z sympatii dla komunizmu usiłował przeprawić się przez San na wschód, przesiedziawszy raz swoje pięć dni w negliżu przez pyskówkę, wrócił w odcieniu przesuniętym dalej w skali barw, w kierunku niebieskawofioletowym. Można by powiedzieć o nim poetycznie, na wzór wieszczki:

schudł, zeszeptniał choć nie bardzo wyszlachetniał, a wróciwszy na celę wypowiedział słowa pełne poetyckiego natchnienia: K... ich mać była!

## SZKOŁA ŻYCIA

Gdy usiłuję sobie przypomnieć jak długo trwały różne okresy życia więziennego, nie znajduję odpowiedniej miary czasu. Wszystko zdawało się nie mieć końca. Każdy dzień dłużył się nieznośnie. A jednak mijały dni, jeden drugiemu podobne, układały się w tygodnie, miesiące... Każdy nieco większy ruch na korytarzach wzbudzał domysły, że jakieś zmiany są w przygotowaniu, przesunięcia z cel do cel, może transporty dalej, do obozów pracy. Gdyby tak wreszcie wzięli do obozu pracy! Ciasnota, brak ruchu i powietrza, bezczynność i nuda wzbudzały tęsknotę już nie za wolnością, ale za choćby nieco większą przestrzenią życiową, za pracą, wysiłkiem fizycznym...

Tymczasem jednak kończyło się na przesunięciach z cel do cel. To było też pewnym urozmaiceniem. Poznawało się nowe twarze, które choć wszystkie zszarzałe i przygaszone, kryły za sobą różną treść, różne charaktery. Każda taka zmiana niosła za sobą konieczność pewnej czujności: kim są ci nowi towarzysze? Wszystkich trzeba było akceptować, każdemu przyznać równe prawa w używalności wspólnej niedoli, uznać jego odrębność, inną osobowość, a równocześnie dopasować się samemu do każdego poszczególnego człowieka i do wszystkich razem. Ile konfliktów powodowały takie ścieśnione warunki egzystencji! Bo jak koniecznością było dopasować się do innych i brać względy na każdego poszczególnie i na wszystkich razem, tak drugą, nie mniejszą koniecznością była obrona swoich własnych praw do udziału równego i sprawiedliwego w dobrach tak skąpo stojących do udziału wszystkich. Poczucie sprawiedliwości i równości bez względu na pochodzenie, wiek czy

wykształcenie narzucało się samo, stawało się prawem niepisanym, ale przez wszystkich uznawanym. A kto nie chciał, czy nie potrafił się dostosować do tych praw życia kolektywnego, był skazany na izolację, na odosobnienie psychiczne. Czym innym jest w zasadzie życie człowieka, jeżeli nie szukaniem swojego własnego, odrębnego miejsca pośród innych ludzi w ten sposób, aby równocześnie ich praw do tego samego, co się sobie samemu rości, nie narużyć? Tylko że życie w warunkach normalnych nie jest tak skondensowane. Warunki nienormalne, w jakie zostaliśmy wtłoczeni, zmuszały do szybszego i dokładniejszego poznawania tych praw ogólnych oraz podstaw współżycia społecznego.

Pamiętam, raz z jednym towarzyszem więziennym chcieliśmy sobie skrócić dłużyący się czas nauką języków. Ja znałem nieco francuski z gimnazjum, on zaś umiał jako tako po niemiecku. Uzgodniliśmy więc wzajemne doksztalcenie się. Na świstkach papieru, rozwiniętych munsztukach od papierosów, spisywaliśmy sobie jakimś skombinowanym ołówkiem koniugację, deklinację, słówka, których się każdy sobie wyuczał, a następnie poprawiany przez partnera, wydawał przed nim swoje lekcje. Dalej szły próby układania zdań i elementarnej konwersacji. Sprawa miała się nieźle, gdyby nie trudności wynikłe z naszej zbiorowej vegetacji. Jeden ze współników, kiedy zaczynaliśmy codzienną naukę, wstawał i chodził nerwowo. Nasze francusko-niemieckie porozumiewanie się doprowadzało go do pasji. Nie braliśmy tego poważnie, ale kiedy raz gwałtownie wybuchnął: „Panowie, skończcie, bo zwariuję”, skończyliśmy to raz na zawsze. Musieliśmy zrezygnować z tej, wydawałoby się, tak pożytecznej a nieszkodliwej czynności wzajemnego doksztalcenia się w zakresie języków. Wzgląd na towarzysza niedoli musiał wziąć górę. To była szkoła życia. Intensywna szkoła życia.

## RZEMIOSŁO I ROZRYWKI

Mówi przysłowie, że potrzeba jest matką wynalazków. Ograniczeni do używalności celi, pozbawieni jakichkolwiek choćby najprostszych narzędzi, musieliśmy przecież jakoś rozwiązywać potrzebę posiadania różnych przedmiotów. Z jednej strony tych najbardziej koniecznych, a z drugiej takich, które by nam pomogły przetrwać nieznośną monotonię. Palacze musieli czymś znalezione niedopałki, czyli „okurki” zapalać, niszcząca odzież wymagała naprawy, brak rozrywek wołał o własne pomysły...

Jakie było wyposażenie celi, co mogliśmy oficjalnie dostawać, muszę krótko opisać. Krótko, bo lista jest nader krótka. Tak więc na celi w Odessie poza

4–5 siennikami wypełnionymi słomą i kiblem na mniejsze potrzeby naturalne, było jeszcze wiaderko na wodę, które w porze posiłków było wystawiane na korytarz: na herbatę rano, na zupę i kaszę w południe i wieczorem. Każdy więzień miał talerz oraz filiżankę porcelanową, jak też i łyżkę z drewna. Na pomieszczenie tych przedmiotów znajdowała się w celi mała szafeczka. To wszystko. Żadnych, nawet najmniejszych przedmiotów metalowych nie wolno było posiadać. Tak samo nic do pisania. Co mogliśmy dostawać? Książki do czytania. Głównie budującą literaturę komunistyczną. Podobno też gry, jak szachy czy warcaby, ale tylko teoretycznie. Też igły i nici do naprawy odzieży, ale też tylko teoretycznie, względnie sporadycznie. Zapalek dał czasem któryś z nadzorców kilka. Dopiero po wyrokach mieli więźniowie prawo do pięciu rubli w naturze i wtedy można było nabyć między innymi papierosy, tytoń, zapalki.

W granicach więc posiadanych możliwości trzeba było coś robić. Do dyspozycji były w praktyce dwa narzędzia: porcelanowe filiżanki oraz cementowa podłoga. Skorupy każdej rozbitej filiżanki były pieczołowicie chowane, a w razie ich braku z wyprodukowaniem nowych skorup z całych filiżanek nie było trudności. Ale „surowce” musiały być „kombinowane”. Głównym ich źródłem zaopatrzenia była „uborka”, czyli ustęp więzienny. Gdy się zauważyło, że miotła była powiązana drutem, to ten ostatni stawał się surowcem w produkcji igieł. Niedużym kamieniem skombinowanym gdzieś na spacerze posługiwaaliśmy się jako młotkiem, skorupą z filiżanki porcelanowej jako pilnikiem, zaś podłogą cementową jako szlifierką.

Kawałek drutu przycięty na długość igły był z jednego końca szlifowany na ostro, z drugiego zaś sklepany płasko. Część spłaszczoną zaginało się i przy pomocy porcelanowego „pilnika” wypiłowywało szczelinę, następnie zagięcie przeformowywało na drugą stronę i podobną szczelinę piłowało na odwrocie, aż do powstania otworu. Tak otrzymane „ucho” musiało być obrobione i wypolerowane, aby nie przecinało nitki. Czasu na tę nieracjonalną robotę było więcej niż dosyć, a o cierpliwość przy tamtejszych, śmiertelnych nudach – też nie było trudno. Należało dobrze uważać, żeby nie przerwać „uszka” i żeby nie zostać zauważonym przez nadzorcę więziennego, czyli „kaczana”. Zajęcie to było skądinąd błogosławieństwem, bo pochłaniało czas i uwagę. Oddalało też myśli, a na koniec dawało satysfakcję w postaci igły „jak fabrycznej”, o ile się ją dobrze wyszlifowało i wypolerowało. Tylko tyle, że była ona dość miękka, zresztą warunek, że w ogóle mogła być wyprodukowana. A przydatność takiej igły była niewątpliwa. Do naprawy mieliśmy zawsze dość rzeczy. Nowej garderoby nam nie dawano, a stara, używana w dzień i w nocy, wypalana w „woszobjkach”, coraz natrętniej wołała o ratunek. Nitki produkowało się,



półki były, ze starych skarpetek. Jedna jedyna skarpetka stanowiła prawdziwą kopalnię nici! Aż trudno ją było o to posądzać. Zaczynało się pruć od góry i używało oszczędnie, bo skąd wziąć stare skarpetki, skoro nowych nie było? Wyciągniętą na jeden użytek nitkę skręcało się podwójnie, poczwórnie, albo też i grubiej, jeżeli przedmiot naprawiany tego wymagał. W ten sposób ratowaliśmy jak tylko mogli naszą odzież, która musiała starczyć jeszcze na długo...

Byli też tacy, którzy uważali za wskazane posiadanie noża. Moim zdaniem to było całkowicie zbyteczne. Chleb łamany też doskonale smakował. Ale niektórzy byli innego zdania i gdzieś znalezione blaszkę tak długo szorowali o podłogę, aż nabrała cech noża. I to nieraz wcale ostrego! Próbowano się nawet golić takim narzędziem. Ja jeszcze wtedy nie potrzebowałem tych zabiegów, a zresztą na co? Przecież fryzjer więzienny od czasu do czasu przejeżdżał wszystkich maszynką po głowie, po brodzie i po innych miejscach owłosionych i sprawa załatwiona. Po co taki kapitalistyczny luksus, w dodatku mocno niebezpieczny?

Niezależnie od możliwości uzyskania zapałek, problem ognia do zapalania papierosów był szczególnie ważny dla palaczy, którzy nie mogli się pozbyć swego nałogu. Każdy więc znaleziony okurek, pieczołowicie przewinięty w jakiś papierek możliwie długi, z namaszczeniem palili jeden po drugim, szlug po szlugu. Głębokie, przetrzymane wdechy dawały widać większą przyjemność w delectowaniu się dymem nikotynowym. Mnie to obchodziło niewiele, bo nie zdążyłem się stać palaczem, natomiast ciekawa była produkcja tego niezależnego systemu ogniowego. Niezbędna była przynajmniej jedna zapałka, którą zapalano kawał jakiejś starej szmaty, a następnie duszono płomień. Właściwy punkt stłumienia palonej szmaty warunkował jakość „hubki”. Była ona dobrze spreparowana, to posiadała dużą chwytliwość małych iskier krzesanych przy pomocy jakiegoś kawałka metalu i znów – skorupy z porcelanowej filiżanki. Mnie ciekawił jednak nie ten system zapalania papierosów przy pomocy iskro wrażliwej hubki, ale inna możliwość jej wykorzystania. Otóż taka zwęglona, ale jeszcze niespalona szmata, bez trudności sproszkowana, była doskonałą czarną farbą. Szczególnie jako dodatek do chleba. Że z chleba można, jak z gliny, produkować rozmaitości, to już przedtem słyszałem, ale nauczyłem się tego dopiero wtedy. Chleb, a raczej tylko miąższ, musiał być uprzednio przeżuty i tak zaprawiona gliniana masa, dobrze ugnieciona, stawała się doskonałym materiałem do modelowania. Przedmioty z niej uformowane po wyschnięciu były ogromnie trwałe, o ich końcu w praktyce stanowiły rewizje przeprowadzane od czasu do czasu z nieubłaganą konsekwencją. Nawet igły rzadko je potrafiły przetrwać. Przedmioty zabrane

w takiej rytualnej rewizji musiały być po prostu znów wyprodukowane. Do nich właśnie należały szachy z chleba i w tej sztuce (nie gry, ale produkcji) stałem się wkrótce mistrzem.

Tu właśnie okazała się nieoceniona pomoc owej dobrze upalanej szmaty, bo przecież szachy są dwojga kolorów. Proszek „hubkowy” dodany do zagniecionej masy chlebnej farbował ją na kolor hebanu. Nieważny był ów produkt uboczny w postaci kłębiastego dymu, który powstawał przy wyrobie „hubki”, względnie „farbki”, jakoś w karczerze za to nikt nie siedział, a każdy miał co potrzebował. A na szachy prawie każdy dawał kęs chleba, bo prawie każdy chętnie w nie grał. Zrobienie szachownicy nie było żadną sztuką, więc o tym rozwdził się nie będą. Większą natomiast sztuką było wyrabianie z chleba innych jeszcze przedmiotów, na przykład „Stalinów” albo „Leninów”, które wyglądały jak z hebanu. Za takiego „hebanowego Stalina” cała cęla dostawała specjalne porcje chleba, palacze papierosy i zapalki, a w obiad była zapewniona „dobawka”, czyli dodatek zupy, albo kaszy. Oczywiście nie z każdym nadzorcą można było ryzykować takie transakcje. Pierwszy lepszy „kaczan” zabrałby „Stalina” i jeszcze karę groził. Ponieważ jednak ubocznie stawiliśmy się psychologami, po niedługim okresie każdego niemal nowego kaczana mieliśmy rozgryzionego.

## WYROKI

„U nas więzień nie ma!” – tak głosili nasi opiekunowie i sami w to święcie wierzyli. To już należy do mentalności sowieckiego człowieka. Cóż z tego, żeśmy siedzieli dobrze zamknięci za kratami i jeszcze lepiej przez nich byli pilnowani. „A to co jest, kurort?” – pytaliśmy. „To tylko miejsce przejściowego zatrzymania aż do czasu zbadania waszych spraw. Po osądzeniu pójdziecie wszyscy do obozów pracy”. Oczywiście „poprawcze obozy pracy”, czyli po prostu „łagry”, ani te miejsca przejściowego zatrzymania do rozpatrzenia spraw milionów przestępców i jeszcze więcej ludzi niewinnych, to nie więzienia w ich tego słowa znaczeniu.

W Związku Sowieckim było po prostu (a przynajmniej za Stalina; co po nim, tego nie wiem) wielkie zapotrzebowanie na bezpłatne ręce do pracy. System gospodarczy oparty na niewolnictwie wymagał potężnego aparatu rekrutującego niewolników. Aparat ten działał z jednej strony niezwykle sprawnie, jeżeli chodzi o rekrutację, z drugiej pracował bez pośpiechu, jeżeli chodzi o rozprowadzanie. Nie dlatego, aby przypadkiem kogoś niewinnego nie skazać na kilka lat niewolniczej pracy, lecz dlatego że w Związku Sowieckim

skomplikowana maszyna biurokracji działała we wszystkich dziedzinach wolno. Stąd też okres przejściowy do rozpatrzenia spraw przeciągał się długo. Racjonalność takiego systemu jest bardzo wątpliwa, bo przecież utrzymanie, choćby najlichsze, przez tak długi okres czasu milionów ludzi kosztuje dużo. Aparat pilnujący tych ludzi także kosztuje, lecz taki już jest ten system i dzięki zaprawieniu w cierpliwość narodu rosyjskiego może potrwać jeszcze długie lata. Zresztą każdy odruch niezadowolenia jest szybko wysłędzony, donosiciele jest prawie tylu co obywateli, więc nie opłaci się być niezadowolonym, bo to kontrrewolucja, a za kontrrewolucję prawo sowieckie przewiduje kary wyższe niż za przestępstwa pospolite. My oczywiście w sumieniu naszym nie czuliśmy się żadnymi kontrrewolucjonistami. Czyż byliśmy winni temu, że to oni zajęli połowę terytorium Polski i bezprawnie narzucili swoje prawa? W ten sposób możliwości rekrutacji niewolników powiększyły się znakomicie. Setki tysięcy polskich obywateli zapełniło miejsca przejściowego zatrzymania, nie licząc milionów wywiezionych na tak zwaną „wolną zsyłkę”. Byli pracownicy państwowi, policjanci, urzędnicy firm prywatnych, posiadacze ziemscy i zamożni chłopi, wszyscy, którzy w jakimś sensie wysłużyli się „faszystowskiemu państwu” i burżuazji, nie licząc samych „burżujów”. Podpadali oni z miejsca pod paragraf 56 obowiązujący na Ukrainie za kontrrewolucję (w Republice Federalnej Rosyjskiej nosił on numer 58, na Białorusi numery siedemdziesiąte – niezależność ustaw „niezależnych” republik musiała być zachowana)<sup>12</sup>.

W Odessie jednak było chyba najwięcej „graniczników”, tych co próbowali przyjść do Związku Sowieckiego, a jeszcze więcej tych, co usiłowali z niego wyjść, aby wrócić do domu albo dostać się do armii polskiej na Zachodzie<sup>13</sup>.

---

12. Na zajętych ziemiach Sowietów rozpoczęli wprowadzanie „ładu komunistycznego”. W realizacji tego zamiaru przeprowadzono aresztowania osób, mogących mieć wrogie nastawienie do komunizmu. Aby ustalić ich personalia posłużono się zasobem archiwów państwowych, zeznaniami aresztowanych, a także informacjami pochodzącymi od siatki agenturalno-informacyjnej. W zainteresowaniu nowych okupantów byli przede wszystkim urzędnicy, policjanci, działacze polityczni i społeczni, osoby duchowne, właściciele ziemscy. Wiele osób zostało aresztowanych za działalność przedwojenną i za sam fakt przynależności do organizacji społecznej lub politycznej. Jednym z organów wymierzającym kary było pozasądowe Kolegium Specjalne przy NKWD. Organ ten rozpatrywał sprawy i orzekał na podstawie materiałów zebranych w toku śledztwa. W zakresie kompetencji OSO było wydawanie zaocznych wyroków na kilku letnie pobyty w „poprawczym obozie pracy” lub w „kolonii pracy poprawczej”. Sankcją były także zesłania. Warto dodać, że w Kolegium rozpatrywano sprawy, które z uwagi na niewielką ilość zebranego materiału dowodowego nie mogły być podejmowane przez sądy. Najczęściej skazywano w myśl przepisów kodeksu karnego Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej z: art. 72 (kontrrewolucyjna propaganda lub agitacja), 74 (element społecznie niebezpieczny) i 76 (kontrrewolucyjna działalność organizacyjna).

13. Formalnie: Polskie Siły Zbrojne.

Za te przestępstwa obowiązywał paragraf 80, podpunkt 3, względnie 16. Złapani na gorącym uczynku przechodzenia granicy (jakiej tam granicy, linii podziału ustalonej przez okupantów na terenie rozgrabionego państwa polskiego!) w tamtą stronę stałem się posiadaczem paragrafu 80/16. Co to mogło oznaczać w rzeczywistości? Jak wysoką karę przewidywała sprawiedliwość sowiecka?

Pewnego dnia w więzieniu zagotowało się: pierwsi skazani wypisali swoje wyroki na ścianach uborki: 3 lata, 5 lat... Wysokość kar nas oszołomiła. To pewno za jakieś gorsze przestępstwa! Wkrótce nowe wyroki przyozdobiły ustęp: 8, 10, 15 lat... Najczęściej z podaniem miejsca przeznaczenia: Archan-gielsk, Workuta, Peczora, Kołyma. Kto by spa pamiętał te wszystkie nazwy! Przed nami za ledwie zarysowywał się obraz systemu łągrów. Cały Związek Sowiecki jest usiany tymi „poprawczymi” instytucjami, jak niebo gwiazdami. Widać, że kraj dbały o wychowanie swoich obywateli. I nie tylko swoich: wszystkich ludzi, którzy wpadli w orbitę jego władzy. Równocześnie zaczęła się intensywna akcja „telefoniczna”, bo w sąsiednich celach sypnęły się wyroki. Okazało się, że te zaokrąglone, powtarzające się liczby, są normami: za § 80/3 – 3 lata, za § 80 /16 – 5 lat. Służalczyki faszyzmu i kapitalizmu, jak urzędnicy, policjanci zaopatrzeni w § 56/8, dostawali automatycznie 8 lat. Normy te wymierzano bez przewodu sądowego, na zasadzie nadzwyczajnego rozporządzenia „osoboję sowieszczanie”. Gorzej było z innymi podpunktami § 56. To otwarta kontrrewolucja, szpiegostwo lub coś podobnego.

Wydawało się, że mój przypadek nie był aż tak groźny. Gdy jednak przysłała moja kolejka i zaprowadzono mnie przed jakiegoś komisarza, to podał on do wiadomości, że za naruszenie granicy Sowieckiego Sojuza zostałem skazany na 5 lat poprawczych obozów pracy na „Stancji Sama” i gdy to rozporządzenie musiałem podpisać, nie miałem się właściwie czemu dziwić. Zaskoczenia nie było: dostałem tyle, ile się należy. Miałbym być lepszy od innych? „Gdzie jest ta Stacja Sama?” – „Na północnym Uralu!” – brzmiała odpowiedź.

Tak, nie miałem się czemu dziwić ani niczego innego nie mogłem się spodziewać. Jednak świadomość skazania mnie na 5 lat – a nie kogoś z innej celi – wywoływała uczucia inne, niż zwykłe cierpienie skóry na myśl o tym. Prorocze słowa pełnego humoru i znajomości sprawiedliwości sowieckiej dyżurnego więzienia przemyskiego o „czesaniu niedźwiedzi” stały się ciałem... Mogłem się właściwie jeszcze cieszyć, że tylko północny Ural przypadł mi w udziale. Białe niedźwiedzie żyją dalej! Mimo to konfrontacja z rzeczywistością okazała się przygnębiająca. Za co, za co tyle więzienia i niewolniczej pracy? Za to, że chciałem wrócić do Warszawy poprzez arbitralnie ustanowioną przez okupantów linię podziału na cielej Polski? Jeszcze nie było wtedy

znane słowo „żelazna kurtyna”. Powstało ono dopiero, kiedy Niemców trafił ten sam los, niby kula odbita rykoszetem...<sup>14</sup>

## „KU BIAŁYM NIEDŹWIEDZIOM”

„Szag w lewo, szag w prawo, szczytajetsja pobiegiem. Konwoj prinimajet uruzija bez predupieżdzenia! Szagaj szagom w pieriod!” Właśnie wyładowano nas na dworcu, pewnie towarowym, z ciężarówek, w których zostaliśmy usadzeni znanym już sposobem: rzędami po czterech, tyłem do kierunku jazdy i z otwartymi kolanami, aby w te z kolei mogła usiąść następna czwórka. Strażnicy ze „sztykami” na rogach... Teraz ustawiono nas w kolumnie i padła ta komenda, po raz pierwszy zasłyszana przed niecałym rokiem w Przemyśle. Transport więźniów do łagrów odbywa się w Związku Sowieckim w sposób dwojaki: „eszałonem” albo etapami. Eszałony złożone z długiego szeregu „tiepluszek” – wagonów towarowych z pryczami i piecykiem, poznaliśmy w podróży z Przemyśla do Odessy. Taka podróż, zależnie od ilości tysięcy kilometrów oraz innych, bliżej nieokreślonych czynników, może trwać do miesiąca i jej wygody można sobie wyobrazić. Drugi sposób to rozłożenie podróży na etapy, od więzienia do więzienia, specjalnymi wagonami więziennymi typu Pullmanna. To był większy luksus!

Gromada więźniów wchodziła do wagonów pod silną eskortą. Grupami po dwunastu wpychano nas do przedziałów i zasuwno żaluzję znajdującą się w miejsce drzwi. W pierwszej chwili nie wiedzieliśmy, jak się obrócić. Ledwie stać było można! Gdy zaczęliśmy się jednak sadować na pryczach zbudowanych w trzech kondygnacjach, okazało się, że nie było wcale tak źle: każdy miał swoje miejsce leżące. Jako jeden z najmłodszych wdrapałem się na samą górę, które to miejsce, jak stwierdziłem później, miało szczególną zaletę: było najcieplejsze. Na początku, i póki pociąg stał, było nieco duszno, zwłaszcza że

---

14. W 1943 roku T. Wojnarski tak wspominał warunki pobytu w więzieniu w Odessie: „Przed samymi świętami Wielkiej Nocy w zamkniętych wagonach towarowych (w każdym wagonie dwóch wartowników) wywieziono nas do więzienia w Odessie. Tam warunki nieco się poprawiły. Jedzenia było ok. dwa razy więcej. W celach [o wielkości] dwa na trzy i pół metra było średnio dziesięć osób (sami Polacy lub obywatele polscy oraz uciekinierzy z Rusi Zakarpackiej). Śledztwo miałem lekkie; innych ciągnano noc w noc na przesłuchania NKWD (przy tym w dzień nie wolno było spać). Nie wiem, jak wyglądały metody przesłuchań. Musiały być skuteczne, jeśli często nic nie winni ludzie przyznawali się do winy. Po upływie ok. dziesięciu miesięcy dostałem zaoczny wyrok (pięć lat ITŁ – *isprawitielnogo trudowego* łagiera, co – jak okazało się później – gorsze było od najgorszego więzienia). Przed wyjazdem z Odessy w celach było średnio 15 osób. 6 lutego 1941 r. opuściłem mury Odessy – zob. Świadcstwo Tadeusza Wojnarskiego...

wagon – o dziwo – był ogrzewany. Dostaliśmy porcje chleba na dwa dni oraz po kawałku margaryny, która choć miała szczególnie ostry aromat, radowała nas niepomiernie, bo tłuszczu w Odessie nawet nie widzieliśmy. Po kilkugodzinnym postoju, gdy się już zrobiło ciemno, pociąg ruszył. Mimo równomiernego kołysania nie mogłem zasnąć. Nowa, nieznana przygoda, była dopiero przede mną. Jak to wszystko się skończy?

Był właśnie początek lutego, rocznica mojego uwięzienia. Wyrok, a raczej tę pięcioletnią sowiecką normę, otrzymałem w końcu lata. W towarzystwie innych, którzy mieli też i wyższe wyroki, przestawaliśmy sobie coś robić z tych drakońskich kar. Doszliśmy do wniosku, że bez względu na otrzymaną ilość lat wszyscy wyjdziemy w tym samym czasie. Albo nie wyjdziemy w ogóle. Nawet gdyby się wyrok zakończył. Była wojna i normalne prawa, nawet te sowieckie, nie są stałe. Okazało się, że rozumowanie to było poprawne, tylko wtedy nie mogliśmy sobie nawet wyobrazić, jaki obrót wezmą wydarzenia. W rzeczywistości sytuacja nasza była beznadziejna i u podstaw takich spekulacji leżała ukryta potrzeba jakiejś pociechy.

Od chwili otrzymania wyroków nastąpiły rozmaite zmiany. Pierwsza, to podwyżka dziennej porcji chleba o 100 gramów. Druga, to przydział 5 rubli w naturze ze sklepiku więziennego. Po cenach oficjalnych można było za tę sumę rzeczywiście coś kupić. Bochen chleba prawie dwukilowy kosztował półtora rubla. Można było dostać chałwę, za trzy ruble chyba z pół kilo. Była ona dziwnie czarna i chuda, ale wtedy uchodziła za delicje. Najważniejsze jednak były papierosy i tytoń. Duża, ćwierć kilowa paczka jasnego tytoniu, bochen chleba i kilka pudełek zapalek – to była idealna kombinacja za 5 rubli. Ja nie paliłem, ale towarzysze palacze mieliby mi za złe, gdybym nie wziął dla nich „palenia” na zapas. Dawali później w zamian chleb z porcji dziennych, ale w warunkach odesskich nie było to tragiczne. Po wyrokach nastąpiły też przesunięcia personalne. Niezadługo po przyjeździe z Odessy najmłodszych umieszczono w dwóch osobnych celach. Ja się znalazłem w towarzystwie dwóch chłopaków Ukraińców, dwóch Żydów i jednego Polaka, czeladnika tokarskiego z Łodzi. On jeden najbardziej mi odpowiadał swoimi poglądami. Gdyby przeszedł pomyślnie ze strony niemieckiej na sowiecką, to czekała go jeszcze jedna granica – na Węgry, do polskiej armii. Jak z Węgień dalej, to chyba nikt z tych, którzy podejmowali tę awanturę nie myślał. W sumie atmosfera w naszej celi nie była zbyt patriotyczna, choć panowała zgoda. Za to młodzi z celi obok, to byli prawdziwi bohaterowie! Przywieźli ich z Czortkowa. Coś tam niezbyt rozsądnie naknócili, ale wtedy nam imponowali: powstańcy czortkowscy! Bardzo młodzi wiekiem, przeważnie poniżej szesnastu lat. Posadzili ich razem i - trzeba powiedzieć prawdę – mieli do nich cierpliwość. Cela

35 (nasza 36) stała się najbardziej sławną w całym bloku czwartym. Chłopcyska sobie z Moskali nic nie robili, pyskowali i stawiali się o byle co, a jak jakiś z „kaczanów” złapał kogoś za kark, robili tyle krzyku, że w całym bloku był raban. Walono we wszystkie drzwi z całych sił i wrzeszczano przeciw „oprawcom”, że aż serce rosło. Ano, młodzi zawsze jak młodzi... Za to ci starsi z Czortkowa mieli się gorzej. Tych umieszczono w celach na najwyższym piętrze, w tzw. „izolatkach” albo „celach śmierci”. O nich nigdy nic nie było słyhać...

Po wyrokach więc nastąpiły przesunięcia w celach. Bycze czasy, sześciu młodziaków na całych siedmiu metrach kwadratowych, skończyły się bezpowrotnie. Przez te zmiany jednak poznawało się nowych ludzi, dowiadywało się o różnych wydarzeniach, które nie zawsze przez telefon docierały. Tym samym monotoność, choć na krótko, była przerywana. Zaraz po pierwszym przetasowaniu cel przydzielono nam towarzysza ruskiego – Agapowa. Pewnie jako kapusia, aby donosił co my Polacy sobie myślimy. A myśmy sobie myśleli głośno i jeszcze mu na złość co najgorsze na bolszewików wygadywaaliśmy. A on, zakuta głowa, wciąż wychwalał komunizm. Mówiliśmy mu, że jest durny, bo tak długo siedzi, a papla wciąż pochwały, jakby mu nie wiem jaką łaskę robili. A był szyszką. I to nie lada! Miał ponoć na mundurze cztery romby, a romb to odznaka generalska. Piastował funkcję komendanta handlu czarnomorskiego, a jak była sławna czystka w latach 1937–38, to podzielił los tylu innych dostojników sowieckich. Jakie rozmiary ta czystka musiała mieć, to już sam za siebie mówi fakt, że w tych samych celach, gdzie my w dziesięciu musieliśmy się układać jak sardynki do spania, wówczas siedziało po trzydziestu kilku. Agapow próbował tłumaczyć nam jak to oni robili, aby w tych warunkach można było jakoś spać. Ustawiali się rzędem jeden za drugim w koło i na znak siadali sobie wszyscy wzajemnie na kolana. Nigdy tego nie pojąłem, bo ja doświadczyłem jak to trudno było już w szesnastu, co miało miejsce krótko przed odjazdem na etap. Czternastu, systemem sardynkowym – raz głową raz nogami – a tylko ciasno na boku, jakoś się dawało upchać. Przewracanie się na drugi bok – na komendę. Piętnasty i szesnasty musieli drzemać na „kiblu” przy drzwiach. Oczywiście na zmianę, bo w więzieniu musiała być solidarność.

Po Nowym Roku cele zaczęły się nagle zapełniać z powodu wejścia w życie dwóch nowych „ukazów”: o „progule”, czyli spóźnianiu się do pracy oraz o przeklinaniu. Normy to były, jak mówiono, dziecinne. Po roku kary za spóźnienie się 15 minut do roboty lub za słowne znieważenie matki, co w Rosji jest chlebem codziennym każdego człowieka. Takie rozporządzenie to, panowie, śmiech do gęby, paradoks! Widać zapotrzebowanie w łagrach na bezpłatną siłę

roboczą było gwałtowne a doraźne, więc rozumnie połączono piękne z nadobnym: wychowanie z gospodarką. Ale tyle kramu tylko na rok? Czy to się opłaciło?

W wyniku tamtej akcji w celach ruskich, bo nas jeszcze wciąż trzymano osobno, stany dochodziły do dwudziestu dwóch! No, ale do trzydziestu trzech za czasów Agapowa, który w takim zespole ponoć siedział na sławnych siedmiu metrach kwadratowych przez osiem miesięcy, chwilowo jeszcze było daleko. Sytuacja mieszkaniowa w Odessie za naszych czasów też jednak, z dnia na dzień, się pogarszała, tak że byłem zadowolony, kiedy pewnego dnia podano mi do wiadomości bliski termin odjazdu „na białe niedźwiedzie”. Właściwie miałem wyjechać znacznie wcześniej, krótko przed Bożym Narodzeniem, ale dostałem nagle wysokiej gorączki i zabrano mnie na „bolnicę”, czyli szpital więzienny. To były chyba moje najlepsze dni w Odessie, która skądinąd była „kurortem”. Ale akurat na Boże Narodzenie w łóżku, w czystej pościeli... I ciepło tam było, i do ustępu można było wyjść, kiedy się potrzebowało, a i wikt inny... To tak jakoś się złożyło. Tak dobrze mi było, że nie pomyślałem nawet, że Ten, co się kiedyś w tym czasie narodził, w najgorszej biedzie zstąpił na ziemię...

\* \* \*

A pociąg-więzienie, wiozący nas na północ, wystukuje swoje równomierne tak-tak-tak, tak-tak-tak... A moja matka nawet nie wyobraża sobie, gdzie mnie wiozą... I modli się biedna... I modli się, żeby Bóg nie dał dziecku zginąć... Zacząłem się też modlić.

## W CHARKOWIE

Charków był pierwszą stacją w długiej podróży na północ<sup>15</sup>. Zimna cela zbiorowa, kąpiel z odwszeniem, rewizja do naga – to były czynności rytualne przed przydziałem do celi przejściowej. Aż do następnego etapu. W mieście tym po raz pierwszy umieszczono nas w celi narodowościowo mieszanej, to znaczy my Polacy znaleźliśmy się pomiędzy ludźmi z terenu Ukrainy. W Odessie dbano wciąż o rozdział. Agapow był raczej wyjątkiem, a jego odkomenderowanie do Polaków miało jakiś ukryty cel, którego się wprawdzie domyślaliśmy, ale z którego też sobie niewiele robiliśmy. Jak już wspomniałem, myśmy dowiedzieli się

---

15. T. Wojnarski był wówczas przetrzymywany w więzieniu nr 1 przy ul. Swierdłowa 99 (ul. Połtawskij Szlach 99) w Charkowie.



raczej więcej od Agapowa, niż on od nas. My nie mieliśmy żadnych tajemnic do ukrywania, a taka na przykład wiadomość o warunkach panujących w więzieniach w okresie wielkiej czystki była raczej nieznama i kompromitująca dla Związku Sowieckiego. My zresztą nie byliśmy nastawieni na zbieranie wiadomości o „rajskim” przebywaniu. Sami na własnej skórze, choć nie tak drastycznie jak w tamtych błogosławionych czasach, przeżywalismy tę rzeczywistość i byliśmy zajęci przyziemnymi troskami codziennej szarości i niepewnego jutra. Toteż w Charkowie to, co najpierw rzuciło się w oczy, były mniejsze porcje żywnościowe: mniej więcej o połowę. Z wyjątkiem chleba, którego racja dzienna była znormalizowana. Dopiero nieco później, gdy języki zaczęły się rozwiązywać, wiadomości z tragicznej przeszłości Ukrainy sowieckiej, o których Agapow nie wspominał, stawały się dla nas odkryciem mrozącym krew w żyłach. Co do dobroci „ojczulka” Stalina nie mieliśmy żadnych wątpliwości, zasłyszane jednak relacje przechodziły wręcz granice wiarygodności. Dopiero przemiany w Związku Sowieckim po 1953 roku odsłoniły, choć częściowo, obraz tamtych czasów.

A dzisiaj, co się właściwie wie o wydarzeniach lat trzydziestych, o tym potwornym ludobójstwie dokonanym na nieszczęsnym narodzie ukraińskim? Myśmy się wtedy, w Charkowie, zetknęli z ludźmi, którzy o tamtej tragedii odważyli się mówić. Ile prawdy było w ich opowiadaniach, tego nikt nie mógł wiedzieć. W każdym razie obawa, że tamte metody mogą być zastosowane też na terenach „wyzwolonych” Polski, napełniała nas niepokojem. To, co władza ludowa za Stalina uczyniła na Ukrainie, było wręcz eksterminacją tego stęsknionego za wolnością narodu stepów. Trzeba było Hitlera, aby w tym wyścigu nowoczesnego barbarzyństwa wziął palmę pierwszeństwa. A może i nie?

Trzonem akcji eksterminacyjnej Ukrainy był sztuczny głód, wywołany w latach 1932–33. Urodzajne, czarnoziemne pola Ukrainy zostały w czasie dojrzewania zbóż obstawione wojskiem. Każda próba zbioru niosła śmierć przez rozstrzelanie. Wojska zeszyły z posterunków dopiero wtedy, gdy zboża zgniły na pniu. Wynik akcji był potworny: miliony ludzi zginęło śmiercią głodową (Sołżenicyn podaje liczbę sześciu milionów zmarłych w wyniku tej akcji). Wypadki zjadania trupów były podobno na porządku dziennym. Czy to potworne ludożerstwo można nazwać bestialstwem? W stosunku do zbuntowanych grup, które zdołały skupić się w pokaźne i – widać – niezle uzbrojone oddziały, zastosowana została nader skuteczna metoda: otoczono je wojskiem ze wszystkich stron i zaciśnięto pierścień na dość małej przestrzeni. Zamknięty teren zbombardowano tak dokładnie, że żadna dusza nie mogła ujsć z życiem. Ziemia została dosłownie przemieszana z ludzkimi ciałami. Ostatnim aktem tragedii była masowa deportacja pozostałych przy życiu. Stepy Kazachstanu

stały się nową, smutną ojczyzną Ukraińców<sup>16</sup>. Na ich miejsce przesiedlono innych ludzi, których zmuszano uczyć się po ukraińsku. Bo przecież Ukraińska Socjalistyczna Republika Rad nie przestała istnieć. Ilu powędrowało do tych wychowawczych obozów pracy, do których nas właśnie wieziono, w tamtych opowiadaniach nie było wspomniane. Zapewne nie omieszkało posłużyć się tym racjonalnym wykorzystaniem ludzkich istnień. W niewolniczej pracy, zanim człowiek przestanie istnieć, położy podwaliny pod raj dla przyszłych pokoleń. Kiedyż ten przyszły raj przestanie nareszcie być piekłem? Dlaczego tamci ludzie tego rajy tak gwałtownie nie chcieli? Przecież w krajach, gdzie komunizm jeszcze nie opanował rządów, istnieje nostalgia za tym tajemniczym modelem...

## ETAPY

Podróż do łagrów trwała około półtora miesiąca. Przerzucani z więzienia do więzienia, przebywając na każdym etapie około 10 dni, zbliżaliśmy się niezawodnie ku miejscu przeznaczenia. Dziś wydaje się, że to tak szybko minęło. Wtedy jednak każda chwila dłużyła się w nieskończoność, a trudy tej podróży, choć urozmaicone zawsze nowymi przeżyciami, dawały się mocno we znaki. Każdorazowe oczekiwanie na definitywny przydział do cel etapowych w ponurych, niemożliwie brudnych pomieszczeniach i o pustych brzuchach, było nieznośną udręką. Nie byliśmy bynajmniej salonowymi pieskami, jednakże obrzydzenie nas brało usiąść choćby na tych zabłoconych, oplutych i nie wiadomo jaką zarazą pokrytych kamieniach. Tak więc stało się na nogach, choć te uginały się i ogólna słabość ogarniała każdą komórkę ciała. Bodajże jeszcze w Charkowie poznałem Maciejewskiego, bardzo przyzwoitego człowieka w wieku mniej więcej mojego ojca, który mnie też polubił i dziwnym zrządzeniem losu staliśmy się nierozłącznymi towarzyszami. Maciejewski, barczysty

---

16. Wielki głód na Ukrainie (Hołodomor) – wywołana sztucznie przez komunistyczne władze ZSRR klęska głodu w latach 1932–1933, która miała szczególnie tragiczne skutki terytorium ówczesnej Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Działania, które wywołały masowy głód, wynikały ze sprzeciwu ludności wsi na Ukrainie wobec kolektywizacji rolnictwa i ściągania obowiązkowych, nieodpłatnych dostaw produktów rolnych w wymiarze przekraczającym możliwości produkcyjne. Polityka ta została wprowadzona na przełomie 1929/1930 przez władze ZSRR. Wymuszana była siłą, z użyciem wojska i surowych kar. W rezultacie zginęły miliony Ukraińców. Różne źródła podają, że liczba ofiar na samej wynosiła od 3 do nawet 10 milionów osób – R. Kuśnierz, *Propaganda radziecka w okresie Wielkiego Głodu na Ukrainie (1932–1933)*, „Dzieje Najnowsze” 2004, nr 4, s. 29–46.

maszynista kolejowy z Kołomyi, został złapany przy próbie przedostania się na Węgry. Był w ten sposób posiadaczem paragrafu 80/16 i pięcioletniego wyroku, tak samo jak ja. Przyjaźń ta była dla mnie bardzo cenna. Nie tylko czułem się pewniej w oparciu o mocnego fizycznie i doświadczonego człowieka, który mógł być moim ojcem, ale taka symbioza w trudnych warunkach dopomagała do przetrwania, podobnie jak z Wujkiem, w tamtych odległych już czasach więzienia przemyskiego... Maciejewski poza porządną kurtką posiadał jeszcze koc. W tych przeróżnych celach etapowych razem lepiej mogliśmy wegetować. Oczywiście wykorzystując także moją kurtkę, tandetną, kupioną przez matkę na ewakuacji, a obecnie już bardzo nadwyrężoną przez używanie dzień i noc, jak i przez pranie w wozobojkach. Chroniliśmy jak tylko było można nasze skarby odzieżowe przed zupełnym zniszczeniem, poprawiali rozdarcia i naszywali łaty. Obecnie, choć cała higiena polegała na wypalaniu wszy, a nie na porządnym praniu i czyszczeniu, nie odważaliśmy się kłaść tych naszych kurtek na ohydnych podłogach cel zbiorowych dopiero na celach etapowych urządzaliśmy się we dwóch jak tylko się dało najlepiej. W wagonach etapowych też chroniliśmy się przed zmarznięciem, używając we dwóch nasze „manele” i grzejąc się wzajemnie własnym ciałem. Oczywiście przy moim mizernym wyposażeniu osobistym współużywanie koca było dla mnie szczególnym dobrodziejstwem<sup>17</sup>.

Poza Charkowem mieliśmy przejść jeszcze przez cztery więzienia etapowe: Penza, Syzrań, Czelabińsk i Świerdłowsk. W Penzie zetknęliśmy się po raz pierwszy z różnorodnością i barwnością typów i ras zamieszkujących Związek Sowiecki. Szczęśliwie uważano nas „graniczników” za więźniów politycznych i przydzielano do cel przeznaczonych dla tego rodzaju przestępców. Stąd też, pomimo budzącego pewną grozę wyglądu tych nowych, azjatyckich współtowarzyszy, którzy lubując się w orientalnej barwności, przewiązywali głowy jakimiś resztkami kolorowych szmat, stwierdziliśmy

---

17. W 1943 roku T. Wojnarski tak relacjonował charkowskie więzienie: „Warunki więzienia w Charkowie [były] podobne jak w Odessie (w celi [o wielkości] dwa na pięć metrów [siedziało] średnio 20 osób). W więzieniu w Penzie pierwszy raz spotkałem się z elementem przestępczym Rosji Sowieckiej. To, co moralnie Polacy przez nich ucierpieli, trudno opisać. Zezwierzęcenie bandytów i złodziei jest dla normalnego Europejczyka wręcz nie do uwierzenia. Sowiecki *kryminalnik* jest w celi więziennej panem i wszystko tak musi grać, jak on chce. W celach [o wielkości] ok. dziesięć na osiem metrów było ok. 150 osób, z tym, że „arystokracja” przestępcza spała na pryzkach, „niższe warstwy” na kamiennej podłodze, zaś Polacy nie mieli w ogóle miejsca. Potrącani i obrzucani najokropniejszymi przekleństwami przez kilkanaście nieraz dni nie mogli zmrużyć oka, dopóki nie wydostali się z przekłętej celi w dalszy etap podróży do łagru.” – zob. Świadcstwo Tadeusza Wojnarskiego...

z ulgą w sercu, że ci groźnie wyglądający, skośnooccy, o twardych rysach twarzy ludzie, byli w obejściu uprzejmi i życzliwi. Po prostu współuczestnicy tej samej doli, a raczej niedoli, gdzie rasa nie odgrywała żadnej roli. O ile w Penzie cela etapowa była obszerna i zaopatrzona w piętrowe prycze, dzięki czemu owa wielobarwność w masie jeszcze bardziej wpadała w oczy, o tyle w Syzranii znaleźliśmy się znowu w celi małej, na kilkunastu więźniów. Poza ponurością tamtego „pensjonatu” nic szczególnego nie utkwiło mi w pamięci i dopiero dwudniowa podróż do Czelabińska związana była z nowym, nieznanym jeszcze przeżyciem.

Ze względu chyba na mój młodociany wiek, w pociągu zostałem tym razem wsadzony do przedziału dla nieletnich przestępców, elementu najbardziej asocjalnego w Związku Sowieckim. Byli to tak zwani „bezprizornyje”, sieroty z prawdziwego zdarzenia lub wyprodukowane przez nowy porządek społeczny, rozbijający życie rodzinne, zamykający rodziców w więzieniach nie tylko za przestępstwa pospolite. „Bezprizornyje”, plaga już za czasów carskich, z którą po rewolucji próbowano rozprawić się skutecznie najdrażniejszymi a okrutnymi metodami, pozostała problemem nierozwiązanym. Nawet w tym systemie, który na wszystko posiada niezawodne recepty. Wychowani przez ulicę, niedożywieni, zdemoralizowani, zdegenerowani duchowo i fizycznie, wyglądali na dziesięciolatków o twarzach starców, a byli w rzeczywistości kilkunastoletnimi małolatami, tymi samymi, których po raz pierwszy widziałem wspinających się po kratkach okien więzienia w Odessie. Obecnie znalazłem się w towarzystwie bodaj tuzina tych budzących litość stworzeń. Ale choć litość jest uczuciem szlachetnym, to jednak w tamtej sytuacji moje położenie było nie mniej pożałowania godne. Będąc sami jakby z innej planety moje małolaty traktowały mnie też jako takiego. Zepchnąwszy na sam dół, gdzie oczywiście panował największy ziąb, mogli czuć się panami absolutnymi sytuacji, pluć na mnie z góry, poszturchiwać, szarpać, wyciągając długie, chude ręce. Chyba dzięki mojej cierpliwości, w którą chcąc nie chcąc musiałem się uzbroić, po jakimś czasie dali mi spokój. Korzystając z tego chciałem się posilić moją zafasowaną na dwa dni porcją chleba. Sięgnąłem do woreczka i z przerażeniem stwierdziłem, że jego życiodajna zawartość zniknęła! Spojrzałem w górę, gdzie godne litości istoty, chichocząc zgodnie zajadały się moją dwudniową racją chleba. Z oczu ich błyskała małpia złośliwość połączona z okruciami ludzkiej inteligencji. Reklamacje u strażników na nic się nie przydały i ponieważ w podróżach tego rodzaju poza chlebem żadne inne menu nie było przewidziane, mój posiłek w czasie dwudniowego transportu do Czelabińska musiał się ograniczyć do zimnej wody, także niezbyt hojnie przez strażników wydawanej.

## W CZELABIŃSKU

Do Czelabińska przybyłem bardzo wyczerpany. Komenda: „Szagaj szagom w pierod”, po uprzednim tak już dobrze znanym, za każdym razem bezwzględnie i dobitnie powtarzanym ostrzeżeniu „szag w lewo, szag w prawo”. Wtedy w którymś z rzędów ujrzałem Maciejewskiego i ten widok dodał mi otuchy. Szedł obok policjanta z Tarnopola odzianego w wyrudziały uniform, którego proporcje wskazywały na pokaźną niegdyś tuszę jego właściciela. Maciejewski uśmiechnął się do mnie, a gdy znaleźliśmy się w celi zbiorczej, dowiedziawszy się o moich przejściach z sowieckimi „pacanami” (chłopakami), dał mi kawałek chleba ze stoicką wstrzemięźliwością zachowywanego na czarną godzinę. Po nieuniknionej rewizji, kąpeli i odwszeniu ustawiono cały transport do przydziału na cele etapowe. Komendant więzienia, kiedy doszedł do nas, podrapał się po głowie, nie wiedząc co z nami począć. Nasz policjant, ze swoim paragrafem wroga i ciemżyciela ludu 56/10, był jaskrawym przypadkiem przestępcy politycznego i jego przydział do celi politycznej był oczywisty. Co zrobić natomiast z tymi dwoma „granicznikami”? To raczej przestępcy pospolici, więc dawaj z nimi na cele morderców, rabusiów, koniokradów i innych rzezimieszków. Pocięchą było to, że nie rozdzielono mnie z Maciejewskim.

Cela etapowa w Czelabińsku była szczególnie obszerna. Ale też i racjonalnie zapełniona. Dookoła, pod ścianami, były ustawione prycze, niegdyś żelazne łóżka, bardzo niskie, a teraz wyłożone deskami. Wszystkie miejsca na pryczach były oczywiście zajęte. Zaczęliśmy badać sytuację pozostałej pośrodku celi części, gdzie towarzystwo biwakowało rzędami. Nie było jednak na betonie żadnego wolnego skrawka, który by mógł posłużyć na miejsce do spania. Przycupnęliśmy więc na krawędzi jednej z prycz. Maciejewski zaczął wkrótce drzemać na siedząco, ja natomiast kombinowałem, jakby lepiej urządzić się. Zauważyłem, że na miejsca pod pryczami w ogóle nie było amatorów. Zapewne dla ich przeraźliwej przyziemności...

Byłem śpiący i zmęczony, a że miałem potrzebę wyciągnięcia się, wsunąłem się więc pod pryczę i położyłem na rozłożonej uprzednio kurtce, w którą następnie się zawiąłem. Kusa była ta kurtka, a posadzka wilgotna, z położonego zaś wysoko nad pryczami okna o ukośnym ścięciu zamiast parapetu, spływał po ścianie prąd lodowatego powietrza aż pod prycze. Albo raczej dopiero tam dawał się on dobrze we znaki. Próbowałem znaleźć jakąś dogodniejszą pozycję, przewracając się z trudnością z boku na bok. Bo choć byłem cienki jak tiulka, te prycze były przesadnie niskie. Najgorszy jednak ze wszystkiego był ten ziąb nie do wytrzymania. „Żeby tak we dwóch” – pomyślałem i wygramoliłem się na zewnątrz. Usiadłem obok Maciejewskiego, który kiwał się, drzemiąc

w pozycji siedzącej. Biedak – pomyślałem – „o ileż lepiej by mu było spać na leżąco pod pryzkami”. Nie odważyłem się jednak obudzić go, bo sen jest snem, w jakiegokolwiek by to nie było pozycji. Szeroka pierś maszynisty poruszała się miarowo i próbowałem porównać rozmiar jego barów z wąskością miejsca pod pryzkami. „Ciasno, ale powinien się przecież jakoś zmieścić” – myślałem, ale czekałem na przebudzenie się towarzysza.

Nagle drzwi zgrzytnęły i strażnik kazał wystawić wiaderka na kolację. „Panie Maciejewski, kolacja” – szepnąłem. Obudził się, zaczął mechanicznie macać worek ze swoim dobytkiem, którego nawet podczas snu nie wypuszczał z ręki. Poza kocem, jakimiś szmatami, których się w tych czasach nigdy nie wyrzucało, zapasową koszulą i jakimiś innymi drobiazgami miał Maciejewski jeszcze solidne, czarne buty z cholewami, które pielęgnował i chował na lepsze czasy a może na sprzedanie w jakiejś szczególnie trudnej sytuacji? Wszystko było w porządku. „Co, kolacja?” – „Ano zaraz będzie”. – „To dobrze zjeść coś gorącego”. Bo choć oczekiwana zupa będzie z całą pewnością dobrze już nam znaną lurą, to jednak jej wartość była nie do pogardzenia. Gdy Maciejewski wyciągał z worka swoją drewnianą łyżkę, próbowałem mu przedstawić mój plan. Spojrzał na inne prycze, bo wszystkie były jednakowe. „Przecież tam nie ma miejsca, są za niskie”. Nie próbowałem na razie nalegać, bo drzwi znowu otwały się i wstawiono wiaderka z zupą. Najstarszy w celi zakasał rękawy, wziął chochlę w rękę i oświadczył spokojnie: „Podchadi w oczeredi” (podchodzić w rzędzie). Najstarszemu nikt by nie próbował się sprzeciwić, gdyby nawet popełnił jakąś niesprawiedliwość, dając któremuś z „błatnych” gęstszą, albo może i większą porcję. Świat opryszków miał swoje prawa, a „najstarszym” był ten, który był gotów swoją siłą w razie potrzeby zadokumentować z powodzeniem. Wypróbowany w starciach z innymi, piastował swoją władzę z godnością i bezwzględnością. W każdym razie należał do grupy „błatnych”, to znaczy doświadczonych, zawodowych przestępców, którzy stanowili zamknięty świat, gdzie siła decydowała o hierarchii a inni, zwykli ludzie będący sporadycznie w kolizji z prawem, traktowani byli z pogardliwą wyższością.

Po ceremonii kolacji a następnie toalety w ubornej, gdy towarzystwo zaczęło układać się do snu, a my siedzieliśmy nadal na krawędzi pryczy, zacząłem na nowo namawiać Maciejewskiego na spanie pod spodem. Nie chciał z razu o tym słyszeć i tylko potrząsał głową. Gdy jednak moje nalegania nie ustawały, ustąpił i powiedział: „Chodź, dzieciaku, spróbujemy”. Wsunąłem się szybko pod łóżko i rozłożyłem najpierw moją kurtkę, potem jego żakiet i na takie posłanie zaprosiłem mojego maszynistę. Wczołgał się na brzuchu i postępując położył obok mnie. Z trudnością mogliśmy naciągnąć na siebie koc. Było jednak wcale ciepło. Byłem zadowolony. „Niech się pan spróbuje położyć na

boku, albo przewrócić na plecy”. „Nie idzie” stęknął, ale jakoś usnął. Nie mogłem spać rozważając tę sytuację. Nie było jednak żadnej alternatywy, więc przycisnąłem się do poczciwego człowieka, grzejąc go i ciesząc się odczuwanym ciepłem. Koc naciągnięty na głowę chronił jako tako od ciągnącego z góry zimnego powiewu. Na koniec też usnąłem, żałując, że te prycze nie są choć o trzy centymetry wyższe.

Idylla trwała jednak krótko. Po jakimś czasie Maciejewski zaczął ruszać się niespokojnie i nie mogąc zmienić pozycji rozbudził się, wyczołgał spod pryczy z powrotem i usiadł na jej krawędzi. „Błatnyje” wygodnie wyciągnięci spali snem sprawiedliwych. Jakie przestępstwa mieli na sumieniu? W każdym razie tutaj byli panami sytuacji, a my w ogóle nie istnieliśmy. W Odessie rozdzielaliśmy każdą sytuację sprawiedliwie, żeby nikt nie był pokrzywdzony. Tutaj panowały inne prawa i trzeba było czekać cierpliwie na dalszą podróż. Po kilku dniach nagły ruch ożywił cele: zbierano transport. Do nas też weszła grupa strażników i komendant wyczytał szereg nazwisk, każąc szykować się z rzeczami. Patrzyliśmy pilnie, które miejsca się zwolnią. I rzeczywiście, tuż koło nas kilku więźniów sprawdzało swój dobytek i szykowało się do wyjścia. Uradowani zaraz zajęliśmy ich miejsca na pryczach. Uszczęśliwiony (bo wtedy wiele do szczęścia nie było potrzeba) usiadłem na nowym miejscu. Maciejewski odszedł na chwilę w kierunku paraszy, a tymczasem dwóch typów zaczęło sadowić się na naszym miejscu, tak jakby mnie tam w ogóle nie było. Zareklamowałem, że te miejsca są już zajęte. „Paszoł ty kibini mati” – usłyszałem w odpowiedzi. Gdy jednak nie dawałem za wygraną, rzezimieszek, układając flegmatycznie swój dobytek na naszym miejscu, dorzucił spokojnie: „Kak nie pajdiosz, ubiju tiebia na huja”. Maciejewski wrócił tymczasem z „potrzeby” i opowiedziałem mu z oburzeniem co się stało. On zaś nic nie mówiąc, zabrał swój worek i usiadł na dawne miejsce na krawędzi pryczy. Ja natomiast nie miałem zamiaru ustąpić. Wtedy mój „błatnoj” wyjął jedną deskę z pryczy i zamierzył się na mnie: „Zabiję cię, pójde na pięć dni do karceru, a ty będziesz zabity” – mówił wolno i jakby od niechcenia. Zrozumiałem, że żartów nie było: to było prawo tej kasty. Gdy Maciejewski zawołał: daj spokój, nie próbowałem więcej przeciwstawić się. Natomiast drugi, spokojny do tej pory zabijaka, zaczął ze złością przygadywać: „Wy, Poliaki, sobaki! A pamiętacie wy rok dwudziesty? A pamiętacie Piłsudskiego?” I złe błyski w oczach nadały tej okrutnej twarzy łotra taki wyraz, że strach nas ogarnął.

Byliśmy sami pomiędzy gromadą morderców, którzy choć karani przez władzę sowiecką nosili w sobie solidarną nienawiść do narodu polskiego, który potrafił rozgromić w roku 1920 walącą się na niego hordę bolszewicką. Usiedliśmy obaj z Maciejewskim koło siebie i wsparci jeden o drugiego, starali

ochłonać po nieoczekiwanym starciu. Tak też siedząc przez pozostałe dni na krawędzi pryczy, drzemiąc w nocy a rozmawiając w dzień – ja chwilami wsuwałem się pod pryczę, żeby nieco poleżeć w pozycji wyciągniętej i wyłąziłem jak tylko zmarłem – przetrwaliśmy dwanaście dni w Czelabińsku, aż do następnego etapu.

## PLUSKWY

Kiedy po niezbyt długiej podróży do Świerdłowska znaleźliśmy się znów w celi dla więźniów politycznych, było jakoś różniej na duszy nie być „policzonym pomiędzy złoczyńców”. Ponadto urządzenie celi, zaopatrzonej w drewniane prycze o dwóch kondygnacjach, obiecywało możliwość gruntownego odespania nocy czelabińskich. Widać było nawet miejsca wolne – nareszcie będzie można się wyciągnąć i spać, spać do syta! Do tego na deskach, a nie na betonowej podłodze! Nie zwlekając rozłożyliśmy nasze manatki i spróbowaliśmy rozkoszy wyciągnięcia się jak dłudzy. O, duszo ludzka, zadawalająca się tak małym komfortem, jeśliś gorszych niedostatków nie zaznała!

Już nadchodził wieczór, pora kolacji, „uborki”, no i ... tego spania na posłaniu z kurtek, na drewnianych deskach pod wełnianym kocem Maciejewskiego... Błogie uczucie spoczęcia w ramionach Morfeusza dawało się odczuwać w każdej części ciała i sen głęboki, życiodajny sen, nie dał długo na siebie czekać. Cóż z tego, kiedy sielanki, złudne idylle na tej dolinie łąz, zwykły prędko mijać! Prędzej nieraz, niżby się tego można było spodziewać...

Dziwne łaskotanie po rękach, twarzy i wszystkich odkrytych częściach ciała, połączone z przykrym swędzeniem, zbudziło mnie po niedługim czasie. Pochodzenie tego uczucia było mi aż nadto znane! Pluskwy! Z tymi drobnymi wampirami, zadowolonymi dopiero wtedy, kiedy swą naturalną płaskość przemieniają w krągłość kropli krwi, o wielkości zależnej od wieku krwio pijcy, zapoznaliśmy się już w Odessie. Za dnia pluskwiew nie było widać w ogóle. Obecności ich nikt by nie podejrzewał. Ukryte w szczelinach muru, okien i drzwi, albo umeblowania, wychodziły na żer dopiero nocą, kiedy życie w celi zamierało, a panująca cisza pozwalała wolnym krokiem dojść do ofiar, albo z wysokości na nie spuścić się i wysysać bezkarnie ich anemiczną krew. Sowieckie pluskwy musiały się zadawałać pożywieniem podlejszej klasy. Tak jak ich żywiciela! O ileż rozkoszniej byłoby pić krew tych krwio pijców kapitalistów, pasożytujących na pracującym proletariacie! Ale na bezrybiu i rak ryba, bo i ci niegdyś spasieni panowie krwio pijcy dawno już stracili swoje opływowe linie, a krew jeszcze w nich pozostała była chuda i wodnista.



Na te rozważania, wtedy oczywiście nie było ani czasu, ani głowy. To tylko potrzebne do stwierdzenia wcześniej już zdobytych doświadczeń w tym zakresie i do uświadomienia tych spośród osób trzecich, którym może nigdy szczęście poznania owych słodkich stworzeń nie przypadło w udziale. Wówczas szybkim ruchem ręki przejechałem po twarzy. Dłoń się tylko pośliznęła po rozduszonych uczestnikach biesiady. Powąchałem: przykry, typowy dla rodzaju pluskwiaków zapach. Usiadłem, zacząłem badać sytuację w świetle mdło palącej się całą noc żarówki. Pozbierałem ze siebie wszystkich dostrzeżonych napastników i moją własną krew z powrotem z nich wydusiłem. Przynajmniej rozkosz zemsty! Krwawej zemsty! Następnie spojrzałem na Maciejewskiego. Pomimo, że mu z twarzy i szyi dobry tuzin dobrze zakrąglonych już pluskiew wysysał życiodajną ciecz, nie poruszał się nawet, pogrążony w błogosławionym śnie. Twardy człowiek! Ja zawsze byłem słaby, delikatny i wrażliwy, więc dotkliwiej poczułem ukąszenia nocnych pasożytów. Pozbierałem i pozduszałem pluskwy kąsające przyjaciela, a choć czynność ta napełniała mnie obrzydzeniem, to jednak nie była pozbawiona towarzyszącej jej satysfakcji. Dokonawszy tego podstawowego aktu zemsty rozejrzałem się po belkowaniach komfortowych prycz. Korowody robactwa, w formie jeszcze płaskiej albo już przypominającej wędrujące krople krwi, pełzały w górę i na dół, szukając bądź to swoich kryjówek w niezliczonych szczelinach belek, bądź to najbliższej drogi na popas. W Odessie organizowano od czasu do czasu wypalanie pluskiew płomieniami aparatów do spawania metali, a choć szczeliny w murach były tak głębokie, że złośliwego plemienia wytepić tym systemem nie było można, to jednak plaga była znacznie złagodzona. Tu widać nikt się nie troszczył o los więźniów. Zresztą to i tak była tylko cela przejściowa!

Trudno powiedzieć, gdzie się w rezultacie lepiej wysypialiśmy: w Czelabińsku czy tu, w Świerdłowsku. Byliśmy śpiący, ale z niepokojem oczekiwaliśmy każdej nadchodzącej nocy. Sama myśl o pluskwach odbierała ochotę do spania. Tutaj też w Świerdłowsku, położonym już nie tak daleko od owej tajemniczej „Stancji Sama”, spotkaliśmy się z więźniami transportowanymi w kierunku przeciwnym: z łagrów do więzienia. Odkrycie to zrobiliśmy w rozmowie z jednym „starykiem” o zniszczonej, porytej bruzdami twarzy i zgaszonych, apatycznych oczach:

– Tak, tak, ja jadę z obozu do macierzystego więzienia. Miałem 10-cio letni wyrok, który teraz dobiega końca.

– To znaczy, że przed zwolnieniem wiozą was do dawnego więzienia?

– Nie na zwolnienie wiozą. Na „pieresud”, na powtórne rozpatrzenie sprawy.

Nie rozumieliśmy tej sytuacji.

– Po co mają naszą sprawę ponownie rozpatrywać, skoro wyrok już odsiedziany?

– Ażeby dać dodatek.

– I znów przywieźć do łagrów?

– To jest u nas normalne.

Ciarki przeszły na myśl o takiej sprawiedliwości, w której zasięg rzucił nas los.

– A za co was skazali? „Staryk” wzruszył ramionami.

– A czy to ma znaczenie za co? Jak posadzili, to powód już znaleźli.

Dopiero teraz zrozumiałem potworną ironię dowcipu zasłyszanego jeszcze w Odessie: Na dawnej granicy polsko-sowieckiej spotkały się dwa zające – polski i sowiecki. Zając sowiecki uciekł ze Związku Radzieckiego i drżał ze strachu tak, że nie był w stanie się uspokoić. Na to zając polski mówi:

– Teraz jesteś w Polsce i nie masz czego się bać. Ale właściwie, dlaczego uciekłeś ze Związku Radzieckiego?

– B... b... bo wydali ukaz, żeby wszystkie wielbłądy wykastrować...

– Ależ ty nie jesteś wielbłądem, więc dlaczego się tak bałeś? Czemuś uciekł?

– Aha! Wy... wykastrowują cię, a później udowodnij, że nie jesteś wie... wielbłądem.

Tak rozmyślając patrzyłem na biedną, apatyczną twarz „staryka”. Żal i współczucie ogarniało serce, a potem nieopisany niepokój. Aby oddalić potworność konsekwencji dalszego myślenia, Maciejewski zaczął z innej beczki:

– Ale pluskiew to tu nie brak.

– Ano, pluskiew u nas jest dużo...

„Staryk” gorzko się uśmiechnął i oczy jego spoczęły w nieokreślonej dali. Zdawało się, że miał na myśli inne pluskwy, okrutniejsze, wysysające krew narodu rosyjskiego. I nie tylko rosyjskiego... A może nie było go już stać na takie refleksje?

## U CELU

Niskie słońce, odbijające się od wielkich płaszczyzn nieskazitelnej bieli śniegu, naświetlało całą atmosferę przenikliwą jasnością wzdłuż linii kolejowej. Długie cienie ocalałych z pogromu drzew leżały niebieskimi smugami na promieniących słoneczną poświatą polach, aż w głębi ciemny fiolet niekończącej

się linii lasów kładł im kres. Ceglaste tony sosnowych pni, ognistozłote plamy modrzewi ogrzewały jeszcze bardziej tę bogatą, ciepłą gamę pejzażu, roztaczającego się za oknami pociągu, który nas wiozł ku ostatniemu etapowi półtoramiesięcznej podróży. Nawet głęboka zieleń świerków, sina biel kory brzozy wydawały się tchnąć ciepłem słońca w tej przepojonej światłem przestrzeni. A przecież temperatura na zewnątrz wynosiła około 20 poniżej zera, choć był to ostatni dzień kalendarzowej zimy.

„Stacja Sama” była ostatnią stacją publicznej linii kolejowej na północnym Uralu – oddaloną od Świerdłowska o jakieś 600–700 kilometrów. Tam przeładowano nas z więziennego Pullmana do pociągu złożonego z 3 wagonów osobowych w rodzaju dawnej czwartej klasy, z ławkami wzdłuż ścian i miejscami stojącymi pośrodku. Dość małych rozmiarów, hermetycznie pozamykane okna wolne były od krat. Tego kto by chciał popróbować ucieczki i tak ustrzelono by jak zająca. Nie bez powodu lasy zostały wyrąbane na szerokości kilkuset metrów wzdłuż obozowej linii kolejowej. Jak jeszcze daleko do tego obozu? W rzeczywistości już w Sama rozpoczęło się jego królestwo. Bo „łagier” to nie był tylko i wyłącznie jeden zabudowany teren. To cała sieć obozów, niczym system ze stolicą, z oddziałami, pododdziałami i dalszymi placówkami, od których jeszcze dalej odchodziły osiedla niewolniczej pracy. Stolicą mojego łagru była miejscowość Iwdiel. Stąd zrodziła się nazwa: „Iwdielskie łagieria”. Było to wręcz udzielne państwo, rządzone wewnątrz przez więźniów i pilnowane na zewnątrz przez oddziały „Gułagu” – „Głównoje Uprawlenie Łagieriej”, dobrze nam znanego NKWD, zmieniającego swą nazwę od Cz.K. poprzez GPU na NKWD, później jeszcze na MWD, KGB... Wszystko dla zmylenia przeciwnika! Bo treść pozostawała zawsze ta sama: karząca i wytępiająca „złych”<sup>18</sup>.

W myśl zasady Iwana Groźnego, kto zły a kto dobry rozstrzygał za dawnych czasów car despota, a obecnie Stalin-ojczulek. Pomagały mu w tym sfory psów policyjnych i niezliczone szeregi dobrze zorganizowanych, w każdym razie „dobrowolnych”, pełnych miłości do socjalistycznej rodziny, donosicielei. Jeszcze w szkole mówiono nam, że w tym kraju ojciec nie może zaufać synowi, ani syn ojcu, gdyż nie wiadomo, który z nich jest donosicielem. Tak więc tych „złych” musiało być sporo, choć sowiecka władza troskliwie wychowywała naród od przeszło czterdziestu lat. Więzienia i łagry przepelnione były

---

18. Słowo „Gułag” to akronim rosyjskiej nazwy instytucji zarządzającej tym systemem: *Гłównoje uprawlenie isprawitielno-trudowych łagieriej i kolonij*. Tłumacząc na j. polski: Główny Zarząd Poprawczych Obozów Pracy. Gułagi istniały w ZSRR od 1930 roku. Były one podmiotami zarządzającymi obozami koncentracyjnymi, więzieniami czy łagrami w ZSRR, gdzie więźniami byli zarówno przestępcy kryminalni, jak i więźniowie polityczni.

niezliczonymi złoczyńcami. Kto by tam wiedział, ilu ich naprawdę było? Statystyki o tym milczały. W tym czasie mówiono, że w więzieniach przebywało około dziesięciu milionów ludzi, zaś jakieś piętnaście w łagrach. Piętnaście milionów niewolników, których życie już nic nie znaczyło prócz eksploatacji aż do ostatniego tchu – to potężna pozycja w planach stalinowskiej gospodarki!

Jak to zwykle u mnie bywa – te myśli wówczas nie nasuwały się. To późniejsze refleksje. Wówczas urok krajobrazu mijającego przed oknami więziennego wagonu oszałamiał zmysły, a również, pytanie: co nas czeka w tym nowym rozdziale sowieckiej przygody – napełniało mnie uczuciem nieokreślonego niepokoju.

Podróż od stacji nie trwała już długo. Może trzy, cztery godziny. Wyładowano nas w pobliżu centralnego punktu obozu. Po niezbyt długich ceremoniach wpuszczono przez bramę. Na szczęście, gdyż mróz szczypał po rękach i policzkach, a także przenikał do głębi ciała nieodzianego stosownie do syberyjskich warunków. Moje lekkie półbuciki i tandetna kurtka, jedno i drugie w ostatniej fazie zniszczenia, nie dawały ani części zabezpieczenia przed takim mrozem. „Do roboty dadzą nam pewnie walonki (wojłokowe buty) i watowaną fufajkę (kurtkę)” próbowałem się pocieszać. Maciejewski był wprawdzie cieplej ubrany, ale takie marzenie mogło dotyczyć i jego. „Kto ich tam wie” – odpowiedział jednak z rezerwą godną człowieka bardziej doświadczonego.

W ostatnim etapie, już od przesiadki u Sama, nie słyszeliśmy tego tak nieodzownego przed tym ostrzeżenia: „Szag w lewo, szag w prawo...” Kto by tu próbował uciekać? Pośród tych mas śniegu, w ten mróz dech zapierający, w nocy na pewno jeszcze sroższy niż teraz przy wolno zachodzącym słońcu, pośród tych nieprzebytych lasów tajgi – toż by to było szaleństwem znaleźć się na wolności! Wiedzieli o tym nasi strażnicy, ale obecnie zmniejszona dyscyplina dodawała otuchy. „Tu będziemy mieli więcej swobody, lepsze wyżywienie, a praca, choć ciężka, pokrzepi siły, zahartuje organizm wycieńczony długą bezczynnością i zaduchem cel więziennych oraz wypełni ten tak dotąd dłużący i przykrzący się niewypowiedzianie czas”.

## LUBIEŻNOŚCI

Całą gromadę wprowadzono do obszernego baraku i grupkami brano do „bani” - czyli do łaźni. No i rzeczy do odswżenia. Ta ostatnia operacja była w Odessie czynnością czysto profilaktyczną, teraz jednak stawała się koniecznością, bo poznane jeszcze w czasach przemyskich towarzyszkki niedoli dawały

znać, że nie należą do gatunku istot wymarłych. A łaźnia też była inna. W więzieniach te instytucje higieniczne były urządzone na zasadzie pryszniców. Tutaj pośrodku lokalu stała ogromna drewniana kadź, do której dopływała z jakiegoś niewidocznego kotła gorąca woda. Z drewnianych kurków nabierało się gorącą ciecz do także drewnianych szaflików i drogą polewania dokonywała się czynność oczyszczania. Kiepskie mydło spływało wraz z brudem, dając ciąłu przyjemne uczucie ciepła. No i czystości. Czystej bielizny ani fufajek, ani walonek – przynajmniej na razie – nam nie dano. Wdzieliśmy więc nasze stare, po drugiej stronie używalności znajdujące się odzienie i czekaliśmy co będzie dalej. Mimo świeżych zabiegów higieny trudno było pozbyć się wrażenia obecności ukrytych gdzieś wszy. Wydawało się, że wciąż coś łązi po człowieku. Sięgnąłem odruchowo za pazuchę, gdzie takie uczucie wywoływało złudę i wyciągnąłem... wesz! Prawdziwa, tłusta wesz! Widać tutejsza wszobojka nie była dostatecznie skuteczna. Tak więc trzeba było pogodzić się z losem, który nie miał poprawić się w przyszłości. Po każdorazowej kąpieli i odwszeniu pasożyty nie ginęły. Owszem, rozdzielały się równomiernie pomiędzy uczestników zabiegu. Kto miał ich mniej, ten otrzymał później więcej, a kto miał więcej, ten dobrze na tym wychodził. Obecnie zrobiliśmy jeszcze inne odkrycie: czy to podgrzane i podniecone ciepłem, czy też zachęczone „czystością” wszy kąsały po kąpieli jeszcze dotkliwiej. Można powiedzieć: wręcz lubieżnie.

W takim stanie „oczyszczenia” zapakowano nas do celi w innym baraku zastanego osiedla. Mówię „do celi”, bo istotnie była to całkiem regularna cela, z pryzkami piętrowymi i rygłem od zewnątrz. Tu nie było podziału na przestępców pospolitych i politycznych. Tylko że „błątnyje” mieli swój styl. Chodzili z „rubaszkami”, czyli koszulami, na zewnątrz, po czym było łatwo ich poznać. A jeżeli który był ubrany inaczej, to pewność siebie i czupurna postawa zdradzały prędko kto zacz.

W sąsiedniej celi przebywały kobiety, przywiezione widocznie niedawno do łagru. Nasi błątniaczy oczywiście odkryli ten fakt i nawiązali natychmiast kontakt z płcią piękną. Nie było to wcale trudne, bo w cienkich ścianach z sosnowych desek było dość szczelin i sęków łatwych do wybicia. Długo nie potrwało, a pod dolnymi pryzkami zaczęła się praca. Przy pomocy jakichś przemyconych noży, czy też naostrzonych kawałków metalu, pracując na zmianę, błątniaczy usiłowali wyciąć deski, by uczynić przejście do sąsiedniej celi. Wiadomo było o co chodzi, ale to nie nasza sprawa. W naszym stanie fizycznym i psychicznym nie byliśmy skłonni nawet do myśli o Erosie. W więzieniu rzadko kiedy mówiono o kobietach i o potrzebach wyzycia się zmysłowego. „Głodnemu chleb na myśli” – mówi przysłowie i ono stosowało się do nas dosłownie. Stąd też najulubieńszym tematem rozmów więziennych były

wspomnienia o odległych jak legenda czasach dobrobytu. Wyczarowywano z krainy baśni ulubione potrawy, wykwintne przysmaki, a na koniec marzono choćby o najedzeniu się do syta najwyklejším chlebem. Nasze błatniaki przeżyły być może skrócony tryb osądzenia, a w każdym razie musieli posiadać im tylko znane chody, sprawiające, że nie byli zagłodzeni, tak że głód innych instynktów dawał się im we znaki. Obecna więc sposobność musiała być wykorzystana dla upustu ich męskiej lubieżności. „Teraz będą przechodzili do bab i będą sobie używali” – oświadczył Maciejewski, ale pomylił się. Gdy późną porą wieczorną prace były ukończone i otwór w ścianie gotów, nie chłopy do bab, ale baby do chłopów zaczęły pojedynczo przechodzić i prędko znikwały na którejs z górnych prycz, zarezerwowanych dla żywołu łagiernego. Dowiedzieliśmy się wtedy, że żaden mężczyzna nie poszedłby do celi kobiet. To byłoby zbyt ryzykowne. Lubieżność zgłodniałych płciowo samic czyniła je podobne hienom i były ponoć wypadki, że zwabieni „frajerzy” przypłacali swoją naiwność życiem. Po jakimś czasie było całkiem cicho na celi, jedynie miarowe skrzypienie górnych prycz tu i ówdzie przypominało, że dzieje się coś, co dla mnie wtedy było jeszcze nieznanym porządkiem świata. Ciche, rytmiczne a lubieżne szmery grały nam kołysankę do snu i pozostaliśmy sam na sam z lubieżnością naszych wiernych wszy, ciesząc się, że w łagiernych pryczach nie było przynajmniej pluskiew. Wkrótce zasnęliśmy głęboko w tę pierwszą, wiosenną noc syberyjską...

## PIERWSZE WRAŻENIA

I znów marsz po podkładach kolejowych! Tylko że tym razem w nocy, do kąpieli i odwszenia. W kierunku przeciwnym szliśmy niedawno i za dnia – do pierwszego miejsca zesłańczej pracy. A teraz, ponieważ czystość i higiena należą do postępu, w uciesznych podskokach z podkładu na podkład, pośród śnieżnych przestrzeni oświetlonych jedynie gwiazdami i swoją własną bielą, podążaliśmy do przeklinanej w duchu i na głośno łaźni. Bo kiedy wyczerpanym i przemarzniętym po całodziennej pracy na mrozie ogłoszono po powrocie do obozu uroczyste „sobierajsja w banii” (szykować się do łaźni), nikt nie okazywał radości z błogosławionego obrzędu oczyszczenia, ale żalił się raczej z perspektywy skróconego wypoczynku. A gdy okazało się, że w naszym obozie łaźni w ogóle nie było i czekał nas ten nocny spacer po „szpałach” (podkłady szyn kolejowych), humory były szczytowo minorowe. Przynajmniej jedną godzinę w jedną stronę i przynajmniej drugą z powrotem! A to godzinne oczekiwanie na mrozie potężniejszym niż za dnia w zamian za ciepłą kąpiel

i podgrzewanie wszy! A rano pobudka o zwykłej porze. Czy przed następnym pracowitym dniem życia obozowego pozostanie choć ze dwie godziny na sen?

A jak wyglądał taki dzień, jakie były nasze pierwsze wrażenia – pokrótce postaram się opowiedzieć. Przed tym jednak muszę stwierdzić nawiasem, że ani walonek, ani fufajek, ani watowanych spodni, ani niczego innego ciepłego nie dostaliśmy. Jedynie drewniane chodaki z wierzchami z materiału podobnego do opon samochodowych. Dobre i to, bo w moich zdartych do cna półbucikach letnich nie można by było już w ogóle chodzić.

\* \* \*

Choć zrównanie wiosenne już minęło, a dzień stawał się dłuższy od nocy, słońce wzbijało się niewiele ponad horyzont, a śniegi leżały ponad dwumetrową warstwą na syberyjskim świecie. Jedynie obóz był odśnieżony na tyle, aby można było po nim chodzić. Odkryta spod białej pierzyny ziemia wyglądała jak twarda, betonowa powierzchnia. Wszak zmarznięta była na kilka metrów w głąb. W wielu miejscach lód utrudniał stąpanie i trzeba było dokonywać czynów z zakresu ekwilibrystyki, aby nóg sobie nie powykręcać. A choć słońce słało oślepiające światło, ziąb przenikał do szpiku kości.

Pierwszą pracą, do której mnie przydzielono, było odśnieżanie „bałanów”, czyli pni, poskładanych na stopy w czasie letniego wyrębu tajgi. Biciem w szybną zawieszoną przy bramie wejściowej budzono nas jeszcze przed świtem. Po szybkim ubraniu się, co było czynnością rzeczywiście uproszczoną, bo do spania na gołych deskach nikt się nie rozbierał, więc wystarczyło włożyć kurtkę, która w nocy służyła za materac, a następnie biegło się do ustępu, po czym stawało w ogonku do stołówki. Dziewięćset gramowa porcja chleba wyfasowana w przeddzień, zazwyczaj nie przetrwała do rana. Tylko starsi ludzie potrafili ją rozdzielić na trzy części, aby mieć posiłki w ciągu dnia. Zresztą chleb tutejszy to nie był ten odeski, pszenny, dobrze wyrośnięty, więc choć porcja była cięższa, to objętościowo nie była większa. Do stołówki stawało się w kolejce brygadami, to znaczy grupami roboczymi złożonymi z około trzydziestu więźniów, pod kierownictwem brygadiera, też więźnia. Nasza brygada składała się z samych Polaków i – nie można powiedzieć – panowała między nami spora solidarność.

Wystawanie na mrozie za miską wodnistej zupy i dwoma łyżkami kaszy niewiadomego pochodzenia było niemalą udręką. Bo pracować znaczy dokonać wysiłku, ruszać się, co przyczynia się do wydobycia z organizmu pewnej ilości ciepła, a tu, w ogonku, można było tylko nogami przebierać, rękami bić się po plecach, ale uczucia zimna nie można było wytrzepać. Gdy brygada

znalazła się wreszcie wewnątrz stołówki, każdy głęboko odetchnął, a co poniektóry kłął pod nosem na sukinsynów.

Zupy często były gotowane na rybach, tylko – ciekawe – że tamte ryby nie posiadały brzuchów. Ogony, płetwy i głowy nieraz wpadały do miski, ale żeby tak choć kawałek brzucha! A jak spytać wydającego tę zupę, gdzie brzuchy, to wyjaśnił, że się rozgotowały. Ano rozgotowały się doszczętnie, rozpuściły widać jak sól w wodzie... Tak więc posileni jak przystało byliśmy gotowi do całodziennego wysiłku przy odśnieżaniu i ładowaniu „bałanów” na samochody ciężarowe. Tylko że przed tym czekała nas jeszcze inna przyjemność: wystawanie przy wyprowadzeniu brygad na „proizwodstwo”, czyli na rejon pracy. Na dźwięk szyny wszyscy wychodzili z baraków i ustawiali się brygadami, czekając swej kolejki do wyjścia. Każdy brygadier podawał stan swoich ludzi, następowało liczenie, zapisanie wyniku, powtarzanie liczenia, zanim wreszcie doszczętnie przemarznięci znaleźliśmy się po drugiej stronie bramy. Tam też dopiero wydawano nam narzędzia pracy – w tym wypadku łopaty drewniane do śniegu, a następnie każda brygada pod opieką „anioła stróża”, czyli „strelka” zbrojnego w karabin z nasadzonym „szykiem”, mogła pomaszerować w kierunku swojego miejsca pracy. Można było „strelkowi” zazdrościć: w grubo watowanych spodniach, walonkach i długim kozuchu mógł gwizdać na zimno. Nam pozostawała tylko możliwość szczękania zębami. Ale ostatecznie to był jego zawód – psi bo psi, ale zawód.

Dzień pracy był długi, chłodny i głodny, bo porcja zupy gotowanej na „proizwodstwie” w zakresie każdej brygady wyposażonej w tym celu w mały kociołek stanowiła tylko mizerną pociechę. Ci, którzy potrafili zachować kawałek chleba na czas południowego posiłku, pogarszali tylko sytuację tych, którzy nie potrafili się zdobyć na taki akt bohaterstwa, a do których zazwyczaj należałem i ja. Ano, w moim wieku zjadłby człowiek wołu z kopytami, a tu tylko trochę śniegowej zupki. To, że po zagotowaniu śnieg zamieniał się w gorącą ciecz, było jedynym plusem owej „zupy”. A sama robota? Kto był z natury mocny, ten miał lżej, ale ja – co tu gadać – byłem chuchro. Dawniej trzęśli się nade mną, że słaby, że chorowity, że zdechlak, a teraz nikt by się o nic nie zatroszczył. Najwyżej napędzał. Zresztą napędzać nikogo nie trzeba było, bo był inny, naturalny naganiacz: mróz. Odgrzebywanie śniegu było ciężką robotą, ale jeszcze szło, bo śnieg nie był bardzo zbity. Za to z windowaniem „bałanów” w górę na samochód było gorzej. W czterech czy pięciu, tak zwanymi „zwienami”, trzeba było dać sobie radę z kłocami drewna ważącymi nieraz ponad pół tony. Siłą tylko ramion, z pomocą najprymitywniejszych narzędzi – drążków drewnianych – „bałany” łądowały na ciężarówkach. Flaki wychodziły człowiekowi! Wychodziły, ale nie wyszły, bo teraz nie mógłbym pisać tych wspomnień. Dopiero



o zmierzchu, po czternastogodzinnym dniu pracy, wracaliśmy do obozu. Znowu czekanie pod bramą, tym razem na wpuszczenie. Liczenie, przeliczanie, a nie daj Boże, żeby kogoś brakowało! Chyba nigdy nikogo nie brakowało, ale że strażnicy przy bramie nie zawsze byli biegli w rachowaniu, więc często doliczyć się nie mogli. Tak więc czekanie na wejście trwało zazwyczaj jeszcze dłużej niż na wyjście z obozu. Po oddaniu narzędzi była kontrola, czy ktoś coś niebezpiecznego nie wnosi przez bramę. Można było przenieść kloc drewna do palenia, ale nie daj Boże coś metalowego, co by mogło posłużyć za przyszłe narzędzie występku. W takich okolicznościach nadchodziła najbardziej wyczekiwana chwila w życiu obozowym: wydawanie chleba. Chleb był krajany przez szczególnie uprzywilejowanego więźnia – „chleboreza”. Odważany był on skrupulatnie, do kawałków zbyt małych należały dokładki wetknięte w nacięci zrobione w „pajce”. Najcenniejszą była porcja zwana „garbuszką” – przylepa, część z dużą ilością skórki. Jak się ona trafiła, to była radość, bo „garbuszka” była bardziej wypieczona i obeschnięta, podczas gdy wewnętrzna część chleba parowała wręcz wilgocią. No i co, jak się nie trafiła? Przeważnie się nie trafiła, więc na złość zjadało się całą porcję. A jak się trafiła, to była taka smaczna, że po całodziennej harówce i głódówce nie było siły, która by powstrzymała przed zjedzeniem całej pajki. Zupa w stołówce i porcja kaszy niewiadomego pochodzenia, otrzymane po ponownym odtańczeniu trepaka w kolejce, nie dawały ani części tej satysfakcji, jaką się miało po zjedzeniu całej pajki. Późną już nocą szło się spać, aby następnego dnia, przed świtem, nie zagrzawszy się też w nocy, być zbudzonym do nowego, czternastogodzinnego dnia pracy, nie licząc stania pod stołówką i przed bramą. A żeby choć w nocy można było przynajmniej spokojnie i cięgiem spać! Człowiek przemarznięty do cna musiał wstawać kilka razy, bo pęcherz nie chciał trzymać. Kiedyś nie mogłem zdążyć dobiec do rzędu ustępów i musiałem działać błyskawicznie... A tu za mną głos: „A czto ty tam diełajesz?” (A co ty tam robisz?) Co było się pytać, kiedy było widać, nawet po ciemku. Odpowiedziałem, że nie mogłem wytrzymać, że nie doniosłbym do „uborki”. Wymyślał, groził, że mnie weźmie na strażnicę, że będę rąbał drewna, ale kiedy się skończyło na wymyślaniu, odetchnąłem, bo przecież i tak miałem mało z tej nocy.

## RACJONALNA PRACA

Zima jednak, nawet w tych stronach, nie trwa cały rok. W końcu maja śniegi zaczęły topnieć. Słońce skryło się za chmury i deszcz, prawie nieustający, drobny, ale przenikliwy, dopomagał do szybkiego znikania grubej powłoki śniegu.

Nasze brązowe, opalone ostrymi odbłaskami słońca twarze straciły swój czerstwy wygląd, a śniadość ustąpiła miejsca wodnistej bledości. Babrząc się dzień cały w błocie i wodzie, przemoknięci do ostatniej nitki od nieustającej niemal siapaniny, wracaliśmy do obozu świadomi, że nie czeka nas ani ciepłe łóżko, ani sucha zmiana bielizny, jedynie piecyk żelazny pośrodku baraku, gdzie wszyscy równocześnie chcieliby się nieco podsuszyć. I o dziwo! Niegdyś taki podatny na przeziębienia, wówczas nie wiedziałem co to katar. A chętnie by się pochorowało, żeby trochę wypocząć. Niedziel i świąt nie było, tylko każdy dziesiąty dzień był wolny od pracy. Teoretycznie. W rzeczywistości musieliśmy dobrowolnie i spontanicznie iść do bezpłatnej pracy. To znaczy, że nie liczyło się normy, ergo można było objąć się bez obawy spadnięcia do gorszej klasy wyżywienia za niewyrobienie normy. Taka „dobrowolność” i „spontaniczność” jest jedną z najbardziej charakterystycznych cech życia sowieckiego. Nie tylko w łagrach.

Z odsnieżania przesunięto nas teraz do innej roboty. Naszym nowym zadaniem było rąbanie drzewa opałowego. Metrowej długości odcinki drzewa nie nadającego się dla obróbki, zgromadzone na kupy od letniego wycięcia lasu, trzeba było roztrzepać na dwoje lub czworo, zależnie od grubości klocka, a następnie składać w stosy metrowej wysokości. Dla większej stateczności rzędy układało się na przemian, raz w jedną, raz w drugą stronę, w kształcie długiego węża. Na osobę musiał on mierzyć dwanaście metrów. Trzeba było więc narąbać i ustawić 36 metrów sześciennych w trójkę – z Maciejewskim i pułkownikiem, człowiekiem w podeszłym wieku oraz kiepskiego zdrowia. Trzydzieści sześć metrów sześciennych drzewa na opał narąbać w ciągu dnia to było zadanie ponad nasze siły, a jednak trzeba było wykonać tę normę przynajmniej w 95%, żeby móc się utrzymać na tzw. „drugim kotle”: 900 gramów chleba oraz zupa i kasza rano i wieczór. Niewyrobienie tej normy oznaczało spadnięcie na „kocioł pierwszy”: 600 gramów chleba i tylko „bałandy” (wodnista zupa) rano i wieczór. Istniał jeszcze „kocioł trzeci” za wykonanie normy w 125%: dalsze 300 gramów chleba i dodatek w stołówce. O tym jednak nie marzyliśmy nawet i uważaliśmy, że nie opłacałoby się rujnować zdrowia i sił za tak mizerną cenę. Zresztą w brygadach polskich rozdzielano procenty nie według możliwości fizycznych jej członków, lecz według solidarności zbiorowej. W praktyce nieodzowne 95% były zwykle wypełniane.

Tak też kombinowaliśmy w naszej grupce trzech – z Maciejewskim i słabosilnym pułkownikiem. Właściwie „słabosilnym” to byłem ja, a nasz pułkownik był wręcz „dochodiągą”, czyli takim, który znalazł się na granicy wykończenia, nie tylko nie mającym już sił fizycznych, ale któremu zabrakło woli przetrwania. Bo kto potrafił jeszcze wolę z siebie wykrzesać, ten i siły

znalazł do nadludzkiego nieraz wysiłku. Tak więc w imię solidarności podtrzymywaliśmy biednego pułkownika na duchu i ciele, biorąc na siebie część jego pracy, ale też zmuszając go nieustannie do wysiłku i do wytrwania. Bo „dochodiągę” można było tylko jeszcze zmusić – sam nie miał do niczego woli. Nawiasem mówiąc głównym bohaterem był Maciejewski, nie ja. Kiedy on rąbał, to tylko wióry leciały. Ja tylko drzewo dziobałem, choć posiadałem jeszcze wolę. Będąc więc w terminologii łagrowej „słabosilnym”, musiałem nadrabiać pomysłowością. Widząc długie rzędy wykonanej i zdanej w poprzednie dni roboty zauważyłem, że znacznie prostsze by było przenosić porąbane drzewo ze starych stosów na nowe, niż zmuszać muskuły do ciągłego, a nadmiernego wysiłku. Cała trudność polegała tylko na obserwowaniu „strelka”, czy patrzy w naszą stronę. Choć kontrola roboty nie należała do jego psiego obowiązku – jego zadaniem było dopilnowanie, żeby nikogo nie zabrakło przy powrocie do obozu, to jednak, choćby ze zwykłych nudów, lubił on napędzać więźniów do pracy i uważać, czy ktoś się nie obja. Szybko jednak doszliśmy do poprawnej formy „kombinowania”: podczas kiedy Maciejewski siarczyście machał siekierą, ja wykorzystywałem każdą nieuwagę „strelka” i dorzucałem bliżej dawniej porąbane drewna. Nasz pułkownik musiał je wtedy tylko składać na nowe stopy. Takim sposobem wąż rósł zazwyczaj poprawnie, a pod wieczór dochodził prawie do przepisowych trzydziestu sześciu metrów. Jeszcze można było coś wytargować od dziesiątnika przyjmującego robotę, parę procent doliczyć za wyrąbywanie z lodu kłoców nieraz wmarzniętych w ziemię... Jednym słowem „racjonalną pracą” mogliśmy się jakoś utrzymać na powierzchni.

System ten nie był naszym wynalazkiem. W sowieckiej gospodarce był już z dawna szeroko stosowany, nie tylko w łagrach. Tak więc zawsze istniały wspańnięte osiągnięcia statystyczne o dokonanych dziełach, które w rzeczywistości nie istniały. Tylko na papierze. A energia włożona w przenoszenie poprzednio wykonanej pracy na nowe konto zmniejszała jeszcze rzeczywistą wydajność. Moralne to nie było, ale system zmuszający człowieka do oszustwa czy jest systemem moralnym? Czy człowiek przywykły w imię samoobrony do oszustwa, przy równoczesnym zachowaniu poczucia czystości sumienia, nie będzie w normalnych warunkach również oszukiwał? Czy masy obywateli w ten sposób wychowanych będą mogły kiedyś utworzyć państwo trwałe i sprawiedliwe?

## NOSIWODA

Wiosna nie trwała długo. Masy śniegu zniknęły nad podziw szybko. Zrobiło się cieplej. Deszcze ustały, a słońce, choć nie grzało zbytnio, towarzyszyło nam

od pobudki aż do powrotu z pracy i położeniu się na noc. Wszak byliśmy już niedaleko koła podbiegunowego i zaczynał się niekończący niemal dzień. Wtedy przeniesiono nas do innego oddziału tzw. „wtoroje oddzielenie” – obozu centralnego drugiej części iwdielskiego systemu wychowawczego. Był to obóz duży, na kilka, a może nawet kilkanaście tysięcy więźniów, centrum uprzemysłowione gospodarki leśnej. Tu nasz maszynista otrzymał przydział do maszyny w rejonie samego obozu – niezwykle korzystny awans, choćby przez sam fakt wydzielenia z bezmiennej masy niewolników. Ja oczywiście poszedłem znów na roboty „obszeczne” (ogólne) do tartaku, poza dwurzędnym cokołem z drutów kolczastych, wysokim na przeszło dwa metry, przeplatany wieżami drewnianymi, strażnicami obserwacyjnymi uzbrojonych w karabiny maszynowe „strelków”. Tak samo zresztą, tylko w mniejszych proporcjach, wyglądały inne obozy. Z Maciejewskim spotykaliśmy się dopiero wieczorem, po powrocie z pracy i spaliśmy razem, choć teraz można było łatwiej zagrzać się w nocy bez dotychczasowej symbiozy. Świadomość jednak posiadania wzajemnej przyjaźni miała w tamtych chwilach wykorzenienia niewymierną wartość. Na „wtorojem” przydzielono mnie do brygady ruskiej, na zmianę nocną. Wszak maszyny pracowały bez ustanku i dwie zające się zmiany musiały je obsługiwać. Do pracy wychodziliśmy około szóstej wieczór, do obozu wracaliśmy zaś około ósmej rano. Czternastogodzinny dzień pracy, ten normalny rytm życia w tym miejscu, obowiązywał też i tutaj. A na „proizwodstwo” było tu blisko – jakiś kwadrans marszu, więc dzień efektywnej pracy wynosił trzyście i pół godziny. Tylko!

Pierwszym moim zadaniem otrzymanym na tartaku było pojenie maszyny parowej, poruszającej piły rozcinające pnie na podkłady kolejowe, belki, deski i masę odpadków. Otrzymałem dwa wiaderka, którymi musiałem nosić wodę z odległego o kilkadziesiąt metrów stawu. Czerpać ją było trzeba z brzegu, bo nie było żadnej odpowiedniej instalacji, uważając, aby się nie poślizgnąć na rozmokłej glinie i nie zaznać zimnej kąpieli. Maszyna wody nie piła, lecz ją wręcz żłopała. Aby nie ustała, musiałem jej dostarczyć w przeciągu nocy kilkaset wiaderek. Dwieście do trzystu razy trzeba było obrócić tam i z powrotem, a napełnianie kubeków związane było ze swoistymi ćwiczeniami ekwilibrystyki. Na szczęście noce były jasne, co ułatwiało nieco żmudne zadanie czerpania wody w pozycji półleżącej z gliniastego brzegu stawu.

Piękne to były noce! Słońce płaskim lotem sphywało powoli za horyzont, oświetlając niebo czerwoną zorzą. Nawet po ukryciu się, po chwili znów uchylało rąbek swej ognistej tarczy pomiędzy zaroślami na drugiej stronie stawu. Unosiło się ono w górę wolno i majestatycznie – napełniając wibrującą poświatą krajobraz syberyjski. Gałązki brzoź na przeciwległym brzegu nabierały

barw czerwonych, przeglądając się kokieterystycznie w zwierciadle wody, jakby chciały odprawić poranną toaletę. Trzciny od mojej strony kłuły niebo ciemnymi ostrzami, a od lekkiej mgiełki cały krajobraz rozpływał się w tonach miękkich pastelów. Nie było jednak czasu na zachwyty, bo maszynista zaraz wołał: „Ej, ty, czto tam dumajesz?” I przez chwilę zastygły w kontemplacji pięknej natury, brutalnie gwałconej przez człowieka, na ten głos ścisnąłem mocniej uchwyty wiaderek i szybko pogrążyłem w czerwono srebrzystej cieczy potrzebnej do zaspokojenia prozaicznej zachłanności maszyny parowej.

„Praca wyzwala” – głosiły slogany w niemieckich obozach koncentracyjnych. Warunki jednak stworzone przez jednych i drugich „przyjaciół” były podobnie zniewalające, odczłowieczające, czyniące z istoty rozumnej cząstkę maszyny, która bez ustanku się obracając przestawała myśleć i czuć po ludzku. Organizm zaczynał reagować na najniższe tylko bodźce oraz instynkt samozachowawczy. Najęść się możliwie do syta, wyspać tak, aby spać się więcej nie chciało – to były jedyne pragnienia, które opanowywały doszczętnie upadłą naturę. Apatia stawała się nieuchronną rzeczywistością, stadium „dochodiagi” groził każdemu prędzej czy później. Wszak obozy nie były miejscem rzeczywistego wychowania, jak to głosiła ich zakłamana nazwa, lecz miejscem zagłady. Zagłady powolnej, gdzie człowiek zanim szczerze, wszystkie swoje siły fizyczne postawi pod fundament socjalistycznego szczęścia przyszłych pokoleń.

Nocna zmiana na tartaku dobiegała końca i przyszło do rozdzielenia owoców dziesięciodniowej pracy pomiędzy członków brygady. Zdałem sobie wówczas sprawę, że nie byłem już w brygadzie polskiej. Brygadier-Rosjanin, zapewne jakiś pospolity przestępca pozbawiony wszelkich skrupułów, dał mi zaledwie 65% normy, choć poilem parowego potwora zawsze do syta. 65%, dostatecznie dużo, aby nie spróbować kotła karnego. Bo poniżej takiego niewypełnienia normy groziło nawet i to. Tak więc na nadchodzącą dekadę przeszedłem na kocioł pierwszy: 600 gramów ciężkiego chleba, bałanda, w której dopatrzeć się pływającego oka tłuszczu było niemożliwością, a krupa krupę goniła – dwa razy na dzień i nic więcej. Na pocieszenie można powiedzieć, że była to ta sama zupa, co dla kotła drugiego. Ale kasza, choć nie wiadomo z czego przyrządzona, przepadła na najbliższe dziesięć dni. Najgorszą jednak stratą był chleb<sup>19</sup>.

---

19. W 1943 roku T. Wojnarski tak wspominał przebywanie w łagrze: „W łagrze, na wikcie gorzszym niż w więzieniu, trzeba było ciężko pracować. Normy pracy były tak wysokie, że dla ludzi wycieńczonych więzieniem niemożliwe były do wykonania. Przeciętny dzień w obozie: pobudka o 4.00 rano. W ogonku po zupę trzeba było stać ok. godziny. Również ok. godziny trwało wyprowadzanie brygad do pracy. Roboty były różne, przeważnie leśne (obóz był w tajdze, blisko 700 km na północ od Swierdłowska na północnym Uralu: *swierdłowska oblast, iwdielskij rajon*). Praca trwała 13 do

## POWÓDŹ

Między zmianą nocną a dzienną był dzień wypoczynku. Osobliwy rachunek: ostatni raz wróciliśmy z pracy rano, a następny wyszliśmy też rano. Kolejne dziesięć dni pracowałem na noszeniu desek w tartaku, a po tym przeniesiono mnie na spław. Trzeba było wyławiać z rzeki przyniesione z prądem pnie, kiedy indziej rozbijając bosakami zatory spiętrzonych „bałanów”. A wody tymczasem wzbierały od spływającego wciąż jeszcze z wyższych miejsc topniejącego śniegu. Pewnego dnia zarządzono nagły powrót do obozu. Nie wiedzieliśmy co się stało, podobno woda groziła zalaniem baraków. W przyspieszonym tempie przeprowadzono nas przez bramę i kazano zabrać wszystkie rzeczy. Ewakuacja!

W naszym baraku ruch gorączkowy. Wyglądam Maciejewskiego, a jego jeszcze nie ma. Nasze rzeczy leżały na razie w porządku. Dniewalny<sup>20</sup> starszek pilnował, aby nikt niepowołany nie wchodził do baraku w czasie pracy brygad. Ale teraz panowało bezhołowie. Co się stanie z rzeczami przyjaciela i jego skarbem w postaci butów, o które tak się wciąż troskał? Już kazali wychodzić, a Maciejewskiego wciąż nie widać. Znalazłem się w sytuacji, w której musiałem powziąć jakąś decyzję, a żadna nie była dobra. Zostawić buty w tym bałaganie, to ukradną. Tak jak dwa razy dwa jest cztery. Przecież dniewalny nie może w takich warunkach za nic odpowiadać. Jeżeli je zabiorę, to jaką mam pewność, że nas obojdu sprowadzą po wszystkim do tego samego obozu? Nie przyszło mi do głowy, aby wykorzystać sytuację i okraść przyjaciela. Nie, tego bym nigdy nie uczynił, a jednak stałem się złodziejem. A przynajmniej za takiego miano mnie prawo uważać. W tym gorączkowym myśleniu wydawało mi się, że jeżeli te buty zostawię, to tak czy inaczej ukradną, a jeżeli zabiorę, to jest duża szansa, że się znów spotkamy i wtedy skarb przyjaciela będzie uratowany. W najgorszym wypadku, gdybyśmy się już musieli rozstać na zawsze...

---

14 godzin. Powrót do obozu o 20.00 lub 21.00. Znów godzina w oczekiwaniu na zupę i 30 do 90 dag chleba, zależnie od wypracowanej normy. Mieszkaliśmy w barakach, na gołych pryzkach. Czasem, gdy dzień był dżdżysty (w maju i czerwcu 80 proc. dni jest słotnych), w zupełnie mokrym ubraniu trzeba było kłaść się spać, ale nikt na to nie zwracał uwagi, zadowolony, że może odpocząć. Ubranie dostać było bardzo trudno. Gdy wreszcie dali, to było ono tak zniszczone, że niedługo można było w nim chodzić. Zresztą prawie wszyscy byli tak obdarci, że na wygląd nikt już nie zwracał uwagi – Dokuczał tylko chłód i olbrzymie masy komarów, które gryzły w twarz, ręce, przechodziły przez każdą dziurkę w spodniach lub koszuli. Choroby i śmierć niszczyły Polaków. Nazwisk zmarłych niestety nie pamiętam. Ogarnięci całkowitą apatią chodziliśmy po pięć–dziewięć kilometrów do roboty, czekając na zbawienie. Gdy wreszcie przyszła amnestia, w co początkowo nikt nie chciał wierzyć, naganiano nas do roboty tym więcej” – zob. Świadectwo Tadeusza Wojnarskiego...

20. Dyżurny niższego stopnia.

„Wychadzi paskoriej!” (wychodzić szybko) – donośny głos przerwał dalsze rozważania. Z baraku trzeba było wychodzić już nieodwołalnie, a Maciejewski wciąż się nie zjawiał... Złapałem drogocenny woreczek i wybiegłem z baraku. Rozglądałem się jeszcze na wszystkie strony, czy może ujrzę nadchodzącego... Nadaremnie! Wyprowadzono nas z obozu, załadowano do pociągu i choć powodzi wcale nie było widać, powieziono nas na ewakuację. Podróż nie trwała długo. Umieszczono nas w jakimś obozie nie zagrożonym widać powodzią, rozlokowano po barakach, a ja nawiązałem komitywę z dwoma chłopcami – Polakami, bo i różniej było w grupie i w nocy cieplej spać razem, choć to było lato i zimno nie było takie dokuczliwe. Wdrapaliśmy się na górne prycze jako miejsce pewniejsze i cieplejsze i rozłożyliśmy nasz skromny dobytek. Moje posiadłości były iście niewielkie, jednak miałem zaoszczędzoną porcję chleba, co było prawdziwym skarbem. Do tego dochodziły teraz buty Maciejewskiego, a tych musiałem strzec jak oka w głowie. Zaczynałem teraz żałować, że je wziąłem, bo bałem się ruszyć z miejsca, aby ktoś w międzyczasie ich nie ukraść. W nocy worek z tymi butami i moim cennym chlebem włożyłem pod głowę, bo to było najpewniejsze miejsce w naszych warunkach. Z mojej tajemnicy zwierzyłem się jednak nowym towarzyszom niedoli. Zapewnili mnie, że będą też uważali. Uspokojony taką obietnicą usnąłem w tę pierwszą noc przymusowych wakacji. Nazajutrz po przebudzeniu pierwszą myślą było sprawdzenie czy worek jest jeszcze pod głową. O zgrozo, nie wiedziałem, czy śnię, czy to już na jawie: cennego dobytku pod głową nie było! Spałem na gołych deskach i nie czułem, żeby coś podejrzanego się działo. W przerażeniu nie wiedziałem co czynić. Moi nowi towarzysze wciąż jeszcze spali – do roboty nas tego dnia nie pędzono. Zsunąłem się z pryczy. W baraku panował spokój. Brygady pracujące widać już wyszły, choć ja niczego nie słyszałem. Gdzieniedzie tylko spali jeszcze więźniowie z ewakuacji lub jakieś inne podejrzanego typy. Wylałem znów na górną pryczę. Nieco dalej od nas spało kilku więźniów ruskich. „Może to któryś z nich?” – przeszło mi przez myśl i jak kot skradłem się w ich kierunku. Pomacałem ich podgłówki... Butów nie było czuć, ale chleb był. Z najwyższą ostrożnością wyjąłem go z ukrycia... śpiący nawet się nie poruszyli. Starąłem się w siebie wmówić, że to była moja, mnie ukradzioną pajka! O ludzkie sumienie, giętkie jak guma! Wychowany przez matkę do bezwzględnej uczciwości czyniłem teraz krzywdę współwięźniowi, wmawiając sobie, że sprawiedliwości staje się zadość. Butów Maciejewskiego nie chciałem ukraść, ale ten chleb... Szukanie rekompensaty za stratę – materialną i moralną – stało się motorem nikczemnego uczynku.

Po kilku dniach wracaliśmy do naszego obozu na „wtorojom”. Bałem się spotkania z Maciejewskim... Cóż mam na moje usprawiedliwienie? Nic. Wszystko przemawia przeciwko mnie. Czy mogę mieć nadzieję, że uwierzy opowiadaniu o moich dobrych intencjach? Nie uwierzył. Nie tylko nie uwierzył, ale posądził mnie o spótkę z przejściowymi kompanami. Nie pomogły zaklinania, że wszystko stało się poza moja wolą i świadomością. Chciałem dać w zamian pulowerek zrobiony przez ciotkę na ewakuacji, który miałem oddać wujkowi w Warszawie, a którego w poczuciu poszanowania cudzej własności prawie nie używałem; był tylko zniszczony przez odwszalnie. Maciejewski jednak odmówił. Ze złodziejem nie chciał mieć w ogóle nic do czynienia. Twardy człowiek! Nie pomogły żadne tłumaczenia, żadne prośby. Straciłem przyjaciela w taki głupi sposób, co było stratą niepowetowaną w tamtych ponurych czasach... Powódź zalała moje sumienie. Postawiła mnie przed dylematem, którego nie umiałem rozwiązać i teraz muszę ponosić bolesne konsekwencje.

## WOJNA!

Pewnego dnia gruchnęła nieprawdopodobna wiadomość: „Niemcy złamały pakt przyjaźni ze Związkiem Sowieckim i w wielkiej ofensywie maszerują na Moskwę!”. Nie, to było nieprawdopodobne! Czyż byśmy od napastników naszego kraju mieli teraz oczekiwać wyzwolenia? Absurd, a jednak w beznadziejności i absurd staje się nadzieją. Na potwierdzenie wiadomości o wojnie zmniejszono porcje chleba do 600 gramów. Także jego jakość pogorszała się z dnia na dzień. Jakość zup i kasz wydawała się być już niedościgniona w swojej podłości, a jednak i one stawały się jeszcze podlejsze. Nie upłynęło długo, a na „wtorojom” zarządzono transport więźniów. Zgromadzeni do standardowej rewizji stwierdziliśmy bez trudności, że do odejścia byli przeznaczeni sami tylko Polacy. No i polscy Żydzi, Ukraińcy, Białorusini... Na drogę wydano nam suszony chleb i śledzie, a dokąd mieli nas zawieźć, tego nikt nie mógł wiedzieć. Niedługo jednak okazało się, że wcale nas nie miano wieźć, tylko intensywnym marszem przeprowadzić do odleglejszych punktów iwdielskiego systemu. Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Postojów na posiłki nie robiono. Każdy jadł jak mógł w marszu – suszony chleb i potwornie słone śledzie. Jaka będzie reakcja organizmu na taki wikt można było przewidzieć, zwłaszcza że do picia nie mieliśmy nic. Nie jeść jednak w naszym stanie wycieńczenia byłoby równie nierozsądne, jak jeść te odwadniające produkty. Poza wodą deszczową stojącą w koleinach wozów przejeżdżających widać tą samą drogą, nie było nadziei na otrzymanie jakiegokolwiek napoju. Kto więc miał jakąś



blaszankę, skarb na tamte czasy bezcenny, w biegu czerpał zmaconą przez idących z przodu ciecz. Nie było czasu na ostrożne zebranie po wierzchu stojącej wody, więc choć tę schwytaną w przelocie. Aby przynajmniej z grubsza zaspokoić to palące pragnienie...

Dopiero pod wieczór dotarliśmy do jakiejś większej rzeki. Tutaj pozwolono nam po raz pierwszy odetchnąć i napić się do syta. Rzuciliśmy się jak opętani na płaski brzeg i jak bydłeta żłopaliśmy wodę gębami wprost z rzeki. I nagle zjawiły się nie wiadomo skąd kobiety z bańkami mleka... Kto miał jakieś pieniądze, wolno mu było kupić mleko po rublu za litr! Nie do uwierzenia: za rubla litr mleka! Prawdziwego, świeżego mleka, jakiego nie widzieliśmy od czasów naszego uwięzienia! Miałem jeszcze kilka rubli ze sprzedanego w międzyczasie pomarańczowego sweterka, tego zrobionego przez ciocię dla wujka w Warszawie. Po historii z butami Maciejewskiego nie miałem już chęci zachowywać go i sprzedałem za porcję chleba i piętnaście rubli, za które i tak nie można było nic otrzymać. Teraz więc mogłem zażywać tej nieprzewidzianej rozkoszy. Po wypiciu już przynajmniej litra wody jednym duszkiem wlałem w siebie litr mleka, rozglądając się za drugim, zanim go nie zabraknie albo „strefek” znów nie zarządzi dalszego marszu. Po wypiciu drugiego litra mleka pragnienie było zaspokojone, ale po krótkim odsapnięciu zabrałem się znowu do żłopania wody w rzece. Kiedy będzie nowa okazja na picie w tym wariackim marszu? Gdy wydawało się, że całe wnętrze było już po brzeg wypełnione cieczą, pojawiły się naraz inne kobiety – z kwaśnym mlekiem! No nie! Kwaśne mleko! Przecież, takiej frajdy za jednego, w obozie i tak nic nie wartego rubla nie można było przepuścić! Wziąłem więc litr kwaśnego mleka. Sapiąc i wzdychając wypilem wszystko... Myślałem, że po tej orgii picia nie przeżyję nocy. Przecież wlałem w siebie razem przynajmniej z pięć litrów płynów. Ale noc przeżyłem – spędziliśmy ją pod gołym niebem po jakimś jeszcze czasie marszu, marznąc do cna na mokrej ziemi i będąc niemiłosiernie kąsanymi przez komary. Natomiast pięć litrów wody i mleka wlanych na przemian do wysuszonych i zasolonych wnętrzności nie zaszkodziło ani trochę! Co znaczy młodość!

Dnia następnego, po krótkiej, urozmaiconej prószącym deszczem letniej nocy, podjęliśmy dalszy marsz w kierunku naszej nowej „Przystani”. Tę piękną bowiem nazwę nosił ostatni etap iwdielskiego epizodu.

## KOMARY

Praca na „Przystani” była odpowiednio do nowych warunków ciężka: pował lasu. Miejsce pracy było też odpowiednio daleko położone – około dwóch

godzin marszu. Znaczna część drogi prowadziła przez teren spalonych poza-rem lasów. Sterczące czarne kikuty niegdyś pięknych, zdrowych drzew napełniały nasze dusze tęsknotą i bólem. Rzeczywistość wokoło oznaczała śmierć i wyniszczenie. Jakieś głębokie, symboliczne a istotne powiązanie istniało pomiędzy szczątkami wypalonego lasu a snującymi się wynędzniałymi ludzkimi cieniami. Tylko że szczątki lasu niczego już nie czuły, a ludzkie cienie, póki się jeszcze poruszać mogły, póki dusza się w nich jeszcze kołatała, nie mogły się cieszyć rozkoszą bezczucia. Każdy krok był wysiłkiem woli, a wysiłek ten musiał trwać na całej trasie dziesięciokilometrowego marszu. W jedną stronę – do pracy i w drugą – z powrotem, znów poprzez ten duchowo bliski a okrutny, spalony las. W rzeczywistości byliśmy podobni raczej nie do cieni, ale do upiórów. Każdy z nas wyglądał tak samo, więc nic już nikogo nie dziwiło. Oblicza pokąsane przez niezliczone komary były obrzękłe i zakrwawione własną krwią, wyciągniętą z natrętnych napastników w akcie samoobrony. Właściwie otrzymaliśmy tak zwane „nakomarniki”, siatki na głowę dla ochrony przed rojami krwiożerczych owadów, jednakże siatki te w marszu przeszkadzały, a pracę w lesie wręcz utrudniały. Podnosiliśmy je więc zwykle z przodu, ograniczając ich ochroną działalność przynajmniej do karku i uszów. Zresztą, pod zapuszczone komarniki, z dołu wiszące luźno, komary też się dostawały. A jak się dostały, to używały niepomne na niechybną śmierć. Bo choć podobni cieniom czy upiorom – z walki nie zrezygnowaliśmy. Wojując z komarami nie wolno było nam zapomnieć, że mieliśmy normy do wykonania. Nie mogliśmy więc zapomnieć o istotniejszej – od zmagania z brzęczącą plagą – walce: o przetrwanie. Bo przecież nowa faza wojny, choć tak dotkliwie pogarszała nasze warunki, to równocześnie dawała nadzieję na zmianę stosunków w całym świecie, a więc i na zmianę naszego losu. Ale praca, jak się rzekło, była szczególnie ciężka. Wyrąb lasu dla ludzi silnych z natury, zaprawionych i dobrze odżywionych nie jest rzeczą straszną. Na pewno jest zdrowszy i nie cięższy od roboty górników kujących węgiel lub rudy głęboko pod ziemią. Tylko że pomiędzy nami nie wszyscy byli silni z natury, zaprawiony mało kto, a dobrze odżywiony to już nikt. Normy zaś były takie, że nawet ten, który łączył w sobie wypełnienie wszystkich wyżej wymienionych warunków, nie musiałby się ich powstydić: osiem metrów sześciennych pni sosnowych, lub siedem modrzewi, albo cztery do pięciu metrów cienkich z natury jodeł i smukłych świerków. Drzewa były powalane przy użyciu siekier i ręcznych pił. W tamtych czasach i stronach o mechanizacji pracy nie było jeszcze nic słyhać. Ale zadanie nie kończyło się na zwaleniu drzew. Trzeba je było jeszcze rozpiłować na przepisane długości,

gałęzie czysto obrąbać i poznosić na stosy przeznaczone do spalenia. W tych trudnych warunkach szczęściem było to, że mieliśmy znów polskie brygady. Polacy z natury nie są narodem zgodnym, to jednak w sytuacjach krytycznych potrafią zdać egzamin solidarności. Gdyby takimi byli również w warunkach normalnych, staliby się wielkim narodem. W pierwszej dekadzie pracowaliśmy grupami, zwanymi z ruska „zwienami”, po pięciu lub sześciu w ramach naszej brygady. Próbowałem moich sił we wszystkich możliwych robotach w zakresie nowych zadań. Nie chciałem być gorszy od innych, choć to był wysiłek wyniszczający człowieka. W brygadzie jednak dochodziliśmy jakoś do norm przepisanych na tyle, aby nie spaść z poziomu drugiego kotła, tego nowego, wojennego. Podziwialiśmy Niemców nadwożańskich, którzy siedzieli w obozach jeszcze od czasów czystek przedwojennych i nad podziw dobrze się trzymali. Pewno byli zaprawieni do takiej roboty, a może też i paczki dostawali od rodzin? Tak czy inaczej wypełniali oni 120–130% norm i trzeci kocioł był stałą ich zapłatą. Nawet kucharz widać się z nimi liczył, bo chochlą głębiej sięgał, zagarniając z dna więcej krup i jarzyn. Niemcy imponowali nam i dodawali wiary w siebie samych. Może bardziej niż imponowali byli bodźcem do pożądania lepszego wikt. Zaraziłem się ich przykładem i szukałem pomiędzy braćmi kto by się pokusił na wyniki „stachanowskie”. Między Polakami niełatwo było jednak o amatorów kwaśnych jabłek. Żeby to choć były kwaśne jabłka! Wreszcie z jednym z kompanów doszliśmy do porozumienia i postanowiliśmy porwać się na trzeci kocioł: przynajmniej 110 % normy. Przez dziesięć dni rąbaliśmy las jak szaleni. Ja podcinałem siekierą pnie od dołu, a kumpel sam walił je piłą łuczkową. Potężne syberyjskie olbrzymy padały, tylko stękając pod wściekłością drwała. Ja z kolei odrąbywałem konary i gałęzie od pni, a następnie znosiłem na kupę, podczas kiedy towarzysz rozdzielał powalone kłocę na części. Brygadier i dziesiętnik zgodzili się na zakwalifikowanie naszej pracy osobno i w rezultacie zarobiliśmy na następną dekadę trzeci kocioł. Jeden jedyny raz w syberyjskim epizodzie! Jeden jedyny, bo choć dwustugramowy dodatek chleba do głodowej porcji był coś wart, a placuszek w kuchni na trzecie danie też wnętrzości łaskotał, to jednak wartość odżywcza zapłaty nie rekompensowała takiego szaleństwa. A gdy kucharz dla nowo upieczonych stachanowców nie sięgał chochlą głębiej do kotła, postanowiłem dać za wygraną. W następnej dekadzie pracowałem harmonijnie z całą brygadą, odrąbując gałęzie i znosząc je na stosy, albo obskrobując z kory pnie przeznaczone na podkłady kolejowe, co dawało brygadzie dodatkowe procenty. A wojnę z plagą komarów należało zapisać na czerwono, własną krwią na marginesie naszych zmagañ z losem.

## MUSZKI

„Komary to niczewo!” – mówili bardziej doświadczeni od nas więźniowie ruscy, kiedy uskarżaliśmy się na tę dokuczliwą plagę, która za dnia w leśnym, w nocy w barakowym półmroku, wysysała nam nieustannie krew. „Jak przyjdzie moszkara, to zatęsknicie za komarami”. Przyszła. „Moszkara” – małeńkie, czarne muszki, a ich ukąszenia były o wiele dotkliwsze od komarów. O ile te atakowały tylko odkryte części ciała, a więc twarze, szyję i ręce, o tyle muszki nie zadawały się łatwością łupu i wchodziły pod rękawy, za koszulę, przez niezliczone dziury w wyniszczonym do szczętu ubraniu, gryząc tak boleśnie, że nieżywego by poderwało. W ten sposób szły w zawody z wszami, tylko że wszy wobec muszek to szczeniaki!

Ukąszenia muszek poderwałyby nieżywego, a my jeszcze wciąż byliśmy żywi. Może już tylko półżywi. Stan apatii ogarniał całe jestestwo, przytłumiał uczucia i stany wewnętrzne coraz dokładniej, tak że z istot ludzkich stawaliśmy się bezwolnymi automatami, poruszającymi się nakazami podświadomości, prawem instynktu zachowania życia, a jeszcze bardziej wolą ciemnych nastawionych na wydobycie wszystkich sił ze swoich ofiar. To był właśnie tak zwany stan „dochodniagów” – określenie trafne, a okrutne, na istotę rozumną zredukowaną do najniższej formy wegetacyjnej. Muszki w takiej sytuacji miały swoją specyficzną rolę do wypełnienia: podrywały nas z odrętwienia, przypominały natarczywie, że jeszcze nie nadszedł kres. W tym sensie były one chyba pożyteczne i potrzebne. Krwi wypijały mniej od komarów, więc mimo wszystko, nie były takie groźne jak inne pasożyty.

Warto tu zauważyć ludzkie przywiązanie do życia. Pomimo wszechwładnej apatii, sprowadzającej nas do istot niższego gatunku, pragnęliśmy żyć. Nie słyszałem o wypadkach samobójstwa. Człowiek wolał żyć jak bydlę niż nie żyć. Wszystko chciało przetrwać te koszarne dni, choć kresu ich nie było widać, choć nikt nie tęsknił nawet za wolnością, bo sobie jej już wyobrazić nie mógł, nikt nie tęsknił za rodziną, nie marzył o rozrywkach. Jeszcze tylko palacze tęsknili za szlugiem i oddawali swą głodową porcję chleba za miarkę z pudełka zapalek najpodlejszej machorki. Ja nawet tej tęsknoty nie odczuwałem, bo nie zdążyłem się nauczyć palić. Tylko najeść się, najeść się byle czym, aby choć z raz do syta – pozostawało nigdy nie spełnionym marzeniem pod naporem nieprzewyciężonego instynktu. Gdy więc ukazał się w stołówce dodatek „cyngotny” (szkorbutowy) w postaci sałatki z buraków i innych jarzyn, gotów byłem stać kilka godzin w ogonku do lekarza kosztem snu, aby pokazać pierwsze objawy szkorbutu i pozyskać tę kuszącą sałatkę. Lekarz był ludzki

i dodatek „cyngotny” przepisał. Co to za radość była móc delektować się nie dużą wprawdzie, lecz rozkosznie łechcąca podniebienie porcją mniej lub więcej świeżych jarzyn! Niezależnie od tej oficjalnej akcji dożywienia, zwłaszcza po zakończeniu dziesięciodniowej kuracji skorbutowej, oczy szukały za każdą inną strawną substancją. Tak więc, gdy wydawano w stołówce „tiulki”, czyli owe znane nam jeszcze z Odessy małe solone rybki, patrzyłem czy któryś Rusek podkarmiony paczkami od rodziny nie pozostawił na stole oderwanych łebków. Kiedy tylko wyszedł, kupkę łebków zgarniałem w garść, aby ich fosforonośnym składem wesprzeć wołający o ratunek organizm. Co tylko wydawało się być jadalnym, pożądane było pożądaniem wielkim, choćby nie odznaczało się ani wykwintnym smakiem, ani apetycznym wyglądem. Kiedyś przy wyrąbie lasu znalazłem kilka grzybów podejrzanej jakości. Nie znając się na materii zapytałem innych, czy aby nie są one trujące. Zapewniono mnie, że nie, choć nie posiadały żadnych wartości odżywczych. Skoro nie trujące, to przynajmniej mogły dać złudne uczucie sytości po ich spożyciu. Nabrałem więc do mojego cennego „kociołka” wody, o którą w lesie nie było trudno, wrzuciłem owe grzyby wraz z kilkoma tiulkami otrzymanymi tego rana i rozpaliwszy ogień uzyskanymi od kogoś z towarzyszy zapałkami, zacząłem gotować wielce obiecującą zupę. Gdy woda się podgrzała, okazało się, że grzyby te nie grzeszyły przyrodzoną jadalnością tylko wobec człowieka, natomiast były wybornym pokarmem dla robactwa, które teraz wypłynęło w obfitości na powierzchnię mojej obiecującej zupy. Gdy pochylony nad kociołkiem rozważałem jadalność szykującej się potrawy, posłyszałem nagle suchy głos „strełka”, który za moimi plecami nieproszony stanął: „Nie lzia!” (nie wolno). Ocknąłem się z zadumy, schwyciłem odruchowo cenny kociołek i zapytałem: „Poczemu nie lzia?” (dlaczego nie wolno?). „Nie wolno palić ognia” odparł zapytany i kolbą karabinu rozrzucił płonące drwa, a żar zdusił swymi grubymi buciskami. Z żalem patrzyłem na moją niedogotowaną zupę, na jej, nawet wtedy bynajmniej apetyczny wygląd, a dusza pozostała na rozdrożu: zjeść czy nie zjeść tę ohydłą potrawę?

Nagle dotkliwe ukłucia, rodzaj szczypania, typowe uczucie wywołane ukąszeniami muszek, które do tej pory przy dymiącym ognisku nie próbowały dokuczać, przypomniły, że pora nie jeść, ale pracować. Tego samego zdania był zresztą też i „strełek”, który na widok mojej ostatecznej decyzji spożycia cennej zawartości kociołka, rozeźlił się do reszty i wyrwawszy mi go z rąk, wylał na łono natury i grzyby i robaki i tiulki. Z żalem patrząc na stratę, poczłapałem ku leżącym olbrzymom, aby dalej obrąbywać ich konary i gałęzie.

## NA „PRYZYSTANI”

Czy na „Przystani” było gorzej niż w innych punktach iwdielskiego systemu obozów? Trudno powiedzieć, bo braki spowodowane wojną dawały się odczuwać zapewne wszędzie. Dzienna racja chleba spadła wkrótce do połowy dawnej: 450 gramów o jakości coraz podlejszej, coraz bardziej zbliżonej do właściwości gliny podgrzanej, a nie wypalonej, parującej od wilgoci i ciepła. Bo taki możliwie świeży, nie obeschnięty chleb ważył więcej, a ciężar porcji musiał posiadać określoną normę. Być może, że im dalej od centrali gułagu, tym dostawy były trudniejsze, ale chyba inna okoliczność odgrywała bardziej zasadniczą rolę, a z tej okoliczności dopiero tutaj na Przystani zdaliśmy sobie nieco lepiej sprawę. Dopiero tu, a może dopiero teraz, po kilkumiesięcznym doświadczeniu, poznaliśmy lepiej zasady organizacyjne obozów sowieckich.

O organizacji obozów jako udzielnych państwerek więźniów, o ich rozmiarach i rozrzuconiu w terenie, o stolicach i oddziałach administracyjnych niższego rzędu, aż do najmniejszej „podkomandirówki”, wspomniałem już wcześniej. Teraz chcę krótko opisać jej organizację wewnętrzną. Bez względu na jej wielkość – posiadała ona swoją autonomię, a rządy sprawowali więźniowie. Oczywiście zadania do wypełnienia były postawione przez czynniki zewnętrzne, a obóz musiał je wykonać. Władzą najwyższą obozu, a raczej każdej poszczególnej „podkomandirówki”, był naczelnik, oficer NKWD, posiadający odpowiedni do wielkości obozu zastęp podkomendnych, tzw. „ochranę”, oddziały „strzelków” – aniołów stróżów Gułagu, którzy z wieżyc ustawionych po rogach i nieraz bokach obozu otoczonego podwójną palisadą z siecią drutów kolczastych strzegli granic państwka. W dzień i w nocy. W nocy pod oświetleniem zasieków mocnymi reflektorami, co w porze letniej było zbyt skuteczne. W dzień zadanie to było uproszczone, bo brygady robocze szły na „proizwodstwo”. Tu oczywiście „strzelkowie” mieli większą jeszcze odpowiedzialność, bo musieli dopilnować grupy mogące się poruszać w terenie nieogrodzonym i przywieźć do obozu taką samą ilość więźniów, jaką wywiedli. To była władza zewnętrzna. Wewnątrz obozu natomiast panowały rządy wyborowych przedstawicieli świata „zakluczonych”. Była więc „samoochrana” z jej „rukowoditелеm” na czele, dopilnowująca porządku wewnętrznego, zwołująca apele i doglądająca, czy ktoś się nie ociąga z wyjściem na czas zbiórek. Panem jednak obozu był „nariadczyk”, dyspozytor, namiestnik i prawa ręka naczelnika, kacyk rządzący absolutnie rzeszą współwięźniów. Dalsze funkcje uprzywilejowane, jak kucharze, chleborezy, lekarze, felczerzy, kierownicy łaźni, magazynów itd., były obsadzone przez szczęśliwców nie muszących wychodzić na „obszce raboty” (roboty ogólne), albo raczej nie tyle szczęśliwców z przypadku, ile

oportunistów forowanych przez naczelnika, a jeszcze bardziej przez „nariadczyka”. Ci nazywani byli z pogardą i zazdrością przez obszczych – „prydukami”.

Łatwo można się domyślić, że stanowisk kierowniczych, ani ról „pryduków”, z wyjątkiem chyba jedynie lekarzy, nie piastowali więźniowie polityczni, tylko przestępcy pospolici – złodzieje, mordercy, gwałciciele – sitwa potrafiąca bez skrupułów urządzić sobie wygodne życie kosztem współwięźniów. „Nariadczykami” często byli ex-enkawudziści, anioły stracone z sowieckiego nieba do otchłani potępienia, gdzie jeszcze mogli w inny sposób swoją potępieńczą rolę spełniać i z przywilejów klasy korzystać. Sprawiedliwość sowiecka osiągała w ten sposób dodatkowy cel: zgnębić, zniszczyć przede wszystkim wrogów ludu, to znaczy tych wszystkich, którym nie podobały się absolutne rządy szajki przestępców z urzędu, tych chodzących wolno w państwie „ludu pracującego”. W takim naświetleniu stawało się jasne, gdzie się podziewały brzuchy ryb, których obecność w zupie manifestowała się jedynie poprzez łby z wylupiastymi oczami, płetwy i ogony, co mogliśmy stwierdzić już na pierwszej „podkomandirówce” iwdielskich obozów. Co jeszcze więcej nie docierało do nieszczęsnych „pensjonariuszy” pokrywała warstwa nieprzeniknionej tajemnicy.

Nic dziwnego, że tutaj na Przystani, w obecnym ciężkim położeniu wojennym Związku Sowieckiego, chleb był zapewne jeszcze podlejszy niż w innych oddziałach łagru, bliżej zasięgu ewentualnej kontroli. Mówię ewentualnej, bo pomimo wielu podstaw do jak najbardziej sceptycznej oceny stosunków panujących w tych wysmienitych instytucjach wychowawczych, przypuszczam, że przynajmniej teoretycznie kontrole takie były przewidziane. O tym, żeby się kiedyś jakaś odpowiednia komisja zainteresowała losem niewolników pozabawionych wszelkich praw ludzkich i zawitała do któregoś z obozów w naszych miejscach postoju, nigdy nie słyszałem. Za to tutaj, na uroczu nazwanej „Przystani”, skutki żerowania band opryszków na współwięźniach dawały się szczególnie we znaki. Obrona przed wejściem w stadium ostatecznego „dochodiagi” stawała się coraz bardziej beznadziejna.

## AMNESTIA

Pewnego dnia gruchnęła pogłoska, że dla Polaków została ogłoszona amnestia. Kto ją rozpuścił, nie wiadomo, a choć pochodzenie jej nie było niczym potwierdzone, nowa nadzieja wstąpiła w serca. Ale i potwierdzenie wkrótce się znalazło: ktoś przyniósł kawałek gazety obozowej, o istnieniu której nie

mieliśmy do tej pory pojęcia. W gazecie tej wydrukowana była wiadomość o amnestii, o umowie zawartej między rządem polskim w Londynie a sowieckim o zwolnieniu wszystkich Polaków wywiezionych do ZSSR i o utworzeniu polskiej armii<sup>21</sup>. I choć oficjalnie nikt nas o tym nie powiadomił, nawet najwięksi sceptycy uwierzyli w rychłe wyzwolenie. Tylko więźniowie rosyjscy kiwali nad nami głowami z politowaniem mówiąc, że jeszcze zbyt krótko jesteśmy w łagrach i wierzymy takim pogłoskom. „Przeniosą was do innego obozu, ale nie na wolność, bo z łagrów się nie wychodzi”. Może mówiła przez nich zazdrość? Bo choć nie chcieliśmy dopuścić możliwości przyjęcia ich opinii za prawdę, to jednak sprawiedliwość sowiecką poznaliśmy już na tyle, że nie mogliśmy pozostać nieczuli na te wywody. Tłumaczyliśmy sobie jednak, że oni nie rozumieli, że istnieje jeszcze inny świat poza Związkiem Sowieckim i że powstają różne sytuacje międzynarodowe, które są w stanie przyczynić się do zmian wychodzących daleko poza ramy zwykłego doświadczenia więźnia sowieckiego<sup>22</sup>.

W oczekiwaniu na wolność zaczęliśmy oszczędzać siły, aby nie wyniszczyć organizmów do reszty. Jednakże ze strony władz brak było jakiegokolwiek potwierdzenia o amnestii. Dnie mijały jak dawniej, jeden za drugim, pomiędzy poranną lurą a wieczorną, coraz mizerniejszą porcją chleba i czternastogodzinnym dniem pracy w międzyczasie, tak że do serc powracała znów apatia, ta ostatnia naturalna deska ratunku przed zwątpieniem i ostateczną rezygnacją istnienia. W takich okolicznościach to, co się wydarzyło jednego poranka było wstrząsem, który pobudził do życia, choć w pierwszej chwili nappełnił niepokojem trudnym do opisania. Otóż zaraz po wyjściu za bramę do codziennej

---

21. Rokowania prowadzone za pośrednictwem brytyjskim w Londynie zakończyły się podpisaniem między państwem polskim a ZSRR w dniu 30 lipca 1941 roku. Przeszło ono do historii jako układ Sikorski-Majski, gdyż zostało ono podpisane przez premiera rządu RP na uchodźstwie gen. Władysława Sikorskiego i ambasadora ZSRR w Londynie – Iwana Majskiego. Umowa przewidywała przywrócenie stosunków dyplomatycznych między obydwojma krajami oraz budowę armii polskiej w ZSRR pod dowództwem polskim. W protokole dodatkowym rząd ZSRR zagwarantował „amnestię” dla obywateli polskich: więźniów politycznych i zesłańców pozbawionych wolności na terenie ZSRR w więzieniach i obozach Gułagu, a także jeńców – T. Wyrrwa, *Układ Sikorski – Majski*, „Zeszyty Historyczne”, 1992, z. 102, s. 198–203.

22. Polskie Siły Zbrojne w ZSRR (potocznie: Armia Andersa) – były to oddziały Wojska Polskiego podporządkowane legalnemu rządowi RP na uchodźstwie, które utworzono po zawarciu układu Sikorski-Majski. Trzon sił zbrojnych stanowili polscy obywatele, którzy na skutek tzw. amnestii zapisanej w układzie mogli opuścić łagry, gułagi i więzienia śledcze NKWD. 11 sierpnia 1941 roku Naczelny Wódz powierzył dowodzenie armią gen. Władysławowi Andersowi, przetrzymywanemu w więzieniu NKWD na Łubiance. 14 sierpnia 1941 roku podpisano umowę wojskową, która dała podstawę do rozpoczęcia formowania Armii Polskiej w ZSRR – zob. J. Wróbel, *Uchodźcy polscy ze Związku Sowieckiego 1942–1950*, Łódź 2003, s. 12 i n.



roboty zjawił się elegancko ubrany enkawudzista i zwrócił się do brygad gotowych do odmaszerowania do swoich rejonów pracy: „Polaki, wystup!”. Serca zabiły gwałtowniej, szeregi zaczęły się rozstępować, a wynędzniałe postacie wychodziły przed linię. „Stanowisz po tri i dawaj za mnoj” (ustawić się po trzech i iść za mną) – padła komenda. Obstawieni „strelkami” pomaszerowaliśmy w kierunku odmiennym od codziennego. Prowadzono nas jakąś wąską, leśną drogą. Ktoś szepnął: „Rozstrzelają nas...”. Nikomu ta myśl nie wydała się nieprawdopodobną. Wszak „z obozów sowieckich nie wychodzi się na wolność!”. Tak więc każdy na swój sposób przygotowywał się na śmierć. „Może to i lepiej. Wreszcie skończy się ta beznadziejna wegetacja, ten nieludzki byt, to ponizenie do zbydlęcenia. Skończy się to codzienne przewycięzanie siebie samego, skończy się chłód i głód, skończą się wszy, muszki i komary... Trudno nawet było powiedzieć żeśmy się bali. Chyba tak, ale byliśmy zbyt zaskoczeni i oszołomieni, aby sobie w pełni uświadomić nasze położenie. Po niedługim marszu znaleźliśmy się na niedużej polanie. Tu kazano nam zatrzymać się i ustawić półkolem, strelkowie w przedniej części, z bronią w pogotowiu. „To pewno miejsce naszej kaźni” przemknęło jednemu czy drugiemu przez głowę. Gdy więc komendant dał znak ręką i przyjaznym głosem zakomenderował: „Sadyś”, kamienie spadły z serc, a głęboko odetchnawszy usiedliśmy czym prędzej na ziemi. Cisza zapanowała na chwilę, że tylko brzęczenie komarów, a nawet cichy szum muszek dźwięczał melancholijnym preludium dalszych wydarzeń.

Wówczas komendant rozpoczął swą mowę. Dobrze to był widać szkolony politruk. Głos miał dobitny, mówiąc powoli akcentował ważniejsze słowa, a nade wszystko – wierzył sam święcie w to co mówił choćby to było najwulgarniejszym łgarstwem. Tak więc dowiedzieliśmy się z jego ust, po raz pierwszy oficjalnie, że wszystko, co było przedmiotem naszych rozmów od dwóch przynajmniej tygodni, było prawdą. Przyjmowaliśmy te wiadomości jednak jakby całkiem nowe, bo wreszcie pewne, tak więc łowiliśmy każde słowo natchnionego mówcy. „Obecnie zostanie zorganizowana polska armia, która ramię w ramię z bratnią armią radziecką będzie walczyła przeciwko germańskiemu napastnikowi o wolność naszych krajów. Wywożąc w głąb swego rozległego kraju Związek Sowiecki uratował was przed zagładą z rąk faszystowskich oprawców i zachował dla ojczyzny...”. Jak letni deszczyk spływała po nas ta mowa, bo bolszewickie zakłamanie nie było dla nas nowością. Masowe wywózki, wyniszczanie narodu, zwłaszcza jego przywódców i inteligencji – o tym wtedy nie mieliśmy nawet częściowego obrazu, ale wyczuwaliśmy na każdym kroku, na nas samych, tę „ojcowską” dobroć sowiecką. Wyciągnęliśmy więc wniosek, że potrzebując ludzi do walki przeciwko sprzymierzeńcowi, z którym najpierw się zmówili w rozgrabieniu Polski, a który obecnie zdradziecko

napadł na nich samych, wypuszczą nas naprawdę z tych przeklętych łagrów, choć „się z nich nigdy nie wychodzi”. W dalszej mowie pełen wiary w prawdziwość swych słów wytworny politruk stwierdzał, że „walka na froncie nie jest jedyną formą walki o wspólną sprawę. Żołnierz na froncie walczy z wrogiem z bronią w ręku, natomiast żołnierz na tyłach walczy z nim swą pracą, swym wzmożonym wysiłkiem dla zwiększenia produkcji i tak przyczynia się do zwycięstwa. W innych obozach na wieść o amnestii Polacy czekając na chwilę, kiedy przywdziawszy mundury staną twarzą w twarz wobec swego odwiecznego wroga, pomnożyli swe wysiłki i pracują z zapalem...”

Mów ty sobie dalej zdrów, wyuczona papugo, zakłamany przedstawicielu zakłamanego systemu, który dowody swej „miłości” ku nam niejednokrotnie już okazał, a który obecnie, gdy potrzeba mięsa armatniego, słodko się poniżonym, zgnębionym niewolnikom przymila i o braterstwie mówi. Wychwalaj waszą przyjaźń dla tych, którym wolność zabraliście, skazaliście na katorgi za to tylko, że byli Polakami, że chcieli wrócić do swych domów z jednej czy drugiej strony kurtyny, nie nazwanej jeszcze wtedy żelazną, albo przedzierając się ku swej armii walczącej na obcej ziemi przeciwko waszym sprzymierzeńcom, a obecnym wrogom, wpadli w wasze ręce. Śpiewaj dalej swą pieśń, słuگو Stalina, bo cara już nie masz, a my z tej pieśni jedynie to w serca weźmiemy, co w niej rzeczywistą prawdę stanowi: pożądanie wolności. Mistrz skończył swą pieśń o wolności, a echo zdawało się ją nieść dalej, pomiędzy drzewami. Nie, to nie pomiędzy drzewami brzmiało to echo, lecz w naszych sercach i nie na tę nutę, którą potracił mistrz. Tak więc, gdy po skończonej mowie odprowadzono nas na miejsce pracy, oszczędzaliśmy siły jeszcze skrzętniej niż do tej pory, bo wytęskniona wolność zarysowała się przed nami po raz pierwszy wyraźnie. Biliśmy więc w promieniach mizernego syberyjskiego słońca tego najbliższego i dostępnego wroga: wszy. Rozglądaliśmy się za jagodami, które zaczynały po trosze dojrzewać... Tylko, że w zasięgu naszego swobodnego poruszania się nie można ich było więcej znaleźć, bo wszystkie zostały skrzętnie wyjedzone.

## JAGODY

W owym czasie chodziliśmy do pracy niezbyt daleko, może z pięć kilometrów od Przystani. Droga prowadziła przez lasy obfite w jagody, które teraz dojrzewając czerwieniły się apetycznie w zielonym, gęstym poszyciu. Cóż jednak z tych przysmaków, kiedy tylko myślą można je było spożywać i przełykać. Raz, skuszony nęcącymi jagodami, wyskoczyłem na chwilę z szeregów, aby pochwycić garść koralowego pokarmu, a tu już krzyk „strełka”: „Kuda leżysz?”

(dokąd leziesz) i świst kuli nad głową. Żartów nie było, więc pośpiesznie się wycofałem i zmieszałem z resztą maszerujących, aby „strełek” nie zapamiętał sobie mojego wyglądu, bo gorsza kara mogła mnie spotkać. Nie zapomniał jednak i po przyjsciu na miejsce pracy zawołał do siebie i ostrzegł, że następnym razem nie będzie strzelał nad głową, ale w głowę. Tak więc mogły jagody kusić na darmo swoją obfitością, a ty niewolniku mogłeś się tylko oblizywać, a o zawartości leżących opodal witamin snuć tylko teoretyczne wywody. Ostatni odcinek marszu prowadził przez moczar leśny, którego przejście napawało za każdym razem odrazą. Aby nie zmoczyć się nadto, próbowaliśmy zrazu skakać z kępy na kępę jednak szybko daliśmy za wygraną, bo przeszło kilometrowa trasa zapewniała kąpiel nóg czasem aż do kolan. Nauczyliśmy się więc maszerować przez moczary z rezygnacją, kroki w pośpiechu stawiając, bo i czasu na wybór lepszych przejść nie było. Nie można było przewidzieć, co przyniesie następne stąpanie. Zimną wodę nie zawsze było widać, bo kępy mchów często pływały po jej powierzchni i choć zdawało się, że staniesz na suchym, zapadałeś się raz po kostki, raz po łydki, nieraz i głębiej. Toteż gdy zgębieni takim marszem po moczarze dochodziliśmy wreszcie do miejsca pracy, cieszyliśmy się, że przynajmniej ubranie było suche. A pogoda była w owym czasie niezła, choć słońce syberyjskie nie rozgrzało nas nigdy do syta, wystarczało jednak, aby zdjęte z nóg przemoczone do cna obuwie i szmaty zdołały w jego promieniach wyschnąć.

Ostatnim zadaniem otrzymanym przez brygadę, teraz znów w całości polską, było spławianie pni drzewnych złożonych w wysokie stopy nad brzegiem rzeki, może z rok temu albo i dawniej. Praca była względnie lekka, bo spychanie „bałanów” w dół nie wymagało takiego wysiłku jak windowanie w górę na stopy lub przy ładowaniu na samochody. Tu rzeka była darmowym nosicielem drogiego materiału. Podważane na górze pnie staczały się z hałasem po ułożonych aż do brzegu szynach z długich a cienkich pni świerkowych. Trzeba było tylko uważać, aby nie zostać potrąconym przez wprowadzone w ruch bezwładne masy drewna, ale robota sama była ulgowa. Do tego pomiędzy stosami można było przycupnąć, a zdjąwszy szmatławę szczątki koszul, grać się na słoneczku, bijąc w międzyczasie wszy, albo pogrążając się wręcz na chwilę w błogą drzemkę, aż „strełek” siedzący na jakimś stosie „bałanów” nie zauważy, że tam coś się za mało rusza. Ale pewnie i on był wtajemniczony w sprawę amnestii, bo odnosił się teraz do nas pobłaźliwiej. Gdy słońce się zniżyło, czekała nas ponowna przeprawa przez moczar, a potem pomiędzy jagodowymi obfitościami. Żołądek grał znów muzykę niespełnionych apetytów i aby uniknąć pokusy, lepiej było nie patrzeć na boki. Raz jeden tylko „strełek” zatrzymał brygadę w marszu i pozwolił na krótki popas. Wiedzieliśmy, że ucza

nie będzie trwała długo, więc garściami zrywaliśmy witaminonośny owoc, w usta go pośpiesznie ładując, wypływając tylko liście. A gdy „strełek” zawołał „Dawaj kańczaj!” (kończyć), głębia wprost z przyziemnych krzaków żarliśmy tę świąteczną paszę. Jagód była taka moc, że ta oszczędność ruchów ręki od ziemi do ust się opłacała. Z żalem patrzyliśmy na tyle pozostającego dobra, ale trzeba było wracać do szeregów i być wdzięcznym „strełkowi”, że pozwolił choć na tę tak krótką frajdę.

## FLEGMONA

Mój ostatni moczarowy spacer był szczególnie przykry. Dotkliwy ból w nodze, która zaczęła gwałtownie puchnąć, przy każdym zapadnięciu się w grząskie, wodniste podłoże kazał przeczekać, że jakieś nieznanne zło utrudni mi wyjście z łągów. Całe ciało ogarniała gorączka, a w głowie łomotało jakoby masy „bałanów” staczających się w wodne nurty. Zdawałem sobie sprawę z tego, że ze mną dzieje się naprawdę źle i zaraz po powrocie do obozu udałem się do lekarza. Pocziwy Nikołaj Sjergiejewicz obejrzał moją nogę opuchniętą od kolana aż po czubki stóp i orzekł, że to flegmona<sup>23</sup>. Nie wiedziałem wówczas, co znaczyła ta obca dla mnie nazwa choroby, ale najważniejsze jak długo mogła ona potrwać. Jeszcze przed miesiącem perspektywa na dłuższy pobyt w szpitalu wprawiałaby mnie raczej w radość, ale teraz, w oczekiwaniu na amnestię, napałała wręcz niepokojem. „Tymczasem dostaniesz maść i jutro przyjdiesz znów do mnie” – odpowiedział lekarz wymijająco, nogę posmarował jakąś czarną, dziegciową substancją i zabandażował, grubo obłożwszy watą. „Musisz leżeć, do roboty jutro nie pójdziesz. Zobaczymy, jak ichtiol podziała”. Wróciłem do baraku obolały i złamany. Czułem jak noga pod opatrunkiem puchła coraz bardziej, a przenikliwemu, rwącemu bólowi towarzyszyła wciąż wzmagająca się gorączka. Wdrapałem się na moje miejsce na górnej pryczy i zwinawszy w wyniszczoną do szczytu kurtkę, ległem jak podcięte drzewo. W tej pozycji ból stawał się znośniejszy, ale niepokojące myśli huczały w głowie, tłumiąc się bezwładnie i piętząc na wzór „bałanów” w rwącej wodzie. Starłem się je odegnąć modląc się po cichu i błagając Boga, aby mnie nie opuścił. Zbyt pobożny nigdy nie byłem, ale przyzwyczajony od dziecka do modlitw porannych, odmawiałem je zazwyczaj pilnie. W Odessie wielu z nas klękało na rozłożonym sienniku, aby odprawić wieczorne pacierze. Niektórych z nadzorców

---

23. Flegmona, inaczej nazywana ropowicą (z łac. phlegmonae), to bakteryjne, ropne, rozlane, zapalenie tkanki łącznej podskórnej, będące powikłaniem powierzchownego zakażenia skóry.

doprowadzało to do wściekłości. Zdarzało się, wpadał taki „kaczan” nagle do celi i wołał: „Czto ty tam diełajesz?” (co ty tam robisz?) „Modlę się – brzmiała krótka odpowiedź, a złość „kaczana” wywoływała prawie radość, bo zdawaliśmy sobie sprawę z jego bezsilności. Cóż mógł ostatecznie zrobić? Wsadzić do karceru? Nie byłoby to przyjemne, ale na takie ryzyka szło się i przy innych, bardziej zakazanych czynnościach, jak na przykład telefonowanie z celi do celi. Zresztą za odmawianie modlitw kłęcząc, nikt nie został ukarany. Kończyło się na zastraszaniu i krzyku. „Nie lzja!” – wrzeszczał taki bezbożnik, ale bywało, że inni kiwali głowami z wyrozumieniem, a może nawet i cichym uznaniem.

W obozie modliłem się rzadziej, bo wyczerpanie całodzienną, ciężką robotą, marszem, zimnem, komarami – zależnie od sezonu, a wszami o każdej porze, doprowadzało do braku czułości, obojętności, zbydlęcenia. Zresztą może i o to chodziło w tym systemie wychowawczym. Jednakże chyba rzadko zapomniałem choćby przeżegnać się na leżąc przed usnięciem, co wydawało się być tym w najmniejszym stopniu spełnionym wobec Boga obowiązkiem. Tego wieczora jednak modliłem się żarliwie, a łzy ciekły z oczu, bo w poczuciu własnej, ostatecznej bezsilności pozostawał jedynie Bóg, który widział i rozumiał udręczoną duszę. Błagałem więc Jego, Najświętszą Jego Matkę, aniołów i świętych niebieskich o ratunek, bo skąd mogłem jeszcze oczekiwać pomocy? Tak złamany wewnętrznie, wstrząsany dreszczami i niepokojem, ufny jednak, że Ktoś nade mną czuwa, usnąłem w tę noc kończącego się syberyjskiego lata.

Nazajutrz rano moja brygada wyszła wraz z innymi na roboty, a ja zostałem sam z moją spuchniętą od wewnątrz nogą. Ból stawał się coraz nieznowniejszy, zwłaszcza po zejściu z prycz, kiedy w pozycji pionowej krew ściekała mocniej w dół. Nie mogłem nawet iść do stołówki, ale za naturalną potrzebą musiałem. Po powrocie na pryczę ległem znów, ciężko dysząc, w głowie się mąciło, myśli plątały się w rozważaniu... Żeby to tak miesiąc temu... Poszedłbym do szpitala, łóżko, pościel, lepsze wyżywienie... Dusza nieraz wzdychała za jakąś chorobą, ale choć słabość nieopisana ogarniała całe jestestwo, termometr nieskwapliwie szedł w górę... Ile się nastąpiłem w „oczeredi” (w ogonku) do lekarza. Nieraz dwie i trzy godziny, po mordędze długiego dnia, w nadziei, że termometr coś jednak pokaże. Raz tylko, bez żadnej chyba choroby, ale z wyczerpania organizmu, rtęć w rurce poszła ponad 38°! Właściwie nie kwalifikowałem się na szpitalnika, ale lekarze czasem chcieli innym pomóc, kiedy mieli jakiś pretekst. To było jeszcze przed przeprowadzką na „Przystań”. Na trzeci dzień temperatura była już normalna. Kiedy nikt nie widział, trzepałem pod kocem w odwrotną stronę termometr otrzymany przy codziennej kontroli i gorączka rosła. Nie można było za dużo, bo to by podpadło. Przez dwa dalsze dni jakoś się udawało, ale raz, o nieszczęście, oblużowana widać

w termometrze skala wybiła małą dziurkę w główce... Widząc termometr w takim stanie pielęgniarka zaraz zorientowała się o co chodziło i z miejsca wyleciałem ze szpitala. A teraz bronilem się nawet przed myślą o szpitalu! Bo co będzie, jeśli przyjdzie do odmarszu Polaków?

„Wychadi na razzot!” (wychodzić na apel) – głos „nariadczyka” biegającego od baraku do baraku przerwał nagle moje smętne rozmyślenia w gorączce. O tej porze dnia był apel wszystkich niedobitków. „Kiedy nie mogę chodzić” – zaoponowałem. „Co znaczy nie możesz chodzić? Kto nie może chodzić, ten leży w bolnicy (w szpitalu)! Dawaj zlezaj z nar!” (złaż z pryczy). Próbowałem jeszcze tłumaczyć, że naprawdę nie mogę chodzić, ale „nariadczyk” nie był człowiekiem do pertraktacji i widząc, że się ociągam z zejściem z pryczy, schwyił mnie za nogę i szybkim pociągnięciem zwałił na dół. Ledwie zdołałem złagodzić ten upadek uchwyciwszy się krawędzi desek. Powlokłem się w kierunku placu apelów, ale odmawiająca posłuszeństwa noga zmusiła mnie do przycupnięcia na jakimś kamieniu.

„Paskoriej! Poczemu nie idiosz?” (Prędzaj, dlaczego nie idziesz?) – wołał z daleka „naczalnik” robiący przegląd pozostałych w rejonie obozu więźniów. „Nie mogę iść, noga mnie strasznie boli...” – „Kak tiebia zawód?” (Jak się nazywasz?) – Odpowiedziałem. Spojrzał na listę. Widać, że mnie na niej znalazł. Dał znak ręką, że nie muszę iść dalej. „Spasiba” – odwdzięczyłem się podziękowaniem za ludzkie potraktowanie.

Po apelu powlokłem się do lekarza. Zdjął opatrunek, stał nieco maść, obmacał nogę spuchniętą teraz jak bania i chciał zaraz wziąć do szpitala. Powiedziałem, że nie pójdę. Kiwał tylko głową. „To flegmona i trzeba nogę rozciąć, ropę wypuścić”. Nic mnie nie przekonywało, wołałem wrócić do baraku. „No charaszo, na razie i tak trzeba poczekać, aby bardziej naciągnęło”. Nasmarował znowu obficie ichtiolową, smołowatą maścią i zabandażował, ciepło obłożywszy watą. Aby mógł się lepiej poruszać dał mi dwie kule, przy pomocy których z podkurczoną nogą łatwiej było wrócić na moje legowisko w baraku. Ułożona znów poziomo noga nieco mniej narywała, ale w głowie huczało coraz gorzej, gorączka się wciąż wzmagła. Zamknąłem oczy. Pozostawało mi tylko jedno: modlitwa...

## BIEGUNKA

„Chatisz jagody?” (Chcesz jagody?) Podniosłem ociężałą, rozpaloną gorączką głowę. „Świeżo zebrane” – zachwalała towar ruska więźniarka, mogąca widać korzystać na „Przystani” z większej swobody. „Skolko?” (ile?) zapytałem od

niechcenia, bo w obecnym stanie nawet na świeże jagody nie miałem zbytnej ochoty. „Rubla za szklaneczkę” – odpowiedziała dziewczyna. Wziąłem. Zostało mi jeszcze parę rubli z tego pamiętnego sweterka dla wujka, więc mogłem sobie pozwolić na wydatek w tych granicach. Nie wiedziałem co sobie kupiłem! Jagody zjadłem bez przekonania, tak dla zasady, aby nie utracić rzadkiej okazji. Po niecałej chyba godzinie zacząłem czuć, że w żołądku zanoszą się na burzę. Przewracałem się z boku na bok. Do nieznośnego bólu w nodze, do pożerającej gorączki, dołączyło się jeszcze to! Wreszcie musiałem wstać. Towarzysze wrócili w międzyczasie z roboty i dopomogli mi zejść z pryczy. Chciałem iść sam o kulach, ale dwóch mocniejszych chwyciło mnie pod ramiona i zaniósło do ustępu. Ulżyło... Po powrocie na pryczę próbowałem usnąć. Nie był to jednak sen, tylko jakiś okropny stan półświadomości, przeplatany gorączkowym majaczeniem. Masy „bałanów” waliły się na mnie z hukiem, jakby strącane z wybrzeża do rzeki. Wszystko to wirowało, dudniło, przygniatało mnie niechętnie, a ja nie miałem siły wydostać się spod okropnie ciężkich kłoców drewna. Obudziłem się i chciałem uciekać. Gorączka wzrastała coraz bardziej. Nie mogłem zmierzyć, ale musiało być ponad 40 stopni. Nie o gorączce zresztą było mi rozmyślać, tylko o tym jak znów zejść z pryczy i pójść do „uborki” i to szybko! Z wielkim wysiłkiem i przy pomocy kul dałem sobie jakoś radę. I zdążyłem!

Reszta nocy minęła pomiędzy majakami w gorączce a pośpiesznym wychodzeniem o kulach do przybytku higieny. Rano, przed pójściem na roboty, towarzysze niedoli zanieśli mnie jeszcze raz. Poczcwi! W tych nieludzkich warunkach byli jeszcze ludźmi z sercem i wyrozumieniem. Jedzenie ze stołówek też mi przynieśli. Tylko że teraz nie mogłem nic jeść. Nieco później zjawiała się „dniewalna” i zrobiła w baraku porządek. Nie wiedziałem jednak, że porządkowi uległy także moje kule, które powędrowały głęboko pod pryczę. Niedługo po jej wyjściu musiałem wyjść i ja. I to bardzo prędko! Równie mozolnie jak i pośpiesznie zlałem z pryczy i dopiero teraz odkryłem wynik babskiej gorliwości. Wewnętrzne ciśnienie dochodziło do zenitu, a kule leżały głęboko pod niskimi marami! Nie było czasu na dumanie, trzeba było działać błyskawicznie! Szybkim ruchem spuściłem stokroć łatane spodnie i... I co? Wiadomo co! Stało się to, co się stać musiało, co było nieuniknione. Siła eksplozji była tak potężna, że rozrzut wynosił ponad dwa metry średnicy. Byłem załamany. Samemu zrobić porządek leżało poza granicami moich sił i możliwości. Ani wiaderka z wodą, ani szmaty, ani – co najważniejsze – ani trochę wydolności fizycznej do takiego wysiłku. Siedziałem teraz pośrodku baraku i chciało mi się beczeć. Żal mi było moich dobrych współtowarzyszy, którzy po powrocie z roboty mieli zastać ten cuchnący stan wyjątkowy. Ta katastrofa zmusiła mnie

do kapitulacji. Wyciągnąłem z niemałym trudem kule spod prycz, pozostawała teraz tylko jedna decyzja. W takim stanie, gdyby dzień wolności nadszedł i tak bym nie mógł wyjść. Szpital, operacja, woła Boża... Trzęsąc się, ostatnim wysiłkiem woli powlokłem się do lekarza.

## W SZPITALU

Pierwszą czynnością w szpitalu obozowym była kąpiel, po której dostałem białą, czystą koszulę. Moje łachmany powędrowały do odwyszalni i do przechowania, a ja na czysto zasłane łóżko. Czemu to nie przytrafiło się wcześniej! Dopiero teraz, w przeddzień wolności! Ten raj dawniej cieszyłby człowieka co nie miara, lecz teraz zbytki te bynajmniej nie radowały. Oby mnie jak najprędzej zoperowali... Gdyby odmarsz Polaków nastąpił w czasie pobytu w szpitalu, jakaż pewność by była, że z tej zabitej Przystani będzie można się w ogóle wydostać? Dziś jest takie zarządzenie, a jutro może być przeciwne. Przecież już dwa lata mam do czynienia z bolszewikami i wiem jak u nich jest. Na operację jednak nie musiałem długo czekać. Może Nikołaj Sjergiejewicz, sam skazany bodajże na 15 lat, czyli – jako polityczny – praktycznie na dożywocie, wczuwał się w moje położenie? W każdym razie jeszcze tego dnia znalazłem się na stole. Noga wyglądała niepięknie. Gruba jak podłużna bania, spuchnięta od kolana aż po czubki stopy, że aż skóra błyszczała od napięcia, a cała czerwona jakby sparzona. Jeszcze jednak gorzej musiała wyglądać od wewnątrz. Flegmona, potworny ropień, przy którym największy wrzód to śmieszna drobnostka. Teraz cała noga, wzdłuż piszczeła, była jednym wielkim ropnym wrzodem.

Sama operacja widać nie była ciężka. Może w innych wypadkach chorych usypiano. Mnie musiało wystarczyć lokalne znieczulenie przez zamrożenie. Skroplony dwutlenek węgla, zamknięty w ampułce, po odcięciu czubka trysnął mrozącym strumieniem na skórę, która na powierzchni była i tak prawie nieczuła. Mimo zabójczej gorączki byłem jednak najzupełniej przytomny i mogłem obserwować przebieg operacji. Jak rzekłem, skomplikowana nie była. Oстрым skalpelem otworzył lekarz nogę wzdłuż kości na przestrzeni około 10 centymetrów, a ropa zmieszana z krwią buchnęła na stół operacyjny w takiej ilości, że nie tylko zapełniła podstawioną przez pielęgniarkę nerczkę, ale zalała całe podłożone pode mnie prześcieradło. Samo cięcie było bezbolesne, jakby skrobanie po obcym ciele. Gorzej za to było z czyszczeniem rany. Ligniną uchwyconą w operacyjne szczytce lekarz musiał wybrać resztę tej cuchnącej substancji, która była przedtem krwią, a teraz stała się ohydną, zatrutą ropą. Szczytce z ligniną skryły się pod skórę i dopiero teraz poczułem przyjemność



tej operacji. Lekarz szorował po żywym, niezamrożonym mięsie. Od bólu tylko syczałem, a Nikołaj Sjergiejewicz uspakajał i pocieszał: „Nie bojsja, sjejczas budiet łuczszje” (Nie bój się, teraz będzie lepiej).

Zupełnie wyczerpanego przewieziono mnie do łóżka. Oczywiście po uprzednim zdezynfekowaniu rany oraz obłożeniu grubo ligniną i watą i zabandażowaniu całej nogi. Po usunięciu infekcyjnej substancji gorączka zaczęła szybko spadać i usnąłem głębokim, krzepiącym snem. Nazajutrz czułem się dużo lepiej. Choć noga na dłuższy czas była do niczego, to wiele obiecująca rekonwalescencja szybko się rozpoczęła. Na biegunkę dostałem też jakiś środek i już mnie tak nie pędziło, a apetyt nie dał długo na siebie czekać. Lekkie potrawy, które mi dawano na początek smakowały znakomicie. Na trzeci dzień żołądek był zupełnie w porządku, a moje możliwości chłonne potęgowały się nieproporcjonalnie w stosunku do powiększanych stopniowo porcji. Zmiany opatrunków były oczywiście mało przyjemne, ale samopoczucie poprawiało się znakomicie i gdyby nie groźba, że Polacy w międzyczasie odmaszerują na wolność, miałbym zapewniony błogosławiony żywot na dłuższy czas. Aby jednak tylko nie zostać w tym łagrze...

## PROMIENIE

W piątym dniu po operacji mojej flegmoną przeżartej nogi gorączkowy ruch w obozie. Polacy nie zostali wyprowadzeni do pracy i kazano im przygotować się do odmarszu do Iwdielu – stolicy gułagowego systemu, skąd zostaną wypuszczeni na wolność. Wiadomość dotarła też do szpitala. Nie pamiętam nawet jakimi drogami, ale takie wiadomości rozchodziły się zazwyczaj bardzo szybko i ponad wszelkimi przeszkodami. Kilku mnie podobnych „dochodiagów” stanęło nagle w obliczu wysiłku leżącego poza granicami ich fizycznej sprawności. Kilkudziesięciokilometrowy marsz, nawet dla zwykłego, choć zdrowego, ale wycieńczonego więźnia, nie był lekkim spacerem. Ja zaś w tej chwili byłem rzeczywistym kaleką. Kiedy zakomunikowałem lekarzowi moją decyzję odmaszerowania razem z innymi, radził poczekać do następnego transportu.

„Dziś puszczają – dziś trzeba wyjść” – odpowiedziałem Nikołajowi Sjergiejewiczowi. Poczciwy lekarz wiedział co radził, ale znał też zmienność sowieckich zarządzeń, pokiwał tylko głową i ze szpitala mnie wypisał. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jeżeli nie wyjdę, to ryzykuję pozostanie na zawsze w tym przeklętym łagrze. Wszystko, tylko nie to! Lepiej skonać, szczerząc po drodze! Niechby lepiej dobili. Ale teraz chyba tego nie uczynią ... Wiedziałem więc, że nie dojdę, ale równocześnie wiedziałem, że muszę wyjść. Ubrałem

się więc w moje łachmany, wziąłem kij obrobiony kiedyś na wycieczkowej pracy na spławie na rodzaj zakopiańskiej laski i pokuśtykałem w kierunku bramy, odległej o pół kilometra. Szaleństwo! Do bramy się dowlokłem, usiadłem na leżącej opodal kłodzie, a łyzy połały się ciurkiem: byłem już u kresu sił. Ból w nodze, niezbyt dokuczliwy gdym sobie leżał w szpitalnym łóżku, teraz zaczął szarpać tak gwałtownie, że drżałem na całym ciele. Może tylko pod wpływem uczucia mojej bezsilności? Może jednak nie tylko? Wszak flegmona to był złośliwy ropień, który jeszcze długo musiał być leczony i pielęgnowany. Rana pozostawała otwarta, o zaszyciu jej nie było mowy przed całkowitym zagojeniem się infekcji...

Gdy tak zbolały siedziałem na kłodzie w pobliżu bramy i czekałem na moich polskich towarzyszy niedoli, wzdychając do Boga i Matki Najświętszej o ratunek, usłyszałem nagle głos mnie wołający: „E, gdzie ty tam polazłeś? Szukają cię w szpitalu, a ty tu koło bramy. Nikołaj Sjergiejewicz postarał się o ciężarówkę, która nas zawiezie do Iwdielu”. Był to inny kulawy Polak ze szpitala, który pewno by się nie puścił w tę awanturniczą drogę. Wiadomo – starszy, roztropniejszy. Ja młodziak, bez doświadczenia, gotów na wszystko... Teraz jednak przyszła nagroda, bo poczciwy lekarz, sam długoletni więzień sowieckiej sprawiedliwości, rozumiał graniczące z desperacją pożądanie wolności i uzyskał nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich chorych Polaków ratujący nas środek lokomocji. „Samochód pojechał najpierw do bardziej odległej podkomardirowki, później przyjedzie po nas i zawiezie wszystkich do Iwdielu” – dowiedziałem się od kulawego współtowarzysza. Łzy nie przestały mi cieknąć, ale teraz to były łyzy szczęścia. Nie pamiętam, abym kiedy indziej płakał, ale ta przeklęta flegmona rozkleiła mnie zupełnie. Mój nowy towarzysz był tymczasem bardzo rozmowny. „Jak się wyjdzie, to pierwsza rzecz – trzeba będzie poszukać pieska” – powiedział. „Na co pieska?” nie mogłem zrozumieć takiego dziwnego życzenia. „Jak to na co! Trzeba poszukać pieska. Potem pieska w łypek, rozumiesz?” – znacząco zamrugnął okiem. Zrozumiałem, a choć byłem wygłodniały, poza wyrozumiałością dla niego, apetytu na pieska nie podzielałem. Niepojęte uczucie radości tak mnie teraz wypełniało, że zapomniałem o nodze, o głodzie, o wielkiej przygodzie przede mną stojącej, a że słońeczko ciepło przygrzewało, choć to już był początek września, więc błogie, promienne uczucie szczęścia opanowywało wszystkie zakątki słabego ciała, zalewało duszę. Bo tylko w duszy mogło się pomieścić tyle błogości...

Polacy tymczasem zaczęli gromadzić się brygadami przy bramie. Niektórzy podchodzili do mnie, pytając, jak się mam. „Dobrze” – odpowiadałem. Iść bym nie mógł, ale lekarz postarał się dla nas o samochód. A za to świństwo, co narobiłem w baraku, bardzo się gniewaliście? – „E, człowieku, toż

widzieliśmy, że z tobą źle. Posprzątało się i tyle”. Poczciwi! Podziękowałem za tyle wyrozumienia i dobroci, która jak balsam łagodziła bezmiar zła zaznanego w bezlitosnym systemie gułagu. Piękne letnie słońce w ten szczęśliwy dzień podnosiło kołatającego się jeszcze ducha, zdawało się wołać, że świat Boży jeszcze nie przestał istnieć i że ludzie niekoniecznie musieli zbydlęcić.

„E, popatrz – jada!” – wyrwał mnie z zadumy głos towarzysza. Wstałem i zobaczyłem zajeżdżającą z drugiej strony bramy ciężarówkę załadowaną skurczonymi postaciami. Pokuśtykaliśmy ku dzielącej nas przegrodzie. Już po pierwszym wejrzeniu można było poznać, że na naszej Przystani, choć ją uważaliśmy za przedsiónek piekła, nie było tak źle jak na tamtej, jeszcze bardziej odległej „podkomandirowce”. Nasze oczy przebiegły po wyszarzałych twarzach i wynędzniałych postaciach. Czy to aby nie był mój znajomy policjant? Ten gruby? Gruby był on już tylko w miarę, gdy go poznałem w Charkowie. Już wtedy wyrudziały uniform policyjny wisiał na nim jak worek. Teraz to już nie był wychudły grubas, lecz wyniszczone do ostatka ludzkie szczątki, okryte równie wyniszczonymi strzępami solidnego niegdyś munduru. A my tu narzekaliśmy...

Rozważania przerwał Nikołaj Sjergiejewicz, który się zjawiał z trzema dalszymi chorymi Polakami ze szpitala na Przystani. Mój kulawy towarzysz podskoczył do niego i zawołał, że my tu już czekamy. „To dobrze” – odrzekł lekarz i coś powiedział strażnikom, którzy otworzyli bramę i pozwolili nam wejść na ciężarówkę. Powitałem znajomego policjanta, który się rozweselił na mój widok. Kiedyś byliśmy dość zaprzyjaźnieni we trójkę – z nim i Maciejewskim. Z policjantem rozdzielili nas zaraz na początku, a z Maciejewskim rozdzielili nas najpierw tamta fatalna powódź, a później normalne koleje losów. Teraz cieszyło nas to nieoczekiwane spotkanie. „Ale tam u was to musiało być źle...” – zagadnąłem cudem odnalezionego. „Niech ich szlag trafi...” – zachnął się. Ale to się wreszcie skończyło. Ci, to nie wiem, czy doczekają wolności...” – wskazał głową na kilka postaci leżących jakby bez ducha na deskach ciężarówki. Kierowca wkrótce zapuścił motor i samochód pomknął w promieniach słońca po drodze z dwóch rzędów desek z przerwą pośrodku – jakby po szynach – w kierunku wolności.

## CHLEB I RYBA

Dziw jak ci Sowietci potrafili jeździć po tych drewnianych drogach! Kierowcami byli też więźniowie, szczególnie szczęśliwcy, wywiezieni do łagrów za jakieś tam pospolite przestępstwa. A ta szalona jazda była niemal cyrkowym

wyczynem! Na mocnych podkładach przybite deski tworzyły tor o szerokości może półtora metra pod każde koło z przerwą pośrodku na jakiś metr. Nie-duże odchylenie kierownicy mogło spowodować katastrofalne wykolejenie. A ten szalenięc pruł z wariacką szybkością i wóz trzymał się tej wątlej drogi jak pociąg szyn. W ten sposób zajechaliśmy do stołecznego łagru dość prędko. Podróż nie trwała chyba dłużej niż dwie godziny. Kierowca zatrzymał się przed bramą, kazał nam wysiąść, zawrócił i odjechał z powrotem. Podeszliśmy do budki strażniczej i chcieliśmy wejść do obozu. „Nie lzja” – oświadczył bojec. „Nie macie papierów i musicie czekać, aż przyjdzie cała wasza grupa”. Tak więc chcąc nie chcąc znaleźliśmy się na przedwczesnej wolności. Paradoks: stęsknieni za wydostaniem się za zonę więzienną, teraz pragnęliśmy dostać się do niej z powrotem. Nic dziwnego, bo wieczór się zbliżał, słońce przestawało grzać i chłód przenikliwy wdierał się pod przewiewne łachmany. A ci nie chcieli nas wpuścić! Jeść się do tego chciało, bo na drogę nic nie dostaliśmy. Szukaliśmy resztek słońca pomiędzy długimi cieniami, próbując od czasu do czasu pertraktować ze strażnikami. Nadaremno. Nagle mój kulawy towarzysz wpadł na genialny pomysł: „Skoro już jesteśmy za zoną, chodźmy do Iwdielu. Może tam coś dostaniemy do zjedzenia?” Na wytrzebionej niemal zupełnie od drzew równinie, w odległości może trzech kilometrów, widać było zabudowania miasteczka. Ból w nodze nie zachęcał do tej wyprawy, ale ziąb coraz przenikliwszy i głód nie mniej dokuczliwy skłonił mnie do przyjęcia propozycji. Nikt więcej nie był w stanie zdecydować się na taką awanturę. We dwóch więc pokuśtykaliśmy w kierunku horyzontu. Towarzysz był wciąż w dobrym humorze. Znów zaczął marzyć o smakowitej pieczeni z pieska, a teraz rozważał, czy zdążymy do Iwdielu przed zamknięciem sklepów i restauracji. Kto zresztą mógł wiedzieć, czy tam w ogóle były jakieś sklepy albo restauracja? I czy w nich będzie można coś dostać, zwłaszcza gdy się przy duszy miało tylko kilka rubli?

Po prawej stronie od drogi, teraz już ziemnej, pokrytej ubitymi kamieniami, tu i ówdzie błotnistej, widać było pomiędzy drzewami i krzewami jakieś niewysokie zabudowania. „Pewno strzałki tu mieszkają” – pomyślał głośno kulawy współtowarzysz. „Możliwe...” – potaknąłem. Nagle z jednego z domów wyszła niestara kobieta, schludnie choć prosto ubrana i szybkim krokiem podeszła do nas. Nie odezwała się słowem, tylko każdemu podała wielką pajdę chleba ze smakowicie pieczoną rybą w przekrajaniu. Zaskoczeni taką nieoczekiwaną hojnością nie zdążyliśmy podziękować, bo kobieta zniknęła pomiędzy drzewami i domami. Ten czyn miłosierdzia chrześcijańskiego wydał nam się snem. Tylko zło i zło jedynie było naszym udziałem w rajskiej dziedzinie socjalistycznej ojczyzny. Trzeba było uważać, aby ktoś czegoś nie

zabrał. Ale żeby ktoś coś dał... „Anioł nie baba!” – stwierdził z przekonaniem mój marzyciel o piesku. Potwierdziłem całkowicie jego spostrzeżenie, a on – w braku psiej pieczeni potężnym rozwarciem szczęk odgryzł pierwszy kawał nieoczekiwanej darowizny. „Delicje nie ryba” – uzupełnił swoją wypowiedź. Ryba była rzeczywiście wyśmienita. Że takie rzeczy mogły jeszcze istnieć, niemal zupełnie zapomnieliśmy. Chleb prawie biały, pulchny. Skąd ona wzięła te wykwintności pośród tajgi i wojny? Czy ta kobieta zdawała sobie sprawę, czym był dla nas jej uczynek? Ten kawał chleba ze smakowitą rybą to nie był tylko pokarm dla złaknionego ciała, ale wyraz niezamarłego człowieczeństwa pośród bezgranicza upodlenia ludzkiego rodzaju. Ten chleb i ryba to był pokarm dla duszy bliskiej zwątpienia w istnienie człowieczeństwa w człowieku. Chleb i ryba – pokarm prosty, życiodajny, ewangeliczny, symboliczny dla tej najgłębszej, najtajniejszej, a najistotniejszej części bytu ludzkiego. Uczynek miłosiernej Samarytanki spływał gdzieś pod serce, uczuciem błogości napełniał nie tylko żołądek, ale też duszę... Tak przeżywając ewangeliczną dobroć sowieckiej niewiasty kuśtykaliśmy w kierunku Iwdielu.

## W IWDIELU

Kiedy dotarliśmy do miasteczka, minęła już siódma. Nieliczne tu sklepy były pewno zamknięte. Pewnie zresztą wiele do kupienia w nich nie było. Błądząc uliczkami obstawionymi drewnianymi, przeważnie o charakterze barakowym, zabudowaniami, spostrzegliśmy nagle napis „Restoran”. Zapraszać się oczywiście nie daliśmy, tylko prędko weszliśmy do wnętrza. Było otwarte, ale żadnej żywej duszy nie było widać. Spróbowaliśmy nieco głośno się zachowywać, aby zwrócić uwagę na naszą obecność. Rzeczywiście niedługo trzeba było czekać, gdy zjawił się jakiś „staryk”. Pozdrowiliśmy go uprzejmie i zapytaliśmy, czy można by dostać coś do zjedzenia. Odpowiedział, że już nic nie ma. „Może macie choć chleb?” – nie dawaliśmy za wygraną. Stary popatrzył trochę nieufnie na dwóch przybłędów, ale widząc naszą pokorną postawę wyczekującą, serce mu widać zmiękło. „Pasmotrim” (zobaczymy) – odpowiedział i zniknął za niskimi drzwiami. Po niedługim czasie wrócił, niosąc dwa kilowe bochenki pod pachą. Oczy się nam zaświeciły, tylko obawialiśmy się jak to będzie z zapłatą, bo pieniędzy nie mieliśmy wiele. Moja majątność wynosiła trzy ruble, pozostałe po owym pulowerku, co to ciocia zrobiła dla wujka, a ja nie dowiozłem do Warszawy. Całą tę sumę trzymałem już w ręku, gotów się targować, gdyby „staryk” chciał za chleb więcej. „Skolko?” (Ile?) – zapytaliśmy nieśmiało. Mój kompan nie miał wiele więcej niż ja. Skąd zresztą? Jak się jakiś handelek kiedyś

zrobiło, to też i wydało na chleb, albo na tytoń, kto palił. Suma nie przekraczająca pięciu rubli w ogóle nie posiadała żadnej siły kupna, więc jeśli komuś pozostało coś w tych granicach, to i tak nie zdało się na nic. Będąc posiadaczami takich to właśnie nikłych kapitałów, czekaliśmy obecnie z niepokojem w duszy na odpowiedź. „Dwa rublja adin” (Dwa ruble za jeden) – odrzekł „staryk”. Odetchnęliśmy. On się uśmiechnął. My także. Dziękując prawdziwie od serca zabraliśmy cenny nabytek i wyszliśmy z restauranu, wolniutko człapiąc w kierunku obozu. Po zaznanej niedługiej wolności pragnęliśmy jednak dostać się znów do zony. Bo w baraku było i cieplej i pomiędzy swoimi, a i tak trzeba było czekać na chwilę, gdy mieliśmy stać się prawdziwie wolni. Jak ja z moją rozkrajaną nogą mogłem nie tylko dotrzeć do Iwdielu, ale też wrócić z powrotem, sam nie wiem. Może to ten dzień obfity w przeżycia zwiększył siły ducha tak, że i mdłe ciało mogło za nim podążyć? Teraz jednak, gdy znów znaleźliśmy się pod bramą stolicy tego gułagu, czułem, że siły mnie opuszczały i że z moją flegmonistą nogą trzeba się wreszcie położyć. Pozostawieni przed bramą towarzysze niedoli, zbici w gromadę jak stado baranów, drżąc z zimna czekali wciąż jeszcze na wpuszczenie za palisadę obozową. Żał było patrzeć jak ci ludzie na granicy wycieńczenia bezradnie poddawali się losowi. Nie namyślając się długo, wraz ze współnikiem iwdiewskiego przedsięwzięcia, przypuściliśmy znów szturm do strażnicy.

Wrześniowa noc zapadła już na dobre, a mroźne powietrze wyrównywało swym przenikliwym zimnem wyjątkowo ciepły miniony dzień. „Czewo?” (Czego?) – zapytał głos z uchylonego nagle okienka, do którego zastukałem. „Tu strasznie marzniemy, obywatelu strażniku. Czy nie moglibyście nas puścić do zony?” – „Nie lzja. Nie imiejcie bumagi i nużno żdać, aże drugije prijudut”. (Nie wolno. Nie macie papierów i trzeba czekać, aż przyjdą drudzy). Okienko się zatrasnęło – dyskusji nie było. Wróciliśmy do naszej gromadki, wyjęliśmy iwdielską zdobycz i zaczęli jeść. Łakome spojrzenia tych jeszcze słabszych, którzy nie odważyli się puścić na wyprawę za chlebem, można było wyczuwać nawet po ciemku. Ułamałem kawałek chleba i dałem jednemu, potem drugiemu. To samo zrobił mój towarzysz. Wszak udanym przedsięwzięciem trzeba było się teraz podzielić. Nie mogę powiedzieć, abym rozdzielił wszystko sprawiedliwie. Przynajmniej połowę zjadłem sam. Bo też żołądek nie miał dna. Musiało być już koło północy, gdy szcękając zębami znów spróbowałem prosić o wpuszczenie do obozu. „Zczeżniemy tu, towarzysze, miejcie sumienie. Toż to wszystko chorzy ludzie”. Widać mowa tym razem wywarła wrażenie, strażnicy poczęli szeptać między sobą i postanowili... nas puścić! Z wolności szliśmy z radością znowu do więzienia. Wszystko jest względne...

## REJESTRACJA

Grupa Polaków maszerujących pieszo z Przystani przybyła do Iwdielu dopiero nad ranem, tak że nasze wcześniejsze dostanie się do baraku, choć to był tylko „zwyczajny luksus”: prycze o gołych deskach, opłaciło się bardzo. Ciepło bijące od żelaznego piecyka sprawiało uczucie zadowolenia, a zakosztowany przedsmak wolności minionego wieczora domagał się cierpliwszego oczekiwania na opuszczenie ostateczne przybytków sowieckiego wychowania. Noga jednak nie obiecywała mi beztrioski. Owszem, po intensywnym nadużyciu przypominała, że z nią nie jest bynajmniej dobrze. Wszak otwarta rana nie zapraszała do spacerów, a jej ropny charakter nie mógł pozwolić oczekiwać na rychłe zagojenie. Czuję znowu gorączkę, a cuchnąca materia przesiąkała przez opatrunek i ściekała do „czuniów” (łapcie z materiału podobnego do opon samochodowych). Powiniennem iść znów do szpitala, ale broniłem się nawet przed myślą o tym. Przecież to chyba już długo nie potrwa, a kiedy się znajdę na wolności, pójdę do wolnego szpitala – już jako wolny człowiek. I rzeczywiście: trzeciego dnia kazano nam się szykować do pójścia do rejestracji. Taka formalność bowiem musiała poprzedzić samo zwolnienie. Rejestracja nie odbywała się jednak w samym obozie, lecz w miasteczku, które niedawno odwiedziliśmy. Czyli, że znów trzeba odbyć ten około trzykilometrowy spacer w obie strony, z tym, że stan mojej nogi był obecnie odpowiednio gorszy. Nie opatrywana przez ten czas wyglądała niezbyt zachęcająco. Nie uskarżałem się jednak na swój los, a nadzieja, że to już ostatni wysiłek dla upragnionej wolności, krzepiała mizerny stan fizyczny.

Marsz do Iwdielu był pozbawiony cech kolumny więźniów. Szedł z nami jakiś „strełek”, ale z bronią na „spocznij” i nikogo nie napędzał, ani nie straszył. A gdy nie mogąc nadążyć za innymi przyczepiłem się do przejeżdżającego wozu drabiniastego, nie powiedział mi, że „nie lzja”. Ostatecznie nie maszerowaliśmy do roboty, ale do rejestracji i nie do więzienia, ale na zwolnienie. Dotarliśmy wreszcie do celu. Był to drewniany, parterowy budynek, podobny do tyłu innych w Iwdielu. Rodzaj baraku z okienkiem na zewnątrz i urzędnikiem NKWD wewnątrz. Tym razem, więc byliśmy my na zewnątrz, a enkawudzista w środku. Oczywiście nie stanowiło to dla nas żadnej korzyści; przeciwnie, podczas kiedy wewnątrz było ciepło, na zewnątrz dokuczał raczej chłód, choć jesień nie zaczęła się jeszcze na dobre. Ale kto by się wtedy kłopotał o takie drobiazgi! „Co on się tam pyta?” – chcieliśmy się dowiedzieć od pierwszych, którzy przeszli przez okienkową formalność. „Ano, jak zwykle – jak się nazywasz, oczestwo (imię ojca), kiedy i gdzie się urodziłeś, za co i na ile cię skazali...”. Tak jakby tego wszystkiego nie wiedzieli. No i na koniec: dokąd chcesz

jechać? Dobre pytanie! Dokąd chcesz jechać, jak cię zwolnią? Przecież to jasne: do wojska polskiego! Bo dokąd? Polska zajęta przez Niemców, a w Rosji kogo się gdzieś ma? Ale z tą polską armią nie była sprawa bynajmniej jasna. Nasz enkawudzista nie miał pojęcia, kiedy i gdzie powstanie. Najpierw musisz jechać na miejsce przeznaczenia i tam czekać, aż armia powstanie. Już was powołają. Tyle się dowiedziałem, gdy przyszła na mnie kolejka. „Dokąd więc chcesz teraz jechać?” – „Gdzież mam pojechać, kiedy nie można do polskiego wojska? Chyba tam, gdzie jest ciepło” – odpowiedziałem, bo nie wiedziałem naprawdę, co miałbym innego ze sobą począć. Tymczasem, aby jak najdalej od tej przekłętej Syberii! Na południe, dość tego marznięcia! – „No to może chcesz jechać do Namanganu?” – „Gdzie to jest?” – „W Uzbekistanie”. Przyznam się szczerze, że choć byłem gimnazjastą, to o Uzbekistanie nigdy nie słyszałem. Żeby mi powiedział, że to okolice Taszkontu, prędeż bym się połapał. A z tym Namanganem<sup>24</sup> to już zupełnie nie mogłem sobie dać rady. Nie wiem, dlaczego skojarzyła mi się substancja chemiczna „nadmanganian potasu”, znana z lekcji chemii i z praktycznego zastosowania w domowej apteczce. Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że takie skojarzenie nie posiadało żadnego sensu, natomiast ważne było, jaki tam w tym Namanganie był klimat. Dla pewności więc spytałem: „A jest tam naprawdę ciepło?” – „Tam jest naprawdę ciepło”. – Miałem nie wierzyć? – „No to dawaj do tego Namanganu”. Tak to, przy pomocy urzędnika rejestracyjnego NKWD, powziąłem brzemienną w skutki decyzję. Czy to zresztą miało większe znaczenie, dokąd miałem tymczasem pojechać? Przecież to tylko przejściowa sytuacja. Celem ostatecznym miała być polska armia!

## ZNÓW W SZPITALU

Dla polepszenia niebezpiecznego stanu nogi musiałem jednak coś przedsięwziąć. Przede wszystkim należała się zmiana opatrunku i dezynfekcja. Lekarz obozowy, Niemiec nadwoźński, gdy zobaczył co się święci, z miejsca kazał mi iść do szpitala. Upór nie miał sensu. Mogłem się doczekać najwyżej gangreny i nie wiadomo jakich dalszych konsekwencji. Zresztą byłem już po rejestracji i formalności mogły iść swoim torem, więc ustąpiłem i poszedłem znów do szpitala. Z przyjemnością się wykąpałem, a zawszone łąchy – wszy szybko się odzyskiwało – oddałem do prażenia i na przechowanie. I tak nie będą już

---

24. Namangan – miasto we wschodnim Uzbekistanie, w Kotlinie Fergańskiej, nad Północnym Kanałem Fergańskim.



potrzebne, bo na wolność zapewne zostaną wyposażony w jakiś przyzwoitszy strój. Moja tandetna kurtka wysłużyła się przecież przez te dwa lata dość. A z bielizny zostały tylko strzępy. Teraz zaś otrzymałem strój szpitalny, szarobiałą sutannę, a po gruntownej dezynfekcji i opatrzeniu nogi dostałem przydział łóżka w baraku szpitalnym. Po zakosztowaniu takiej wygody na Przystani rozkoszowałem się znowu czystą pościelą, bielizną i możliwością wyciągnięcia zbolącej nogi na sienniku oraz przykrycia się kocem. Odżywienie było też co najmniej inne niż ogólne obozowe, a choć nie zaspokajało ono potrzeb do cna wycieńczonego organizmu, to jednak wzmacniało go z dnia na dzień.

Powracałem więc po trosze do sił, tylko rana w nodze nie zamierzała się goić. Ropa produkowana w ostatnich dniach w obfitości spływała nie tylko do stóp, powodując lekkie chlupanie za każdym stąpieniem, lecz także drążyła pod skórą przetoki, wciąż powiększające otwór pooperacyjny. Teraz sytuacja przynajmniej się nie pogarszała, choć powstała tak zwana „jazwa” – chroniczna, niegojąca się rana, na której zaczynało narastać dzikie mięso, a przegniłe brzegi skóry nie próbowały się nawet regenerować. Rany tego rodzaju widywałem u innych w czasie oczekiwania w poczekalniach lekarskich. Widok ich napawał mnie zawsze obrzydzeniem i współczuciem. Teraz stałem się sam właścicielem takiej godnej politowania rany, o nieco większych rozmiarach od widzianych poprzednio. Gdy jednak człowiekowi samemu przypada w udziale coś, co wywołuje uczucia wstrętu i litości, następuje rezygnacja, pogodzenie się z losem, który z kolei te uczucia mógłby wywoływać u innych. Teraz mnie samego moja „jazwa” nie przyprawiała bynajmniej o mdłości, owszem, miałem wyśmienity apetyt, przekraczający znacznie możliwości aprowizacyjne. Współczuć sobie samemu też nie współczułem, przeciwnie, optymizm w oczekiwaniu na poprawę i na najważniejsze, na stanie się niedługo wolnym człowiekiem, powiększała tylko apetyt i dobre samopoczucie.

gorzej było z niektórymi innymi pacjentami. Szczególnie nie do pozazdroszczenia był stan pułkownika w podeszłym wieku, Łukaszińskiego (czy Łukasiewicza – do nazwisk w ogóle nie mam pamięci i dlatego niechętnie je cytuję). Jako oficera w stanie spoczynku zaaresztowano go, więziono i skazano zaocznie, normalnym trybem – po „osobojem sowieszczaniu” – i, według normy, na 8 lat. Jak przewidywaliśmy w Odessie, wysokość wyroków nie odgrywała w naszym wypadku żadnej roli. Obecnie wszyscy mieliśmy opuścić obozy i więzienia. Cóż z tego, kiedy dla wielu i ten skrócony pobyt w warunkach „łagierno-sanatoryjnych” był ponad siły. Pułkownik Łukasziński należał do tych, którzy znaleźli się, być może ze względu na swoją wojskową przeszłość, na tej oddalonej jeszcze bardziej od Przystani „podkomandirówce”. Przyjechał wraz ze mną owym samochodem „dla dochodzących”. Czy wyniszczony do

absolutnego ostatka pułkownik doczekał się wolności, nie wiem, ja wyszedłem bowiem wcześniej i jemu zawdzięczam w znacznym stopniu spełnienie się tej przenikającej do szpiku kości tęsknoty.

## NA WOLNOŚĆ!

Po dziesięciodniowym pobycie w szpitalu iwdielskiej centrali, przyprowadzono tam innego chorego Polaka. Gdy usłyszał, jak się nazywam, powiedział, że od kilku dni przy zwalnianiu amnestionowanych wywołują bezskutecznie moje nazwisko. Na taką wiadomość poszedłem z miejsca do lekarza, żądając wypisania ze szpitala. Niemiec był uczciwy, ale obdarzony zdrowym rozsądkiem. „Z taką nogą wyjść ze szpitala to szaleństwo” – oświadczył. „Czy ty zdajesz sobie sprawę jakie są warunki podróży w dzisiejszych czasach?” – „Niech będą sobie jakie by nie miały być, ale ja chcę wyjść na wolność, doktorze” – odpowiedziałem, dodając: „Jak będzie trzeba, pójdę znów do szpitala, ale już nie jako więzień, lecz jako człowiek wolny. Jaką mam pewność, że do czasu, gdy moja noga się wygoi, nie zmieni się coś, co zamknie otwarte obecnie wrota więzienne?” Lekarz się tylko gorzko uśmiechnął. Może mi zazdrościł? Bo choć jego los w obozie należał do tych najbardziej uprzywilejowanych, to jednak był więźniem, a jako Niemiec nie miał nawet najmniejszych nadziei na rychłe zwolnienie. Nie było jednak czuć w nim zazdrości, a raczej troskę człowieka zdającego sobie sprawę z odpowiedzialności na nim ciążyącej. „Rozumiem twoją tęsknotę za wolnością, ale jako lekarz nie mogę cię wypuścić” odpowiedział. Wyszedłem od lekarza przegrany, ale za wygraną nie dałem. Czekać na wyjście, kiedy moje papiery są gotowe i tylko trzeba je odebrać! Niech się gdzieś zawieruszą... Albo niech się coś odmieni. Wizja wolności, po którą trzeba by tylko jakoś sięgnąć, nie dawała mi spokoju. Tej nocy nie mogłem spać, tylko rozmyślałem, jakby się przedostać do zony zwalnianych, aby odebrać moje papiery. Gdy będę je miał w ręku, z doktorem dam sobie radę. Nie będzie miał nade mną więcej władzy, bo będę wolnym człowiekiem. Nazajutrz rozpytywałem przybyłego chorego Polaka, co wiedział o tych zonach. Niewiele potrafił powiedzieć. „Stąd będzie chyba trudno się tam dostać. Pewnie jest drut kolczasty i kontrola”. Zasięgnąłem języka roznoszącego jedzenie więźnia sowieckiego. „Przejść nie jest łatwo, ale nie niemożliwie. W każdym razie jednak nie w stroju szpitalnym”. Skąd by tu wziąć jakieś „cywilne” ubranie? Moje szmatławe resztki odzienia przydałyby się teraz, ale bez zezwolenia lekarza ich przecież nie dostanę. Tu przyszedł mi na myśl chory pułkownik. Posiadał on bowiem jakimś cudem ocalałe, do tej pory przechowywane, długie palto

futrane, z którym widać nigdy się nie rozstawał. Zbyt dużą pokusę mogłoby ono stanowić w warunkach obozowych. Gdyby tak pułkownik zgodził się mi to futro pożyczyć? Czy jednak zechce mi zaufać i swój skarb z rąk wypuścić? Nieufność w łagrze była zjawiskiem samo przez się zrozumiałym i nikt nie miałby nikomu za złe, jeśliby nie obdarzał go specjalnym zaufaniem. Nie mając jednak na widoku żadnej innej możliwości, spróbowałem przedłożyć swój plan choremu staruszkowi. Nie zaskoczyła go moja prośba. Zamyślił się chwilę, jakby chciał wejść w głębię innego świata, który go wołał i cichym, poważnym głosem odpowiedział: „Nie wiem, czy danym mi będzie opuścić to miejsce ludzkiej niedoli. Tyś młody i pragnienie wolności jest w tobie zrozumiałe. Masz palto i idź odebrać swoje papiery”. Dobroć tego człowieka pozostała mi w pamięci po wszystkie dni mojego życia i z radością ją wspominam.

Ubrawszy futro na strój szpitalny najspokojniejszym krokiem poszedłem w stronę zony dla zwalnianych. Przedtem już wypatrzyłem, gdzie się ona znajdowała, więc teraz nie musiałem błędzić. Bramka przejściowa była otwarta i nikt jej nawet nie pilnował. Nadspodziewanie łatwo znalazłem się tam, dokąd musiałem się dostać. Z daleka widziałem grupę obdartusów stojących rzędem i krępego „naczelnika” z plikiem papierów w ręku. Serce mi zabiło. Przystanąłem w odległości, z której mogłem słyszeć co się dzieje. „Naczelnik” czytał z listy nazwiska, za każdym razem ktoś się wysuwał z rzędu i odbierał podaną mu kartkę. Zbliżałem się powoli, aby nie przepuścić żadnego słowa, a tu właśnie z ust anioła wolności pada moje nazwisko! – „Ja jestem!” – krzyknąłem jeszcze z odległości i teraz biegiem zbliżałem się do innych. „A gdzie ty byłeś do tej pory?” Widać nie wszystko, co się działo wewnątrz obozu docierało do wiadomości jego władców. „W szpitalu” – odpowiedziałem opanowując poruszenie. „No charaszo. Oto twoje udostowierzenie”. Z niedowierzaniem, że ten świstek papieru jest znakiem mojej wolności, wziąłem go do ręki i już sobie wyobrażałem, jakie oczy zrobi mój doktor na jego widok. Teraz musiałem jeszcze poczekać, aż lista przeznaczonych do zwolnienia tego dnia się skończy, aby otrzymać ogólne instrukcje dotyczące opuszczenia obozu. Mieliśmy jeszcze otrzymać rozliczenie za wykonaną pracę w okresie przebywania w łagrze, jak też bilet kolejowy i pieniądze na podróż. „Ale ja jeszcze muszę wrócić do szpitala po moje rzeczy”. „Charaszo” – zgodził się naczelnik i wytłumaczył, gdzie mam następnie pójść. Biegłem jak szalony, podskakując na zdrowej nodze, aby prędzej znaleźć się w szpitalu. Nie ukrywając radości i wdzięczności mojemu dobroczyńcy oddałem mu opatrnościowe futro. Uśmiechnął się przyjaźnie i z widocznym zadowoleniem, że nie nadużyłem jego zaufania. „Futro to może mi oddać jeszcze nieocenione usługi”. „Życzę Panu powrotu do zdrowia i prędkiego opuszczenia szpitala i łagru” – odpowiedziałem. Teraz,

nie zwlekając ani chwili, poszedłem do lekarza. „Panie doktorze, oto jestem wolnym człowiekiem. Proszę mnie wypisać ze szpitala i wydać moje rzeczy”. Niemiec spojrzął na dokument i nie zamierzał się sprzeciwiać. „Rozumiem cię i życzę ci wszystkiego dobrego”. Był w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem. Wiedział, że czeka mnie uciążliwa podróż, w którą nie miał prawa mnie puścić. Teraz brałem całą odpowiedzialność na siebie samego, więc rola jego jako lekarza została wypełniona. Wielka przygoda stała przede mną...

## ZMIANA WARTY

Pociąg wystukiwał wesoło kołami o przerwy w szynach, gdy jako wolny pasażer jechałem wagonem osobowym, zaopatrzony w bilet trzeciej klasy. Cóż z tego, że moją wymizerowaną postać okrywały łachmany, kiedy młode serce cieszyło się radością czystą i obfitą, a radości tej nikt mi nie mógł zabrać? Ani niepewność jutra, ani tajemnica wielkiej przygody, ani samotność zagubienia pośród nieznanego a obcego mi kraju, ani ciężko chora noga, ani... Ani nic. Bo nawet rozczarowanie, jakie mnie spotkało przy zwolnieniu z łagru, kiedy wychodzącego na wolność człowieka puszczono jak ostatniego dziada, radości tej nie umniejszało. W rzeczywistości to każdy, nawet ostatni dziad wstydziliby się tak wyglądać, jak ja wówczas wyglądałem. Miałem na ciele w sumie licząc około połowy koszuli, jakieś trzy czwarte spodni, może trochę więcej, tylko w bardzo żalonym stanie, strzępy i łaty lepkie od brudu żywicznego, potu i trudu ciężkiej pracy.

Oczywiście miałem jeszcze wciąż moją kurtkę, tę kupioną przez matkę przed dwoma laty na ewakuacji, tandetę dostępną jeszcze po katastrofie 1939 roku. Dwa lata ona dopiero liczyła, ale dwadzieścia miesięcy wiernej służby w dzień i noc, niezliczone „dezynfekcje” – czyli prażenie w wozobojkach, a zwłaszcza ostatnie pół roku, tak krótkie, a tak długie jak wieczność, pół roku czternastogodzinnego dnia pracy i dziesięciodniowego tygodnia, kiedy na jedenasty wolny dzień wychodziło się „dobrowolnie” pracować, a kurtce nawet w nocy nie można było dać wytchnienia, bo była jedynym posłaniem i przykryciem – to łagrowe pół roku wycisnęło na niej bezlitosne piętno zużycia i wyniszczenia. Co z pierwotnego stanu pozostało, trzymało się kupy jedynie dzięki mojej zapobiegliwości, zaszywaniu dziur, wprawianiu łat z najrozmaitszych trafiających się kawałków materiałów. Moja wierna, uboga od początku, a teraz tak wysłużona kurtka nie chciała mnie opuścić, choć ja w mojej niewdzięczności najchętniej bym się jej pozbył za jakiś inny, choćby tylko trochę porządniejszy kawałek garderoby. Nic jednak nowego nie dano mi na

odprawę po półrocznej pracy niewolnika. Ani ubrania, ani obuwia, ani nakrycia głowy... Miałem, więc moje rozłożące się, wymoszczone flegmonową ropą, czunie<sup>25</sup> i brudne szmaty jako onuce oraz kłapoucha, czapę zatłuszczoną, wypłowiałą, powycieraną, poprzecieraną, wymiętoszoną... A rozliczenie za wyrobione godziny po 14 godzin dziennie, bez niedziel i świąt, było też odpowiednie. Nie wiem jaką to wyższą szkołę księgowości musieli posiadać geniusze gułagowej administracji, aby moje mizerne wysiłki w służbie sowieckiej ojczyzny pracy do kupy zliczyć. A jednak liczyli i zliczyli: sześć rubli i sześćdziesiąt pięć kopiejek! Wcale przyzwoita suma, która by w obozie nie wystarczyła na odkupienie jednej pajdki chleba. Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym twierdził, że jako byłego więźnia, wolno podróżującego ku miejscu wolnego osiedlenia nie zaopatrzone na drogę odpowiednio. Oprócz cennego „udostowierenia” (zaświadczenie zwolnienia z obozu), które mnie upoważniało do zakupu jednego kilograma chleba na większych stacjach po cenie urzędowej jednego rubla i oprócz nie mniej cennego biletu trzeciej klasy zaliczającego mnie do ludzi, mimo zupełnie podejrzanego wyglądu – powiedzmy: żulika (złodziejaska), otrzymałem oszałamiającą dietę na podróż oszacowaną na 13 dni, po 15 rubli dziennie. Co wywoływało we mnie zupełnie nieprzyzwoite uczucie „nuworysza”, czyli kapitalisty. Drżałem o tę tak nagle uzyskaną majątność, bo nie miałem gdzie jej nawet schować. Kieszenie kurtki dawno przestały istnieć, oddając swój byt w ofierze w walce o przetrwanie, czyli stając się latami w miejscach szczególnie zagrożonych. Tak więc mój kapitał, złożony w rodzaju portfela, spreparowanego w ostatnim okresie z kory brzozowej, spoczywał pod czujnym okiem właściciela. Został on złożony w płóciennym woreczku, miejscu schronienia dla całości majątku, czyli kilku szmat, kawałka chleba, no i właśnie tego dobrze załadowanego rublami portfela dającemu również gościnę wyżej wspomnianemu patentowi na wolnego obywatela.

Dla pewności i ciepła, bo choć to był dopiero okres zrównania jesiennego, ale padał już pierwszy śnieg, wydrapałem się na górną pryczę mego przedziału. Z tej wysokości mogłem wyglądać przez okno i robić inspekcję krajobrazu. Był mi on dobrze znany z podróży w przeciwnym kierunku. Co kilka kilometrów ogrodzone drewnianą i kolczasto-drucianą palisadą „podkomandirówki” iwdielskiego systemu wychowawczego nie wyludniły się na skutek nagłego zwolnienia Polaków. Oczywiście też i narody wyzwolone nie mogły pozostawać w tyle za nową ojczyzną. Tak więc obecnie nasze miejsce zajęli mieszkańcy Besarabii, wyzwoleni w międzyczasie od Rumunii. Poznać ich było z daleka po wysokich, baranich czapach i częściowo po kozuchach, w które byli odziani

---

25. Czunie – „buty” wykonane ze szmat.

wciąż jeszcze ci wrogowie ludu znad Czarnego Morza. Czy im współczułem? Raczej nie bardzo. Przecież to było samo przez się dla mnie zrozumiałe, skoro ten lud znalazł się w sferze sowieckiej wspólnoty. Ostatecznie dwa lata doświadczeń w ramach tej wspólnoty pozostawiło ślad nie tylko na mnie, lecz nawet na tych, którzy byli bardziej przekonani ode mnie komunistami. Ja takim nigdy nie byłem, więc teraz tym mniej mogło mną powodować współczucie czy zdziwienie. Współczucie? Czy my byliśmy potraktowani inaczej? Przecież „wyzwolenie” musiało mieć jakąś cenę. Zdziwienie? Przecież maszyną niewolniczego systemu pracy nie mogła ustać i na nasze miejsce musieli przyjść inni. To jasne i logiczne. Czyli po prostu musiała nastąpić i *de facto* nastąpiła, zmiana warty.

## PIERWSZA WOLNA NOC

Do Serowska pociąg zajechał późnym popołudniem. Tu musiałem czekać na dalszą okazję podróży w kierunku cieplejszych krain. Znalazłszy się na dworcu szukałem bufetu, bo przecież należałoby coś zjeść. Bufetu niestety nie mogłem odkryć. Był tylko kiosk, w którym można było dostać... lody na patyku. Chwytał już mróz, popadywał drobny śnieżek, więc nawet dla głodnego lody nie stanowiły atrakcji. Może dlatego było ich pod dostatkiem... Tak czy inaczej, w braku przynajmniej gorącej herbaty, zdecydowałem się na lody. „Kipiatok”, czyli kipiąca woda (nie należy wszystkiego brać dosłownie) jest chlubą sowieckiego państwa, bo – w przeciwieństwie do krajów kapitalistycznych – można ją dostać za darmo na każdej stacji kolejowej. Korzystając z tego osiągnięcia cywilizacyjnego wsadziłem swojego loda do łagiernej blaszanki i zalałem niezupełnie kipiącym „wrzątkiem” z kranu zaopatrzonego napisem „kipiatok”. Wszak ze śmietankowych lodów można by spreparować inny, bardziej do pory roku stosowny napój. Po dość przewlekłym procesie topnienia, w ciągu którego dalsze kalorie musiały ulegnąć utracie, powstała letnia, mętna ciecz, która wprawdzie nie grzała, ale też i nie ziębiła. Ale że na bezrybiu i rak ryba, więc moja lurka bez smaku i osobowości musiała zastąpić herbatkę z mlekiem, luksus nieosiągalny w tamtych stronach i czasach. Na pociechę i rozgrzewkę mogłem popić jeszcze czystym, wyborowym „kipiatkom”. Chleba w Serowsku o tej porze dnia nie mogłem oczywiście już dostać, miałem jednak jeszcze resztę zaopatrzenia wyfasowanego w obozie. Tak więc głodu cierpieć nie musiałem. Późnym wieczorem udało mi się dostać do pociągu jadącego w kierunku południa. Trzeba przyznać, że rosyjskie wagony są dobrze pomyślane i obliczone na długie podróże. Przedziały, czasem systemu

Pullmana, czasem otwarte do korytarza, są wprawdzie dziesięcioosobowe, lecz zważywszy większą szerokość wagonów i dobre wykorzystanie miejsca, wszyscy pasażerowie mogą się w nocy wyciągnąć. Dzięki systemowi dwupiętrowych półek nad ławkami oraz na korytarzach, pod warunkiem, że nie ma przepełnienia, każdy praktycznie może się położyć. Oczywiście ta najwyższa półka ofiarowała zarówno najcieplejsze, jak i najbezpieczniejsze miejsce, co skłaniało mnie do szybkiego jej zajmowania, zanim ludzie się ze swoimi bagażami zdołali roztasować. Na tej wysokości czułem się pewniejszy. Tu nikt nie mógłby mi łatwo zabrać majątności otrzymanej na trzynastodniową podróż. Z tej wysokości mogłem też obserwować innych i lepiej oceniać z jakimi osobnikami miałem do czynienia. Ludzie odziani prosto, po sowiecku jednostajnie, wypełnili niebawem mój przedział i nikt nie zgłaszał pretensji do objętej przeze mnie w posiadanie najwyższej półki. Gułagowi „błatniacy” byliby ewentualnie innego zdania co do praw przeze mnie roszczonych, ale tu, w wolnym pociągu, ich nie było. Skorzystałem więc z ciepła panującego na tej wysokości, z uspokojenia mojej dziurawej nogi przez poziome jej ułożenie, zmęczony nadmiarem przeżyć minionego dnia, kołyszany równomiernym huśtaniem wagonu i stukaniem kół, mogłem oddać się z błogością w ramiona Morfeusza w tę pierwszą noc wolnego człowieka.

## ZNÓW W CZELABIŃSKU

Dwie noce i dzień pomiędzy nimi spędziłem w pociągu. W Świerdłowsku, w czasie postoju pociągu, za okazaniem cennego „udostowierienia” mogłem dostać po cenie urzędowej kilogramowy bochenek chleba. Inne artykuły spożywcze leżały poza granicami marzeń. Najważniejsze, że „kipiatok” – to wielkie osiągnięcie ojczyzny socjalizmu, choć czasem z lekka ostygły, na każdej stacji znajdował się pod dostatkiem. Tak więc głodu cierpieć nie musiałem. Jedyne noga przypominała coraz natarczywiej, że nie wszystko w moim losie było w porządku. Prawda, że z łagiernego szpitala uciekłem przedwcześnie, ale teraz, zaopatrzony w patent wolnego człowieka, choć to był szmatławy świstek papieru i choć ja sam obdarty byłem jak ostatni dziad, czułem się wolny jak ptak, który może przysiąc, gdzie zechce. Tak więc, gdy trzeciego dnia z rana pociąg zajechał do Czelabińska, a gorączka zaczęła wyraźnie się podnosić, postanowiłem poszukać na stacji punkt sanitarny. I rzeczywiście znalazłem. Dyżurna sanitariuszka obejrzała nogę, zdezynfekowała ranę i zmieniła cuchnący już opatrunek. Dla dokładności obrzędu wsadziła mi termometr do ust i gdy pokazał 38,5°, skierowała do szpitala „oblastnego” (gubernianego). Znalazłem

go po krótkim błędzeniu po ponurym mieście szarych, zbudowanych w stylu barakowym domów. Przyjęto mnie bez honorów, ale też i bez żadnych uprzedzeń. Sprawa była jasna, jak ongiś z przechodzeniem przez granicę na Sanie. Wówczas „czesanie białych niedźwiedzi”, teraz leczenie szpitalne. Dziura w nodze, w najmniejszym stopniu jeszcze nie zarośnięta, miała tendencję do powiększania się. Ropa wytwarzana przez niewyleczoną wciąż jeszcze infekcję przeżerała skórę, a nie mogąc się w dolnej części nogi wydobyć na zewnątrz, tworzyła nowe przetoki. „Trzeba znów zoperować” – orzekł lekarz wydziału chirurgicznego, w którym mnie umieszczono. Operacja miała odbyć się naza jutrz, a tym czasem czysto wykąpany, przyodziany w czystą płócienną koszulę, zostałem położony w czysto posłanym łóżku. Czystość była jedną z najtajniejszych tęsknot łagiernika, choć może sam, w bydlęcym upodleniu, najmniej o nią dbał. Wszawie szmaty, po dezynfekcji, zostały złożone w przechowalni szpitalnej i najmniejszej tęsknoty za nimi nie odczuwałem. Na stół operacyjny wzięto mnie rzeczywiście następnego dnia. Sądziłem, że będę znów krajany pod lokalnym znieczuleniem i choć to mnie nie napawało strachem, z radością przyjąłem wiadomość, że zostanę uśpiony. Wszak to nie gułagowy, ale wolny szpital! Znieczulenie lokalne drogą zamrożenia było rzeczywiście bardzo lokalne: jedynie na powierzchni skóry. Cały system nerwowy pod skórą pozostawał zupełnie normalnie wrażliwy i operacja w takich warunkach była podobna do zabiegów z czasów śp. Paska<sup>26</sup>. Teraz natomiast uświadomiono mi jak mam zachowywać się po założeniu maski chloroformowej. Co dalej, nie musiało mnie już obchodzić. Uspianie chloroformem okazało się być jednak zabiegiem niezbyt przyjemnym. Wyobrażałem sobie zaśnięcie łagodne, słodkie, jak niegdyś w Polsce, gdy jako chłopca operowano mnie na ślepą kiszkę. Po otrzymaniu zastrzyku dożylnego kazano mi liczyć. Doszedłem do trzydziestu i z zastygającym uśmiechem próbowałem oświadczyć lekarzowi, że już śpię. Uczucie maski chloroformowej na twarzy było jednak zupełnie inne. Czuję dosłownie, że się duszę i odruchowo chciałem maskę zerwać. Przywiązany jednak dostatecznie mocno, zdałem się na los duszonego. Na śmierć mnie jednak nie zadusili, ale dowiedziałem się, jakie jest uczucie umierającego przez uduszenie. Wtedy nie dodusili mnie najwyraźniej, bo po jakimś czasie zacząłem odczuwać tępe a bolesne skrobanie i widać dałem oznaki wracającej przytomności, a nowa maseczka chloroformowa pogrążyła mnie w skutecznym beczuciu.

---

26. Prawdopodobnie T. Wojnarski odwołuje się do czasów XVII wieku.



## PROWIDENCJE

Pobyt w czelabińskim szpitalu miał być dla mnie nie tylko okresem rekonwalescencji, ale też przygotowaniem do dalszego przeżywania wolności w Związku Sowieckim i do przyszłej służby w armii polskiej. Żadne górnotłone myśli nie były tu potrzebne – jeżeli chodzi o rekonwalescencję i o wzmacnianie organizmu. Sama natura bowiem dobrze wiedziała, że ten mocno nadszarpnięty organizm gwałtownie wymagał wzmocnienia. Czyli przede wszystkim – odżywienia. Dietetyczna kuchnia szpitalna nie przewidywała jednak żadnych dodatków dla głodujących byłych więźniów gułagów. Czyli, że jeżeli bym nie znalazł możliwości dodatkowego dożywiania się, byłbym skazany na dalsze, choć o wiele elegantsze głodowanie. Szczęściem czy nieszczęściem straciłem w obozie naturalne hamulce przed spożywaniem pokarmów niedojedzonych przez innych. Tylko, że w obozie poza rzadką okazją dopadnięcia obgryzionych główek od „tiulek” nie trafiało się nigdy nic niedojedzonego. Skądże – każdy wylizywał swoją miskę na wzór kotów lub psów. Tu ten lub ów chory pogrzebał tylko w jedzeniu i nieraz zostawiał niemal całą porcję ledwie naruszoną. Szczęściem byłem przydzielony na wydział chirurgiczny, więc nie było tu do czynienia z chorymi zakaźnie. Mógł jednak ten czy ów posiadać jakąś ukrytą chorobę. Natura jednak wołała o swoje prawa, a żołądek po dwuletniej więziennie-łagrowej głodówce wydawał się nie posiadać dna. Zapewne i posiadał, ale nawet te niedojedzone przez ciężko chorych porcje nie były tak obfite, aby mi mogło grozić przejedzenie. Pomiędzy personelem szpitalnym znajdowała się Polka z Rygi, w wieku mniej więcej mojej matki, która otoczyła mnie szczególnie serdeczną, wręcz matczyną, opieką. Chętnie ze mną rozmawiała – choć nigdy długo, bo obowiązki jej na to nie pozwalały. Wykazywała się bardzo dobrą znajomością języka polskiego, mimo że była urodzona z daleka od ojczyzny i jeszcze dalej później od niej żyjąca. Czasem przyniosła mi coś dodatkowego do zjedzenia, ale najważniejsze – kupiła mi (zresztą za moje pieniądze) album do fotografii, ołówek i gumkę. Ołówek zwał się tam „karandasz”. Okazuje się, że rosyjskie pojęcie ogólne „ołówek” wywodzi się od szwajcarskiej fabryki „Caran d’Ache”, widać popularnej już w dawnych czasach w Rosji. Każdy się zapewne zdziwi, po co mi był wówczas potrzebny album do fotografii, a zdziwienie jego będzie w pełni uzasadnione. Dla mnie samego miał on też najmniej spełniać cel z natury mu przeznaczony, fotografii żadnych bowiem nie posiadałem, o fotografowaniu nie mogłem przecież nawet marzyć, a zresztą nawet mi w myśli takie marzenie wtedy by nie powstało. A jednak ów album do fotografii oznaczał dla mnie całą nadzieję na przyszłość. Prosiłem moją opiekunkę, aby mi kupiła blok rysunkowy, ale choć odwiedziła wiele sklepów

czelabińskich, które by można było podejrzewać o posiadanie takiego artykułu, nigdzie nie mogła go znaleźć. Kupiła więc to, co można było dostać: album do wklejania fotografii! I tamto papier i to papier. Kartki albumowe były nawet z całą pewnością mocniejsze od ewentualnych kartek rysunkowych. Że trochę żółtawe w odcieniu, to przecież nic nie przeszkadzało. A na co mi był potrzebny ów papier rysunkowy? Takie pytanie nabiera zupełnie innego znaczenia. Dla chleba, panie, dla chleba! Chciałem pewną przyrodzoną mi zdolność w jakiś sposób eksploatować, aby przetrwać ów okres przymusowego oczekiwania na wstąpienie do wojska polskiego. Do pracy fizycznej nie tylko się nie rwałem, ale czułem się do niej wręcz niezdolny. Pół roku w łagrze nie zaprawiło mnie do niej bynajmniej. Raczej przeciwnie – pozbawiło sił na tyle, że nawet po obecnej kuracji szpitalnej nie mógłbym rościć nadziei na stanie się osiłkiem. W trosce więc o przyszłość rozmyślałem w jaki sposób mógłbym zarobić sobie na chleb codzienny, kiedy już żadna władza – ani więzienna, ani szpitalna – jedzenia mi nie przysporzy.

Jedyną umiejętnością, którą jako tako można by było eksploatować była zdolność rysowniczo-malarska, jaką wykazywałem już w czasach szkolnych. Teraz postanowiłem zdolność tę sprawdzić i poćwiczyć. Robiłem więc portreciki bezpłatne – wszak to była nauka a nie zarobkowanie – moich współtowarzyszy szpitalnych, rzadziej obsługi tejże instytucji, jako że nie miała ona czasu na pozowanie. Nie odważałem się wykraczać poza profil twarzy, ale to za to udawało mi się całkiem niezłe, ku uciesze rysowanych. No i mojej własnej! A czy ten mój artyzm chwyci w praktyce i czy będzie w tym twardym kraju popłatnym źródłem dochodu, nie próbowałem nawet się troszczyć. Ostatecznie najważniejszym było poczucie posiadania jakiejś umiejętności, a jej sprzedaż nie było rzeczą w tej chwili drugorzędną. Próba zaczęła się dopiero po wyjściu ze szpitala. Teraz wystarczyło mi stwierdzenie, że Rosjanie dawali się chętnie rysować. Prawda, że za darmo, ale czy inni nie dadzą tych kilka marnych rubli, aby dać się uwiecznić za tanie pieniądze „chudożnikowi” (malarzowi)?

## BEZTROSKA

Okres rekonwalescencyjny w wolnym szpitalu ze względu na nieskorą do gojenia się ranę po-flegmonową zanosił się na czas nieokreślony. Najchętniej bym tu przezimował, bo zimna bałem się najbardziej. Ale to były sprawy ode mnie niezależne. Zostanę tu dopóty, dopóki noga się całkiem nie wygoi, a to może potrwać zimę albo lekarzom się znudzę i wystawią mnie na łono natury – niech ona dalej troszczy się o moją dziurę w nodze. Tymczasem jednak przeżywałem

okres, który był z całą pewnością najbardziej beztrioskim w moim sowieckim epizodzie życia. Miałem zapewniony dach nad głową, ciepłe łóżko, czystą białą bieliznę, nienajgorsze wyżywienie z możliwością dożywiania się przez cięższe choroby, pozbawionych apetytu towarzyszy. Tu też po raz pierwszy zetknąłem się z ludźmi żyjącymi na wolnej stopie. Na naszej sali stało kilkanaście łóżek, a towarzystwo było mieszane – odpowiednio do tego kraju różnych ras i języków. Oczywiście przeważali Rosjanie, a w każdym razie wszyscy umieli po rosyjsku. Choć chorzy byli zazwyczaj operowani, jako że był to wydział chirurgiczny i musieli nieraz wiele dni przebywać razem, to zażyłości bynajmniej się nie wiązały, rozmowy prowadzone były ostrożnie i możliwie niezobowiązująco. Kiedyś wynikała dyskusja bardziej ożywiona, która weszła na tematy polityczne i jako że w więzieniach nie oduczyłem się mówić tego co myślałem, musiałem palnąć jakieś głupstwo, które nie wydawało mi się być krytyką Związku Sowieckiego, ale musiało widać zaszokować innych. Jeden z kuracjuszy, młody jeszcze dość Rosjanin, może nawet enkawudzista, jak by można było wywnioskować z jego wypowiedzi, obciął mnie z miejsca: „Uważaj co mówisz! Czy nie wiesz na co się możesz narazić?” – Przeszły mnie ciarki, bo choć nie zaistniało u mnie poczucie grzechu, to zbyt dobrze znałem skutki grzechu nawet niepełnionego w tym kraju. Domniemany enkawudzista, a porządny człowiek! Od tej pory starałem się jak najdokładniej unikać niebezpiecznych rozmów. Przeszkolenie w wychowawczych obozach pracy nie poszło na marne.

Czy ta niezbyt ostrożna rozmowa nie spowodowała żadnego donosu na mnie, nie mam pewności. Może uważano za właściwe zastosować pobłażliwość w stosunku do niedoświadczonego młodziaka? W każdym razie matczyzny stosunek mojej ulubionej pielęgniarki zaczął stygnąć. Tego właściwie nawet nie zauważyłem, bo została przeniesiona do innych sal, co przecież mogło być zjawiskiem jak najbardziej naturalnym. Personel szpitalny tam jest stawiany, gdzie wymaga tego potrzeba. Moja natura nieskłonna do podejrzeń nie zauważyła, że tu coś innego grało też rolę. Sytuację zrozumiałem jednak niedługo po tym i zdałem sobie sprawę, że przecież nie w wolnym jestem kraju na wolności, lecz w wielkim więzieniu, w którym autentyczne więzienie jest tylko wyższym stopniem pozbawienia wolności. Przecież w gruncie rzeczy o tym wiedziałem, a jednak jakieś złudzenie, że ten świat widziany z perspektywy więziennej był odbiciem zniekształconym, tkwiło głęboko w mojej w dobro wierzącej duszy. Potrzebne więc było specjalne otrząśnięcie, na które nie musiałem długo czekać. Któregoś dnia spotkałem moją dawną opiekunkę na korytarzu szpitalnym i serdecznie przywitałem. Była wyraźnie zmieszana i chciała prędko iść dalej, jako że obowiązkami. „Przenieśli panią do innych sal...” – próbowałem choć krótkiej rozmowy. „Tak” – odpowiedziała krótko

i prędko, a lekliwie rozglądając się dokoła, cichutko dodała: „Nie próbuj ze mną rozmawiać. Z powodu ciebie miałam wiele przykrości. Nie gniewaj się na mnie... Bywaj z Bogiem...”. Pośpiesznie się oddaliła, zostawiając mnie w osłupieniu. Co w jej sercu się działo, mogłem się tylko domyślać. Pewnie coś podobnego co i w moim. Skazanie na samotność pośród tego oceanu bezduszności, wyzucia z człowieczeństwa, zakazania człowieczych uczuć... Co dziwnego, że tu ludzie są tak zamknięci i że tak mało radości życia w nich widać. A co we wnętrzach dzieć się musi – można się tylko domyślać.

Pewnego dnia jeden z chorych na mojej sali dostał ataku epileptycznego. W konwulsjach zaczął się rzucać na łóżku. Zawołana pielęgniarka przybiegła natychmiast. Za chwilę wpadła druga. W samą porę, bo oto już drugi, być może pod psychiczną sugestią, na widok innego epileptyka, wpadł także w taniec św. Wita<sup>27</sup>. Pielęgniarki się rozdzieliły, aby chronić biedaków w drgawkach od niebezpiecznych uderzeń lub może nawet upadku z łóżka. Wtedy to, już jako trzeci, dołączył się mój domniemany enkawudzista. Widocznie był także epileptykiem. Dziewczyny biegały od jednego do drugiego, od drugiego do trzeciego, a inni chorzy im pomagali w akcji ratowniczej. Ja leżałem w łóżku nie chcąc się wtrącać ani przeszkadzać. Pomagierów było i tak dość. Ale moim sercem wstrząsały nieokreślone uczucia, jak konwulsje ciałami tamtych niešťczęśników. Ów niesamowity widok roztrzęsionych ludzi zlewał się we mnie z ich odczłowieczonym, z Boga wyzutym krajem, w jeden nieopisanie ponury obraz, od którego, choćbym chciał, nie będę się chyba nigdy mógł uwolnić.

## KIEŁBASA

Moja walka o wolność za wszelką cenę dawała teraz wyniki. Mimo dobrej opieki lekarskiej i przyzwoitych warunków szpitalnych organizm nie zdołał się wzmocnić na tyle, aby przezwyciężyć te zaniedbania, jakie wynikły z mojej niecierpliwości. Rana na przestrzeni połowy golenia zaczęła się wprawdzie pokrywać strupem, mięsa nie było już widać, ale po przyciśnięciu wierzchniej skorupy szczelinami wciąż jeszcze wychodziła ropa. Pewnego dnia lekarz oświadczył, że mam się na tyle dobrze, że czas mnie wypisać ze szpitala. Dalszy ciąg kuracji może być prowadzony już ambulatoryjnie. Śłuszne to było postanowienie, lecz przede mną stała dalsza długa tułaczka, podróż w niełatwych warunkach, a na ostatku nie wiadomo jeszcze jak to będzie w tym tam

---

27. Płąsawica, zwana chorobą św. Wita, to mimowolne i nieprawidłowe ruchy obwodowych części ciała.

Namanganie. Wyrok eskulapa nie sprawił mi radości, bo to akurat grudzień się zaczął, a na Uralu śnieg leżał grubą powłoką, mróz zaś wymalowywał szyby okien szpitalnych w najrozmaitsze wzory. Rady jednak nie było żadnej, oddałem czyste wyposażenie chorego za szmatławe resztki odzienia obywatela zdrowego i z dziadowskim woreczkiem, tudzież jego zawartością. Było w nim kilka gałganów, owy obiecujący album na fotografie oraz ołówek i gumka. Ponadto miałem w nim jeszcze inne bezcenne rzeczy, jak chociażby „udostowierzenie”, bilet 3. klasy na pociąg osobowy do Namanganu, no i tych prawie dwieście rubli, z których nie zdążyłem wiele jeszcze wydać. Tak więc z tymi wszystkimi skarbami, zdeponowanymi w portfelu z kory brzozonej zrobionym na krótko przed chorobą w obozie, pomaszzerowałem w kierunku dworca kolejowego.

Nie tak długo nawet musiałem czekać na okazję kontynuacji przerwanej podróży. Na zasadzie biletu 3. klasy wpuszczono mnie do wagonu osobowego i zająłem miejsce pośród pasażerów sowieckich. Mój dziadowski wygląd nie mógł w nikim wzbudzać zaufania, więc nie zdziwiłem się, gdy spotkałem się z nieufnymi spojrzeniami. Przyjemne to nie było, ale nie dałem po sobie poznać zażenowania (o ile w ogóle je wtedy miałem) i po niedługim czasie lody zostały przełamane. Wy tłumaczyłem skwapliwie moje pochodzenie, jak też sytuację prawną tym najbliższym współtowarzyszom podróży i zaczęli się niemal litować nad biednym „pacanem” (chłopakiem), a gdy odkryłem moje umiejętności „zawodowe”, zaczęli się na dobre rozklejać. Bez większych oporów, zachęceni rzeczywistym podobieństwem rysowanych z profilu portrecików za jedne 10 rubli, dawali się uwieczniać nowopoznanemu rysownikowi. Monotonność długiego podróżowania była moim oczywistym sprzymierzeńcem. Co dziwnego, że w przeciągu najkrótszego czasu podwoilem niemal mój stan posiadania. Gdy do tego dodać drobne wprawdzie, ale przecież te najcenniejsze dary w naturze w zakresie artykułów spożywczych, można powiedzieć, że moje oczekiwania pokładane w albumie na fotografie ze wszech miar zostały przekroczone. Równocześnie pozyskałem sobie sympatię tych ludzi, którzy rychło zrozumieli, że mój „żulikowski” wygląd był tylko pozorny. Powodzenie w roli artysty wzbudziło we mnie uczucie pewności siebie. W tych trudnych warunkach w obcym kraju znajdującym się w stanie wojny, sam w stanie kalectwa fizycznego, bez żadnego zawodu miałbym podstawy do obaw co do przyszłości. A tu od początku taka euforyczna sytuacja! Teraz chyba już zdolałem przetrwać aż do chwili wstąpienia do polskiej armii... Pełen entuzjazmu pomimo dziadowskiego wyglądu, rozgrzany kapitalistycznymi aspiracjami, jechałem pośród już bardzo zamarzniętego i grubą warstwą śniegu pokrytego krajobrazu w kierunku słońca i południowego ciepła.

Gdy pociąg zatrzymał się na większej stacji w Orsku, podróżni powstawali z miejsc, aby rozprostować podrętwiałe członki. Niektórzy wyszli nawet na zewnątrz w nadziei uzupełnienia zaopatrzenia. Wtedy to rozeszła się wiekopomna w skutkach pogłoska: „w bufecie sprzedają kielbasę!” – Dwa razy tego nie trzeba mi było powtarzać. Oni mają kielbasę, a ja tyle pieniędzy, więc na co czekać? Chwyciłem mój nabrzmiały banknotami portfel z brzozonej kory, wybiegłem z wagonu i pociąłem się pchać do bufetu wraz z innymi. Nikt tej kielbasy wprawdzie jeszcze nie widział, ale z bufetu wychodzili ludzie i coś nieśli... Pchnąłem się więc mocniej do środka, bo to i kielbasa wewnątrz i mróz tęgi na zewnątrz. Dostałem się do środka po to jednak tylko, aby się srogo rozczarować: w bufecie nie było już kielbasy ani żadnej innej rzeczy, która byłaby mogła zaspokoić doczesne potrzeby. Nastąpił niesławny odwrót z pustymi rękami. Wówczas uczyniłem owo straszne odkrycie, które dla mnie równe było kataklizmowi. Stwierdziłem mianowicie, że z pobjowiska wracałem nie tylko bez kielbasy, ale też i bez mojego portfela z kory brzozonej wraz z całą jego zawartością: trzystu z górą rublami, biletem 3. klasy, no i tym najcenniejszym nade wszystko świstkiem papieru, który stwierdzał moją tożsamość wolnego człowieka.

Wszystko to straciłem tak nagle i bezpowrotnie. Świat wirował mi w oczach, w głowie mąciło się tak, że myśli nie mogłem pozbierać. Te ruble, to najmniejsza, bilet gorsza strata, bo skończyła się podróż w pociągach osobowych, ale najgorsze to to „udostwierzenie”, bez którego stawałem się łazikiem bez przeszłości i o niejasnej przyszłości. Na nic poszukiwania w tym tłumie. Czy zgubiłem, czy mi ukradziono – rzecz drugorzędna. Najistotniejsze, że staję się człowiekiem bez oblicza. I to w takim kraju, w którym można się naprawdę bać zostać człowiekiem bez oblicza. Jak cień powróciłem na moje miejsce do wagonu. Towarzysze podróży zaraz zauważyli, że coś złego się przydarzyło. Gdy opowiedziałem o moim nieszczęściu, z miejsca zebrali między sobą kilkanaście rubli i dali mi na pocieszenie. Dalsze rysowanie portretów potwierdziło, że troska o sprawy materialne była zbyteczna. Ale tak, bez papierów, w tych pół-gułagowych łachmanach, o wyglądzie „żulika”, w tym niezmiernym a nieobliczalnym policyjnym kraju. Nie chciałem myśleć. Myślenie nic nie dawało. Znów jedyną, ostateczną ucieczką była cicha modlitwa...

## W CZKAŁOWIE

Z moimi poczciwymi Rosjanami i pociągiem osobowym musiałem rozstać się w Czkałowie (Orenburg), bo tu była jego końcowa stacja. Pierwszą czynnością

było zgłoszenie zagubienia mojego „udostowierienia” na posterunku milicji. Prosiłem o wydanie mi jakiegoś poświadczenia stwierdzającego stratę albo przynajmniej jej zgłoszenia przeze mnie, kazano mi jednak jechać dalej, do miejsca przeznaczenia. „Jak będziesz w Namanganie, pójdziesz na tamtejszą milicję i tam ci wydadzą dowód osobisty” – oświadczone mi krótko. Nie było innej rady, jak tylko dostać się do tego Namanganu. Tymczasem zapadła zima, groźna noc. Mróz i tak już potężny, rósł z chwili na chwilę. Śnieg leżał metrową warstwą na placu dworcowym, częściowo tylko odgarnięty na boki, dla przejść i najkonieczniejszych przejazdów. Spotkałem szczęśliwie podobnego mi łazika, młodego polskiego Żyda, a że o kupnie czegoś do zjedzenia nie było co mówić, pragnęliśmy przynajmniej znaleźć jakiś jako tako ciepły kątek do przespania tej surowej nocy. Na dworcu pozostawać nie było wolno. Obok jednak budynku stacyjnego znajdowała się obszerna hala, w której słoczyły się masy ludzkie, bezdomne i zagubione przez wydarzenia wojenne i nie wiadomo przez jakie jeszcze losy. Udało nam się dostać do środka i znaleźć trochę miejsca, wystarczającego do ułożenia się do spania. Dobrym, gułagowym zwyczajem moja stara kurtka poszła na posłanie, w nieco zaś lepszym stanie znajdująca się kurtka mego nowego towarzysza posłużyła obydwu za przykrycie.

Musiało być już po północy, gdy poczułem wołanie natury. „Uborkę” (ustęp) znalazłem na dworcu, a po dokonaniu prawa przeziębniętej fizjologii szybko wróciłem do mojej ciepłej hali. To znaczy usiłowałem wrócić, gdy u jej wrót znalazła się nagle szeroka w piersiach milicjantka, zastępując mi drogę. Na próżno jej tłumaczyłem, że wewnątrz jest mój towarzysz ze wszystkimi moimi rzeczami i że mi jest bardzo zimno. To ją w ogóle nie wzruszało. „Nie lzja i nie lzja” (nie wolno). Po bezowocnych próbach tłumaczeń i przedstawiania beznadziejności położenia spróbowałem wepchać się „na grandę”. Cóż, kiedy byłem tylko słabym piórkiem, które trącone przez żandarm-babę wpadło w puch śniegowy aż się zakotłowało. Zerwałem się i do baby z pretensjami. Moje rozeźlenie jednak było niczym w porównaniu z jej władzą i krzepą. „Dawaj na milicju” – wrzasnęła i schwyciła za ramię jak gdyby kleszczami. Serce mi zabiło – teraz mi dadzą – pomyślałem. Łazik „bezprizornyj” (pozbawiony opieki)... Zamkną i jak się wytłumaczą?

Jakaś niewidoczna ręka jednak nade mną czuwała. Na posterunku milicji byli bowiem wciąż jeszcze ci sami dyżurni, którym zgłosiłem zagubienie mojego „udostowierienia”. Tak więc moja krzepka stróżka porządku publicznego nie tylko, że nie uzyskała ukarania mnie, ale dostała nakaz wpuszczenia do wnętrza budynku tak troskliwie strzeżonego. Nazajutrz rano spotkałem przypadkowo jakiegoś Polaka, od którego dowiedziałem się, że w Czkałowie

znajdowała się polska placówka<sup>28</sup>. Wypytawszy się, gdzie jej szukać, bezwzględnie tam się udałem. Może coś dowiem się o tworzącej się armii? W każdym razie powinni by mi wydać jakieś prowizoryczne zaświadczenie mojej tożsamości.

Mroczna poczekalnia polskiej delegatury była już pełna mnie podobnych obdartusów. Okienka były jeszcze zamknięte, więc przycupnąłem w jakimś kąciuku. Żadnych urzędników nie było widać. Około dziesiątej wszedł elegancko umundurowany młody człowiek. Serce mi zabiło na widok polskiego orzełka na furażerze. Poderwałem się i podbiegłem do galantego przedstawiciela polskiej armii. Nosił on dwie belki na ramionach, więc zatytułowałem go „panie kapralu”. „Jaki ja tobie kapral” – zachnął się – „Nie widzisz kim jestem?”. W poczuciu urażonej godności nie raczył dalej rozmawiać ze mną i zniknął za urzędowymi drzwiami. Butny, arogancki młodzieniec musiał być widać podchorążym, więc nie wyznając się jeszcze nadto na polskich odznakach wojskowych popełniłem obrazę pyszałka. Na duszy było jakoś tak dziwnie nieswojo. Ja tak z sercem do niego, a on do mnie jak do intruza. I to Polak, który niedawno jeszcze podobnym mnie musiał być biedakiem. Teraz odkarmiony, wygalowany, nos zadarł do góry i dla polskiej nędzy był ledwie dostępny. Dziwna, dziwna zaprawdę jest polska natura...

Wtedy nie mógłbym nawet sobie wyobrazić, że za półtora roku będę sam kapralem podchorążym... W okienku jednak niczego się nie dowiedziałem. Ani niczego nie uzyskałem. Nie otrzymałem jakiegoś zastępczego, choćby najbardziej prowizorycznego, zaświadczenia mojej zagubionej osobowości ani kartki na chleb, ani niczego, co by mogło pocieszyć udręczoną duszę...

## WSZY

Z polskiej delegatury w Czkałowie niepokieszony wróciłem na dworzec kolejowy, aby kontynuować przerwana podróż. O tworzącej się armii niczego się nie dowiedziałem, jedynie od innych Polaków zasłyszałem, że w Bucharze był ośrodek, w którym zbierali się nieszczęśliwi wygnańcy w nadziei uratowania się

---

28. Delegatura Ambasady RP w ZSRR w Czkałowie istniała w okresie od 19 listopada 1941 roku do 18 lipca 1942 roku. Do kompetencji terytorialnej urzędu należały obwody: czkałowski i aktiubiński oraz Baszkirska Autonomiczna SRR. Kierownikami placówki byli kolejno delegat Zdzisław Żerebecki (1941–1942) oraz jego następcą – w roli p. o. – Józef Nowicki. Delegatura początkowo zlokalizowana była w Buzułuku (1942). Później przeniesiono ją do Czkałowa w Matroskim Zaułku 12 – zob. *Urzędy konsularne Rzeczypospolitej Polskiej 1918–1945: informator archiwalny*, oprac. P. Ceranka, K. Szczepanik, Warszawa 2020, s. 112



w stadzie. Tak więc obdarci, wygłodniali i schorowani ciągnęli owczym pędem, kto mógł, do Buchary. A gdy na dworcu znalazłem stojący akurat „eszaon” – pociąg złożony z wagonów towarowych – wiozący uciekinierów w kierunku Buchary, nie namyślając się wiele, ulegając psychozie stadniny, zdecydowałem zmienić cel podróży narzucony mi w łagrze. Spotkałem właśnie znów mojego młodego Żyda z poprzedniej nocy, a znając korzyści symbiozy w zimne noce, gdy się nie ma nic poza szczątkami odzienia, postanowiliśmy odbywać dalszą podróż razem. Mój towarzysz ostatecznie też chciałby się dostać do polskiej armii. Wgramoliliśmy się więc do jednego z wagonów towarowych, zamienionych na osobowe i przez wstawienie żelaznych piecyków zasługujących na miano „tiepłuszek”. Ten rodzaj komunikacji znałem już z czasów transportu więziennego do Odessy. Teraz, znalazłszy miejsce na górnej półce obok tęgiej babki-uciekiniarki z objętej pożogą wojenną Białorusi i uprowadzającej w bezpieczniejsze miejsce trójkę małych wnucząt, rozłożyliśmy nasz skromny dobytek.

Z rozmowną Białorusinką rychło nawiązałem życzliwy kontakt. Dzieciom kazała się posunąć i zrobić nam wolne miejsce. Chętnie słuchała mojej smętnej opowieści, kiwając z politowaniem głową. A gdy odkryła, że nie mam butów, tylko żałośnie wyglądające czunie, podarowała mi parę damskich półbucików we wcale dobrym stanie, których jedyną wadą było to, że konfekcjonowano je w numerze 39, podczas gdy ja nosiłem numer 42. „U nas numeracja duża” – pocieszyła mnie hojna filantropka, a gdy buciki jakoś na nogi wcisnąłem, uśmiechnęła się z zadowoleniem. „Może się z czasem trochę rozepchną” – pomyslałem i z wdzięczności narysowałem portreciki wnucząt.

Była to jednak nie tylko wdzięczność, lecz też i przemyślny wyrachowanie. Miałem bowiem nadzieję, że może ktoś z podróżnych da się sportretować „chudożnikowi” za zapłatą. Przerachowałem się jednak w moich oczekiwaniach. Pasażerowie „tiepłuszki”, zbyt boleśnie losem dotknięci, nie zdradzali bynajmniej zainteresowań muzami. Bądź też uważali wręcz za rzecz bezsensowną w takich warunkach robić tak nieracjonalne inwestycje. Cieszyłem się więc tylko protekcją mojej pocziwej babki, której szczodrość okazała się być aktualną w szerszym zakresie. Gdy nadeszła pora karmienia wnucząt, wcisnęła też i mnie w rękę kawał chleba posmarowanego smalcem lub margaryną. Nie wiedziałem, jak dziękować dobrej Białorusince, bo nie mogąc w Czkałowie uzupełnić zaopatrzenia, skazany byłem na głodowanie na przeciąg czasu na razie nieokreślony.

Idylle nie trwają jednak długo. Do spania ułożyliśmy się jeszcze zgodnie. Babka z uznaniem pokiwała głową, gdy się przeżegnałem i po cichu odmawiałem pacierze. Gorzej jednak było, gdy po zgaszeniu naftowej lampki

i ukołysaniu znużonych podróźnych wszy zaczęły zdradzać bardziej ożywną działalność. Jako smakosze chętnie bowiem zmieniały miejsce popasu i opuszczały często swoich dotychczasowych żywicieli, aby popróbować innej krwi. Nie miałem pewności, że to akurat moje wszy zaczęły obłazić zającą sąsiadkę, bo z całą pewnością nie byłem ich jedynym karmicielem. Nie dał się jednak zaprzeczyć fakt, że byłem najbliższym posiadaczem tego rodzaju hodowli, ergo moje wszy gryzły teraz szlachetną babkę i jej delikatne dzieci. Szczęśliwi ludzie, którzy jeszcze nie zaznali rozkoszy nędznego bytowania!

Mój Boże, cóż ja mogłem na to poradzić? Przecież nie hodowałem wszy dla przyjemności. I niedobrowolnie. Mnie już od dawna obłaziły cudze wszy tak jak teraz moje miłującą czystość dobrodziejkę. Może to były pozostałe jeszcze z gułagu wszy, które nie zostały zdezynfekowane? Ja już zresztą nie zastanawiałem się skąd mogłem mieć wszy. W tamtych czasach nie było to ani hańbą, ani powodem do obrazu. Białoruska babka jednak nie przeżyła jeszcze, widać, tego upodlenia i teraz z obrzydzeniem starała się odsunąć ode mnie jak najdalej. A gdy odsuwać się nie było, gdzie, odpychała mnie energicznie od siebie. Z początku znośiłem cierpliwie jej wyrzekania i szturchania, bliżej jednak rana, coraz bardziej odpychany, zabrałem moją kurtkę, zostawiając przygodnego towarzysza symbiozy sam na sam z wojującą o czystość niewiastą. Zszedłszy z górnej pryczy spędziłem resztę nocy gdzieś w chłodnym kąciaku na dole.

## W TASZKENCIE

Podróż z Czkałowa do Taszkontu trwała dwa dni. Białoruska babka udobruchała się nieco, ale następnego dnia zorganizowaliśmy z moim młodym Żydem intensywne bicie wszy, zaś w nocy uważaliśmy, aby nie zbliżyć się nadto do zbyt mało sproletaryzowanej babci. Tak więc kompromisy są zawsze najlepszym rozwiązaniem, zwłaszcza w sytuacjach szczególnie drażliwych.

Trzeciego dnia po południu nasz „eszalon” zajechał do Taszkontu. Należało pomyśleć o zaopatrzeniu, bo ostatnie kawałki wysuszonego chleba już zjedliśmy. We trzech, z moim Żydem i jeszcze jednym Polakiem dążącym także w kierunku polskiej Mekki – Buchary, postanowiliśmy wyjść na poszukiwanie czegoś do zjedzenia. Nie chcąc stracić pociągu, zapytaliśmy kręcących się kolejarzy, jak długo zatrzyma się nasz transport. „Kilka godzin” – odpowiedzieli. Po takim zapewnieniu zostawiłem pod opieką białoruskiej babki cały mój majątek w postaci woreczka z albumem do fotografii alias blokiem rysunkowym, jako też należący do wyposażenia artystycznego, karandasz tudzież gumkę do wycierania tegoż, nie licząc różnych szmat oraz starych czuni. Wystrojony

w damskie półbuty o trzy numery za małe, wyruszyłem wraz z innymi na poszukiwanie chleba albo innej do pokrzepienia nadającej się rzeczy. Z pół godziny chodziliśmy po okolicy dworca, sklepy jednak były zamknięte, bo i tak pewnie w nich nic nie było. W restauracji dworcowej prócz reminiscencji miejsca służącego zaspokojeniu głodu podróżnych nie było nic, a innych restauracji nie zdołaliśmy odkryć. Moi towarzysze nie dali za wygraną i poszli na dalsze poszukiwania, ja natomiast, czując się w numerze obuwia 39 jak siostra Kopciuszka i obawiając się, że pociąg jednak może odjechać, szybko wróciłem na dworzec. Na próżno jednak szukałem mego „eszałonu”! Przebiegłem wszystkie tory wzdłuż, pytałem kogo mogłem – na próżno. Pociąg zdążył odjechać, wszak nie był związany żadnym rozkładem jazdy, które w Rosji miały wtedy i tak czysto formalne znaczenie. Odjechał prędzej niż doświadczeni kolejarze mogli przypuszczać. Odjechał wraz z całym moim majątkiem, z całą i jedyną nadzieją na zarobienie kilku rubli... Stałem na stacji taszkencej patrząc tępyimi oczyma na tory kolejowe, na przejeżdżające czasem pociągi, jakby bez czucia, bez rozumienia co się ze mną dzieje. Słońce już zachodziło i dotkliwy chłód, nie mówiąc o głodzie, uświadomił mi moje istnienie. „Myślę, więc jestem” – ten pewnik kartezjuszowski stawał się w takiej sytuacji co najwyżej hipotezą. Bo ja nie myślałem. A jednak przecież byłem. Moja aparatura, przystosowana w zasadzie do myślenia, była jak gdyby wyłączona. Zresztą myślenie w takiej sytuacji było i tak bezcelowe. W położeniu całkowitej bezradności, w dużym, zupełnie obcym mieście, w bucikach utrudniających zdolność chodzenia, z coraz bardziej znów nabrzmiewającą flegmoniczną nogą, bez tożsamości, bez pieniędzy, bez możliwości ich zdobycia – co miałem myśleć? „Marznę, więc jestem” – gdyby Kartezjusz zaproponował taką wersję jako podstawę swojej egzystencjalistycznej filozofii, odpowiadałaby ona wówczas bardziej rzeczywistości. Gdzie to obiecane ciepło południa? Mróz powodował kostnienie palców, przenikał coraz głębiej całe ciało, paraliżował myśli...

Gdy rozum nie może już działać, wtedy włącza się inna aparatura, wspólna ludziom i zwierzętom: instynkt. Tak więc instynkt kazał szukać schronienia na noc. I znów trafiłem do jakiejś obszernej hali w pobliżu dworca, tylko jeszcze bardziej ponurej od tamtej w Czkałowie, zupełnie nie ogrzewanej, o wilgotnej, betonowej posadzce. Do tego byłem zupełnie sam. Już nie było jednej starej kurtki do położenia na ziemię, a drugiej do okrycia. Nie było żadnych elementów do ustawiania kombinacji. Zresztą aparatura przeznaczona do tego celu była i tak wyłączona. Ległem więc w jakimś kącie na zimnym, wilgotnym betonie tak jak stałem, bo już nic nie miałem, nawet tych paru szmat w woreczku, który odjechał do Buchary. Nie pamiętam, czy byłem w stanie nawet pomodlić się jeszcze, aby moją niedolę złożyć w czyjeś inne ręce... A jednak ta

niewidoczna, ukryta Ręka czuwała nade mną tym troskliwiej, im bardziej beznadziejne było moje położenie. Nie mogąc myśleć, co było chyba szczęściem, drżąc od chłodu przenikającego do szpiku kości, próbowałem usnąć, aby tylko tę ponurą noc w Taszkencie mieć za sobą...

## W OGONKU ZA CHLEBEM

Właściwie nie spałem tylko drzemałem – budząc się co chwila i próbując jakoś lepiej obciągnąć moje łachy na kostniejące członki. Czasem wstawałem, aby ruchem nieco się ogrzać. Spróbowałem też wyjść na zewnątrz, aby zaczerpnąć lepszego powietrza, bo w wilgotnej hali było ono wręcz stęchłe. Orzeźwiający, mroźny powiew spowodował ponowne uruchomienie systemu myślenia. Musiało być kilkanaście stopni poniżej zera. Obietnica ciepłego klimatu była swego czasu ucieczką psychologiczną. Niewątpliwie było tu cieplej niż na Syberii. Tam, o tej porze roku, było teraz przynajmniej 40 stopni mrozu albo i więcej. Przecież w Czkałowie było już koło trzydziestu. Przypomniałem sobie, że w tej części świata panuje klimat kontynentalny, o upalnych latach i zimnych zimach. Teraz stwierdzałem to doświadczalnie. Cofnąłem się szybko do ponurego, lecz mimo wszystko cieplejszego wnętrza. Próbowałem znowu zasnąć, lecz tylko względne ciepło wewnętrzne nie mogło sprzyjać takiemu zamiarowi. Chodzić dla rozgrzewki też nie było łatwo, bo półbuciki pocziwiej Białoruski nie potrafiły dostosować się do mojej stopy, obliczonej na numer 42 a nie 39. Tak więc na zmianę wstawałem, wciskając z trudem to obuwie, aby nieco się poruszać albo siadałem w moim kąciku, wyzwalając stopy od nieznośnego ucisku.

W pewnym momencie wyrzałem znów na ulicę, aby sprawdzić, czy aby się nie rozwidniało, bo choć hala była zaopatrzona w oszklone drzwi, to przez wymalowane mrozem szyby można było świtania nie zauważyć. Jeszcze nie świtało, ale za to po drugiej stronie rozległego placu odkryłem stojący rząd szarych postaci. „Ogonek...” – zaświtało w mojej głowie. Przez blisko dwuletni okres zaopatrywania przez sowieckie państwo w przybytkach sprawiedliwości nie musiałem wystawać w ogonkach za chlebem. Zwyczaj ten jednak poznałem już po błogosławionym „wyzwoleniu” wschodniej Polski, więc teraz wiedziałem o co chodzi. Pomimo ucisku w nogach tudzież tęgiego taszkenckiego mrozu, poszedłem szybko w kierunku tworzącego się szeregu. Stałem na jego końcu i zapytałem: „Za chlebem?” – „Za chlebom” – brzmiała odpowiedź. „Kiedy otwierają?” – „Kak chleb przywiezut”. „A kiedy przywiozą chleb?” – każdą informację trzeba było wyciągać po trochu. Tak

więc wreszcie dowiedziałem się, że chleb powinien przyjechać z piekarni gdzieś koło siódmej, a teraz była czwarta. Trzy godziny wystawania na ziąbie, w arcyciasnych bucikach, no i tej resztkowej garderobie, nie było perspektywą zbyt radosną. Nie wiedziałem nawet, czy mój majątek w wysokości trzech rubli wystarczy na zapłacenie wydawanej porcji. „A ile kosztuje bochenek chleba?” – zapytałem. „Dwa rublja”. Odetchnąłem, bo co innego mógłbym dostać za tak marne pieniądze?

Po pewnym czasie, gdy skóra stała się na dobre gęsia, a za mną zebrała się już wcale pokaźna ilość amatorów chleba, powiedziałem najbliższemu z tyłu, że muszę iść trochę się ogrzać. Pobiegłem na cudzych nogach, bo moich w bucikach od białoruskiej babki już nie czułem, w kierunku mało przytulnej hali przydworcowej. W porównaniu z intensywnym mrozem zewnętrznym było tam rzeczywiście ciepło. Czyli, że wszystko jest względne. Po niedługiej jednak chwili musiałem wrócić do ogonka. Wpuścili mnie na miejsce bez trudności. Przede mną stało kilkadziesiąt osób, za mną co najmniej drugie tyle. „Ile chleba przywożą z piekarni? Czy aby wystarczy dla wszystkich?” – Na takie pytanie jednak nikt nie potrafił dać odpowiedzi. Inni też wychodzili z ogonka dla rozgrzewki i wszystko funkcjonowało sprawnie. Co było dla mnie, w moich łagrowych szmatach szczególnie korzystne.

W taki to sposób ostatnie godziny tamtej nocy spędziłem na bieganii na „cudzych nogach” pomiędzy ogonkiem za chlebem, a moim ponuro ciepłodajnym schroniskiem przy stacji. W międzyczasie zaczęło naprawdę świtać. Gdy wróciłem do szeregu gdzieś koło wpół do siódmej, postanowiłem z niego wyciąć nie wychodzić. Tyle czasu stać, marznąć i w końcu chleba nie dostać – to byłoby zbyt ryzykowne. Zresztą coraz większy tłum zbierał się przed punktem rozdzielczym tego podstawowego pokarmu ludzkiego. Wiele stawało tuż obok, próbując wcisnąć się do ogonka. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Co chwila wynikały kłótnie, soczyste ruskie przekleństwa sypały się tak obficie, że trudno by było się domyślić, że rzecz dzieła się w stołecznym mieście całkowicie innego narodu. To mnie zresztą najmniej raziło. Rosyjska wszechobecność i sowiecka wszechwładza nie miały powodu być poddawane w wątpliwość. Takich wątpliwości nikt by nawet nie próbował mieć... A wtedy cała uwaga była i tak skoncentrowana na czymś zupełnie innym: na utrzymaniu zagrożonej pozycji w ogonku i na mającym przyjść niedługo chlebie. Tupiąc więc nogami, klepiąc się oburącz lub jakimkolwiek innym sposobem rozgrzewając się na miejscu, każdy trwał na posterunku. Gdzieś koło siódmej rozszedł się pogłos, że chleb już przywieźli. Napięcie w szeregu wzrastało z chwili na chwilę. Ci z boku stawali się coraz natarczywsi. Aż wreszcie sklepik otwarto. Na ten znak ci z boków popchali się już nie do szeregu, lecz pobiegli

na sam przód. Ci daleko z tyłu, których czekanie i tak nie mogło rokować zbyt wielkich nadziei, sypnęli tłumnie przed siebie. Powstał zgiełk i zamieszanie nie do opisania. Stało się jasne, że my, którzy wytrwale czekaliśmy w ogonku przez trzy godziny, teraz nie mieliśmy żadnych szans na otrzymanie chleba. I rzeczywiście, po niedługim czasie rozeszła się wiadomość, że chleb, którego zapach ledwie dał się poczuć, już został wysprzedany. Poddając się srogiemu losowi, który mnie tak nieubłaganie smagał, że i buntować się nie było podobna, powlokłem się na moich cudzych nogach w kierunku tej ponurej hali, która ofiarowała trochę więcej ciepła, niż ulica.

## UŚMIECH SZCZĘŚCIA

Ostatnie porażki nie załamały mnie bynajmniej. Choć nie byłem w stanie ułożyć jakiegos wyrażniej zarysowanego planu działania i choć zdawałem sobie sprawę z trudności mojego położenia, mogłem przynajmniej włączyć aparaturę, która wczoraj była w stanie całkowitego wyjąłowienia. Zacząłem więc logicznie myśleć: za trzy ruble i tak nic nie dostanę, więc muszę zdobyć pieniądze dodatkowe. Jedynym dobrem posiadanym przeze mnie były te o trzy numery za małe półbuciki damskie. Ergo – trzeba spróbować to niewygodne dobro sprzedać. Wtedy będzie można pomyśleć i o brzuchu. Jak jednak pomysł taki zrealizować, tego jeszcze nie wiedziałem. Wszak bosy chodzić też nie mogłem, bo to nie letnia pora. Tak czy inaczej siedzieć beczynn timer na dworcu nie miało żadnego sensu.

Wybrałem się więc na uciśnionych nogach w podróż do nieznanego miasta. Żeby znaleźć jakiś targ, ale gdzie go szukać? Ulice były puste, choć to już ósma musiała dochodzić. Nie było nikogo, żeby można się było o coś spytać. Nagle w jakimś zaułku spostrzegłem rząd kobiet, stojących w niezbyt dużym ogonku. Podeszedłem bliżej i nieśmiało zaofiarowałem moje damskie buciki. „Gdzie je masz?” – zapytała jedna z zagadniętych. „Na nogach. Ale ja ich naprawdę nie mogę nosić, dla mnie są one o wiele za małe...” – „A w czym będziesz chodził, jak je sprzedasz?” – Roztropna kobieta była Rosjanką, zresztą tak jak i inne, które tam stały. „Prosiłbym jeszcze o jakieś stare szmaty, którymi nogi mógłbym sobie okrzęcić”. Nowa znajoma nie odpowiedziała nawet na taką ofertę, tylko podeszła do innych i cicho z nimi rozmawiała. Może jednak któraś z nich zainteresuje się takim wyjątkowym towarem? Po chwili moja rzeczniczka wróciła na swoje miejsce w ogonku, które ja tymczasem zajmowałem i... wsadziła mi do ręki jakieś drobne pieniądze. „Tych bucików nie możesz przecież sprzedać, ale kobiety dały parę rubli, abyś mógł sobie coś

kupić do zjedzenia”. Było mi głupio, bo ani nie czułem się żebrakiem, choć na takiego wyglądałem, ani nie zamierzałem o darmowe pieniądze prosić. Tym niemniej gest tych niewiast rosyjskich był równie ujmujący, jak logiczny. Ofiarowane pieniądze wzięłem z zażenowaniem, a podziękowawszy za dar i dobre serce poszedłem dalej, myśląc o pociesze dla żołądka porządnie już zagłodzonego.

Gdy straciłem je z oczu, obliczyłem obecny stan posiadania: wynosił prawie siedem rubli. Idąc tak ulicą w górę miasta, skierowałem ożywiony już na nowo system myślenia na inne, dalsze horyzonty. Kupię chleba, albo coś innego do zjedzenia, to za te pieniądze się nie najem, no i co dalej? Ruble pójdą i na tym koniec. Nawet sprzedaż bucików nie rozwiąże problemu ostatecznie. Nagle błysnął mi pomysł równie genialny jak prosty: przecież teraz powinienem kupić nowy blok do rysowania, ołówek i gumkę, czyli odtworzyć utracony warsztat pracy i możliwość zarobku! Tylko tak będę miał trwalszy grunt pod nogami. Pomysł ten tak mnie przejął, że i o głodzie, i o ucisku w nogach zapomniałem, a całą uwagę skupiłem na genialnej myśli. Tylko gdzie ja tu znajdę jakąś papeterię? Jacyś ludzie mijali mnie właśnie, więc spytałem się, czy coś wiedzieli o tego rodzaju sklepie w Taszkencie. Nie bardzo wiedzieli, ale radzili iść dalej w górę, w kierunku miasta, to tam na pewno coś znajdzie. Czy posiadane niecałe siedem rubli wystarczy na wszystko co mi było potrzebne, nie obchodziło mnie w tej chwili w ogóle. Najważniejsze, aby znaleźć odpowiedni sklep. Rozglądałem się więc dokładnie po obydwu stronach ulicy, czy nie ujrzę jakiegoś składu z materiałami piśmiennymi. Nagle po mojej stronie ulicy zauważyłem jakiś sklep, nie taki wprawdzie jakiego szukałem, coś raczej z towarami do gospodarstwa domowego. Wszedłem na wszelki wypadek do wnętrza i zapytałem o blok do rysowania. Sprzedawca kwaśno się uśmiechnął – „ano mieliśmy, tylko wszystko wyprzedane”. Coś mu jednak musiało błysnąć w głowie, bo tylko mi skinął ręką, rzucił krótko: „Zaczekaj chwileczkę... „i zniknął w tylnych drzwiach. Serce mi biło z wrażenia i modliłem się po cichu, aby coś jednak znalazł. Po chwili subiekt wrócił, niosąc w rękę „nastojaszczy” (prawdziwy) blok rysunkowy, a nie jakiś tam album do fotografii, aż mi oczy zabłyśły. „Mieliśmy jeszcze ten ostatni egzemplarz, ale że wybrakowany, nikt go nie kupił. Część kartek jest uszkodzona, ale reszta jeszcze dobra. Jeśli ten blok chciałbyś mieć, to mogę go sprzedać taniej, za pięć rubli zamiast ośmiu”. Błogosławione wybrakowanie! Tylko dzięki temu uszkodzeniu kilku kartek mogę cały blok kupić. A i te uszkodzone kartki, szybko to zauważyłem, po odcięciu jakichś dwóch centymetrów będą doskonale spełniały swoje zadanie. Pozostałe pieniądze wystarczyły mi jeszcze na „karandasz”, czyli ołówek, oraz na gumkę. Zostało mi nawet 20 kopiejek na

tramwaj powrotny do dworca. Pożegnałem więc uprzejmego sprzedawcę, podziękowawszy mu za sprawioną mi radość i pierwszym tramwajem pojechałem na dworzec. Zaszedłbym tam i na piechotę, ale po co maltretować i tak już nadwyrężone nogi, skoro za nic nie znaczące kopiejki można było sobie zaoszczędzić tyle wysiłku?

Nie wiedziałem jakim pociągiem pojedę i dokąd, ale wiedziałem, że w pociągu mam największe szanse. Na dworcu muszę się zorientować, dokąd by można było pojechać. Najlepiej by było do Bucharu. Tam, gdzie wszyscy Polacy. Gdy tak rozmyślałem, konduktor zawołał: „Stacja!” Szybko wysiadłem i przystanąłem, bo przez potężny głośnik podawali jakąś informację. Starałem się uważnie wsłuchać, bo choć po rosyjsku już nieźle umiałem, ale aby zrozumieć ochrypli megafon, trzeba było się nieco wytężyć. I oto co komunikowano: „Pociąg osobowy dla uciekinierów odejdzie o godzinie tej a tej z tego a tego toru w kierunku Namanganu”. Kto by się w mojej sytuacji jeszcze zastanawiał? Choć przestawiłem się już na Bucharę, to jednak teraz to początkowe skierowanie nabierało wartości przeznaczenia, z którym nie można było się rozminąć. Pośpieszyłem więc w kierunku wymienionego toru i odnalazłem mój pociąg do Namanganu. Nawet o miejsce nie było w nim trudno... Do pociągu wsiałem bez grosza i zgłodniały. Do Namanganu dojechałem po północy nieźle najedzony i z kilkunastoma rublami w kieszeni na początek nowego okresu życia. Pomysł kupna bloku do rysowania był naprawdę genialny!

## W NAMANGANIE

Resztę nocy spędziłem w poczekalni dworcowej. Wczesnym rankiem udałem się wprost na posterunek milicji NKWD i zgłosiłem moje przybycie, zgodnie ze skierowaniem otrzymanym w łagrze. Oczywiście złożyłem raport o zagubieniu „udostowierienia” i poprosiłem o wydanie mi jakiegoś zastępczego dowodu tożsamości. „Tobie eto nie nužno” (tobie to nie jest potrzebne) – oświadczył dyżurny. „Musisz tylko co trzy tygodnie meldować się na naszym posterunku”. Takiego jak ja przestępcę trzeba było mieć stale na oku, to rozumiało. Dziwiłem się tylko, że po sporządzeniu protokołu mogłem sobie pójść bez podania, co mam zamiar robić, gdzie mieszkać i jak żyć. Tak było mi zresztą wygodniej. Do żadnej pracy fizycznej nie nadawałem się, a zaznana wolność i wielka próba jej przeżycia własnym staraniem, bez pomocy sowieckiej władzy, miała posmak wielkiej, twórczej przygody. I z tym było mi dobrze. Doświadczenia zdobyte w ostatnich dniach dodawały mi wiary we własne siły,



a wielka próba stała dopiero przede mną. Poprosić władze o pomoc znaczyłoby dać się związać od samego początku. A tak byłem jakoby niebieski ptak, bezdomny, niewiedzący co da jutro, ale wolny, wolny! Tak rozpoczął się mój ponad dwumiesięczny pobyt w Namanganie. Chodziłem od restauracji do restauracji, od czajhany do czajhany<sup>29</sup> i szukałem chętnych do „znimki” (zdjęcia), stosując taryfę niższą od pobieranej w pociągu: sześć zamiast dziesięciu rubli. W najbliższym czasie uzupełniłem mój warsztat pracy przez nabycie kredek wielobarwnych. Marzyłem oczywiście o zaoszczędzeniu grosza na możliwie szybkie przeistoczenie się z obdartusa na jako tako wyglądającego obywatela. Rozglądałem się, gdzie można by było coś dostać i stwierdziłem, że w sklepach oficjalnych nie było nigdy, albo prawie nigdy nic, natomiast Uzbegy posiadali starą zapewne tradycję bazaru, na którym każdy sprzedawał co miał i kupował co potrzebował. Na początek ograniczyłem się do wymiany mojego niemożliwego do noszenia obuwia, za niedużą oczywiście dopłatą. Na bazarze także mogłem dostać „uruk”, suszone morele, pokarm dostępny i niedrogi, który stał się moim głównym pożywieniem. Bo o chleb było bardzo trudno, a w restauracjach do porcji zupy dawali tylko mały kawałek. Nie zdążyłem jeszcze wypoczwaryć się z moich szczątkowych, wielokrotnie łatanych, nasiąkniętych żywicą i potem szat, gdy uliczny fotograf, taki z dużą skrzynką, odkrywaniem obiektywem i wielką, czarną płachtą usiłował mnie namówić na swoją „znimkę”. Wstydziłem się wtedy mojego wyglądu i nalegania fotografa na nic się nie zdały, czego dzisiaj bardzo żałuję...

Wspominałem już o mojej znajomości z instytucją „czajhan”, to jest uzbeckich pijalni herbaty, gdzie zbierała się barwnie odziana ludność męska na obowiązkową miseczkę herbaty. „Czaju niet, gołowa bolit” – mówili Uzbegy i schładzali się w czajhanach w różnych porach dnia, a najchętniej wieczorami, aby siedząc w kucki, na podwyższeniach wysłanych dywanami lub, najczęściej, watomanymi, bajecznie kolorowymi kołdrami, trzymając oburącz i całymimi dłońmi porcelanowe i fajansowe miseczki, pić z namaszczeniem cenny, złocisty płyn. Cukier nie był konieczny. Czasem któryś wyciągnął z zawiniątka odłupany kawałek słodczy, ale raczej bez tego dodatku spożywali swoje „lepioszki” (okrągłe, grube placki), połamawszy je uprzednio w małe kawałeczki i rozłożywszy na rozwiniętej szmacie wokoło miseczki z herbatą, tak jakby uprzednie nasycenie wzrokowe miało ponieść późniejszy stan sytości żołądka. Gdy tak zjadł Uzbek całą „lepioszkę” w skupieniu i powadze, popijając z namaszczeniem „czajkom”, stawał się rozmowniejszy i chętnie mówił, klepiąc

---

29. Czajhana – herbaciarnia w krajach Azji Środkowej.

się po brzuchu: „kursak jakszy”, co się wyklada: „żołądek ładny”. Ładny, kiedy pełny.

Chadzałem po różnych „czajhanach”, bo tam udawało mi się najczęściej zwerbować klientów. Dla Uzbeka centralnym punktem portretu była nieodstępna, okrągła czapeczka, barwnie i zdobnie wyszywana w egzotyczne wzory. Gdy tę słabość uzbecką odkryłem, starałem skupić swoją uwagę twórczą na tej właśnie czapeczce, a gdy wyszła ona dobrze, następnego klienta miałem już zapewnionego. Nikt nie chciał być gorszy od drugiego. Tak to „czajhana” stała się dla mnie miejscem, gdzie najwięcej przebywałem. Uzbeki byli uprzejmi i nie zabraniali rysować, w przeciwieństwie do kelnerów restauracji, prowadzonych według wzorów rosyjskich. „Czajhana” stała się dla mnie nawet więcej niż miejscem zarobku, bo samym domem. Przez cały okres pobytu w Namanganie mogłem tam spać i zostawiać na dzień skromny dobytek. Już pierwszego wieczora, gdy nie wiedziałem, gdzie by iść na noc, siedząc w kucki podobnie Uzbekom i popijając życiodajną ciecz, zauważyłem, że wielu spośród tubylców nie śpieszyło się z wyjściem, a o późniejszej porze zaczynało się roztasowywać na dobre i układać do spania. Gospodarz „czajhany” zbierał w pewnym momencie opłatę za nocleg, niezbyt zresztą wysoką, coś dwa czy trzy ruble. W ten sposób problem mieszkaniowy był rozwiązany. Po niedługim czasie stałem się regularnym bywalcem i lokatorem jednej z tych egzotycznych herbaciarni, a gospodarze – ojciec i syn – byli mi bardzo życzliwi, co niedługo później okazało się być okolicznością nader cenną. Wkrótce bowiem po przybyciu do Uzbekistanu wyszedł „ukaz” zabraniający nocowania gościom w tego typu miejscach. Moi poczciwi gospodarze pocieszyli mnie, że mi pozwolą nadal nocować, tylko nie w lokalu głównym, lecz w tylnej jego części. Obietnicy swojej pozostali wierni do końca mojego pobytu w Namanganie. A w tamtych czasach miało to nieocenioną wartość.

## CISZA PRZED BURZĄ

Pierwsze tygodnie namangańskie były właściwie beztroskie. To znaczy: każdy dzień miał dość troski, bo każdego dnia musiałem sobie zarobić na jego przeżycie. Zapasów nie byłem w stanie robić, bo i spodnie i jakąś wierzchnią część ubrania i bieliznę trzeba było sobie sprawić. Sowiecka władza, prócz wyciśnięcia sił do ich krańców, nic mi nie dała i teraz nie zamierzałem od niej niczego oczekiwać. Natomiast do następnej wizyty na posterunku NKWD chciałem wyglądać nie gorzej od przeciętnego obywatela socjalistycznego raj. Udało mi się to zresztą względnie szybko, bo każdego dnia mogłem zrobić 4–5

portrecików, z czego część przeznaczalem na inwestycje odzieżowe. Z wyżywieniem oczywiście nie było łatwo. Jako nigdzie nie zarejestrowany do pracy – nie miałem prawa do żadnych przydziałów. Chleba dostać nie było można, nawet na czarno, więc pozostawały tylko restaurany, w których do zamówionych potraw dostawało się kromkę chleba. Menu było bardzo niewyszukane: zupy, kluski, kasze, czasem można było dostać sos z reminiscencją mięsa, ale na taki luksus nie pozwalałem sobie. Nie znałem zasad „savoir vivre” sowieckich łazienek, a ponadto zbyt dbałem o mój wygląd zewnętrzny. Raz spotkałem jednego „bradiagę”<sup>30</sup> w restauracji, który dał mi lekcję takiej umiejętności życiowej. Tylko, że moja niedostatecznie widać proletariacka przeszłość nie była w stanie zrozumieć jej i wykorzystać. Owy „bradiaga”, przysiadłszy się do mojego stolika, zamówił sobie najdroższe menu, oraz pustą szklaneczkę. Ja tymczasem jadłem moją chudą zupę z klusek, a obdartus z vis-à-vis wyciągnął z zanadru fantazyjny flakonik. Następnie odkorkował go i z triumfalnym uśmiechem nań spojrział, a do mnie mrugnął jednym okiem: „charoszyj odekołończyk!” (dobra woda kolońska) – stwierdził i zawartość flakonika przelał do szklaneczki. W pierwszej chwili nie bardzo wiedziałem o co chodzi, tylko odurzył mnie mocny aromat płynu. Dopiero gdy mój przygodny towarzysz podniósł szklaneczkę do ust i nieco łyknął, delektując się jej zawartością: „Nastojaszcz charoszyj” (naprawdę dobra) – zrozumiałem sens tej historii. Ale też niezupełnie. O wódkę było widać trudno, a wyroby perfumeryjne, dla zadokumentowania wysokiej kultury Związku Sowieckiego, dostępne były bez ograniczenia. Twórcy tej kultury zapewne nie liczyli się z odwróceniem porządku przez elementy społeczne. Dla mnie to było także szokujące i niezupełnie zrozumiałe. Nie tyle już picie wody kolońskiej, ile świadomość, że zarówno ta namiastka wódki jak i zamówiony obiad były sprawą nader kosztowną, w każdym razie kolidującą z powierzchownością osobnika. Z ciekawości wszcząłem z nim rozmowę: „Widzę, że stać was na dobre rzeczy. Ale dlaczego nie zadbać o wasze ubranie?” Zaindagowany wykrzywił w uśmiechu „nieogoloną gębę”. „A czy ja durny?” – burknął i zabrał się do swych klusek z sosem mięsnym. Durny byłem widać ja. On ze swoim wyglądem mógł jeść kluski z mięsem i popijać wodą kolońską, ja zaś jadłem możliwie skromnie, czasem dożywiałem się garścią suszonych moreli zakupionych na bazarze, a jeśli udało mi się tam dostać „lepioskę”, to czułem się nader szczęśliwy. Bo były one dostępne tylko z przydziału dla Uzbeków, którzy chleba bochenkowego nie używali. Poza tym wiodłem żywot samotniczy. Czasami spotykałem Polaków, którzy częściowo bywali zatrudnieni, ale przeważnie zastanawiali się, jakby przetrwać do czasu

---

30. Inaczej: bradziaga, brodiaga. Dawniej było to określenie na włóczkę.

powołania do wojska. Dowiedziałem się także, że w Namanganie było polskie przedstawicielstwo<sup>31</sup>, ale po doświadczeniach czałowskich nie robiłem sobie wiele złudzeń z praktycznej użyteczności tej instytucji. Nie omieszkałem oczywiście tam się zgłosić i zapytać o powstającą armię. Niewiele jednak i teraz o niej wiedziano, tyle tylko, że trzeba czekać na komisję poborową. Czyli że trzeba było przetrwać, co mnie nadto nie przerażało, bo z moim malarskim rzemiosłem, choć w zakresie nader amatorskim, dawałem sobie radę. Kiedyś poznałem starszego pana, Polaka, który mi powiedział, że przed wojną był malarzem. Pokazał mi jakieś rysunki, które w porównaniu z moimi „portretami”, nie znając się nawet na rzeczy, oceniłem jako autentyczne dzieła sztuki. Ów pan klepał jednak tęgą biedę, a gdy go spytałem, dlaczego nie spróbuje urządzić się tak jak ja, pokiwał tylko smętnie głową, jakby chciał powiedzieć: „Nie dla mnie to, nie dla mnie...” Szkoda, że ludzie tak się marnowali. Mnie ratowała młodość i niezłomna wiara w przetrwanie. W sumie jednak panowała wokół mnie cisza. Nie wiedziałem tylko, że jest to cisza przed burzą. Chmury zbierały się nad moją głową...

## BURZA

Noc zapowiadała się burzliwie. Wieczorem zerwał się wiatr tak gwałtowny, że do mojej zacisznej „czajhany” wróciłem wcześniej niż zazwyczaj. Nocowanie było wtedy już zabronione i Uzbegy zawczasu rozeszli się do swych domów. Gdy zostałem sam, ułożyłem się na moim barłogu w tylnej części herbaciarni. Stara, wysłużona, tandetna kurtka, ta kupiona przez matkę na ewakuacji i ta co przeszła wraz ze mną przez więzienia i łagry, teraz służyła jeszcze za posłanie. Gospodarze zaryglowali drzwi wejściowe, zgasili światło i poszli do swego mieszkania. Choć wszędzie było ciemno, nie mogłem jednak usnąć. Burza rozhuczała się na dobre, a ja rozmyślałem o dobroci i łaskawości zacych Uzbeków, co pozwalają mi nocować w tym kąciuku. Poza tym uświadomiłem sobie, że jutro muszę zgłosić się znów na posterunku NKWD, zgodnie ze zleceniem otrzymanym przy przyjeździe do Namanganu.

Powoli zaczęła mnie ogarniać senność, gdy nagle wydało mi się, że do drzwi „czajhany” ktoś puka. Myślałem najpierw, że to jakaś deska się obluźowała, albo gałąź u stojącego obok wejścia drzewa złamała, i teraz, miotana wichrem, stuka jak duch we wrota. Gdy jednak po chwili stukanie znów dało się słyszeć

---

31. Delegatura Ambasady RP w ZSRR w Namanganie istniała prawdopodobnie do wiosny 1943 roku.

i to mocniej niż za pierwszym razem, pojąłem, że to ani deska, ani gałąź, tylko człowiek po tamtej stronie zawartych drzwi... Stukanie stawało się coraz gwałtowniejsze, przemieniło się w bicie pięściami, tak że Uzbegy z tyłu nie mogli nie słyszeć. Wreszcie zagubiony pośród nocy, burzy i chłodu człowiek zaczął wołać o zlitowanie. Leżałem na moim barłogu jak urzeczony. Nie wiedziałem, co mógłbym zrobić. A gospodarze nie dawali nawet znaku życia. Ukazy w sowieckim raju trzeba brać poważnie, więc nie wolno było do „czajhany” nikogo na noc wpuszczać. Ja jedyny, wbrew przemożnej władzy, nocny gość, bezsilny, zamknięty we wnętrzu zbawiennej arki, drżałem jak w gorączce.

Żal ścisłał jednak serce i jakaś niepojęta trwoga. Przez chwilę wydało mi się, że to nie tamten, tylko ja byłem z tamtej strony burty. Po chwili jednak otrząsnąłem się z koszmarnych myśli i stwierdziłem, że na tym brudnym, ale przecież ciepłym barłogu to byłem jednak ja, wbrew sowieckiemu ukazowi tolerowany przez łaskawych gospodarzy, łazik. W rozgorączkowanym sercu tętniła teraz wdzięczność dla tej niewidocznej Ręki, która czuwała nade mną pośród już od dawna rozpętanej burzy, prowadząc pośród tych trudnych, nieraz beznadziejnych chwil rajskiego bytowania. Z drżeniem odmawiałem modlitwy za siebie i za tamtego, który teraz już nie krzyczał, tylko skomlał jak pies, a kołatanie jego stawało się coraz słabsze. Aż wreszcie całkiem ustało. Czy to już koniec Człowieka? Czy tamten zza zawartych drzwi już na wieki usnął? Pośród ciarki przechodzących myśli, usnąłem zmęczony rozważaniem marności życia.

Nazajutrz była śliczna pogoda. Słońce wstało, jak gdyby nigdy nic. Jaśniej-sze może jeszcze niż kiedy indziej i przeglądało się w kałużach pozostałych po nocnej zawierusze. O człowieku za burtą zapomniałem zupełnie, tylko uświadamiałem sobie, że muszę iść do NKWD. Gdy wychodziłem z sercem pełnym niepokoju, zabiło mi ono jeszcze gwałtowniej: obok wejścia do „czajhany” leżał ten, który w nocy tak się do niej daremnie dobijał. Leżał teraz nieruchomy, z twarzą w błocie, z rozczapierzonymi palcami rąk czepiającymi się resztkami woli ostatniej deski ratunku: matki – ziemi... Zastygł na wieki, nie doczekawszy porannego słońca, które by go ogrzało. Ludzie przechodzili obok, nie zwracając nawet uwagi na leżącego. Z tętniącym sercem poszedłem i ja moją drogą.

Na posterunku NKWD dyżurny przyjął mnie uprzejmie. Serce mi jednak biło mocno, i to nie tylko z powodu tamtego leżącego człowieka. Bałem się po prostu tej instytucji. Każde zetknięcie z jej przedstawicielami musiało podświadomie już wywoływać reakcję całego organizmu. Bałem się, że zaczną mnie wypytywać, gdzie mieszkam, co robię. Ach, a jak się zaczną czepiać z powodu nocowania w „czajhanie”, to powiem im, żeby mi dali możliwość spania

gdzie indziej. Ale do moich znacznych Uzbeków mogą się też przyczepić. Dyżurny enkawudzista jednak o nic takiego się nie wypytywał, owszem, wydawał się być całkiem serdeczny. Gdy go zapytałem o polską armię, która przecież miała się utworzyć, odpowiedział: „Nie bojsia, szejczas prijdot” (Nie bój się, przyjdzie w swoim czasie). Teraz jednak chcę ze mną jeszcze rozmawiać w komendzie głównej NKWD i dobrze, że przyszedłem, bo on, dyżurny, może mi to życzenie władzy zakomunikować. Teraz dopiero zawirowało mi przed oczyma na dobre, ale opanowałem się jak mogłem, aby nie dać poznać po sobie tej dogłębnej trwogi. „Muszę jeszcze zatelefonować, aby się dowiedzieć, kiedy tam będziesz mógł zająć” – powiedział skądinąd wytworny młody przedstawiciel napełniającej trwogą instytucji i połączył się z komendą główną. Po chwili wszystko było jasne: jutro o dziewiątej rano mam się tam zgłosić i podać tylko moje nazwisko. Otrzymałem adres oraz dodatkowe objaśnienie, jak mam wyżej wymieniony urząd znaleźć. Z posterunku NKWD wyszedłem jak na nie swoich nogach. Ciepło grzejące słońce nie było w stanie powstrzymać deszczy, które przenikały mnie do ostatniej komórki ciała. Co oni mogą ode mnie chcieć? Burza minionej nocy była tylko jakby preludium innej burzy, która dopiero zawisła nad moją głową. Mimo jasnego, pogodnego dnia, czułem się teraz jak tamten, zagubiony pośród nocy, burzy, bezlitości ludzkiej, uczepiony rozczapierzonymi palcami burty pirackiego okrętu...

## WSPÓŁPRACA

Nazajutrz rano poszedłem do komendy głównej NKWD. Nie miałem nic na sumieniu, a jednak napełniał mnie nieopisany niepokój. Może będą mieli do mnie pretensje, że nigdzie nie pracuję? Choć do pracy ledwie mógłbym się nadawać, bo nie będąc z natury osiłkiem, po gułagowej kuracji przedstawiałem całkiem mizerną siłę roboczą. Poza tym niedoleczona w Czelabińsku noga zaczęła się sączyć na nowo. Skorupa, która pokryła całą ranę, nie była bynajmniej zregenerowaną skórą, ani nawet naskórkiem, więc stan chronicznego otwarcia nie został bynajmniej zażegnany. Na powierzchni tej znów otwartej kilkunastocentymetrowej rany narastało teraz stale dzikie mięso, które przy opatrunkach na stacji sanitarnej regularnie musiało być wyskrobywane, a po przysypaniu dermatolem i zabandażowaniu mogłem chodzić aż do następnej „skrobanki”. Bolesne to już nie było, przykre – owszem – nawet bardzo. Ale do wszelkiej niedoli człowiek może się przyzwyczaić, więc przyzwyczajony do chronicznej dziury w nodze, żyłem, jak się dało. Do pracy fizycznej jednak nie byłem zdolny. Niech mnie więc najpierw wyleczą, a później dopiero mają

pretensje o łazikostwo i nieróbstwo. Ale po doświadczeniach zdobytych w ojczyźnie socjalizmu wiedziałem, że jak się chcą do kogoś przyczepić, to i tak się przyczepią. Winę znajdą, a ty musisz udowodnić, że winien nie jesteś. Stąd też mój strach przed NKWD nie był nieuzasadniony.

Opanowując na ile tylko mogłem niepokój, wszedłem do budynku komendy głównej. Dyżurny był przygotowany na moje przybycie i telefonicznie u kogoś zameldował. „Poczekaj, obywatel Sułtanow zaraz przyjdzie i cię przyjmie”. Nic nie odpowiadając, bo cóż mógłbym powiedzieć, usiadłem na wskazane mi krzesło. Miałem głowę zupełnie wypróżnioną, a to tak do sowieckiego południa dopasowane nazwisko, wtedy mnie nawet nie uderzyło. Czekać zresztą nie musiałem długo. Obywatel Sułtanow, w wytwornym mundurze enkawudzisty, wszedł dystyngowanym krokiem, wyciągnął do mnie rękę i przedstawił się, po czym kazał iść za sobą długim korytarzem aż do jakichś drzwi, które otworzył i uprzejmie zaprosił do środka. Oczekiwał mnie tam szeroki, wygodny, skórą obity fotel, który miałem objąć w posiadanie skinieniem ręki gospodarza. Cała ta wyszukana ceremonia nie usuwała mojego zaniepokojenia, więc usiadłszy jeno na brzegu fotela, czekałem co dalej. Sułtanow zamknął drzwi, po czym przekręcił klucz tak „nieznacznie”, że czynności tej nie było można nie zauważyć i wyjąwszy go włożył do kieszeni, a następnie z pogodnym spokojem usiadł na drugim fotelu, z tamtej strony biurka. Sułtanow był wytwornym, typowym przedstawicielem klasowej nadrzędności w bezklasowym systemie. Choć przystojny i elegancki, to jednak jęczmień na oku nie czynił tej twarzy zbyt przyjemną. Zadał kilka pytań, jak mi się powodzi. Z powodu zamieszkania w „czajhanie” ani bezrobocia nie czynił żadnych wyrzutów, przeszedł za to szybko do rzeczy. Usłyszałem więc stereotypową mowę, podobną do tej, którą kiedyś wygłosił do nas w iwdielskich łagrach ów politruk, co chciał wzbudzić w więźniach zapał do pracy. Tak więc prawił teraz Sułtanow o toczącej się wojnie z niemieckim „zachwaczykiem” (napastnikiem), o przyjaźni polsko-sowieckiej, o organizującej się armii polskiej, która ręka w rękę z armią czerwoną będzie walczyła o wolność naszych krajów. Toczka w toczkę to samo co tamten! Po takim wstępie musiało nastąpić nawiązanie do walki na tyłach. Tylko że teraz nie chodziło o wyteżoną pracę, ale o zwalczanie dywersji, którą wróg prowadzi bez wytchnienia, o wykrywanie akcji szpiegowskich i wywrotowych. W składne słowa ubrane, oznaczało to najwyższy i najzaszczytniejszy obowiązek do wypełnienia przez lojalnego obywatela. Teraz już wiedziałem do czego zmierzał Sułtanow: do wypełniania tego szlachetnego zadania chciał mnie wciągnąć. Czyli, że chciał ze mnie zrobić szpicla, konfidenta, donosiciela. Tymczasem mój przedmówca tłumaczył z namaszczeniem zadanie i wyłuszczał, że chodzi o wspólną sprawę, o unieszkodliwienie działania dywersyjnego wroga

i dopomaganie władzy sowieckiej do zwycięstwa. Jako człowiek obracający się w różnych środowiskach, mogę łatwo dowiedzieć się, co inni czynią i co złego zamierzają. Chodzi zwłaszcza o współrodaków. „Oni na pewno Niemcom nie sprzyjają” – wtrąciłem nieznacznie. „Tak, ale między Polakami są też ludzie wrogo nastawieni do Związku Radzieckiego i tu byś miał zadanie do wypełnienia”. Dalej dowiedziałem się, że współpraca z NKWD okryta będzie najściślejszą tajemnicą i to zarówno ze strony instytucji jak i mojej, a ponadto, że będzie dobrowolna. „Skoro ma być dobrowolna, to proszę mnie od niej zwolnić” – spróbowałem nieśmiało. „Ja do tego rodzaju zadania, bez wątplenia bardzo ważnego, nie czuję się zdolnym!” – „O, tego nie możesz powiedzieć” – przerwał mi Sułtanow. „Wydaje mi się, że jesteś młodzieńcem rozsądnym, a jeśli chodzi o technikę współpracy, to my cię w nią stopniowo wprowadzimy”.

## WIELKA GRA

Nie! Taka współpraca na pewno mnie nie interesowała! Miałbym się stać konfidentem NKWD, psem wężącym na niekorzyść Polaków, a na korzyść tej znieenawidzonej instytucji! Powiniennem właściwie otwarcie oświadczyć, że ich porządku nie cierpię i że jako Polak mam im wiele do zarzucenia. Tego jednak nie mogłem powiedzieć, więc opanowując wzburzenie starałem się przedstawić moją nieumiejętność podejścia do ludzi i że tego rodzaju zobowiązania nie mogę przyjąć. Sułtanow, choć niezadowolony, starał się dobrotliwie usunąć moje zastrzeżenia. Wówczas całkiem już niedwuznacznie oświadczyłem, że taki rodzaj zajęcia jest sprzeczny z moją naturą i że w roli donosiiciela naprawdę nie będę się dobrze czuł. Teraz Sułtanow zaczął tracić otwarcie cierpliwość. Co zresztą mogły go obchodzić moje uczucia? Postawili na mnie i z tego nie zrezygnują. „Przypomnij sobie, gdzie w ostatnich latach przebywałeś i skąd tu przybyłeś...”. Tak, to była potęga, te ich łagry, te „wychowawcze” obozy pracy! Mało, że katorga, to jeszcze strach na całe życie, strach na obywatela, gdy nie zechce tańczyć tak, jak oni mu będą grali. Nie, głupi na pewno nie byłem. W każdym razie nie na tyle, aby potworności tego systemu terroru nie widzieć i nie rozumieć.

Sułtanow pomiarkował się, że w niewłaściwą uderzył nutę, albo doskonale w tej materii wyuczony, więcej nie straszyl, natomiast zwrócił mi uwagę na korzyści, jakie ze współpracy z NKWD mogłyby dla mnie wyniknąć. W tej chwili jest mi trudno o tyle ważnych do życia rzeczy, a gdy podpiszę umowę, staną mi otworem sklepy oficjalne żywnościowe i inne. Chleb, kiełbasa i wszystko co w nich jest, będzie dla mnie dostępne i to po cenach oficjalnych. „Chcesz



mnie kupić, abym się stał psem podobnym do ciebie” – pomyślałem sobie, lecz niewinna gra z ukryciem klucza w kieszeni i, niby od niechcienia, przypomnienie łągowego koszmaru uświadamiały mnie, że otwarta wojna z NKWD jest z góry skazana na przegraną. Krew się we mnie burzyła, w głowie mi huczało. Żeby tak wreszcie można było wstąpić do polskiego wojska! Wstąpienie do naszej armii przetnie taką „współpracę”, więc zacząłem dopuszczać możliwość gry z NKWD. Wielkiej, niebezpiecznej gry. Jednak moje najgłębsze „ja” burzyło się nawet na myśl o niej. Nie, nie o twoją kielbasę chodzi, jęczmienno-oki psie, ale o moje sumienie, o ludzką godność, o wolność...

Sułtanów domyślał się, że we mnie coś się łamie, choć nie mógł wiedzieć, co myślałem! Co go to zresztą mogło obchodzić? Dla niego celem było złapanie ofiary, a co w ofierze będzie się działo czy miało to znaczenie? Za nim stała cała potęga bezwzględного systemu terroru policyjnego, ze wszystkimi jego okrutnymi narzędziami. Za mną naga bezsilność nędzarza. „Zacznijmy spisywać umowę” – przerwał Sułtanów przeciągające się milczenie. „Jeśli ona nie będzie się tobie podobała, możesz jej nie podpisać”. Nie miałem wyboru. Zaareztowania z miejsca nie odważyłbym się ryzykować. Natomiast w perspektywie gry na czas, szanse na moją korzyść były spore. Zacząłem więc pisać pod dyktando dzieło o „dobrowolnej” współpracy... Gdy doszedłem do punktu tajemnicy, że nikt, nawet ojciec albo matka, ani brat, ani żaden przyjaciel o tym wiedzieć nie może, przypomniało mi się co już w Polsce o Sowietach mówiono. A teraz mnie przychodzi zaznać to na mojej własnej skórze! A teraz sam „dobrowolnie” spisywałem taką haniebną umowę. Oczywiście mogłem jej nie podpisać, ale wiedziałem, co znaczyłaby dla mnie odmowa. Musiałem „dobrowolnie” ten hyclowski kontrakt podpisać... Sułtanów pożegnał mnie serdecznie, wyznaczony spotkanie za dwa czy trzy tygodnie. On miał przyjść incognito, w cywilu, a ja przy podaniu ręki miałem mu podać ewentualny meldunek na zmiętej kartce. Choć to miało być z mojej strony grą, wyprawdaniem lisa w pole – z komendy głównej NKWD wychodziłem rozbity.

## DNI ROZTERKI

Nowy cień zawisł nad moimi namangańskimi dniami. Mało było troski o chleb powszedni, o przeżycie w takich trudnych warunkach; mało było bezdomnej roślinności; mało niepokoju co będzie dalej. A jednak trzeba było żyć, trwać, czekać. Armia polska już przed tym była jakoby arką Noego ratującą życie wśród wód potopu. Obecnie stawała się dla mnie ostatnią i jedyną deską ratunku z matni zastawionej przez NKWD. Mógłbym teraz wprawdzie korzystać

z owych dobrodziejstw, zarezerwowanych dla uprzywilejowanej warstwy sowieckiego bezklasowego społeczeństwa. Wszak sam Sułtanow mi to zaproponował. Zaopatrzenie dla piesków partyjnych stało dla mnie otworem z racji zaofiarowanej mi roli wężącego jamnika. Ale korzystanie z tej podłej oferty nie przechodziło mi nawet przez głowę. Żeby być później w jakiś sposób zobowiązanym? Zbyt wulgarna była to przynęta, a moja wielka gra, jeśli się ją chciało wygrać, musiała być czysta. Zresztą malarską sztuką zarabiałem na tyle, aby z głodu nie zginąć. I to było w tamtych czasach i warunkach wiele. Zawsze ktoś się dał namówić na „portret” i choć bez stałego zaplecza, mogłem tak z dnia na dzień żyć.

Nie, to nie troska o przeżycie mnie tak trapiła, ale ten przekłety, nieludzki, psi system policyjny. Dlaczego to sobie akurat mnie upatrzyli? Nie, to nie tylko mnie do tego upodlenia wciągali! Dla nich to nie było nic nowego, tylko mnie się objawiało jeszcze jedno oblicze bolszewizmu. Przecież już w gimnazjum nam mówiono, że w tym kraju ojciec nie może ufać synowi, ani syn ojcu, ani brat bratu, ani przyjaciel przyjacielowi, bo nie wiadomo kto jest zaprzędanym policji donosicielem. Ilu tu ludzi musi taki cyrograf na własną duszę podpisać? Co za diabelski system! Teraz dopiero zacząłem pojmować tę potworną religię opętania. Totalnego opanowania duszy człowieka. Moją duszą targająca deprymująca rozterka...

\* \* \*

Spotkania z Sułtanowem odbywały się mniej więcej co dwa tygodnie. Ich miejsce było możliwie publiczne, na jakiejś ulicy, najlepiej z drzewami. Powitanie także całkiem zwyczajne, przez podanie ręki, w czasie której to czynności miałem przekazać kartkę z meldunkiem z „terenu”. Właśnie to stawało się coraz bardziej skomplikowane. Przyjść tak raz z pustymi rękoma, przyjść drugi, może trzeci raz... Na początek laickiej „współpracy” można by się jakoś wykręcić. Ale co dalej? Jeśli mówiłem Sułtanowowi o braku zdolności w kierunku „wyciągania języka” z innych, to nie kłamałem. Skądinąd, jeśli chodziło o kontakty, o zabiegi w ich powiększaniu, głównie z Polakami, to od nieszczęsnej chwili podpisania „dobrowolnej” współpracy robiłem wszystko akurat odwrotnie. Unikałem wręcz spotkań z Polakami. Po co ma mi któryś powiedzieć coś głupiego, co by w przystępie haniebnej słabości mogło stać się tematem dla judaszowej kartki? Nie, w skórze konfidenta NKWD nie czułem się dobrze. Nie mogłem dobrze się czuć! Zdawałem sobie sprawę, że wymuszenie takiej współpracy było brutalnym pogwałceniem wolności człowieka, pogwałceniem najintymniejszej części ludzkiej istoty. Nie, ja z moim wrażliwym charakterem na pewno nie nadawałem się do takiej roli. A jednak tę

grę, tę ohydną grę musiałem podjąć. Bo co by ze mną zrobili, gdybym odmówił? Może nic? Ale ja się ich tak okropnie bałem... Okrutny, nieludzki system terroru, system wymuszania strachem posłuchu obywateli. Ach, jakich tam obywateli? Obywatel to człowiek wolny, z nieprzymuszonej woli wypełniający swoje zobowiązania, z godnością wolnego człowieka. A ich obywatel to nie obywatel, tylko nędzny niewolnik, człowiek systematycznie wyzuwany ze swojego „ja”, terroryzowany, zastraszaony, sprowadzany do roli kółka w maszynie, którego wartość jest uzależniona od funkcji mu przeznaczonych, a istnienie jego ma sens tylko o tyle, o ile ma w tej bezdusznej maszynie jakieś miejsce. A ja przecież nie byłem nawet ich obywatelem, tylko obywatelem kraju przez nich wespół z drugim wrogiem rozgrabionego!

Po drugim spotkaniu Sułtanow zalecił mi przyłożyć się z sercem do przyjętego obywatelskiego zobowiązania. Na trzecie więc przygotowałem mu „donos”, który choć prawdziwy, nie mógł nikomu zaszkodzić. Jacyś Uzbegy narzekali na ciężkie czasy, na brak chleba... Wiadomo, wojna, więc takie narzekania nie były narzekaniem na Związek Sowiecki, lecz na te wyjątkowe, wojenne czasy. Wiedziałem mniej więcej jak ci Uzbegy się nazywali, gdzie mieszkali. Ale też tylko mniej więcej. Zapisałem więc „mniej więcej” nazwisko i „mniej więcej” adres, co w ich chaotycznym sposobie budowania ulic było bardzo „mniej więcej” dokładną informacją. Tak spreparowaną judaszową kartkę podałem Sułtanowowi przy podaniu ręki. Przy tym objaśniłem krótko, o co chodziło. Skrzywił się tylko: „Staraj się przebywać więcej między waszymi ludźmi”. Kartkę zmiął, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że nie o to chodziło. Tym lepiej, jęczmiennie-oki psie! Bo bym sobie robił wyrzuty, że się skundliłem. Po wyznaczeniu mi następnego spotkania Sułtanow pożegnał się i odszedł. W kolejnych dniach unikałem Polaków jeszcze skrzętniej niż dotąd. Raz, jeszcze przed trzecim spotkaniem, zaszedłem do polskiej delegatury, aby dowiedzieć się czegoś o tworzącej się armii. Czy może wiedzieli coś już o porborze? „Przyjdzie, przyjdzie, tylko trzeba cierpliwie czekać”. Cierpliwie czekać! Cierpliwie czekać, a ja mam tym czasem już czwarte spotkanie wyznaczone... Jak długo będę mógł wykazywać taką bierność? Taką karygodną bierność.

## PRZESTROGA ALLAHA

Kiedys, pośród tych dni rozterki, dostałem szczególnie korzystne zamówienie: trzy portrety z fotografii. Zazwyczaj rysowałem z natury i z profilu. Rzadko odważałem się na rysunek „en face”. A fotografie były właśnie takie. Ale fotografie to nie żywy model, cierpliwe i nieruchome, zawsze można poprawiać.

Zamówienie oczywiście przyjąłem, żądając po 10 rubli od główki. Do roboty zabrałem się z miejsca i w ciągu jednego popołudnia całą wykonałem. Zamawiający, a była to rodzina uzbecka, byli z mojej pracy bardzo zadowoleni. Szczególnie podobały się stroje kaukaskie, w które osobnicy na fotografiach byli ubrani. Zawsze to samo: nie twarze były najważniejsze, lecz akcesoria. Tak więc otrzymałem 30-to rublowe honorarium – sumę rzadko naraz widzianą, a gospodyni uważała jeszcze za honor mnie nakarmić. Przyjąłem to ze szczególną radością, bo gdzie o tej porze dostałbym coś jeszcze do zjedzenia? A tu mnie pożywią za darmo! Gdy zaś pani domu przyniosła kopiatą michę ryżu dobrze omaszczonego, z solidną porcją pokrajanej w kawałki, pieczonej baraniny na szczycie, oczy moje nie mogły uwierzyć temu widokowi. „To jest płow” – wyjaśniła zacna niewiasta i zostawiła mnie sam na sam z tą rozkoszną miską ryżu. Taka uczta w sowieckim raju nie była nigdy moim udziałem. „Płow” był wyśmienity, a obfitość porcji spowodowała błogie uczucie sytości, tak rzadkie w tamtych czasach<sup>32</sup>. Gdy tak solidnie nakarmiony, dziękowałem poczciwej Uzbeczce i zabierałem się do wyjścia, zjawił się nagle jej brat z sąsiedztwa, który okiem znawcy oglądnał w międzyczasie moje „dzieła”, a teraz zapytał, czy byłbym gotów uczyć rysowania jego syna. Sam malarz z przypadku miałem teraz stać się nauczycielem tej sztuki! Nie wiedziałem wprawdzie jakbym miał się wywiązać z takiego zadania, ale zdawałem sobie sprawę, że taka okazja nie trafia się co dzień i tak nadzwyczajnej oferty nie można było odrzucić. Mój dobrodziej, bo taka praca była dla mnie prawdziwym dobrodziejstwem, choćby przez okazję do porządnego pojedzenia sobie od czasu do czasu, był wyraźnie zadowolony z wyrażonej zgody, poklepał mnie po ramieniu i kazał za sobą pójść. Przez jakąś dziurę w płocie przeszliśmy do sąsiedniej lepianki. Bo domy uzbeckie są zazwyczaj lepiankami z gliny, pokryte belkowaniem powiązaniem trzciniami wypełnionymi znów gliną, względnie mieszanką gliny z trawą czy słomą. Weszliśmy do wnętrza. Izba była spora, z oknami od podwórza. Uzbegy okien od ulicy nie robią – zwyczaj wschodni, zwracający życie mieszkańców do wewnątrz, nie do świata zewnętrznego. Podłoga była wysłana dywanami, albo raczej rodzajem watowanych, barwnych kołder, które pokrywały nie tylko ziemię, ale częściowo też i ściany. Mebli nie było żadnych, prócz stolika, pokrytego także wzorzystą kołdrą watowaną. Obuwie trzeba było przy wejściu zdjąć. Gospodarz wprowadził mnie do wnętrza izby i posadził obok siebie przy stoliku, na miękko wysłanej podłodze. „To jest sandał” – objaśnił mnie gościnnie Uzbek, gdy podniósłszy brzeg kołdry

---

32. Płow (Pilaw) to popularna potrawa kuchni wschodniej, w krajach Azji Środkowej. sporządzana z ryżu lub bulguru z dodatkiem warzyw, kawałków mięsa oraz dużej ilości ostrych przypraw.

kazał nogi wpuścić pod stół. Pod spodem znajdował się żar, który grzał od dołu siedzących wkoło stołu. „Nie wyciągaj tylko nóg nadto, bo możesz się sparzyć” – ostrzegł mnie gospodarz. Osobliwy sposób grzania nóg, podczas gdy w całej izbie było zupełnie chłodno. Ale co kraj to obyczaj, a dla mnie to pierwsze spotkanie z życiem tamtejszych ludzi łączyło się ze szczególnymi nadziejami i oczekiwaniami. Jeszcze nie zaczęła się na dobre rozmowa na temat celu zasadniczego mojej wizyty, gdy zjawiła się żona gospodarza z ogromną, płaską michą i potężną górą... płowu. Na ten widok zrobiło mi się dosłownie gorąco. Rzadko kiedy, albo może raczej nigdy nie bywałem w tamtych czasach najedzony, a tego wieczora, po zjedzeniu potężnej porcji płowu u sąsiadki, uczucie sytości było w pełni moim udziałem, a tu ma być powtórzenie uczy, od której, żeby nie urazić wschodniej gościnności, nie mógłbym się nawet wymówić. W ślad za matką, która ustawiła wspólny posiłek na środku sandałowego stołu, weszło dwóch młodych Uzbeków, synów zacnych gospodarzy, a ten młodszy okazał się być moim przyszłym uczniem. Na głowach mieli, tak samo zresztą jak ich ojciec, nieodstępne, wzorzyste haftowane okrągłe czapki. W wejściu ukazała się twarz młodej dziewczyny o kruczonych, gęstych włosach, splecionych w grube warkoczki. Ponad wielkimi, ciemnymi oczami szeroka linia brwi pociągnięta granatową farbą, bez przerwy nad nosem. Ten zwyczaj upiększania sńiadej urody był tu ogólnie praktykowany przez młode dziewczęta. Tylko nieliczne jeszcze kobiety, głównie starsze, nosiły zasłony twarzy w formie usztywnionego parawanu, zaczepionego do pokrywającej głowę ciężkiej chusty, tak, że świat zewnętrzny mógł być widziany tylko przez oczka twardej tkaniny. Tutaj ani matka, ani córka, bo urocza zjawa musiała być córką, tradycji tej nie praktykowały. Zresztą matka postawiwszy posiłek przed mężczyznami i stwierdziwszy, że oblicza ich pokrył uśmiech zadowolenia, poparty znaczącym mrużeniem, dygnęła, powiedziała coś po uzbecku, pewno coś w rodzaju naszego smacznego i wyszła, zabierając czarnobrewą ze sobą. Za chwilę jednak urodziwa dziewczyna znów się ukazała, przynosząc mi łyżkę, po czym spuściwszy czarne oczy, szybko znikła.

Widywałem już jak Uzbeki jedzą. W „czajhanach” jednak posiłki ograniczały się tylko do picia herbaty i czasem jedzenia połamanych w kawałki „lepioszek”. W restauracjach podawano głównie zupy w miskach. Nie uznając europejskiego zwyczaju jedzenia posiłków płynnych łyżkami, tubylcy spijali zupę wprost z misek, zawartość zaś gęstą wybierali palcami. Teraz zobaczyłem po raz pierwszy jak się je w domach tradycyjnych. Uprzejmy gospodarz dał mi znak, że mogę się posługiwać łyżką, sam zaś chwyciwszy w dwa palce kawałek mięsa, które znów w obfitości leżało na szczycie ryżowej góry, pozostałymi palcami, jakby szufelką, zagarnął z dołu porcję sypkich, białych ziaren

i okrągłymi ruchami dłoni uczynił z całości kulkę i tak przygotowaną potrawę wsadził do ust. Teraz ruszały się tylko wąsy, a młodzi na wzór rodziciela przystąpili także do ręcznego spożywania „płowu”. Ja chwyciłem kawałki mięsa łyżką, przy pomocy tegoż narzędzia nabierałem ryżu i powoli, jakby z namaszczaniem, wkładałem pokarm do wyjątkowo napełnionego wnętrza. Takie eleganckie formy mogły choć częściowo ukryć fizyczną trudność jedzenia. Żeby to tak można było rozłożyć na kilka razy! Ale tak już bywa: raz za mało, kiedy indziej nadmiar. Rozmyślając tak nad nierównością praw życia pocieszałem się, że teraz, gdy będę nauczycielem syna tak zamożnego Uzbeka, częściej będę mógł pojeść sobie do syta. Uczycy choćby tylko za takie jedzenie – już samo to opłaciłoby się.

\* \* \*

Smaczna góra prawie już znikła z sandałowego stołu, gdy nagle... Wszyscy spojrzeli na siebie z nieukrywanym przerażeniem w oczach. Nie, nie było już żadnych wątpliwości: to trzęsienie ziemi. Z belkowania na stropie zaczął się sypać pył, a nawet większe kawałki gliny kruszącej się na skutek ruchów ziemi, potrząsającej bezceremonialnie lepianką. Wszyscy zerwali się od stołu i wykrzykując niezrozumiałe dla mnie słowa, wybiegli na zewnątrz – również kobiety z drugiego pomieszczenia. Ziemia zadrgała jeszcze kilka razy konwulsyjnie, po czym wszystko się uspokoiło. Tylko młoda czarnobrewa po cichu łkała. Reszta stała przez chwilę jakby zamarła w lęku grupa Laokoona<sup>33</sup>. Gdy trzęsienie ziemi więcej się nie powtarzało – pierwsza przerwała milczenie gospodyni, która intensywnie gestykulując i od czasu do czasu wskazując na mnie, coś prawiała swemu mężowi. Wystraszony Uzbek podszedł do mnie i powiedział, że czas, abym poszedł do domu. Chciałem dowiedzieć się od niego czegoś więcej, bo przecież nie omówiliśmy jeszcze sprawy lekcji rysowania, a to było dla mnie takie ważne. Stary nie był jednak do rozmowy. Jego przerażenie nabierało teraz cech jakiegoś mistycyzmu. Być może nieokielzany żywioł natury wiązał się w ich umysłach z pojęciami religijnymi. Pewnie Allah karał ich za to, że gościli u siebie niewiernego Giaura. Ale Uzbek nic mi nie tłumaczył, tylko stanowczym, wciąż jeszcze nie ostygłym z wrażenia głosem powtarzał w kółko: „Idź już, już czas na ciebie”. Ponieważ nie ruszałem się z miejsca, bo gdzie o tej porze nocy mogłem pójść, podszedł do mnie i ująwszy pod ramię wyprowadził poza ogrodzenie. Odszedłem z niezrozumiałym

---

33. Grupa Laokoona (wł. Gruppo del Laocoonte) – to starożytna rzeźba, będąca według części badaczy dziełem greckim z okresu hellenistycznego, według innych – rzymską kopią hellenistycznego oryginału. Dzieło przedstawia historię Laokoona i jego synów, zabitych przez węże morskie, opisaną w księdze II Eneidy.

uczuciem w sercu. Noc była ciemna i zimna. Do „czajhany” nie miałem teraz po co chodzić. O tej porze była i tak już zamknięta, a stukanie byłoby daremne. Trzęsąc się od chłodu i przeżyć tak świeżych a tak niesamowitych, chodziłem bez celu pustymi ulicami Namanganu. Czasu do rozmyślenia nad sensem wydarzeń tej nocy miałem dosyć.

Oni ugościli niewiernego, a Allah ich za to pokarał. Tak, to była kara Allaha. A może to nie była kara, tylko przestroga? Przestroga przed... Wszak nie byłem wolnym człowiekiem. Wszak zawarłem ten nikczemny pakt z szatanem. I choć w duszy nie czułem się ani winny tego haniebnego aktu, ani nie zamierzałem go wypełniać, to przecież tak, jakbym swą duszę rzeczywiście sprzedał. Jak długo będę mógł się wykręcać z matni? Bo jeśli wstąpienie do armii polskiej nie nastąpi rzeczywiście w bliskim czasie, jak długo będę mógł zwodzić jęczmiennie-okiego diabła? Niedoczekanie twoje, podły psie! Niedoczekanie wasze, szatańskie sługi! Boże, dopomóż! Matko Najświętsza, nie opuszczaj! I w cichej modlitwie, nie wstydząc się łez, które od czasu do czasu wymykały się spod powiek, drżąc od chłodu i wewnętrznego niepokoju przechodziłem tę ponurą noc aż do świtu.

## POBÓR

Ziemia w Uzbekistanie nie miała odtąd spokoju. Wstrząsy tak silne jak owej pamiętnej nocy wprawdzie już się nie powtarzały, ale lekkie konwulsje stały się powszedniością. Na tyłach gościnnej „czajhany”, gdzie mi wciąż jeszcze wolno było nocować, odkryłem nikomu widać niepotrzebny stół. Postanowiłem używać go jako zabezpieczenie na wszelki wypadek. Usłalem więc sobie mój barłóg pod tym „psychologicznym” dachem i czułem się pewniejszy, gdy niepokój ziemi się powtarzał. Tak mijały ostatnie noce w Namanganie. A dni, te szare dni oczekiwania pośród niepokoju, tego innego od matki-ziemi, ale drażącego za to duszę dogłębnie, następowały też jeden po drugim – w ciągłym uświadamianiu sobie następnego spotkania z Sułtanowem. Zaczynałem przygotowywać się na konfrontację. Ale właściwie nie wiedziałem co może się stać, jeśli do owego nieszczęsnego czwartego spotkania dojdzie...

Jednego z owych ponurych dni spotkałem przypadkowo grupkę gdzieś poznanych młodych Polaków, których teraz tak chętnie omijałem. Oni jednak, poznawszy mnie, zaraz zagadnęli: „Co, idziesz do wojska?” – „Jak będzie pobór, to jasne, że pójdę” – „To nie wiesz, że pobór został już ogłoszony?”. Jasny

grom z nieba nie mógłby mnie mocniej ugodzić. Nie swoją śmiercionośną mocą, lecz siłą świetlistej nadziei. „Nie mówcie! Kiedy, co i jak?”. Tak skrętnie unikani i teraz przypadkowo spotkani rodacy poinformowali mnie dokładnie co do miejsca i terminu poboru, zresztą pożegnawszy ich pokuśtykałem zaraz w kierunku polskiej delegatury. „Tylko czy oni mnie z tą flegmoniczną nogą w ogóle wezmą do wojska?”. Nie, taka myśl nie miała prawa we mnie w ogóle powstać. Odpędziłem ją więc z miejsca, aby nie odczuwać ciarek, które przebiegały już ciało od stóp do głów. W delegaturze uzyskałem potwierdzenie zasłyszanej wiadomości. „Dlaczego nie zachodziłeś częściej? Już od kilku dni wiadomo jest o rozpoczęciu prac komisji poborowej w Namanganie”. Przecież moich powodów nie mogłem wyłuszczyć. „Przed tygodniem jednak byłem... Wtedy jeszcze nic nie wiadano”. Zapamiętałem sobie dokładnie wszystkie informacje dotyczące terminów i miejsca. Komisja poborowa miała zacząć oficjalne prace za kilka dni. Wychodząc z delegatury promieniowałem szczęściem: do czwartego spotkania z Sułtanowem w takiej sytuacji w ogóle nie dojdzie! „Nogę zabandażuję tak minimalnie, aby nie budzić podejrzania, że to coś poważnego” – myślałem sobie. Zresztą rana ruchów mi zbyt nie utrudniała, zwłaszcza, gdy starałem się niepokój w chodzeniu opanowywać. Choć do komisji brakowało kilka zaledwie dni, wydały mi się one wiecznością. Oczywiście musiałem sobie zarabiać na chleb codzienny, jak gdyby nigdy nic, lecz napięcie i niepokój już nie ten sam co dawniej, ale za to nadzwyczajnie intensywny, nie odstępował mnie ani na chwilę. W przeddzień poboru poszedłem do łaźni, aby wydezynfekować wszy, wykapać się do czysta i dać zmienić opatrunek na nodze. Lekarka wyskrobała dzikie mięso, uniemożliwiający gojenie się rany, przesyłała dermatolem i zawięła czystym bandażem. „Jutro bandaż przewinę inaczej” – pomyślałem i tak przygotowany wróciłem do „czajhany”. Tego dnia nie mógłbym czegoś jeszcze rysować. Tam popijałem sobie herbatę i gawędziłem z synem gospodarza, dla którego byłem teraz przedmiotem pewnego rodzaju podziwu. Tej nocy prawie nie mogłem spać. Rano przewinąłem nogę według planu: bandaż zakrywał tylko ranę. Wyglądało to rzeczywiście dość niewinnie. „Bo przez tą głupią dziurę w nodze nie mogę dać się odwalić!”. Odmówiłem poranne pacierze, ale dużo serdeczniej niż zazwyczaj i wygramoliłem się spod mojego dodatkowego dachu, tego chroniącego psychicznie przed trzęsieniem ziemi. Zszedłem do lokalu głównego herbaciarni, gdzie syn gospodarski uczęstował mnie darmową herbatą i pożegnał życząc powodzenia.

Na punkcie zborym stawiałem się sporo wcześniej niż było trzeba. W niedługim czasie zebrała się grupa kilkudziesięciu młodszych i mniej młodych ludzi, bez wyjątku chyba wypełnionych dogłębnym pragnieniem przywdziania polskiego munduru. Dla wszystkich była to jedyna nadzieja na bardziej



ludzkie życie. A dla mnie... Moje intymne myśli pozostały najgłębszą tajemnicą. Nagle padło moje nazwisko. Widać komisja otrzymała listę z delegatury. Serce zabiło mi jeszcze gwałtowniej i wszedłem do obszernej sali, gdzie za stołami siedziała szanowna komisja, złożona z... sowieckich oficerów<sup>34</sup>. Ale ci mnie nie przerazili. Przeraziło mnie coś innego: pomiędzy siedzącymi w głębi lekarzami rozpoznałem „moją” lekarkę z namangańskiego punktu opatrunkowego: przecież ona zna moją nogę dobrze. Nowy niepokój zduszał nadzieję, ale nie mogłem dać niczego poznać po sobie, rozbierając się według nakazu do naga. Serce mi biło, gdy mi kazano wykonywać różne ruchy – przysiady, powstanie, zgięcie w kolanach, stanie na jednej nodze. Bez zarzutu. Rana, choć duża, ruchów tych nie utrudniała, a co najmniej mogłem nad nimi panować. I nikt nie zapytał o bandaż na nodze! Nawet moja lekarka nie zwróciła na nią uwagi. W kolejności nastąpiło badanie organów wewnętrznych, opukiwanie, obsłuchiwanie płuc, serca. Tu lekarz główny pokręcił nosem: „Iz sjerdcom nie oczeń charaszo...” (z sercem nie bardzo dobrze). „Nie mogę być przyjęty do wojska?” – zapytałem pełen niewypowiedzianego niepokoju. „Muszą zrobić jeszcze elektrokardiogram. Jutro o 8-ej rano zgłosisz się w szpitalu obłaśnym i pokażesz tę kartkę” – lekarz wypisał moje nazwisko na niej i podał mi. „Z wynikiem badania przyjdiesz tu i zobaczymy co z twoim sercem”. Teraz mogłem się ubierać. Badanie na dzisiaj zostało zakończone.

Wyszedłem wstrząśnięty. Przez nogę mnie nie odrzucili, a przez to „głupie” serce mogę przelecieć. Gdy jednak ochłonałem z najgorszego, zacząłem rozważać sytuację spokojniej. „Przecież ja mam serce w najzupełniejszym porządku. Gdybym miał jakieś dolegliwości, to w tych tak różnych, a fatalnych warunkach nieraz dałoby ono o sobie znać”. Tak, serce tłukło się w czasie badania nie z powodu jakiejś nieregularności, ale z innych, tak bardzo zrozumiałych przyczyn. Muszę wziąć serce w karby, nie dać mu się denerwować. Tego dnia i tak bym nie mógł już nic robić. Na przeżycie go pieniędzy mi wystarczyło, więc starałem się wypoczywać, spacerując sporo, ale wolno, starając się o niczym nie myśleć, a tylko wierzyć, że mi naprawdę nic nie jest. Spać poszedłem możliwie wcześniej i po normalnych pacierzach powtarzałem modlitwy mechanicznie tak długo, aż usnąłem. A spałem dobrze. Rano obudziłem się bardzo wcześniej, ale wypoczęty gruntownie. Moją taktykę niemyślenia stosowałem nadal konsekwentnie, formułując jedynie modlitwy, które z natury już działały uspakajająco. Bo cóż może bardziej człowieka uspokajać, jak złożenie w ręce Boże wszystkich trosk i całkowite zdanie się na Jego wolę? To trzeba

---

34. Sowietci na początku stycznia 1942 r. zdecydowali, że pobór będą przeprowadzać tylko ich własne komisje rekrutacyjne, tzw. wojenkomaty.

być może przeżyć, aby zrozumieć, ale ja miałem tyle razy już okazję zrozumieć sens modlitwy i zdania się we wszystkim Bogu. Z „czajhany” wyszedłem zawczasu, aby nie musieć się spieszyć. Nie modliłem się już więcej, ale „klepałem” pacierze mechanicznie, aby uchronić wyobraźnię przed innymi myślami, tymi niepokojącymi. Tak idąc w kierunku szpitala obłastnego pozwalałem sobie tylko od czasu do czasu na świadome, serdeczne westchnienie: „Matko Najświętsza, nic opuszczaj mnie”. Moja religijność z całą pewnością nie była zbyt głęboka, ale niewidzialną rękę Opatrzności Bożej czułem już nieraz nad sobą, więc i teraz na nią liczyłem. W szpitalu pokazałem kartkę otrzymaną od lekarza przewodniczącego komisji poborowej. Krótkie czekanie w stanie sztucznej bezmyślności i wreszcie badanie. Nie mogłem sobie wyobrazić większego spokoju w moim tak zemocjonowanym wnętrzu. Z natury impulsywny i wrażliwy, byłem wtedy jakby „poza sobą”. A gra szła o wielką stawkę... Gdy po zakończeniu badania zapytałem lekarkę o wynik i otrzymałem odpowiedź, że serce w porządku, zaczęło mi ono skakać z szaleńczej radości. Ale wtedy już nie próbowałem tej radości ograniczać: papierek stwierdzający, że serce w porządku miałem w ręku. Boże, Boże, jak Ci mam dziękować za ten ratunek?

## POŻEGNANIE

Dostałem przydział do artylerii lekkiej. Podano nam też datę wyjazdu grupy rekrutów z Namanganu do obozu szkoleniowego. Jeszcze przed terminem spotkania z Sułtanowem. Wydarzenia następowały tak szybko, że nie mogłem sobie czegoś korzystniejszego dla siebie wyobrazić. Toteż radość nieopisana przepelniała serce. Wreszcie koniec tej przekłętej „współpracy”! Wreszcie w naszej, polskiej armii, między swoimi, pod polskim dowództwem zebrani razem więźniowie i deportowani „uchronieni” od „niemieckich zachwaczyków” (najeźdźców). Wreszcie koniec tułaczki, losu bezdomnego, bezpańskiego psa. Fatalnej sprawy z Sułtanowem nie można było jednak załatwić tak jakby nic nie było. Nagle zniknąć z powierzchni ziemi i koniec. Bo ta ziemia, szczególnie sowiecka, jest taka mała! A z NKWD żartów nie ma. Kontrakt raz podpisany trzeba w miarę możliwości formalnie odwołać. Ostatecznie nic złego nie popełniłem, a idąc do wojska będę spełniał wyższe zadanie i tamto niższe musi zostać anulowane. Wszak sprawa walki z niemieckim najeźdźcą jest sprawą wyższą i jak najbardziej wspólną. Tak więc przed udaniem się na punkt zborny, wyznaczony w jakimś tam oficjalnym klubie żołnierza, czy czymś podobnym, postanowiłem złożyć wizytę pożegnalną panu Sułtanowowi w jego biurze, w komendzie głównej NKWD.

Idąc na tę wizytę nie bałem się, że mnie może zatrzymają, ale serce tłukło mi jak przy komisji poborowej. Staralem się znów stosować tę wypróbowaną metodę „niemyślenia”, bo i tak co za plany czy mowy miałbym układać? A że z Sułtanowem najchętniej nie mówiłbym w ogóle, wzdychałem w duchu, aby go na komendzie akurat nie było. „Dyżurnego poproszę o zakomunikowanie mu, że pragnąłem z nim pożegnać się przed odejściem do wojska i sprawa byłaby jak najwłaściwiej zakończona” – myślałem sobie i nadzieja taka dodawała mi otuchy. Jesliby jednak był... Trudno, pożegnanie musi nastąpić.

Do budynku komendy głównej NKWD wchodziłem z uczuciem sztucznej, nadrabianej miną, pewności siebie. W gruncie rzeczy, co tam gadać, miałem „pietra”, czyli że dusza siedziała mi na ramieniu. Trzymanie fasonu w takiej sytuacji jest najlepszą metodą. Zameldowałem się dyżurnemu sprężyscie, jak przystało na żołnierza i poprosiłem o spotkanie z obywatelem Sułtanowem. Krótki, ale jakże ważny moment: a może go jednak nie będzie? Dyżurny zajrzał do jakiejś księgi i oświadczył, że obywatel Sułtanow wyszedł i nie wiadomo, kiedy wróci. „O, to wielka szkoda” – tak bezczelne kłamstwo i tak zagrana poza chyba nigdy w moim życiu nie miały miejsca. Grałem więc dalej moją rolę: „Bo oto właśnie powołany zostałem do armii i dziś wyjeżdżam, a przyjaciele (niech go tam ściśnię!) wypadało pożegnać. Proszę więc mu zakomunikować, że tu byłem” – „Charaszo” – odparł krótko dyżurny. Lecz ja dla pewności zażądałem: „Może dla pamięci zapiszcie sobie lepiej moje nazwisko”. – „Da, da, poprawnie” (Tak, tak, słusznie) – zabrzmiała odpowiedź służbisty, więc wymówiłem moje nazwisko wyraźnie, poszczególnymi literami, a gdy enkawudzista zapisał je poprawnie, serdecznie (o, jak serdecznie!) to go pożegnałem i uściśnąłem rękę. Wszak stawałem się wówczas kolegą: „Ano, idu w armiu: Daswidania!” (Idę do wojska! Do widzenia). Coś mi tam dobrego życzył, a moje uczucie szczęścia dobiegało granicy pełni.

Żadnych już spraw w Namanganie nie miałem, a że cały majątek nosiłem ze sobą, mogłem udać się wprost na punkt zborny. Z sercem wypełnionym radością wszedłem do budynku klubu żołnierza. Znalazłem się w dużej, pustej sali. Byłem widać pierwszy. Ale co miałbym jeszcze robić na mieście? Rozglądałem się w nadziei ujżenia jakiejś żywej duszy i rzeczywiście, zjawił się nagle jakiś Uzbek, wyglądający na woźnego, czy coś w tym rodzaju i zapytał, czego sobie życzę. Odpowiedziałem, że jestem poborowym do polskiej armii i że przyszedłem tu na zbiórkę do wyjazdu. Zapytał o nazwisko. „A tak, jeden człowiek chciał się właśnie z wami widzieć”. „Co, jeszcze ktoś chce, abym go namalował?” – zapytałem, bo to wydawało mi się być czymś jak najbardziej naturalnym. Ostatecznie w Namanganie zrobiłem się powoli dość znanym człowiekiem. Woźny nic nie odpowiedział, tylko poprowadził mnie długim korytarzem i zatrzymał się

przed jednymi z licznych drzwi, które otworzył, abym mógł wejść. Uzbek zniknął, a we mnie serce zamarło: czekającym był mój „przyjaciel” Sułtanow. Choć wszystko się we mnie trzęsło, starałem się opanować wzburzenie. Pozdrowiłem więc czekającego, jak gdyby nigdy nic i oświadczyłem, że właśnie wracam z komendy głównej, gdzie chciałem się z nim pożegnać, ale go nie zastałem. „Teraz idę do armii, więc współpraca musi się skończyć. Żałuję, że nie wykazałem się wielkimi osiągnięciami” – wyjaśniłem moje stanowisko. „Dlaczego współpraca ma się teraz skończyć?” – odparł na to Sułtanow. – „Teraz raczej zacznie się ona na dobre”. Zawirowało mi w oczach. Czegoś podobnego nie mogłem nawet podejrzewać. Tak, NKWD jeśli coś zaczyna, to długoplanowo. Teraz jednak jedno było dla mnie jasne: gra weszła w ostatnią fazę. Teraz przyjdzie wyłożyć wszystkie karty na stół. „Nie, dla mnie współpraca skończyła się definitywnie” – oświadczyłem stanowczo. – „Teraz będę w wojsku polskim, gdzie wszyscy pragną walczyć o Polskę wolną, aby móc do niej wrócić. Wojna z Niemcami jest naszą wspólną sprawą”. – „Nigdy nie wiadomo, czy wszyscy są tak bardzo oddani wspólnej sprawie” – zauważył spokojnie Sułtanow – „Zawsze mogą być w waszych szeregach szpiedzy i wrogowie wspólnej sprawy”. – „To jest oczywiście zupełnie możliwe, ale od tego są polskie władze wojskowe i jako żołnierz jestem im winien pełne posłuszeństwo”. Wykładałem moje karty na stół po kolei, lecz dla Sułtanowa problemów nie było: „To zrozumiałe. Oczywiście będziesz miał twój polski przełożony” – Zrobiłem minę zdziwioną, więc Sułtanow prędko wyjaśnił: „Oczywiście do tych zadań, co do których podpisałeś zobowiązanie” – „Ale jako żołnierz polski nie mogę mieć przełożonych obcych!”. Podczas gdy we mnie kipiało coraz bardziej, mój przedmówca był jak najbardziej spokojny. Jak kamień. Albo może udawał? „Ależ twoim przełożonym będzie oficer polski, z którym musisz nawiązać kontakt” – „A tak? Ale ten oficer będzie działał w kontakcie z wami, a nie z naszym dowództwem?” Teraz i Sułtanow został zmuszony do gry w otwarte karty: „To oczywiste” – odparł. – „To znaczy, jeśli ja będę coś robił poza plecami moich przełożonych, to jak oni się o tym dowiedzą...” – „to cię rozstrzelają” – dokończył moją myśl Sułtanow. Ale to była już jego ostatnia karta. Ja też innych nie miałem, lecz we mnie już od dawna zapadło postanowienie. „Psie podły, niedoczekanie twoje. Jak chcesz to możesz mnie teraz zamknąć, ale dla mnie ta twoja «współpraca» jest skończona raz na zawsze” – myślałem w rozgorączkowaniu, a głośno oświadczyłem krótko: „Nie, ja zdrajcą nie będę!”. Teraz Sułtanow zaczął tracić cierpliwość: „Uważaj co mówisz i z kim masz do czynienia” – wycedził przez zęby. – „Ja ci tylko mówię, że jak przyjedziesz do twojego oddziału, w ciągu trzech, czterech dni musisz nawiązać kontakt z twoim przełożonym. A teraz uważaj tylko co ci powiem. Napisziesz list...”

Sułtanow zaczął tłumaczyć, jak mam się skontaktować z tym polskim oficerem na ich usługach. W mojej głowie jednak tak huczało, że nad tym co on mówił nie mogłem się skupić. Zresztą wcale nawet nie próbowałem – dla mnie istniała tylko jedna alternatywa: teraz koniec, koniec, niech mnie zamknie, niech zrobi ze mną co chce, ale ja z nim i z jego „polskim oficerem” nie chcę mieć nic wspólnego. Słyszałem pojedyncze słowa szyfru kontaktowego, ale nie usiłowałem ich nawet kojarzyć razem ze sobą. Sułtanow tymczasem kończył swój wykład wprowadzania w tajniki zdrady: „Tak przygotowany list, podpisany twoim kryptonimem, wrzucisz do publicznej skrzynki pocztowej” – „Nie napiszę i nie wrzucę” – wrzasnąłem. Byłem całkiem zrezygnowany, więc mogłem sobie teraz ulżyć wybuchając i rezygnując z dotychczasowej maski. „Jeszcze raz ostrzegam cię. Nawet w wojsku możemy cię odnaleźć. Radzę ci więc, zrób wszystko jak ci powiedziałem”. Dla Sułtanowa jego zadanie się skończyło. Dla mnie też. Uciałem więc krótko: „Zobaczę jeszcze co zrobię”. Sułtanow pożegnał mnie sucho i wyszedł. Wyszedł i nie zaarrestował mnie.

## W WOJSKU

Nasz obóz wojskowy znajdował się w miejscowości Gorczakowo<sup>35</sup>. Skąd ta tak bardzo słowiańska nazwa w tamtej rdzennie azjatyckiej, południowej części sowieckiego państwa, niewiele mnie interesowało. Miałem inne, gorsze zmartwienia, które zagłuszały radość ze wstąpienia do polskiej armii. Ważyłem bowiem w myślach wydarzenia minionych dni, a szczególnie żądanie Sułtanowa nawiązania kontaktu z moim „przełożonym”. Tym przewidzianym przez niego oczywiście. Wiedziałem, że muszę być przede wszystkim lojalnym Polakiem i żołnierzem, i że tylko w ten sposób pozbędę się ciężaru przytłaczającego duszę. Tak więc postanowiłem żądanie mojego „przyjaciela” z NKWD spełnić w ciągu najbliższych kilku dni. Zgodnie z tym, jak on sobie tego życzył – nawiązać kontakt z moim przełożonym. Ale nie z tym z ramienia tej zohydzonej bolszewickiej instytucji, tylko z przydziału przez polskie władze wojskowe<sup>36</sup>. A co by było, gdyby ten przełożony z przydziału

---

35. Gorczakowo (po uzbecku: Yangi Marg‘ilon) to miejscowość w regionie Fergana w Uzbekkiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Od stycznia 1942 roku formowała się tam 9. Dywizja Piechoty Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR.

36. W 1943 roku T. Wojnarski raportował: „Gdy zostałem zwolniony, żyłem w Uzbekistanie, gdzie miałem ciekawe przejścia w związku z usiłowaniem wciągnięcia mnie do szpiclowania Polaków i donoszenia do NKWD. W tej sprawie złożyłem już relację w odpowiednie ręce” – zob. Świadectwo Tadeusza Wojnarskiego...

był akurat „przełożonym” z woli NKWD? Bo przecież między polskimi oficerami musieli być tacy, których NKWD sobie upatrzyło i nie wiadomo jakimi podłymi sposobami pozyskało dla swoich celów. I znów ciarki przechodziły mnie do szpiku kości, ale czy miałem jakąś inną możliwość? Zataić całą historię? A jeśliby się wydało? I skąd pewność, że taka zacna jak NKWD instytucja nie zechciałaby się na mnie zemścić i donieść o moich z nią powiązaniach? Co wtedy?

Gdy takie myśli kłębiły się w mojej głowie, pociąg pędził w kierunku tego tak nietypowo po uzbecku brzmiącego Gorczakowa. Była jeszcze noc, gdy dotarł do tej tajemniczej stacji. Śnieg leżał grubą warstwą wokoło, widać okolica była zimniejsza niż w bardziej na północ położonym Namanganie. Mróz skrzypiał pod nogami, gdy maszerowaliśmy w kierunku obozu. Gdy do niego dotarliśmy, ulokowano nas w namiotach, w których nie było żadnego ogrzewania, ani nawet koców. Tylko sienniki leżały na gołej ziemi. Aby do rana... Legliśmy jeden blisko drugiego, na wzór owiec, aby grzać się wzajemnie i usnęliśmy znużeni podróżą i wrażeniami. Gdy o świcie rozległ się dźwięk pobudki, wstaliśmy żywo i nie musząc się ubierać, bo spaliśmy tak jak staliśmy, pomaszerowaliśmy w kierunku, z którego dochodził podrywający głos trąbki. Już świtało i oddziały wychodziły na poranną gimnastykę. Co nas ta gimnastyka mogła obchodzić? Najpierw musieliśmy się zameldować, dostać przydziały. Najpierw chyba należało załatwić wszystkie formalności z tym związane. Maszerowaliśmy więc w kierunku budynku, w którym zapewne znajdowało się dowództwo. Właśnie wyszedł z niego jakiś porucznik i zawołał gromkim głosem na nas: „A co to za wojsko i dlaczego się nie gimnastykuje?” „Wojsko” było wprawdzie szaczkowym mianem, na które w naszych łachmanach nie bardzo zasługiwaliśmy, ale że po nocy byliśmy nieźle zmarznięci, więc ten szaczk nas zbytnio nie przejął. A że ja zawsze należałem do tych, co to zwykli szybko odpowiadać, więc palnąłem, że my dopiero co przyszliśmy, że jesteśmy zmarznięci i że musimy zostać najpierw przyjęci, a dopiero potem będzie mowa o gimnastyce. Oficer obrzucił mnie piorunującym spojrzeniem i kazał się rozbierać do gimnastyki. Domyślałem się, że to był mój przyszły dowódca... Taki brutal! I temu mam się zwierzyć z moich najgłębszych myśli i trosk? A może on sam jest agentem NKWD? Taki typ! W głowie mi huczało, ale posłusznie zdjąłem kurtkę i wraz z innymi zacząłem biegać pod komendę domniemanego dowódcy, który zadał sobie trud przeprowadzenia z nami pierwszej gimnastyki wojskowej. Okoliczności były raczej mało przyjemne, ale intensywny ruch rozruszał i rozgrzał zmarzłe kości rzeczywiście. Później była modlitwa poranna, a potem śniadanie. Dostaliśmy chleb i kawę i to nas najbardziej pocieszyło. Doszło też do formalności

ewidencyjnych przydziałów do baterii, do kąpeli pod prysznicami i do tego największego wydarzenia: fasunku mundurów, solidnych, ciepłych, nowiutkich angielskich mundurów, które w mgnieniu oka przemieniały dziada w żołnierza. Oczywiście dostaliśmy też koce, bieliznę, buty, szcztokę do nich i do tych pięknych mundurów i wszystko co do wyposażenia żołnierskiego należało, a co napawało nas radością i dumą. Zawszone ciuchy zabrano nam bezpowrotnie, czego nikt chyba nie żałował. Radość z nadejścia tej chwili nie umniejszała jednak troski, która jak cierń tkwiła w głębi duszy, i drążyła ją jak rak...

## MELDUNEK

W tryb żołnierskiego życia wciągaliśmy się szybko. Z powodu mojej dziurawej nogi nie zabiegałem o jakieś specjalne przywileje czy zwolnienia z zajęć. Chodziłem na opatrunki, a że bólu nie odczuwałem i gorączki też nie było, więc ani mnie na zwolnieniu nie zależało, ani lekarz z daniem takiego się nie spieszył. „Przy dobrym wyżywieniu rana szybko się zagoi” – pocieszał. Wikt jednak, choć w porównaniu, z tym, jaki był moim udziałem do tej pory, można było nazwać wyśmienitym, nie był taki, aby to pocieszenie mogło rychło nabrać form konkretnych. A że rany chroniczne nie mają zwyczaju szybko się goić, więc uzbrojony w cierpliwość nie zwracałem nawet uwagi na nogę. Tym bardziej, że myśli zaprzątnięte były inną raną, tą bez porównania głębszą, boleśniejszą i nieporównanie bardziej niepokojącą. A żeby ją wyleczyć, musiałem wylać zawartość serca mojemu dowódcy. Tylko uczciwa „spowiedź” mogła przynieść ukojenie dla duszy.

Pomiędzy oficerami naszego pułku<sup>37</sup> widywałem jednego, który wydawał mi się być szczególnie sympatyczny. Zawsze łagodnie, choć melancholijnie uśmiechnięty, małomówny, bez tego „dryła” wojskowego, którym mnie zraził ów porucznik, co nas na powitanie tak musztrował. „Szkoda, że to nie ten jest moim dowódcą” – myślałem. „Do tego miałbym większe zaufanie”. Ale aby być konsekwentnie lojalnym żołnierzem, zgodnie ze zleceniem Sułtanowa, tylko w przeciwnym duchu, postanowiłem pójść do dowództwa pułku, aby

---

37. T. Wojnarski był przydzielony do 9. Pułk Artylerii Lekkiej (9 pal). Pułk był formowany od stycznia 1942 roku w miejscowości Górczakowo, na terytorium ówczesnej Uzbeckiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, w składzie

9. Dywizji Piechoty. Dowódcą pułku był ppłk Zenon Staszek – M. Szczurowski, *Artyleria Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w II wojnie światowej*, Toruń 2001, s. 206.

poszukać mojego, niezbyt sympatycznego przełożonego. Serce znów tłukło się w piersi, bo sprawa była sama w sobie denerwująca, a niepewność co do osoby dowódcy miała z całą pewnością uzasadnienie. Ilu z naszych oficerów dało się wciągnąć do takiej haniebnej „współpracy”? Przecież byli tylko ludźmi, a metody NKWD werbowania do niej zbyt dobrze poznałem. Gdyby wybraniec moich zwierzeń okazał się być jednym z takich ludzi, byłbym bezpowrotnie zgubiony. Nie mając więc żadnej innej rady jak tylko u sił wyższych, poleciwszy się z głębi serca „Matce dobrej rady”, wszedłem do budynku.

Mój zadzierzysty porucznik wychodził akurat z którychś drzwi. „Czego chcecie?” – zapytał szorstko, gdy zobaczył, że kieruję się do niego. Zsalutowałem służbiście i oświadczyłem: „Panie poruczniku, mam coś bardzo ważnego do zameldowania”. – „Oho! To chodźcie ze mną”. Mój domniemany dowódca poprowadził mnie teraz do drzwi, na których był przyczepiony napis: „Adiutant dowódcy pułku”. „To pan porucznik jest adiutantem?” – zapytałem. „A co wyście myśleli?” – „Ja myślałem, że pan porucznik jest dowódcą mojej baterii” – „Nie, nie. Twoim dowódcą jest porucznik K”. Akurat ten sympatyczny, ten, do którego bym miał najwięcej zaufania! Więcej w każdym razie, jak do tego służbisty. Ale teraz było już za późno. Miałem po prostu do czynienia z wyższym stopniem dowodzenia, a ten – pierwotnie groźnie wyglądający – porucznik nie wydawał się teraz być wcale taki groźny. „O co właściwie ci chodzi?” – zapytał rzeczowo. Nie owijając w bawełnę wywaliłem z serca całą jego przygnębiającą zawartość. Adiutant słuchał teraz bardzo uważnie, a gdy skończyłem, przeszedłszy na całkiem inny ton, zapytał: „I co właściwie powiedział ci Sułtanow na pożegnanie? Jak miało wyglądać to nawiązanie kontaktu z «przełożonym» z ramienia NKWD?” – „Byłem tak zdenerwowany, że nie słuchałem dokładnie, co mi mówił. Nawet świadomie wolałem nie skupiać się na jego żądaniach. Pamiętałbym tylko fragmenty...” – „Synu kochany” – adiutant poklepał mnie po ramieniu i przeszedł na całkiem już serdeczny ton – „dobrze żeś zrobił, że złożyłeś ten meldunek. W najbliższych dniach szef pułku spisie z tobą szczegółowy raport z całej historii i dopomoże ci w zrekonstruowaniu owej formułki nawiązania kontaktu. Może nawet spróbujemy kontakt taki nawiązać...”. Mnie znów oblało uczucie gorąca, bo w gruncie rzeczy chciałbym tę szarpiącą nerwy aferę zakończyć raz na zawsze. Ale jeśliby miało dojść do „współpracy” przynoszącej korzyść sprawie polskiej, wtedy rzecz miałaby się inaczej. Wtedy by odpadły wywołane wstrętem i oburzeniem hamulce wewnętrzne. Pomimo to jednak taka służba wywiadowcza nie byłaby ani przyjemna, ani odpowiadająca mojemu charakterowi. Tego rodzaju emocje nie były w moim guście. I gdy mówiłem to samo Sułtanowowi, byłem szczery i wcale go nie okłamywałem.



## RAPORT

W Uzbekistanie zaczynała się po trochu budzić wiosna. Dłuższe i cieplejsze dni wyrównywały nieco chłód często jeszcze mroźnych nocy. Choć obóz nasz znajdował się w południowej części kraju Związku Sowieckiego, to jednak klimat kontynentalny, wysokie położenie i zapewne bliskość gór, tak wczesnego ciepła, jakiego od przyjazdu z pod-polarnych okolic z niecierpliwością wyglądaliśmy, nie chciały szczerze ofiarować. Arykami (kanały nawadniające) jednakże przebiegała od czasu do czasu woda – znak, że zamieszkali w okolicy obozu niewidoczni dla oka Uzbegy zaczęli już nawadniać pola uprawne i ogrody.

Tego dnia wieczorem miałem składać mój raport szefowi pułku<sup>38</sup>. Teraz czekałem na przyjęcie u lekarza z moją flegmoniczną nogą, siedząc na zewnątrz doktorskiego baraku i ciesząc się ciepłymi promieniami słońca i ciekawym widokiem, jaki się roztaczał przede mną. W powietrzu wisiała lekka mgiełka, lecz niebo było delikatnie błękitne. Chmury powyżej linii mgiełki układały się w fantastyczne kształty, jakby górskich szczytów. A gdy się tak w ten nadzwyczajny widok z upojeniem wpatrywałem, zaczynałem wpadać w wątpliwość, czy to były chmury, czy może rzeczywiste góry...

Wszak w tej okolicy na południu musiał być już blisko potężny masyw Pamiru<sup>39</sup>. I im wnikliwiej ten nadzwyczajny widok obserwowałem, dochodziłem do pewności, że nie były to żadne chmury, tylko prawdziwe w mgiełce roztopione, potężne, niebotyczne szczyty Pamiru. W duszy panował błogi spokój, bo choć tego wieczora miał mieć miejsce następny akt mojego dramatu, to po zrzućeniu głównego ciężaru z serca, nie pozostawało w nim nic z niepokoju, jaki wywoływało każde spotkanie z Sułtanowem. Teraz zalegał wewnątrz duszy błogi spokój, podobny do tego jaki odczuwa grzesznik, którego nawiedziła łaśka dobrze odprawionej spowiedzi, a kontemplacja wielkości Bożej w pięknie i ogromie natury pokój ten tylko potęgowała.

\* \* \*

Podeszły już wiekiem starszy ogniomistrz miał w sobie coś z dobrotliwego taty. Pytał mnie o szczegóły spokojnie, bez intencji złapania mnie na jakichś nieścisłościach. Zresztą chodziło właśnie nie o złapanie mnie na czymś, lecz

---

38. Prawdopodobnie ppłk. Zenonowi Staszewi.

39. Pamir – łańcuch górski w Azji Centralnej; dalej rozchodzą się z niego góry Hindukusz, Karakorum (następnie Himalaje), Kunlun i góry systemu ałajskiego, łączącego się z Tienszanem.

o rekonstrukcję całości historii „współpracy” z NKWD, a szczególnie owego zaszyfrowanego planu nawiązania kontaktu z mocodawcą w mundurze polskiego oficera. Bo z częścią raportu z okresu namangańskiego nie było problemu. Szczegóły pamiętałem dobrze, a szef je protokołował. Trudności nastąpiły dopiero, gdy przyszło do zlepienia do kupy resztek z „pożegnania”, pozostałych w pamięci, zablokowanej świadomie na skutek postanowienia bezkompromisowego zamknięcia „wielkiej gry”. Po nitce do kłębka, na zasadzie analizy słów Sułtanowa, zapamiętanych tylko fragmentarycznie, zdołaliśmy jednak zrekonstruować chytrą metodę kontaktowania się agentów NKWD w armii polskiej. Szef pułku, stary wyga, logikę jej prędko uchwycił, a ja tylko musiałem stwierdzać, że to właśnie tak było. Przede wszystkim zapamiętałem sobie, że mój pseudonim brzmiał „kapral”. Nie nasunął on mi początkowo myśli o dalekowzroczności zamiarów Sułtanowa wobec mnie. Dopiero teraz zacząłem rozumieć diabelską logiczność powiązań. Kapral – stopień wojskowy – miałby być szczególnie aktualny dopiero, i to głównie, w wojsku... Sama zaś formuła nawiązania kontaktu z „przełożonymi” była zupełnie prosta. Po przybyciu do mojego oddziału miałem napisać krótki liścik, bez żadnej znaczącej treści i podpisać go pseudonimem. Nazwisko adresata na kopercie miało być moim nazwiskiem rzeczywistym, adres zaś miał zawierać dane zaszyfrowane mojego oddziału i pododdziału. List miał być wysłany do najbliższego miasta obłastnego, prawdopodobnie Fergany. Ulica miała się nazywać tak, że w żadnym mieście nie mogłoby jej brakować, na przykład aleja Stalina czy Lenina, albo Rewolucji Październikowej... To nie było ważne. Ważny był numer ulicy: to był numer mojego oddziału, numer zaś mieszkania – numer pododdziału. Do tego wszystkiego miało być z boku dopisane „do włastrowania”, czyli odpowiednik naszego „poste restante”. Tak spreparowany list miałby być wrzucony do jakiejś publicznej skrzynki pocztowej poza obozem. Sprawą mojego „przełożonego” było odebranie go na poczcie i odnalezienie mnie pod tak zakamuflowanym adresem. Do próby nawiązania rzeczywistego kontaktu jednak nigdy nie doszło, czym wcale się nie martwiłem, bo to nie tylko nie było w moim guście, ale mogło pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki. Nigdy nie mogłem mieć pewności, że NKWD zrezygnuje z raz schwytej ofiary i że ją zostawi w spokoju.

## WYGNANIE Z RAJU

Dnie, coraz dłuższe i cieplejsze, płynęły szybko. Ćwiczenia wojskowe, musztry – od najcięższych byłem zwolniony – stawały się ich treścią, ale przełożeni

wyraźnie oszczędzali sił tych doszczętnie wyczerpanych ludzi. Wyżywienie, choć skromne, po długiej głodówce wydawało się być wyśmienite. Tylko żeby tak ze dwa razy tyle! Wszyscy byliśmy wycieńczeni, a wielu z nas było wręcz chorych. Sporo starszy wiekiem plutonowy z mojego namiotu z powodu braku witamin cierpiał na kurzą ślepotę: wieczorem, nawet przy lampie naftowej, nic nie widział. Nie tylko on jeden zresztą...

Ale jego akurat poznałem i pamiętam, jak wciąż marzył: „Żeby tak dostać choć kawałek świeżej cielejącej wątróbki...”. Niestety życzenia mojego plutonowego pozostały do końca pobytu na terenie ZSRR w sferach marzeń, a później losy nas rozdzieliły. Na początku marca 1942 roku rozeszła się wiadomość o ewakuacji naszych oddziałów ze Związku Sowieckiego. Najpierw była to pogłoska, której prawdziwości nawet oficerowie nie potrafili potwierdzić. Wiadomo było jednak, że rząd polski w Londynie pertraktuje z bolszewikami o wyprowadzenie nas z ZSRR. Takie wiadomości radowały wszystkich bezgranicznie, bo choć to już w polskim wojsku, między swoimi, ale wciąż na terenie kraju, w którym niepodobna przewidzieć, co się stanie jutro – zależnie od humoru „ojczulka” Stalina. Dopóki przebywaliśmy na terenie sowieckim, pozostawał zawsze jakiś cień niepewności co do tego właśnie „jutra”. A dla mnie całkiem już szczególnie dopiero wyjazd z Rosji oznaczałby ostateczne zakończenie „wielkiej gry”. Pogłoski przybierały jednak coraz większych cech prawdopodobieństwa, a w niecałe półtora miesiąca od przybycia do Gorczakowa wyszły konkretne rozkazy dotyczące przygotowań do wyjazdu. Do wybrzeży morza Kaspijskiego mieliśmy pojechać pociągiem, stamtąd zaś do Persji statkiem. Nadszedł wreszcie ten w napięciu oczekiwany dzień – załadowano nas do pociągu, który ruszył w kierunku pełniejszej i pewniejszej wolności. Droga wiodła przez tereny republiki tadżyckiej, gdzie ciepło Uzbekistanu jeszcze nie dawało się odczuwać. Pustynne niemal, rozległe tereny pokryte były wciąż jeszcze bielą, a wagony trzeciej klasy, którymi podróżowaliśmy, były nieogrzewane. Racje jedzenia były także skąpe – podobno dowództwo oszczędzało i robiło zapasy żywności. Ale kto mógł to naprawdę wiedzieć? A choć podróż w takich warunkach z całą pewnością nie była sielanką, nic nie było w stanie odebrać nam radości z wytęsknionego exodusu z ziemi niewoli. Czwartego dnia dotarliśmy do Krasnowodzka, miasta portowego nad Morzem Kaspijskim. Po różnych perypetiach z bolszewikami, o których w zasadzie nic nie wiedzieliśmy, załadowano nas na statek. Później chodziły słuchy, że władze sowieckie zarekwirowały zapasy żywności robione „na wszelki wypadek” kosztem żołnierzy w czasie podróży. Zabrano więc ponoć owe zaoszczędzone chleby i kiełbasę, podłą, bo podłą, ale kiełbasę. Z kolei na podróż morską wydano suchary i śledzie. Czy to było złośliwą, ostatnią szykaną, czy typową

sowiecką bezplanowością, tego nikt nie mógł zgadnąć. Nie dość, że załadowano nas na statek jak śledzie, to jeszcze wyfasowano nam odpowiedni prowiant. A o wodę na statku nie było łatwo. Jedno, że było jej mało, a drugie, że przez masy ludzkie na pokładzie trudno było dopchać się do cysterny. Głód zmuszał do jedzenia sucharów i śledzi, a pragnienie trawiło wewnętrznego. Język i całe wnętrze skołowaciało tak, że ani smaku już się nie czuło, ani nawet jeść się nie chciało. Tylko pić i pić! Ale nawet ta „ostatnia posługa” szlachetnych gospodarzy nas nie przerażała, bo z każdą minutą piekącego wnętrza pragnienia zbliżał się ostateczny kres tego chimerycznego epizodu życia. Noc na pokładzie była chłodna, ale nie tak zimna jak w pociągu. Zresztą zbici w stado jakby barany, grzaliśmy się wzajemnie. Drugiego dnia po południu statek dobił do perskiego portu Pahlevi<sup>40</sup>. Fizycznie znękanymi, ze skołowaciami językami, zanosiliśmy ku niebu wdzięczne westchnienie radości. „Wygnanie z raj” stało się rzeczywistością!<sup>41</sup>

## W PERSJI

Ciepłe, perskie słońce towarzyszyło zejściu na ląd tego jednego z pierwszych transportów polskiej armii ewakuowanej ze Związku Radzieckiego na Środkowy Wschód. Już 28 marca 1942 roku znaleźliśmy się na ziemi wolnej, nie wiedząc jeszcze całkiem, czy to był sen, czy tak nieprawdopodobna rzeczywistość. Trudno było nie wspominać owych chwil zakazanego wyglądu przez zakratowane okno odeskiego więzienia poprzez nieznacznie rozepchaną patykami szczelinę pomiędzy deskami „kosza” odgradzającego ludzi w celi od świata więzienia zewnętrznego. I łagry równałyby się tylko sennym majakom,

---

40. Szlak ewakuacji biegł koleją do portu w Krasnowodzku, gdzie zorganizowano bazę przedładunkową. Następnie trasa odbywała się drogą morską (statkami należącymi do ZSRR) do portu irańskiego w Pahlevi. Ewakuacja miała miejsce na pokładach starych statków, które nie były przystosowane do tego typu operacji, czyli transport dużych grup cywilów. Uwzględniając okoliczności i charakterystykę osób będących na pokładzie – dzieci, osoby starsze, ranni, schorowani – statek nie był zupełnie dla nich przystosowany. Był za mały (panowała ciasnota) oraz nie spełniał podstawowych warunków do zapewnienia higieny dla przewożonych osób. Pierwszy transport na tym szlaku odpłynął 24 marca. Akcją zakończono 4 kwietnia 1942 roku – zob. W. Essigman, *Kompania sanitarna 6 Dywizji Piechoty i 5-ty ewakuacyjny Szpital Polowy wojsk polskich w ZSRR, na Bliskim Wschodzie i we Włoszech (1941–1946). Wspomnienia osobiste*, „Archiwum Historii i Filozofii Medycyny” 1997, t. 61, z. 2, s. 151.

41. 24 marca 1942 roku rozpoczęła się ewakuacja (I etap) Armii Polskiej ze Związku Radzieckiego. Do listopada 1942 roku wysłano do Iranu ponad 115 tys. osób, w tym około 78,5 tys. Żołnierzy oraz 37 tys. Cywilów. Wśród ewakuowanych było niemal 18 tys. Dzieci – J. Wróbel, *Uchodźcy polscy...*, s. 12 i n.

gdyby nie ta wciąż otwarta, flegmoniczna rana w nodze, która przypominała, że władza NKWD w tamtym kraju niewoli była bezgraniczna. Teraz pozostała ona po drugiej stronie morza. I Sułtanow też, jęczmienno-oki pies, który w imieniu tej władzy chciał mnie skundlić i sprawić, że każdy dzień stawał się nieznośniejszy od poprzedniego. Wielka gra dobiegła ostatecznie do końca. Pragnienie wolności zostało spełnione. Pragnienie wody po zejściu ze statku nie przedstawiało żadnego już problemu.

Zaprowadzono nas do obozu ewakuacyjnego, zorganizowanego przez armię angielską. Wchodziliśmy pod opiekę majestatu brytyjskiego. I aby nie dopuścić do przeniesienia zarazy z innego świata, po gruntownej kąpeli pod prysznicami, nie oddano nam nowych jeszcze mundurów. Wszystko zostało spalone, a całe wojsko od stóp do głów na nowo odziane. Uważaliśmy to za grzeszną rozrzutność, bo przecież po tamtej stronie morza zostało tylu, którzy by za szczyt szczęścia uważali stać się właścicielami tych „starych” mundurów. A też i bielizny, bynajmniej nie zawuszonej. Ale Anglicy byli w metodach higieny bezkompromisowi. Nam było ostatecznie wszystko jedno. Nawet to „całopalenie” nie mogło umniejszyć radości wolnych serc. Dlatego też, nakarmieni angielskim prowiantem, umieszczeni w namiotach, mogliśmy zasnąć pod nowymi kocami snem szczególnie kojącym. Nazajutrz pobudka, poranna gimnastyka i wspólna żołnierska modlitwa. Żadnych jednak innych, specyficznie wojskowych zajęć, tak, że można było dużo rozprawiać o przeżyciach ostatnich dni. Oczywiście według znanego przysłowia „głodnemu chleb na myśli”, ważną pozycję w rozważaniach zajmowała sprawa wiktów. Bo przejście na kuchnię angielską było też związane z potrzebą radykalnego przestawienia się organizmu. Chleb wojskowy był biały jak wata i jak wata pulchny. Zły on nie był, ale nam wydał się zbyt delikatny, mało sycący, a co najważniejsze – bochenek na trzech wygłodniałych żołnierzach, to było zdecydowanie za mało. Zapomnieliśmy, że nie samym chlebem człowiek żyje i że nasze żołądki były rozepchane pokarmem jałowym. Nawet tym otrzymywanym w wojsku. Nic więc dziwnego, że racja dostateczna dla żołnierza angielskiego, który wyszedł z normalnych warunków życiowych, dla nas była niewystarczająca. Kuchnia żołnierska jeszcze nie działała, więc cały prowiant otrzymywaliśmy z puszek. Mięso nazywało się „cornet-beef” i puszka była na trzech. Tak jak chleb. Dobry był ten „beef”, tylko że po zjedzeniu porcji na obiad rozglądaliśmy się, co by jeszcze można było „skombinować”. Ale kombinować nie było potrzeba, bo już po południu zwołano zbiórkę do wypłaty żołdu. W Rosji nie dostawaliśmy żadnych pieniędzy, więc ten nowy zwyczaj przyjęliśmy z wielkim zadowoleniem, które było tym większe, że wypłata, nazwana „a konto”, wynosiła 10 tomanów. Nieco później dowiedzieliśmy się, że żołd wynosił 1 funta na dekadę.

A funt liczył 14 tomanów<sup>42</sup>. Jaka to była kupa pieniędzy, chcę pokazać na kilku tylko przykładach. Otóż na tomana składało się 100 kranów, a za jednego kрана można było dostać wówczas od handlarzy, którzy zjawiali się masami koło obozu, pięć do sześciu jaj gotowanych na twardo, za 2–3 kranów – dużą, smakowicie pieczoną rybę. Z kolei na targu w Pahlewi kilo chałwy kosztowało 6 kranów. Chleb nas interesował mniej, bo Persowie wschodnim zwyczajem sporządzali go w formie placków, owych biblijnych podpłomyków, z którymi zapoznaliśmy się częściowo już w Uzbekistanie. Tylko że uzbeckie „lepioszki”, w porównaniu z wielkimi jak płachta plackami, wywieszonymi na straganach lub noszonymi „przez rękę” przez brudnych handlarzy, były o wiele apetyczniejsze. Stąd też nasze zainteresowania koncentrowały się głównie na jajkach, pokarmie sycącym i pożywnym, co spowodowało, że po dwóch czy trzech dniach ceny tego życiodajnego towaru poszły w górę podwójnie. Ano, prawo wolnego rynku – podaży i popytu – miało tu pełne zastosowanie. Czy ten nagły nadmiar produktów spożywczych i środków nabywczych był pod każdym względem korzystny, to inna sprawa. Ludzie zbyt wygłodzeni, zaczęli się tak objadać, że wielu chorowało, nieraz nawet poważnie. Ich żołądki niedostosowane do takiego i tak obfitego pokarmu musiały protestować i skręcać się ze względu na brak umiaru ich właścicieli. Mnie natomiast po-kaspijskie skołowacenie języka i podniebienia wyszło chyba na dobre. Po prostu nie mogłem tyle jeść, bo jamę ustną miałem tak obolałą, że i smaku nie mogłem w pełni odczuwać i ochota na owe przysmaki nie była zbyt duża. Jeśli kupowałem też to i owo, to bardziej z ciekawości i pragnienia „korzystania” z nowych możliwości życiowych, niż z prawdziwej potrzeby organizmu. Objadać się, całe szczęście, nie mogłem, kończyło się tylko na próbowaniu owego wszelakiego dobra. Zresztą dołączyły się jeszcze inne dolegliwości, skutek dotychczasowego wyżywienia, pozbawionego niemal zupełnie witamin: wrzody, które zaczynały się otwierać na różnych częściach ciała, szczególnie na służących do siedzenia...

## TEORIA WZGLĘDNOŚCI

Tak więc na samej tylko części ciała przeznaczonej z natury do siedzenia miałem przynajmniej pół tuzina wrzodów. Po krótkim, kilkudniowym postoju w Pahlewi, załadowano nas w ciężarowe samochody armii angielskiej. Wtedy

---

42. Irański Toman – „jednostka dziesięciu tysięcy” to nadjednostka urzędowej waluty Iranu – Riala. Jeden toman jest odpowiednikiem 10 riali.

nie wiedzieliśmy nawet, że to był pierwszy transport żołnierzy polskich, uratowanych z Rosji – zadatek przyszłego 2. Korpusu, który miał być uformowany i wyszkolony na Środkowym Wschodzie, głównie na terenie Palestyny – odległej o około dwóch tysięcy kilometrów. Jechałem więc na moich wrzodach, siedząc to jednym półgębkiem, to drugim, to w pozycji kucanej, obolały a tak szczęśliwy, że nawet tuzin podobnych wrzodów nie byłby w stanie mojej radości umniejszyć. A radość wzrastała w miarę oddalania się od „raju” i zbliżania do „ziemi obiecanej”. Kto nie zaznał sam, na własnej skórze, błogosławieństw sowieckiego rajskiego pobytu, ten nie jest w stanie takich uczuć zrozumieć.

\* \* \*

Persja jest krajem dzikich gór. Jechaliśmy więc krętymi serpentynami, mając przepaściste skalne zbocza raz po jednej, raz po drugiej stronie samochodu. Widziane były one zawsze z tyłu, przez rozchylone plandeki, już po ich minięciu. Roślinności prawie żadnej, żadnych ludzkich osad, tylko kamieniste, fantastyczne w kształtach pustkowia. A że droga była nie tylko kręta, ale też i wyboista, ludzie zaopatrzeni we wrzody na miejscu przeznaczonym do siedzenia skazani byli na szczególne rozkosze. Ilu takich szczęśliwców było pomiędzy nami, nie mogłem wiedzieć. Z całą pewnością nie tylko ja jeden. Każdy z nas wiozł ze sobą jakieś „rajskie” pozostałości, tylko nikt o nich nie mówił, bo ogarniała go zwyczajna, ludzka, bez cudzysłowu, r a d o ś ć. Tak – uczucia i odczuwanie mogą być względne...

Pod wieczór zjechaliśmy szczególnie krętymi serpentynami w rozległą równinę. Gdy łańcuchy górskie pozostały na horyzoncie, transport zatrzymano i zarządzono postój na nocleg. Teraz dowiedzieliśmy się, że dopiero ta część irańskiego kraju znajdowała się całkowicie poza sferą wpływów i kontroli sowieckiej. Właściwie nie odczuwaliśmy żadnej różnicy, nie wiedząc nawet, że część północna, a więc i Pahlewi, zaszczycone były taką protekcją. Tym niemniej w obecnej, zwiększonej świadomości bezpieczeństwa pełniejszą piersią wchłanialiśmy perskie powietrze. Psychologiczne bariery powodują widać względność uczuć reakcji człowieka na okoliczności zewnętrzne. Nic więc dziwnego, że ten nocleg na naprawdę całkiem wolnej ziemi radość naszą tak potęgował. A jak te różne „protekcje” sowiecką i angielską odczuwali sami Persowie? Czy to by nie było podstawą do odczuwania innej względności?<sup>43</sup>

---

43. Należy wspomnieć, że w sierpniu i wrześniu 1941 roku miała miejsce brytyjsko-sowiecka inwazja na formalnie neutralny wówczas Iran. Było to wspólne działanie zbrojne aliantów przeciwko Iranowi. Brytyjczycy obawiali się wówczas wpływów niemieckich na tym terenie. Na skutek interwencji – Mohammad Reza Pahlawi podpisał z Brytyjczykami i Sowietami pakt trójstronny

Niemniej, my byliśmy napełnieni naszą radością i mieliśmy do niej najpełniejsze podstawy, do których dołączał się jeszcze inny fakt: nazajutrz, 5 kwietnia 1942 roku, była Wielkanoc. Po mszy św. ze wzruszeniem i nabożeństwem wysłuchanej na placu wytyczonym przez szeregi ustawionych samochodów, i po wojskowym posiłku wyruszyliśmy w dalszą podróż. Drogi prowadziły obecnie przez tereny mniej górzyste, w kierunku Iraku, kraju znajdującego się również pod kontrolą angielską, Tylko charakter pustynny krajobrazu nie zmienił się. Nawet, gdy pod wieczór stanęliśmy nad jakimś jeziorkiem o ciepłej i mętnej wodzie. Od celu podróży – Palestyny – dzieliła nas jeszcze pustynia syryjska, pokryta po części czarnymi, jakby bazaltowymi głazami, po części bujną jak step zieloną trawą. Letnie słońce spali ją później doszczętnie, ale teraz była wiosna, a my zbliżaliśmy się ku „ziemi obiecanej”! W naszych sercach mieliśmy też wiosnę... Jeszcze jeden, czy dwa noclegi w uciążliwej podróży na wrzodach, a jej kres dodawał sił...

## W PALESTYNIE

Skończyła się wielka podróż, zamykająca rozdział życia wielu Polaków, którzy tej chwili doczekali. Rozdział tragiczny, na zakończenie nabrzmiały radością, że koszmarny sen, sen będący rzeczywistością, przeminął. Jeśli są wydarzenia niepojęte, rzeczywiste choć nie do wiary, to do tego rodzaju wydarzeń należy epizod bezprawnego wyrwania setek tysięcy ludzi z ich naturalnego środowiska, wtrącenia w gorsze od bydlęcych warunków bytowania, wyzysku aż do wyssania ostatnich soków życiowych, zniewolenia fizycznego i psychicznego, bezprawia w imię hasel praw i wolności ludów, wypisanych złotymi bukwami (literami) na czerwonych płachtach socjalizmu. W rzeczywistości nasza podróż się nie skończyła. To był tylko jej następny etap. Wierzyliśmy bowiem, że celem ostatecznym jest wolna Polska, wywalczona z rąk dwojakich oprawców. Tak wierzyliśmy wówczas, nie wiedząc jeszcze, że to był dopiero początek innego koszmaru: żołnierskiej komedii. Początek dramatu uczciwego żołnierza-Polaka, którego miano wykorzystać w inny sposób. Wtedy byliśmy jednak jak najlepszej myśli. Zresztą, uczciwie mówiąc, kto wtedy myślał o celach tak odległych, zwłaszcza po przeżyciach szczególnie ciężkich, dogłębnie wciśniętych

---

(w styczniu 1942 r.). W jego efekcie Iran zadeklarował neutralność, ale po stronie aliantów. W tym samym roku na terytorium Iranu wkroczyły też wojska amerykańskie. We wrześniu 1943 r. rząd irański wypowiedział formalnie wojnę III Rzeszy. Szczegółowe informacje o przebiegu tych wydarzeń można znaleźć w artykule R. Czuldy – *Brytyjsko-sowiecka agresja na Iran w 1941 roku: przyczyny, przebieg, konsekwencje*, „Przegląd Wojskowo-Historyczny”, 16 (1), 2015, s. 47–74.



w duszę? Chwilowo cieszyliśmy się każdą nowością, czyniącą z nas znów ludzi. A kwiecień w Palestynie to najpiękniejsza pora roku. Ciepło równe europejskiemu latu. Ciepło, którego tak serdecznie byliśmy spragnieni. Teraz chłoniliśmy promienie życiodajnego słońca całością naszego jestestwa. W Palestynie to akurat pora dojrzałych pomarańcz. Arabowie z osiołkami obładowanymi wielkimi worami lub koszami, zwieszającymi się dla równowagi po obu bokach poczciwych „iszaków” (osłów), krążyli tylko pomiędzy pobliskimi pardesami (sady pomarańczowe) a naszym obozem. Przejeżdżając wzdłuż rzędów namiotów obozu w Qastinie<sup>44</sup>, zachwalali wielkim głosem swój towar: „Dobra bomarańcza, kwaśna jak cholera!”. Już polscy wesołkowie zdążyli poczciwych Arabów nauczyć czegoś głupiego. Ale to był przecież tylko żart, który zaraz podchwytaliśmy i dla utwierdzenia Araba w jego fałszywej wierze pytaliśmy dla pewności: „Naprawdę kwaśne jak cholera?” – „Tak, tak! – brzmiała pełna przekonania odpowiedź. „To dawaj dziesięć pomarańcz”. Albo dwadzieścia. Bo na sztuki się nie brało. A Arab dumny ze znajomości nowego dla niego języka, utwierdzony w przekonaniu, że użył najwłaściwszych słów na najwłaściwszym miejscu, wyciągał z namaszczeniem wspaniałe, wielkie, owalne, a słodkie i soczyste owoce ze złożonych na grzbiecie osiołka worków.

Arabowie prędko nas zresztą polubili. My nie byliśmy podobni do Anglików, zadzierających nosy w domniemaniu swojej wyższości. „Bolonia dobra. Bolonia-Arabia sała-sała” (przyjaciele). Tak stwierdziliśmy w języku arabskim brak bezdźwięcznego „p”, brzmiało więc ono jak „b”. Czy te komplementy płynęły z serc, czy były tylko chwytem handlowym, trudno powiedzieć. W każdym razie towar był bardzo pożądanym. Spragnieni życiodajnych witamin, z których byliśmy do gruntu wyjałowieni, nie jedliśmy tych ogromnych jaffskich pomarańcz pojedynczo, lecz po kilka naraz. A że taka masa ich była i do tego prawie darmo: jedna pomarańcza za jednego milima. Wobec tego za funta, czyli za dekadowy żołąd – można ich było kupić tysiąc. Kto by więc sobie żałował i odmawiał tego cudownego owocu? Ponadto, okazało się, że Arabowie chętnie robili handel zamienny za papierosy. „Papirosa, papirosa?” – pytali. Za jednego papierosa dawali jedną pomarańczę. Co trzeba było więcej do szczęścia? Przecież w racji tygodniowej dostawaliśmy każdy pięć paczek po dziesięć papierosów, czyli pięćdziesiąt papierosów. W handlu zamiennym – pięćdziesiąt pomarańcz, tych wielkich, soczystych, świeżych jaffskich pomarańcz! A ja nie paliłem i nie miałem najmniejszej ochoty zaczynać. Pamiętałem męki jakie przechodzili nałogowi palacze, gdy nie mieli swego

---

44. Kastina (również: El Qastina, Qastina, Quastina) była arabską osadą w ówczesnym brytyjskim Mandacie Palestyny, w obszarze obecnej Strefy Gazy. Miejsce obecnie nie istnieje.

„szluga”. Teraz więc korzystałem dodatkowo z pomarańczowego dobrodziejstwa. Bo obok solidnego, choć prostego, ale już na polski gust przez własnych kucharzy przygotowanego wyżywienia, to obfite źródło witamin było prawdziwym błogosławieństwem palestyńskiej Ziemi Obiecanej.

## SZKOLENIE

Niedługo po przybyciu do Palestyny nasi księża pomyśleli o dziękczynnym odwiedzeniu miejsc świętych w Jerozolimie i Betlejem. Zaczęły się więc oddziałami pielgrzymki do Grobu Świętego i innych miejsc uświęconych przez żyjącego w tym kraju przed blisko dwoma tysiącami lat Pana Jezusa. On tam nauczał, cierpiał i poniósł okrutną śmierć, więc każdy cieszył się z możliwości szczerego i z głębi serca płynącego podziękowania za ocalenie właśnie w tych najświętszych dla chrześcijanina miejscach. Myśmy mieli szczęście, bo innych tysiące, setki tysięcy pozostało jeszcze na tej ziemi, którą Józef Czapski tak trafnie nazwał „ziemią niehumanitarną”

\* \* \*

Oczywiście nie przyjechaliśmy do Palestyny w celach pielgrzymki. Także nie po to, aby się odkarmić tylko i odrobić witaminowe zaległości. Tutaj mieliśmy przede wszystkim ćwiczyć się w sztuce wojennej, bo nie taniec, lecz walka stała przed nami. Przede wszystkim też nastąpiła gruntowna reorganizacja dywizji. Oddziały przybyłe z Rosji zostały teraz połączone z Brygadą Karpacką, która posiadała już znakomite doświadczenie bojowe, wslawiona była walkami w Afryce Północnej, a szczególnie obroną Tobruku. Z tych dwóch grup powstała teraz nowa Wielka Jednostka – 3. Dywizja Strzelców Karpackich<sup>45</sup>. „Deska” stała się nową rodziną pozbawionych domu ludzi. Powstały nowe pułki, nowe baterie, przyszli nowi dowódcy, nowi koledzy. Brygadczycy, których poznawało się od razu po francuskich znakach tożsamości – chromo-niklowych

---

45. Na mocy rozkazu gen. W. Sikorskiego – w kwietniu 1942 roku powołana do życia została 3. Dywizja Strzelców Karpackich na czele której stanął gen. Stanisław Kopański (znany wśród żołnierzy dowódca Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich wslawionej chociażby walkami w obronie Tobruku). W skład dywizji weszli – obok żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich – polscy żołnierze przybyli z ZSRR – z dotychczas funkcjonujących 9. i 10. Dywizji Piechoty. Jednym z pierwszych punktów organizacyjnych nowej dywizji była Kastina. Pierwsze monograficzne ujęcie historii 3. Dywizji Strzelców Karpackich pojawiło się na rynku księgarskim w powojennym „polskim” Londynie, nakładem Zarządu Głównego Związku Karpatczyków – zob. *Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 1942–1947*, pod red. M. Młotka, Londyn 1978, (ss. 911).

bransoletkach – patrzyli na nas początkowo z pewną dozą wyższości. Nie trwało to jednak długo. Pobratanie rychło stało się całkowite.

Dostaliśmy wówczas autentyczną broń: karabiny pięciostrzałowe dla kanonierów, a *Tompsony*, czyli pistolety automatyczne – dla podoficerów i dla niektórych służb specjalnych, jak łączność, zwiad itd. Najważniejsze jednak były działa: dwudziestopięciofuntówki. Tak zwane z powodu ciężaru pocisków. Po cztery na baterię. Dumni byliśmy z takiego sprzętu. Oczywiście do tego wszystkiego dochodziły samochody – ciągniki do dział i jaszczy na amunicję, lekkie ciężarówki dla łączności, tak zwane 15 CWT, doskonałe łaziki terenowe – *Bantamy* – dla zwiadu i dowodzenia. Wielką ochotę miałem zostać kierowcą samochodu. Przełożeni jednak mieli inne zamierzenia względem „cenzusowców”. Przecież przewidziane były po wyszkoleniu rekruckim szkoły podchorążych. A co taki kanonier-rekrut jak ja mógł wiedzieć o tym wszystkim? Poddawałem się więc bez najmniejszego protestu rozkazom. Inni koledzy-gimnazjaliści przydzieleni zostali do zwiadu, czyli do oddziałów mających za zadanie teoretyczne przygotowanie zadań artyleryjskich. Ja trafiłem do działu, jako celowniczy. Szybko przystosowałem się do funkcji, która napawała mnie dumą: przecież to ja byłem przy działie najważniejszą osobą. Tylko ja jeden mogłem sobie siedzieć na stołeczku celowniczego i kierować działem. Stawałem się okiem i duszą działu: nastawiałem na precyzyjnych przyrządach celowniczych dane otrzymane od oficera ogniowego, względnie od podoficera, dowódcy działu, a on tylko musiał zarzucać ogonem na moje znaki ręką – w lewo, w prawo, aby działo naprowadzić z grubsza na kierunek. Małe odchylenia dwu, trzystopniowe nastawiałem przy pomocy pokrętła kierunkowego, kąt lufy do poziomu przy pomocy pokrętła wysokościowego, a gdy padła komenda „ognia!” to ja odpalałem działu, a zaraz potem nastawiałem na przyrządach celowniczych nowe dane ogniowe. Zabawa wojenna, która nam imponowała, choć to była tylko sucha zaprawa. Ostre strzelania na poligonie miały nastąpić dopiero po zakończeniu szkolenia podstawowego. Byliśmy dobrym materiałem na żołnierzy: chętni, choć niechętnie ślepo posłuszni, zahartowani twardym „rajskim” życiem, wierzący w słuszność sprawy i oczekujących nas zadań.

## POPADACZA

Przyjemne, kwietniowe ciepło Ziemi Obiecanej w miesiąc później było jeszcze tylko przyjemnym wspomnieniem. Nadeszły upały, do których nie byliśmy przyzwyczajeni, a z nimi coraz częściej występujące wypadki zachorowania

na gripę tropikalną, zwaną popularnie „popadaczą”. Gdzieś w końcu maja czy początkach czerwca chwyciła i mnie typowa gorączka, dreszcze i słabość, a ponieważ nie było szpitala wojskowego polskiego, zawieziono mnie do angielskiego. Ścisłej mówiąc – do szkockiego – co wychodziło na to samo, bo znalazłem się w instytucji, gdzie po polsku nikt nie rozumiał, a ja z kolei po angielsku. Choroba sama w sobie niegroźna, ale dostatecznie ciężka, żeby chorych na popadaczę umieszczać w szpitalu. Po kilku dniach jednak miałem się już całkiem nieźle, ale przy tej okazji doszło do badania ogólnego i lekarz stwierdził, że flegmoniczna rana wciąż jeszcze nie była należycie zagojona. Pobyt mój w szpitalu przedłużył się do przynajmniej miesiąca, czyli do naprawdę definitywnego zabliznienia się tej przykrej, chronicznej dziury w nodze. Spośród personelu szpitalnego mogłem dogadać się tylko z lekarzem oddziałowym, który odwiedzał nas co kilka dni. Jest rzeczą ogólnie znaną, że Anglicy języków ani nie znają ani uczyć się ich nie chcą, ani talentów do nich nie mają. Mój doktor jednak mówił, i to całkiem dobrze, po francusku. Poza kiepskim rosyjskim znałem wówczas tylko ten jeden język obcy. W rezultacie i w braku kogoś spośród chorych Polaków, który by umiał po angielsku, stałem się tłumaczem dla lekarza. Pragnę tu opowiedzieć epizodzik z tamtego okresu, który pokazuje jak to trudność porozumienia się może doprowadzić do kłopotliwych sytuacji.

Otóż organizm często sam wskazuje czego mu brak i domaga się uzupełnienia w sposób dość gwałtowny. Wiadomo, jak to jest z głodem. Wtedy mi jednak chleba nie brakło, za mało natomiast miałem widać kwasów trawiennych i wręcz pożałowałem czegoś kwaśnego. Mogłem już wtedy wstawać, więc próbowałem w najbliższym sąsiedztwie szpitala poszukać Arabów z pomarańczami. Ani Arabów, ani osiołka, ani pomarańczy. Sezon już się skończył a zresztą nie był to obóz polski w Qastinie. Nie mogąc więc samemu zaspokoić żądań organizmu, opowiedziałem o jego potrzebach lekarzowi. Uznając taką zachciankę za zupełnie słuszną i zrozumiałą, przepisał mi po prostu kieliszek kwasu solnego, oczywiście odpowiednio rozcieńczonego, który odtąd codziennie przynosiła mi siostra Angielka. Czy może Szkotka? Kto ją tam wie, kim ona była. Poza angielskim bełkotem i tak nic nie umiała. Kiedy po raz pierwszy musiała wywołać moje nazwisko, coś tam sepleniała, że nikt nie mógłby podejrzewać, że to chodziło o mnie. Dopiero, gdy po kilkakrotnym wołaniu, kiedy nikt się nie zgłaszał i kiedy zacząłem porównywać pisownię mojego nazwiska z najelementarniejszymi wiadomościami z zakresu fonetyki angielskiej, przyszło mi do głowy, że nie chodziło o nikogo innego, tylko o mnie. I rzeczywiście, gdy się zgłosiłem i sympatyczna skądinąd siostrzyczka pokazała mi co na piśmie stało, identyfikacja była całkowita. Ta oto miła osoba, a jak się wkrótce

okazało – także bardzo sumienna, przynosiła mi odtąd codziennie moją kwaśną rację. Kwas solny działał na spragniony organizm jak balsam. Piłem go z prawdziwą rozkoszą. Przez następnych kilka dni też jeszcze chętnie. Ponieważ jednak organizm potrafi powiedzieć czego mu brak, wie więc kiedy ma już czegoś dość. Nie myśląc o tym, żeby podczas następnej wizyty prosić lekarza o odwołanie kwaśnego lekarstwa, po czterech czy pięciu dniach jego zażywania oświadczyłem siostrze, że jestem już kwasem dostatecznie nasycony. Mój anioł nie był jednak w stanie tego zrozumieć. To znaczy ani mojej mowy, ani faktu, że byłem już zakwaszony jak cytryna. Tłumaczyłem na wszelki możliwy sposób, a najintensywniej na migi. Mowa moja spływała po niej jak wiosenny deszcz. I stał ten mój anioł nade mną tak długo, aż zawartość kieliszka zniknęła w mojej ustnej czeluści. Następnego dnia było to samo, tylko obrzydzenie o wiele większe. Organizm zbuntował się już teraz na dobre i wiedząc czego chciał, przy następnej sesji przyjmowania lekarstw kazał wylać kwas na ziemię, co uczyniłem wcale ostentacyjnie. Moja sympatia zdenerwowała się na dobre i poskarżyła lekarzowi. Następnego dnia była znów jego wizyta. Zapytał mnie, dlaczego odmówiłem przyjęcia lekarstwa? Z lekarzem dogadałem się oczywiście szybko. Śmiał się tylko, a to tak najpierw požądane, a następnie zohydzone lekarstwo zostało oficjalnie skreślone z listy gorliwej siostrzyczki.

## EPILOG

Każda historia, każde opowiadanie ma swój epilog. Moja seria „opowiadań z wczesnej młodości” zakończyła się właściwie z chwilą wyjazdu z Rosji Sowieckiej i epilogiem była dalsza dola żołnierza-tuльца. Ale to nie byłoby epilogiem ściśle zamykającym okres szczególnie charakterystyczny, odmienny w najszerszym tego słowa znaczeniu od tego, czym było moje życie okresu dzieciństwa i okresu następującego po wyjściu z Rosji. Moja wczesna młodość, choć byłem wciąż jeszcze bardzo młody, była czymś, co właściwie nigdy nie istniejąc, przechodziło do przeszłości. Tyle przeżyć, które niejednemu człowiekowi mogłyby wystarczyć na wypełnienie całego życia, spowodowały to, że z Rosji Sowieckiej wyjeżdżałem niby starzec. Natura ludzka, jednakże jest mocna. Cudownie ocalony, choć może pozbawiony tych radości i kłopotów, które są charakterystyczne dla lat „cielących”, dla wieku dojrzewanego, w nowych całkiem warunkach młodość moją odczuwałem intensywnie. Może tylko starałem się ją intensywnie odczuwać? W gruncie rzeczy pozostawała we mnie trudna do przewyciężenia skłonność do dramatyzowania, co stojąca przed nami przyszłość miała tylko jeszcze bardziej rozniecać i potęgować.

Bo położenie żołnierza-Polaka było naprawdę nie do pozazdroszczenia. Owa „żołnierska komedia”, dramat żołnierza walczącego na straconych pozycjach, którego wtedy jeszcze nie byliśmy w stanie nawet instynktownie wyczuwać, wisiał nad nami jakby fatalna siła przeznaczenia. Ale to już całkiem inna historia. Teraz chciałem jeszcze tylko krótko wrócić do epilogu, który sam się wydarzył. Bo na później pozostały jako niezatarte piętno, koszmarne sny na złe noce i na długie lata.

\* \* \*

W szpitalu szkockim przebywałem jeszcze kilka dni. Wtedy też przywieziono z naszego pułku innego żołnierza, którego chwyciła popadaczka. Gdy tylko trochę mu się polepszyło, chciałem się dowiedzieć, co słychać w naszym oddziale. W gruncie rzeczy niewiele było do opowiadania. Wciąż ten sam rytmiczny a monotony tryb żołnierskiego życia. A jednak coś się wydarzyło, co dla mnie było szczególnie znamienne, kropką nad „i” moich najdramatyczniejszych przeżyć, z których cudem niemal udało mi się wyjść cało. Od tego kolegi z pułku dowiedziałem się mianowicie, że porucznik K. popełnił samobójstwo. Podobno jakieś niejasne sprawy z Rosji... Skojarzenia nie zawsze są natychmiastowe. Tak więc dopiero kiedy położyłem się na łóżku i mózg wiązał wątki, zaczęły przechodzić mnie ciarki... Porucznik K, to przecież ów „sympatyczny” dowódca mojej baterii w Gorczakowie. Ten, któremu miałbym i jemu najchętniej chciałbym zwierzyć się z mojej żrącej duszę tajemnicy. I tylko dlatego, że ubzdurałem sobie, że ktoś inny był moim dowódcą, stawiając pojęcie o lojalności wyżej nad własne sympatie, moje dramatyczne zwierzenia przekazałem w formie raportu adiutantowi pułku, nie zaś mojemu sympatycznie a smętnie uśmiechniętemu porucznikowi K. A to właśnie on był pewnie tym, który dał się tak omotać NKWD, że nie mogąc z sideł się wyplątać teraz zdecydował się na coś najstraszniejszego, co może uczynić człowiek: na odebranie sobie życia. Szatańska instytucja – NKWD – przetykała z dala od swej siedziby dalszą ofiarę, którą zniewoliła do „dobrowolnej” współpracy. A o tym ja coś wiedziałem. Jak to się robi jak to się przeżywa. Jak to tylko jakaś niepojęta wyższa siła może wyzwolić człowieka z matni.

Biedny porucznik K... On nie potrafił się uratować... Jemu to danym nie było... O Boże, jakimi drogami chodzi Twoja Opatrzność?

## NIE WIERZĘ

Jam pył niesiony przez burze,  
przez siły tajemne ku ziemi  
duszony i znów ku górze  
wznoszony jakimiś innemi...

Jakimi? Skąd ten ratunek  
nadchodzić mógł stale, żem nie szczęł  
choć los mego życia strunę  
napinał, a byłem wciąż jeszcze?

Bo być lub nie być – nie inna  
możliwość istniała. I zmarnieć  
i zginąć dusza by winna  
na nędznym często pokarmie,

nie ludzką ręką podanym  
na ziemi, gdzie serca nie wolno  
posiadać, jeno kajdany  
nakładać i ciężkie brzemiono.

Niestara jeszcze niewiasta,  
twarz blada, a oczy czerwone,  
włos siwy głowę porasta...  
A zęby, kobieto, gdzie one?...

„Gdy syna mego zabrali,  
opadła mnie słabość. Przez mgnienie,  
przez chwilę widzieć z oddali  
go mogłam. Lecz takie cierpienie

mą duszę wtedy przesyłało...  
Zabrali me dziecko kochane,  
ratunku więcej nie było...  
A lekko tak było ubrane...

Gdzie zęby, pytasz, gdzie one?...  
I włos mi wtedy posiwiiał,  
a zęby – klawisze wprawione,  
któż-że by wtedy podziwiiał

jak jeden, drugi i trzeci,  
jak jeden po drugim wypadał...  
A, nic to, bo ból mój przecie  
jest gorszy. O biada mi, biada...

Lecz Panie, jemu Ty pomóż,  
nie ostaw bez Twojej opieki  
dzieciątka mego. Bo komuż  
zaufać ja mogę, o wielki

Ty Boże: Boże, mój Boże:...  
O, Matko, w bolesnej zadumie  
Jezusa Serce niech się otworzy,  
co krwawiąc tak bóle rozumie...

O Chryste, Matkę wysłuchaj  
Ty Twoją! I drugą, tę oto,  
bo niemoc jęczy w niej głucha,  
a głowa spowita spiekotą..."

I krzyżem padła przed Chrystem  
na Krzyżu niewiasta. I długo  
leżała, a łzy rzęsiste  
płynęły po twarzy jej strugą...

\* \* \*

Nie wierzę Panie, w Opatrzność  
ja Twoją. Nie wierzę, bom sam ją  
ja widział. Staję na baczość  
przed Tobą, bo zmysły nie mamia.



Na baczość staję jak setnik,  
ów rzymski oficer, co wiarą  
tysiące Żydów serc letnich  
przewyższył. Choć żadną ja miarą

dorównać jemu nie mogę,  
bo tamten Ci z góry uwierzył,  
a ja mam za mną mą drogę  
ciernistą. Choć wiary kwiat świeży

przenigdy obcym mi nie był,  
to teraz już wierzyć nie muszę,  
bo przecież wtedy to, gdzie by  
los srogi prowadził mą duszę,

Ty byłeś ze mną. Choć wtedy  
jam Ciebie nie widział, Ty byłeś  
tuż przy mnie, pośród mej biedy.  
Miłości Twojej płaszczem mnie kryłeś,

bo matki modły Ty chciałeś  
wypełnić. Przed złem i przed grzechem  
mnie strzegły szaty Twe białe,  
modlitwy matki mej, hen, echem

niesione tam aż, daleko,  
daleko, do śnieżnych zawieji,  
gdzie z zimna oczy tak pieką,  
gdzie człowiek pozbawion nadziei

w niewoli jęczy pojmany.  
Do ziemi, gdzie serca nie wolno  
posiadać, jeno kajdany  
nakładać i ciężkie brzemiono...

O Panie, teraz gdym wolny,  
a życie dobrami opływa,  
do wiary nie mam być zdolny?  
Ma teraz być ona mniej żywa?

Gdy taka pustka jest wszędzie,  
Ty wiarę w mym sercu zachowasz  
i ufam, zawsze tak będzie,  
z Twą wiarą nie zbłądzi ma głowa.

Też matki nie chciej zapomnieć,  
co dla mnie łez tyle wylała.  
Jej dusza w Tobie niech spocznie,  
jej cząstką niech będzie Twa chwała.

Amen

## OPOWIADANIA Z PÓŹNIEJSZEJ MŁODOŚCI

### WSTĘP AUTORA

„Opowiadania z wczesnej młodości” zatytułowałem wspomnienia z mojego epizodu życiowego, który tej wczesnej młodości mnie pozbawił. Po tym co przeżyłem od wybuchu wojny aż do wyjścia z „raju” sowieckiego, pomimo tylu zdawałoby się beznadziejnych sytuacji, poza ogromną dziurą w nodze po flegmonie, wyszedłem cały i zdrow. Opisałem to jak odczułem – jedynie dzięki jakiejś wyższej opiece tak stać się mogło. Stąd wypłynęła wewnętrzna potrzeba dania świadectwa istnieniu Opatrzności Bożej, która na mnie w tak oczywisty sposób się sprawdzała.

Moje „Opowiadania” to nie praca historyczna, choć tyle prawdziwych zdarzeń miało miejsce około mojej, jakoby pył, małej osoby, jest z całą pewnością przyczynkiem nadającym barwy, w tonach wprawdzie ponurych, ale nie bezbarwnych tamtemu okresowi w historii Polski i świata. Moje „Opowiadania” są przede wszystkim autobiografią, ze szczególnym podkreśleniem znaczenia jakie może mieć w życiu najzwyczajszego człowieka troska jego Stwórcy. Ponieważ służbę w wojsku polskim na obczyźnie rozpocząłem będąc wciąż jeszcze młodym człowiekiem, bo w roku 1942 dopiero we wrześniu kończyłem 20 lat, więc dalsze „Opowiadania” konsekwentnie tytułuję jako „z późniejszej młodości”. „Późniejszą młodość” w moim życiu dzielę na dwa całkiem odrębne okresy:

Pierwszy, wojenny, od wyjścia z bolszewickiego „raju” aż do tragicznego dla Polaków końca wojny i przedterminowego zdemobilizowania się we Włoszech oraz wyjazdu do Hiszpanii, podczas gdy cały 2. Korpus miał pojechać do Anglii. W naszej walce we Włoszech sprawa niepodległości Polski stawała się coraz bardziej wątpliwa. W ostatniej fazie walczyliśmy z całą niemal świadomością walki na straconych pozycjach. Dramat naszego położenia, ujęty w formę sceniczną zacząłem pisać jeszcze przed oficjalnym zakończeniem działań wojennych i dałem mu tytuł „Żołnierska komedia”. Tego tak trafnego

tytułu nie chcę powtarzać i dalsze opowiadania tytułuję „Na straconych pozycjach”.

Drugi, hiszpański, od wyjazdu z Włoch aż do końca dramatycznych rozczarowań przeżywanym w Hiszpanii. W tym głęboko katolickim kraju doszedłem do takiej dojrzałości duchowej, że od dawna już odkryta przeze mnie opieka Boskiej Opatrzności wskazała mi w sposób tak wyraźny i oczywisty jakie jest moje powołanie życiowe, że tytuł nadany temu odcinkowi mojego życia „Powołanie” jest jak najbardziej właściwy. Co w wyniku tego „powołania” nastąpiło należy już do dalszego rozdziału mojego życia<sup>1</sup>. Obecnie, leżąc w łóżku złamany ciężką chorobą rozmyślam, analizuję i przeżywam to jeszcze raz, najchętniej wspólnie z moją żoną, bo jej udział w moim „powołaniu” jest oczywisty i konsekwentny, a wszystkie moje przeżycia są absolutnie wspólne. To włączenie się Mocy wyższej jest tym piękniejsze, im bardziej „zwyczajne” było moje istnienie. Nie wiem, czym to można by wytłumaczyć? Może świadomością mojej znikomości, że jest tylko „pyłem” rzuconym w wir życia?

*Tadeusz Wojnarski w 1999 roku.*

---

1. T. Wojnarski był w stanie napisać przed śmiercią o pierwszym okresie (Włochy) ale o kolejnych latach życia – w Hiszpanii i Szwajcarii – już nie zdążył.

# NA STRACONYCH POZYCJACH

## PALESTYNA: W NASZEJ BATERII

Tymi pierwszymi opowiadaniem z dramatycznej serii losów żołnierza polskiego walczącego o Polskę poza granicami Ojczyzny pragnę dać wyraz wspinałym odczuciom jakie może dać człowiekowi fakt stania się wolnym po długiej i ponurej niewoli, jaką przeżył w Związku Sowieckim. Znalazłszy się pomiędzy swoimi, choć w wojsku panowała pewna dyscyplina, byliśmy ludźmi wolnymi, niezagrożonymi tyranią dyktatury. Te odczucia, w bezpośrednim kontraście do niedawnej przeszłości, może zrozumieć chyba tylko ten, kto podobną sytuację sam przeżył. Wtedy nikt nie myślał co będzie dalej, co czeka nas po okresie wojskowego szkolenia, a zwłaszcza po zakończeniu wojny. Wtedy oddychaliśmy pełną piersią tę wspinałą atmosferę wolności. Spełnianie obowiązków, poddanie się dyscyplinie nie sprawiało większych problemów. To nie wykluczało takich czy innych konfliktów, jakie są normalnym zjawiskiem w każdej społeczności ludzkiej. Nic z tego nie było porównywalne ze strachem na każdy dzień jaki jest udziałem sowieckich obywateli.

Jak już wspominałem, przydzielony zostałem do artylerii lekkiej. Po ostatecznej reorganizacji oddziałów przybyłych z ZSSR w połączeniu z dawną Brygadą Karpacką walczącą już przed tym w Libii<sup>2</sup>, stworzona została 3 Dywizja Strzelców Karpackich. W dywizji były trzy pułki artylerii lekkiej. Ja znalazłem się w pułku drugim. Każdy z pułków z kolei liczył trzy dywizjony, każdy po dwie baterie ogniowe oraz baterii dowodzenia. Mnie przydzielono do baterii 5-tej<sup>3</sup>.

W Palestynie umieszczono nas w rejonie Qastina, gdzieś pomiędzy Tel-Awiwem a Rehovodem<sup>4</sup>, dostatecznie daleko, aby nie było możliwe dojeżdżanie sobie do kąpieli w morzu. Praktycznie był to teren o charakterze pustynnym, choć, jak to wynikało z opowiadań poprzednich, niedaleko znajdowały się pardedesy pomarańczowe. Kiedy wróciłem ze szpitala szkockiego pomarańczy już dawno nie było. Arabowie nie mieli u nas więcej co szukać, choć czasem jacyś się czasem przyplątywali, szczególnie dzieci w nadziei otrzymania „bakszyszu”, czyli drobnej jałmużny. Każdej baterii przydzielono własny teren,

---

2. Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich (SBSK) walczyła w Libii w okresie od 14 kwietnia 1941 roku do 17 marca 1942 roku.

3. Dowódcami 2. Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej, do którego należał T. Wojnarski, byli: ppłk Józef Hildebrandt oraz ppłk Tadeusz Link.

4. zob. s. 106.

który został zabudowany namiotami. Były tam już przez Anglików przygotowane struktury sanitarne. W odpowiednich miejscach wystawały z piasku rury wodociągów z kranami, gdzie mogliśmy się myć. Były także nawet i prysznice, czyli że pewien „luksus” był zapewniony. Na terenie każdej baterii znajdował się także drewniany barak, w którym poza kantyną NAAFI<sup>5</sup> było miejsce na składy materiałów, chyba głównie dla kuchni. Bo każda bateria miała własną kuchnię i kucharza. W kantynie można było otrzymać – po cenach oficjalnych angielskich – rozmaitości takie jak papierosy, przybory toaletowe, różne konserwy, biskwity i – co było dla niektórych szczególnie ważne – piwo, a nawet niskoprocetowe wina i – oczywiście – napoje bezalkoholowe. W zasadzie bez NAAFI można byłoby też żyć bez problemów. Woda w kranach nie była pitna, ale cysternami dowożono jej tyle, że z wodą do picia nie było kłopotu. W każdym namiocie mieliśmy duże, gliniane stągwie, każdy zaś żołnierz otrzymywał parciane worki. Zarówno worki jak i stągwie miały tę wspaniałą właściwość, że były porowate i przepuszczały wodę tak, że ich powierzchnia była stale wilgotna. Parowanie odbierało kalorie, co powodowało, że zawarta w nich woda była chłodna nawet przy dużych upałach. Teren naszej baterii był lekko pochły. Na dole stał namiot szefa, wyżej zaś namioty nasze, żołnierskie. Namiot oficerski, nie pamiętam już, stał gdzieś bardziej z boku, bodajże w okolicy baraku NAAFI. Tyle najkrótszych informacji o położeniu naszej baterii. O organizacji, o kolegach, a koleżeństwo było sprawą najważniejszą, postaram się pogawędzić dalej.

## ORGANIZACJA

W każdej baterii było czterech oficerów: dowódca, zastępca (I oficer ogniowy), oficer zwiadowczy, oficer młodszy (II ogniowy). Praktyczne kierownictwo leżało w rękach szefa, podoficera – ogniomistrza. Każda bateria miała też własną łączność, swojego mechanika, sanitariusza oraz, jak już wspomniałem – kucharza. Bateria była w jakiś sposób bardzo samodzielną małą jednostką. Nie zamierzam jednak tu dawać jakiegось wykładu na temat organizacji wojskowej. Chodzi mi raczej o zorientowanie czytelnika w okolicznościach, w których formowała się atmosfera współżycia w tak specyficznej instytucji jaką był 2. Korpus. Ta duża polska armia na obczyźnie w czasie, kiedy Ojczyzna była w barbarzyński sposób zniewalana, stała się dla nas kawałkiem wolnej Polski.

---

5. NAAFI to skrót od: Navy, Army and Air Force Institutes. Był to, tłumacząc na j. polski, Instytut Marynarki Wojennej, Wojsk Lądowych i Lotnictwa. Była to instytucja zaopatrująca kantyny wojskowe w brytyjskich bazach.

Bez względu na to co miało nastąpić później, wtedy była czymś tak wielkim, że docenić było trudno. Nie wszyscy też doceniali, a w rzeczywistości na ten temat niewiele się mówiło. Owszem, wiadomości z Polski, o Polsce, o sytuacji jaka się wytwarzała w miarę wydarzeń wojennych, były częstym tematem myśli i rozmów. Przeżywanie codzienności człowieka wolnego było czymś naturalnym, o czym dopiero później, kiedy już to minęło, rozważało się głębiej.

Szczególnie ważne były stosunki panujące pomiędzy kierownictwem tej specyficznej instytucji a ludźmi, których obowiązywała dyscyplina i posłuszeństwo. I tu w zasadzie nie było większych problemów. Byliśmy naprawdę dobrym elementem żołnierskim. Po tylu okropnościach nie tak dawno przeżytych, wykonywanie rozkazów nie odczuwało się jako coś umniejszającego wolność osobistą. Dowódcy zaś zdawali sobie doskonale sprawę z tej niezwyklej sytuacji. Dowodzili, ale rzadko kiedy miały miejsce szykany. Żołnierz rozumiał, że rozkaz jest rozkazem i bez robienia sobie problemów go wykonywał. Każdy dzień miał swój z góry przewidziany program – pobudka, poranna gimnastyka, toaleta, modlitwa poranna, śniadanie, zbiórka poranna, ćwiczenia szkoleniowe, obiad, dalsze ćwiczenia, kolacja, apel wieczorny i modlitwa. I tak codziennie. Oczywiście mieliśmy też sporo wolnego czasu, szczególnie cenionego, bo wtedy nawiązywały się stosunki koleżeńskie. Przy pełnej świadomości zniewolenia jakie panowało gdzie indziej nasz los nazwać można było jako szczególnie szczęśliwy. To dawała nam Armia Polska na obczyźnie.

## SZEF

Szef był czymś więcej jak przełożonym. To była pewnego rodzaju instytucja w instytucji. On doglądał wszystkiego co przewidywały regulaminy i co zarządzali oficerowie. On był odpowiedzialny za porządek na terenie przydzielonym baterii jak też za wypełnianie programów dziennych, zwłaszcza punktualnej gotowości do zajęć szkoleniowych. Od szefa najbardziej zależała atmosfera w oddziałach. Z naszym szefem było rozmaicie. W baterii równoległej – 6-tej, szef był „tata” i z tego był sławny. Nasz szef był kiedyś policjantem i to gdzieś na kresach wschodnich. Jego cechą główną charakteru było to, że na wszelki wypadek nie ufał nikomu. Przy tym był niesłuchanie skomplikowany. Oczywiście w dyscyplinie przesadzać nie mógł, ale nie był człowiekiem, do którego można było pójść po ojcowską poradę, jak to było w baterii 6-tej. W stosunku do takiego szefa każdy musiał znajdować swój stosunek własny. Ja też. W mojej naturze leży otwartość, bezpośredniość, zaufanie. W stosunku do człowieka o przeciwnym wręcz charakterze do mojego mogły więc istnieć

problemy. Staralem się jednak po swojemu je rozwiązywać. Jednego dnia poszedłem z jakiegoś powodu do jego kancelarii, która znajdowała się w namiocie na dole. Szef był czymś bardzo pilnie zajęty. „Nie przeszkadzajcie, bo się pomyłem” – burknął, ale nie kazał wyjść. Stałem więc sobie tak czekając aż zapyta po co przyszedłem. Oczywiście patrzyłem co jego uwagę tak absorbowało. Szybko się zorientowałem o co chodzi: szef wypełniał listę żołdu. Wypłaty żołdu były robione co dziesięć dni i za każdym razem musiała być sporządzana nowa lista. Jak we wszystkich sprawach finansowych nie mogło być na takiej liście żadnych kreśleń ani poprawek, więc skupienie szefa miało swoje uzasadnienie. Przyglądam się i wydaje mi się, że szef robi to w jakiś skomplikowany sposób. O rachunkowości pojęcia nie miałem, ale do rachunków ustosunkowywałem się dobrze. Ostatecznie byłem w liceum matematyczno-fizycznym i wiadomości stamtąd wyniesione wystarczyłyby z okładem do robienia takiej listy. Mogłem więc szefowi ją zrobić. Zaproponowałem więc: „Panie szefie, a może ja tak panu szefowi to zrobię?” Spojrzał na mnie z niedowierzaniem: „Człowieku, ty tego nie będziesz potrafił...” – „Nie widzę większych trudności” – odpowiedziałem. – „Ale tu nie może być żadnej pomyłki, żadnego kreślenia.” – „Jeśli mi pan szef wytłumaczy jak to się robi, to chyba nie będzie większego problemu”. Szef był tak zaskoczony, że zaczął drapać się po głowie. Widziałem, że moja oferta go zaintrygowała, ale jego naturalna nieufność stała na drodze. – „Ano co, szefie, może tak spróbujemy?” – Nie wytrzymał: – „To siadaj tu i dobrze uważaj, to ci wytłumaczę”. – Robił to dość zawile, ale tyle co się przyglądałem wystarczyło, żeby całość problemu, w gruncie prostego, zrozumieć. Lista obejmowała wszystkich żołnierzy baterii, począwszy od szefa a skończywszy na ostatnim kanonierze. Ja, według alfabetu, byłem prawie na samym końcu. Wysokość wypłat musiała być bardzo wyraźnie wpisywana w ostatniej rubryce. Żadna filozofia i lista była dość szybko skończona.

Po tej sytuacji zyskałem sobie zaufanie szefa. Od tej pory cieszył się, że mu robiłem listy żołdu. Dla mnie żadna trudność, dla niego spore odciążenie. Czasem mogłem przez to nie iść na jakieś nieciekawe zajęcia. Dla szefa takie psychiczne przełamanie nieufności też było raczej dobre. Jednym słowem „sielanka”. Tylko że sielanki nie zawsze trwają długo. Wkrótce już po tym zaszło coś, co ją zakłóciło. Pewnego poranka po prostu zasnęłam. Nie usłyszałam pobudki, a tu wpada do namiotu szef. Zasnęłam nie tylko ja. – „Ten i ten i ten – do raportu karnego!” – krzyknął szef i wybiegł z namiotu budzić dalszych śpiochów. Zerwałem się i zdążyłem akurat na gimnastykę poranną. A na drugi dzień raport karny przed dowódcą baterii. Porucznik był nieco w kropce widząc mnie pomiędzy „przestępcami”. Uważał mnie za jednego ze swoich najlepszych żołnierzy, co nawet wpisał mi do pamiętniczka, który



wtedy prowadziłem. Skoro jednak znalazłem się w szeregu do raportu karnego, musiał mnie potraktować równo i sprawiedliwie. Gdy przyszła na mnie kolejka, wyprężyłem się na baczność, zsalutowałem i zameldowałem: – „Kanonier W. melduje się do raportu karnego za niewstanie na pobudkę”. – „Żałuję, kanonier W. powinien być wzorem dla innych żołnierzy. Za karę kan. W. zamelduje się u szefa przed pobudką w pełnym rynsztunku trzy razy. Sprawiedliwości stało się zadość. Dowódca nie mógł postąpić inaczej. Szef nie musiał podawać do raportu karnego, sam mógł dać jakąś karę. Ale, szczerze mówiąc, szef także z powodu, że pomiędzy „śpiochami” znalazł się pupił od listy żołdu, nie mógł odstąpić od obowiązku równego traktowania wszystkich żołnierzy. Ostatecznie było to wojsko.

Najgłupiej chyba reagowałem ja. Robiłem odtąd minę obrażonego. Co dotyczyło służby, wykonywałem wzorowo, ale prywatnie szefa nie zauważałem. Szef nie był z tego powodu szczęśliwy i szukał jakiegoś wyjścia z tej sytuacji. Ostatecznie szkoda by mu było, gdybym nie chciał robić listy żołdu. To była moja dobrowolna propozycja. Szukał więc jakiegoś wyjścia. Znalazł nie najlepsze. Raz, w czasie przerwy obiadowej, przychodzi do mnie z pustą butelką od piwa i każe przynieść sobie nową z kantyny. Ale kanonier W. to twarda sztuka: – „Służbowo czy prywatnie?” – usłyszał „służbową” odpowiedź. – „Służbowo!” – zazgrzytał zębami – „Tak jest, panie szefie” – wziąłem pustą butelkę i przyniosłem z kantyny pełną. Odtąd szef chodził markotny. Ostatecznie sam się wciągnął w tę sytuację. Ja chodziłem jeszcze jakiś czas jakbym go nie widział, ale zdawałem sobie sprawę, że w zasadzie to wszystko było nonsensem. On jako szef – nie mógł postąpić inaczej. Kiedy przyszła pora żołdu, zapytał się jak to będzie z listą. Rozkazu nie chciał dać, bo to by mogło mnie jeszcze bardziej rozdrażnić. Ale ja też już widziałem sprawę inaczej, więc na takie niemal pokorne, dla niego nietypowe podejście, nie mogłem się dalej buńczuczyc – „Panie szefie, da mi pan rękę?” – zapytałem. – „Dam” – odpowiedział szef. Podaliśmy sobie ręce. Sprawa była rozładowana. Ja byłem też zadowolony, bo przed tym zbyt zachwycony z siebie nie byłem.

## KOLEDZY

Jak wspominałem, w zasadzie najważniejsze były stosunki koleżeńskie. Bo dowódca, oficerowie, szef – to inna grupa ludzi. My, zwykli żołnierze, byliśmy trzonem baterii i od tego jak układało się współzycie między nami zależała najbardziej atmosfera i zadowolenie w tych tak specyficznych warunkach. W każdej baterii była ludzka mieszanina, celowo chyba przez decydujących

o przydziałach zrobiona. Ostatecznie w każdej społeczności taka mieszani-  
na jest zjawiskiem naturalnym: ludzie prości obok „uczonych”, zawodowo  
wykształceni obok bez żadnego zawodu. Tak też w każdej baterii było kilku  
cenzusów, czyli żołnierzy, którzy mieli za sobą przynajmniej małą maturę. Do  
takich należałem ja. My mieliśmy prawo być wysłani na podchorążówkę, czyli  
szkołę oficerską, lecz kto o tym myślał? Na to ani ja ani chyba nikt z kolegów  
nie zwracał uwagi. To najwyżej wpływało na powiązania koleżeńskie i na styl  
urządzania sobie wolnego czasu. Tak więc „cenzusowcy” bardzo chętnie grali  
w brydża. Ja też. Do brydżystów należeli między innymi „ciapciaki”. A skąd  
wzięli sobie, czy im nadano, to przezwisko, nie potrafię powiedzieć. Oni  
w każdym bądź razie akceptowali je w pełni. Było ich dwóch – Zdzisio Sobi-  
siak<sup>6</sup> i Czesio Brodowski<sup>7</sup>. Byli nierozłącznymi przyjaciółmi, a w brydża grali  
jak szaleni. Pierwszy z nich był Karpaczkim, czyli walczył już w Brygadzie  
Karpackiej, co się poznawało po francuskim łańcuszku, wojskowym znaku  
tożsamości. Czesio przyjechał z Rosji, ale teraz to nie było żadną różnicą. Do  
partnerów do brydża należał też Kazio Terajewicz<sup>8</sup>. Kazio musiał pochodzić  
gdzieś od Tatarów, których przed wiekami osiedlili polscy królowie za wier-  
ną służbę dla Rzeczypospolitej. O jego tatarskości mówiły typowe rysy, na co  
też nikt nie zwracał uwagi. Żadne nie-polskie pochodzenie u nas nie miało  
wpływu. Ale Kazio był całkiem Polakiem i „fajnym” kolegą. Ponieważ przy  
licytacji dość długo zwykł się namyślać, dostał przezwisko „wolnomyśliciel”.  
Ale za przyzwiska nikt się nie obrażał i kiedy Kazio dostawał napędu: – „Ej, ty,  
wolnomyślicielu, powiedz coś wreszcie”- „Zaraz, zaraz” – odpowiadał i starał  
się rzeczywiście trochę szybciej decydować z licytacją.

## STASZEK

Między „cenzusowcami” miałem kolegę, z którym mieszkaliśmy w jednym na-  
miocie i z którym pozostaliśmy po dziś dzień serdecznymi przyjaciółmi. Dużo  
też rozmaitych wydarzeń bardzo nas zbliżyło i dlatego pragnę mu poświęcić

---

6. Zdzisław Sobisiak – ur. w 1921 roku; numer ewidencji w 3. DSK: 11, kapral w 2. Pułku Ar-  
tylerii Lekkiej. Odznaczony Krzyżem Walecznych – zob. *Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich*  
1942–1947.

7. Czesław J. Brodowski – ur. w 1922 roku; numer ewidencji w 3. DSK: 29, podporucznik w 2.  
Pułku Artylerii Lekkiej – zob. tamże.

8. Kazimierz Terajewicz – ur. w 1915 roku; numer ewidencji w 3. DSK: 8, podchorąży w 2.  
Pułku Artylerii Lekkiej – zob. tamże.

osobny rozdział. W przyszłości nieraz jeszcze będzie on występował w moich wspomnieniach.

Kolegą tym był „Staszek”. Piszę w cudzysłowie, bo rzeczywiste jego imię i nazwisko brzmi: Jarosław Henryk Rudniański<sup>9</sup>. Staszek był tylko coś o rok ode mnie starszy, ale maturę miał już za sobą, a po wkroczeniu bolszewików do wschodniej Polski w 1939 roku zaczął studia na Uniwersytecie Lwowskim. Ojciec Staszka był tam profesorem<sup>10</sup>. Silnie lewicowe poglądy oszczędziły mu „likwidację”, która objęła Polaków z wyższym wykształceniem<sup>11</sup>. Przy wkraczaniu Niemców do Lwowa w roku 1941 Uniwersytet Lwowski został pośpiesznie ewakuowany. Wtedy też wyjechał, czy może został umyślnie wywieziony, na wschód. Ślad po nim zaginął i Staszek, chcąc go szukać, pojechał dobrowolnie do Związku Sowieckiego w nadziei, że go tam gdzieś spotka. Tu leży tajemnica Staszka, jego zachowania w czasie kiedy go poznałem. Miał podobne poglądy do ojca, którego nigdy nie znalazł i nigdy już nie widział. W komunistycznym „raju” odnalazł za to wartości, które wytyczyły mu drogę na całe życie. Wstrząśnięty tym co widział i przeżył – w „ojczyźnie socjalizmu” odnalazł wiarę, którą w miarę późniejszych doświadczeń, rozmyślań i studiów stale pogłębiał. Zdołał wstąpić do formującego się w Sowietach Wojska Polskiego i z nim wyjechać. Być może, że przyplłynęliśmy do Pahlewi tym samym

---

9. Jarosław Henryk Rudniański (1921 – 2008) – filozof, psycholog, prakseolog, prof. Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Po wybuchu II wojny światowej trafił do niewoli sowieckiej. Był więźniem w Gulagu. Udało mu się dołączyć do tworzącej się Armii Polskiej na Wchodzie. Przeszedł z Wojskiem Polskim „Szlak Nadziei” służąc w 3. Dywizji Strzelców Karpackich – w 2. Karpackim Pułku Artylerii Lekkiej. Zakończył służbę w stopniu kaprała podchorążego. Odznaczony został Krzyżem Walecznych. Po wojnie krótko przebywał na emigracji. Studiował filozofię Dalekiego Wschodu i psychologię na Uniwersytecie „La Sapienza” w Rzymie, a następnie psychologię na Uniwersytecie Warszawskim. Był uczniem Tadeusza Kotarbińskiego, a także współzałożycielem i honorowym członkiem Towarzystwa Naukowego Prakseologii. W okresie powojennym kontynuował swoją pracę naukową w Warszawie. Stał się rozpoznawalny rozwijając zagadnienia filozofii działania społecznego: ogólną teorią walki i kompromisu oraz kryteriami wartości moralnych. Zmarł 18 kwietnia 2008 roku. Został pochowany na Cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim w Warszawie – zob. Jarosław Henryk Rudniański, Encyklopedia PWN (<https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/;3969854P>, stan na 18.10.2023 r.)

10. Stefan Rudniański (Salomon Rubinroth) (1887–1941) – filozof, psycholog, pedagog, działacz komunistyczny. Od 1939 roku profesor filozofii na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.

11. Stefan Rudniański przed I wojną światową związany był z PPS-Lewicą i prawdopodobnie z Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy. Od grudnia 1918 roku wstąpił do nowo powstałej Komunistycznej Partii Polski i był jej członkiem do rozwiązania partii w sierpniu 1938 roku. W okresie sowieckiej okupacji Lwowa nadal prowadził działalność naukową. Był wówczas członkiem rady miejskiej w tym mieście (1939–1941). W 1941 roku złożył podanie o przyjęcie do Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Został zamordowany przez Niemców lub Ukraińców tuż po wkroczeniu do Lwowa Niemców – Z. Buczek, *Rudniański Stefan* [w:] *Słownik psychologów polskich*, pod red. E. Kosnarewicz, T. Rzepy, R. Stachowskiego, Poznań 1992, s. 174–176.

transportem. Dla nas najważniejsze, że obydwaj znaleźliśmy nie tylko w artylerii lekkiej, nie tylko w tej samej baterii, ale w tym samym namiocie. Staszek był silnym krótkowidzem, już wtedy nosił grube okulary. W chodzie był jakby trochę zgarbiony, pomimo, że był jeszcze młodym człowiekiem. Stale był dziwnie zamyślony, jakby jego życie leżało gdzieś poza obrębem tego świata. Rozmowny nie był, a równocześnie niezbyt zręczny i mało poradny, do czego przyczyniały się w jakimś stopniu okulary. Pomimo tej dziwnej tajemniczości i zamknięciu Staszka w sobie nawiązywała się między nami coraz większa przyjaźń. A zaczęła się od mojego prowokacyjnego stosunku do niego. Przerzeźniałem go nieraz, a on reagował po swojemu – kopał, wierzgał nogami i to tak wysoko, że mógłby dostać do głowy. Śmiałem się wtedy, że ma żarty „na wysokim poziomie”. Ale takie koleżeńskie „wygłupiania się” nie przeszkadzały w pogłębianiu się wzajemnych stosunków. Z drugiej bowiem strony chętnie pomagałem Staszce w czym mogłem, co przy jego bezradności mogło być dla niego pożyteczne. W rzeczywistości zdawałem sobie dobrze sprawę z jego przewagi duchowej i umysłowej.

## LUTEK

Do kolegów, których do dziś wspominam, należał też Lutek, przewany przeze mnie „koniem”<sup>12</sup>. Jego szczególnie wydłużona twarz miała w sobie coś z „twarzy” konia, ale Lutek nie był zachwycony otrzymanym przydomkiem. Miał się za szczególnie ładnego chłopca i nic „końskiego” w sobie nie widział. Ale do obrażania się Luciovi było daleko. Kiedy po wielu, wielu latach zadzwonił do mnie z Anglii – nie zorientowałem kto to był. Wtedy przedstawił się, że jest „koniem” z dawnych czasów i od razu się sobie przypomnieliśmy. Przeziska są czasem trwalsze jak nazwiska.

Co mnie z Lutkiem od początku najbardziej łączyło, to był przydział do tego samego działonu. Ja byłem w nim celowniczym, a na czym to polegało już wytłumaczyłem. Natomiast Lucio był zamkowym, czyli tym, którego zadaniem było zamek działa otwierać i zamykać przy ładowaniu i rozładowywaniu. W hierarchii ważności w działonie zamkowy był zastępcą celowniczego. Czyli moim. Ja za to miałem obowiązek wprowadzać go w tajniki tej uprzywilejowanej funkcji. Co jednak Lutka czyniło między nami specjalnie znanym, to była jego pechowość. Po prostu Luciovi przypisywano, że gdzie on jest, tam staje

---

12. Lucjan Słota – ur. w 1923 roku; numer ewidencji w 3. DSK: 116, podporucznik w 2. Pułku Artylerii Lekkiej – zob. *Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 1942–1947*.

się coś pechowego. Rzeczywiście, pewne wypadki jakoś to potwierdzały. Jeden z nich, innych nie pamiętam, był szczególnie znamienny, ale nikomu nic się w rezultacie nie stało. Było to w czasie ćwiczeń jazdy w kolumnie. Bateria miała bowiem pewien ustalony porządek w marszu, który musiał być przestrzegany. Za dowódcą baterii jechał zwiad na swoich lekkich Bantamach, czyli Jeepach, dalej łączność, za nimi cztery ciągniki, z jaszczami i działami. W ciągnikach miejsce obok kierowcy zajmował dowódca działonu, z tyłu siedziała reszta obsługi. Nad miejscem dowódcy działonu była luka z klapą, w której w czasie jazdy stał działonowy i pilnował porządku w marszu. Można sobie wyobrazić chmurę kurzu, jaką taka ciężka kolumna podnosiła w czasie jazdy po piaszczystym, pyłowym terenie pustynnym. Działonowy musiał dobrze wytężyć wzrok, żeby nie wjechać na poprzednie działo. Kierowca chyba jeszcze bardziej. Ale w zadaniu działonowego zastępowali go często inni z obsługi dział. Czasem też dla przyjemności wystawania w okienku „dowodzenia”. Kiedyś stanął w nim Lutek, a inni już się śmieli: – „Lutek! uważaj, bo coś się stanie”. I raz się stało: nagły wstrząs i koniec lufy ostatniego działła był pomiędzy nogami Lutka. Oczywisty wypadek, który mógł się w takich jak tamte warunkach łatwo zdarzyć, ale Lutkowi chętnie przylepiano łatkę pechowości.

## FRANIO

Wspominając kolegów z naszej baterii wymieniłem dotąd tylko tych „prominentnych”. Ale między najprostszymi byli też ciekawi ludzie, którzy potrafili zapisać się w pamięci. Do nich należał Franio<sup>13</sup>. Franio Burdanowicz. Był on ode mnie trochę starszy, a do tamtej pory zachował „dziewictwo” analfabetyzmu. Pisać nauczył się dużo później i to nie po polsku, tylko po włosku. Ale to inna sprawa, nie z okresu gąstyńskiego. Franio był człowiekiem prostym, ale ze zdrowym chłopskim rozsądkiem i ambicjami „podciągnięcia się” do poziomu innych. Łatwe to nie było, bo inni chętnie śmieli się z jego siermiężności. A że nieraz było z czego się pośmiać, sądzę, że warto to tutaj wspomnieć, bo choć ukazuję ową prostotę Frania, to widzę też braki wyniesione ze środowiska, w którym kiedyś wyrósł.

Jak już opisałem w rejonie baterii był barak i kiosk NAAFI. A że Franio miał spory pociąg do alkoholu, znalazł tam co mu bardzo smakowało: tanie

---

13. W zachowanej ewidencji żołnierzy 3. Dywizji Strzelców Karpackich nie figuruje Franciszek („Franio”) Burdanowicz. Być może T. Wojnarski miał wówczas na myśli Leona Burdanowicza (ur. 1919), który podczas kampanii włoskiej służył w 3. Pułku Artylerii Przeciwpancernej – zob. tamże.

wino, chyba nie produkcji hiszpańskiej, choć nazwa to sugerowała: Malagę. W wersji Frania nazwa tego wina brzmiała „Łamaga”. No i przezwisko „Łamagi” przykleiło się do Frania. Ale Franio starał się, w czym tylko się dało, podciągać do poziomu innych. Tak więc widząc, jak inni pucują sobie zęby, nie chcąc się zdradzać ze swego niedouczenia, zdecydował się być nie gorszy. Poszedł więc do kiosku i zaczął rozglądać się za tym wszystkim, co było do mycia zębów potrzebne. Wziął więc szczoteczkę do zębów; to było widać od razu co to jest. Gorzej było z pastą. Franio nie chciał się ze swojego analfabetyzmu zdradzić, więc rozglądał się, nie bardzo wiedząc w których tubkach była pasta do zębów. Jak to w takich wypadkach zwykle się zdarza, zamiast pastę do zębów, Franio złapał krem do golenia. Można sobie wyobrazić, jak wyglądało mycie zębów kremem do golenia! Biedny Franio, co z niego się kumple naśmiali! Ja chyba też się wtedy śmiałem, ale to nie umniejszało mojej oceny Frania. Tym bardziej starałem się moje koleżeństwo mu okazywać i czasem w czymś pomagać. Franio życzliwość tę kwitował szczególną wdzięcznością. W jakiś sposób obydwaj na sobie się nie zawiedliśmy. Żołnierski żywot wtedy dopiero się zaczynał, wydarzenia późniejsze to potwierdzały, ale tych nie będę tu wyprzedzał.

## KOLEDZY ŻYDZI Z NASZEJ BATERII

„Amnestia” w Związku Sowieckim objęła wszystkich obywateli polskich, w tym także narodowości żydowskiej. Pomiędzy nami była ich spora ilość i nie pamiętam, żeby miały miejsce jakieś incydenty. Byli oni po prostu „jednymi z nas”, choć kontakty z kolegami-Polakami były raczej nieduże, bo oni w wolnym czasie najchętniej przebywali między sobą.

W naszej tylko baterii, na ok. 60 żołnierzy, było pięciu młodych Żydów. Każdy z nich miał swoją funkcję i nie pamiętam również, żeby któryś z czegoś się nie wywiązywał. Fakt obecności żołnierzy pochodzenia żydowskiego pomiędzy nami nie stwarzał więc żadnych problemów. Inna okoliczność była jednak dla nich ważna: nasza obecność w Palestynie, czyli „Ziemi Obiecanej” dla Żydów. Nie trzeba było długo czekać na „znikanie” naszych kolegów żydowskich. Jeden po drugim, po wyjeździe na krótki urlop, więcej nie wracał. Formalnie była to dezercja, lecz my tego tak nie osądaliśmy. Dla nas było to samo przez się zrozumiałe, że Żydzi znalazłszy się wreszcie na swojej ziemi, chcieli na niej pozostać, żyć i pracować w swoim kraju. Bo choć Polska była przez stulecia ich drugą ojczyzną, to świadomość „drugorzędności” nigdy nie zanikła.

Tak więc „nasi Żydzi” uciekali z baterii jeden po drugim i nikt im tego nie brał za złe. Dowództwo chyba też. Zresztą informacje na ten temat, całkiem konkretne, z pewnością można znaleźć w dokumentach pozostałych po 2. Korpusie. Mój drobny przyczynek dotyczy tylko tego maleńkiego „podwórka”, na którym ja się znalazłem<sup>14</sup>.

Z pośród pięciu, w niedługich odstępach, poszło „do swoich” czterech nasyżych żydowskich kolegów. Został jeszcze tylko jeden – Piechulik<sup>15</sup>. Innych nazwisk nie podaję, bo nie pamiętam, ale to i tak nie jest ważne. Piechulik jednak zajął w mojej pamięci miejsce całkiem szczególne z innego powodu: miał zarost tak silny, że nawet świeżo po ogoleniu twarz jego była koloru niebieskiego. To było jego pechem: przy każdym niemal apelu dowódca baterii stwierdzał, że Piechulik był nie ogolony. „Panie poruczniku, kiedy ja się wczoraj po południu goliłem” – tłumaczył się jak mógł, ale dowódca był konsekwentny: „Ja nie pytam kiedy żołnierz się golił. Ja wymagam, żeby żołnierz był zawsze ogolony”. I biedny Piechulik musiał iść do swego namiotu, ogolić się, a następnie zameldować u szefa baterii. A jeśli w czasie apelu popołudniowego dowódca spojrzął na Piechulika, wyrok był nieunikniony: „Kanonier Piechulik znów nie ogolony!” – „Panie poruczniku, kiedy ja się goliłem dziś rano...”. A że dowódca był nieustępliwy, Piechulik znów musiał się golić. Dla nas było to po części powodem do śmiechu, ale w zasadzie uważaliśmy, że porucznik przesadzał, a szykanowanie biednego właściciela tak przepotężnego zarostu nie było na miejscu.

Mimo to Piechulik jak nie uciekał, tak nie uciekał. Pytaliśmy go całkiem otwarcie: „Piechulik, a ty kiedy uciekniesz” – „Ja jeszcze nie wiem czy ja

14. Jak słusznie wskazuje T. Wojnarski – do Armii Polskiej w ZSRR mieli prawo zaciągnąć się wszyscy obywatele polscy – w tym przedstawiciele różnych mniejszości. W początkowym okresie (lato i jesień 1941 roku) przyjmowano do wojska wielu Żydów; w grudniu 1941 roku stanowili 40% żołnierzy. Jednak 1 grudnia 1941 roku władze radzieckie ogłosiły, że za obywateli polskich uważają jedynie osoby narodowości polskiej, natomiast Białorusini, Ukraińcy, Litwini i Żydzi będą traktowani jako obywatele radzieccy i jako tacy nie mogą wstępować do polskiego wojska. Decyzja ta była poddana kontrakcji polskich władz i Ambasady RP w ZSRR. Z czasem udało się osiągnąć połowiczne porozumienie – władze ZSRR zgodziły się na uznanie za obywateli polskich tylko tych Żydów, którzy pochodzili z centralnej i zachodniej Polski. W praktyce nie było to jednak jednoznaczne co generowało konflikty i spory. W momencie ewakuacji polskiego wojska do Iranu wiosną 1942 roku jedynie część żołnierzy mogła wyjechać z ZSRR. Ostatecznie na 77 tys. żołnierzy, do Iranu dotarło tylko 3,5 tys. Żydów. Pozostali zostali zdemobilizowani i pozostawieni w ZSRR. W chwili stacjonowania Armii Andersa w Palestynie, ok. 3 tys. Żydów zdezerterowało z niej i dołączyło do żydowskich organizacji paramilitarnych: Hagana, Irgun, Lechi – zob. S. Strzyżewski, *Dezercje Żydów z Armii Andersa w świetle dokumentów Instytutu Polskiego i Muzeum im. Władysława Sikorskiego w Londynie*, „Zeszyty Naukowe WSOWL” 2012, nr 3 (165), s. 220–237.

15. W zachowanej ewidencji żołnierzy 3. Dywizji Strzelców Karpackich nie figuruje żołnierz o nazwisku Piechulik – zob. *Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 1942–1947*.

ucieknię” – odpowiadał nasz ostatni żydowski kolega z baterii. W rzeczywistości bardzo go polubiliśmy i może to powodowało trudność decyzji. Piechulik był grzeczny, koleżeński, obowiązkowy. Przy każdym jego wyjeździe w końcówkach tygodni mówiliśmy między sobą: „Wróci, czy nie wróci?” A Piechulik wciąż wracał. Aż pewnego razu, także Piechulik nie wrócił... W całej w Armii Andersa, żołnierzy narodowości żydowskiej zostało jednak jeszcze wielu. W baterii dowodzenia dywizjonu pozostał bombardier Federbusz<sup>16</sup>. Ale ten nie przyjechał z Sowietów. On był w Brygadzie Karpackiej, a tam się docierało po wielu ryzykownych przedsięwzięciach. Najlepszym świadectwem obecności polskich żołnierzy pochodzenia żydowskiego w 2. Korpusie są groby na Monte Cassino i innych cmentarzach we Włoszech. Tamci Żydzi zostali i polegli za Polskę<sup>17</sup>.

## IRAK: W DALEKĄ DROGĘ

Gdzieś pod koniec lata 1942 roku otrzymaliśmy rozkaz gotowości do marszu. W jakim kierunku – nie było wiadomo. Wszystek sprzęt wojskowy musieliśmy dokładnie sprawdzić, zabezpieczyć i przygotować do jazdy, względnie transportu. Dopiero kiedy rozebraliśmy i spakowaliśmy namioty, dowiedzieliśmy się, że kierunkiem marszu był Suez. Tam nastąpiło czekanie na konwój morski. Tu zapoznaliśmy się z prawdziwym hamsinem, bo ten, który wiał w Palestynie był dziecinną zabawą<sup>18</sup>. Szczęśliwie jednak oczekiwanie na nasz statek nie trwało zbyt długo. Do tej podróży morskiej przygotowanych było kilka statków transportowych oraz eskorta okrętów wojennych. Wyprawa nie taka jak późniejsza inwazja Normandii, ale wtedy wydawała się dość imponująca. Gdzie załadowano nasz sprzęt – samochody, działa, wszelkie wyposażenie nie tylko naszego pułku, tego nie wiedzieliśmy. Nas, żołnierzy, wprowadzono

---

16. Henryk Federbusch – ur. w 1911 roku; numer ewidencji w 3. DSK: 3, kapral w 2. Pułku Artylerii Lekkiej – zob. tamże.

17. Na Polskim Cmentarzu Wojennym na Monte Cassino pochowanych jest 18. żołnierzy 2. Korpusu pochodzenia żydowskiego. Ich nagrobki położone są w południowo-wschodnim narożniku, na kwaterze 1-F. Znajdują się tam groby: Teodora Bauma, Mordki Chaskielewicz, Adama Grabera, Aleksandra Grünberga, Wilhelma Knoblocha, Jakuba Liebermana, Stanisława Lipschütza, Hermana Mauera, Leona Pastora, Leona Simona, Marka Szapira, Eliasza Szapiro, Chuny Szytybel, Józefa Thiebergera, Maurycego Ungera, Abrahama Wurzela, Henryka Zegrze, Hersza Zygmanta – zob. M. Gałęzowski, *Żydzi walczący o Polskę. Zapomniani obrońcy. Rzeczypospolitej*, Kraków 2021, s. 321–330.

18. Khamisin – ciepły, porywisty wiatr wiejący na pustynnych obszarach państw Bliskiego Wschodu.



na pokład jednego ze statków i tam nastąpiło przydzielanie miejsc. Pierwszą noc spędziłem pod pokładem, śpiąc na hamaku. Na drugi dzień zorganizowano służbę obrony przeciwlotniczej na najwyższym pokładzie. Nie wiem co było przyczyną, że do tego zadania przydzielono także i mnie. To były „bycze” czasy. Słońce w prawdzie w dzień prażyło, a noce były nieźle chłodne. Przed słońcem broniliśmy się przytwierdzając do okrągłych stanowisk dział przeciwlotniczych plandeki dające dość cienia, a na noc mieliśmy dość koców. Za to nie mieliśmy żadnych innych ćwiczeń ani obowiązków. Wody do picia było pod dostatkiem, tylko trzeba było ją sobie przynosić z cysterny. Po jedzeniu chodziliśmy kolejno do kuchni. Spokojniejszego życia żołnierskiego nie można było sobie wyobrazić. W brydza nagraliśmy się co niemiara.

Coś na trzeci dzień statek nasz zakotwiczone w porcie Aden. Niestety dostatecznie daleko, żeby nic ciekawego nie widzieć. Z radością więc odebraliśmy turkot turbin, które poprowadziły statek w dalszą drogę. Opływaliśmy półwysep arabski dookoła i przez Bab-el-Mandeb wpłynęliśmy do Zatoki Perської. Po jakiś dwóch dalszych dniach dotarliśmy do dużego portu w Basra. W tamtych stronach miał być kiedyś biblijny raj. Obecnie rajsko tu nie wyglądało. Brud i nieporządek, za to z palm niewiele zostało. Ale Basra nie była celem naszej podróży. Jakimś dość rozklekotanym, egzotycznie niemal wyglądającym pociągami powieziono nas na północ, do Iraku. Jakimi drogami wieziono nasze działa i cały sprzęt, tego nie wiedzieliśmy. W każdym bądź razie wszystko dotarło także do naszego nowego miejsca postoju. Tam odbywało się dalsze szkolenie. Mnie zaś i szereg innych kolegów-cenzusowców czekała szkoła podchorążych.

Zanim znalazłem się na podchorążówce, przeżyliśmy w pułku razem ze Staszkiem bardzo ciekawy okres. Rzeczą najważniejszą była coraz głębsza przyjaźń między nami. W Iraku jego fantazja twórcza zaczęła nabierać coraz większe rozmiary, a że mnie traktował jako jednego ze swoich powierników. Włączał mnie chętnie w swoje plany. Planem najśmielszym było zorganizowanie teatru na pustyni i temu tematowi pragnę poświęcić to opowiadanie. Przed tym jednak warto wspomnieć inną wspólną przygodę. Z nowego miejsca postoju mogliśmy jeździć do kąpieli w niezbyt odległej rzece Little-Zab. Pewnego dnia rozmawiając sobie ze Staszkiem odeszliśmy wzdłuż rzeki spory kawałek od miejsca zatrzymania się naszych samochodów. Woda była tu płytsza i bardziej rozlewna. Nagle stanęliśmy jak wryci: po drugiej stronie rzeki stało duże stado bawołów i patrzyło na nas. Ogromne ich cielska, potężne, włochate łby i jeszcze potężniejsze kręcone rogi mogły najodważniejszego przestraszyć. – „Co robimy?” – szepnąłem. – „Nic, tylko stać i nie ruszać się” – szeptem odpowiedział Staszek. I tak staliśmy – my i bawoły i na siebie bez ruchu patrzyli.

Rada Staszka była bardzo mądra: po jakimś czasie bawoły się odwróciły i poszły swoją drogą. Odetchnęliśmy.

Przygoda z bawołami warta była przypomnienia, ale temat zasadniczy tego opowiadania jest inny. Być może nawet, że wtedy idąc naprzeciw nieprzewidzianemu niebezpieczeństwu rozmawialiśmy o teatrze, bo to od chwili powstania pomysłu zaprzętało nasze umysły najbardziej. – „Będziemy grali «Warszawiankę» Wyspiańskiego” – wyjawiał Staszek, kiedy w obozie doszliśmy do sedna sprawy. – „Ja będę reżyserował i zagram rolę Chłopickiego. Na inne role poszukamy ochotników. Twoją sprawą będzie scena i dekoracje.” – Staszek wiedział co chce, a zamierzenia nie były małe. Mnie przeznaczył zadanie, do którego, jego zdaniem, najbardziej się nadawałem. Mnie to też odpowiadało. – „Mam pomysł jak zorganizować scenę” – moja fantazja zaczęła z miejsca pracować. – „Ustawimy dwie duże transportówki bokiem do siebie. Boczne klapy będą spuszczone i na dwóch platformach powstanie scena dostatecznie duża dla naszej sztuki.” – „Widzisz, główny problem już rozwiązałeś. Muszę porozmawiać w dowództwie pułku, żeby nam dali dwa duże namioty, wiesz, takie jak mają do kasyna oficerskiego. Tam będziemy mogli prowadzić próby.” – „A co ze strojami? Bo chyba nie będziemy przedstawiali naszych «bohaterów» w battledresach... Spodnie z czasów napoleońskich możemy zrobić z naszych zimowych gaci. Zaszyć rozporki z przodu...” – „Dobry pomysł, ale ja mam dalej idące ambicje. Jak teatr, to teatr.” – „Chciałbyś poszyć inne stroje z epoki?” – „Co ja zamierzam, tego teraz ci nie powiem” – Staszek bez tajemniczości nie byłby Staszkiem i nie miałoby sensu coś więcej z niego wyciągać za nim on sam swoich pomysłów nie wyjawi.

Realizację najważniejszych punktów programu zaczęliśmy bezzwłocznie. Staszek uzyskał w dowództwie nawet częściowe zwolnienia z zajęć, aby mieć dość czasu na robienie prób. Namioty przydzielone bez zastrzeżeń szybko „stały na nogach” i z miejsca zaczął Staszek „musztrować” swoich „aktorów”. Robił to tak pilnie, że swojej własnej roli wcale się nie uczył. – „Ty nas napędzasz, a co z twoją rolą Chłopickiego?” – „O moją rolę nie musicie się martwić. Nauczę się jej na czas.” Chłopaki jednak nie były zbyt zadowolone i dalej Staszka krytykowali. Zareagował na to w swój charakterystyczny sposób: – „Dajcie mi spokój, ja wiem ile czasu potrzebuję na nauczenie się czegoś na pamięć.” A kiedy któryś coś jeszcze mruczał, dodał: „Nie wierzycie, to dajcie mi jakiś wiersz na dwie strony. Zakładam się o funta, że w ciągu piętnastu minut nauczę się go na pamięć.” Co za propozycja! Pewni wygranej koleldzy zaczęli zaraz szukać wiersza w tych rozmiarach. O jakiś spory zbiór poezji nie było trudno. „Zastrzegam się tylko, że to nie będzie deklamacja, lecz nauczenie się na pamięć. Jeśli zatnę się i przez dwie minuty nie będę potrafił

mówić wiersza dalej, wtedy wy wygraliście.” Znalazł się też i sędzia ze stoperem. – „Jeszcze jeden warunek: Jak skończę się uczyć, muszę mieć jeszcze pięć minut na powtórkę bez książki” – „Zgoda.” I Staszek zaczął czytać swój wiersz na sygnał sędziego. Takie skupienie widzieć jest rzadką rzeczą. Staszek czytał, czasem zamykał książkę na chwilę i znów czytał... Co minutę sędzia podawał czas... Kiedy minęła piętnasta minuta, chłopaki dosłownie wyrwały Staszko-  
wi książkę z rąk. – „Czekajcie, jeszcze muszę na coś spojrzeć...” – Spojrzec dali, więcej nie. Pozostawało jeszcze pięć minut na powtórkę bez książki, po czym Staszek przyjął typową dla niego postawę – nogi lekko rozstawione, głowa pochylona do przodu i, na znak sędziego, zaczęła się wypowiedź wiersza. Były chwile, że się zacinał, ale nie na długo. Pot skraplał się na skupionym nadmiernie czole, ale Staszek mówił wiersz dalej. Nagle stanął. Widać, że nie wiedział, jak idzie dalej. Kilka kroków do przodu, kilka z powrotem... Sędzia ze stoperem tylko czekał. Inni koledzy myśleli, że to już koniec. Koniec jednak nie był. Sędzia podnosił rękę do góry, kiedy Staszek się przełamał i poszedł do przodu! Aż do końca! Nie do wiary, ale Staszek wygrał zakład. Uznanie, które nim uzyskał było ogromne. Nikt nie miał wątpliwości, że Chłopicki też da sobie rady ze swoją rolą.

Dalsze przygotowania szły gładko. Z dekoracjami nie miałem wiele do roboty. Do sceny, którą przedstawialiśmy wystarczył jeden stół i jedno krzesło. Na prawdziwej scenie było na pewno więcej mebli, ale na warunki pustynne to musiało wystarczyć. Uważałem jednak, że na ścianach nie mogło zabraknąć portretów. Miałem kredy kolorowe, kartoniki i portrety były szybko gotowe. Nie bardzo mi się one jednak podobały, więc kartoniki odwróciłem na drugą stronę i namalowałem portrety (chyba) lepsze. Śmieliśmy się, że mieliśmy portrety „przodków” z przodu i „tyłków” – z tyłu. Co nam najmniej brakowało, to był humor. Ktoś się spyta, jak Staszek rozwiązał tajemniczą sprawę kostiumów? Po prostu pojechał na przepustkę do Bagdadu i tam załatwił stroje w teatrze bez większych problemów. Trzeba było tylko mieć głowę Staszka do odpowiednich pomysłów.

Samo przedstawienie odbyło się wieczorem, przy światłach reflektorów samochodowych. Teatr na całego. Cały chyba pułk oglądał. Wrażenie nieprawdopodobne. Teatr na pustyni! Przy całej dramatyczności sceny śmierć „Starego Wiarusa” wypadła nieco humorystycznie: chłop runął na ziemię i basta. A Wiarus był ostatnim żołnierzem, który został przy życiu po krwawej bitwie i scena jego śmierci, po dotarciu resztkami sił do wodza-Chłopickiego była rolą wielkiej miary, na którą nikogo między nami nie byłoby stać. Genialnie zagrał ją kiedyś Solski i rolę tą zyskał sobie od razu sławę. Tym nie mniej nasz wyczyn na pustyni był czymś niezwykłym a przypomnienie takich

marginesowych chwil jest ważnym przyczynkiem na tle wielkich wydarzeń historycznych. Dlatego opisuję.

W Iraku, jeszcze przed ponownym wyjazdem do Palestyny, a już po podchorążówce, nasz pułk zrobił jeszcze jedno widowisko sceniczne: „Wieczór igrców”. Był to rodzaj kabaretu i Staszek w to niezbyt się angażował. Ja przygotowałem sobie sam rolę i ją zagrałem: warszawskiego pijaczyny „Walerego Wątróbki” w stylu Wiecha. Całość przygotowywali różni żołnierze z różnych baterii. Głównym „macherem” był Tadek Malinowski<sup>19</sup>. Nie pamiętam wiele

---

19. Tadeusz Gedymin Malinowski (1919–2022). Przed 1939 rokiem był studentem wydziału lekarskiego w Polsce. Po wybuchu wojny przebywał m.in. w Wilnie, gdzie został aresztowany przez NKWD w czerwcu 1941 roku. Został uwięziony w Gułagu w Kraju Altajskim (Akyr-Tiube) skąd został zwolniony w lutym 1942 roku. Dołączył wówczas do formującej się 10. Dywizji Piechoty w Ługowoje. Służył w Armii Polskiej na Wschodzie (następnie w 2. Korpusie) w 3. DSK (nr ewidencyjny: 52, był podporucznikiem w 2. pułku artylerii lekkiej). Po przejściu szlaku bojowego we Włoszech – rozpoczął ponownie studia medyczne w Bolonii. W 1946 roku otrzymał on stypendium Obra Católica de Asistencia Universitaria i wraz z T. Wojnarskim oraz M. Sokołowskim wyjechał z pierwszą grupą polskich studentów do Hiszpanii, gdzie mógł kontynuować naukę w tej dziedzinie. Malinowski, razem z kolegami, mieszkał w specjalnie utworzonym domu akademickim, który dla studentów z Europy Środkowo-Wschodniej założyli Hiszpanie (Collegio Mayor de Santiago Apóstol). Wspólnie z nimi założył on Związek Akademików Polaków w Hiszpanii, w ramach którego aktywizował się zwłaszcza w latach 1946–1948. W ramach tego podmiotu współorganizował on chór męski oraz biuletyn „Przed Jutrem”. W kwietniu 1948 roku wstąpił jako nowicjusz – wraz z T. Wojnarskim – do klasztoru. Po krótkim czasie go opuścił. Ponieważ był zawiedziony studiami medycznymi w Hiszpanii, zmienił fakultet na prawo. W 1955 roku ożenił się z Asturyjką Aną Rubio Camino. Rok później, w 1956, został ojcem chrzestnym syna T. Wojnarskiego – Antoniego. W latach 1959–1966 mieszkał z żoną w Chile. Zmarła ona w 1966 roku. Następnie w 1984 roku ożenił się z Sarą Suarez Solis (1925–2000), znaną hiszpańską pisarką i feministką. Od 1987 roku T. Malinowski studiował teologię w Oviedo, później, mając ponad 90 lat – rozpoczął antropologię kulturową na uniwersytecie internetowym. W latach 80. i 90. XX mieszkał w Asturii i był zaangażowany w życie hiszpańskiej Polonii. Wspierał różne inicjatywy polonijne, jak chociażby czasopismo „Polonia” wydawane w latach 1993–1996 przez Danutę i Andrzeja Dworskich. Najprawdopodobniej był on współzałożycielem Towarzystwa Wychowanków Bursy im. św. Jakuba Apostoła (Asociación de Antiguos Colegiales del Colegio Mayor Santiago Apóstol), które powstało w celu zrzeszenia polskich absolwentów i stypendystów tej hiszpańskiej inicjatywy. W 2015 roku ukazała się jego książka zatytułowana „Un hombre no acabado – Clave de las desgracias y de los acertos de nostra especie” (tłum. Człowiek – istota niedoskonała. Klucz do zrozumienia nieszczęść i sukcesów naszego gatunku). Dwa lata później została ona wydana także w Polsce. Również w 2017 roku Malinowski opuścił Hiszpanię i wyjechał do córki Marii Pauli do Krakowa. Później mieszkał u syna Piotra we Frankfurcie, aż w końcu powrócił do stolicy Małopolski. Tam zmarł 1 stycznia 2022 roku, w wieku 102 lat – zob. źródła prywatne i badania internetowe zebrane przez Tadeusza Wojnarskiego juniora, Piotra i Marię Paulę Malinowskich; A. Banaszak, *Polonia hiszpańska. Charakterystyka historyczno-społeczna*, „Studia Polonijne” 2001, nr 22, s. 177–178; *Sylwetki Polonusów. Tadeusz Malinowski*, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1996, nr 30, b.p.; A. Dworski, *Hiszpania*, [w:] *Akcja Niepodległościowa na terenie międzynarodowym 1945–1990*, pod red. T. Piesakowskiego, Londyn 1999, s. 343–344.

z tej imprezy, ale aby nie uległa całkowitemu zapomnieniu, choć krótko – tu ją „uwieczniam”.

## NA PODCHORAŻÓWCE<sup>20</sup>

W Iraku, jak już nadmieniałem, miało miejsce dalsze szkolenie, zwłaszcza przyszłych kadr oficerskich. Na podchorążówkę artylerii lekkiej zostałem odkomenderowany jako jedyny z 5-ej baterii. Nasz obóz znajdował się w rejonie Kanakhinu. Kilka kilometrów dalej była wielka rafineria ropy naftowej, co się odczuwało wyraźnie, kiedy wiatr wiał z tamtego kierunku. Na kursie, który miał trwać około pół roku, zgromadzeni zostali cenzusowcy z pułków artylerii lekkiej 3-ciej Dywizji Strzelców Karpackich oraz 5-tej Dywizji Kresowej, która uformowana wcześniej na terenach sowieckich została ewakuowana na Środkowy Wschód po nas. Szkolono nas oddzielnie. My nazwani zostaliśmy Baterią 2-gą, Kresowiacy zaś 1-szą. Instruktorów mieliśmy też oddzielnych, choć programy były takie same. Różnice zauważyliśmy dopiero przy promocjach, kiedy Bateria 1-sza dostała pięć pierwszych lokat na sumarycznie 92 alumnów. W baterii byłem drugi, więc w całej podchorążówce siódmy. Wszyscy byliśmy zgodni, że nasi instruktorzy dawali niższe noty od tych z 1-szej baterii. Co dla nas było najważniejsze, tak samo jak w baterii liniowej, to koleżeństwo. Atmosfera na naszym kursie była znakomita. Instruktorami byli oficerowie młodzi, którzy mieli w znacznym stopniu stosunek do nas jak do przyszłych kolegów. My zdawaliśmy sobie sprawę z respektu, jaki byliśmy im winni, oni zaś uważali, że my jako przyszli oficerowie musimy być „doskonalemi”. Owszem, były raporty karne i kary, ale te były całkiem niekonwencjonalne. One miały rozwijać w alumnach fantazję, szybkość myślenia i decyzji. Tu chcę opisać tylko dwa przykłady takich „doskonaleń”. Przy jednym kolega z naszego namiotu stawał do raportu karnego. Kiedy „przestępcy” stali jeszcze w rzędzie przed namiotem oficerskim, my z naszego namiotu czekaliśmy tylko sygnału. Kiedy „kara”

---

20. W tym okresie T. Wojnarski służył już w ramach 2. Korpusu. 21 lipca 1943 roku, rozkazem Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego, z jednostek Armii Polskiej na Wschodzie został utworzony 2. Korpus, którego dowództwo objął gen. Władysław Anders. Na początku 1944 roku w jego skład wchodziły już m.in. 3. Dywizja Strzelców Karpackich, 5. Kresowa Dywizja Piechoty, 2. Samodzielna Brygada Pancerna, 2. Armijna Grupa Artylerii – zob. J. Żak, *Nie walczyli dla siebie. Powojenna odyseja 2. Korpusu Polskiego*, Warszawa 2014, s. 31 i n.

została wypowiedziana, kolega odwracał się i krzychał, na co został „skazany”. W wypadku tu opowiadanym kolega z namiotu musiał w ciągu trzech minut zameldować się jako arab. Z daleka to wołał, a my w akcji solidarności przygotowaliśmy wszystko, co tylko mogło być potrzebne. Tak więc jeden ściągał z łóżka „delikwenta” prześcieradło i czekaliśmy tylko, aby go zaraz nim owinąć; drugi jakimś grubym sznurem i zawiązywał głowę „Araba”; ja wyciągnąłem moje farby i malowałem sumiaste wąsy (bo jak Arab bez wąsów); inny kolega przepasywał go zwykłym pasem wojskowym; któryś wetknął zań żołnierski bagnet i nie minęły trzy minuty jak z polskiego podchorążego był „Arab” jak się patrzy.

Kiedy indziej stało w rzędzie trzech kolegów, nie pamiętam, czy któryś z naszego namiotu, co zresztą nie było najważniejsze. Grunt, aby wszyscy solidarnie w takim „doskonaleniu” brali udział. To była w zasadzie zabawa, ale ona spełniała rzeczywiście zadanie „doskonalenia”. W tym drugim wypadku stało trzech „przestępców”. Po otrzymaniu „kary” równocześnie się odwracali i krzyczeli: „Za pięć minut jako myśliwi.” I już ktoś znalazł jakieś kurtki skórzane, inni wyciągnęli wysokie gumowe buty na błoto, spodnie wsadzono do środka, kapelusze tropikalne, bo takie przecież mieliśmy, na głowy, karabiny przez ramię z lufą w dół i w pięć minut myśliwi biegle pędem pod namiot oficerski. Nie wiem jeszcze skąd ktoś zdążył złapać jakiego dzikiego psiaka czy szakala i jeden z „myśliwych” ciągnął go na sznurku. Za takie kary instruktorzy dostawali miano „dobrych wariatów”. Bo w naszej podchorążackiej kwalifikacji ludzi, na świecie byli sami tylko wariaci. Z tym, że dzielili się na dwie klasy: dobrych wariatów i kiepskich wariatów. My w samym założeniu byliśmy „dobrymi wariatami”, choć jak któryś podpadł, to tego druzgocącego miana mu nie oszczędzono. Oczywiście ten poniżający tytuł odnosił się także do instruktorów, jeśli wymyślili „doskonalenie się” na to zasługujące. Najgorszym chyba z ich pomysłów było przetoczenie działa z parku przed namiot oficerski. Teren, na którym nas ulokowano nie był bynajmniej wyrównany. Nie tylko był pochyły, ale pełen kamieni mniejszych i większych. Grupa ukarana była dość duża i na terenie prostym mogłaby nawet takie ciężkie działo jak nasze przetaczać, ale kiedy przy jakimś kamieniu tak je zarzuciło, to jednemu z kolegów mało nóg nie połamało. Takie „wariactwo” kwalifikowało się do bardzo kiepskich. Instruktorzy znali nasze oceny i musieli się z nimi liczyć. To w zasadzie było nie tylko słuszne, ale i sprawiedliwe.

W sumie, jak z powyższych opisów można wywnioskować, atmosfera była nie tylko dobra, ale przyprawiona dużą dozą humoru. Od początku wnosili to sami oficerowie. Dla przykładu: w naszym namiocie znaleźli się koledzy

o takich nazwiskach jak Kot<sup>21</sup> i Mleczek<sup>22</sup> oraz Żaba<sup>23</sup> i Bajorek<sup>24</sup>. To nie był przypadek, tylko fantazja oficerska. Szef baterii zaraz na początek przy apelu podchorążych zapytał: kto potrafi pisać? Wszyscy wiedzieli, że to będzie jakieś naciąganie, więc szybko zgłosił się na ochotnika jakiś „mąż uczony w piśmie” – „Tam stoi miotła. Opiszcie to podwórze”.

W takiej atmosferze formowana fantazja musiała przy jakichś okazjach znajdować swojego wentyla. Jeden z takich „występów” chcę tu wspomnieć. W niedalekim sąsiedztwie podchorążówki stacjonowały inne polskie oddziały. Od czasu do czasu podchorążowie musieli pełnić służbę. W tym wypadku była to służba kontrolna na cały pobliski teren wojskowy. Raz znalazłem się w nocnym patrolu kontrolnym. Przemaszerowaliśmy spory teren w jedną i drugą stronę, aż do znudzenia. Nagle widzimy służbowego jakiegoś z oddziałów smacznie sobie śpiącego. Zrobić normalny meldunek, raport i to co by do reguły należało nie byłoby w duchu „wariackim”. Wtedy ktoś proponuje: „Panowie, wyjmijmy z zaparkowanych samochodów siedzenia i postrzelajmy trochę, to będzie efekt w naszym stylu.” Pomysł został jednomyślnie przyjęty. Skoro służbowy spał, nie było problemu z wyjęciem kilku siedzeń, czy raczej poduszek na siedzeniach. Potem odbiegliśmy trochę, seria strzałów z karabinów po uprzednim zawołaniu: „Stój kto idzie, stój, bo strzelam!” Służbowy obudził się przerażony. „Wy tu śpicie, a jacyś Arabowie pokradli poduszki z samochodów. Idziemy na wartownię!” Poszliśmy na wartownię i został zrobiony odpowiedni „meldunek”. Kilka dni później przyszło z tamtego oddziału podziękowanie dla podchorążych!

Niezależnie od tego szkolenie, z całym jego programem, braliśmy poważnie. Mieliśmy zarówno teorię jak i ćwiczenia praktyczne. Ja lubiłem szczególnie „strzelanie na poligonie”. Zmniejszony w skali „poligon” był zaopatrzonej w linie kierunkowe i kąty, ale tak, że strzelający ich prawie nie widział, tylko ten, który musiał pokazywać „wybuchy”. Był to oczywiście któryś z nas. Na końcu coś metrowego kija miał zaczepioną sporą czerwoną szmatę wewnątrz wypchaną innymi szmatami. Strzelający dawał komendę – odległość celu i kierunek. Pokazujący musiał odpowiednio miejsce odnaleźć, opuścić

---

21. Prawdopodobnie Henryk Sylwester Kot – ur. w 1921; numer ewidencji w 3. DSK: 44, podporucznik w 1. Pułku Artylerii Lekkiej, odznaczony Krzyżem Walecznych – zob. *Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 1942–1947*.

22. Henryk Mleczek – ur. w 1918 roku; numer ewidencji w 3. DSK: 18, podporucznik w 1. Pułku Artylerii Lekkiej – zob. tamże.

23. Prawdop. Andrzej Żaba – ur. w 1909 roku; numer ewidencji w 3. DSK: 7, oddelegowany do dowództwa dywizji, odznaczony Krzyżem Walecznych, poległ 6.07.1944 r. – zob. tamże.

24. Zygmunt Bajorek – ur. w 1915 roku; numer ewidencji w 3. DSK: 30, podporucznik w 3. Pułku Artylerii Lekkiej – zob. tamże.

na nie „bombę” i zawołać „wybuch”. Po tym następowało „wstrzeliwanie” się. Strzelający podawał poprawki – np. 400 jardów dalej. Bo nasze działa miały na celownikach odległości w jardach. Jeśli kierunek był także niezbyt dobry, to poprawka była w stopniach. Po oddaniu drugiego strzału trzeba było obserwować, czy pocisk spadł przed czy za celem. Jeśli był wciąż „krótki”, to nowa dana ogniowa musiała być wydłużona. Np. znów 400 jardów dalej. Albo odległość oceniona w jardach. Upadł pocisk za celem, znaczyło, że ten był gdzieś pośrodku. Komenda: 200 jardów bliżej – była oczywista. Dwa wybuchy 100 jardowe za i dwa przed celem znaczyło „cel wstrzelany”. Dowodzący musiał jeszcze podać dane wstrzelania – kierunek i odległość i dać rozkaz – „Zapisz dane ogniowe, cel ten i ten.” Zabawa interesująca. Strzelania ostre na poligonie prawdziwym mieliśmy oczywiście także – przed samym końcem szkolenia.

Na froncie dowodzi ogniem baterii jej dowódca z punktu obserwacyjnego przy oddziale piechoty, który wspiera. To dotyczy małego działania, bo przy akcjach dużych ma to miejsce na szczeblu dywizjonu lub pułku, albo wręcz dywizji. Rozkazy przychodzą do baterii drogą telefoniczną lub radiową, jeśli łączność nie miała czasu przeciągnąć linii telefonicznych. W sumie biorąc nie miałem żadnych trudności z przyswajaniem sobie wiedzy artyleryjskiej. W znacznym stopniu były mi pomocne wiadomości w zakresie matematyki, szczególnie przy nauce topografii. Trudniej mieli „humanisci”, albo ci z „małą maturą”. Ci najwięcej „kuli”. Ja kuć nie musiałem, a mimo to przez długi okres byłem „prymusem” w baterii. Piszę to nie tyle by się pochwalić, lecz ze względu na późniejszy epizodzik szczególnie śmieszny. Kiedyś instruktor od topografii wymawiał nam, że mało się uczymy, że na poprzednim kursie podchorążówki prymus „kuł” do późnej nocy... Wtedy cała klasa w śmiech. „Dlaczego się śmiejecie?” – Zapytał instruktor. – „Bo obecny prymus chodzi spać z kurami”. I rzeczywiście, moją metodą na dobre uczenie się było solidne wysypianie się. Umysł wypoczęty zachowuje w pamięci wszystko dużo lepiej niż zmęczony.

Inna rzecz, że koledzy nieraz ze mnie się śmieli z powodu tego „systemu”. Wręcz wyrafinowany był w tym mój sąsiad łóżkowy, Henio Mleczek. Ponieważ wówczas było dość chłodno, zeszyłem sobie jeden koc we worek. Henio miał uciechę, kiedy się złościłem jak mi do worka powkładał jakieś rzeczy. A jak włożył sam do mojego worka, trudno było się nie złościć. Ale to nic nie pomagało, bo Henio mimo wszystko był moim najlepszym kumplem. Wtedy mógłbym sobie przypomnieć, jak ja dokuczałem Staszce. Obydwaj byli długo moimi najlepszymi przyjaciółmi. Z Heniem znaleźliśmy się wkrótce w jednej baterii. Ale o tym trochę później.



## PALESTYNA: NA KURSIE MATURALNYM

Po podchorążówce wróciliśmy do pułków. Przyszło niemożliwie gorące lato 1943 roku. Temperatura przekraczała nieraz 50 stopni. Wtedy nie wiedziałem nawet, że tamtędy przechodziły najwyższe izotermi. Broniliśmy się jak mogli sami, a dowództwo wydawało odpowiednie rozkazy. Tak więc należało pić dziennie najmniej pięć litrów płynów. Wypacana woda pozbawiała organizmu soli, więc wydawano ją żołnierzom w kuchni. Kucharz nie miał prawa dać obiadu temu, który swej pastylki na jego oczach nie połknął. Zajęcia kończyły się o dwunastej, zaczynały dopiero o piątej południu. W międzyczasie nie należało wychodzić z namiotów, a jeśli ktoś musiał, to tylko w hełmie tropikalnym. Wody jednak nie brakło nigdy. Nie tylko do picia, ale też do umycia się pod prysznicem. Przywożono ją w cysternach zawsze w dostatku.

Pod koniec lata wyjeżdżaliśmy z Iraku bez żadnego żalu. Znów do Palestyny i tą samą drogą co po wyjeździe z Sowieców, przez pustynię Syryjską. Ale jak wyglądała ta pustynia teraz! Wtedy była tu wiosna i deszcze, które spadły obficie, zbudziły do życia bujne trawy. Tu, gdzie teraz, w końcu lata, były tylko same kamienie i piasek, rósł zielony, bujny step. Czarne, bazaltowego pochodzenia kamienie i głazy czyniły ten krajobraz szczególnie ponurym. Ale my jechaliśmy do Ziemi Obiecanej! Tym razem chyba na rozczarowanie: pardeśów pomarańczowych już więcej nie widzieliśmy. Tu też panowały nieznosne upały, choć nie takie jak w Iraku. Nasz pułk umieszczono w innym obozie niż dawniej, w terenie jeszcze bardziej pustynnym niż Qastina.

Z tamtych czasów nie mam nic ciekawego do wspomnienia. Ważne natomiast było to, co nastąpiło wkrótce: kurs maturalny w obozie Barbara<sup>25</sup>. Dla tych, których wojna zastała przed maturą dowództwo Korpusu, w trosce nie tylko o wiedzę bojową żołnierzy, zorganizowało półroczny kurs maturalny. Tak więc zjechało się w Barbara ponad czterystu gimnazjastów i kilkunastu profesorów. Wszyscy w najrozmaitszych stopniach wojskowych. Tu stopnie

---

25. W palestyńskim obozie „Barbara” została założona Junacka Szkoła Kadetów (sierpień 1942). Miała ona nawiązywać do przedwojennej tradycji Korpusu Kadetów. Jej założeniem było wyszkolenie kadr dla wszystkich rodzajów broni. Program obejmował 5 godzin nauki i 2 godziny szkolenia wojskowego dziennie. W latach 1943–1945 w szkole pobierało nauki około 1200 kadetów. Szkoła ta była ważnym ośrodkiem kulturalno-oświatowym. Korzystając z tej infrastruktury, zorganizowano 5-miesięczne kursy maturalne dla żołnierzy 2. Korpusu, którzy z powodu wybuchu wojny przerwali naukę przed ukończeniem szkoły średniej. Kursy prowadzili przedwojenni nauczyciele czy nawet wykładowcy akademicy. Organizacja kursów była możliwa do realizacji także z tego powodu, iż wszystkie jednostki 2. Korpusu przeszły już pełne przeszkolenie techniczno-bojowe – zob. J. Draus, *Szkoły i studia na włoskim szlaku 2 Korpusu Polskiego*, „Dzieje Najnowsze” 2021, r. LIII, nr 2, s. 69.

nie odgrywały roli. Mieliśmy więc kolegów szeregowych, podchorążych, a nawet kilku już oficerów oraz profesorów strzelców. Najważniejsze było ustosunkowanie się do nauki. Teraz byliśmy wszyscy dużo dojrzalsi niż w roku 1939. Pragnęliśmy czegoś się nauczyć. Profesorowie nie mieli ani odpowiednich materiałów, ani laboratoriów, ani podręczników, ale szczerze pragnęli w miarę trudnych warunków nas czegoś nauczyć.

Barbara to był obóz dość duży. Zabudowany licznymi drewnianymi barakami, w których urządzono klasy ze stołami i ławkami. Wszystko proste, ale jak w normalnych szkołach. Uczniowie mieszkali w namiotach, w których były łóżka polowe. Byliśmy równocześnie uczniami i żołnierzami. Organizacyjnie wyglądaliśmy jak wojsko. Mieliśmy porządek i program podobny jak w bateriach, tylko „szkolenie” było inne. Mieliśmy szefów jak w normalnym wojsku, którzy byli odpowiedzialni za porządek. Każdego ranka była normalna pobudka, gimnastyka, modlitwa, apel poranny. Kto nie dbał o zasłanie swego łóżka, dowódca szkoły mógł zrobić „lotnika” i winowajca miał dużo więcej do roboty ze zrobieniem porządku niż z porządnym pościeleniem łóżka.

Nie zamierzam rozwodzić się na temat działalności tej szczególnej szkoły. Z całą pewnością było to przedsięwzięcie nader pożyteczne. Mnie najbardziej pasjonowały lekcje języka polskiego. Mieliśmy wspaniałego profesora – por. Staszewskiego<sup>26</sup>. Jego lekcje dały mi dużo więcej niż wszystkie ostatnie lata gimnazjum. Dzięki profesorowi Staszewskiemu potrafię po polsku jako tako pisać. Trudno zapomnieć czytania dzieł literatury polskiej. Książek trochę było, ale nie wystarczyłoby ich dla wszystkich. A czytania naszego profesora dawały więcej niż czytanie samemu. Miały one miejsce w zasadzie w wolnym czasie, wieczorami. Ale chyba wszyscy na nie przychodzili, bo to było coś niezwykłego. Także w pisaniu wypracowań prof. Staszewski miał swój styl. Pisaliśmy dużo, a każdy temat wymagał innego podejścia, innej interpretacji, innego sposobu wyrażania się. Prof. Staszewski najpierw tłumaczył na czym polegało opowiadanie a na czym sprawozdanie czy inny rodzaj literacki.

Największe trudności miałem z łaciną. Ostatecznie nie byłem uczniem liceum humanistycznego, tylko matematycznego. Pani profesor ochotniczka Mostowicz, siostra znanego pisarza, kiwała tylko głową: – „Pan podchorąży z łaciną to tak aby – aby.” Ale nie oblała mnie. Z łaciny dostałem „dostatecznie”.

---

26. Kpt. mgr Henryk Staszewski był przedwojennym kuratorem Warszawskiego Okręgu Szkolnego. Został wyznaczony kierownikiem (dyrektorem) kursów maturalnych w obozie „Barbara”. Później w 1945 roku, Henryk Staszewski został kierownikiem nauczania Kursów Maturalnych nr 2 we włoskim miasteczku Matino – zob. Jan Draus, *Szkoły i studia...*, s. 72; W. Narębski, *Szkolnictwo średnie i wojskowe 2. Korpusu Polskiego*, „Prace Komisji Historii Nauki Polskiej Akademii Umiejętności” 2010, nr 10, s. 269.

Kurs maturalny miał dla nas jeszcze inny wymiar. To był powrót do „lat cielejących”, które straciliśmy. Teraz to nadrabialiśmy. Nasze „wygłupianie się” było sztuczne, a sztuczność była świadoma. Bawiliśmy się w sztubaków, którymi nigdy nie byliśmy. W jakiś sposób to się nawet udawało, a w każdym bądź razie nikomu szkody nie przynosiło. Brakowało nam kontaktów z koleżankami. Staraliśmy się i to odrobić. W Jeninie było gimnazjum żeńskie<sup>27</sup>. Jeździliśmy tam autostopem, bo żadnych połączeń oficjalnych nie było. Miałem tam także „moją” dziewczynkę. Nawet byłem „zakochany”, tylko że w tym zakochaniu więcej było pozy jak rzeczywistości. Ostatecznie zdawałem sobie sprawę z nonsensu jakiegoś zaangażowania się uczuciowego. Dla tych, którym było dane przeżyć tamten kurs maturalny, stał się on całkiem szczególnym, niezapomnianym wycinkiem z życia. A że przez organizatorów był brany poważnie, dowodem jest fakt surowych egzaminów. Około 1/3 alumnów świadectwa maturalnego nie dostało.

## WE WŁOSZECH NA FRONCIE

### POWRÓT DO PUŁKU Z PRZYGODAMI

W międzyczasie nasze oddziały znalazły się już we Włoszech na froncie<sup>28</sup>. Po zakończeniu kursu maturalnego musieliśmy do nich dołączyć. Nie wiedzieliśmy tylko z jakimi nieprzewidywanymi przygodami będzie to związane.

---

27. T. Wojnarski mówiąc o „gimnazjum żeńskim” miał na myśli Szkołę Młodszych Ochotniczek w Jeninie. Historia nauki dziewcząt na szlaku 2. Korpusu wyglądała następująco: początkowo wszystkie kobiety skierowano początkowo do Rehovoth. Tam nastąpił podział na dwie grupy: młodszą, którą przeniesiono do szkoły cywilnej, zorganizowanej w Ein Karem koło Jerozolimy i starszą, kontynuującą naukę w Szkole Młodszych Ochotniczek. Została ona niebawem przeniesiona do miasta Jenin, a następnie do Nazaretu, gdzie w budynku klasztoru OO. Franciszkanów i kilku mniejszych działała do sierpnia 1947 roku. Następnie przeniesiono ją do Wielkiej Brytanii – W. Narębski, dz. cyt., s. 265

28. W lipcu i sierpniu 1943 roku 3. DSK została przesunięta z Iraku do Palestyny, gdzie osiągnęła gotowość bojową. Na przełomie 1943 i 1944 roku, wraz z całym 2. Korpusem, przetransportowano ją do Włoch. Tam 2. Korpus wszedł w skład brytyjskiej 8. Armii, dowodzonej przez gen. Olivera Leesę. Operowała ona w rejonie Adriatyku. Współtworzyła ona – razem z 5. Armią amerykańską gen. Marka Clarka - 15. Grupę Armii, dowodzoną przez gen. Harolda Alexandra. W lutym 1944 roku 3. DSK zluźowała brytyjską 78. Dywizję Piechoty przy rzece Sangro. W następnych miesiącach wzięła udział w walkach o przełamanie niemieckiej obrony na Linii Gustawa – zob. *Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 1942–1947*.

Przygodą pierwszą była wspólna podróż z przestępcami 2. Korpusu zwolnionymi z więzienia wojskowego. Razem z tą bandą załadowano nas do pociągu jadącego do Egiptu. My bez broni, a oni bez eskorty. Ich było z pewnością mniej niż nas, ale w jakiegokolwiek konfrontacji nie mielibyśmy szans dać sobie z nimi rady. Staraliśmy się więc ich nie prowokować. Na pierwszej stacji w Gazie wyszli oni z pociągu zaopatrzyć się w bufecie, przede wszystkim w napoje alkoholowe. Przy tej okazji zabrali co tylko im się podobało, a kiedy żądano zapłacenia, lokal dokładnie zdemolowali. Już przed tym byli pijani, ale orgia zaczęła się dopiero teraz. Najwięcej wrażeń dawały ich „spacery” nocne. Chodzili z lampkami, które oświetlały ich twarze w sposób napełniający grozą. Nikomu jednak z naszych kolegów nic nie zrobili. „Załatwili” jakiegoś swojego, jednego Anglika wyrzucili przez okno, a ile trupów dojechało do stacji końcowej, tego nikt nie wiedział. Podobno czterech. Odetchnęliśmy, kiedy mogliśmy wysiąść z tego koszmarnego pociągu. Zawieziono nas ciężarówkami do „campu”, gdzie mieliśmy czekać na dalszy transport – do Aleksandrii. Przejazd przez Egipt mógłby być połączony z poznaniem choć części wspaniałych zabytków tam się znajdujących, wydany został jednak surowy rozkaz nie opuszczania campu. Nastąpiły ponure dni oczekiwania na wyjazd. Grupka bardziej przedsiębiorcza pojechała do Kairu bez przepustki, ale wiele nie zdołali zwiedzić, bo złapani przez angielską żandarmerię zostali odstawieni z powrotem do campu. Raport karny u polskiego dowódcy tej przedziwnej jednostki. – „Nie rozumiem po co wy tam jechaliście? Ja nie mam żadnej potrzeby tam jeździć” – oświadczył pułkownik. – „W Polsce też nieraz mieszkał chłop niedaleko dużego miasta i nigdy tam nie jeździł, bo nie miał potrzeby” – odpowiedział któryś z odważniejszych maturantów. – „Widzicie, widzicie...” – Widzieliśmy, że z oficerem na takim poziomie nie było o czym mówić. O tamtym pułkowniku mówiono, że on rzeczywiście nie miał potrzeby jeździć do Kairu, bo do jego namiotu, położonego poza campem, przywożono mu baby. Po co więc jeździć do Kairu? Po tamtym raporcie nie było żadnych konsekwencji, ale rozkaz zakazu opuszczania campu został zamurowany.

Odetchnęliśmy więc, kiedy nadszedł wreszcie dzień, w którym przewieziono nas do Aleksandrii i załadowano na statek i nie zobaczywszy w pięknym Egipcie niczego z jego wspaniałości, popłynęliśmy do Europy. Podróż morska o tej porze roku, to jest w miesiącu lutym, nie jest zbyt przyjemna. Ulokowano nas gdzieś pod pokładem na lufie okrętu i huśtania, nawet leżąc w hamaku, nie można było znieść. Postanowiliśmy więc szukać innego miejsca na statku, gdzieby bujanie fal nie dawało się tak odczuwać. Z kilkoma innymi poszliśmy na pokład górny i poszukali sobie leżącego miejsca bardziej pośrodku statku.

Choroby morskiej to jednak nie wykluczało. Co się zjadło, leciało zaraz za burtę. Czyli co? Należało głodować? Jakiś „wilk morski” dał mi dobrą radę: odwrotnie, należy jeść tak dużo, żeby w żołądku nie było luzów, wtedy nie ma się w nim co huścić. Spróbowałem tej metody i mogę ją polecić każdemu, kto wybiera się w podróż morską.

Jeśli ponurego pobytu w campie oraz podróży po wzburzonym Morzu Śródziemnym nie zaliczać do wydarzeń godnych określenia jako „przygody”, to inna, rzeczywista przygoda oczekiwała nas po wylądowaniu w Taranto i przewiezieniu do obozu przejściowego 7. Dywizji Zapasowej. Opowiem to pod prowokującym tytułem w następnym odcinku pt. „Dezercja na front”.

## DEZERCJA NA FRONT

Po burzliwych perypetiach, nie tylko na szczególnie rozhuśtanym o tej porze roku morzu, znaleźliśmy się w tak zwanej „zapasowej” 7. Dywizji w okolicach Taranto. Musieliśmy postawić namioty w równych rzędach – jak na wojsko przystało i zapoznać się z metodami szkoleniowymi starszych panów, którzy z jakichkolwiek powodów do służby frontowej się nie nadawali. W rzeczywistości ze szkoleniem nic to wspólnego nie miało i doszliśmy prędko do wniosku, że dla tych panów byliśmy przedmiotem zabawy w wojsko. Żeby to choć było przypomnieniem wiadomości wojskowych, które przez półroczne odkomenderowanie „do cywila” zostały poważnie umniejszone, to nikt by się nie krzywił. Ale nas traktowano jak rekrutów. Jediną rozrywką „twórczą” było układanie wzorów z kamyków przed namiotami. Na zapytania, kiedy zostaniemy odesłani do naszych oddziałów na front, zbywano nas wykrętnymi odpowiedziami.

Z 2-giego Karpackiego PAL-u było nas coś pięciu czy sześciu. Któremuś przyszło do głowy, że skoro nas nie chcą wysłać na front, to trzeba tam się dostać na własną rękę. Byliśmy młodzi, pełni inicjatywy, więc od pomysłu do jego realizacji nie musiała być droga długa. Tylko jak to zrobić? Najlepiej by było zabrać się z jakąś kolumną transportową zaopatrzeniową, które regularnie robiły dostawy na front. Wojskowo byliśmy różnych stopni, a wszyscy kiedzy jak by to nie było wojsko. Tym niemniej w takiej sytuacji musieliśmy też i my na swój sposób załatwić sprawę po wojskowemu. Większość była jeszcze zwykłymi kanonierami – ja podchorążym. Tylko jeden maturzysta zdążył wcześniej dostać gwiazdkę oficerską. Tak więc oświadczyliśmy naszemu kolidze-oficerowi, że musi być naszym dowódcą. Krzywił się, ale nie miał innego wyjścia, jeśli nie chciał zrezygnować z udziału w wyprawie.

Działać trzeba było ostrożnie, aby wodzowie tej zbrzydzonej „jednostki zapasowej” nie mieli satysfakcji poznając się nad uciekinierami. Tak więc skoro tylko udało się nam zdobyć wiadomość dotyczącą miejsca i pory odjazdu ciężarówek, wtajemniczyliśmy tylko kolegę służbowego – był przecież jednym z nas. Gdy się już ściemniło, przy świetle księżycy, obładowani każdy swoimi gratami, na przełaj przez pola, od cienia do cienia drzew, przeprawialiśmy się w kierunku „naszej” kompanii transportowej. Mijaliśmy w pewnej odległości namioty innego oddziału polskiego, a tu jakiś głos nagle ryczy: „Jak Boga kocham, uciekają z 7-mej Dywizji!” – „Cholery na ciebie nie ma” – westchnął któryś. „A taki pobożny...” – dorzucił inny. Baliśmy się, że jakiś żołnierz służbowy albo wartownik do nas się przyczepi i będzie po wszystkim. Ale jakoś nikt poza tamtym, co z zachwytem w głosie oznajmiał o tej awanturze, nie zainteresował się nami.

Do kompanii transportowej dotarliśmy bez żadnych już trudności. „No, wal teraz do dowódcy transportu” – oświadczyliśmy zgodnie naszemu koledze-oficerowi. Znów się wykręcał, ale nie miał żadnego argumentu przeciwnego i – chcąc nie chcąc – poszedł na poszukiwanie oficera-dowódcy transportu. „Będziemy szli w pewnej odległości za tobą” – podtrzymywaliśmy go na duchu, ale ty musisz mówić w naszym imieniu. Tak rozważając, spostrzegliśmy grupę żołnierzy rozprawiającą o czymś. „To pewnie odprawa dla kierowców” – szepnął któryś. Zatrzymaliśmy się w pewnej odległości od rozmawiających, a kiedy żołnierze rozeszli się i pozostał na miejscu tylko porucznik, szturchnęliśmy naszego podporucznika: – „Teraz!”. Teraz musiał zdać egzamin dojrzałości. Podeszedł do dowódcy transportówki sprężyć się, zaszalował zamaszycie i w krótkich słowach, bez owijania w bawełnę, wyłożył o co chodziło. Zagadnięty odwrócił się na półtyłem do nas i w kierunku niczym oświadczył: „Ja o niczym nie wiem. Na samochodach jest dość miejsca, a na postojach, w kuchni dość jedzenia”. Po tym odmaszerował do swojego wozu. Morowy facet! Wojskowo biorąc jedyna możliwość tak zareagować. „Panowie, na wóz!” – zakomenderował nasz „wódz”. Był z siebie teraz zadowolony. Wdrapaliśmy się na pierwszą z brzegu ciężarówkę. Miejsca było w niej sporo. Zaciągnęliśmy szczerlnie plandekę, bo i noc była chłodna i po co miał ktoś na nas zwracać uwagę? Nad ranem kolumna się zatrzymała. Wyszliśmy dla rozprostowania kości. Za jakieś drzewko też trzeba było iść. Zauważyliśmy, jak kierowcy z menażkami szli w jakimś określonym kierunku. Wzięliśmy więc i my nasz sprzęt kuchenny i pomaszerowaliśmy w tymże kierunku. Bez żadnego pytania kucharz nalał nam kawy. Kawa była dobra! I gorąca! Rozgrzała nas i pokrzepiła. Chleb mieliśmy oczywiście własny. Kilka

godzin później następny postój. W kuchni zawiesista zupa i solidna porcja mięsa z kartoflami. Błogosławiliśmy dowódcę, który o niczym nie wiedział.

Po południu dojechaliśmy do Campobasso, gdzie była ostatnia stacja transportu. Teraz trzeba będzie jakoś się dostać do pułku. MP, czyli miejsce postoju oddziału jest tajemnicą wojskową, a w strefie przyfrontowej obowiązują szczególne rygory. Kolega-oficer poczuł się teraz w swoim sosie i oświadczył: „Spróbuję pójść do jakiejś kancelarii i dostać rozmowę telefoniczną z pułkiem” – oświadczył i myśl wcielił zaraz w czyn. Zagrało. Za jakąś godzinę przyjechał lekki samochód ciężarowy z pułku. Znajome znaki: Choinka i numer 71.

We własnych bateriach koledzy cieszyli się z naszego powrotu. Żołnierz w swoim oddziale jest w jakiś sposób jakby w rodzinie. Co jeszcze powiedzą dowódcy? Na drugi dzień raport przed dowódcą. Robił groźną minę, ale widać było, że w gruncie rzeczy był bardzo zadowolony: żołnierz wracający do oddziału to radość dla dowódcy. A okoliczności? Ostatecznie zdaliśmy egzamin żołnierski na piątkę. A w kancelarii 7 dywizji zapisano nam w księgach: „Dezercja na front”. Miałem później relację od kolegi, który wrócił niedługo potem. Pułkownik zapasówki był wściekły. Wkrótce po tym mogli wrócić do swoich oddziałów pozostali koledzy. Gdybyśmy tej „dezercji” nie popełnili, to nie wiadomo jak długo jeszcze musieliby tam pokutować.

## POWIĄZANIE OGNIOWE

Zimowe stanowiska oddziałów 2. Korpusu znajdowały się wówczas nad rzeką Sangro. I choć tam przebiegała linia frontu, wiele się nie działo. Czasem odgłosy jakiejś strzelaniny na przedpolu nie oznaczały bynajmniej, że był staczany bój. A na stanowiskach artylerii to już całkowity spokój. Najwyżej jakiś ogień nękający jednym działem. Te ognie nękały zazwyczaj bardziej strzelających jak ostrzeliwanych. Miały za zadanie trzymać nieprzyjaciela w niepewności na jakichś szczególnie newralgicznych punktach: kiedy spadnie gdzieś w pobliżu jakiś pocisk – nigdy nie wiadomo. Bo ilość pocisków wystrzelonych określona była ogólnikowo. Na przykład dwa na godzinę. Odstępy natomiast były całkiem nieokreślone. Działo mógł obsługiwać kanonier-służbowy sam: załadować, spacerować i odpalić, kiedy mu się zechce. Tyle, aby dwa pociski poszły w ciągu godziny. A że to miało miejsce zwykle w nocy, tego rodzaju strzelanina powodowała budzenie się śpiących żołnierzy własnych, którzy ledwie usnęli, a już następny wystrzał ich podrywał.

## MONTE CASSINO

Jednym słowem – nad Sangro była tylko zabawa w wojnę. Dopiero w marcu rozeszła się pogłoska, że zostaniemy przeniesieni na inny odcinek. A że w czasie wojny nie ma wiele informacji o tym co się na froncie dzieje, więc i my nie mieliśmy pojęcia nawet, że ten „inny odcinek” miał już swoją sławę. Prawdziwy rozgłos nastąpił dopiero później. Gdy więc przyszedł rozkaz marszu, te ledwie słyszalne pogłoski o sławie odcinka Monte Cassino nas bynajmniej nie niepokoiły. Owszem, raczej ciekawiły: wreszcie będzie coś się działo. Że na tym odcinku zdążyło się już wiele dziać, dowodziły ruiny mijanego miasteczka Cervaro. Na horyzoncie kikuty potężnych niegdyś murów klasztoru wskazywały na to, że i tam była wojna nie na żarty. Trzeba będzie sporo jeszcze postrzelać, aby Niemców stamtąd wykurzyć! Tylko co my z naszymi działkami na takie mury i na bunkry, o których nawet pojęcia nie mieliśmy? Teraz wjeżdżając z naszym lekkim sprzętem artyleryjskim w teren położony poniżej łańcucha postrzępionych skał na horyzoncie, rozpoczynającego się z lewej strony ruinami wspaniałego dawniej klasztoru benedyktyńskiego, a kończącego się po prawej półtora tysięczną piramidą Monte Cairo, widać było niewiele. Cała niemal dolina była we mgle. Nie wiedzieliśmy z początku, że ta mgła była, przynajmniej częściowo, sztuczna. Niezliczone ilości świec dymnych miały utrudnić nieprzyjacielowi wgląd w teren z góry tak dobrze widoczny. Ledwie tu i ówdzie wystawały, jakby kępki z dymnego jeziora, wyższe miejsca tego zróżnicowanego terenu.

Ja byłem wówczas w baterii dowodzenia trzeciego dywizjonu. Nasze baterie liniowe – 5-ta i 6-ta – zajęły stanowiska w przestrzennym jarze, za stromą ścianą, przez którą trzeba było strzelać do celów odległych 5–8 kilometrów. Ściana jaru była tak stroma i wysoka, że pierwsze działo piątej baterii, przy którym Lutek był celowniczym, musiało strzelać jako haubica – pod kątem większym jak 45%. Dane przygotowane przez nas w dowództwie dywizjonu dla baterii musieli oni na swoim posterunku dowodzenia przerabiać osobno dla tego działka. Nasz posterunek wkopaliśmy na zapleczu obydwu baterii, w mniejszym wąwoziku morenowego terenu. Każdy musiał sobie zbudować schron z worków z ziemią. Po belki na stropy jeździliśmy do pobliskiego Cervaro. Miasteczko było wyludnione. Z rumowisk wyciągaliśmy materiał potrzebny na nasze dachy: belki, deski, drzwi itp. Miałem wówczas nierozłącznego kumpla – Henia. Przed podchorążówką był on w baterii 6-tej, a ja w 5-tej. Teraz nasza wiedza była bardzo potrzebna przy rozpracowywaniu niezliczonych celów dla obydwu baterii. Sieć telefoniczna została zbudowana fachowo przez nasze



plutony łączności. Wciąż nadchodzące rozkazy trzeba było konfrontować z poprzednimi. A było ich masa. Każdy cel miał swój numer z literką na przedzie. Trzeba było je nanosić z najwyższą dokładnością na rozstawionych stołach topograficznych. Przy pomocy metalowej szyny, utwierdzonej w punkcie prawych dział naszych baterii, odczytywało się i zapisywało dane ogniowe: kierunek – w stopniach i odległość – w jardach. Nasz sprzęt był angielski. Poza kilkuset celami trzeba było rozpracować inne ognie, tak zwane specjalne, które miały służyć do obrony w wypadku natarcia nieprzyjacielskiego, ale głównie do wsparcia działań własnych w dniu „D”. Pracy z Heniem mieliśmy dużo, ale atmosfera była doskonała, stosunki z oficerami bez zarzutu. A z żołnierzami? Byliśmy podchorążymi, ale kanonierzy byli przecież naszymi kolegami, z którymi wspólnie przeszliśmy okres rekruta. Byliśmy wojskiem naprawdę dobrym, zdyscyplinowanym, bez drylu, gotowym do spełnienia każdego rozkazu i każdego powierzonego zadania. Teraz mieliśmy zdać egzamin przydatności.

Przygotowanie artyleryjskie było więc niezwykle precyzyjne, rozpracowane na wszelkie możliwe wypadki. Mieliśmy „siedzieć cicho” aż do godziny „H” w dniu „D”, aby nie zdradzać położenia stanowisk. Błyski wystrzałów są natychmiast rejestrowane i drogą „wcięcia”, czyli pomiaru kierunku z dwóch lub trzech punktów, mogą być niemal bezbłędnie określone. Ale dowództwo chcąc mieć pewność, że powiązanie artyleryjskie działa, postanowiło je wypróbować jednym dywizjonem.

Akurat naszym. Z pośród sześciu pułków artylerii lekkiej naszych dwóch dywizji, każdy po trzy dywizjony. „Heniu, za ile będzie odpowiedź?” – pytam retorycznie kolegę, wiedząc oczywiście dobrze, że za jakiś kwadrans. „Za 10–15 minut” – uśmiechnął się Henio. Takie ryzyko należy do zawodu żołnierskiego, a w artylerii wyrażają się mniej więcej w ten sposób. Mieliśmy szczęście, że Niemcy nie mieli we Włoszech lotnictwa, największego przeciwnika artylerii. Ogniem zaś „kolegów” z tamtej strony nikt się nie przejmował. Wiedzieliśmy, że artyleria lekka nie ma zadania trafiać, lecz „obezwładniać” przeciwnika, więc nie przejmowaliśmy się zbytnio perspektywą rewanżu. Jakaś doza emocji: co to będzie – nie mogła jednak nam być zaoszczędzona. Zgodnie z prognozą, nie minęło 15 minut jak zaczęły świstać niemieckie pociski – kilka salw, albo „od prawej baterią”. Koledzy po fachu. Znamy te komendy. Potem cisza. Szybka kontrola strat: jeden pocisk wybuchł w pobliżu kuchni dywizjonowej i porozstawiał kucharzowi garnki. Niestety, inny pocisk, który upadł w piętej baterii, był groźniejszy w skutkach: wybuchł tuż koło schronu Lutka. Lutek i jego towarzyszy Michał leżeli wyciągnięci na sporządzonych przez siebie

przyczach i czekali „co przyniesie los”<sup>29</sup>. Los przyniósł pocisk, który wywołał dziwne zjawisko wylatującego piasku z worka ochronnego wału. Ze spokojem stoickim Lutek je obserwował i opowiadał mi przy spotkaniu po latach, jakie to było dziwne: ziarenka piasku leciały, jak gdyby w zwolnionym filmie w kierunku jego twarzy, ale go nie raniły. Po chwili pyta się Michała, czy widział to samo. Gdy Michał nic nie odpowiadał, Lutka ogarnęło złe przeczucie: „Co z tobą?”. Michał był blady, a dolna część ciała broczyła krwią. Nie zdołał nawet krzyknąć, choć nie stracił przytomności... – „Umarł niedługo po tym” – opowiadał Lutek. „Najbardziej nieprawdopodobne było to, co kilka dni wcześniej mi opowiadał. Śniło mu się, że siedział na jakimś wzniesieniu i patrzył na ludzi szczęśliwych, beztrudnie spacerujących, na młode pary zakochanych... Ja tego nie zaznam. Ja nie będę już żył...”. Po wyrazie twarzy Lutka widziałem, że po tylu jeszcze latach przeżycie nosił w sobie tak jakby to było wczoraj...

## DZIEŃ „D”

*Był spokojny wieczór 11 maja. O 23-ej artyleria otworzyła ogień, i na całym froncie 8-ej i 5-ej armii rozpoczęła się ofensywa. Przez pierwsze 40 minut artyleria Korpusu wraz z artylerią całej armii zwalczała artylerię nieprzyjaciela. O 23.40 gros ognia przeniesiono na stanowiska piechoty nieprzyjaciela. O 1-ej obie dywizje polskie ruszyły do natarcia. Piechota od samych podstaw wyjściowych, od chwili wyruszenia, szła w ogniu artylerii i moździerzy nieprzyjaciela, do którego w miarę postępów dołączały się ognie broni małokalibrowych. Niemieckie ognie zaporowe były przygotowane, wypróbowane i ulepszone od wielu miesięcy. Baony 1-ej brygady strzelców karpackich zdobyły bastion wzgórza 593, podeszły pod Gardziel w kierunku na Massa Albanetta i walczyły o wzgórze-skałę 569. 5-a wileńska brygada piechoty wdarła się na grzbiet nazwany Widmo. Zawzięta walka wręcz w skalistym zarośniętym i pogmatwanym terenie, najpierw w ciemnościach nocnych, a potem za dnia. trwa do godzin popołudniowych. Niewielkie części baonów przedzierają się na stoki następnego przedmiotu natarcia, ale gros walczy na Widmie<sup>30</sup>.*

O tym, że 11 maja miał być dzień „D” dowiedzieliśmy się dopiero kiedy on nadszedł. Nastąpiło emocjonalne oczekiwanie na godzinę „H” – na chwilę odwetu, na spełnienie obowiązku żołnierskiego w ramach wielkiego

29. Michał Kopytko, ur. W 1919 r.; nr ewidencji w 3. DSK: 158, kanonier w 2. Pułku Artylerii Lekkiej. Poległ 27.04.1944 roku – zob. *Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 1942–1947*.

30. W. Anders, „Bez ostatniego rozdziału”. *Wspomnienia z lat 1939–1946*, wyd. III, Londyn 1959, s. 208.

wspólnego zadania ogromnej armii wielu narodów. Kiedy to się zacznie? Baterie w ostrym pogotowiu sprawdzały jeszcze raz wszystko, co dawno było już dobrze sprawdzone. My, na posterunku dowodzenia dywizjonu, przeglądaliśmy po raz „n”-ty plan ogni dawno już i jak najdokładniej rozpracowanych. Z bijącymi sercami czekaliśmy na godzinę „H”

Podana została nie więcej jak godzinę przed tym. O jedenastej w nocy z 11-go na 12-go maja 1944 roku zaczęło się przeżycie, którego nigdy zapomnieć nie można. Na komendę: „ognia!” zagrzmiały wszystkie armaty pod Monte Cassino – polskie i niepolskie, setki. Plan ogniowy posiadały od dawna wszystkie baterie. My, na posterunku dowodzenia, byliśmy teraz tylko biernymi obserwatorami, gotowi jednak do przejścia i podania dalej każdego rozkazu, każdej zmiany planu. Stanęliśmy z Heniem przed schronem naszego dowództwa tak, aby słyszeć każdy ewentualny telefon i patrzyliśmy w niebo. Naszych działań nie widzieliśmy – stały w dużym wąwozie przedzielonym od naszego mniejszego grzbietem wysokim na kilkanaście metrów. Od wystrzałów armatnich w odstępach dla ucha ledwie uchwytnych błyski następowały tak szybko jeden po drugim, że jeśli nie było tak widno niemal jak w dzień, to tylko dlatego, że nie było to światło stałe, ale nieregularnie wibrujące. Przy rozdygotanym świetle błysków armatnich można było czytać książkę albo gazetę. Ale kto tam wtedy myślał o czytaniu! To było tylko uczucie, które się przeżywało. Nieprawdopodobne!

A w bateriach ogniowych kanonierzy ładowali pocisk za pociskiem do rozpalonych dział. Wolno było sześć na minutę, ale kto tam wtedy liczył do sześciu! Dla polskich żołnierzy, ludzi prostych, skrzywdzonych fizycznie i psychicznie był to dzień odwetu: „Jeszcze jeden więcej, taka wasza mać!”. A gdy lufy rozgrzały się nadmiernie, robiono im „okłady” z zimnej wody albo wręcz „płukanie gardła”. To było zabronione, ale kto tam dbał wtedy o rozsądek i regulaminy. Wtedy rytm dyktowała wściekłość człowieka i jego zdolność do najwyższego wysiłku. Amunicji nie brakło, więc po co Szwabom żałować! Większość naszych żołnierzy przeszła przez piekło sowieckie, byli z terenów „wyzwolonych” przez armię bolszewicką, ludzi, którzy przeszli przez więzienia, łagry lub zsyłkę do rajskiej krainy rad. To nie zacierало jednak świadomości, że głównym sprawcą nieszczęść był kto inny. Nie, tego nie mogli, tego nie chcieli zapomnieć i teraz to było ich motorem. Z dystansu tylu lat można na to patrzeć inaczej, ale wtedy? Wtedy rządził nie rozum, bo gdyby rozum rządził, to nikt z tych ludzi nie musiałby być tam, w obcym kraju, w oddaleniu od swoich najbliższych, niepewny czy oni w ogóle jeszcze żyją, że może są jeszcze bardziej skrzywdzeni niż oni, teraz na włoskiej ziemi w angielskim mundurze z polskimi symbolami wojskowymi, mściciele i nadzieja tamtych.

Bezprzykładna kanonada trwała kilka godzin bez przerwy. Dopiero nad ranem, kiedy piechota miała ruszyć do ataku, masowy ogień został przerwany. Co nie znaczy, że przestaliśmy strzelać. Teraz dopiero zaczęło się dla nas zadanie najważniejsze: wsparcie tych tam na górze. Tych, co życie ryzykują, co lada chwila mogą zostać zmasakrowani albo na całe życie okaleczeni. My czyniliśmy hałas, tam ginęli ludzie, których przydzielono do piechoty, broni najpotrzebniejszej, najchwalebniejszej, ale najcięższej dla tych, którzy w niej się znaleźli. Gdzieś kiedyś słyszałem francuskie, sceptyczne powiedzenie na temat wojny: „C'est l'artillerie qui fait la guerre; c'est le fantassin qui meurt; c'est l'état-majeur qui fait la carrière” (*Artyleria wojnę robi, a piechur umiera, sztab zaś główny czeka karierę*). Kto by teraz myślał o robieniu kariery. Albo podejrzewał, że może ktoś myśli o karierze. My nie byliśmy żołnierzami zawodowymi, a jeszcze mniej sztabem głównym. Może tam byli tacy, co myśleli o karierze... Polski żołnierz nie analizował sytuacji ani nie sądził swoich dowódców. Polski żołnierz spełniał obowiązek w wobec swojej Ojczyzny. Tej biednej, nieszczęsnej Ojczyzny i wierzył, że o Nią, dla Niej walczy. Okazało się później co innego. Wtedy takich myśli nie było...

A tam, na górze, nie działo się dobrze. Niemcy w betonowych bunkrach, przygotowani nie mniej od nas do takiego szturm, choć może dopiero teraz zaczęli zdawać sobie sprawę z polskiej wściekłości, nie dawali się wyprzeć z ich stanowisk. I choć Polacy osiągnęli w pierwszej fazie wyznaczone cele, utrzymać ich nie byli w stanie. Wykrwawieni, zdziśiatkowani albo wyniszczeni jeszcze dokładniej, musieli się wycofać na rozkaz dowództwa głównego. My też musieliśmy zamilknąć. Na jak długo? Nie wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy tylko, że nie na długo, że musimy po prostu czekać na nowy dzień „D” i nową godzinę „H”.

## EKSPLOZJA W PIĄTEJ

Nowy dzień „D” nadszedł niedługo: 17-go maja. Godzina „H” – piąta rano. Już było widno, kiedy daliśmy rozkaz: „do dział!”, a chwilę później: „ognia!”. Emocja pierwszej kanonady była za nami. Teraz pozostawała tylko rutyna. A że na dobre się już rozwidniło, to i efektów nocnego fajerwerku nie było. „Musimy po prostu nasz plan ogniowy wykonać” – powiedział Henio, nierozłączny towarzysz losów żołnierskich. Nagle zadzwonił telefon z piątej: eksplozja na działobitni! Zamarliśmy...

Henio próbował dowiedzieć się jakichś bliższych szczegółów, ale nie wiedzianno właściwie co się stało. Pierwsze działo, wraz z obsługą wyleciało w powietrze... Robią co mogą, aby ratować nieszczęśliwych kolegów. Zaalarmowaliśmy

sanitariusza dywizjonowego i pułkowego, ale z naszego posterunku zejść nie było można. Pozostałe trzy działa piątej nie mogły przerwać zadania ogniowego, a my naszej gotowości do przekazywania rozkazów. Lutek, którego przeważaliśmy „konie”, był celowniczym przy tym nieszczęsnym dziale. Po ukończeniu następnego turnusu podchorążówki nie było już miejsca na „posterunkach dowodzenia”, więc pozostał w działonie i objął moją funkcję. Teraz wszyscy musieli zginąć. Dwóch płonących żołnierzy zdołało wybiec z działobitni, jednym z nich był dowódca działonu. Upadł parę kroków dalej... Ze schronu dowodzenia wybiegli wszyscy; także Ci z łączności, którzy akurat mogli, pośpieszyli na pomoc. Kocami ugaszono płonącego podoficera<sup>31</sup>. Ten drugi<sup>32</sup> pędził na oślep jakby żywa pochodnia tak prędko, że kolega z kocem w ręku ledwie go dopędził. Podstawił mu nogę... Runął na ziemię. Obydwu przewieziono do szpitala wojskowego w stanie beznadziejnym. Nie przeżyli...

Dalszych trzech trudno było rozpoznać. Wiadomo było jedynie, kto zginął na jakim miejscu. Poszarpane, na wpół spalone szczątki celowniczego zawijali koledzy w koc i myśleli, że to był Lutek... To nie był jednak Lutek. On przeżył dziwnym zrządzeniem losu. Od niego mogłem dowiedzieć się więcej szczegółów. Kiedy w pewnym momencie podano nową komendę ogniową, dowódca działonu zawołał do Lutka: „Biegaj po dane dla naszego działła!”. Przecież tylko ich działo strzelało jako haubica, więc nastawy musiały być specjalne. Lucio krzyknął (bo porozumiewanie się przy tym huku mogło odbywać się tylko krzykiem), że jeszcze chce zakończyć ogień poprzedni. „Leć zaraz!” – powtórzył działowy. Lutek nie dyskutował, wstał ze swego stołeczka i wybiegł z działobitni. „Izydor<sup>33</sup>, idź na jego miejsce!” – rozkazał działonowy. Zamkowemu nie trzeba było dwa razy powtarzać – już siedział na stołeczku celowniczego i kontrolował nastawy. Każdy żołnierz potrafił spełniać każdą funkcję. Ładowniczy chwycił w mgnieniu oka za dźwignię zamka, a Janek<sup>34</sup>, kierowca

---

31. Benjamin Frosztęga – ur. W 1910; plutonowy w 2. Pułku Artylerii Lekkiej. Poległ 18.05.1944 roku. Został pochowany na Polskim Cmentarzu Wojennym pod Monte Cassino. Jego grób leży w sektorze 3-A, miejsce 13 – zob. *Spis poległych – żołnierzy pochowanych na cmentarzu Monte Cassino*, Rzym 1946, s. 17.

32. Kazimierz Hrynkiewicz ur. w 1913; bombardier w 2. Pułku Artylerii Lekkiej. Poległ 19.05.1944 roku. Został pochowany na Polskim Cmentarzu Wojennym pod Monte Cassino. Jego grób leży w sektorze 3-B, miejsce 19 – zob. tamże, s. 20.

33. Izydor Baturo – ur. w 1922; kanonier w 2. Pułku Artylerii Lekkiej. Poległ 17.05.1944 roku. Został pochowany na Polskim Cmentarzu Wojennym pod Monte Cassino. Jego grób leży w sektorze 4-B, miejsce 18 – zob. tamże, s. 9.

34. Jan Skóra – ur. w 1919, kanonier w 2. Pułku Artylerii Lekkiej. Poległ 17.05.1944 roku. Pochowany został na Polskim Cmentarzu Wojennym pod Monte Cassino. Jego grób leży w sektorze 4-B, miejsce 19 – zob. tamże, s. 48; trzecią osobą poległą podczas tego wypadku – jak wskazuje Tadeusz Wojnarski – był Teodor Jarmolik. Urodzony w 1912; kanonier w 2. Pułku Artylerii Lekkiej.

ciągnika, trzymał już pocisk w ręku. „Biedny Janek...” – wspominał Lutek – „...a tak palił się do obsługi działa. Mówił, że nie chciałby się kiedyś wstydzić, że był tylko szoferem, kiedy inni ładowali działa”. W nocy z 11-go na 12-go największym szczęściem dla niego było móc „wskoczyć” za ładowniczego. Pot obcierał z twarzy, ale nie chciał dać się prędko zluzować. A co teraz się stało? Tego nikt nie wie. Przecież nie byliśmy pod obstrzałem artylerii niemieckiej. A poza tym nie można sobie nawet przy intensywnym obstrzale wyobrazić takiego pełno trafnego pocisku. To musiała być fatalna eksplozja pocisku własnego, spowodowana zapewne uderzeniem zapalnika o stalowy zamek działa. Ale i w tym wypadku byłby to nieprawdopodobny wypadek, bo pociski „naszej” 25-funtówki uzbrajały się bezwładnikowo dopiero w locie, kiedy osiągały 1800 obrotów na minutę. Tak więc musiał to być pocisk akurat brakowy. Bo chyba nie sabotażowy. Nikt jednak nigdy nie mógł dać wersji absolutnie prawdziwej.

Lutek, który wybiegł z działobitni, kiedy nastąpiła ta straszliwa eksplozja, podmuchem został powalony na ziemię. Kiedy oprzytomniał, sam poszedł na punkt sanitarny, skąd go zawieziono do szpitala. W pierwszej chwili wszyscy myśleli, że on też zginął. A ze szpitala, kiedy najgorsze oszołomienie minęło, autostopem pojechał odwiedzić... ojca, któremu goniec właśnie przyniósł zawiadomienie o śmierci syna! „Wszelki duch Pana Boga chwali...” – szepnęła, ale kiedy po chwili mógł się przekonać, że to był Lutek we własnej skórze a nie jego duch, radość nie miała granic.

To okropne działo mogliśmy oglądać dopiero po zakończeniu zadania ogniowego. Wyglądało strasznie, jak gdyby jakaś potworna łapa przejechała po ogromnym kłocu stali jak bryła masła. Wszystko było spalone – to nie była tylko eksplozja jednego pocisku, ale całego zapasu amunicji na zapleczu działobitni. Cokolwiek by nie było przyczyną tego nieszczęścia, pięć ludzkich istnień zostało zgaszonych na zawsze. Spoczęli między bohaterami tej historycznej bitwy, na polskim cmentarzu na zboczach klasztornej wzgórza.

## SPOTKANIE – PO LATACH

Lutka widziałem w maju po 47 latach<sup>35</sup>. Pamięć tamtych dni była w nim wciąż żywa. W świetle opisanych tu wspomnień każdy chyba zrozumie, dlaczego

---

Poległ 17.05.1944 roku. Został pochowany na Polskim Cmentarzu Wojennym pod Monte Cassino. Jego grób leży w sektorze 3-A, miejsce 13 w sektorze 4-B, miejsce 20 – zob. tamże, s. 22.

35. Autor wspomnień wskazywał, że spotkał się z Lucjanem Słotą w dn. 16 maja 1991 roku.

istniała w nim wewnętrzna potrzeba ufundowania tablicy pamiątkowej kolegów, między którymi on sam nie znalazł się z niewytłumaczonych zrządeń losu...

Pomysł był Lutka. Dowiedział się od kogoś, że żyję w Szwajcarii i nagle do mnie zatelefonował. Oczywiście z Anglii, gdzie wylądował, jak przystało na regularnego Drugo-Korpuśniaka. Niespodzianka ogromna. Propozycja też nieoczekiwana spotkania się w kilku z pośród najbliższych kolegów z tamtych czasów w miejscu, gdzie wówczas znajdowały się nasze stanowiska artyleryjskie. Termin był logiczny: gdzieś między 12 a 20-tym maja, bo to były wówczas te „najgorętsze” dni. Z „Deską”<sup>36</sup> od roku 1946 nie miałem nic wspólnego, kiedy to zdecydowałem się na wyjazd na studia do Hiszpanii i w listopadzie zdemobilizowałem we Włoszech. Od tego czasu byłem tylko raz pod Monte Cassino. Odnalazłem groby poległych kolegów z 5-tej baterii, pomodliłem się za nich i za wszystkich, co tam na zawsze zostali i złożyłem wieniec w imieniu grupki przypadkowo spotkanych rodaków, którzy dowiedziawszy się, że jestem autentycznym „monte-cassyńczykiem” – uhonorowali mnie tym zadaniem.

A teraz Lucio z tym jego pomysłem! Nie mogłem go uznać za zły. Przeciwnie, uważałem, że był znakomity, a że moja żona myśl taką bez reszty poparła, zgłosiłem naszą gotowość do wzięcia udziału w takim zjeździe. Gdyby to miał być naprawdę jakiś zjazd generalny, to bym pewnie myślał inaczej, ale że chodziło o spotkanie w kilku, dosłownie „kumpli z baterii”, to wątpliwości nie było. Do Włoch i tak jeździliśmy dość często. Bo ze Szwajcarii to nie tak daleko i klimat inny, i naród nieobcy a sympatyczny... Ale tym razem to całkiem inna motywacja.

Lucio, jako że chłopak przemysłny, wiedział, dlaczego mnie też chciał mieć. Pamiętał moje zainteresowania artystyczne, więc wyłożył swoje plany. Nasza, albo raczej moja „wyjściowa” bateria, gdzie uczyłem się sztuki kanonierskiej i „końcowa”, bo wróciłem do niej pod koniec na funkcję już oficerską, poniosła pod Monte Cassino największe straty z pośród wszystkich polskich oddziałów artyleryjskich. Lutek miał być też między tymi, co tam leżą i tylko dziwnym zbiegiem okoliczności śmierć go ominęła...

I otóż Lutek postanowił ufundować tablicę pamiątkową na kościółku San Michele, w pobliżu naszych ówczesnych stanowisk dział. „A ty zrobisz i wy-malujesz mniejszy napis pamiątkowy do zawieszenia wewnątrz kościółka. Mam nadzieję, że nie odmówisz”. „A dlaczego akurat ja?” – zapytałem. „No bo

---

36. Żołnierze w ten sposób nazywali swoją dywizję (3. Dywizja Strzelców Karpackich) – od skrótu „3. DSK”.

kto inny? Bo nie wiem kto inny mógłby to zrobić. A jak odmówisz, to będę płakał” – Lucio nic się nie zmienił: Jego humor z domieszką tragizmu był zawsze ten sam!

W zjeździe – poza nami dwoma- wziął udział Zbyszek, też z Anglii i Staszek, z Warszawy. Moją żonę koledzy zaakceptowali bez zastrzeżeń. Pozyskała ich sobie bez reszty. Zamieszkaliśmy w San Michele należącym do miasta Cassino. Samo miasto, doszczętnie zburzone w czasie walk o podstawę wyjściową do ostatecznego natarcia na Linię Gustawa, a raczej na ufortyfikowany odcinek kluczowy między wzgórzem klasztornym a piramidalnym Monte Cairo, odbudowało się i rozrosło znakomicie. Lutek postarał się o prywatne lokum możliwie blisko naszych dawnych stanowisk, w domku niezupełnie jeszcze wykończonym, ale życzliwie zaofiarowanym przez włoskich gospodarzy „polskim przyjaciółom”.

Na sam początek spotkania – wspomnienia. Po tylu latach! Mówiliśmy nie tyle o wydarzeniach „wielkich, ile raczej o tych błahych, o których mogli wiedzieć tylko blisko ze sobą żyjący ludzie. Później każdy chciał wiedzieć o drugich co później z nimi było. Przy włoskim winie i kominku – maj był w tym roku niewiele cieplejszy niż w Szwajcarii – wspomnieniom nie było końca. Przywiozłem ze sobą teczkę portrecików żołnierzy, malowanych w chwilach wolnych i jak który miał ochotę trochę posiedzieć. A ten to kto? A ten to...? Teraz widziałem jak słuszna była moja odpowiedź na propozycję Lutka.

Na drugi dzień Lutek pokazał nam miejsce, gdzie stały działa 5-tej baterii. I jego działo. To, które tak strasznie eksplodowało. Na trzeci dzień była lepsza pogoda i pojechaliśmy na górę. Z wielkim rozmachem zaplanowany cmentarz na zboczu wzgórza, gdzie poległo blisko tysiąc Polaków, którzy nie doszli do Teju, o którą walczyli, stał się, wojskowym szykiem, miejscem ich ostatniego spoczynku. Ci, co tam zostali, nie wiedzieli, że nam, którzyśmy tę „zwycięską wojnę” przeżyli, też do wolnej Polski wrócić nie było dane. Mimo tylu zwycięstw i tylu ofiar. Tych i późniejszych. Jeszcze spacer na wzgórze 593, do pomnika poległych naszej 3-ciej Dywizji. Teraz było tu „trochę” inaczej niż wtedy. Wtedy, po bitwie, mogłem też być na tej górze... Teraz stamtąd Staszek pokazywał „Widmo”, na którym przeżył coś, czego wyrazić nie sposób, a czego najlepiej nie wspominać.

Na czwarty dzień była niedziela Ducha Świętego<sup>37</sup> – dzień odsłonięcia tablicy pamiątkowej na kościółku w San Michele<sup>38</sup>. Był to akt małych rozmiarów, taki sobie odprysk „Wielkiej Sprawy”, ale dla nas i dla ludzi z San Michele

37. 19 maja 1991 roku.

38. Presbiterio di San Michele in frazione del Comune di Cassino (Via S. Michele, 45, 03043 San Michele, Frosinione).



było to przeżycie niecodzienne. Choć to taka mała osada, kościółek niemal, że się zapełnił. Przybyła delegacja kombatantów włoskich ze sztandarami i emblematami. I ich przewodniczący Signore Gradini. Miasto Cassino wydelegowało pana Dottore Scittarelli, zastępcę burmistrza, czyli sindaco. Mszę świętą odprawił Don Mario, młody a pełen werwy proboszcz, cieszący się wielką sympatią parafian. W swoim kazaniu na temat zielonoświątkowy nie zapomniał o Polakach, którzy tu przed laty za Włochy swe życie oddali. To prawda – bardziej za Włochy niż za Polskę...

Po mszy świętej nastąpiło odsłonięcie tablicy. Przemówił on i wymienione włoskie „osobistości”. Treści mowy ani innych szczegółów nie będę tu przytaczał. Muszę jednak dać świadectwo czegoś bardzo wzruszającego: niesłychanej serdeczności, życzliwości jaką darzą tamtejsi Włosi Polaków. A nas, kombatantów z tamtych czasów, uważają za całkiem „swoich”. Dumni byliśmy, gdy signor Gradini wręczył każdemu z nas legitymację honorowych członków cassińskiego Związku Kombatantów Włoskich. No bo rzeczywiście więcej wywołaliśmy dla Włoch jak dla naszej Polski...

## NA GÓRZE – PO LATACH

Mnie wówczas nie było danym być tam, na górze, pośród tego piekła na ziemi. I nie żałuję, bo nie chodzi tu tylko o wyjście cało z potwornej bitwy, ale o obciążenia psychiczne, które pozostają na całe życie. Staszek, który poszedł ochotniczo na „Widmo” jako obserwator artyleryjski z 5-tą Dywizją, gdy go prosiłem po latach o opisanie swoich przeżyć, odmówił mi, bo nie chciał przypominać tego, co tyle lat starał się zapomnieć. Dał mi jednak do dyspozycji swój suchy „raport” napisany krótko po powrocie z „Widma”. Mnie wysłano na górę „po wszystkim”. Nie wiem właściwie po co, bo zadań artyleryjskich już nie było. Może należało do przyszłego oficera z bliska zobaczyć pobojuwisko i w wyobraźni stwarzać sobie obrazy scen, których sam nie przeżył?

Kiedy po tylu latach (1991 rok) spotkaliśmy się w kilku w miejscach naszych wojennych przeżyć, poszliśmy oczywiście nie tylko na cmentarz wojskowy, aby odnaleźć groby tak tragicznie zmarłych kolegów żołnierzy i pomodlić się za ich wieczny spoczynek, ale także weszliśmy, wygodną dziś drogą, na szczyt, aż do najwyższego wzniesienia 593 (poza oczywiście potężnym Monte Cairo na prawym skrzydle pasma). Wzgórze to było sławne wówczas szczególnie i samo wspomnienie go napawało strachem. Dziś tam stoi pomnik żołnierzy naszej 3. Dywizji Strzelców Karpackich poległych na wszystkich frontach walk we Włoszech. Imiona ich wyrzyte na tablicach kamiennych, świadczą o ofierze

złożonej w nadziei, że na końcu drogi będzie Wolna Polska... Niestety, oszukano nas okrutnie. A tych, których imiona zostały chwalebnie uwiecznione – najbardziej.

Teraz tam, na górze, znów bujna roślinność. Krzewy i drzewa, trawa i kwiaty. Wówczas był to obraz spustoszenia, które wyrażało się nie tylko ruinami rozwalonych rzadko stojących budowli, ani nawet resztkami jeszcze nie pozbieranych trupów żołnierzy. Wszystkie prawie zostały one zniesione na punkt zborny do prowizorycznego pogrzebania. Tam miały czekać na swoje honorowe miejsca na monumentalnym cmentarzu na zboczu monte-cassińskiego wzgórza. Wówczas obraz pogwałconej natury, porytej pociskami ziemi, połamanych, powyrywanych z korzeniami drzew i krzewów, ogołconych z liści – był sam w sobie, bez widoku trupów, przytłaczający. Jednocześnie wołał on głosem przeraźliwym: „Po co to wszystko? Dlaczego?”

I ten smród trupi! Bo choć ciała zdążono w większości już usunąć, to wonią ich rozkładu przesiąknięta była cała atmosfera. Nawet dość mocno powiewający wiatr jej nie umniejszał. Ten trupi zaduch obok zgwałconej natury przytłaczał psychicznie w sposób trudny do opisania. Z pewnością w historii tej wojny, dużo gorsze widoki musieli oglądać ludzie w Warszawie kilka miesięcy później. Ale mnie to wtedy wystarczało, aby stłamsić do głębi duszy. Czasem natrafialiśmy na ludzkie resztki, nie tylko z tej naszej bitwy, ale także z tych wcześniejszych prób zdobycia ufortyfikowanego pasma górskiego. Czasem szczerzące się zęby czaszki, może jakiegoś Hindusa, który walczył nie wiadomo o czyją wolność, wyglądały zza jakichś skalnych złomów i straszły potwornym uśmiechem nie-boskiej komedii. W pewnym momencie natknęliśmy się na martwego żołnierza polskiego. Jeszcze go nie zniesiono... Jakiś sierżant, odznaki stopnia na ramionach – na swoim miejscu, ale głowa rozwalona... Obraz, który mi na długo utkwiał w pamięci. Później „utrwalilem” go w mojej „Żołnierskiej Komedii” jako rozmyślanie nad bezsensem wojny. Choć on nie dotyczył bitwy pod Monte Cassino, ani nawet żadnej innej konkretnej bitwy. Było to zebranie myśli i odczuć żołnierza, który przeżył ten fatalny dramat i stawiał sobie pytanie: po co to wszystko? A oto ten fragment rozmowy dwóch żołnierzy – przyjaciół:

– *Popatrz, czarne ciało w ziemię jeszcze się nie obróciło, a już jak ziemia wygląda... Opuchły trup, w błocie uszargany, czerep głowy granatu potężny jakiś odłamek odwalił... W mózg odkryty robaki się wżerają... Widzisz?*

– *Widzę...*

– *To, co przed tym człowiekiem się zwało, padliną jest cuchnąca, pokarmem czerwi żarłoczných... Czy czujesz? – Bohater śmierdzi! Czujesz?*

– *Czuję...*

– *I czym jest człowiek? Czym są jego pojęcia o bohaterstwie, o wielkości, o geniuszu?... Sokrates, Arystoteles, Platon*

– *też cuchnęli po śmierci... I robactwo genialne mózgi wyżarło.*

– *(nieśmiało) Myśl została...*

– *(z ironią) Tak, myśl została!... (po chwili, do żołnierzy) –*

*Wykopcie trochę dalej tymczasowy grób, ziemią przysypcie i zaznaczcie miejsce<sup>39</sup>.*

Z tego rodzaju myślami poszliśmy dalej, aż do skraju skalnego masywu, z drugiej strony wzgórza. Nie mieliśmy właściwie nic do zrobienia, ale mogliśmy patrzeć. Widok na dolinę Liri był rozległy. Wejście do niej było otwarte z chwilą opanowania wzgórz, z których mogliśmy teraz bez żadnej trwogi obserwować co działo się na dole. A na dole „zabawa w wojnę” jeszcze się nie skończyła. Właśnie nasze czołgi szturmowały miasteczko Piedimonte<sup>40</sup>. Jak widzi Bóg z nieskończonej wysokości te ludzkie „zabawy”, skoro nam z tej, nie tak bardzo wielkiej wysokości, czołgi wyglądały jak poruszające się pudełka od zapalek? Wzbijając się myślą odrobinę wyżej można by było ocenić tę „zabawę” jako całkowity nonsens. Dla nas jednak wtedy nonsensem to nie było. Wtedy każdy z nas wierzył, że droga do Polski jest taka, a nie inna i że myśmy jej nie wymyślili.

Po latach, wtedy podchorążowie, trochę później młodzi oficerowie, byliśmy w kilku znów na tej górze. Nie w tym wprawdzie miejscu, z którego oglądałem „zabawę” czołgów. Teraz nie potrafiłem nawet określić, gdzie by to mogło być: Teraz, wzgórze 593 wślawione morderczymi walkami przed niecałym półwieczem, zatopione było w bujnej roślinności, rozrosłych drzewach i krzewach. Tylko tu i ówdzie kwitnące maki swoją czerwienią przypominały piosenkę żołnierską, jak to pośród nich żołnierz polski ginął...

Żołnierz teraz leżał z honorem na monumentalnym cmentarzu, a natura regenerowała się tak wspaniale, że trudno było wierzyć, że to co miało miejsce tutaj przed 47 laty było prawdą. Pełni wspomnień i myśli szukaliśmy oczami miejsca, z którego wówczas strzelaliśmy do celów tutaj położonych. Trudno nam było czegoś się dopatrzeć, ale Lutek „rozgląd” miał już dobrze przygotowany i dokładnie wytłumaczył, gdzie miejsca tego trzeba było szukać. Całkiem stąd widoczne nigdy ono nie było: staliśmy w wąwozie oddalonym o kilka kilometrów, dobrze skryci przed okiem nieprzyjaciela. Strzelaliśmy ponad wzgórzami, które nas zasłaniały. Gdy tak szukaliśmy miejsca naszych

39. Jak wskazywał T. Wojnarski – fragment z „Żołnierskiej Komedi” został przedstawiony w dniu 28 września 1974 roku w centrum kościelnym St. Jakob blisko Stauffacher w Zurychu.

40. Miasteczko Piedimonte zostało zdobyte 24 maja 1944 roku.

poczynać w dniu „D”. Staszek w zamyśleniu patrzył gdzieś indziej. Tak, jak go pamiętałem z tamtych lat. Nic się nie zmienił, zamyślony, przebywający myślami „gdzieś indziej”. Teraz nagle odezwał się lakonicznie:

„Bytem tam” i wyciągnął rękę w kierunku skalistego pasma pomiędzy szczytem 593 i doliną, w której znajdowały się nasze stanowiska. Wiedziałem, że on tam był. Na „Widmie”. Ale nie wiedziałem jak to z tamtej strony wygląda. Bo pasmo wzgórz przez Polaków tak złowieszczo nazwane, było stąd widoczne jak na dłoni. Stąd i z jeszcze wyższej góry – Monte Cairo. To tam poszedł wtedy Staszek jako ochotnik...

„Widmo” pośród sławnych miejsc w naszej włoskiej drodze do Polski miało całkiem szczególne miejsce. Opisane zostało na tyle, że nie moją sprawą byłoby tu coś dodawać. Staszek mógłby opowiedzieć wiele, ale z niego nie mogłem nic wyciągnąć. Gdy dalej nalegałem, Staszek zawsze spokojny, nagle wybuchnął: *Czy nie zdajesz sobie sprawy jak dobrze oni nas stąd widzieli? I z Monte Cairo? Bez przerwy okładali ogniem z moździerzy. Osiem godzin bez przerwy. I naszą piechotę, bo myśleli, że my się stąd już wycofaliśmy. A my tam leżeliśmy w błocie. W błocie z ziemi i krwi. Leżeć osiem godzin w błocie z ziemi i krwi kolegów – wiesz co to znaczy? I widzieć wciąż jak padają następni? I czekać kiedy przyjdzie kolej na ciebie? I ty chcesz, abym ja ci o tym opowiadał albo to opisywał? Ja tego nie chcę nawet wspominać!*

Przerwał. Po tym wybuchu więcej na Staszka nie nalegałem. Ale w tym ogniu słów pełnych wyrzutu obraz ich potwornego położenia był bardziej rzeczywisty niż w najbarwniejszym opisie. Mimo to, jak już wspomniałem, Staszek nadesłał mi później z Warszawy „raport” z tamtych czasów, który został wywieszony w „Gazetce ściennej” naszego pułku.

## NA WIDMIE: RAPORT STASZKA

*Widmo, 12 maja 1944 r.*

*Obawy płk. Domonia<sup>41</sup>, dowódcy 18-ego Baonu Piechoty, z którym szedłem jako obserwator artyleryjski, sprawdziły się, gdyż baon przed podstawą wyjściową*

41. Ludwik Jan Domoń (1899–1977) – podpułkownik dyplomowany piechoty Polskich Sił Zbrojnych; po zakończeniu I wojny światowej został przyjęty do Wojska Polskiego. W 1924 roku pełnił służbę w Szefostwie Intendentury Dowództwa Okręgu Korpusu Nr IX, pozostając oficerem nadetatowym Okręgowego Zakładu Gospodarczego Nr 10. Następnie został przeniesiony do korpusu oficerów piechoty w stopniu porucznika. Ukończył IX Kurs Normalny Wyższej Szkoły Wojennej uzyskując tytuł oficera dyplomowanego. Został awansowany do stopnia kapitana piechoty. W 1932 roku był oficerem 25 Dywizji Piechoty w Kaliszu. Z kolei w styczniu 1934 roku został przeniesiony do 72 Pułku Piechoty w Radomiu. Pod koniec lat 30. XX w. był prezesem lwowskiego oddziału POW

dostał silny ogień. Z nieznanych mi dokładnie powodów wchodziliśmy na Widmo nie w nocy, lecz po świcie. Płk. Domoń szedł na przedzie, dowódca kompanii, oficer łączności baonu i ja szliśmy z nim razem. Ścieżka, po której szliśmy, śliska była od krwi, gdyż przed nami szedł tędy 15-ty baon. Ciała zabitych leżały zepchnięte na bok. Ostrzeliwano nas gęsto z moździerzy i wielu żołnierzy padało, jęcząc i wzywając sanitariuszy. Inni szli naprzód, patrząc pod nogi, by nie upaść. Po drodze braliśmy jeńców, młodych żołnierzy z SS.

Na szczęście ogień moździerzy był słaby, za to bez przerwy grzechotały cekaemy z bunkrów z lewej strony. Góra była kamienista, krzaki na szczycie rzadkie, ostony nie było. Kilku żołnierzy podbiegło skokami do najbliższego bunkra – trzech padło (zdaje się 2 zabitych i jeden ciężko ranny), reszta wrzuciła granaty do środka i spandau umilkł. Później położono na nas ogień artylerii i moździerze zaczęły gęściej strzelać. Wyborowi strzelcy także Niemcy chcieli kontratakować przy wsparciu czołgów, ale im się odechciało. Lżej ranni zostawali na miejscu i walczyli dalej, ciężiej ranni, jeżeli mogli, schodzili na dół. Ogniem artylerii nie mogłem kierować, gdyż jeszcze o przedświcie straciłem łączność z moimi radiotami. Radiostacja 4-ego PAL-u była rozbita i dwóch ciężko rannych. Mój dowódca, por. Gajdek, został jeszcze przed gardzielą, gdyż był ranny w nogę, a ja tylko w plecy i po opatrunku prowizorycznym mogłem iść dalej. Płk. Domoń chciał dalej atakować wzgórze i wydał rozkaz „bagnet na broń”, lecz potem zaraz rozkaz cofnął, bo za mało było żołnierzy i brak naszej artylerii. Później ogień był coraz większy, ale każdy leżał na swoim stanowisku. Wielu żołnierzy ginęło w trakcie strzelania. Zmówiłem modlitwę za konających i prosiłem Boga o odpuszczenie grzechów, bo widziałem, że niewielu już pozostało przy życiu. Na tej górze leżeliśmy 6–7 godzin. Później przyszedł rozkaz wycofania się. Rannego pułkownika żołnierze znieśli na dół. To było bohaterstwo, bo jak się niesie rannego, to nie można padać. Wielu rannych jęczało i prosiło, żeby ich zabrać, lecz nie było noszy i każdy był podniecony. Na ścieżce teraz nawet krzaki oblepione były krwią. Później doszedłem do domku na wpół zrujnowanego, tam się trochę

---

i sekretarzem Sekretariatu Komitetu Porozumiewawczego Polskich Organizacji. Po wybuchu II wojny światowej został aresztowany przez Sowietów. Od 1940 był osadzony w obozie jenieckim NKWD w Griazowcu. Na mocy układu Sikorski-Majski odzyskał wolność, po czym wstąpił do formowanej Armii Polskiej w ZSRR. Od 1942 roku – w stopniu podpułkownika – był dowódcą 18 pułku piechoty. Później pełnił funkcję szefa sztabu 6 Lwowskiej Dywizji Piechoty. Wraz z 2. Korpusem przebył szlak przez Bliski Wschód. Sprawował stanowisko dowódcy 18 Lwowskiego batalionu strzelców. W tej funkcji brał udział w kampanii włoskiej, uczestniczył w walkach w bitwie o Monte Cassino, gdzie został ciężko ranny. Od sierpnia do października 1944 roku sprawował stanowisko zastępcy dowódcy 6. Lwowskiej Brygady Piechoty. Następnie od grudnia 1944 r. pracował w Wyższej Szkole Wojennej w Peebles w Szkocji jako wykładowca i kierownik Katedry Taktyki Piechoty. Zmarł 23 maja 1977 w Katowicach – zob. Z. Wawer, *Monte Cassino 1944*, Warszawa 2009, s. 122, 133.

*posiliłem, lecz nie siedziałem długo; bo przynieśli ciężko rannego jakiegoś kapitana i pomogłem go znieść na dół jakieś pół kilometra do punktu ewakuacyjnego. Wtedy strzelali już rzadziej. Wieczorem przyszedłem do pułku. Na drugi dzień lekarz odesłał mnie do szpitala.*

## W BOLONII – PO LATACH

*8 maja będzie świat obchodził 50-lecie zakończenia 2-giej wojny jego imienia. Wojny zwycięskiej dla jednych, tragicznie przegranej dla innych: Dla wielu, którzy w niej brali szczególnie czynny udział, mieli za sobą wiele wspaniałych, zwycięskich bitew za sobą. A też i wielotysięczne ofiary ludzkie.*

Naszą ostatnią bitwą była walka o Bolonię<sup>42</sup>. Kiedy po latach spędzałem urlop w okolicach starej trasy bojowej, chciałem odwiedzić polski cmentarz na peryferiach tego miasta. Żołnierze polscy tam pochowani zginęli „w ostatniej chwili”, kiedy losy Polski były już definitywnie przypieczętowane. Jechałem według planu, ale nie będąc pewnym drogi, zatrzymałem samochód, aby spytać przechodzącego drugą stroną ulicy Włocha, takiego typowego tatę z brzuszkiem, w wieku gwarantującym pamięć tamtych czasów. Kiedy przedstawiłem się, że jestem jednym z tych co walczyli o Bolonię i teraz chciałbym odwiedzić polski cmentarz, Włoch rozwarł szeroko ramiona i objąwszy mnie, z typową dla tego narodu wylewnością zawołał: „Polacchi hanno liberato Bologna”. Cieszył się, że po tylu latach spotkał jednego z „wyzwolicieli”, choć mój wkład w to wyzwolenie był rzeczywiście znikomy. Jako artylerzyści robiliśmy dużo hałasu naszymi 25-funtówkami, ale taki jak ja, świeżo upieczony podporucznik, niewiele znaczył. Mój Włoch cieszył się jednak szczerze i dokładnie tłumaczył, jak mam jechać dalej. Kiedy znalazłem się na cmentarzu, myśli wróciły do tamtych czasów „zwycięstwa”, które dla nas nie były zwycięstwem, lecz tragiczną klęską. Przegraliśmy już nie bitwę, ale wojnę, która ponoć zaczęła się w Polsce i o Polskę. O świat, dla którego Polska była „natchnieniem narodów”... Slogany, slogany, slogany na otumanienie naiwnych.

Dla 2. Korpusu we Włoszech wojna się skończyła po zdobyciu Bolonii. 28 kwietnia dowództwo niemieckie podpisało w Casercie kapitulację. Pułk

---

42. 21 kwietnia 1945 roku 2. Korpus zajął Bolonię. Bitwa o to miasto wymieniana jest obok walk o Monte Cassino czy Ankonę jako jedna z największych na Zachodzie z udziałem Wojska Polskiego. Była to zarazem ostatnia batalia 2. Korpusu gen. Władysława Andersa. W walkach zginęło 300 polskich żołnierzy, a 600 zostało rannych – zob. Z. Mierzwiński, *Działalność Polskich Sił Zbrojnych w końcowej fazie II wojny światowej w Europie: zdobycie Bolonii i Wilhelmshaven*, „Niepodległość i Pamięć” 1995, nr 2/3 (4), s. 134 i n.

nasz ulokowano na rozległej równinie lombardzkiej. Sens życia wydawał się być wyłączony z jakiegokolwiek logicznego kontekstu. Zająć wojskowych prawie nie było. Bo i po co? Gorące, zamarłe w bezruchu powietrze powiększało tylko uczucie beznadziejnej nudy, pewnego rodzaju apatii, kiedy 8 maja usłyszeliśmy w radio triumfalny komunikat: „Wojna się skończyła! Dziś została przez Niemców podpisana bezwarunkowa kapitulacja”.

Wojna się skończyła? My wierzyliśmy, że alianci obrócą się przeciw bolszewikom. Nie wyobrażaliśmy sobie nawet innego zwycięstwa i powrotu do Polski bez zwycięstwa nad sowietami. Błogosławiona naiwność!<sup>43</sup> Przed bitwą o Bolonię gen. Władysław Anders był w Londynie<sup>44</sup>. Po rozmowie z Churchilllem, kiedy zdał sobie sprawę z tego jak Polska została oszukana, zapytał: „Co ja powiem moim żołnierzom jak wrócę do Włoch?” – „Może pan ich sobie zabrać: Już nie są potrzebni”<sup>45</sup>. Nie, my nie byliśmy potrzebni! My byliśmy konieczni! Takiego zdania byli dowódcy sił alianckich we Włoszech. „Bez Polaków nie wejdziemy do ostatniej bitwy o Italię” – brzmiała ich odpowiedź dana Andersowi. I tak, bez żadnej już nadziei na poprawę sprawy polskiej, zginęło więcej żołnierzy niż w sławnej bitwie monte-cassińskiej!

## WOJNA SKOŃCZONA

Powietrze było gorące i duszne, choć to był dopiero początek maja. Ale taki już jest klimat tej okolicy Włoch. Wojna się skończyła... Kilka dni później wyleciał na minie plutonowy, zacny człowiek, mechanik samochodowy. Przeżył kampanię libijską, włoską i zginął na minie po „zwycięskiej wojnie”. Kilka dni później lekki samochód ciężarowy przywiózł zwłoki trzech żołnierzy,

---

43. 11 lutego 1945 roku zakończyła się konferencja „Wielkiej Trójki” w Jałcie, z której oficjalny komunikat głosił, że polska granica wschodnia ma przebiegać wzdłuż linii Curzona. Wywołało to zdecydowany spadek morale żołnierzy polskich, którzy w większości pochodzili z Kresów Wschodnich. Nie mieli oni, dokąd wracać. Tak postawę polskich żołnierzy w tamtym trudnym momencie opisał sam Władysław Anders: „Gdy przeminęły pierwsze chwile osłupienia, przyszła gwałtowna reakcja całego wojska. Tylko poczucie dyscypliny i zaufanie do dowódców powstrzymało żołnierzy od nieopanowanych odruchów. Każdy żołnierz 2. Korpusu zdawał sobie od początku sprawę, że w tej wojnie droga do niepodległości Polski będzie długa i ciernista. Ale wierzył, że w rezultacie swoich wysiłków, trudów i ran wróci do Kraju, rodziny, kawałka roli czy innego warsztatu pracy. Dziś każdy rozumiał, że te jego nadzieje z końcem wojny nie spełnią się. Rozumiał, że za jego trudy i rany czeka galsza tułaczka na obczyźnie, albo powrót do Kraju pod obce panowanie. Rozpacz, żal i poczucie krzywdy przytłoczyły 2. Korpus Polski.” – zob. W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału...*, s. 361.

44. Gen. Władysław Anders spotkał się z premierem Wielkiej Brytanii Winstonem Churchilllem w Londynie w dn. 25 lutego 1945 roku.

45. zob. W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału...*, s. 369.

którzy też wjechali na minę. Uchyliłem plandekę zakrywającą tył samochodu i... prędko ją zasłoniłem: tam nie było zabitych ludzi – tam była tylko jedna krwawa masa mięsa...

Wtedy zacząłem pisać moją „Żołnierską komedię”. Kto pamięta, kiedy była drukowana w Naszej Gazetce i przez niektórych wydrwiwana, choć naprawdę drwić z czego nie było?<sup>46</sup>. Wojna była skończona: zwycięska dla jednych, tragicznie przegrana dla innych. Dla nas trwała ona jeszcze dalszych 45 lat. Kto był świadomy przegranej, do Polski nie wrócił. Walczył dalej, inną bronią. Różni różnie to rozumieli i realizowali, co powodowało nieraz bolesne konflikty.

## DALSZYM SZLAKIEM WOJENNYM – DALSZE WSPOMNIENIA

Po każdej dłuższej akcji frontowej oddziały były przenoszone na tyły na krótszy lub dłuższy okres wypoczynkowy. I nie tylko wypoczynkowy. Zazwyczaj bitwy czy jakieś inne działania wojenne przynoszą straty w ludziach i sprzęcie, a to wymaga „lizania się z ran”. Dotyczy to zwłaszcza broni liniowych, zwłaszcza piechoty, saperów, w znacznym stopniu też nowoczesnej „kawalerii”, czyli broni pancernej. Miałem szczęście znaleźć się w artylerii a nie w czołgach, jak tego sobie życzyłem przy poborze. Straty mieliśmy i my, ale równać ich z piechotą nigdy by nie było można. Tak więc w okresie wypoczynkowym na zapleczu mieliśmy dość czasu na rzeczywisty wypoczynek. W okresie po Monte Cassino nie mieliśmy wielkich strat i wolny czas był rzeczywiście czasem wypoczynku, ale też nie przysporzył wielu wydarzeń godnych zapamiętania.

Po tamtej dziejowej bitwie pod Monte Cassino przeniesiono nas na odcinek adriatycki. Odtąd posuwaliśmy się za Niemcami, którzy w walce są bitnymi żołnierzami, ale w sytuacjach dla nich krytycznych są mistrzami w wycofywaniu się. To mogliśmy stwierdzić. Na froncie adriatyckim. Piechota, saperzy musieli żmudnie usuwać najróżniejsze przeszkody stawiane im na drodze w marszu naprzód. My, artyleria, mogliśmy tylko do nich dociągać, aby być stale z tyłu w odległości kilku kilometrów, zawsze gotowi do wsparcia. Tak szliśmy wzdłuż Adriatyku aż do Ankony. Czy na tej drodze były jakieś ważne, wielkie bitwy? Nie zamierzam pisać pracy historycznej, więc odpowiedź na takie pytania zostawiam historykom i tylu innym pisarzom, którzy takie zadania sobie postawili. W każdym bądź razie na Linii Gotów Niemcy od dawna już budowali linię obronną, gdzie dojść musiało do krwawych walk,

---

46. T. Wojnarski, *Wojna skończona*, „Nasza Gazetka” 1995 nr 3/173.



a te kosztowały Polaków więcej ofiar niż inne sławne bitwy. *Największą bitwą była akcja pod Anconą<sup>47</sup>, w której Polacy przeprowadzili znakomitą taktykę okrążenia nieprzyjaciela. Tamto zwycięstwo zapisało zasługi polskie złotymi zgłoskami. Od Ancony nasza droga wiodła wzdłuż via Emilia, aż do Bolonii, gdzie rozegrała się ostatnia bitwa i ostateczne załamanie się naszych nadziei. Wyzwalaliśmy miasto za miastem i zbliżaliśmy się do końca naszej „żołnierskiej komedii”.*

## AWANS

Najważniejszym wydarzeniem w mojej „karierze” wojskowej w tamtym czasie było powierzenie mi funkcji oficerskiej. Bez nominacji oficerskiej. Na dwóch odprawach pułkowych w sprawie awansów byłem na liście. To mi przysługiwało choćby na zasadzie lokaty otrzymanej na podchorążówce. Spośród alumnów, którzy byli w Iraku z naszego pułku, miałem najlepsze miejsce. Gorzej było z miejscem w pojęciu oficerów, zwłaszcza dowódcy. O ile byłem wzorowym żołnierzem jako kanonier, o tyle „mizernym” jako przyszły oficer. Po prostu nie miałem żadnych aspiracji do kariery wojskowej. Dlatego też kole-dzy z podchorążówki z dużo gorszymi wynikami już przy pierwszej kolejce awansowej dostali swoją gwiazdkę, ja musiałem czekać. A „winien” był starszy kolega ppor. Wróblewski<sup>48</sup>, dla którego nie było żadnej funkcji w bateriach ogniowych, więc mianował go dowódca pułku oficerem oświatowym. Tenże „Zeflik” – Józek po śląsku – założył kronikę pułku i mnie zaproponował jej ilustrowanie. Z mojej strony robiłem to, co mi stosunkowo najlepiej wychodziło – karykatury oficerów. Ponieważ nie oszczędziłem pułkownika<sup>49</sup>, którego karykatury nie trzeba było robić, tylko narysować tak jak wyglądał, więc on się zrewanżował przy awansach: – „Ah, to ten malarz? To on może zaczekać”. I tak czekałem dwie promocje. Za to dostałem awans na funkcję oficerską, a na

---

47. Bitwa o Ankonę była jedyną samodzielną operacją Polskich Sił Zbrojnych na froncie zachodnim w II wojnie światowej. Została stoczona między 18 czerwca a 18 lipca 1944 roku. Straty 2. Korpusu w operacji ankońskiej wyniosły 388 poległych, w tym 34 oficerów, 1636 rannych, w tym 113 oficerów oraz 126 zaginionych w tym 3 oficerów – Z. Wawer, *Bitwa o Ankonę*, „Kombatant” 2019, nr 7–8 (343–344), s. 12–15

48. Prawdop. Józef Wróblewski, ur. w 1917 roku; numer ewidencji w 3. DSK: 11, porucznik w 2. Pułku Artylerii Lekkiej – zob. *Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 1942–1947*.

49. Tadeusz Czesław Link – ur. w 1900; numer ewidencji w 3. DSK: 85, podpułkownik dyplomowany w 2. Pułku Artylerii Lekkiej. We wrześniu 1944 roku przejął dowództwo nad pułkiem od ppłk. Józefa Hildebrandta. Kierował tą jednostką aż do demobilizacji 2. Korpusu w 1946 roku. Odznaczony Krzyżem „Virtutti Militari” oraz Krzyżem Walecznych – zob. tamże.

gwiazdkę mogłem czekać. W stopniu kaprała podchorążego zostałem mianowany drugim oficerem ogniowym w 5-tej baterii. Czyli tej, w której odbyłem szkolenie rekruckie, a koledzy z tamtych czasów stali się moimi podwładnymi. Włącznie z szefem. Trudno o większy paradoks do zrealizowania przez nie za bardzo inteligentnych dowódców. Gdybym miał jakieś aspiracje w karierze wojskowej, to powinienem był z takiego „awansu” zrezygnować, ale ponieważ byłem cywilem z krwi i kości, więc znalazłem się na tej niezbyt wygodnej pozycji. Ten przydział pasował mi, tym bardziej że równocześnie Henio Mleczek, kumpel z podchorążówki, a potem z baterii dowodzenia, został mianowany pierwszym oficerem ogniowym w tejże baterii. To wszystko, co do tej pory wspominałem, nie byłoby takie bardzo niewesołe, gdyby nie inny jeszcze aspekt tej „nominacji”. Otóż 5-ta bateria stała się w międzyczasie sławna jako „bateria karna”. Do niej przenoszono żołnierzy, z którymi w innych bateriach dowódcy nie mogli dawać sobie rady. Chcąc nie chcąc znalazłem się w sytuacji wręcz konfliktowej z moim dawnym szefem, którego twarda dyscyplina mojej dawnej baterii nadała ten specjalny charakter. Trudność dodatkowa, to różnica stopni: ja, przełożony, w stopniu kaprała, on, podwładny w stopniu ogniomistrza. Jeden nonsens więcej z repertuaru niektórych „wodzów”. Na dokładkę do tych „przyjemności” mieliśmy w tej wyborowej baterii jeszcze czwartego oficera. Bo etat baterii opiewał na czterech oficerów. Tylko, że ten czwarty, tzw. oficer zwiadowczy, pisał systematycznie podania o demobilizację, bo w wojsku nie chciał być. Ponoć był pisarzem. Leżał cały czas w cieniu winnic i pisał. Albo czytał. Do żadnych oficerskich zadań nie czuł się zobowiązany, więc we dwóch z Heniem mieliśmy wszystko na głowie. Dowódca baterii, w okresach frontowych znajdował się przeważnie na „pierwszej linii”, przy piechocie, a kiedy znalazł się na zapleczu, bateria nie wiele go obchodziła. Czyli: mój awans i przydział – jedno marzenie. A między żołnierzami pijaństwo, bo elementy, które w tej baterii się zgromadziły, były szczególnie wartościowe. Szef, były policjant, trzymał jak mógł tę bandę w ryzach, ale tu surowa dyscyplina na nic się nie zdała. Dowódca łączności baterijnej, gdzie spotkały się najgorsze elementy, był człowiekiem prostym a zacnym, który mawiał, że wolałby młócić cepem niż obsługiwać radio, był przez tę łobuzerię wręcz terroryzowany. I nas, dwóch cywili – Henia i mnie – przydzielono na dowódców. W poczuciu bezsilności byliśmy zupełnie zagubieni. Mówię więc do Henia: – „Tu potrzebne są pociągnięcia całkiem radykalne, inaczej nie wytrzymamy.” – „I co ty byś zrobił” – pyta Henio bezradny. – „Co ty powinienes i musisz zrobić, to jest iść do dowódcy dywizjonu i zażądać radykalnego oczyszczenia baterii z elementów przydzielanych do niej od dłuższego czasu.” – „A dlaczego ja mam to zrobić?” – Heniowi moja propozycja sprawiała trudność. – „Choćby

dlatego, że ty masz już gwiazdkę, a ja nie. Ostatecznie ja jestem „podwładnym” a nie dowódcą.” – To były już tylko koleżeńskie przekomarzenia się. Henio zdawał sobie sprawę, że ja miałem całkowitą rację. – „A jeśli dowódca dywizjonu nie zgodzi się na nasz postulat, oświadczyć, że zgłaszasz dymisję w imieniu nas obydwu.” – I Henio poszedł. I uzyskał jeszcze więcej, niż my oczekiwaliśmy. Ostatecznie dowódcą dywizjonu był dawny dowódca baterii i na dobrym jej imieniu mogłoby mu zależeć. Najgorsi „rozrabiacze” musieli sobie pójść. Odszedł też dowódca łączności. I sam szef. O, jak teraz zgrzytał zębami. Posażdał mnie, że to była moja robota. Nie, to nie była moja robota, tylko dużo okoliczności nagromadzonych przez długi czas dzięki niewłaściwemu porządkowi w baterii. Ale dla nas – dla Henia i dla mnie – nastąpiły lepsze czasy.

## CO JESZCZE MIAŁO SENS?

My szliśmy do przodu, Niemcy stale się cofali. Od Ankony nasza dalsza droga, jak już wspomniałem, prowadziła wzdłuż via Emilia, w kierunku na Bolonię. Zdobywaliśmy miasta, jedno po drugim, od czasu do czasu luzowani przez inne oddziały odbywaliśmy postoje rekuperacyjne i tak dalej i tak dalej. Wyczyny bojowe zostały przez innych dokładnie opisane, więc mnie pozostaje tylko to zadanie, które sobie postawiłem: odgrzebać z pamięci to i owo, co warte by było wspomnienia. Trochę farby do wydarzeń historycznych. Funkcja oficerska przyczyniała się bardziej do sytuacji, z którymi wiązały się jakieś przeżycia warte zanotowania. Zresztą dowódca baterii swoimi błędami nieraz je powodował. Nieraz dowództwo baterii zajmowało do swojej dyspozycji jakiś włoski domek. Nie znaczy to, że wyrzucaliśmy Włochów. Ci albo sami już wcześniej się „ewakuowali”, bądź też dobrowolnie ustępowali część swego domu do dyspozycji wojska. W stosunkach z Włochami nie pamiętam, abyśmy mieli kiedyś jakieś problemy. W takim więc włoskim domku byliśmy raz zainstalowani. Pewnego dnia słyszę jakieś krzyki na zewnątrz. Chcę wyrzucić, a tu już wpada żołnierz trzymany przez dwóch innych. Tego krzyczącego znałem od czasów rekruckich, porządny człowiek, obecnie był szoferem jednego z naszych wozów. Z dwoma dużymi kamieniami w rękach wpadł z krzykiem: – „Gdzie on jest, taki owaki porucznik?” – „Co się stało?” – nazwałem go po imieniu. – „Co się stało? Ten porucznik, taka była jego mama, zabrał sobie mój samochód i pojechał.” – „Uspokój się i mów do rzeczy.” – „Mam mówić do rzeczy?” – zawołał i rzucił kamienie na podłogę. – „Zabrał mi mój samochód, co go pielęgnowałem i o niego dbałem jak o dziecko.” – „Widocznie musiał gdzieś pojechać, a że ty byłeś pijany, więc nie mogłeś jechać.” – „Że byłem

pijany, to wiem dobrze. I że nie mogłem jechać, to też wiem dobrze, ale żeby tylko powiedział jakieś słówko, jakiś komplement, to by było wszystko dobrze. Ale tak, zabrać samochód, co go pielęgnuję i dbam jak o własne dziecko, a on tak mi teraz robi?...” – Chłopak „rozkleił” się zupełnie. Zdałem sobie sprawę, że ten uczciwy człowiek został zlekceważony przez swego dowódcę i reaguje w sposób prymitywny. Teraz oparł się o moje ramię i płakał jak dziecko: – „Żeby powiedział choć jakiś komplement, to ja bym nic nie mówił... Ja ciebie przepraszam, ja tak nie chciałem...” – „Uspokój się. Ja się nie gniewam, ale ty się uspokój”. Kiedy trochę się uspokoił, powiedziałem do żołnierzy, którzy go trzymali: – „Zaprowadźcie go do jego namiotu i postarajcie się, żeby poszedł spać”.

Inny wypadek, charakterystyczny dla postępowania dowódcy baterii, miał miejsce z Franiem, którego przedstawiłem na początku tej serii opowiadań. Franio w międzyczasie nauczył się czytać i pisać po... włosku, aby móc pisać do swojej „signoriny”. Jako żołnierz został szoferem i to tak dobrym, że prowadził pancerny wóz dowódcy baterii. Co mu zostało, to pociąg do wina. „Łamagi” we Włoszech nie było, ale innych win pod dostatkiem. Dowódca w prawdzie Frania cenił, ale nie zawsze był słowny, na co prości ludzie są szczególnie wrażliwi. Na jakimś miejscu postoju wydarzyło się to, co tu opisuję. Pewnego dnia jestem w moim namiocie i słyszę strzelaninę. Z Thompsona, czyli naszej broni automatycznej. Wychodzę z namiotu i widzę służbowego, który ze strachem schowany za jakimś drzewem wygląda w kierunku, z którego słychać strzały. – „Co tam się dzieje?” – pytam. „Ano Franio spił się i strzela jak szalony.” – „Franio Burdanowicz” – „Ano...” – Wyszedłem z mojego namiotu i idę w kierunku namiotu Frania. – „Niech pan podchorąży tam nie idzie, bo pana zabije!” – „Franio mnie zabije?” – powiedziałem i idę dalej do przodu. – „Nie, mnie Franio nie zabije” – dodałem i idę dalej wprost na Frania, który teraz mnie już dobrze widział. „Franiu, nie strzelaj, to ja...” – Franiu stał rozchelstany, z Thompsonem gotowym do strzału, ale moją postawą zupełnie rozbrojony. – „Franiu, oddaj mi ten pistolet...” – powiedziałem i podszedłem do Frania na wyciągnięcie ręki wolnym, ale pewnym krokiem. I Franio oddał mi Thompsona bez jakiegokolwiek próby oporu. – „Franiu, choć do namiotu.” – Wziąłem go pod rękę, wszedł do swego namiotu, a ja za nim. Pytam się: – „Franiu, powiedz co się stało, że tak się wygłupiasz?” – Franiu teraz nie mógł najpierw nic powiedzieć, tylko położył głowę na moim ramieniu i płakał, tak jak żołnierz w poprzednim wypadku, aż wreszcie wykrztusił: – „Po...porucznik pojechał do...” – nazwał miejscowość, do której dowódca pojechał. – „Więc co? On sobie pojechał, a ty musisz tu szaleć?” – „Kie...kiedy on mi o...obiecwał, że jak tam po...pojedzie, to mnie z...zabierze, bo tam jest moja signorina”.

Teraz zrozumiałem przyczynę rozżalenia pocziwego Frania. – „Jak on ci to obiecał, to powinien słowa dotrzymać.” – „Ale on po...pojechał sam...” – „On zrobił głupio, ale ty robisz jeszcze głupiej. A jakbyś tak kogoś zabił?” – „J...ja nikogo nie chciałem zabić.” – „Nie chciałeś, ale po pijanemu mogłoby to się stać, i co wtedy?” – „A...ale nie podasz m...mnie do rapo...portu?” – „Do raportu cię nie podam, ale teraz połóż się spać.” – Franio na pewno nikomu nie chciał zrobić krzywdy, ale sam czuł się skrzywdzony i w taki sposób reagował na zaznaną niesprawiedliwość.

Od tamtego wydarzenia Franio mnie lubił jeszcze bardziej. Kiedyś, kiedy już dostałem nominację oficerską, jechałem z nim samochodem. Położył mi rękę na ramieniu i tak gwarzył: – „Wiesz Ta...Tadziu, p...panie po...poruczniku, ja t...to jak sobie n...nie wypiję tak ze sz...sześć litrów wina, to t...tak jakbym w...w ogóle nic nie pił.” Wspominam to, bo chcę w ten sposób lepiej wyrazić problem, przed którym mnie postawiono przez „nominację” oficerską do jednostki, w której odbyłem wyszkolenie rekruckie. Nie chciałbym zamknąć takimi przykrymi wspomnieniami, bo były też i inne, wręcz humorystyczne. Co mi się przydarzyło w Mercato Saraceno<sup>50</sup>, miasteczku, w którym nasz pułk pod koniec lata 1944 roku spędzał okres wypoczynkowy, w tym miejscu może być opowiedziane. Wszyscy żołnierze byli tu goszczeni przez ludność włoską i pozawiały się bardzo miłe wzajemne stosunki. Oficerowie, ja wraz z nimi, zamieszkaliśmy w domach przy placu głównym miasteczka. Ja ulokowałem się wraz z Heniem Mleczko u bardzo miłej rodziny, która miała córeczkę nastolatkę. Do niej przychodziły często koleżaneczki, które z nami lubiły się bawić. Najchętniej grano w pchełki. Taka zabawa dla dzieci mniejszych i większych świadczy, że można było mieć kontakty z ludnością bez żadnych intencji niezbyt czystych. Nasze zabawy były naprawdę niewinne, a to wpływało tylko pozytywnie na stosunki z mieszkańcami.

Nie to jednak miało być tematem tego opowiadania. Tematem będzie moje „zderzenie” z nowym dowódcą pułku, który skądinąd był bardzo wartościowym dowódcą, ale moja przygoda spowodowała raczej rozładowanie jego humoru na mnie. W niedzielę chodziliśmy dywizjonami na mszę świętą w kościele parafialnym Mercato Saraceno, którą odprawiał kapelan pułku. Oficerowie służbowi dywizjonów zaprowadzali swoje oddziały na zbórkę na placu, po czym cały pułk wchodził do kościoła. W jedną z niedziel służba

---

50. Jak wskazuje Tadeusz Wojnarski jr. – to wydarzenie prawdopodobnie nie mogło się odbyć w Mercato Saraceno, lecz bardziej na południowym wschodzie nad Morzem Adriatyckim. T. Wojnarski wyjechał w czasie przerwy zimowej 1944/45 na urlop do Mercato Saraceno i namalował tam akwarele sygnowane na dzień 1 marca 1945 roku. Wynika z tego, że T. Wojnarski zapewne pomylił miejsce lub czas tej wizyty.

oficerska przypadła mnie. A byłem wciąż jeszcze podchorążym. Kapralem. Miałem więc wątpliwość, czy to będzie właściwe, żebym ja prowadził wojsko do kościoła. Poszedłem do dowódcy dywizjonu, żeby mu przedstawić moje skrupuły. – „Niech pan podchorąży powie ppor. Błahaczykowi, żeby on za pana poszedł z dywizjonem do kościoła. Poszedłem do Zeflika (tak go nazywaliśmy, bo był autentycznym Ślązakiem), ale on był świeżo namydlony do golenia i zaprotestował: – „Jak ja mam iść, przecież nie zdążę się nawet ubrać”. – Wracam do kapitana i to relacjonuję. – „Ale panie podchorąży, ostatecznie jest pan na funkcji oficerskiej i to nie pana wina, że panu nie dali gwiazdki. Niech pan więc sam poprowadzi dywizjon.” – Poszedłem na plac zbiórek dywizjonu, przyjąłem raport szefów baterii, rzuciłem okiem na żołnierzy, ale wszyscy wydawali mi się być ubrani jak się należy i pomaszzerowaliśmy na plac zbiórki pułku. Gdy po moim rozkazie „bateriami stawaj w prawo” żołnierze stanęli i zrobili w prawo zwrot, usłyszałem nagle głos wołający z góry: – „Kto przyprowadził tę bandę do kościoła?” – Podniosłem głowę do góry. Coś na trzecim piętrze, przy balustradzie, stał „Cyklop”. Czyli pułkownik Link, nowy dowódca naszego pułku. Co miałem robić? Stałem na baczność i zameldowałem: – „Panie pułkowniku, melduję przybycie trzeciego dywizjonu na mszę świętą!” – „Do mnie!” – Żołnierze słuchają, Włosi się przyglądają, a ja co drugi schodek pędzę na górę i jeszcze raz powtarzam meldunek. – Ta banda to nie żaden trzeci dywizjon. Każdy ubrany inaczej. A jaka komenda?! Odprowadzić to wojsko do rejonu i niech oficer służbowy przyprowadzi.” – Rzeczywiście, komenda była na spocznij, a nie na baczność, jak to przy większych uroczystościach powinno by było być. Ubrani nie byli każdy inaczej, ale pewnie któryś miał założone spinacze na spodnie, jako to obowiązywało w dniu powszednie. Prawda, że kontroli tak jak się należy, wcale nie przeprowadziłem. Jak niepyszny zaprowadziłem dywizjon na miejsce jego zbiórek i popędziłem do kapitana z meldunkiem sytuacyjnym. Był zły, ale ostatecznie on sam kazał mnie ludzi poprowadzić do kościoła. Później inni oficerowie mówili, że „Cyklop” był tego dnia wściekły, bo ktoś go widział jak odwoził gdzieś włoską gospodynię swoim jeepem. Kapitan tym czasem musiał dać inne zarządzenia: „Niech por. Mleczko pójdzie z nimi do kościoła.” Pobiegłem do Henia. Opowiedziałem mu co zaszło i biedny kolega musiał sytuację ratować, choć poprzedniego dnia miał sam służbę. – „Heniu, tylko pamiętaj, że komenda musi być na baczność”. W tamtych dniach Powstanie Warszawskie chyliło się ku ostatecznemu upadkowi. Bolszewicy w marszu naprzód stanęli pod stolicą, aby dać Niemcom możliwość całkowitego zniszczenia miasta i upadku powstania. A my bawiliśmy się wciąż jeszcze w wojsko po swojemu. Co jeszcze miało sens?

## RÓŻNE MAŁO WAŻNE EPIZODZIKI

Wojna we Włoszech toczyła się dalej. Niepewność przyszłości, wewnętrzny niepokój wzrastały w miarę sytuacji na innych frontach i układów zawieranych pomiędzy aliantami. Najchętniej o tych problemach się nie myślało. Nasze życie frontowe biegło swoimi drogami. W artylerii, w bezpiecznym oddaleniu od linii walk, zażywaliśmy przywilejów tej broni. Ciekawsze, choć przez to może niebezpieczniejsze przeżycia można było mieć przy okazji jakichś zadań specjalnych od czasu do czasu otrzymanych. Kto ciekaw wielkich emocji, nie powinien o nie pytać artylerzysty. Ale jeśli się artylerzystą już jest, trzeba zadowolnić się epizodzikami mniejszymi. Spróbuję z tego skromnego repertuaru coś sobie przypomnieć.

W pewnym okresie mieliśmy zadanie wsparcia regularnego oddziału ochotniczego włoskiego. W zakresie baterii. A więc niewielkim. Dowództwo tego zadania powierzono mnie. Z dwoma radiotami dołączyliśmy do włoskich przyjaciół. Ulokowali się wygodnie w jakimś domu włoskim, nam dano do dyspozycji pokój, jeśli tamto pomieszczenie nazwać by można było pokojem, na piętrze, gdzie trzeba było wchodzić po schodach, którym należałoby dać raczej imię drabiny. Urządziliśmy się jak tylko było można i czekamy na zadania. Nic się nie działo, za to hałasy dochodzące z dołu zaczęły nas niepokoić. Czy oni tam się pobili? Sprawdziłem obecność pistoletu na swoim miejscu i uchyliłem drzwi prowadzące na dół. Była tam obszerna kuchnia z typowym włoskim kominkiem, na którym zawieszony był dużych rozmiarów kocioł. Po środku ogromny stół, włoskie wojsko dokoła niego siedziało i nawet się nie kłóciło. Rozmawiali z pomocą rąk, ale o jakiejś bijatyce nie było nawet mowy. Co dla nas było podejrzanym hałasem, było dla nich najzwyczajszą rozmową. Kiedy mnie zobaczyli, zaprosili do zejścia na dół do wspólnego spożycia zawartości kociołka, czyli jakiejś bardzo smacznej minestrony. Radiotów też zawołali, ale o zadaniach typu działań wojennych mowy nie było. Na tym skończyło się nasze poparcie artyleryjskie dla batalionu włoskiego.

Przy okazji innego zadania specjalnego, w którym miałem być znów „oficerem łącznikowym”, ale nie do Włochów, lecz do jakiegoś oddziału piechoty polskiej. Było to w Apeninach<sup>51</sup>. Noc. Deszcz rozmaczał gliniastą drogę, całkiem niewidoczną dla artylerzysty niezwykłego do działań na takim terenie.

---

51. Walki w Apeninie Emiliańskim (10 października 1944 roku – 1 stycznia 1945 roku) były toczony w trakcie walk nad Adriatykiem na froncie włoskim. 2 Korpus brał w nich udział od początku października do połowy grudnia 1944 roku. Później nastąpiła przerwa zimowa nad rzeką Senio. Żołnierze 2. Korpusu zajęli terytoria pomiędzy miejscowościami Castel Bolognese i Solarolo – zob. Z. Wawer, *Bitwa o Ankonę...*, s. 12 i n.

Stawiam krok za krokiem, a tu nagle, nie wiadomo skąd, gdzieś z dołu głos: – „E, ty taki owaki, nie masz oczów?!” Widać nastąpiłem na człowieka leżącego w ściworze na tej błotnistej ziemi. Obrzucił mnie najgorszymi wyzwiskami, ale co się dziwić? Pomyślałem sobie jak strasznie ciężka jest służba tych ludzi... I jak dobrze mamy my w artylerii...

Ktoś spyta, czy w moich „ulgowych” warunkach artyleryjskich nie przeżyłem nigdy jakichś naprawdę niebezpiecznych momentów? W tym miejscu rzeczywiście nie mam czym się chwalić. Głównego wroga artylerii – lotnictwa, bać się nie musieliśmy. Bo Niemcy we Włoszech samolotami w ogóle nie dysponowali. Obstrzały artyleryjskie dla tak daleko stojących stanowisk dział praktycznie też nie były groźne. Trzeba było, jak w wypadkach poprzednich, być na jakimś zadaniu specjalnym, aby „mieć przyjemność” przeżycia prawdziwego niebezpieczeństwa. Wielkich zadań nigdy mi nie powierzono, czasem tylko coś drobnego. Jak na przykład zbudowanie punktu obserwacyjnego dla naszego dowódcy przy piechocie. Miał on znajdować się na samym szczycie wzgórza pomiędzy naszymi oddziałami i niemieckimi. Z grupką żołnierzy zapatrzonych w łopaty, kilofy itp., maszerowaliśmy z mapą w rękę w kierunku tego wzgórza. Droga wiodła przez teren odkryty, czyli że jeśli Niemcy go obserwowali, nie mogliby nas nie widzieć. – „No co, panowie, pewnie Niemcy nas widzą” – zagadałem do moich chłopaków. – „No to nas pozdrowią. Tylko kiedy?” – któryś podchwycił. A tu ani drzewka, ani nawet krzaczka... Szliśmy więc dłuższy już czas w milczeniu. Nagle, pośród tej ciszy dokoła, świst tak dobrze znany każdemu artylerzyście. Nie musiałem dawać żadnego rozkazu, wszyscy już leżeli plackiem na ziemi czy pośród trawy. I... jak według znanego też planu – wybuchy pomiędzy nami. Jeden, drugi, trzeci, czwarty... „Od prawego baterią” – stwierdziłem głośno, ale pietra to miałem. Po pierwszej serii mogła przyjść druga i trzecia... Druga przyszła... a po niej cisza... Nikt się nie odzywa, więc przypuszczam, że nikomu się nic nie stało. Podnoszę głowę i pytam głośno: – „Eh, panowie, czy wszyscy cali?” – Cali byli wszyscy, pomimo, że znaleźliśmy się pośród rozrzutu dwóch serii oddanych przez niemieckich „kolegów”. Bo, jak już gdzieś na początku zazaczyłem, że artyleria nie ma zadania nieprzyjaciela zabijać, lecz „obezwładniać”. Czy to nie było prawdziwym niebezpieczeństwem? – padnie teraz pytanie. Z pewnością było. Mieliśmy jednak bardzo dużo szczęścia! A takie wydarzenie można było włożyć co najwyżej pomiędzy małe epizodziki. A zadanie wypełniliśmy: punkt obserwacyjny był, jak się należy!

Nie bardziej niebezpieczna był następna „przygoda”, którą jeszcze chcę opowiedzieć, bo była przeżyciem absolutnie „ostatnim” w tamtej kampanii: po tym wydarzeniu Niemcy złożyli we Włoszech broń. Po tym pozostało mi



nawet ważenie, że na tę „przygodę” wystawiono mnie umyślnie, ponieważ krótko przed tym dano mi wreszcie długo oczekiwaną gwiazdkę<sup>52</sup>. A że każdemu oficerowi „wypadało” mieć jakieś odznaczenie, więc okazję do tego też trzeba było dać. I tą okazją było (tak sobie myślę) to zadanie, które tu chcę zreferować.

Ostatnią naszą bitwą we Włoszech była bitwa o Bolonię. Bitwa-nonsens, z naszego punktu widzenia. Polska sprawa była już całkiem przesądzona, choć my tego jeszcze nie mogliśmy wiedzieć z absolutną pewnością. „Żołnierska komedia” dobiegła do swego końca. W tej to ostatniej chwili wysłano mnie jako obserwatora artyleryjskiego do wspieranego przez nas oddziału piechoty. Dostaliśmy Bantama, czyli Jeepa, aby wraz z dwoma radiotami dotrzeć do przewidzianego celu. Jedziemy więc drogę wąską i tak zakurzoną, że z daleka byliśmy pewnie tylko kłębowiskiem pyłu. Nagle... tak znajomy świst... Kierowca zahamował i wóz zatrzymał tak gwałtownie, że prawie nie musieliśmy wysiadać, kiedy znaleźliśmy się w rowie przy drodze... Zakotłowało się tylko... I czekanie co dalej.

Nikt nic nie mówił, tylko kierowca na mój rozkaz włączył tylni bieg i odjechał wstecz z szybkością, której chyby by nie osiągnął musząc ruszać normalnie do przodu. Wyczyn możliwy chyba tylko ze strachu. A mnie pozostawało myślenie co dalej? Co dalej? Najpierw najważniejszy był następny pocisk, który upadł też gdzieś niedaleko. Po nim cisza... Co to miało znaczyć? Tu wiedza artyleryjska przychodziła z pomocą: tego rodzaju ogień nazywa się „nękający”. Nękający, niedający spokoju nieprzyjacielowi w jakimś rejonie. W tym wypadku w rejonie drogi, którą jechaliśmy. – „Panie poruczniku, co będziemy robić?” zapytał jeden z radiotów. – „Oni kładą na tę drogę ogień nękający. To znaczy, że albo pójdziemy szybko piechotą, aby uciec przed następnym strzałem, albo obejść drogę przynajmniej tak daleko, jak może ten ogień być niebezpieczny.” – Chłopaki mogły pytać, ja musiałem decydować. – „Wychodzić!” – rozkazałem. – „A teraz najpierw odejźmy od tej drogi i namyślmy się, co dalej”. – Moim chłopakom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Kiedy odeszliśmy od drogi jakieś sto metrów, powiedziałem: – „Panowie (to była najulubieńsza forma rozmów między kumplami), jak myślicie, czy Niemcy będą na tę drogę strzelać dalej?” – Co oni mogli wiedzieć. Zresztą ja też nie mogłem wiedzieć, co myśleli sobie Niemcy. Pozostawała zimna kalkulacja. Robiłem ją głośno: – „Że to jest ogień nękający, to jest prawie że prawda. Czyli następny pocisk może spaść za chwilę albo po dłuższym czasie. Ale to zależy od humoru

---

52. Tadeusz Wojnarski jr. wskazuje, że musiało to być gdzieś pod koniec przerwy zimowej, to znaczy na przełomie marca i kwietnia – przed rozpoczęciem działań na przedpolach Bolonii.

niemieckiego kanoniera. Jeśli będzie chciał odpalić zaraz, to na drodze jest najniebezpieczniej. Więc lepiej drogę zostawić z boku. Ale z boku, na przestrzeni, którą musimy jeszcze przejść, mogą być położone miny... Mogą, ale nie wydaje się prawdopodobne, aby w tym rejonie Niemcom to by się opłacało. Czyli co? Panowie, jak wam się zdaje?” – Teraz chłopaki musiały coś powiedzieć. – „Bo ja wiem...” – bąknął pierwszy. – „Ja też nie wiem...” – bał się brać odpowiedzialności drugi. – „To ja muszę zdecydować. Niebezpieczeństwo na drodze jest większe. Lepiej więc drogę obejść”. – Żołnierze byli z tej decyzji zadowoleni. I pomaszzerowaliśmy do przodu, równoległe do drogi. Nie uszliśmy daleko, a tu od strony drogi jakiś potworny huk. To nie pocisk, tylko jakiś dużo potężniejszy wybuch. Stanęliśmy jak wrzyci. Co to mogło być?... – „Myślę, że przy drodze musiała być zdeponowana, może gdzieś w rowie, większa ilość amunicji. Mogli ją zostawić Niemcy, a mogli złożyć też i nasi. W ten prowizoryczny skład amunicji musiał trafić pocisk niemiecki. „Dziękujemy Panu Bogu, że nie poszliśmy tamtą drogą” – westchnął jeden z radiotów.

Poszliśmy dalej bokiem od drogi i doszliśmy do celu. Bez większych trudności nawiązałem kontakt z piechotą. Z zasłyszanych tam wiadomości bitwa o Bolonię nie tylko że skończyła się, ale też, że Niemcy we Włoszech całkiem skapitulowali<sup>53</sup>.

Noc była ciepła, spokojna. Ciszy nic nie zakłócało... Nagle, nagle okrzyk: – „Stój, stój, kto idzie? I cisza... Po chwili znów: – „Stój, bo strzelam!” – i seria z broni maszynowej, a po niej straszny, potworny krzyk człowieka śmiertelnie trafionego. Tego okropnego głosu nie można zapomnieć. Głosu ostatniego człowieka zastrzelonego na froncie włoskim.

Czy to było warte mojego odznaczenia Krzyżem Walecznych, które rzeczywiście zostało mi dane?

## PO PRZEGRANEJ WOJNIE

To, że wojna była dla nas przegrana, nie mogło już ulegać żadnej wątpliwości. Dowództwo na ten temat niechętnie coś mówiło. Ja też należałem do tych, którzy jeszcze próbowali wierzyć w to, że alianci zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa bolszewickiego poprowadzą rozgrywki polityczne w taki sposób, że Polska odzyska swoją niepodległość. W braku jakichkolwiek argumentów,

---

53. 28 kwietnia 1945 roku Niemcy podpisały bezwarunkową kapitulację swoich oddziałów we Włoszech.

najchętniej starano się o tym nie myśleć. Tym nie mniej pytania „co dalej” całkiem odsunąć nie było można.

Oddziały przeniesiono w miejsca postojów dla nich bardzo dogodne. Dowódcom zostawiono dużo wolnej inicjatywy. Na najwyższym szczeblu władz 2. Korpusu zdawano sobie sprawę z całą pewnością, jaka jest polska rzeczywistość. Planowano więc z wielkim poczuciem odpowiedzialności przygotować program przystosowywania ludzi, którzy tę wojnę przegrali, do dalszego życia bez względu na rozwój wydarzeń politycznych. Projekt ten dotyczył zarówno wyszkolenia wojskowego jak i doksztalcania w zawodach użytecznych w życiu cywilnym oraz podnoszenia stanu wykształcenia ogólnego. W pierwszej jednak fazie żołnierze mogli zażywać naprawdę zasłużonego wypoczynku. Jak to w rzeczywistości się układało, zależało od dowódców oddziałów. Dlatego też pozostaną przy wspomnieniach dotąd jeszcze nie zatartych z życia żołnierskiego w naszym 2 Karpackim PAL-u.

Świadomie zwróciłem tu uwagę, że rozwój tego życia skądinąd bez przeszłości zależało w pierwszym rzędzie od dowódcy, który miał je jakoś układać. Czytelnicy przypominają sobie z pewnością moje „zderzenie” z „Cyklopem” w Mercato Saraceno. Wtedy jeszcze nie miałem stopnia oficerskiego, ale sprawowałem funkcję oficerską, położenie dla mnie możliwe do zniesienia chyba tylko z powodu mojego nastawienia „cywilnego”. Zachowania się naszego pułkownika Linka, bo takie było jego nazwisko, nie pozbawiło mnie odpowiedniego dla niego szacunku. W rzeczywistości bowiem był on szczególnie wartościowym człowiekiem i dowódcą dbałym o swoich żołnierzy. Na jego przykładzie pragnę dać pewnego rodzaju satysfakcję w ocenie oficerów, których postępowanie nie było godne odpowiedzialności, jaką złożono w ich ręce. Pułkownik Link nie był z pewnością wypadkiem odosobnionym troskliwości dowódcy o żołnierzy i nie zamierzam tworzyć jakiegokolwiek teorii na ten temat. Po prostu chcę spróbować dać trochę barwy tym osobistym wspomnieniom z czasów skądinąd tak przykrych i bolesnych dla żołnierza, który walczył na straconych pozycjach stanął wobec sytuacji pozbawionej wszelkich optymizmów. A jednak trzeba było żyć. Cokolwiek co by miało nastąpić trzeba było przetrwać, przezwyciężyć. Jak przez taki okres przejść, w znacznym stopniu mogło to zależeć właśnie od odpowiedzialnego dowódcy.

Nasz pułk ulokowano w pobliżu miasteczka Pedaso nad Adriatykiem. Zajątki wojskowe nie zostały zniesione, ale odbywały się pod znakiem przede wszystkim konserwacji cennego sprzętu oraz organizowania zajęć w czasie wolnym dla żołnierzy. Przestrzeni życiowej dla pułku było w Pedaso dużo. Trzeba było tylko pomysłowości, aby ją z pożytkiem dla „wojska” wykorzystać. Nie wiem kto był autorem pomysłu stworzenia kina pułkowego. Czyj by

to nie był pomysł, bez poparcia dowódcy nie byłby z pewnością zrealizowany. Tak więc istniejący warsztat naprawczy – REP – został do zadania włączony. Pieniądze musiały wyjść z jakiejś kasy pułkowej, a fachowców było pod dostatkiem. Na włoskich złomach nie było trudno o wozy wszelkiej kategorii. Dla kina na kołach potrzebny był sporych rozmiarów autobus. Za niedużą sumę znaleziono jakiś stary grat, który mechanicy REP-u wyrychtowali tak, że wewnątrz można było zamontować całą aparaturę, także gdzieś okazyjnie nabytą. Polacy w takich wypadkach są znakomici. Nie wiem na jakich warunkach pułk otrzymał pozwolenia na ustawienie ogrodzenia, tak aby gapowi goście nie mogli łatwo przychodzić na seanse kinowe, o sporą ilość składanych krzeseł też zadbano i pozostawało tylko organizowanie seansów i prowadzenie kasy. Bo choć dla żołnierzy, to nie za darmo. Zresztą płk. Link miał już w głowie plan wykorzystania tą drogą uzyskanych finansów. Poza tym wstęp do kina miała także ludność włoska. Każdy, kto zapłacił za bilet, mógł zobaczyć wyświetlany tego dnia film. Przedsiębiorczy organizatorzy nawiązali kontakty z włoskimi dystrybutorami kinowymi i każdego wieczora „leciał” inny program. Z pogodą w lato we Włoszech praktycznie nie było problemów. A żołnierze, zamiast gdzieś się wieczorami waleśać, chętnie przychodzili do swojego KINA 71. Nie chcę tu pominąć mojego przyczynku dla tego kina: pomalowany na jednolity szary kolor wóz kinowy byłby bardzo ponury, dostałem więc zadanie odpowiedniego ozdobienia go. Z tyłu namalowałem więc dużych rozmiarów Mickey Mause, a po bokach królową śnieżkę i siedmiu krasnoludków<sup>54</sup>. Nasze KINO 71 wyglądało imponująco!

A teraz spyta się czytelnik całkiem słusznie: „A co właściwie zamierzał wasz «wódz» zrobić ze sporą ilością pieniędzy uzyskanych z kina?”. Pieniądze nie były z pewnością celem głównym tej instytucji, ale też nie nieważnym. Otóż pierwszą inwestycją z tego kina był zakup prosiaków, po dwa na każdą baterię. Kucharze baterijni dostali zadanie „opieki” nad prosiaczkami, co gospodarsko z natury nastawionym Polakom nie było ani obce, ani niemiłe. Dla całej społeczności żołnierskiej zarówno atrakcją w „ponurych czasach”, no i dobrym dodatkiem świątecznym do normalnego menu. A że kino było na kołach i całe jego wyposażenie mieściło się znakomicie wewnątrz pakownego autobusu, przedsiębiorstwo nie było skazane na śmierć z chwilą zmiany

---

54. Tadeusz WojnarSKI jr. wskazuje, że w archiwum rodzinnym zachowały się gwaszowane szkice jego ojca przedstawiające Myszkę Miki, Królową Śnieżkę i pięciu krasnoludków. Są on podpisane „TW” w formie symbolu: Polska Walcząca. T. WojnarSKI używał takiego podpisu nie tylko w obozie „Barbara”, ale także we Włoszech, nawet po zakończeniu wojny.

m. p. pułku. Pułku 71, bo taki numer w ramach rejestracji wozów Deski, czyli 3 Dywizji Strzelców Karpackich, przypadła naszemu Drugiemu Pułkowi Artylerii Lekkiej.

## INNE WSPOMNIENIA Z CZASÓW „CYKLOPA”

Na wstępie muszę sprostować, że przydomek „Cyklopa” nie był bynajmniej przyczepionym raz na zawsze i przez całą społeczność żołnierską swemu dowódcy. Autorami tego epitetu byli raczej i wyłącznie oficerowie pułku. Z rozmaitych powodów nie był on w kołach oficerskich postacią zbyt cenioną. Sam o tym wiedział, a opowiedziany dalej epizodzik uwypuklił to bardziej plastycznie. W każdym pułku był przewidziany etatowo oficer oświatowy. O mojej osobistej przyjaźni z jednym z poprzednich oficerów oświatowych i o wynikłych dla mnie z tego konsekwencji, parę słów już napisałem. To, co teraz wspomnę nie dotyczy mnie osobiście, ale jest związane z grupką kolegów z pułku, z którą miałem pewne powiązania. Przywódcą duchowym tej grupki był Julian Iwaszkiewicz<sup>55</sup>, kanonier rezerwy. To nie jest żart złośliwy, ale ma charakter żartu, zwłaszcza w powiązaniu pojęcia „kanoniera” z zwyczajem oficerskim. Ten oto bowiem kanonier Iwaszkiewicz był żołnierzem tak wysoce zdyscyplinowanym i tak wojskowo precyzyjnie się zachowującym, że żaden z oficerów nie odważyłby się zwrócić mu uwagi. W sytuacjach frontowych, gdy oficer tracił głowę, kan. Iwaszkiewicz przejmował dowództwo. We wszelkich dziedzinach wojskowości kan. Iwaszkiewicz miał więcej wiedzy niż przeciętny oficer. Stąd też był on żołnierzem o tak szczególnym autorytecie, że poprzedni już dowódca pułku raz mu zaproponował pójście na podchorążówkę. Ten mu odpowiedział: „Panie pułkowniku, dziwi mnie propozycja pana pułkownika. Gdybym dostał inną ofertę, a mianowicie wykładowcy na wyższej szkole wojennej, to bym ją ewentualnie przyjął. Ale iść na podchorążówkę, to mnie nie interesuje.” Wokół tego to Kanoniera Iwaszkiewicza zebrała się grupka ludzi. Spotykali się po przyjacielsku i rozmawiali na poważne tematy polskie. Do tej grupy należał Jarosław Rudniański, czyli Staszek, mój przyjaciel z czasów rekruckich i późniejszych, Tadek Malinowski, wspomniany z okazji prac teatralnych w Iraku oraz Kazio Morawski<sup>56</sup>, „serowar”. Mnie w tej grupie

---

55. Julian Iwaszkiewicz – ur. w 1908; numer ewidencji w 3. DSK: 3, bombardier w 2. Pułku Artylerii Lekkiej. Odznaczony Krzyżem Walecznych – zob. *Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 1942–1947*.

56. Kazimierz Morawski – ur. w 1918; numer ewidencji w 3. DSK: 31, podporucznik w 2. Pułku Artylerii Lekkiej – zob. tamże.

chętnie widziano i akceptowano, co mogłem sobie policzyć za zaszczyt. Przewidziałem, że „zajczek” nie uważałem za coś mi ubliżającego. Kazio **w między czasie** dostał gwiazdkę oficerską, zaś Staszek pozostał na kapralu podchorążym, a Tadek był ledwie bombardierem podchorążym. Co tyczy osobowości Kazia Morawskiego, to szczególnie określi następujący epizodzik. Gdzieś w czasie działań wojennych, do stojących rzędem namiotów żołnierskich, w nocy chodziła, od namiotu do namiotu, biedna dziewczyna z dzieckiem. Nędza zmusiła ją do najgorszego poniżenia. Gdy w kolejności trafiła do Kazia Morawskiego, ten zastawił swoje łóżko jej i dziecku, a sam wyszedł i całą noc, aż do rana, przespacerował na zewnątrz.

Ale jakie powiązanie mają te wasze historyjki z dowódcą pułku? Pytanie całkiem na miejscu, skoro pod jakimś opowiadaniem daje się taki czy inny tytuł. Otóż pewnego dnia płk. Link wzywa do siebie bomb. podchorążego Malinowskiego i oświadcza mu, że mianuje go „Oficerem Oświatowym Pułku”. Tadek, zaskoczony, próbował oponować: „Ależ ja jestem zaledwie bombardierem podchorążym i jak mogę taką funkcję sprawować?” – „Wiem o tym i do pomocy przydzielam panu kanoniera Iwaszkiewicza. Wiem też, że będzie pan miał przeciwko sobie cały korpus oficerski, ale za sobą – dowódcę pułku. A to też coś znaczy.” W tym świetle można ocenić jak poważnie płk. Link traktował zadanie oficera oświatowego. W opowiadaniu następnym pragnę mu złożyć podziękowanie za szczególnie przyjazny stosunek jaki sam osobiście zaznałem.

Z Pedaso przeniesiono nas na okres jesienny i zimowy do Ascoli Piceno. Pułk został ulokowany poza miastem około dwóch kilometrów. Naszemu dywizjonowi przydzielono duży budynek szkolny. Oficerowie mogli kwaterować w samym mieście, prawo, z którego ja też skorzystałem. Na zajęcia oczywiście musiałem dochodzić piechotą. Zajęcia wojskowe wówczas przybrały nowe formy, bo utworzono tyle kursów nie tylko o charakterze szkoleniowym wojskowym, lecz także cywilnym, że ze stanów normalnych pozostało nie więcej, chyba jak 50% żołnierzy. Z tych wielu musiało pełnić służby 24-godzinne, po których mieli prawo do 24-godzinnego wypoczynku. W rezultacie na zbiórki przychodziła zaledwie 1/3 baterii. Oficerowie ze stanów dotychczasowych nie chcieli się żołnierzami zajmować w ogóle, bo z niemieckich oflagów poprzedzielano do naszych oddziałów tylu oficerów, że stany oficerskie tak się podniosły, że wielu nie miało nic do roboty. Byli jeńcy wojenni przewieźli ze sobą zapal wojskowy, a oficerom starym, odwrotnie, nic nie chciało się robić. Pośród takiej niezdrowej atmosfery wszelkie zajęcia o charakterze drylu wojskowego traciły całkowicie sens. Ja, oficer ze „starej gwardii”, do tego z gatunku „cywilów”, musiałem sytuację rozwiązywać po swojemu. Tak więc, kiedy w planie zajęć miałem przeprowadzić z żołnierzami godzinną musztrę, brałem

resztki bateryjne „na moją komendę” i w formie „na baczność” (tu przydały się doświadczenia z Mercato Saraceno), wymaszerowaliśmy z rejonu po to, aby po możliwie krótkim marszu przejść na „spocznię” i poza rejonem znaleźć jakieś odpowiednie miejsce na koleżeńskie pogawędkę i na papieroska dla palących zarządzić zbiórkę na powrót do rejonu. „Panowie, czas się kończy, wracamy do domu.” Ostatecznie to byli w większości koledzy z czasów, kiedy wspólnie byliśmy musztrowani.

## DRUGIE POWOŁANIE (WE WŁOSZECH NA STUDIACH 1946)

### DO RZYMU!

Gdzieś pod koniec roku 1945 dostałem urlop do Rzymu, dokąd pojechałem z wielką uciechą. Z powodu możliwości poznania zabytków tam się znajdujących jak też przerwania smętnego programu łatania dziur przegranej wojny. Na trzeci czy czwarty dzień pobytu w „Wiecznym Mieście”, przy kawce w jakimś oficerskim klubie, poznałem porucznika, który – o dziwo! – przebywał tam od dłuższego już czasu... na studiach w Akademii Sztuk Pięknych. O planach zorganizowania studiów dla tych z pośród żołnierzy, którzy mieli kiedyś je rozpoczęte, krążyła już od dość dawna wiadomość, ale żeby ktoś już mógł być w Rzymie i tam studiować, to przekraczało wszelkie wyobrażenia. – „To pan tam tak całkiem regularnie już studiuje...” – zagadnąłem pełen zdziwienia. – „Tak, tak całkiem regularnie i oficjalnie” – otrzymałem odpowiedź. – „A czy ja bym też mógł tak samo tam studiować?” – przeszedłem bez zwłoki do rzeczy, bo jeśli by było coś do zrobienia, to tylko w czasie obecnego urlopu. „Sądzę, że tak. Mogę nawet spróbować koledze coś pomóc”. – Rzecz toczyła się jak po pochylni pełnej nieprzewidzianych wydarzeń, zwłaszcza, że moje szanse mogły nabrać kształtów w związku z zamiarami zorganizowania studiów dla żołnierzy 2. Korpusu. Tylko że tamten projekt dotyczył tych, którzy mieli już zaczęte jakieś studia. To znaczy, że moje szanse mogłyby być aktualne, gdybym został przyjęty na drugi rok studiów... Myśl tę wypowiedziałem głośno i czekałem, co na to powie mój nowy kolega z Rzymu. – „Z tą sprawą nie można zwlekać, więc proponuję jutro z rana pójść na Akademię i z miejsca przystąpić do rzeczy. Włosi są do nas jak najlepiej nastawieni i mam nadzieję, że wszystko da się załatwić pomyślnie” – odpowiedział porucznik

Badura<sup>57</sup>, bo choć już nie pamiętam z całą pewnością, to wydaje mi się, że chyba tak brzmiało nazwisko tego później tu znanego polskiego artysty-malarza.

Ta sensacyjna przygoda nastąpiła więc bez zwłoki i następnego już dnia o godzinie dziewiątej, bo o tej porze w Rzymie zaczynało się życie w instytucjach oficjalnych, zameldowaliśmy się z nowym kolegą po fachu w dyrekcji Akademii Sztuk Pięknych. Mieliśmy jednak pecha, bo dyrektora nie było i dopiero na następny tydzień mielibyśmy szansę go widzieć. Ale na następny tydzień będę musiał już być w pułku! – „Może jakiś inny, ważny profesor mógłby tu coś pomóc...” – próbowałem szukać rozwiązania. „Nie, tu nie żaden inny profesor coś będzie mógł pomóc, ale Signore Pomponi, główny woźny, pierwsza osoba po dyrektorze na naszej uczelni” – oświadczył por. Badura i aby nie tracić ani chwili, dodał: „Idziemy do Signore Pomponi!” i poszliśmy do tej szacownej osoby, nowy towarzysz z wiarą we wszechmoc pana Pomponiego, ja nie tylko z wątpliwościami, ale z obawą, że takie nieoczekiwane szczęście nie może być czymś realnym. – „Ale starania za pośrednictwem takiej osobistości jak Signore Pomponi muszą być poparte jakimś dobrowolnym darem dla niego. Myślę, że 500 lirów wystarczy. Suma to nie duża dla żołnierza, ale wtedy we Włoszech wcale pokaźna. I tak bez żadnych przeszkód dotarliśmy do tej postaci decydującej o mojej najbliższej przyszłości. Kolega Badura przedstawił bez żadnych niedomówień o co chodziło, a Signore Pomponi, którego skromna dla mnie sumka całkiem widocznie zadowolili, uroczyście, z urzędową wręcz miną, oświadczył: – „Caro amico Taddeo niech przyjdzie jutro rano trochę przed dziewiątą na egzamin, który będzie konieczny dla uzyskania zaświadczenia przyjęcia go na drugi rok naszej uczelni. Moją sprawą będzie załatwienie takiego egzaminu przez kompetentnego profesora.”

Takie scenariusze są możliwe chyba tylko we Włoszech! Następnego więc dnia rano siedziałem przed dziewczyną-modelem, narysowanie której ołówkiem

---

57. Karol Badura (1907–1983) – malarz, literat, pedagog, porucznik 2. Korpusu. W okresie międzywojennym pracował jako nauczyciel w szkołach na Śląsku Cieszyńskim. Podjął studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, które przerwał ze względu na wybuch wojny. Jednak pod koniec konfliktu – podobnie jak inni „Artyści Andersa” – mógł on ponownie wrócić na studia i to do bardzo prestiżowego miejsca; na włoską uczelnię – Królewską Akademię Sztuk Pięknych w Rzymie. Tam też uzyskał dyplom w 1946 roku. Po wojnie mieszkał m.in. w Argentynie i Włoszech. W 1957 roku wykonał pracę na konkurs „Bitwa o Monte Cassino”, który wygrał. Jego praca konkurowała z innymi 500 dziełami. Od lat 50. XX wieku Karol Badura funkcjonował w środowiskach artystycznych we Włoszech. Został honorowym członkiem Akademii Tiberiana. Otrzymał również różne nagrody – m.in. Leonarda a Vinci i Dantego Alighieri. Więcej o życiu i twórczości Karola Badury można dowiedzieć się z prac Jana Wiktora Sienkiewicza – zob. *Artyści Andersa „Continuità e novità”*, Warszawa–Toruń 2013, wg indeksu.



miało być sprawdzianem mojej dojrzałości do stania się studentem drugiego roku Accademia Reggia delle Belle Arti w Rzymie. Po tym wszystkim możemy już całkiem spokojnie przejść do formy pewników: w ślad po zdanym egzaminie, ponieważ sprawa była szczególnie pilna, po uiszczeniu jakiejś niewysokiej opłaty stempłowej, miałem w kieszeni tak upragniony dowód, który opiewał, że miałem gdzieś kiedyś rozpoczęte studia w dziedzinie Sztuk Pięknych. Z tym to niezwykłym dokumentem w ręku już w najbliższy poniedziałek, zaraz po powrocie z Rzymu, zameldowałem się u dowódcy pułku. Krótko i służbowo poprosiłem go o udzielenie mi urlopu bezterminowego na studia w Rzymie. „Panie poruczniku, niech pan jedzie. Ja nie będę panu przeszkodą. I życzę panu sukcesów w tych studiach”. – Pułkownik Link był zwięzły. Za tę jego przychylność i osobistą życzliwość dla mnie, zgodnie z obietnicą, składał mu w tym miejscu najserdeczniejsze podziękowanie.

## W RZYMIE

Dzięki szczodropliwości płk. Linka nie musiałem czekać na zakończenie pertraktacji polskich władz wojskowych z władzami administracyjnymi włoskimi na temat studiów dla naszych żołnierzy<sup>58</sup>. Z zaświadczeniem odkomenderowania do Rzymu mogłem tam jechać bez większej zwłoki. Przez cztery lata służyłem Polsce z wiarą, że wrócimy do niej jako zwycięzcy, ale kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że byłem żołnierzem walczącym na z góry straconych pozycjach, a inni usiłowali traktować wojsko jako rodzaj zabawy, albo może nawet jako odskocznię do pozbawionej sensu kariery wojskowej, zwątpiłem w jakąkolwiek sensowność naszego zaangażowania.

Nigdy jednak nie potępiłem nikogo, kto kierował naszym losem. Dowódcy, z gen. Andersem na czele, nie mogli być odpowiedzialni za zdradziecką i wiarołomną politykę aliantów. Im zawdzięczaliśmy tych kilka lat życia jako wolni Polacy, stworzenie namiastki utraconej rodziny, a nawet tyle zabiegów i starań o umożliwienie nauki i, jak wtedy w Rzymie, studiów na włoskich uczelniach wyższych. Owszem, obrzydł mnie angielski mundur, dany nam tylko po to, abyśmy byli dla nich przysłowiovym „mięsem armatnim”. Nie wiem, czy byłoby właściwe mówić o nienawidzeniu Anglików, bo taka postawa nie jest godna człowieka, ale leżący na dalszym planie wyjazd do Anglii

---

58. zob. E. Orman, „Energiczna pedagogika” Karoliny Lanckorońskiej. *Organizacja studiów dla żołnierzy 2. Korpusu we Włoszech w latach 1945–1947*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego” 2006, z. 133, s. 115 i n.

był dla mnie czymś, co mogło napawać wstrętem. Ale wtedy, na samym początku epizodu studiów w Rzymie, nie to było przedmiotem troski. Wtedy, podobnie jak w pierwszym okresie życia wojskowego, fakt możliwości tych studiów był przedmiotem radości i ogromnego zadowolenia. Zresztą nauczyliśmy się między innymi brać rzeczywistość tak jaką ona była i nie troszczyć się zbytnio o przyszłość. Zresztą na nic nie mieliśmy i tak wpływu. Pełną pierśią chłonałem nową dla mnie atmosferę. Na Akademii Sztuk Pięknych przyjęto mnie całkiem formalnie, a jako oficer aliancki mogłem korzystać z hoteli im w wielu większych miastach włoskich przydzielonych. A że nie tak dawno byłem w Rzymie, więc nie przyjechałem tam bynajmniej zgubiony i z dworca kolejowego wiedziałem, dokąd mam jechać. Piszę „z dworca”, bo włoskie koleje i inne publiczne środki lokomocji po zakończeniu wojny dawały wolne przejazdy żołnierzom alianckim, posiadającym oczywiście odpowiednie przepustki z ich oddziałów macierzystych. Z tych szczególnych przywilejów korzystałem wkrótce nader gorliwie. Po raz pierwszy mogłem to wypróbować z okazji urlopu letniego do Wenecji, dokąd wybraliśmy się w kilku i dotarliśmy tam pociągiem. Jako oficerowie alianccy dostaliśmy pokój na Lido, w hotelu „Palazzo al mare”. Wykorzystywaliśmy naszą obecność we Włoszech lepiej niż ongiś w Egipcie, o czym nawet nie warto wspominać. Wypad wenecki był dla mnie przedsmakiem tego, co po „odkomenderowaniu na studia” przybrało inne wymiary. Ale o tym trochę później.

Pożegnanie z baterią i przyjazd do Rzymu nastąpił na początku roku 1946. Dość krótko byłem jedynym Polakiem, studentem na Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Niedługo też mieszkałem w hotelu oficerskim, bo lawina polskich studentów, jaka niebawem spadła na włoskie uczelnie, zmieniła też moje położenie. Zresztą na nowych możliwościach kwaterunkowych nie zyskiwałem wiele, bo prawo do zamieszkania w hotelach alianckich było szczodre: przy pobycie w nim z oficjalną przepustką płaciło się tylko jakiś drobny dodatek. Tak to w Wenecji w „Palazzo al mare” dopłata wynosiła coś 40 lirów za każdy dzień, a obecnie w Rzymie coś 80 lirów. Jako podporucznik dostawałem miesięcznie ponad 20 funtów, czyli około 8 tysięcy lirów, a po dewaluacji w końcu roku 1945 – coś 18.000. Oficerowi poza służbą w oddziale nie przysługiwały żadne dodatki, ale gaża w granicach 16 funtów nie przysparzała mi w okresie rzymskim żadnych problemów finansowych. Do tego dochodziły możliwości „dochodowe” ze sprzedaży fasowanych papierosów oraz butelki whisky przysługującej każdego miesiąca oficerowi po cenie oficjalnej.

Przyjazd żołniersko-studenckiej masy stworzył nową sytuację. Polacy lubią się „organizować” i tak wkrótce po ich pojawieniu się w Rzymie zostało zwołane walne zebranie. Nie wiem przez kogo, ale o amatorów na przywódców

między nami nie trudno. Żołnierze polscy zostali przydzieleni na studia do kilku największych ośrodków uniwersyteckich. Głównie jednak na uczelni w stolicy Włoch. Studentom medycyny dano możliwość podjęcia studiów w Bolonii, zaś wydziałów technicznych – w Turynie. W ten sposób spośród najbliższych przyjaciół w Rzymie znalazł się Staszek. Tadek, „oficer oświatowy” pułku pragnął zostać lekarzem, więc znalazł się dalej – w Bolonii. Henio Mleczek, kumpel z podchorążówki, a następnie „walk” o porządek w 5-tej baterii – w Turynie. Okazało się także, że amatorów sztuk pięknych było sporo. Poznaliśmy się głównie dzięki wspomnianemu zebraniu walnemu, które miało miejsce w jakiejś bardzo dużej hali i zgromadziło kilkuset Polaków w mundurach, z odznakami najróżniejszych oddziałów 2 Korpusu. Samo zebranie było przykładem typowego krzykactwa i jakichś niezrozumiałych politycznych rozgrywek, tym nie mniej ważny był sam fakt poczucia potrzeby tworzenia form demokratycznych współzycia pewnej grupy ludzi. Utworzony został Związek Studentów Polskich w Rzymie, z pododdziałami według kierunków naukowych. Tak też powstał Związek Plastyków i Muzyków, a każdy z członków wybierał sobie między swoimi ludźmi zarząd. Grupa „artystów” wybrała sobie mnie na prezesa i tak zaczęła się moja „kariera” działacza organizacyjnego.

Ogromna większość polskich żołnierzy-studentów została zakwaterowana w jakimś obozie w pobliżu miasta. Nie podaję tu żadnych danych na ten temat, bo po pierwsze nie o to chodzi w moich „memoirach”, a po drugie – po ponad 50 latach, które od tamtych czasów minęły, mało co mi pozostało w pamięci godnego zanotowania z mojego osobistego punktu widzenia. Dla mnie było ważne nowe zadanie, które mi powierzono. Tak więc zająłem się tą najbarwniejszą spośród grup studenckich. Dla nas znalazło się miejsce na mieszkanie w domu Ojców Oblatów przy ulicy Vittorino da Feltre, położonym w najbardziej centralnym punkcie Rzymu. Dostałem m.in. zadanie rozmieszczenia tej barwnej gromady w pokojach, po dwóch lub trzech. Poza kilkunastu malarzami było w naszej grupie coś dziesięciu muzyków, włącznie śpiewaków. Ponieważ dobór współmieszkańców w pokojach pozostał sprawą wolną, problemów właściwie nie było. Za wynajem płaciliśmy jakies rzeczywiście minimalne sumy. W tym samym budynku Ojców Oblatów jedno całe piętro zajmowały biura instytucji kulturalnych 2-go Korpusu, m.in. redakcja Orła Białego i Dziennika Żołnierza. W ramach wyżywienia przysługującego żołnierzowi mogliśmy korzystać z niezbyt odległej stołówki na via Panisperna. Trudno sobie wyobrazić warunki korzystniejsze.

Najważniejsze były jednak możliwości, z których korzystaliśmy jako studenci. Zajęcia w Akademii ograniczały się praktycznie do przedpołudnia.

Resztę dnia mogliśmy sobie ustalać sami. W pobliżu Piazza di Spagna znajdowało się prywatne, czy nie wiem przez kogo finansowane Circolo Artistico, gdzie popołudniu można było korzystać z rysunku aktu. Mam z tego czasu sporo szkiców. Ze strony organizacyjnej Korpusu różne grupy studenckie miały przyznanych tutorów. Dla malarzy był nim prof. Marian Bohusz-Szyszko<sup>59</sup>, artysta malarz, który był równocześnie wybitnym matematykiem i opiekował się równocześnie studentami, którzy potrzebowali pomocy w tej dziedzinie. Dla nas organizował on wykłady niezależne od włoskiej Akademii oraz oprowadzanie po muzeach rzymskich.

Prof. Bohusz-Szyszko przekazał nam bardzo dużo ciekawych i praktycznych pojęć i na temat sztuki. Podkreślał wartość subiektywizmu jako czynnika podstawowego w twórczości artystycznej. Aby zrozumieć tę wartość w odniesieniu do rysunku, dał nam następujący obrazowy przykład: postawione zostało jako model krzesło, takie sobie całkiem zwykłe krzesło. Narysowanie tego modelu zostało zlecone dziesięciu malarzom, a następnie dziesięciu kreślarzom technicznym. Jakie były wyniki tego ćwiczenia? Dziesięć rysunków krzeseł wykonanych przez tych drugich były wszystkie takie same: wynik obiektywnego widzenia tematu. Natomiast z rysunków krzesa wykonanych przez artystów każdy był inny: wynik subiektywnego widzenia tegoż tematu. Ten prosty wykład pozostał dla mnie, jako artysty malarza, cenną wskazówką na całe życie. Przy innej okazji, mianowicie przy zwiedzaniu galerii w Villa Borguese, przed obrazem Fornariny namalowanej przez Rafaella, prof. Bohusz-Szyszko postawił nam nagle pytanie: „Czyj to jest portret?” – Pytanie

---

59. Marian Waław Bohusz-Szyszko (1901–1995) – malarz (ekspresjonista), pedagog, krytyk sztuki i literat. Urodzony na Wileńszczyźnie, od najmłodszych lat należał do harcerstwa. Tam też ukończył gimnazjum po czym rozpoczął studia na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Stefana Batorego (1921–1923) u prof. Ferdynanda Ruszczyca, naukę kontynuował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (1923–1927). W międzyczasie, w okresie alt 1918–1920, służył ochotniczo w Wojsku Polskim. Po zakończeniu studiów artystycznych, podjął się studiów matematycznych. Od 1929 roku mieszkał w Wolnym Mieście Gdańsku, gdzie poza malarstwem był publicystą oraz nauczycielem w Gimnazjum Polskim. Jego pierwsza wystawa miała miejsce w 1934 roku. Po wybuchu wojny, Bohusz-Szyszko wstąpił do Wojska Polskiego. Pod koniec września 1939 dostał się do niewoli niemieckiej. Był internowany w Oflagu II B Arnswalde, gdzie prowadził kursy rysunku i matematyki. Po zakończeniu działań wojennych wyjechał do Włoch. Wstąpił tam w szeregi 2. Korpusu. Po demobilizacji Korpusu w 1947 zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Założył w Londynie Polską Szkołę Malarstwa Użytkowego, która kontynuowała tradycje Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Wileńskiego. Dożywotnio pełnił funkcję prezesa Zrzeszenia Plastyków Polskich w Wielkiej Brytanii. Poza pracę pedagogiczną publikował artykuły na tematy związane z malarstwem. Był członkiem Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Biografię prof. Mariana Bohusz-Szyszko opracował Jan Wiktor Sienkiewicz – zob. *Marian Bohusz-Szyszko: życie i twórczość 1901–1995*, Lublin 1995.

wydawało się być bardzo naiwne, bo wiadomo czyj to był portret, a do tego metalowa tabliczka wyraźnie to opiewała. Ktoś więc, trochę nieśmiało, odważył się powiedzieć: „Fornariny...” Profesor na to tylko czekał, bo jego pytanie było niczym innym jak prowokacją do próby głębszego spojrzenia na ten temat. „Nie” – zaprotestował – „to nie jest portret Fornariny, lecz Rafaella”. W ten sposób zrozumiałem inną, ważną prawdę o obrazie artystycznym, a ona była niczym innym niż interpretacją myśli wyrażonej w przykładzie pierwszym: każdy obraz prawdziwego artysty jest portretem jego samego. Wiem też obecnie, że każdy mój obraz jest nie tyle moim obrazem, ile obrazem mnie samego. Moim autoportretem. To jest, jak gdyby część mnie samego. I tylko ten kto odczytuje jakieś dzieło sztuki w ten sposób, jest na właściwej drodze do prawidłowej jego oceny. Głębia dzieła sztuki jest obrazem głębi duszy jego twórcy.

Jako „szef” grupy artystów miałem dość regularny kontakt z profesorem. Przypuszczam, że i dla grupy to było korzystne i dla mnie samego osobiście, bo kontakt z tej klasy człowiekiem dla formującego się artysty-malarza był nader wartościowy. Jeśli wspomniałem o korzyściach dla grupy, to miałem na myśli nie tylko współpracę przy organizacji spotkań, wykładów, zwiedzania, ale też konkretnie praktyczną. Studia nas nic nie kosztowały, ale materiały musieliśmy kupować sobie sami. A te były dość drogie. Profesor wpadł na pomysł, aby farby zakupić „en gros” wprost w fabryce, która znajdowała się w Mediolanie. W tym celu trzeba było pojechać do Mediolanu, więc wybrałem się tam, nie pamiętam czy sam, czy z którymś z kolegów. Podróż pociągiem nas nie kosztowała nic i farby rzeczywiście kalkulowały się w ten sposób tanio. Ale nie tyle te farby mnie interesowały, ile poznanie tego dużego i ciekawego miasta, a głównie kilku szczególnie pięknych kościołów i szereg muzeów. A to był początek podróży po Włoszech! Kiedy nadeszła pora wakacyjna, szaleliśmy, jeżdżąc we wszystkie możliwe kierunki. Potrzebną do tego celu przepustkę musiał wystawiać kierownik obozu studenckiego, major Tomaszewski. Z takim papierkiem można było jeździć pociągami i mieszkać w hotelach oficerskich. W moim przypadku. Koledzy, którzy pozostali żołnierze szeregowymi nie byli przez to specjalnie upośledzeni, bo dla nich były na całym terenie Włoch domy żołnierzy, w których mogli się zatrzymywać. O tych podróżach chcę napisać kilka słów osobno, bo wspomnienie ich jest tego naprawdę warte. Ale przed tym chciałbym choć krótko dać obraz naszej pracy w Akademii Sztuk Pięknych.

Jeśli wyraziłem się „naszej pracy”, to raczej tylko dlatego, że była nas spora grupka. W rzeczywistości byłoby to dla mnie trudne, bo co robili inni koledzy, u innych profesorów, tego nie byłbym w stanie opisać. Tak więc pozostaję

w granicach wspomnień własnych. Ja trafiłem do klasy profesora Bartoliego<sup>60</sup>. Z Polaków był u niego jeszcze jeden podporucznik-kawalerzysta, który też nosił się z fasonem typowym dla żołnierzy z tej broni. Z tego „fasonu” miała okazję do częstego naciągania go koleżanka-Włozka, z Ascoli Piceno, która była przy tym wspinałym kumplem nie tylko pomiędzy dziewczętami. Przy każdej okazji, a już najbardziej, kiedy „fasonowanie” naszego kawalerzysty szczególnie podpadało, ona go przedrzeźniała: „Eh, Giorgio, Giorgietto...”, co naszego Jurka z „fasonem” doprowadzało do złości.

Ale takie uboczne akcenty nie miały właściwie żadnego znaczenia, w rzeczywistości nie mieliśmy ze studentami tego kraju żadnych problemów. Dla mnie osobiście najważniejsze było to, co dawały mi lekcje u prof. Bartoliego. Gdzieś na wojnie „zdobyłem” drewnianą kasetę z farbami olejnymi. Może to nie było zbyt uczciwe, bo pudełko to w rzeczywistości znalazłem na strychu jakiego opuszczonego domu i jako przedmiot tak bardzo dla mnie atrakcyjny, po prostu sobie wzięłem, czego raczej się wstydzę, ale do malowania w Akademii bardzo mi się przydawało. Wycisnąłem więc sobie na paletę, która do tego kramu też należała, całą gamę wspinałych farb i usiłowałem malować temat ustawiony przez profesora: akt dziewczyny siedzącej. Okazało się, że jednak nie całkiem byłem dojrzały do roku drugiego, ale trzymałem też „fason” na swój sposób, czekając co na to powie profesor. On nie przychodził każdego dnia, a kiedy się zjawił po raz pierwszy, nie byłem zbyt pewny moich umiejętności. Czekałem więc z pewnym napięciem na „nauki”. Profesor Bartoli, osoba niskiego wzrostu, za to dość obfitej szerokości, patrzył przez jakiś czas to na ustawiony model, to na moje malarskie wyczyny, to na paletę dzierzoną z niemалą satysfakcją w rękę. Bo wyobrażałem sobie, że komplet, którego właścicielem był Włoch, chyba jakiś artysta-malarz, musiał być wysokiej jakości. Tym bardziej niezrozumiale zabrzmiał w moich uszach wyrok profesora: „No tak, to jest zrozumiałe, że moje malowanie tak wychodzi. Ja bym dał panu radę. Z farb, które pan ma na palcu zostawiłbym tylko te...” – Tu nastąpiło druzgocące pouczenie: farby, na które wskazał jako godne używania mój profesor były tak zwanymi „ziemiami”, czyli kolorami naturalnymi. Ugier, sjena naturalna i palona, umbra, czerwień

---

60. Amerigo Bartoli Natinguerra (1890–1971) – włoski malarz, karykaturzysta i literat. Amerigo był twórcą wielu znanych rysunków do publikacji prasowych w tytułach takich jak „La Tribuna”, „La Lettura”, „Gazzetta del Popolo”, „Quadrivio”, „Omnibus” i „La Fiera Letteraria”. Od 1938 do 1960 był on profesorem malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie. Malował głównie weduty i pejzaże, posługując się zarówno farbą olejną, jak i akwarelą w stonowanych, ziemistych tonach. W jego pracach dostrzec można też liczne martwe natury i portrety – zob. G. Appella, *Amerigo Bartoli. Opere dal 1903 al 1971*, Roma 1995.

Pozzuoli, zieleń szmaragdowa, ziemia zielona, ultramaryna, biel... „Do tego może ewentualnie jeszcze ta...” Tu wskazał na czern. – „Resztę radziłbym zeszkrobać z palety i więcej nie używać. Proszę jednak nie traktować tego jako mojego nakazu, lecz raczej jako radę starego malarza. Wszyscy mistrzowie dawnych czasów malowali przede wszystkim ziemią”. Jeśli bym w tym miejscu powiedział, że taką radą zostałem zdruzgotany, to bym skłamał. Owszem, byłem zaszokowany, ale gdy sobie przypominałem szereg obrazów Tycjana, czy innych malarzy renesansu, to poza barwami ziemi można było znaleźć rzadkie i drogie farby jak karmin czy lapis lazuli i inne. Kolory uzyskane drogą procesów chemicznych nie były znane. W uznaniu autorytetu profesora Bartoliego zastosowałem się do jego rady i od tej pory zacząłem „wojnę kolorów”, albo raczej całą serię prób z tą tak ograniczoną paletą. Co nie znaczy, że później nie używałem kadmiów i innych kolorów z produkcji chemicznej, a bardzo atrakcyjnych w swojej intensywności. Dzięki tej lekcji wielokrotnie studiowałem palety, czyli zestaw kolorów różnych mistrzów i robiłem niezwykle ciekawe odkrycia. Tak raz stojąc przed portretem (czy może autoportretem) Murilla, który pozornie wielobarwny, przy dokładnej analizie użytych przez niego farb znalazłem tylko czern, biel i ugiel! Gdy spróbowałem taką paletą sam coś namalować, okazało się, że byłem zupełnie zgubiony. Ale doświadczenia robione według recepty prof. Bartoliego dały mi dużo i nie żałuję, że go posłuchałem.

Z innymi kolegami polskimi chętnie spotykaliśmy się i omawialiśmy swoje „wyczyny”. Spotkania te miały miejsce najczęściej w pokoju, w którym wszyscy trzech jego mieszkancy byli malarzami. Rej wodził Alek (Aleksander Werner<sup>61</sup>).

---

61. Aleksander Werner (1920–2011) – malarz, rzeźbiarz i pedagog. Pochodził z rodziny o artystycznym rodowodzie. Przed II wojną mieszkał w Toruniu, Legionowie i we Lwowie. Po wrześniu 1939 roku został deportowany do gułagu, w głąb ZSRR. Po 1941 roku został zwolniony i dołączył do Armii Polskiej na Wschodzie. Przebył „Szlak Nadziei” z 2. Korpusem, walcząc m.in. pod Monte Cassino. W 1945 roku podjął studia malarskie w utworzonej przez prof. Mariana Bohusza-Szyszko, Sekcji Artystów i Studentów Sztuk Pięknych Żołnierzy 2. Korpusu Kompanii Kresowej na Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie. Rok później wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie kontynuował naukę u Bohusza-Szyszki w obozach w Sudbury i w Kingwood Common – w ramach Studium Malarstwa i Grafiki Użytkowej. Studia graficzne doskonalił w Sir John Cass’ School of Art w Londynie, a następnie został zatrudniony w Camberwell School of Arts and Crafts. Był współzałożycielem tzw. Grupy 49, skupiającej polskich artystów plastyków. Prócz grafiki i malarstwa interesował się (od lat 60. XX w.) również rzeźbą w wypalanej glinie i szkle. Werner miał w swoim portfolio kilka wystaw indywidualnych, m.in. w Victoria and Albert Museum oraz w Library of Congress w Waszyngtonie. Największą wystawę jego prac pokazała w 1972 r. londyńska Drian Gallery, prowadzona przez Halinę Nałęcz – zob. J. W. Sienkiewicz, *Artysta piękna nie tylko w szkło zakłętego. Aleksander Werner (1920–2011)*, „Archiwum Emigracji” 2001, z. 1–2, nr 14–15, s. 394–395; M. B. Topolska, *Werner Aleksander*, [w:] *Encyklopedia polskiej emigracji i Polonii*, pod red. K. Dopierały, t. 5, Toruń 2005, s. 232–233.

Obrazy drugiego współmieszkańca (nazwiska nie pamiętam) cechowała szarość i bladeść tonów, co nie znaczyło, że także stosował się do wskazówek Bartoliego. Nie był nawet jego uczniem, tylko innego profesora. Trzecim kolegą z tamtego zespołu był Mirek Sokołowski, którego już wtedy pasjonowały konie. O Mirku będą jeszcze miał okazję sporo wspominać, bo w niedalekiej już przyszłości stał się moim towarzyszem w całkiem nowym, nieprzewidywanym odcinku życia<sup>62</sup>. Wtedy miał na mnie szczególny wpływ Alek, który miał

---

62. Mirosław Sokołowski (1923–2002). Urodził się w Mrowinie, w województwie poznańskim. Przed wojną mieszkał w Bydgoszczy, gdzie uczęszczał do Gimnazjum Humanistycznego przy ul. Grodzkiej. Po wybuchu II wojny światowej został przymusowo wcielony do wojska niemieckiego, z którego zdezerterował na froncie włoskim. Tam też dołączył do Polskich Sił Zbrojnych – do 2. Korpusu – gdzie poznał T. Wojnarskiego. Po zakończeniu wojny, w 1946 roku, trafił on wspólnie z nim, oraz z T. Malinowskim, do Hiszpanii. Tam rozpoczęła się dla niego nowa działalność akademicka, zawodowa i emigracyjna. W trakcie studiowania medycyny został on współzałożycielem i przewodniczącym Związku Akademików Polaków w Hiszpanii (pierwszym skarbnikiem tego związku był T. Wojnarski). W toku tej działalności organizował on różne wydarzenia – akademicie – patriotyczne oraz redakcję biuletynu „Przed Jutrem” czy męski chór. Samo stowarzyszenie utworzyli polscy studenci, którzy przybyli do Hiszpanii w 1946 roku w ramach stypendiów Obra Católica de Asistencia Universitaria. Związek Polaków funkcjonował w oparciu o Dom Akademicki (Colegio Mayor de Santiago Apóstol), gdzie mieszkali również inni studenci-emigranci z Europy Środkowo-Wschodniej. Sokołowski łączył aktywność społeczną ze wspomnianymi studiami medycznymi. Pomimo, że we Włoszech zdał on maturę i rozpoczął studia na Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie, to w Hiszpanii zmienił zdanie dotyczące swojej przyszłości. Ostatecznie udało mu się ukończyć medycynę z tytułem doktora. Został kardiologiem. Pracował na Oddziale Kardiologicznym Fundacji Jiménez Díaz w Madrycie (klinika Nuestra Señora de la Concepción). Nie zaniechał jednak swojej malarskiej pasji, którą wykorzystywał w pracy na rzecz polskiej emigracji. Był on m.in. grafikiem i ilustratorem polskiego miesięcznika „Polonia – Revista Ilustrada” wydawanego przez Polski Czerwony Krzyż w latach 1955–1970. Warto dodać, że Sokołowski od 1949 roku był jednym z dwóch głównych spikerów (obok Karoliny Babeckiej) polskich audycji w hiszpańskim Radio Nacional de España – nazwanych potocznie – „Radio Madryt”. Rozpoczął on tę pracę jeszcze jako student medycyny. Wykazywał się bowiem bardzo dobrą dykcją i dopóki obowiązki zawodowe mu na to pozwalały – prowadził różne programy informacyjne i publicystyczne (do 1959 roku). Oprócz działalności zawodowej i pracy w polskiej audycji – Sokołowski był zaangażowany także w inne inicjatywy Polaków w tym kraju. Określano go jako nestora Polonii hiszpańskiej ze względu na liczne aktywności, które podejmował. W okresie powojennym pełnił on funkcję prezesa Towarzystwa Wychowanków Bursy im. św. Jakuba Apostoła (Asociación de Antiguos Colegiales del Colegio Mayor Santiago Apóstol) oraz koła madryckiego Fundacji Jana Pawła II. Był również oficjalnym reprezentantem Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Rapperswillu. Wspierał powstanie i działalność Domu Polskiego w Alcalá de Henares oraz czasopismo „Polonia” wydawane w latach 1993–1996 przez Danutę i Andrzeja Dworskich. Ponadto nadal angażował się artystycznie a wystawy jego prac miały miejsce jeszcze w latach 90. XX wieku. Zmarł w Madrycie 22 stycznia 2002 roku – zob. A. Banaszak, dz. cyt., s. 177; I. Szypowska, *Nagle urodzona miłość: (J. Łobodowski w Hiszpanii)*, „Archiwum Emigracji: studia, szkice, dokumenty” 1999, nr 2, s. 80, 85; M. Bogdan, *Radio Madryt 1949–1955*, Warszawa 2011, s. 180; *Zawsze aktywny*, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1995, nr 20, b.p.; *Mirosław Sokołowski. „Minęło pół wieku...”*, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1995, nr 23, b.p.; *Co ich łączy?*, „Polonia. Boletín



własny, bardzo oryginalny styl w szkicowaniu domów, ulic i zaułków, bardzo dobry zresztą w zastosowaniu do jakiegokolwiek innego tematu. Swoje rysunki robił tuszem i piórkiem, ale tak były one tak ogromnie proste a wymowne, że czarowi tej techniki odrazu uległem. Poprosiłem go, aby mi wytłumaczył, jak on to robi, odpowiedział: -„Całkiem prosto...” - ...że całkiem prosto, to widziałem, ale chciałbym, zdradził coś więcej ze swojej tajemnicy, wtedy wyjaśnił: -„Wybieram sobie temat i zaczynam go rysować z lewej strony aż do prawej...” - „Muszę spróbować!” - odpowiedziałem, bo więcej wyjaśnień przy takiej absolutnej prostocie dać by mi nawet nie mógł.

I spróbowałem. Kupiłem sobie tusz, delikatną stalówkę i specjalną do niej oprawkę. Z blokiem rysunkowym pod pachą tudzież wyżej wspomnianymi narzędziami w pogoni za tematem. Tematów w Rzymie w zasadzie nie trzeba było szukać - na każdym kroku wszystko można by było rysować. Zdecydowałem się jednak nie tak prędko, ale kiedy wreszcie uznałem jakiś zakątek za właściwy na próbę, ze sporym wrażeniem w mojej „artystycznej duszy” zabrałem się do roboty. Ale z tym zaczęciem „po prostu” z lewej strony, a skończeniu z prawej jakoś nie było tak prosto. Zanim dotarłem do prawej strony kartki papieru, zdążyłem moje specjalne piórko połamać. Po drugiej, równie nieudanej próbie, zdecydowałem się zrezygnować z Alkowej metody „po prostu”. Wstydziłem się jemu nawet o tym powiedzieć, ale kiedy mnie zapytał o powodzenie w zastosowaniu jego stylu, musiałem się przyznać do fiaska. Kiedy w relacji doszedłem do trudności z moim specjalnym, delikatnym piórkiem, Alek zaczął się śmiać: - „A kto ci kazał rysować jakimś tam specjalnym delikatnym piórkiem? Do takiej całkiem prostej techniki należy całkiem proste pióro. Takie jakim uczniowie piszą w szkole!” - Że mi to nie przyszło do głowy! Kupiłem więc sobie kilka (na wszelki wypadek) takich najwyklejszych stalówek i znów spróbowałem szczęścia. I okazało się, że Alek miał rację i od tamtego czasu jego technika stała się dla mnie techniką najulubieńszą, z tym, że z zaczynania z lewej strony i kończenia z prawej szybko zrezygnowałem, natomiast wprowadziłem palec jako narzędzie pracy dodatkowe, a następnie własną ślinę jako najprostszy rozpuszczalnik tuszu. Bo niuanse czerni i szarości jakoś też mnie interesowały.

Nauka wiosenna w Akademii szybko się zakończyła. Po pierwsze dlatego, że zaczęliśmy rok ze sporym spóźnieniem, a głównie chyba na włoski styl pracy i gotowość do świętowania wszelkich możliwych tradycji - religijnych,

---

informativo de la colonia polaca en España” 1995, nr 25, b.p.; *Fundacja Jana Pawła II*, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1995, nr 29, b.p.; *List M. Sokołowskiego do redakcji*, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1996, nr 40, b.p.; *Obituarios de Miroslaw Sokolowski*, „ABC” z dn. 26.01.2002 r., p. 66.

narodowych i jakichś własnych, szkolnych. Do czerwca mało, kiedy mieliśmy jeszcze zajęcia w Akademii, a potem to już wakacje. A tych zmarnować nie chcieliśmy. Wspomniałem już o wspaniałych możliwościach podróżowania po tym przepięknym kraju, z których nie chcieliśmy zrezygnować. Dość często więc meldowałem się u dowódcy obozu studenckiego majora Tomaszewskiego z prośbą o przepustkę. – „Pan porucznik znów chce gdzieś jechać...” – „Panie majorze, to są moje studia.” – „Tak, tak. A dokąd tym razem?” Major nie robił żadnych trudności, bo taka była rzeczywistość studentów sztuk pięknych. I tak sobie jeździłem po Włoszech, czasem sam, czasem z innymi kolegami. To do Wenecji, którą zawsze było warto zobaczyć drugi raz, to do Rawenny, to na południe – do Neapolu, do Amalfi, Ravello, na Capri i jeszcze dalej.

Oczywiście po drodze było warto się zatrzymywać w licznych miejscowościach nadmorskich. Upały stawały się nieznośne, ale to nie odstraszało nas od tego rodzaju przedsięwzięć. A tusz i piórko stały się moim nieodstępnym towarzyszem. Do tego mała, kartonowa teczuska z zapasem kartek do rysowania. Na wodę nie potrzebowałem nic, bo przecież zastępowała mi ją własna ślina, która dawała rysunkowi swoistą jakość.

## PODRÓŻE NA POŁUDNIE

Nie pamiętam, czy wszystkie te podróże zrobiłem sam czy z innymi kolegami. Część na pewno razem z kilkoma innymi. Do Neapolu pojechałem chyba sam. Tam miałem zapewnione lokum w hotelu oficerskim, co w „wyprawie” Kapryjskiej wyglądało inaczej. Tam i w małych miasteczkach nadmorskich trzeba było postoję organizować sobie prywatnie, co bez problemu jakichś rozdziałów mogliśmy robić wraz z kumplami, których gwiazdka z tego czy innego powodu nie dosięgła, a którzy teraz studiowali ze mną w Akademii i mieszkali u Oblatów.

W Neapolu miałem o tyle pecha, że tamtejsze muzeum było w renowacji i nie mogłem obejrzeć tylu tam zebranych wspaniałych dzieł sztuki. Mogłem za to pooglądać sobie miasto, które było brudne i zaniedbane i porysować nową techniką kombinowaną. Bo tak muszę nazwać wynik „nauk” Alka. W Neapolu miałem jeszcze innego „pecha”, co było nie tyle pechem, ile próbą handlu papierosami na ulicy dość właściwie rozegraną. W Rzymie po papierosy przechodził handlarz do pokoju. Na ulicy nigdy bym nie próbował nawet sprzedawać. Ostatecznie mundur też do czegoś zobowiązywał. Ale w Neapolu było inaczej. Ponieważ zabrałem ze sobą niezbyt dużo pieniędzy i musiałem na pokrycie kosztów pobytu uzupełnić ze sprzedaży papierosów, trzeba było taki

„czarny handel” załatwić samemu. Dlaczego nie wydawałem pochopnie pieniędzy z mojej gaży, opowiem przy innej okazji, ale sytuację w Neapolu musiałem załatwić w ten sposób. Przy takiej „transakcji” istniało oczywiście duże ryzyko, że cię Włosi okantują i takie ryzyko musiałem wziąć pod uwagę. Racja żołnierska papierosów, które dostawał on w jakimkolwiek miejscu pobytu, wynosiła 10 paczek po 10 sztuk. Jeśli by mnie Włosi oszukali i straciłbym całą rację, zabrakłoby mi pieniędzy na hotel. Sumy to nie były duże, ale brak 500 lirów oznaczałby przykry kryzys. Czyli mogłem ryzykować stratę połowy paczek papierosów, wartych 500 lirów. Tak więc zabrałem ze sobą tylko połowę, 5 paczek i poszedłem na jakąś „ciemną” uliczkę. Niedługo musiałem czekać na amatora kupna papierosów. Za plecami usłyszałem sygnał: „zigarette?” – „Si, cigarette” – odpowiedziałem. „Quanto?” – „500 lire 5 pachetti” – odpowiedziałem. „Bene, venga cigarette.” Kiedy chłopak (bo takie handelki robiły głównie chłopaki) przyszedł przede mną, wyciągnąłem pięć paczek i mu daję. On trzymał już w ręku banknot 500-lirowy i wydawało się, że sprawa pójdzie gładko. Ale kiedy on dostał papierosy do ręki, nagle z bocznej bramy wyskoczyło kilku pęćaków i zrobili „mur” między nami. Zanim się zorientowałem co się stało tego głównego już nie było widać. „Ano, sprytni wy! – pomyślałem – ale ja też nie taki durny i poszedłem do hotelu po drugie pięć paczek. Na jakiejś innej „ciemnej” uliczce podobna sytuacja: „Zigarette, cigarette?” – pytanie i chłopak już jest obok mnie. „Quanto?” – „Cinquecento”. „Bene, venga cigarette.” Teraz ja pokazuję z dostatecznej odległości papierosy i mówię: „Venga soldi”. A chłopak swoje: „Venga cigarette”, a ja moje: „Venga soldi”. I tak kiedy już mogłem trzymać mocno w ręku pokazany mi banknot, puściłem papierosy. Czyli dosłownie: handel z ręki do ręki. Po neapolitańsku. Potrzebne mi 500 lirów do zapłacenia hotelu miałem! Nie radziłbym jednak nikomu wdawać się w jakiegokolwiek handelki z łobuzami w południowych Włoszech.

Inną podróż na południe – do Sorrento i dalej – zrobiliśmy we trzech, z Alkiem i dalszym kolegą. Oni byli zwykłymi szeregowymi i nie musząc w Neapolu na nocleg się rozdzielać, wzięliśmy tam do Sorrento włoski autobus. Wziąć autobus – prosto powiedzieć! Co innego dostać w nim miejsce! Autobus był tak pełny, że dalsi pasażerowie musieli zająć siedzenia na dachu. Siedzenia, owszem, były, ale z bezpieczeństwem na tej wysokości była inna sprawa. Droga wzdłuż wysokiego wybrzeża była niezwykle malownicza, kręta i stroma. A kierowca-Włoch jechał wręcz brawurowo. Znał drogę, widać, doskonale i wiedział na co sobie może pozwolić. My we trzech trzymaliśmy się wzajemnie mocno, ale tej pewności nie mieliśmy. Na serpentynach, których tam nie brakło, autobus zarzucał to na prawo, to na lewo... Nie pamiętam, ale chyba się modliliśmy, żeby do Sorrento dojechać cało... Ale dojechalśmy

i zatrzymaliśmy się na noc. Chcieliśmy obejrzeć to sławne z piosenki „Tor-na a Sullriento” miasteczko też za dnia i na drugi dzień dopiero popłynąć na Capri. Oczywiście miałem też na widoku coś „porysować” techniką Alka. Na wyspę popłynęliśmy więc nazajutrz. Tam musieliśmy sobie najpierw zapewnić jakiś nocleg. Znaleźliśmy go łatwo w jakimś prywatnym domku, dopiero po-tem puściliśmy się na spacer po tej maleńkiej, ale jakże malowniczej wysepce! Doszliśmy najpierw do cypla, gdzie była willa cesarza Augusta, ale dla moich towarzyszy najważniejsze było zobaczyć San Michele, willę lekarza szwedzkie-go i pisarza Axel Munthe, który ją sobie kazał zbudować z użyciem masy naj-ciekawszych elementów znalezionych na miejscu i ozdobić pięknymi dziełami sztuki. Ich zbieranie było pasją tego nieszczęśliwego człowieka, który szukał pokoju i szczęścia i nie mógł tego nigdy i nigdzie znaleźć, a na koniec swoje-go życia stracił wzrok. Oni czytali tę książkę i chodzili jak urzeczeni po willi i jej wyszukanych urządzeniach, wspominając – a to to, a to – tamto. Ja byłem niestety mało odcytany w książkach tego dziwaka. Zdołałem międzyczasie coś naszkicować, koledzy zaś mieli jeszcze na drogę powrotną dość sobie do opo-wiadania. A w domu „naszego” gospodarza czekała nas smaczna i wcale nie-droga włoska kolacja i jeszcze inna niespodzianka. Już zaraz po przybyciu tam zachwycaliśmy się przeuroczą, kilkunastoletnią córką gospodarza. Ale nagle, do kolacji podawały dwie takie same! Bliźniaczki. Dla artystów-malarzy było to wręcz przeżyciem godnym zapamiętania.

Pamiętam jeszcze, że noc była bardzo gorąca, co nie zmieniało planów na dzień następny: powrót na ląd stały, ale inną drogą – na Amalfi. Zarówno to miasteczko, jak i kilka dalszych na tamtym cyplu włoskim należy do szczegól-nie uroczych miejsc tego kraju. Ocenili to już zarówno Maurowie, jak i książęta normańscy, którzy tam budowali sobie wille i pałace pełne orientального uroku. Szczytem piękna tej wyrafinowanej sztuki jest położone powyżej Amalfi mia-steczko Ravello. Kto lubi cieszyć sobie oczy pięknem natury i dzieł ludzkich rąk, powinien też zobaczyć to, co nas wtedy, młodych adeptów sztuki tak zachwycało.

Tamtą wycieczkę skończyliśmy na Salerno, które nie było ani w części tak piękne i ciekawe jak widziane w dni poprzednie miasteczka cypla na północ od tego dużego miasta. Zduszeni nieprawdopodobnym upałem wracaliśmy do Rzymu zadowoleni z przeżyć tych kilku dni.

## INNE MYŚLI...

Okres rzymskich studiów i tyłu przeżyć piękna w tej ostatniej fazie naszej służ-by wojskowej, która już nie była służbą, stawał się jakimś wyrównaniem za tę

służbę skądinąd tak niewdzięczną. Lecz okres dla nas tak piękny nie zmniejszał troski o tych, którzy zdani byli na przeżywanie w kraju tragedii przegranej wojny. Zwłaszcza tych, którzy byli każdemu z nas najbliżsi. Dla mnie była to matka i młodszy braciszek, o których nie wiedziałem, gdzie się obecnie po Powstaniu Warszawskim podziwiali ani co przeżywali. Pierwszą wiadomość o matce otrzymałem w Palestynie po powrocie tam z Iraku. Nadeszła przez Czerwony Krzyż poprzez jego placówkę w Stambule. Zdaje się, że moją odpowiedź tą samą drogą matka też otrzymała, ale po tym wszystkim co się później stało, nie wiedziałem. Nową wiadomość dostałem dopiero za pośrednictwem cioci Rysi, która wraz z dziećmi znalazła się w Jerozolimie. Kontakt z nią z kolei uzyskałem dzięki wujkowi Igusiowi, którego przypadkowo spotkałem kiedyś w Palestynie, zanim jego rodzina tam się znalazła. Dla mnie ten kontakt stał się szczególnie cenny właśnie do odnalezienia śladów mojej matki. Od cioci Rysi dowiedziałem się mianowicie, że mama wraz z Jasiem – moim młodszym braciszkiem – po Powstaniu trafili do Krakowa, gdzie także znalazł się brat cioci z jego rodziną. Z Rzymu prowadziłem żywą korespondencję z cicią Rysią i za jej pośrednictwem także mogłem przekazywać pomoc do Polski. Do Jerozolimy zaś, ponieważ wtedy jeszcze Palestyna była pod protektorem angielskim, mogłem oficjalnie przysyłać pieniądze w walucie funtowej. Teraz jest pora wytłumaczyć, dlaczego tak pilnie „handlowałem” papierosami z przydziału oraz whisky, którą jako oficer mogłem co jakiś czas kupować po cenie przysługującej wojskowym. W Neapolu, chcąc papierosy spieniężyć, musiałem to robić na ulicy, ale w Rzymie przychodził handlarz do domu i „towar” zabierał. Pieniądze nie obrócone w dym mogłem przeznaczać na pomoc matce w Polsce.

Przy tej okazji muszę tu przywołać do pamięci inne myśli, które wiążą się z cicią Rysią i wujkiem Ignasiem, a zwłaszcza z Dziką, ich córką młodszą ode mnie o kilka lat. Z rodziną Zerygiewiczów byliśmy już od dawna, bo od młodości mojego ojca bardzo serdecznie związani. Mój ojciec był z nimi tak zaprzyjaźniony jak z najbliższą rodziną. Z braćmi cioci Rysi kolegowali się w Chyrowie, dokąd posyłali swoich synów. Polacy zamieszkali w tzw. Galicji. Okresy wakacyjne ojciec często spędzał w Zaleszczykach, gdzie starzy Zerygiewicze mieli aptekę. Po wojnie, tej pierwszej światowej, kontakty były dalej pielęgnowane i wtedy bywaliśmy w Zaleszczykach, a także w Ilińcach koło Zabłotowa u cioci Rysi gremialnie z całą rodziną. Nic więc dziwnego, że po nawiązaniu kontaktów w czasie drugiej wojny tak serdecznie pragnąłem pielęgnować starą tradycję. Zanim jednak przejdę do tych „innych myśli” muszę opowiedzieć nieprawdopodobną historię spotkania się cioci Rysi z jej mężem Ignasiem. Jak już wspominałem, mieli oni majątek ziemski w Ilińcach na

południowo-wschodnich kresach Polski. Po wkroczeniu bolszewików w roku 1939 wujek Ignasz podzielił los tyłu polskich ziemian: został z miejsca uwięziony a następnie wywieziony do Sowietów. Ciocię Rysię chłopci ukraińscy chcieli ukrywać – znak, że nie wszyscy Polacy i Ukraińcy byli tak powaśnieni jak to później często się przedstawia. Ciocia jednak zdecydowała się pojechać wraz z dziećmi za mężem. I tak została wywieziona do Kazachstanu. Niestety, nigdzie go jednak nie spotkała. Z „raju” jednak oboje wyjechali. Ciocia Rysia wraz innymi rodzinami znalazła się w Teheranie. Tam dostała pracę w autobusach miejskich jako sprzedawczyni biletów. Pewnego dnia wsiada do autobusu polski żołnierz, na widok którego cioci dech zaparło, tak był do wujka Ignasia podobny... Po tyłu przejściach ludzie bardzo się przecież zmieniają... Żołnierz usiadł. Nie podeszła do niego jako konduktorka, ale stanęła z tyłu i oparłszy się o poręcz szeptała: „Ignasz czy nie Ignasz... Ignasz czy nie Ignasz...” A tym żołnierzem był jej mąż! Wujek na znajomy głos poderwał się i padł sobie w ramiona. Historia jak z bajki, a jednak prawdziwa.

W Rzymie wspomnienia lat rodzinnej przyjaźni i tych przedziwnych losów ludzkich kierowały moje myśli na inne tory: Czy nie byłoby to piękne, gdyby te dwie rodziny od pokoleń zaprzyjaźnione mogły się połączyć? Dzikka była sporo ode mnie młodsza, ale przecież nie na tyle, żeby nie mogła być moją żoną... Część korespondencji z Jerozolimą kierowałem więc do niej. Nie próbowałem jej coś o moich myślach pisać. To była sprawa przyszłości, którą jednak można było planować. Dzikka, tak samo zresztą jak jej młodszy braciszek Iguś-junior chodzili w Jerozolimie do szkoły. Możliwość realizacji takich zamierzeń leżała i tak gdzieś w przyszłości. Te „inne myśli” jednak zapadły gdzieś pod serce i czekały na to, aby dojrzeć. A od cioci tymczasem napływały niezbyt radosne wiadomości: w Jerozolimie stan niemal wojenny, Żydzi dążą drogą terroru do uzyskania od Anglików własnego państwa, bomby wybuchają na ulicach to tam to tu... Ciocia każdego dnia czeka z niepokojem na powrót dzieci ze szkoły. Dla mnie staje się to także powodem do przeżywania.

Tak czy inaczej – moje myśli miały czas na dojrzewanie. Pewnie z czasem przeniosą nas do Anglii...

## ZNÓW STASZEK NA HORYZONCIE

Co będzie wtedy z nami? To pytanie było innym jeszcze problemem, który stawał przed nami coraz wyraźniej. Jeśli zostaniemy przeniesieni do Anglii, to co będzie z dalszymi studiami? Nasze szczęśliwe dni w Rzymie zaciemniały chmury niewyraźnej przyszłości. Te myśli rozważaliśmy szczególnie głęboko

w czasie spotkań ze Staszkiem. Dotąd nie wspomniałem ani słowem o tym, że on także trafił do Rzymu na studia filozofii i religii Dalekiego Wschodu. W programie była też nauka sanskrytu. Na płaszczyźnie Sztuk Pięknych nie mieliśmy kontaktów, ale stara przyjaźń w nowej sytuacji nie tylko że nie zgasła, ale – przeciwnie – raczej się pogłębiała. Zwłaszcza właśnie wtedy, kiedy problemy zaczynały się piętrzyć. Oparcie o Staszka stawało się czymś bardzo ważnym. Co będzie z nami, kiedy znajdziemy się w Anglii? Dla mnie sama myśl o wyjeździe do Anglii nie była sercu miła. Miałem chyba jakiś kompleks na tym punkcie. To co nam Anglicy zrobili nie dotrzymując zobowiązań wobec Polski działało na mnie jakoś szczególnie negatywnie w stosunku do tego narodu. A teraz co oni z nami zrobią, kiedy już nie jesteśmy im potrzebni?<sup>63</sup> W dniach takiej rozterki przyjaźń z człowiekiem w rodzaju Staszka przybierała na wadze. On nie próżnował i o problemie przyszłości myślał na swój sposób. Kiedyś przynosi niesamowitą informację: „Czy wiesz, że Hiszpanie zamierzają zaofiarować u siebie możliwość studiów młodym ludziom, których spotkało nieszczęście znalezienia się w orbicie sowieckiej?” – Wiadomość ta była tak szokująca, że nie wiedziałem co by powiedzieć. Staszek zdawał sobie sprawę z tego. To co od niego teraz usłyszałem wstrząsnęło mnie głęboko. – „Nie dziwię się, że to co ci powiedziałem zatkało cię, ale to nie są żarty, tylko wiadomość absolutnie prawdziwa.” Wiedziałem o tym, że na żarty tego rodzaju Staszek nigdy by sobie nie pozwolił. Informacje o Hiszpanii otrzymał od jezuitów, z którymi miał bliskie kontakty. – „Wiesz, że naprawdę nie wiem jak bym miał się ustosunkować do takiej propozycji” – powiedziałem po ochłonięciu z pierwszego szoku. – „Ponieważ sprawa jest nie tylko ważna, ale też i pilna, musimy się nad nią szybko i dokładnie zapoznać. Wiem z kim trzeba na ten temat rozmawiać w Wydziale Kultury 2. Korpusu. Musimy tam we dwóch pojechać i z sytuacją na miejscu się zapoznać.” – Staszek był zawsze człowiekiem tajemniczym, ale teraz stawiał sprawę całkiem otwarcie. Jeśli chciał mnie wtajemniczyć w coś o takim ciężarze gatunkowym, znaczyło, że nie tylko miał do mnie szczególne zaufanie, ale liczył na moje poparcie. „Sprawa jest tak ważna, że musimy się odpowiednio ustosunkować. W każdym bądź razie myśl spotkania się z promotorami tego przedsięwzięcia jest właściwa i na to muszę się zgodzić.”

Po tej rozmowie zaczęła we mnie pracować rzeczowa wyobraźnia. W Hiszpanii jest Franco, postać kontrowersyjna, ale Hiszpanów nie można podejrzewać o stosunek wrogi wobec Polaków. Kraj katolicki, a Franco zwyciężył

---

63. O warunkach bytowych m.in. żołnierzy 2. Korpusu, którzy zdecydowali się wyjechać z Włoch do Wielkiej Brytanii można przeczytać w artykule: Z. i J. Biegusowie, *Polskie Obozy Przejściowe w Anglii i Walii*, „Polonia Inter Gentes” 2022, nr 3, s. 131–137.

w rozgrywce z bolszewikami, którzy pragnęli zdobyć pozycję od drugiej strony Europy w ich planach zawładnięcia całym kontynentem. Wobec nas Hiszpanie są z całą pewnością w pełni przyjaźni i nie możemy patrzeć się na postać generała jako sprzymierzeńca Hitlera, zwłaszcza teraz, kiedy Hitlera i jego potęgę już nie ma. Do wiadomości otrzymanej od Staszka należy odnieść się z pewną rezerwą, ale nie odrzucać takiej propozycji bez dokładnego jej zbadania. Jeśli myśl wyszła z kręgów kierowniczych naszego Korpusu, to bez żadnych zastrzeżeń można z tymi kręgami nawiązać kontakt. Tak to przy najbliższym spotkaniu ze Staszkiem ustaliliśmy termin wspólnej podróży do Ankony, gdzie się znajdowały biura dowodzenia 2. Korpusu.

Biuro Wydziału Kulturalnego znaleźliśmy bez trudności i przyjęto nas tam bardzo życzliwie. Dwaj oficerowie zajmujący się tą sprawą ucieszyli się, że ktoś się nią zainteresował. Bez żadnych zastrzeżeń wyjaśniono nam jak do tego rodzaju akcji doszło. Inicjatywa wyszła ze strony międzynarodowej organizacji katolickiej „Pax Romana”: w związku z opanowaniem przez ZSSR krajów Wschodniej Europy przez system bolszewicki dać możliwość studentom tych krajów, w ogromnej większości katolickich, nauki w wyższych uczelniach w duchu katolickim. Plan ten obejmować miał wszystkie kraje okupowane przez komunizm, z Polską na czele. Z pośród krajów, które na konferencji „Pax Romana” się znalazły, tylko Hiszpania gotowa była takie możliwości zaoferować<sup>64</sup>.

W tamtym momencie grupa polska, której zestawienie powierzono właśnie wydziałowi Kultury naszego Korpusu, już się formowała. W pierwszym rzucie 20 polskich studentów, których światopogląd zgodny był z nauką Kościoła Katolickiego, miało pojechać do Hiszpanii, potem zaś dołączyć dalsi Polacy, a także inni młodzi ludzie z krajów z Polską sąsiadujących. Wydział Kultury

---

64. Po II wojnie światowej hiszpańskie władze starały się instytucjonalnie pomagać uchodźcom z Europy Środkowo-Wschodniej, nie tylko poprzez zapewnienie bezpieczeństwa i możliwości podejmowania pracy, ale także przez wspieranie ich działalności publicznej. Pierwszym krokiem kształtującym podstawy do dalszej wspólnotowej organizacji pomocy była organizacja XIX Międzynarodowego Kongresu Pax Romana. Odbył się on w dniach 21 czerwca–4 lipca 1946 roku, a wzięło w nim udział wielu przedstawicieli emigracji politycznych zza żelaznej kurtyny. Jednym z wymiernych efektów Kongresu było zobowiązanie do założenia stowarzyszenia Obra Católica de Asistencia Universitaria (OCAU), aby pomóc młodzieży akademickiej, która na skutek II wojny światowej nie mogła wrócić do swoich krajów bądź uciekła z niego ze względu na prześladowania polityczne czy religijne. Tym samym organizacja kierowała swoją uwagę głównie na uchodźców z Europy Środkowo-Wschodniej. Jej prezesem został wyznaczony José María Otero Navascués – zob. A. Dworski, dz. cyt., s. 343; J.L. Orella, *Danubian and Polish exile in contemporary Spain*, [w:] *Poland and Spain in Contemporary World*, pod red. M. Mizerska-Wrotkowska, Warszawa 2014, s. 130; M. Dworski, *Na hiszpańskiej ziemi. Rola i znaczenie misji dyplomatycznej Józefa hr. Potockiego w Madrycie po zakończeniu II wojny światowej – wybrane zagadnienia*, „Polonia Inter Gentes” 2020, nr 1, s. 92–93.



2. Korpusu<sup>65</sup> podjął się załatwienia wszystkich formalności związanych z przekazaniem tej pierwszej grupy do Hiszpanii i oddanie jej w ręce przedstawicieli Instytucji tamtego kraju, która podjęła się realizacji planów zrodzonych przez „Pax Romana”. Otrzymane informacje były jasne, wyraźne i tak konkretne, że odbieraliśmy je ze Staszkiem ze zrozumiałym zaskoczeniem i podziwem. Całe przedsięwzięcie nie miało z porządkiem politycznym w Hiszpanii nic do czynienia, tyle że reżim generała Franco je popierał i dawał szanse studiów w tym kraju. Ta nowa dla nas możliwość dalszych nauk była nadzwyczajna i pociągająca. Decyzja skorzystania z niej leżała w naszych rękach. Nasi przedmówcy dali to teraz do zrozumienia i tylko czekali na nasze stanowisko. Z taką decyzją wiązało się jakieś nieokreślone ryzyko, zwłaszcza, że pierwsi, którzy do Hiszpanii by pojechali, byłiby pewnego rodzaju królikami doświadczalnymi w realizacji tego rodzaju przedsięwzięcia. Bez żadnych uprzedzeń kierownicy Wydziału Kultury 2. Korpusu dawali odpowiedź na wszystkie pytania, które im stawialiśmy. Ich postawa budziła tak wysokie zaufanie, że w zasadzie nie pozostawały żadne wątpliwości i wyraziliśmy obydwaj uznanie dla projektodawców jak i realizatorów. – „Pan, panie poruczniku” – zwrot był wypowiedziany pod moim adresem – „będzie dowódcą tej grupy dwudziestu, jeśli się zdecyduje na przyjęcie zasłyszanej oferty”. – Próbowałem oponować, bo ostatecznie będziemy musieli być najpierw zdemobilizowani i będę pomiędzy innymi zwykłym cywilem. – „Oczywiście będziecie musieli być najpierw zdemobilizowani, ale ponieważ wy jesteście obecnie wciąż jeszcze żołnierzami, ktoś z was będzie musiał przejąć odpowiedzialność w imieniu 2. Korpusu. A tu wchodzi jeszcze w grę dyscyplina wojskowa. Dla nas to jest sprawą bardzo ważną, bo ktoś będzie musiał przejąć dokumenty oraz wszelkie wskazówki potrzebne do kierowania poczynaniami całej grupy. Póki jesteście żołnierzami, musimy nasze kroki stawiać zgodnie z porządkiem obowiązującym żołnierzy. Czyli że najwyższy stopniem musi być dowódcą i dopiero po uzyskaniu zgody pana porucznika jako najwyższego stopniem uczestnika naszej imprezy zadanie dowódcy panu przekazemy. Panu też wręczymy pieniądze dla wszystkich członków tej grupy – po 20 dolarów na najważniejsze drobne wydatki. Rozumiemy, że pan chciałby być lojalny wobec przyjaciela, który z waszej strony podjął inicjatywę, ale pan podchorąży Rudniański jest żołnierzem niższego stopnia i bez żadnych zastrzeżeń przyjmie pana „dowództwo” – W ten sposób zostałem postawiony przed decyzją w sposób bezwzględny i nie miałem żadnego wyboru. Na Hiszpanię wewnątrznie byłem już całkiem zdecydowany. – „Tadziu, oczywiście będziesz dowódcą i pod twoje rozkazy z miejsca się

---

65. Prawdopodobnie T. Wojnarski wspomina tu o Oddziale Kultury i Prasy 2. Korpusu.

oddaję” – śmiejąc się rozwiązał problem przyjaciel, którego duchową wyższość zawsze uznawałem i ceniłem. W rzeczywistości pomiędzy nami nie było żadnych oznak jakiegokolwiek wyższości czy przewagi. To, co powiedziałem, było moją świadomością i to ani mnie, ani jemu nie przeszkadzało. Wizyta w Wydziale Kultury 2 Korpusu zakończyła się jednoznacznie i do Rzymu wracałem ze świadomością, że dla mnie zaczął się nowy, nie przewidywany a całkiem niezwykły nowy okres w moim życiu. Do Ancony miałem jeszcze pojechać po ostateczne instrukcje.

W czasie drogi powrotnej pociągiem, pełni wyniesionych z Ankony wrażeń, mieliśmy do rozmowy ze Staszkiem dość tematów. Po pierwsze w okresie oczekiwania na załatwienie wszystkich formalności trzeba będzie zabrać się do nauki języka hiszpańskiego. Kiedy myśl tę głośno wypowiedziałem Staszek uśmiechnął się tajemniczo. Ten uśmiech dobrze już znałem, ale nigdy nie wiedziałem co on sobie myśli. – „Dlaczego się śmiejesz?” – zapytałem, kiedy poza uśmiechem żadnej wypowiedzi nie usłyszałem. Jeszcze chwilę musiałem czekać na wyjaśnienie, ale Staszek wiedział, dlaczego się śmiał. – „Ja już o tym wcześniej myślałem i mam nawet nauczyciela, do którego cię w Rzymie zaprowadzę”. Dziwny człowiek ten Staszek! Taki niby nie z tego świata, a taki konkretny, kiedy coś ważnego jest do zrealizowania! Tak to na drugi dzień po powrocie do Rzymu poszliśmy we dwóch do tego nauczyciela. Staszek już zaczął się uczyć tego nowego dla niego języka. Bo do tej pory znał poza polskim i włoskim jeszcze angielski, niemiecki, francuski, nie licząc języków martwych – łaciny i greckiego. Wiem, że w Rzymie uczył się też hebrajskiego i sanskrytu. Teraz dochodził mu hiszpański, a ten jako drugi najważniejszy, bo potrzebny w kraju, do którego wkrótce mieliśmy pojechać. Ach, ten Staszek, on mi zawsze imponował!

Nauczyciel hiszpańskiego okazał się być człowiekiem nadzwyczajnym. Miał wspaniałą metodę porównawczą języków. W tym wypadku hiszpańskiego z włoskim. Przede wszystkim gramatyka obydwu języków jest niemal identyczna i używanie czasów praktycznie takie same. To było dla nas wielką pomocą. On ponadto wskazywał inne jeszcze powiązania – słowne i ortograficzne. Tu obowiązywały stałe prawie reguły, od których odbiegały najwyżej jakieś tylko wyjątki. Jak zresztą w każdym języku. Tak więc włoskie „il porto” w hiszpańskim przechodzi na „el puerto”, albo „nostro” na „nuestro”. Z kolei włoskie „f” często przechodzi w nieme „h”: „il filo” (nić) w „el hilo”. I tak dalej, i tak dalej, ale to tylko małe przykłady podpowiedzianych przez nauczyciela ułatwień, a nie nauka języka hiszpańskiego.

Nasze spotkania stały się od tego czasu codziennością, a w czasie wspólnych spacerów uczyliśmy się pilnie słówek. Bo to jest podstawą znajomości języków.

Kupiliśmy sobie małe zeszytiki, w których się zapisywało nowe słówka i ich znaczenie. Po nauce przesłaniało się jedną stronę, później drugą i sprawdzało się, czy się już umie. Ale tu nie mogłem wchodzić w zawody ze Staszkiem. Ja musiałem długo kuć, kiedy on swoje słówka dawno już schował do kieszeni. Pytam się go, dlaczego się nie uczy. – „Przecież już się nauczyłem” – wtedy odpowiadał. – „Przeczytałeś, to widziałem, ale przecież się nie nauczyłeś” – wymawiałem mu, a on wtedy się złościł: – „No to masz moje słówka, pytaj się!” – Dał mi swój zeszyt i co? Umiał wszystkie słówka bezbłędnie<sup>66</sup>.

## ROZDZIAŁ: ŻOŁNIERSKA KOMEDIA – SKOŃCZONY

Statek z Genui w kierunku Barcelony odbił od portu. Za mną zostawał kraj piękny, teraz smutny barwami jesieni, bo to był już listopad, w którym przeżyłem przeszło dwa lata wojny i straconych nadziei. Moja osobista „żołnierska komedia” dobiła końca. Inni pozostali, aby czekać na to co im los zgotuje po przeniesieniu ich z całym wojskiem polskim do Anglii. Nikomu z nich nie zdradziłem tego, co ich oczekiwało. Za mną pozostały tylko stracone nadzieje, poczucie krzywdy wyrządzonej mnie i – co najważniejsze – całemu narodowi polskiemu. Tego zapomnieć nigdy nie będę w stanie. Opuszczałem Italię. Kraj,

66. T. Wojnarski trafił do Hiszpanii uzyskując tam stypendium stowarzyszenia Obra Católica de Asistencia Universitaria (OCAU). Warto dodać co wiązało się z uzyskaniem takiego wsparcia. Bowiem w konsekwencji powołania tego stowarzyszenia, hiszpańskie Ministerstwa Edukacji Narodowej i Spraw Zagranicznych doprowadziły do założenia Colegio Mayor Santiago Apóstol. Kolegium powstało na mocy specjalnego dekretu skierowanego do europejskich studentów, absolwentów i profesorów, którzy, wysiedleni ze swoich krajów, mogliby ubiegać się o azyl w celu kontynuowania studiów akademickich w Hiszpanii. Administracja Kolegium została powierzona Obra Católica de Asistencia Universitaria. Kolegium mieściło się przy Calle Donoso Cortés 63, a Minister Edukacji José Ibáñez Martín odpowiedzialny był za jego finansowanie. Nowa rezydencja, mogąca pomieścić 118 mieszkańców, została przekazana pod bezpośrednią odpowiedzialność OCAU. Colegio Mayor Santiago Apóstol odgrywało niezwykle istotną rolę integrującą uchodźców zza żelaznej kurtyny. Odbywało się tam wiele wspólnych wydarzeń inicjowanych przez poszczególne grupy uchodźców. Organizowano tam różne akademie poświęcone historii, kultury czy społeczeństw poszczególnych narodów czy spotkania o charakterze bardziej ogólnym takim jak chociażby zagadnienie kultu św. Jakuba w Hiszpanii. Rokrocznie organizowano w murach kolegium walne zebrania Obra Católica de Asistencia Universitaria, które gromadziły wielu wybitnych gości – hierarchów kościelnych, członków rządu i przedstawicieli wszystkich narodów środkowoeuropejskich. Mury tej instytucji wypełniały się także przy okazji organizacji okolicznościowych wydarzeń. W 1956 roku odbyła się specjalna uroczystość w hołdzie dla Polski i Węgier w związku z powstaniem węgierskim i wydarzeniami poznańskimi. Z kolei w 1957 roku odbyła się duża uroczystość na cześć Obra Católica de Asistencia Universitaria, z okazji 10-lecia istnienia tej instytucji – *Homenaje a los ministros de Hungaria y Polonia*, „ABC” z dn. 15.11.1956; M. Eiroa, *Las relaciones de Franco con Europa Centro-Oriental (1939–1955)*, Barcelona 2001, s. 148–149; A. Dworski, dz. cyt., s. 343; M. Dworski, dz. cyt., s. 92–93.

którego losy przez te przeszło dwa lata dzieliłem, ale po nim pozostało tylko najlepsze wspomnienie. Nie żałowałem jednak, że kraj ten opuszczałem i że nie było mi danym w nim pozostać. Zmienić go na Anglię nie byłoby rozwiązaniem radosnym. Teraz inny kraj, tak nieznany i tak tajemniczy, w kierunku, którego płynąłem, otworzył dla mnie i dla tej grupki dwudziestu młodych Polaków swoje podwoje, choć sam był biedny i przez wojnę domową zrujnowany, a w czasie pięcioletniej wojny światowej nie miał żadnych szans na wyliźnianie się z ran niedawnego nieszczęścia własnego. Teraz mogłem jeszcze tylko wracać do wspomnień ostatnich chwil i oczekiwać co przyniesie los, któremu tak bezwiednie się poddałem. To chyba jakaś inna, wyższa siła tam mnie prowadziła, ale jak się ułoży ten nowy, przede mną otwierający się rozdział życia, tego nie mogłem w jakimkolwiek stopniu przewidywać. Czekala mnie jakaś Wielka Przygoda, która miała mnie poprowadzić innymi, niezbadanymi drogami. W kierunku tej niezbadanej drogi płynąłem sam. Nieprawda! Sam nie, bo byłem „dowódcą” tej dwudziestoosobowej grupy. Sam o tyle, że w ostatniej chwili, kiedy już kończyłem załatwianie formalności w Wydziale Kultury 2. Korpusu<sup>67</sup> Staszek „zastrzelił” mnie nieprawdopodobnym oświadczeniem: „Ja do Hiszpanii nie pojedę.” Jego typowa tajemniczość była tym razem nie do przełamania. Nic nie chciał powiedzieć co było przyczyną tak nagłej i trudnej do zrozumienia decyzji. Dziś, gdy to wiem, rozumiem, że powód był rzeczywiście ważny i może lepiej, że wtedy w swojej tajemniczości tak radykalnie się zamknął. Gdybym naprawdę wiedział co za wiadomości o swoich najbliższych w Polsce otrzymał, płynąc do Hiszpanii, byłoby mi to trudno o suchych oczach rozpamiętywać. Teraz mogłem całkiem spokojnie myśleć o tym wszystkim innym, co w ostatnich dniach się rozebrało.

Przy załatwianiu formalności związanych z całym przedsięwzięciem było mi Staszka naprawdę brak. Ale panowie z Wydziału Kultury byli ludźmi rzeczywiście kulturalnymi, a ze Staszkiem musieli się znać już wcześniej. Jego nieobecność przy zestawianiu listy studentów-stypendystów i organizacji podróży nie odegrała żadnej roli. Ponieważ lista obejmowała 20 nazwisk trzeba, albo może raczej można było na miejsce Staszka dokooptować innego kandydata. Był nim Szczepan Praszałowicz, student architektury, który płynął obecnie statkiem do Barcelony jako „Jarosław Rudniański”. Spośród dawnych znajomych i kolegów znalazł się na liście, nie wiem jaką drogą, stary kumpel z wojska Tadek Malinowski. Zdziwiłem się również, kiedy znalazłem na tej samej liście Mirka Sokołowskiego, kolegę „po fachu”, który mieszkał u Oblatów

---

67. Podobnie jak wcześniej – prawdopodobnie T. Wojnarski wspomina tu o Oddziale Kultury i Prasy 2. Korpusu.

razem z Alkiem Wernerem. Poza tymi dwoma nie znałem nikogo. Pozostali nie byli nawet regularnymi żołnierzami 2. Korpusu, tylko „rozbitkami” wojennymi, którzy różnymi drogami znaleźli się w obozie uchodźców w Merano. Wszyscy, już jako cywile, przyjechaliśmy do Genui i ... nielegalnie wsiedli na statek do Barcelony. O tej „nielegalności” poinformował mnie dopiero w ostatniej chwili asystujący nam oficer z ramienia Wydziału Kultury 2. Korpusu. Okazało się, że formalnie powinniśmy mieć wszyscy włoską wizę wyjazdową, a tego nikt by nam nie wydał, bo poza listą zbiorową nie mieliśmy żadnych dowodów osobistych. Ale gdzie są jakieś braki formalne, można dziurę zalepić łapówką. A to we Włoszech nie sprawiało żadnego problemu. Nasz wojskowy asystent wyjaśnił, że ta sprawa została wcześniej należycie „załatwiona”. I tak bez żadnych przeszkód, pod warunkiem, że musieliśmy wsiadać na statek jako zwarta grupa, cała dwudziestka płynęła teraz do Barcelony. Wszystko dobrze było zorganizowane, nawet rozdziałem „kieszonkowego” nie musiałem się martwić. Tylko sprawę demobilizacji musiałem sobie sam załatwić i pojechać do odpowiedniego biura w Predappio, miasteczka szczególnie związanego z postacią „il duce”. Z należącej mi się odprawy za służbę musiałem, niestety, zrezygnować...

Za mną pozostało tylko wspomnienie pokoju u Ojców Oblatów na via Panisperna, gdzie przed wyjazdem z Rzymu ostatni raz mogłem rzucić okiem na wspaniały widok roztaczający się z okna: całkiem z lewej strony, gdy się dobrze wychyliłeś – kawałek Colosseum, a dalej w prawo, coraz bliżej nas, wzdłuż Fori Imperiali – ruiny Forum Romanum, z potężnymi jeszcze resztkami bazyliki Massencjusza, a całkiem z prawej strony równie potężny jak kiczowaty monumet Vittorio Emmanuele. Żołnierska komedia dobiegła końca. Przede mną otwierało się morze i niewiadoma przyszłość...

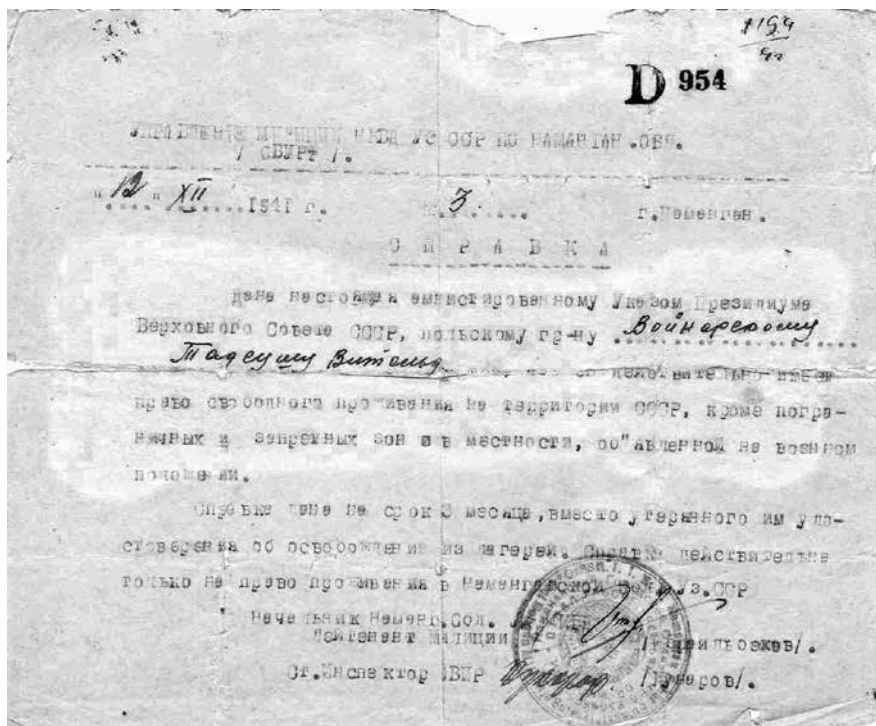


1. Tadeusz  
Wojnarski – fotografia  
prawdopodobnie  
z 1927 roku.  
Fotografię tę wydobyła  
matka T. Wojnarskiego  
z gruzów domu  
w Warszawie.

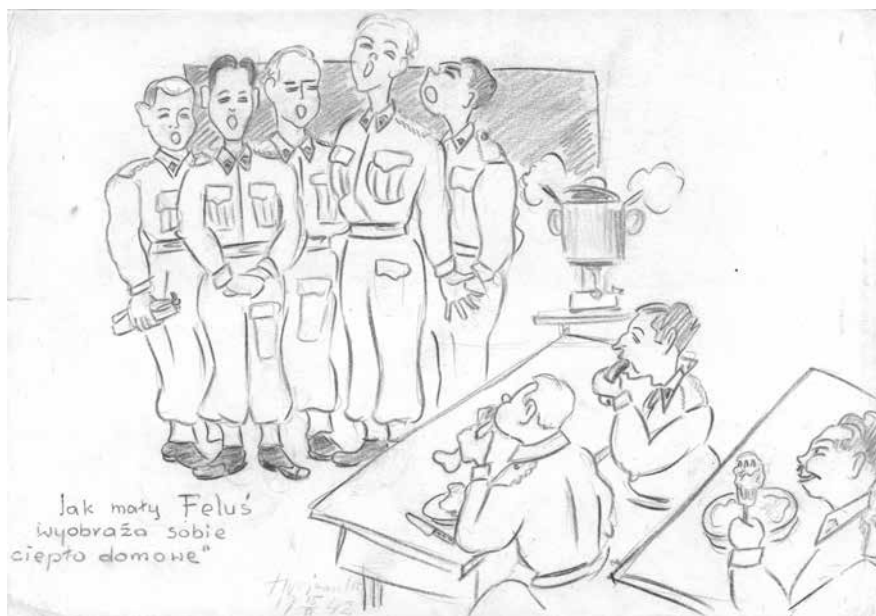


2. Autoportret  
przedstawiający  
Tadeusza Wojnarskiego  
po opuszczeniu  
Gułagu.  
(Gwaz, węgiel, papier;  
30,2 × 15,5 cm)





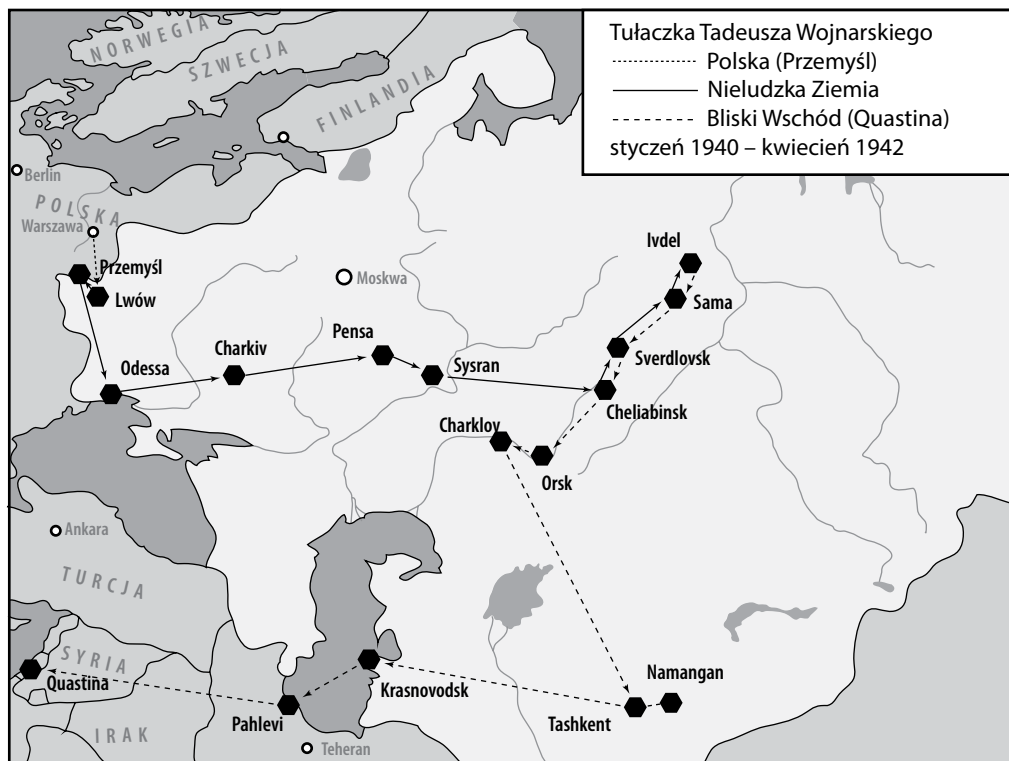
3. Dokument repatriacji Tadeusza Wojnarskiego („Sprawka”), który został wydany w 1941 roku w ZSRR.



4. Rysunek „Mały Feluś” – wykonany w dn. 15.2.1942 roku. Jest to drugi najstarszy zachowany obraz Tadeusza Wojnarskiego, wykonany jeszcze w obozie wojskowym Gorczakowo (Uzbekistan, ZSRR). (Ołówek, papier; 27,5 × 19,0 cm)



5. Fotografia Tadeusza Wojnarskiego dołączona do świadectwa dojrzałości wydanego w dn. 26.02.1944 roku. Zdjęcie zostało wykonane w 1943 albo 1944 roku w Palestynie.



6. Sowiecka tułaczka Tadeusza Wojnarskiego (1939–1942). Autor: T. Wojnarski junior.



7. Portret ppor. Henryka Mleczki (ps. Henio) wykonany prawdopodobnie w 1942 roku w Palestynie. (Ołówek na papierze, 15,6 × 20 cm)



8. Karykatura nieznanego kolegi z oddziału. Rysunek został prawdopodobnie wykonany w Palestynie w 1942 albo 1943 roku. (Ołówek na papierze, 5 × 8 cm)



9. Karykatura nieznanego kolegi z oddziału. Według opisu Tadeusza Wojnarskiego można przypuszczać, że jest to ppor. Lucjan Słota (ps. Lutek/Koń). Rysunek został wykonany na Bliskim Wschodzie w 1942 albo 1943 roku. (Ołówek na papierze, 8,5 × 13 cm)



10. Karykatura nieznanego kolegi z oddziału, która została wykonana w Iraku w 1943 roku. (Kredki na papierze, 27 × 25 cm)



11. Osobisty pamiętnik „Ku pamięci”. Oryginalne karykatury oprawione w książeczkę przedstawiają osoby, z którymi T. Wojnarski przebywał w podchorążówce artylerii lekkiej (2. Korpus) w 1943 roku w rejonie Kanakhinu w Iraku. Pamiętnik obejmuje 16 karykatur oraz 14 kartek z notatkami kolegów. (Kredki na papierze, 15 × 9 cm)



12. Karykatura pułkownika wykonana w dn. 11.02.1943 roku. Kartka z pamiętnika „Ku pamięci”. (Kredki na papierze, 15 × 9 cm)



13. Karykatura kapitana wykonana w dn. 18.01.1943 roku. Kartka z pamiętnika „Ku pamięci”. (Kredki na papierze, 15 × 9 cm)

14. Karykatura podporucznika  
wykonana w dn. 25.01.1943 roku.  
Kartka z pamiętnika  
„Ku pamięci”  
(Kredki na papierze, 15 × 9 cm)



15. Karykatura starszego sierżanta  
wykonana w dn. 03.05.1943 roku.  
Kartka z pamiętnika  
„Ku pamięci”  
(Kredki na papierze, 15 × 9 cm)





16. Fotografia „teatru w pustyni” w Iraku z 1943 roku. Był to teatr pułkowy (zob. s. ###). Stojący na krześle to prawdopodobnie Tadeusz Wojnarski, postura, kształt i postawa są bardzo podobne. (Źródło: N. Dawies, *Szlak nadziei*, Rosikon Press, s. 254)

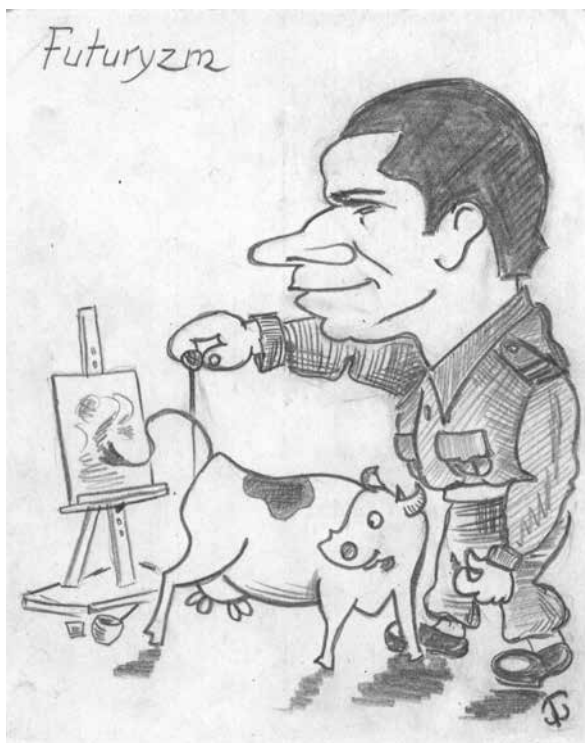


17. Karykatura Henryka Staszewskiego wykonana pod koniec 1943 roku. Więcej o tej postaci – zob. s. 202, przyp. 26. (Ołówek na papierze, 11,0 × 15,5 cm)

18. Karykatura „Ochotniczka cywilna” z 1943 roku. Rysunek przedstawia prof. Mostowicz, która prowadziła zajęcia z języka łacińskiego podczas kursów maturalnych w Palestynie (zob. s. 10) (Ołówek na papierze, 12,0 × 15,8 cm, koniec roku 1943)



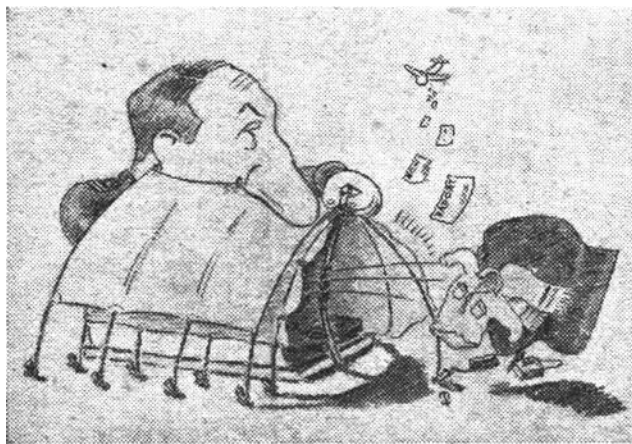
19. Karykatura „Stary Szeregowy / Futuryzm”, która została wykonana w 1943 roku podczas kursu maturalnego w Palestynie. (Ołówek na papierze, 11,0 × 15,5 cm)







20. Karykatura „Major”, która została wykonana w 1943 roku podczas kursu maturalnego w Palestynie.  
(Ołówek na papierze,  
11,0 × 15,5 cm)



Oto jest Major, co nas wszystkich  
Dzierży jak władca w swojej mocy.  
Pasia zań jego: ład w namiotach,  
Porządki w dzień, a warta w nocy.

21. Karykatura „Dzierżący major”, która została wykonana w 1943 roku podczas kursu maturalnego w Palestynie. Rysunek zamieszczono w *Zabieramy Głos, Dział kursów maturalnych Armii Polskiej na Wschodzie APW*. Dodatek do miesięcznika „Junak”, styczeń 1944, rok 2, nr 1, s. 4.





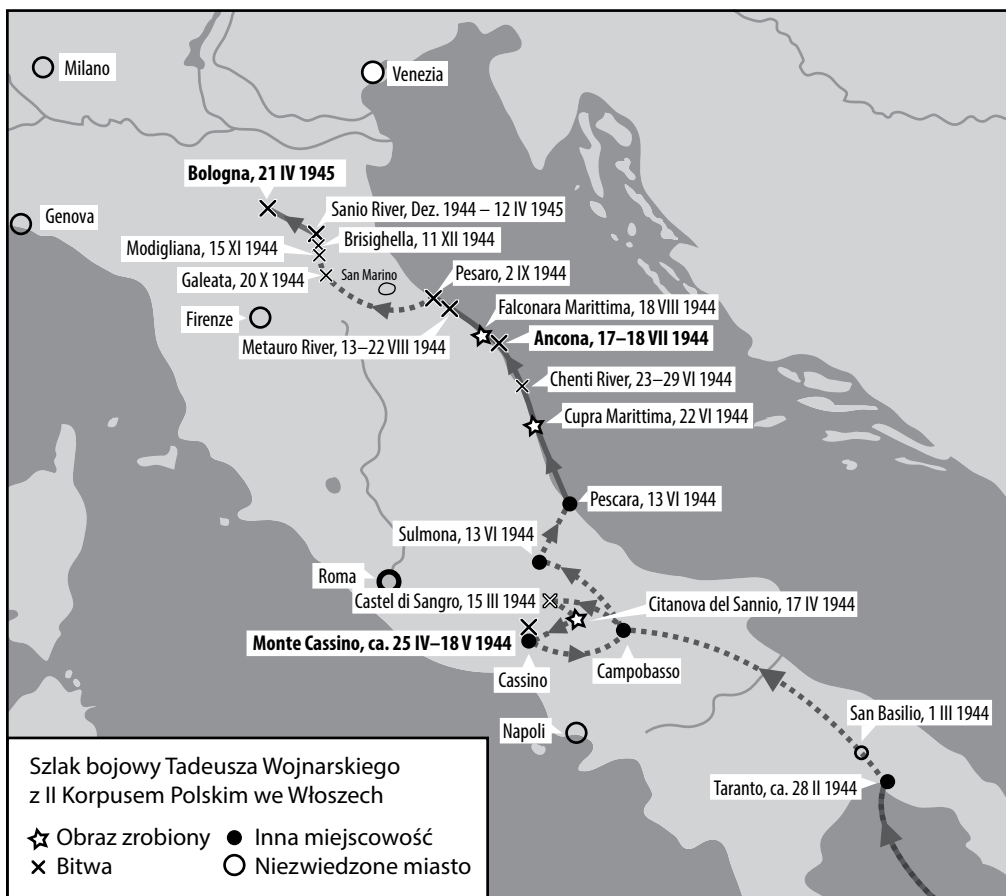
22. Autokarykatura Tadeusza Wojnarskiego, wykonana w 1943 roku. (Ołówek na papierze, 13,0 × 16,0 cm)



23. Rysunek „Kazio śpi na statku w drodze do Włoch” wykonany 25.3.1944 roku. Nie jest wiadome czy Tadeusz Wojnarski uwiecznił tutaj Kazimierza Terajewicza czy Kazimierza Morawskiego. (Ołówek na papierze, 14,0 × 18,0 cm)



24. Obraz przedstawiający obóz „Barbara” w Palestynie, wykonany 2.01.1944 roku. W tym miejscu odbywały się kursy maturalne, w których uczestniczył T. Wojnarski. (Akwarela, papier, 26,8 × 18,2 cm)



25. Mapa szlaku bojowego 2. Korpusu we Włoszech. Wykonanie: Tadeusz Wojnarski junior.



26. Fotografia ppor. Tadeusza Wojnarskiego wykonana w Rzymie w grudniu 1945 roku. Zdjęcie powstało w czasie jego pierwszego wyjazdu do Rzymu.

27. Akt „Circolo Art. 31”  
wykonany 22.03.1946 roku.  
„Circolo Artistico” to nazwa  
międzynarodowej grupy  
studentów malarstwa w Rzymie,  
pochodzących głównie  
z Polski. W wolne popołudnia  
organizowali oni szkicowanie  
aktów. W spotkaniach tych  
często uczestniczył prof. Marian  
Bohusz-Szyszko – mający  
charakter doradcy.  
(Niebieski atrament na papierze,  
17,8 × 25,0 cm)



28. Akt „Circolo Art. 32”  
wykonany 22.03.1946 roku.  
(Ołówek na papierze,  
17,8 × 27,0 cm)





29. Akt „Circolo Art. 35”  
wykonany 23.03.1946 roku.  
(Tusz na papierze,  
18,8 × 17,9 cm)



30. Akt „Circolo Art. 37”  
wykonany 23.03.1946 roku.  
(Tusz na papierze,  
13,0 × 21,0 cm)

31. Rysunek „Ascoli Piceno,  
Chiesa S. Francesco”, wykonany  
23.04.1946 roku.  
(Tusz na papierze, 20,6 × 29,8 cm)



32. Rysunek „Amalfi, Campanile”,  
wykonany 2.07.1946 roku.  
(Tusz na papierze, 21 × 27 cm)





33. Rysunek „Napoli, Zaułek”, wykonany 4.07.1946 roku.  
(Tusz na papierze, 20,0 × 29,0 cm)



34. Rysunek „Venezia, Wieża zegara”, wykonany 20.07.1946 roku.  
(Tusz na papierze, 17 × 26 cm)



35. Rysunek „Fiesole, San Francesco, Kapliczkowa kolumna”, wykonany 10.08.1946 roku. (Tusz na papierze, 14 × 19 cm)



36. Rysunek „Studia żołnierzy”, Włochy 1946 roku. (Tusz na papierze, 14 × 21 cm)



37. Rysunek „Obserwowana para miłosna”, Włochy 1946 roku.  
(Tusz na papierze, 14 × 17 cm)



38. Rysunek „Castel San Angelo” wykonany w Rzymie, 23.09.1946 roku.  
(Tusz na papierze, 30 × 22 cm)



39. Fotografia polskich studentów w Rzymie, 1946. Górny rząd, drugi z prawej: Tadeusz Wojnarski. Dolny rząd, pierwszy po lewej: Aleksander Werner. Górny rząd, szósty z prawej: prof. Mario Rivosecchi (profesor rzymskiej Akademii Sztuk Pięknych).



40. Rysunek „Genova, Silos Hennebique”, wykonany 12.11.1946 roku, tuż przed wypłynięciem statkiem do Barcelony. (Tusz na papierze, 22 × 15 cm)



41. Rysunek „Dziewczyna z gimnazjum żeńskiego w Jeninie 1943”.  
Ilustracja do *Żołnierskiej Komedii*. Akt 1, dziewczyna w świetlicy.

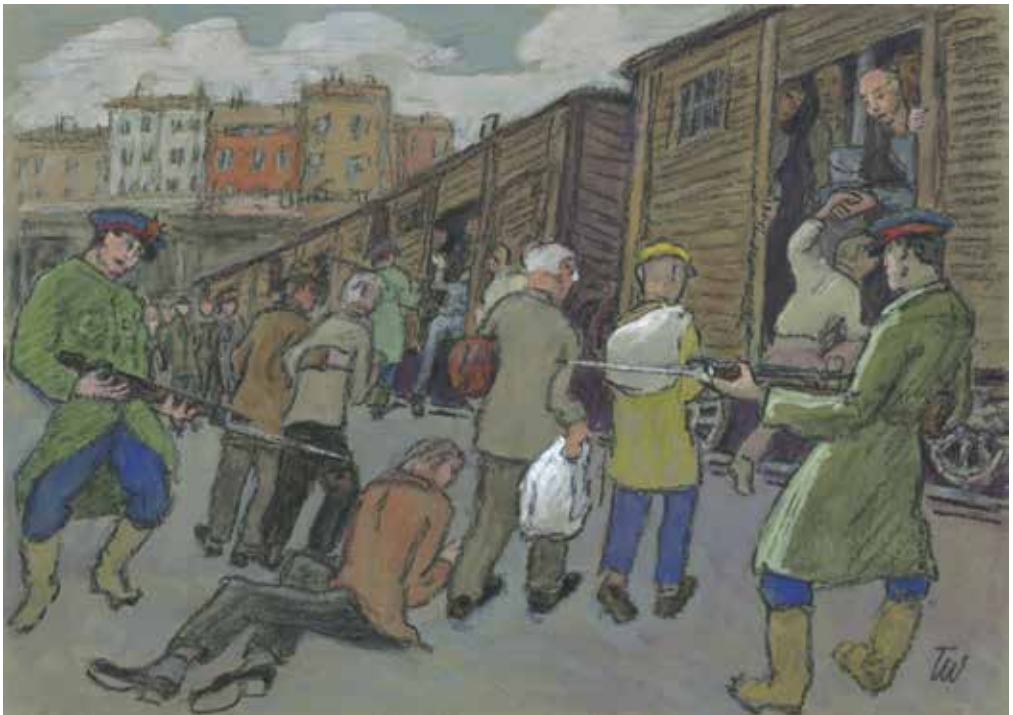


42. Rekwizyt do *Żołnierskiej Komedii*, akt 2 – głowa zabitego Szymka.  
Papier-mache, gwasz 1974.



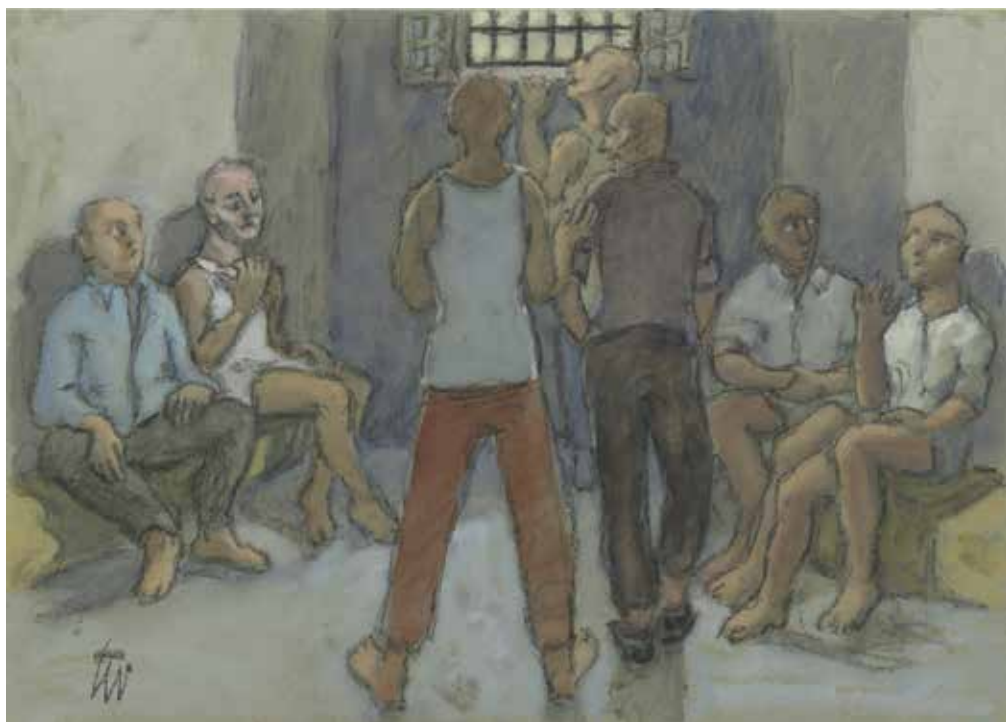
43. Karykatura „Stalinowi sprzedali”. Ilustracja do *Żołnierskiej Komedii*. Akt 3. (Tusz, 20 × 27 cm).

44. Przemysł.  
Aresztowanie na  
rzece San.  
(Gwasz, czarna  
kredka,  
papier; 28 × 29,5 cm)



45. Przemysł. Ładowanie na wagony towarowe. (Gwasz, czarna kredka, papier; 20,6 × 29,5 cm)





46. Odessa. Wzienie, „telefonowanie”. (Gwasz, węgiewiel, czarna kredka; 20,6 x 29,5 cm)



47. Czeljablinsk. Wzienie, Błatnoj. (Gwasz, czarna kredka, papier; 20,6 x 29,5 cm)

48. Iwdjel. Brama obozu.  
(Gwasz, czarna kredka,  
papier; 35 × 34 cm)



49. Iwdjel. Windowanie  
bałanów.  
(Gwasz, czarna kredka,  
papier; 38,5 × 29,7 cm)







50. Iwdjel. Nosiwoda. (Gwasz, czarna kredka, papier; 20,6 × 29,5 cm)



51. Iwdjel. Ludzkie cienie. (Gwasz, czarna kredka, papier; 20,6 × 29,5 cm)





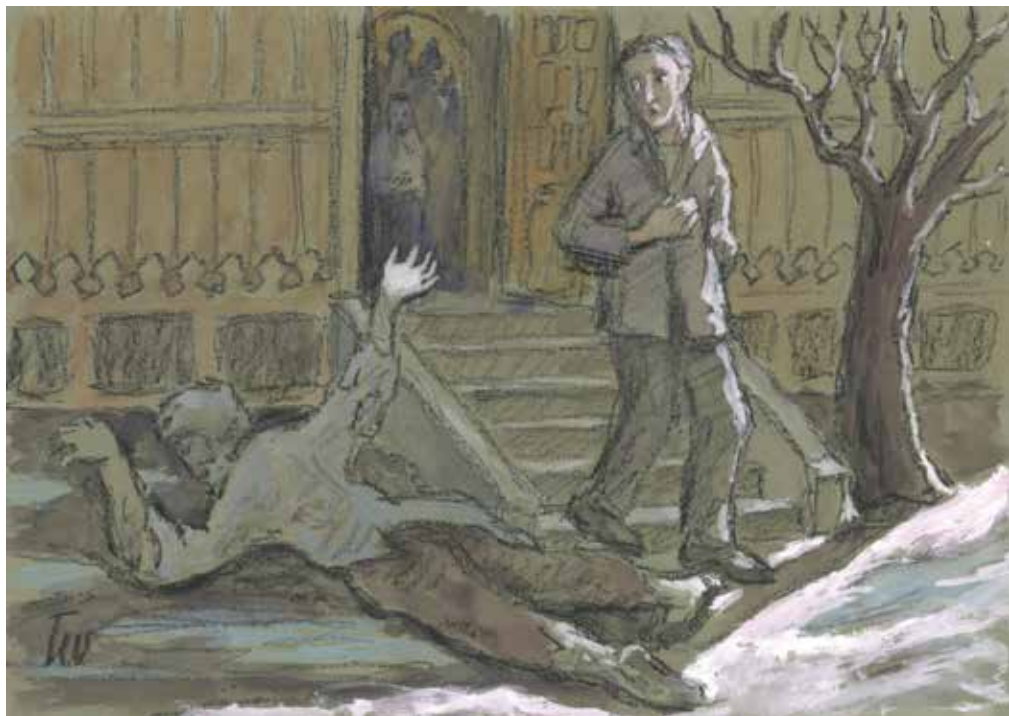
52. Iwdjel. Miłosierdzie.  
(Gwasz, czarna kredka, papier; 20,6 × 29,5 cm)



53. Autoportret na wolności.  
(Gwasz, czarna kredka, papier; 30,2 × 15,5 cm)



54. Milicjantka. (Gwasz, czarna kredka, papier; 20,6 × 29,5 cm)



55. Zmarznięty. (Gwasz, czarna kredka, papier; 20,6 × 29,5 cm)

56. Uzbek. Jest to najstarszy zachowany obraz Tadeusza Wojnarskiego, wykonany w dn. 23.01.1942 roku. (Gwasz, papier; 28 × 20,6 cm)



57. Quastina. Pomarańcze. (Gwasz, czarna kredka, papier; 20,6 × 29,5 cm)





58. Rysunek „Civitanova”, wykonany 17.04.1944 roku. (Akwarela na papierze, 30,2 × 21,8 cm)



59. Rysunek „Jar na stanowiskach artyleryjskich pod Monte Cassino”, wykonany pod koniec kwietnia 1944 roku w czasie budowy stanowiska artyleryjskiego. (Akwarela na papierze, 24,8 × 20 cm)



60. Rysunek „Domek przed rzeką Chienti”, wykonany 23.06.1944 roku.  
(Akwarela na papierze, 25,6 × 20,0 cm)



61. Rysunek „Domek za rzeką Chienti”, wykonany 30.06.1944 roku.  
(Akwarela na papierze, 24,2 × 18,2 cm)



62. Rysunek „Monte Conero”,  
wykonany w lipcu 1944 roku.  
(Akwarela na papierze,  
31,8 × 23,4 cm)



63. Autoportret wykonany  
17.07.1944 roku.  
(Akwarela na papierze)



64. Rysunek „Nieznany żołnierz”, wykonany 28.08.1944 roku w trakcie natarcia polskich żołnierzy na linię Gotów. (Akwarela na papierze)



65. Rysunek „Nieznany żołnierz”, wykonany 1.09.1944 roku w trakcie natarcia polskich żołnierzy na linię Gotów. (Akwarela na papierze)





66. Rysunek „Nieznany żołnierz”, wykonany 2.09.1944 roku w dniu pokonania linii Gotów przez Polaków. (Akwarela na papierze)



67. Autoportret, wykonany 16.09.1944 roku. (Akwarela na papierze)



68. Rysunek „Nieznany  
żołnierz”, wykonany  
16.09.1944 roku.  
(Akwarela na papierze)



69. Rysunek „Nieznany  
żołnierz”, wykonany  
30.10.1944 roku.  
(Akwarela na papierze)





70. Rysunek „Nieznany żołnierz”, wykonany 30.10.1944 roku. (Akwarela na papierze)



71. Widok górski ze stanowisk artyleryjskich listopadzie 1944 roku. W tym czasie 2. Korpus znajdował się w rejonie Rocca S. Casciano. (Akwarela na papierze, 30,8 × 21,4 cm)

72. Rysunek „Nieznany żołnierz”  
wykonany 18.11.1944 roku.  
Obraz ten powstał podczas walk  
w Apeninach Emiliańskich,  
w trakcie natarcia aliantów na  
miasto Forli.  
(Akwarela, papier, 24 × 34 cm)



73. Rysunek „Nieznany żołnierz”  
wykonany 23.11.1944 roku.  
Obraz ten powstał podczas walk  
w Apeninach Emiliańskich,  
w trakcie natarcia aliantów na  
miasto Forli.  
(Akwarela, papier, 24 × 33 cm)







74. Rysunek „Nieznany żołnierz”  
wykonany 24.11.1944 roku.  
Obraz ten powstał podczas walk  
w Apeninach Emiliańskich,  
w trakcie natarcia aliantów na  
miasto Forli.  
(Akwarela, papier, 21 × 26 cm)



75. Rysunek „Nieznany żołnierz”  
wykonany 26.12.1944 roku. Portret  
żołnierza powstał w czasie przerwy  
zimowej nad rzeką Sanio.  
(Akwarela, papier, 23,6 × 32,5 cm)



76. Przy włoskim kominku.  
Akwarela wykonana 11.01.1945  
roku. (Papier, 21,4 × 26,2 cm)



77. Autoportret wykonany 14.03.1945 roku.  
(Akwarela, papier, 22 × 30,8 cm)



78. Rysunek „Nieznany żołnierz” wykonany 28.01.1945 roku. Portret żołnierza powstał w czasie przerwy zimowej nad rzeką Sanio. Był to okres przed rozpoczęciem natarcia na Bolonię.  
(Akwarela, papier, 24,0 × 33,5 cm)



79. Rysunek „Nieznany żołnierz” wykonany 6.02.1945 roku. Portret żołnierza powstał w czasie przerwy zimowej nad rzeką Sanio. Był to okres przed rozpoczęciem natarcia na Bolonię.  
(Akwarela, papier, 22 × 30 cm)



80. Rysunek „Nieznany żołnierz”  
wykonany 16.03.1945 roku. Portret  
żołnierza powstał w czasie przerwy  
zimowej nad rzeką Sanio. Był to  
okres przed rozpoczęciem natarcia  
na Bolonię.  
(Akwarela, papier, 21,2 × 28,7 cm)



81. Rysunek „Nieznany żołnierz”  
wykonany 22.03.1945 roku. Portret  
żołnierza powstał w czasie przerwy  
zimowej nad rzeką Sanio. Był to  
okres przed rozpoczęciem natarcia  
na Bolonię.  
(Akwarela, papier, 24 × 30 cm)





82. Młody nieznaną żołnierz. Jeden z ostatnich portretów Tadeusza Wojnarskiego ukazujący kolegę przed natarciem na Bolonię. Wykonany w dn. 25.03.1945 roku. (Akwarela, papier, 22,4 × 28,6 cm)



83. Na polskim cmentarzu na Monte Cassino w maju 1991 roku. Od prawej: NN, Jarosław Henryk «Staszek» Rudniański, Ewa Wojnarska, Lucjan „Koł” Słota i Tadeusz Wojnarski.



84. Pałac Dożów,  
Wenecja. Wykonane  
w dn. 14.08.1945 roku.  
(Akwarela, papier)

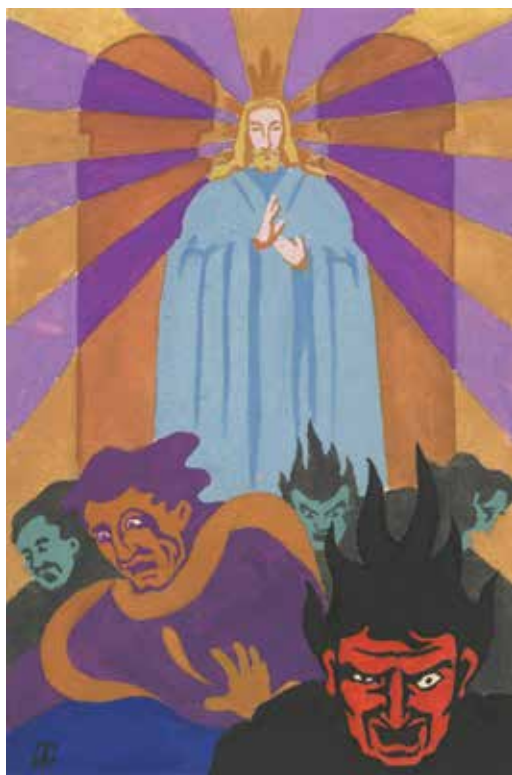


85. Gondola, Wenecja. Wykonane  
w dn. 18.08.1945 roku.  
(Akwarela, papier)





86. Pan Bóg. Ilustracja  
do Prologu *Żołnierskiej  
Komedii*.  
(Gwasz, 15 × 23 cm)



87. Pan Jezus. Ilustracja  
do Prologu *Żołnierskiej  
Komedii*.  
(Gwasz, 17 × 26 cm)

88. Dziewczyna  
w świetlicy. Ilustracja  
do Aktu 1 *Żołnierskiej  
Komedii*  
(Gwasz, 21 × 22 cm)



89. Żołnierz w świetlicy. Ilustracja  
do Aktu 1 *Żołnierskiej Komedii*  
(Gwasz, 17 × 23 cm)



90. Rekwizyty do Komedii żołnierskiej. Skrzynia i hełmy były używane w przedstawieniu w 1974 roku.



91. Powstanie Warszawskie – widzenie Jerzego. Ilustracja do Aktu 2 *Żołnierskiej Komedii*. (Gwasz, 17 × 24 cm)



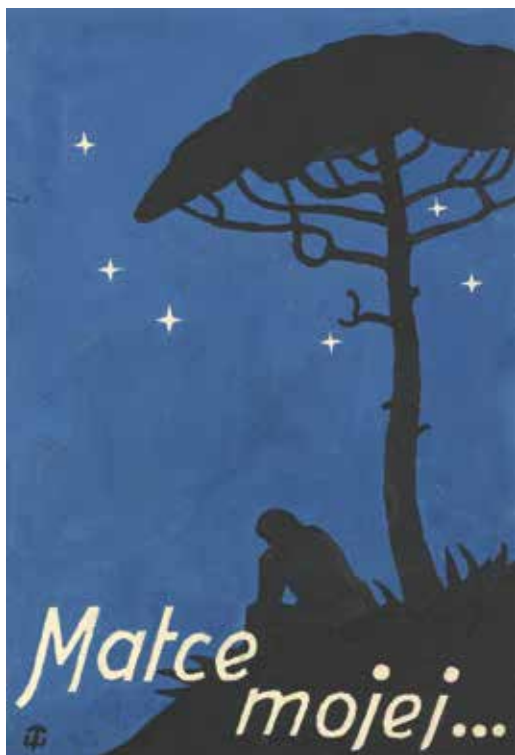
92. Bez atu – stracona gra. Ilustracja do Aktu 2 *Żołnierskiej Komedii*. (Gwasz, 17 × 25 cm)



93. Kobieta (być może Włoszka – Anna Luiza). Ilustracja do Aktu 3 *Żołnierskiej Komedii*. (Akwarela, 24 × 34 cm)



94. Kobieta (być może Włoszka – Anna Luiza). Ilustracja do Aktu 3 *Żołnierskiej Komedii*. (Akwarela, 23 × 29 cm)



95. Matce mojej... (Stefan pod samotną pinią). Ilustracja do Aktu 3 *Żołnierskiej Komedii*. (Gwasz, 17 × 25 cm)



96. Wizja anioł i diabeł. Ilustracja do Aktu 3 *Żołnierskiej Komedii*. (Gwasz, 25 × 17,5 cm)

# ŻOŁNIERSKA KOMEDIA

## SŁOWO WSTĘPNE AUTORA

Długo, bo blisko czterdzieści lat, leżał w starym kufrze maszynowy rękopis tego tak przeze mnie przeżywanego dramatu żołnierza polskiego, który daremnie walczył na obcej ziemi o wolność swojej Ojczyzny. Pisałem go częściowo jeszcze podczas działań wojennych, głównie w okresach odpoczynków na tyłach pomiędzy akcjami frontowymi. Później składałem fragmenty w jedną całość. Koncepcja dramatu jako „komedii”, z wyraźną aluzją do „Boskiej” i „Nieboskiej Komedii”, szczególnie jakoś mi pasowała. We fragmentach końcowych, pisanych pod wpływem beznadziejności „zwycięskiej” wojny, od początku wprowadziłem element nadprzyrodzony. Dla wytłumaczenia tej wewnętrznej potrzeby „dotworzyłem” prolog, który w pierwszej części dramatu nie wydaje się mieć żadnego powiązania z akcją.

**Prolog** – imaginowana, na wzór Dantego, wizja nieba i piekła nie posiada charakteru teologicznego, lecz oparta jest raczej na prostych wierzeniach i tradycjach ludowych. Stąd też wskazania pojęć o miejscach ostatniego przeznaczenia ludzkiego, powiązania sił stamtąd działających z doliną niedoli żołnierza zagubionego w oderwaniu od ziemi ojczystej, jest zupełnie celowa.

**Pierwszy akt** – to obrazek z życia młodzieży, która częściowo przedwcześnie odziana w mundur żołnierski, próbowała nadrobić raz na zawsze straconą wczesną młodość, czy nawet, jak w wypadku dziewcząt, późne dzieciństwo. Te ostatnie znalazły się jako tzw. „młodsze ochotniczki” w obozie gimnazjalnym w Jeninie, miejscowości na terenie Palestyny, kontrolowanej przez Anglików. Młodzież męska w tym akcie, to alumnowie kursu maturalnego z Barbary, innej okolicy kraju. Ci są wyraźnie starsi, żołnierze po wyszkoleniu rekruckim, a nawet po szkołach podchorążych, niektórzy nawet już w stopniach oficerskich. Los tej młodzieży był szczególnie twardy. Starsi przeszli przez więzienia i łagry sowieckie, młodszy, zwłaszcza dziewczęta, miały za sobą tzw. „wolną zsyłkę” do Kazachstanu sowieckiego, bytowanie poniżej godności człowieka.

Młodzież ta miała możliwość od czasu do czasu spotykać się w Jeninie i, jak rzekłem, „nadrabiać” stracone sztubackie czasy. A że bywały przy tym „dramatyczne” komplikacje, to też do tego należało.

**Akt drugi** – to świadoma walka na straconych pozycjach. Punktem szczytowym jest przeżywanie Powstania Warszawskiego na froncie włoskim. Należy zaznaczyć, że akcja epizodu nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek działaniem historycznym. Chodzi tu głównie o myśli dręczące żołnierza, o problemy Polski, a też odzwierciedla, w sposób umyślnie przesadzony, stosunki panujące pomiędzy żołnierzami, a szczególnie luźną koleżeńską dyscyplinę.

**Akt trzeci** – to właśnie owa beznadzieja i brak jakiegokolwiek wizji po zakończeniu „zwycięskiej” wojny. Jakby to inaczej ująć? Nie pisać nic, kiedy tyle myśli, tyle uczuć kłębiło się gdzieś w głębi serca? Z braku pisarskiego talentu milczeć? Nie mogłem. I nie potrafiłem...



# ŻOŁNIERSKA KOMEDIA

*Napisana we Włoszech, w latach 1944–1945  
Prolog i fragmenty – kilkanaście lat później*

## PROLOG

GENIUSZ Siądź i wspomnij, Przygodny Poeto! Widziałem cię nieraz zamyślnego: coś ważył, coś przeżywał? Opowiedz!  
Byłeś w szarym stroju żołnierza i czułeś sercem żołnierza. Coś czuł, coś widział Opowiedz!  
Szary strój spoczął w zaciszu obcego, nie twego starego, pocziwego kufra rodzinnego. Gdzie on był? Co pamięta? Niech opowie!

\* \* \*

Pamiętam, jak Dusza twa nieraz błędziła w przestworzach. Ziemi jej nie wystarczało. Szukała Prawdy dalej. Szukała Prawdy, walczyła o sprawiedliwość, pragnęła czynu.

W długich wędrówkach, w odłączeniu od ciała, stawała nieraz w niebie. Pocziwa Dusza twoja widziała na tronie złocistym Boga Ojca, a Chrystus siedział po Jego prawicy. U stóp Jego spoczywała Gołębica – Duch Święty, co snadnie w ogień oświeceń przekształcać się potrafi. W głębi i po bokach półkolem Święci stawali. Wśród nich Dziewica Najczystsza, Maryja.

Napawała się pięknem i harmonią Boską twoja Dusza. Widziała jak tańczyli przed Boskim tronem Anieli. Inni, po lewej stronie i po prawej, precudnie na lutniach grali. Chóry skrzydlate, bielą mieniące się nieskalaną, niosły Bogu pienia swe niezrównane.

Gdy na chwilę głosy ich ustawały, Dusza twa słyszała gdzieś z dolin głuche strzały armat i wrzawy bitewne i jęki konających. Smutek ją wielki ogarniał. Raz podbiegła do stóp Pana i upadłszy przed dostojnym Jego obliczem, zawołała:

- DUSZA           Panie Najwyższy, czemu dopuszczasz tyle zła na tę ziemię nie-szczęsną?
- PAN BÓG        Dałem ludziom wolną wolę.
- DUSZA           Panie, ich wola źle rządzi ich duszami. A Kościół Twój Po-wszechny jest w nieposzanowaniu dotąd niespotykanym.
- PAN BÓG        Kościół Święty Powszechny będzie panował w pełni nad du-szami.
- DUSZA           Wierzę w to, co mówisz, Panie. Lecz jakże to być może, skoro ludzie od Ciebie tak się oddalają?
- PAN BÓG        Przesyt ziemski znów ich ku Mnie obróci.
- DUSZA           Pojąć tego nie zdołam...
- Co będzie, Panie, jeśli ci maluczcy Twoje święte tajemnice po-znając, świat zechcą z posad poruszać?
- PAN BÓG        Nie twoją to rzeczą znać czasy, czy chwile, którem Ja sobie za-chował do własnego rozporządzenia. Ludzie czynią Mą wolę i co uczynią – Moją mocą będzie uczynione. Ich rzeczą są ich dusze. Według ich uczynków zostaną rozsądzeni, gdy staną przed sumieniem swoim wobec Mnie.
- O co Duszo chcesz prosić?
- DUSZA           Ja niczego, Panie, nie pragnę, jeno błagania mych braci skła-dam, abyś los ich ciężki od nich odsunął i rękę Twą karzącą.
- PAN BÓG        Duszo mała, czy nie wierzysz, że jest sprawiedliwy?
- DUSZA           Wierzę, Panie: grzechy ich są ciężkie.
- PAN BÓG        Idźże więc w spokoju i dawaj im dobry przykład, aby przestali grzeszyć.
- GENIUSZ        Zganiona przez Boga twa Dusza poczciwa już z nieba iść chciała, gdy nagle z dolin śpiew jej znajomy słyszeć się dał.
- GŁOSY Z ZIEMI   Z tej biednej ziemi, z tej łez doliny  
                   Tęskny się w niebo unosi dźwięk.  
                   Serce Jezusa, skarbie jedyny,  
                   Wysłuchaj grzesznych serc naszych jęk.  
                   Nie chciej odrzucać modlitwy tej,  
                   Bo Twej litości błagamy w niej.  
                   Serce Jezusa, ucieczko nasza,  
                   Zlituj się, zlituj, nad ludem Twym...

*(gdy głosy te cichną, daje się słyszeć modlitwa)*

Potężna i święta Pani, uproś nam u Syna Twego łaskę i zmiłowanie, abyśmy zrozumieli Jego Święte zamiary, poprawili się z grzechów, ukochali Jego Prawdę, żyli Jego prawem. Daj nam moc ducha, otrzyj łaskawie polskie łyzy i ukój oddane Ci serca. Przywróć Polsce pokój i jej prawa. Sprowadź nas na łono wolnej Ojczyzny. Zespół umęczony naród we wskrzeszonym Państwie i błogosław zgodnej odbudowie Rzeczypospolitej, by nowe życie polskie natchnęło się Prawdą i by się przez wieki wszystkie rozwijało jako Królestwo Twej miłości i wybrane Dziedzictwo Twojego Syna Jezusa Chrystusa. Królowo Korony Polskiej, módl się za nami!

NAJŚW. MARYA PANNA Synu, miej litość nad ludem moim. Odwróć od niego kielich goryczy. Daj mu pokój prawdziwy...

PAN JEZUS Matko, czy wątpisz, że pamiętam o Twym ludzie?

NAJŚW. MARYA PANNA

Czemu więc go tak doświadczasz?

PAN JEZUS

Chcę, żeby był wielki.

NAJŚW. MARYA PANNA

Więc cierpienie mu oszczędzić nie możesz?

PAN JEZUS

Wielkość jeno cierpieniem się osiąga.

DUSZA

Cóż czynić mamy, abyśmy corychlej zwyciężyli i byli wielcy?

PAN JEZUS

Póki nie zwyciężycie dusz swoich, nie zwyciężycie.

NAJŚW. MARYA PANNA *(do Boga)*

Panie, dopomagaj im!

PAN BÓG

Mają ode Mnie dar najwyższy! mają wolną wolę.

DUSZA

Panie, jako ludzie ułomni jesteście. Poślij między nas Aniołów Twoich, aby nam pomagali. Matko Najświętsza, módl się za nami!

NAJŚW. MARYA PANNA

Panie, wysłuchaj ich!

PAN BÓG

Uczynię jako prosisz, Maryjo.

GENIUSZ

Wówczas Pan Bóg skinął na Aniołów, a one w lot myśl Jego przejąwszy, z szelestem śnieżnych skrzydeł na ziemię, między twych braci walczących, spływać zaczęły.

\* \* \*

Wyszła twa Dusza z nieba Bożym postanowieniem pokrzepiona, nadzieją i wiarą wzmocniona. Wyszła, lecz nie spoczęła. Pragnęła szukać przyczyny zła, które wszędy widziała, pośród braci swojej.

W nowej wędrówce, w odłączeniu od ciała, zesłała aż do piekieł. Niesko-  
ro jej tam było wchodzić, lecz żądza poznania i miłość kazały przewycię-  
żyć wstręt i odrazę. I weszła.

Zaduch piekielny i wrzask potępionych odebrały jej mowę. Mogła jeno  
patrzeć i widzieć. I słyszeć.

Wspomniała twa Dusza jako niegdyś baśnie i opowiadania o piekle sły-  
szała. A okropności jego przeraźliwe dziecku usnąć spokojnie nie dawały.  
Postać na tronie ognistym, pośród deszczu siarki roztopionej, grozę budzi-  
ła i napawała strachem myśl, że siedmiu diabłów, jako siedem grzechów  
głównych, piłujących dzień i noc siedem grubych łańcuchów, którymi był  
do tronu swego przykuty Pan Piekieł, uwolni go wreszcie i straszliwa siła  
zła wyjdzie na świat z podziemi. Zawsze jednak, gdy tylko już przerwać się  
miały łańcuchy, siła jakaś cudowna na nowo je skuwiała. A było to zawsze  
w dzień Odkupienia przez Pana na Krzyżu...

To też Monarcha ciemności, nie mogąc sam złym ogromem świata  
ogarnąć, rzesze szatanów ma na usługach, którzy pomiędzy ludźmi sieją  
jego nasienie.

Twa Dusza trafiła do piekieł w chwili szczególnej: wrażliwa twa Dusza  
zobaczyła festyn sztuk szatańskich, na ziemi krzewionych. Zebrały się wła-  
śnie rzesze muzyków, poetów, malarzy i pośród piekielnych swych protek-  
torów popisywały się swą niecną twórczością, panowanie Lucyferowi na  
ziemi zapewnić mającą. To też stary Władca Ciemności rad był widać nie  
lada. Swej niewoli niepomny, na tronie ognistym wrzeszczał, z uciechą  
patrzac na malowidła, które twą Duszę pocziwą o mdłości przyprawiały.  
Ryczał z podniecenia, słuchając poezji, od których Dusza twa drzeć niespo-  
kojnie zaczynała. Potrząsał brzuchem obwisłym i bębnił kudłatym ogonem  
w mocny rytm jazgotliwej, bezdusznej muzyki, która twą Duszę pocziwą  
hałaśliwą beztreściwą przerażała i napełniała niepokojem.

W pewnej chwili rozbawiony Władca Piekieł dał znak łapą kosmatą  
i rozkrzyczana zgraja ucichła. A on głosem swym ochryplym mowę roz-  
począł:

LUCYFER Widząc olbrzymie zdobycze osiągnięte na ziemi przez szanownych  
tu zebranych artystów na polu krzewienia brzydoty w sztuce oraz  
umacniania w niej szatańskiego piętna i podkreślając szczególne  
zasługi drogich pisarzy, malarzy, kompozytorów i muzyków, któ-  
rzy potrafili wyzwalać najniższe, lub zabijającą wyższe instynkty  
twórczość rozpowszechnić doskonale na całej kuli ziemskiej, po-  
stanawiam z dniem dzisiejszym stworzyć pojęcie „Sztuk Brzyd-  
kich”.

- GENIUSZ Niemilknące okrzyki „hurra” i „chwała” napelniły podziemia Władcy Ciemności. Przerazenie napelniało twą Duszę, gdy niecny Lucyfer znak do uciszenia ponownie dał i mówił dalej:
- LUCYFER Moja decyzja będzie miała przeogromne znaczenie dla olbrzymiej rzeszy ludzi opętanych przez szatanów, pozwoli na zalegalizowanie działalności ludzi chorych psychicznie, którym Bóg, mój wróg śmiertelny, rozum odebrał, a którzy nie przestali posiadać wewnętrznej potrzeby tworzenia. Moja decyzja powróci tym nieszczęśliwcom choć częściowo możliwość służenia mnie, gdy rozumem już wyznawać nie mogą.
- GENIUSZ Znów fala oklasków i okrzyków obita się o ściany piekieł, gdy twa Dusza poczciwa, widzeniem wyczerpana, usłyszała dalsza, mowę:
- LUCYFER Jest jeszcze inna klasa artystów, dla których postanowienie moje będzie miało nieocenioną wprost wartość. Mam na myśli masy super indywidualistów, którzy za wszelką cenę chcą być oryginalni i nowi. Ponieważ w kierunku piękna udało się ludzkości za pomoce, przekłętego przeze mnie Boga poczynić bardzo duże osiągnięcia i przez to jest już niepomiaralnie trudno obecnym artystom dostać się na szczyty i dołożyć nowe, własne zdobycze, przeto pozostaje wolna droga ku brzydocie, gdzie otwierają się szczególnie duże możliwości dla kochanych super indywidualistów.
- GENIUSZ Wystąpiła wówczas z gromady jakaś postać. Była widać malarzem. Wstrząsnąwszy ponad tłumem kilkoma malowidłami, zawołała w przystępie pychy doskonałej:
- MALARZ Tak malowane kobiety – niech sobie kto chce mówi co chce – to są moje kobiety! Typ przeze mnie stworzony, własny!
- LUCYFER O, rzeczywiście, kochany! W twojej twórczości jesteś wyśmienicie indywidualny. A twoje kobiety przypominają do złudzenia piekielne twory brzuchate. Ach, jak to rozkosznie brzydkie! Udzielam ci mojej pochwały!
- GENIUSZ Wówczas gromady malarzy, chorujących na super-indywidualizm, podziwiając twórczość owego mistrza, zaczęły wzdychać:
- SUPER INDYWIDUALŚCI Ach, żebyśmy umieli malować jeszcze brzydziej...
- LUCYFER A trzeba przyznać, że brzydko malować – to też sztuka i nie każdy potrafi. Dlatego też stworzyłem dział „Sztuk Brzydkich” ze szczególną myślą o was, drodzy Super indywidualiści. Jestem dumny z was wszystkich tutaj zebranych. Dzięki wam zapanaował na ziemi Obskurantyzm, nowy postępowy prąd, a nasze

dzisiejsze posiedzenie i postanowienia są z mojej strony najwyższym aktem poparcia tego kierunku.

GENIUSZ Nie słyszała twa Dusza pocziwa wrzasków piekielnych, jakie towarzyszyły zakończeniu Belzebubowej mowy, bo od wrót ku Lucyferowemu tronowi jakiś diabeł pędził, jakby wodą święconą sparzony. Przedarł się przez tłumy i znalazłszy się u stóp swego Władcy, zawołał:

DIABEŁ Panie nieszlachetny, działaj!

LUCYFER Co się stało, Oko i Ucho uwięzionego Władcy?

DIABEŁ Panie nieczysty, wróg twój śmiertelny, z którym walczysz od wieków, który twej prześwietnej pysze kładzie granice, który śmie być wyższym od ciebie, który...

LUCYFER Do stu kroci przeklętych! Mów prędzej, bo cię skąpać w wodzie święconej każę.

DIABEŁ Władco Zła, miej litość nade mną: Bóg wysłał rzesze aniołów między walczących żołnierzy polskich, urągając twojemu dziełu pośród nich...

LUCYFER Przekłete łańcuchy, które mnie na tym miejscu trzymają! Czyn mój przez was, niedołęgi szatańskie, nigdy na ziemi nie dojrzeje. Wiadać nie potrafiliście osłabić dostatecznie wiary Polaków i uprosili u Boga pomoc w ich walce przeciw mnie. Przekłęci!...

Hej, diabły, czarty i szatany – do dzieła! Posyłam was między walczących Polaków, abyście niweczyli owoce Boże i moje ziarno mocniej krzewili. Czyńcie wszystko, co by im spokój wewnętrzny odebrać mogło. A działajcie chytrze i przebiegle. Każdy sposób jest dobry, który do celu prowadzi!

\* \* \*

GENIUSZ Wyszła twa Dusza z piekła doszczętnie wyczerpana i do ciała wróciła. W twej myśli jednak Prawda świtać zaczynała. Dusza spoczęła, a myśl strażę przejmowała. Coś myślał, Przygodny Poeto? Wiem, że myśl twa młodzieńcza nie była w stanie Prawdy w całości ogarniać i kołatała się nękana ciągłymi niepokojami. Myśl twa rozdzielała się i znów łączyła... Miałeś przeto częśćkę w urojonych przez ciebie postaciach bohaterów. Oni – to ty i twoje przeżycia. Prawdziwe lub takie, jakimi by były, gdybyś je musiał przeżywać. Przemów, Przygodny Poeto. Chcesz może coś jeszcze wyjaśnić?

PRZYGODNY POETA Słowo me marne, jak życie: proza. Szukałem w życiu poezji, znajdowałem jeno prozę. Jeśli coś się z poezji na dnie ostawało, przybierało postać dramatu.

Ot, tyle chciałem powiedzieć. Nadto dodam jeszcze, że tylko Prawdę uznaję. Forma – przebac, Geniuszu – Przygodnym jestem Poetą.

\* \* \*

# AKT I

## Palestyna, 1943

*Świetlica – barak drewniany. Na ścianie głównej znaki państwowe. Kilka stołów, ławek i krzesel.*

### SCENA 1

*Grupa dziewcząt głośno rozprawia, wykrzykując czasem: „to dobre!”, „to ci zabawa!”, „ale bal!”, „wspaniale!” itp. Wchodzi Basia.*

DZIEWCZĘTA O, jesteś, Basiu!

MARYSIA Przyjechali Janek i Stefan Kalina. Zaraz tu będą!

BASIA A Jurek Karbiński nie przyjechał?

ZOSIA Właśnie ma przyjechać!

MARYSIA Przyjedzie troszkę później.

ZUZIA Ciekawa jestem jakie pierścionki przywiezie...

ZOSIA Najładniejsze są z dużymi szafirami. I oba jednakowe. Koniecznie jednakowe!

MARYSIA Eh, ja bym woląa pierścionki z brylantami. Brylanciki tak ładnie błyszczą!

BASIA Cóż wy wiecie. Ja wam powiem, jakie pierścionki są najładniejsze: z dużymi rubinami. Rubiny takie czerwone, ciemno czerwone. A wiecie przecież co oznacza kolor czerwony?

DZIEWCZĘTA Miłość!

BASIA Wielką miłość! *(udaje jakby nakładała na palec pierścionek i z uniesioną z lekka, a zgiętą w przegubie ręką przechadza się) – Czy nie uważacie, dziewczynki? Pani Barbara Karbińska! (Dziewczęta śmieją się i hałasują radośnie).*

### SCENA 2

NAUCZYCIELKA *(wchodzi)*

Cóż to za hałasy w świetlicy? *(Dziewczęta spłoszone rozbiegają się. Basia zostaje) – Cóż to za awantury, Basiu?*

BASIA Ależ nic, proszę Pani. Trochę zapomnialiśmy się. Ale to z radości...

NAUCZYCIELKA Z czegoż taka radość?

BASIA A, proszę pani, Jurek Karbiński dziś przyjeżdża!



- NAUCZYCIELKA Ten podchorąży?
- BASIA Tak, on. Mój narzeczony...
- NAUCZYCIELKA O wielkie nieba! Kiedy to panienka zdążyła się zaręczyć?
- BASIA Właściwie to jeszcze nie... Dzisiaj właśnie mamy się zaręczyć.
- NAUCZYCIELKA Czy wyście powariowały? Coś podobnego! To tobie, smarkula jakaś, zamiast uczyć się – mrzonki o narzeczonym chodzą po głowie! Coś takiego! Jak ja miałam szesnaście lat...
- BASIA Jak pani miała szesnaście lat... Tak, już wiem, musiało być inaczej. A ja znów wiem, że jak moja babka wyszła za mąż, to miała właśnie też szesnaście lat. I to za mąż! O!
- NAUCZYCIELKA O! A nie wiesz czasem, czy jak miała trzydzieści, nie myślała, że wtedy była bardzo głupia. I nie wiesz, czy nie żałowała swej straconej młodości?
- BASIA My się tak z Jurkiem Kochamy! ...
- NAUCZYCIELKA Twoim obowiązkiem jest teraz uczyć się. Na narzeczonego, na zaręczyny, masz jeszcze czas.
- BASIA Czy nie można pogodzić nauki z miłością?
- NAUCZYCIELKA Moje dziecko, jakie ty masz pojęcie o miłości. Pan Jurek byłby bardzo nierozsądnym młodzieńcem, gdyby się naprawdę zaręczył...
- BASIA A właśnie będzie bardzo rozsądny i zaręczymy się. A zresztą... przecież pani też ma się zaręczyć...
- NAUCZYCIELKA A skąd ty to wiesz?!
- BASIA Ja bym coś nie wiedziała! O, proszę pani, my wszystko wiemy. Dziewczynki raz nawet widziały, jak pani całowała się ze swoim narzeczonym. My jeszcze wiemy, że pani narzeczony...
- NAUCZYCIELKA *(chwyta się za głowę)*  
Dobrze, dobrze, dość już! Cóż za utrapienie z tymi dziewczętami. Ach, zaręczaj się, zaręczaj, tylko daj mi spokój. *(Idzie ku drzwiom)* – Urwanie głowy! Czego by one nie wiedziały. Coś podobnego! ... *(wychodzi)*

## SCENA 3

- BASIA *(podchodzi do stołu, gdzie leży pamiętnik. Bierze go do ręki)*  
Muszę coś dopisać w pamiętniku. Takie ważne dni życia przecież przeżywamy. Słowa dziś zapisane, będą kiedyś, w przyszłości, miłym wspomnieniem. *(siada i pisze)*

## SCENA 4

*Wbiegają: Marysia, Zuzia i Zosia, ciągnąc za sobą Stefana i Janka.*

- DZIEWCZĘTA    A chodźcież tutaj, łobuzy!
- STEFAN        Dajcie nam spokój, sami wejdziemy.
- JANEK         Panno Barbaro, proszę na pomoc! Te młode kobiety gotowe nas zamęczyć na śmierć.
- MARYSIA       Nie ma obawy!
- JANEK         Ej, precz! Dajcie kindżał! *(Roztrąca je rękoma. Niby przestraszone umykają ku Basi)* *(do Stefana)* A co, nie rozkoszne dziewczątka?
- STEFAN        Oj, utrapione!
- ZOSIA         *(podbiega)* Kto utrapiony?!
- STEFAN        Panno Zosiu, powagi więcej! Chcemy przywitać się z panną Basią.
- BASIA         *(podchodzi)* Dzień dobry panom.
- JANEK         Salem alejkum, królewno! Szczęście sługi nikczemnego nie ma granic, gdy oczy wylupania godne spocząć mają zaszczyt na kwiecie kwiatów i jednym spojrzeniem objąć mogą widok równy jedynie pięknu wschodzącego słońca...
- STEFAN        Zaiste, obfitą jest mowa męża tego. Dzień dobry, panno Basiu.
- BASIA         A czemu Jurek razem z wami nie przyjechał?
- JANEK         O, to wielka tajemnica! Ale powiem ci w sekrecie... *(do dziewcząt)* A wy, skrzaty jakieś, nie podsłuchujcie! Walczy ze sobą...
- STEFAN        Niech pani nie słucha, co ten wygaduje. Miał pewne sprawy służbowe do załatwienia i dlatego przyjedzie trochę pilniej.
- BASIA         Najważniejsze, że przyjedzie.
- JANEK         *(chwyta się dwoma rękoma za czoło, jakby fakir hinduski)* Mój głęboki zmysł jasnowidzenia pozwala mi wyczuć, że serce panny Barbary wykonuje przynajmniej dwieście uderzeń na minutę...
- BASIA         Kiepski jasnowidz z pana, panie Janie. Może doktor lepszy... Proszę sprawdzić swoje zdolności *(podaje rękę do zbadania pulsu)*.
- JANEK         *(mierzy puls)* Sześćdziesiąt osiem... Rzeczywiście, mała pomyłka. Wobec wpływów morfologicznohypnotycznosympatycznych jaki pani na mnie wywiera, moje zdolności jasnowidzenia tracą swoje właściwości.
- BASIA         Bardzo mi przykro z tego powodu.

JANEK Przykro???

DZIEWCZĘTA Przestańcie wreszcie przekomarzać się.

JANEK *(do dziewcząt)*  
Nie boicie się Czarnego Luda? *(pierzchają niby przestraszone)*.

ZUZIA Wujek Janek pfeee!

ZOSIA Pędrak Janek pfuj!

MARYSIA Janek buuuu!

JANEK Dam ja wam zaraz poważnego pana z równowagi wyprowadzić *(zaczyna się za nimi uganiać)*.

STEFAN *(do Basi)* Panno Basiu, pani myśli naprawdę dzisiaj się zaręczyć? Ja już tłumaczyłem Jurkowi, że to nie rozsądne. A teraz widzę, że i panią muszę nawracać.

BASIA A co to pana obchodzi?

STEFAN On to poważnie przeżywa, a pani...

BASIA Ja też...

STEFAN Nie wierzę.

BASIA To nieładnie z pana strony.

STEFAN Pani tylko się wydaje, że pani to poważnie przeżywa. Pani przede wszystkim nie rozumie doniosłości faktu zaręczyn.

BASIA Nie jestem znów takim dzieckiem, za jakie mnie pan uważa.

STEFAN Może nawet większym...

BASIA Eh, nieznośny pan jest!

## SCENA 5

SŁUŻBOWA *(wchodzi)*  
Basia Borysiakówna ma list.

BASIA *(podskakuje z radości i podbiega)*  
Napewno od Jurka! *(bierze list)* Tak, od niego!

DZIEWCZĘTA *(zbiegają się)*  
Od Jurka? Od Jurka?...

BASIA A od kogóż by? *(otwiera list, zaczyna czytać po cichu)*

DZIEWCZĘTA Cóż ci pisze? *(zaglądają ciekawie)*

BASIA Czekaście, zaraz wam powiem... Opisuje jakiś niesamowity sen...

MARYSIA Ach, przeczytaj nam!

ZOSIA Umieram z ciekawości!

ZUZIA I ja też!

STEFAN My nie będziemy przeszkadzali...

BASIA Ależ panie Stefku, pan też może posłuchać.

- JANEK A ja???
- DZIEWCZĘTA Też, też! Prędzej już czytaj!
- BASIA Już czytam. Słuchajcie tylko. (*czyta*) – Wiesz, Basiu, miałem dziś taki dziwny sen. Gdzie to było, nie wiem. Znajdowałem się w jakiejś sali. Kilka dziewczynek siedziało przy stołach. Uczyły się. W kącie, przy małym stoliku, dostrzegłem ciebie. Podszedłem i siadłem przy tobie... Takeś mile się uśmiechała!... Wziąłem cię na rękę, jak dziecko... Chciałem cię pieścić, całować ... aż tu nagle... patrzę, trzymam w ręku coś takiego dziwnego... Coś... Nie wiem... Przemieniłaś się nagle w coś, nie wiem do, w coś złego... Obudziłem się przerażony. Nie mogłem już usnąć. Po jakimś czasie uspokoiłem się i, pół na jawie, pół we śnie, zacząłem marzyć. Widziałem się na jakimś uniwersytecie... Wkrótce kończę studia i ... jestem poetą! Tak, poetą!... Jesteśmy razem, i bardzo szczęśliwi. Nagle wizja znika... Jestem teraz sam na jakimś polu... Pobojowisko. Leżę śmiertelnie ranny... Piszę na jakimś kawałku papieru... własną krwią: Basiu, nie płacz, to za Ojczyznę... Idź kiedyś do mojej matki i powiedz, że cię kochałem... Marzę tak, a łzy do oczu mi się cisną... Otrząsam się... (*przerywa czytanie*) – Czekaście, niech siądę...
- STEFAN Mówiłem pani, że on to głęboko przeżywa.
- ZOSIA Niech skonam, romantyk!
- BASIA Trochę banalny...
- STEFAN Pani, „na śmierć” zakochana, mówi, że to banalne?
- BASIA Ech, bo on zawsze jakiś taki dziwny.. Jakby z innego świata.
- STEFAN Więc choćby już z tego powodu – nie banalny.
- SŁUŻBOWA (*która też słuchała z zaciekawieniem*)  
Jeśli pan Jurek to rzeczywiście przeżywa, to mu krzywdę czynisz, tak go osądzając. A czy on naprawdę przeżywa – to ty najlepiej wiedzieć powinnaś.
- JANEK Baj, baj, baj! Na prawdę, czy na umyślnie, czuję, że zaraz po grzeb zrobimy. A kto to widział, młodzieży szkolna, filozofię ze snów robić. Dość tego dobrego! Nie macie coś innego do roboty?
- BASIA Pan ma rację, panie Janku.
- DZIEWCZĘTA Tak, tak, ma rację! Nie smućcie dzisiaj naszej „panny młodej”.
- BASIA Właśnie! A niechby Jurek tak pierścionków nie przywiózł! Oho, pożałowałby niecnota!

NAUCZYCIELKA (*uchyla drzwi*) Basiu!

BASIA Słucham panią!

NAUCZYCIELKA Choć, pomóż robić kanapki do kolacji. Przecież nie chcecie chyba gości głodem zamorzyć?

BASIA A jakże! Już idę.

NAUCZYCIELKA A, was tu jest więcej! (*Dziewczęta chowają się szybko*) – O, za późno, już was widziałam. Niech która jeszcze przyjdzie do pomocy. Zuziu, choć dziecko! (*Zuzia wychodzi z ukrycia i „stojąc miny” idzie za nauczycielką*).

### SCENA 6

*Marysia, Zosia i Janek odchodzą na bok, opowiadają sobie jakieś wesołe historie, wybuchając co chwila śmiechem, po czym urządzają gonitwy.*

STEFAN (*do Służbowej*)

A pani, panno Jadwigo, ma dzisiaj niefortunny dzień.

JADWIGA Czemu niefortunny?

STEFAN Służba w niedzielę.

JADWIGA Cóż to wielkiego. Do mnie i tak nikt nie przyjeżdża. Właściwie dzisiaj służby bym nie miała, ale do tej, co miała mieć służbę przyjechali goście, więc ją zastępuję.

STEFAN Szlachetne poświęcenie.

JADWIGA Jakież tam poświęcenie. Usługa koleżeńska.

STEFAN Dobro koleżeńska. Ale, panno Jadwigo, jedno pytanie... Ważne...

JADWIGA Słucham.

STEFAN Jak pani sądzi, powinni się oni zaręczać?

JADWIGA Oni przede wszystkim do siebie nie pasują.

STEFAN Mnie się też tak wydaje.

JADWIGA O, muszę już iść. Służba ma obowiązki.

STEFAN Słusznie. Ale jeszcze jedno. Niech pani określi charakter Basi. Tak w jednym zdaniu...

JADWIGA Panie Stefanie... Czemu pan mi takie pytania zadaje? To do mnie nie należy...

STEFAN Niech mi jednak pani odpowie...

JADWIGA O, niech pan Jurek sam je, pozna... Nie, mnie to... nie powinno obchodzić.

STEFAN Ale jednak obchodzi...

JADWIGA Panie Stefanie... Czemu pan tak dziwnie mówi? Proszę mnie już puścić...

- STEFAN Chwileczkę. Czy pani nie jest zdania, że panna Barbara za wcześnie wyfrunęła z pod skrzydeł mamusinych i za prędko po życie sięga?
- JADWIGA Bolszewicy ich wywieźli. Matka umarła w Kazachstanie. Co Basia może na to poradzić? Zresztą pan Jurek już nie jest dzieckiem...
- STEFAN Ale w nim walczą żywioły. A Basia, wydaje mi się, pływa po wierzchu...
- JADWIGA Po co mi pan to wszystko opowiada?
- STEFAN Już nic. Wiem tylko, że będzie to przyczyną jego tragedii. *(po chwili)* – A z drugiej strony... ów niedobór naturalny wśród ludzi... Pani kocha Jurka...
- JADWIGA Panie Stefanie!
- STEFAN Zgadłem niestety. Tak! Dwoje będzie przez to nieszczęśliwych...
- JADWIGA Przemienie jak mara... Jak senna zjawa, jak cień nikły, który na chwilę ukazuje się, a potem niknie... O, panie Stefanie, już muszę iść. ... Tylko niech pan o tej rozmowie nie mówi nic Jurkowi. Proszę...
- STEFAN Gdybym mógł mieć nadzieję, że to zmieni sytuację, popełniłbym taką niedyskrecję. Cóż, kiedy Jerzy to kryształ, który z nagła uderzony może się rozpaść w drobne kawałki...
- JADWIGA Może jednak będzie szczęśliwy...
- STEFAN Daj mu Boże!
- JADWIGA Daj mu Boże... *(po chwili)* – Ach, ta służba! Już idę... *(wychodzi)*

## SCENA 7

wchodzą: Janek, Zosia, Marysia

- JANEK *(podbiega do Stefana)*  
Co ty dziewczynie głowę kręcił?
- ZOSIA Ha, niecnota!
- JANEK Wyznaj szczerze, bo wnet pałkę strzaskam na twój głowie!  
*(potrząsa linijką utrzymaną w ręku)*
- STEFAN Ej, poważny to nie jesteś.
- ZOSIA Dajcie mi tu sam tę powagę chodzącą! A kto to dziewczęta uwodzi?
- STEFAN Chyba nie ja...

JANEK                   A czemu panna Jadzia wyszła taka spłoniona?  
 ZOSIA                   Właśnie?  
 STEFAN                 Dajcie mi spokój. Czego chcecie ode mnie?  
 MARYSIA               Żeby pan z nami się bawił.  
 ZOSIA                   Aha!  
 STEFAN                 Ja mam się z wami bawić?  
 MARYSIA               Aha!  
 STEFAN                 W co?  
 MARYSIA               W cokolwiek.  
 STEFAN                 Ja nie znam żadnych zabaw...  
 ZOSIA                   To po cóż pan przyjechał?  
 STEFAN                 Mogę zaraz pojechać.  
 ZOSIA                   Masz tobie! Co z takim człowiekiem robić? Utrapienie!  
 MARYSIA               Zgryzota!

## SCENA 8

SŁUŻBOWA (JADWIGA) – *(wchodzi)*  
 Idźcie po Basię! Pan Jurek Karbiński przyjechał... *(wychodzi)*.  
 ZOSIA                   Jurek przyjechał!!!  
 MARYSIA               Chodźmy prędko po Baškę!  
 JANEK                   Zaczekajcie, ja też pójdę z wami. *(poprawia ubranie, fryzurę itp.)*  
 MARYSIA               Prędeż!  
 ZOSIA                   Janek, prędeż!  
 JANEK                   Już idę. *(biegną ku drzwiom)*  
 ZOSIA                   Lećmy prędeż! Jurek przyjechał!!! *(biegnie pierwsza, w drzwiach wpada na wchodzącego Jerzego)* – O, przepraszam bardzo...  
 JERZY                   *(za nim wchodzi Służbowa)* – Dzień dobry paniąkom.  
 DZIEWCZĘTA         Dzień dobry panu!  
 JERZY                   Cóż tak wesoło?  
 ZOSIA                   Bo biegniemy po Basię...  
 MARYSIA               Zaraz ją tu przyprowadzimy!  
 STEFAN                 *(do Janka)* – Ty też idziesz na poszukiwania?  
 JANEK                   Muszę, bo na sieroty jeszcze jaki wilk by napadł. – *(do Dziewcząt)* – Prawda?  
 ZOSIA                   Sam najgorszy wilkołak jesteś! Ale nic, chodź z nami. *(wybiegają)*  
 STEFAN                 Wolniej trochę, to i ja z wami pójdę *(wychodzą)*.

## SCENA 9

JERZY           Macie ich! Wszyscy uciekli.  
 JADWIGA       Zaraz przyjdą z Basią, panie podchorąży.  
 JERZY           Wiem o tym. Zaczekajmy.  
 JADWIGA       Wesoła młodzież...  
 JERZY           Ano, wesoło im na świecie...  
 JADWIGA       A panu smutno?  
 JERZY           Bo ja wiem...  
 JADWIGA       Panie Jurku, niech pan mi powie...  
 JERZY           Co takiego?  
 JADWIGA       Czy... ten sen... miał pan na prawdę?  
 JERZY           Co?... Ten sen?... Skąd pani wie?  
 JADWIGA       O, przepraszam... Nie powinnam była w ogóle pytać o to...  
                   Przepraszam bardzo, panie Jurku...  
 JERZY           Nie gniewam się.  
 JADWIGA       Muszę iść... Pomyślności, panie Jurku...  
 JERZY           Och, dziękuję.  
 JADWIGA       Przepraszam... *(wychodzi)*

## SCENA 10

*wchodzi Franek*

JERZY           Ty też tu dziś przyjechałeś?  
 FRANEK       A tak! Przyjechałem odwiedzić uczącą się młodzież. Nawet mi się tu podoba. Poznałem bardzo miłą dziewczynkę i gotów jestem w niej się zakochać.  
 JERZY           Przecież ty jesteś żonaty!  
 FRANEK       Cóż wielkiego? Kochać mi się nie wolno?  
 JERZY           „Kochać” wolno, ale tym dzieciakom głowy zawracać – nie wolno.  
 FRANEK       Masz go! Jakie to „dzieciaki”! To już dziewczki, które za mąż powydawać i patrzeć jakimi będą mateczkami. Aż miło patrzeć!  
 JERZY           Wojna cofnęła rozwój młodzieży wstecz.  
 FRANEK       Albo przyspieszyła. Zależy pod jakim względem. Pod względem umysłowym – cofnęła, ale pod każdym innym...  
 JERZY           Pod każdym względem młodzież wytracona została z dróg młodzieńczych życia i rozwój jej uległ wielu niepożądanym zniekształceniom. Wreszcie końcowe zło – mundury. Wojsko nie jest dla kobiet, a tym bardziej nie dla podlotków...  
 FRANEK       Przecież one mogą się uczyć!



- JERZY To prawda. W tym wypadku mundur nie jest złem najgorszym. Polska młodzież teraz nigdzie nie ma normalnych warunków rozwoju. Dobrze i to, że te tutaj choć uczyć się mogą. *(po chwili)* – A ja czasem się zastanawiam, czy my wszyscy nie zwracamy zanadto głów tym dziewczętom...
- FRANEK Sam się zaręczasz...
- JERZY Myślałem o zaręczynach, lecz po namyśle doszedłem do wniosku, że to nie ma sensu...
- FRANEK Czemu nie ma sensu? Kochasz ją? – Żeń się! Najgorsze tak zastanawiać się.
- JERZY Albo być małżonkiem bez zastanowienia tak jak ty!
- FRANEK Eh, widzisz, ja to za wcześnie się ożeniłem. Nie miałem nawet dwudziestu lat. Wojna wybuchła... Czy ja wiem gdzie ona jest? W tej chwili jestem samotny i cieszę się z mojej wolności. A ty, kawaler na prawdę, jeszcze jakimś medytacjom chcesz się poddawać? Kochasz ją – żeń się! Prosta sprawa, prosta rada.
- JERZY To tylko tobie tak łatwo przyszło. Bo ja, widzisz, nawet nad zaręczynami głębiej się zastanawiam, nie tylko nad ślubem. I gdy rzecz możliwie na zimno rozważam, dochodzę zawsze do jednego: to nierozsądne! Nie ma sensu. Nie wolno mi! Choćby dlatego nie wolno, że jestem żołnierzem i nie powinienem takiej młodej duszy wiązać. W takich zwłaszcza nie-normalnych warunkach...
- FRANEK Właśnie tym bardziej! Jeśli nie chcesz jej stracić, to musisz ją związać. Bo inaczej...
- JERZY O, u mnie nie ma „bo inaczej”! To mogło by się zgadzać z twoimi poglądami. Jeśli „bo inaczej” miało by wchodzić w grę, to osoba nawet nade wszystko ukochana zasłużyłaby sobie u mnie jedynie na pogardę. I mimo najgorętszych uczuć – musiałbym ustąpić z pola. Choćby za cenę najgorszych burz w moim sercu...
- FRANEK Bierzesz życie nierealistycznie. Masz teraz tą – ciesz się nią. Kiedyś inna ci się spodoba – o tej zapomnisz.
- JERZY Filozofia równie wygodna jak niemoralna.
- FRANEK Niemoralna? – Życiowa! – *Savoir vivre!* Rozumiesz? No, ja już idę do mojej dziewczynki. Bądź zdrow, może dołączymy później do waszego towarzystwa. *(wychodzi)*

## SCENA 11

JERZY Savoir vivre! Egoistyczna trucizna! Płaska, niska, wygodniczka! I tacy jak on stosują tę zasadę w życiu bez mrugnięcia powieką, bez najmniejszego wzruszenia, bez drgnięcia nieczułego sumienia. *(wyciąga dwa pierścionki i ogląda je przez chwilę)* – Nie, ja się nie zaręczę! Ja za bardzo ją kocham i szanuję, abym to mógł zrobić. Nie wiem co może stać się w najbliższej przyszłości. Pójdziemy na front, zabiją mnie, zaginę bez wieści... Albo, co gorsza, zostanę kaleką, z którym całe życie by było męczarnią... Nie! Nie wolno mi! – *(spaceruje przez chwilę po sali, po czym obraca jeden pierścionek w palcach, wpatruje się przystanawszy)* – Taki piękny pierścionek! Będziesz go kiedyś nosiła, Basiu... Lecz nie teraz... *(przez chwilę wpatruje się silniej, błędnie, upuszcza pierścionek na ziemię)* – Co to?... Skąd ten błysk w rubinowym oczku?... Dziwny jakiś... Jakaś głębia, jakby błysk oczu żywych a strasznych... Cóż za uczucia w tym kamieniu odkryłem?... Cóż to by być mogło?... *(po chwili)* – Eh, jakieś przywidzenie... *(podnosi pierścionek)* – Cóż w tym oczku rubinowym szczególnego?... *(obraca pierścionek na różne sposoby)*. – Coś mi się przywidziało... Na rozstrój nerwowy cierpisz, mój Jerzy! – *(przez jakiś czas spaceruje w zamyśleniu)* – Ach, czemu ja jej o tych zaręczynach mówiłem? Czemu najpierw się nie zastanowiłem?... Czemu... Czemu...

GŁOS Z GÓRY Błądzić jest ludzką słabością,  
Lecz błąd dojrzawszy  
Z drogi nie zstąpić –  
Głupotą i nikczemnością!  
*(Jerzy chodzi czas jakiś nerwowo, po czym siada, głowę składa w dłoń, rozmyśla)*

## SCENA 12

*Wpadają jak burza Zosia i Zuzia, prowadząc Basię za rękę. Za nimi wchodzi Janek i Stefan. Basia wyrzywa się i podbiega do Jerzego*

BASIA Jurku!...

JERZY *(ocknąwszy się z zadumy)* – To ty, Basiu! Bądź zdrowa! Jak się masz?

BASIA Jurek, kochanie moje, nie masz pojęcia, jak ja się cieszę! Nie mogłam się doczekać!...

- ZUZIA *(pochodzi do Jerzego)* – Dzień dobry, panie Jurku!  
 JERZY O, dzień dobry, panno Zuziu. Przepraszam, że od razu nie przywitałem się, ale...
- ZUZIA Ależ to nic – przecież Basia ma pierwszeństwo!  
 BASIA A pewnie! Prawda, Jerzy?  
 JERZY *(uśmiecha się)* – To jasne, że prawda.  
 JANEK Nie masz pojęcia jak ta boginka lilii wodnych niecierpliwiła się...
- JERZY Na prawdę? *(Basia potrząsa znacząco głową spoglądając Jerzemu w oczy)*
- MARYSIA *(wbiega)* – Obiecałyście niecnoty przyjść pomóc przy ustawianiu stołów i ławek do kolacji? – *(groźnie)* – Tak, czy nie?
- JANEK Tak jest, panno gosposiu!  
 Ejże dziatwo, ejże chętna,  
 Marysienka tak nas prosi,  
 Chodźcie razem, niebożęta,  
 Pomożemy wnet gosposi.
- ZOSIA Brawo poeta!  
 JANEK Niech żyje!  
 WSZYSCY Niech żyje!  
 JANEK Przecudowna ty radości,  
 Nie opuszczajże młodości!  
*(wychodzą)*
- ZOSIA *(do Basi i Jerzego)* – Zakochani są dziś zwolnieni od pracy!  
 JERZY Brawo!

## SCENA 13

- BASIA Nie wspaniałe to?  
 JERZY Nie tylko że wspaniałe, ale nadzwyczaj dobrze się składające.  
 BASIA Prawda? – Tak mało mamy chwil na prawdę dla nas samych...  
 JERZY To prawda. Tym bardziej muszę ci teraz coś ważnego powiedzieć...
- BASIA *(z obawą w głosie)* – Cóż się stało,...
- JERZY Wiesz... tak mi trudno to powiedzieć... Jak jestem sam – wszystko wydaje mi się takie jasne. A gdy mam ci to wreszcie wytłumaczyć – język się zacina i myśli płaczą...
- BASIA Jurku... doprawdy cię nie rozumiem...  
 JERZY Widzisz... po prostu... nie możemy się zaręczyć...  
 BASIA Jak to? Dlaczego?...

- JERZY *(w zamyśleniu)* – Dlaczego?... Dlatego, że ... cóż ja wreszcie mogę?... Czymże ja jestem? ... Nic nie znaczę... Jam pył leżący przy drodze... Nie, nie wolno teraz!
- BASIA Czemu? Czemu?!!! – Wcale cię nie rozumiem.
- JERZY Widzisz, ja jestem żołnierzem... Nie wiem, co może ze mną w najbliższym czasie się stać... Ty jesteś jeszcze taka młoda... Mnie nie wolno na ciebie nakładać takiego ciężaru... Zastanów się poważnie, a zrozumiesz...
- BASIA Ja już zastanowiłam się. Już zdecydowałam się nosić to, co ty nazywasz ciężarem. A ty tymczasem... *(podchodzi do stołu, gdzie leży pamiętnik, bierze go do rąk)* – Masz tu mój pamiętnik, Przejrzyj go jak chcesz... *(Jerzy bierze pamiętnik, odchodzi na bok)*.
- JERZY *(czyta)* – „Pamiętnik Barbary Karbińskiej” – *(potrząsa głową)* – ... założony dnia 13 listopada 1943 roku...
- BASIA *(na boku)* – Nie przypuszczałam, że on tak postąpi... *(szarpie chusteczkę w rękę)*.
- JERZY *(przewraca kartkę)* „Trzynasty listopada. Tylko dwa dni dzielą cię, Barbaro, od chwili, w której On nałoży ci pierścionek na palec. Pamiętaj, jakie obowiązki spadną na ciebie...”
- BASIA Tak pragnęłam mieć narzeczonego...
- JERZY „...musisz wierzyć w Niego i ufać Jemu...”
- BASIA Tak wierzyłam w niego, a on mnie zwiódł. Jak on mógł, jak on mógł!
- JERZY „...wierną Mu być musisz, bo On jest twym wyśnionym Narzeczonym...”
- BASIA O, podły, podły, tyśiąckroć podły!
- JERZY „...Piętnasty listopada. Ów dzień wielki – to dzień dzisiejszy, Barbaro Karbińska. Marzenia twe dziś się spełnią. Dziś kwiat dni życia twojego...”
- BASIA Mój dzień wymarzony rozwiął się jak dmuchawiec...
- JERZY „...Pamiętaj o tym do grobu.”
- BASIA Ach, popamięta on tę zdradę!
- JERZY Czy to wszystko aby szczerze?... *(zamyka pamiętnik, kładzie na stole)* – Barbaro Karbińska... *(potrząsa głową, podchodzi do Basi)* – Basiu, powiedz mi tak z głębi serca: czy ty mnie naprawdę kochasz? Powiedz, proszę cię...
- BASIA Tyle razy ci mówiłam...

JERZY            Żle zrobiłem, że nastawiłem cię na te zaręczyny. Lecz mówię ci, Basiu, teraz nam tego czynić nie wolno. Musimy się wstrzymać, przeczekać aż wojna się skończy... Teraz nie pora. Teraz na prawdę nie pora. *(Po chwili)* – Zresztą jesteś jeszcze bardzo młoda. Akurat naukę skończysz. Ja, Bóg da, wrócę cały... Wtedy będziemy pewniejsi jutra, droga będzie jaśniejsza i otwarta. A teraz co? Co teraz? Powiedz mi!

BASIA            Czy ja wiem co teraz?... Nie wiem... Nie wiem. Może piekło się otworzy?...

JERZY            Basiu, co ty mówisz?

BASIA            Nie wiem co mówię... Nie wiem. Co czuję też nie wiem...

## SCENA 14

*Wbiegają Dziewczęta.*

*Jerzy siada w kącie świetlicy, bierze jakieś pismo do ręki i bezmyślnie przegląda.*

MARYSIA        Basiu, Basiu, choć tu prędko!

BASIA            *(podbiega)* – Co się stało?

ZUZIA            Ktoś do ciebie przyjechał.

ZOSIA            Jakiś Józek. Józef Ma...Mar...Mał... Ach, nie pamiętam.

BASIA            Józek Malczak?

ZOSIA            Tak, tak, właśnie.

BASIA            Wiedziałam, że jest w Palestynie, ale dotąd jeszcze się nie widzieliśmy. Kiedyś do mnie pisał. Nie widzieliście czasem, czy bardzo smutny? Takie straszne przejście miał ostatnio...

ZUZIA            Co Takiego?

ZOSIA            Co za przejście? Powiedz, umieram z ciekawości.

MARYSIA        Cicho bądźcie!

BASIA            Brat jego, Olek, zginął na jakiejś starej minie w Egipcie. Jechał na motocyklu i wpadł na minę pozostawioną nie wiadomo przez kogo. Rozerwało go w kawałki. Biedny Olek... Taki ładny chłopiec... Józek musi być teraz strasznie przygnębiony. Tak się kochali, że rzadko się zdarza między braćmi.

MARYSIA        A skąd ty ich znasz?

BASIA            Toż oni są ze Złoczowa!

ZUZIA            A ty też?

BASIA            Właśnie. Mieszkaliśmy w najbliższym sąsiedztwie, zaraz obok, tuż, tuż, przez ścianę.

ZOSIA            Patrzcie dziewczynki, jakie spotkanie!

- BASIA Jego brat, który teraz zginął, chodził do jednej klasy z Alą, moją siostrą.
- MARYSIA A gdzie Ala?
- BASIA Została w Rosji z mamusią. Tylko ja wyjechałam. Ala, trochę ode mnie starsza, została z chorą mamusią. Ty, mała – powiedziała – nic tu nie pomożesz, a chcą cię zabrać, więc jedź. Właśnie nasza dyrektorka chciała mnie zabrać.
- MARYSIA Ala zrobiła wielkie poświęcenie: dla matki i dla ciebie.
- BASIA Tak, Ala była zawsze bardzo szlachetna.
- ZUZIA Ach, pan Józek musi być teraz smutny...
- ZOSIA Biedny pan Józef...
- MARYSIA Wiesz, Basiu, nie możemy pozwolić, żeby on się dziś smucił. Musimy zrobić, żeby choć na jeden dzień zapomniał o swoim nieszczęściu.
- ZOSIA Pewnie! Ty, Basiu, znasz go od dziecka, musisz więc zająć się nim specjalnie.
- MARYSIA Tylko znów pan Jurek...
- BASIA On nic do nas nie ma. Teraz mam Józia, który jest nieszczęśliwy i mam obowiązek zająć się nim przede wszystkim.
- MARYSIA No tak, ale pan Jurek to twój narzeczony...
- BASIA Żaden narzeczony.
- MARYSIA Co tobie się stało, Basiu?
- ZUZIA Pogniwialiście się?
- ZOSIA Jak to tak? Powiedz, co jest?
- BASIA Nic nie jest.
- MARYSIA Czemuś ty taka zła?
- ZUZIA Powiedz Basiu, co ci jest?
- MARYSIA Powiedz, może ci pomożemy?
- ZOSIA Co to mogło się stać? Powiedz, bo umieram z ciekawości!
- BASIA Dajcie mi wreszcie spokój! A ty, Zosiu, na prawdę umrzesz kiedyś z ciekawości!
- ZUZIA Ale dlaczego nie chcesz powiedzieć?
- BASIA Bo mi się nie podoba! Rozumiesz?
- ZOSIA Patrzcie, jaka ona zła!...
- BASIA Idę po Józia! *(wychodzi)*

## SCENA 15

- MARYSIA Co to mogło się stać? Taka wielka miłość, a tu masz!
- ZOSIA Nic nie rozumiem.

- ZUZIA Musieli się pogniewać.
- MARYSIA Chodźmy, spytajmy pana Jurka.
- ZOSIA Pewnie, niech on nam powie. (*podchodzą do Jerzego*) – Panie Jurku?...
- JERZY (*podnosi wolno głowę*). – Słucham.
- MARYSIA O czym pan tak rozmyśla?
- JERZY (*uśmiecha się*) – O czym rozmyślałem? To dobre pytanie. Myślę o... niczym. Dosłownie o niczym. A raczej myślę o tym, co bym miał odpowiedzieć, gdyby mnie zapytano – co myślę.
- MARYSIA Ciekawe myśli. Ale niech pan nam lepiej powie, co to się stało między wami?
- ZUZIA Czyście się pogniewali?
- JERZY Ależ skąd.
- MARYSIA Panie Jurku, to niemożliwe! To czemu Baśka tak dziwnie zdenewrowana?
- ZOSIA Właśnie!
- JERZY O to samo chętnie bym i ja spytał.
- ZUZIA Nic nie rozumiem.
- MARYSIA Jednak „coś” zająć musiało.
- JERZY Może i zaszło? Bo ja wiem?
- MARYSIA Ach, niech pan mówi wyraźnie: co to pan jej nagadał?
- JERZY Postanowiłem odłożyć nasze zaręczyny.
- MARYSIA I to nie było żadne zająście???
- ZUZIA Na kiedy?
- JERZY Do zakończenia wojny.
- ZOSIA Dlaczego?
- JERZY Bo mi tak rozsądek kazał.
- MARYSIA Ale pan słowa nie dotrzymał!
- ZUZIA Ona od kilku dni żyła tylko myślą o tym.
- ZOSIA Ot i jesteśmy u sedna!
- MARYSIA Trudno, stało się i musimy coś zaradzić. Nie można pozwolić, żeby taka wzorowa miłość tak niesławnie się skończyła.
- JERZY Nie przypuszczałem, że ona rozumie zaręczyny w taki dziwny sposób...
- MARYSIA Panie Jurku, pan może jeszcze cofnąć swoją decyzję!
- JERZY Nie, tego nie zrobię.
- ZUZIA Dlaczego pan taki niedobry?
- JERZY Niedobry?
- ZOSIA A pewnie, że niedobry.

- JERZY                   Jeśli tak osądzacie, nic nie poradzę: jestem niedobry.
- MARYSIA               Czekajcie dziewczynki, musimy coś wymyślić... Trzeba Basi powiedzieć, że przecież nic nie stracone. Możecie kochać się po dawnemu. Czy nie?
- ZUZIA                   No pewnie!
- JERZY                   To samo ja jej tłumaczyłem...
- ZOSIA                   No i co?
- JERZY                   Akurat wy tu wpadłyście, zadziwione i ciekawe sensacji.
- MARYSIA               Pan nas obraża, panie Jurku! Myśmy chciały służyć dobrą radą.
- JERZY                   Gorąco w takim razie dziękuję. Mimo jednak wasze dobre chęci i moje szczere serce – sprawa przybrała najmniej spodziewany obrót. Dlatego też uważam, że najlepiej będzie, gdy stąd zaraz odjadę.
- MARYSIA               Ależ panie Jurku, niech pan tego nie robi. Pan by wyrządził Baśce wielką przykrość!
- JERZY                   Czyżby aż przykrość?
- MARYSIA               Nie, pan nie może tak nagle wyjechać. Pójdziemy zaraz do Baśki porozmawiać. Na pewno wszystko da się wyjaśnić.
- JERZY                   Cóż jest do wyjaśniania?
- ZUZIA                   Pan jest taki niedobry, że ja na miejscu Basi też bym się obraziła.
- JERZY                   Trudno.
- ZOSIA                   Pan jak się uprze, to choćby wołami nie poradzi.
- MARYSIA               Nie zwracaj głowy, Zosiu! – *(do Jerzego)* – Panie Jurku, my idziemy po Basię, ale pan musi dać słowo, że się zostanie.
- JERZY                   Dziwny warunek...
- MARYSIA               Dlaczego dziwny?
- JERZY                   Bo wiem, że nic nie wskóracie, a zresztą... ja już nie chcę nic wskórać.
- ZOSIA                   Pan jest nieznośny!
- MARYSIA               To znaczy, że pan nie chce pogodzić się z Basią?
- JERZY                   Pogodzić? Czy ja ją obraziłem, abym musiał się godzić?
- MARYSIA               Niech pan jednak nie wyjeżdża...
- JERZY                   Dobrze, nie wyjadę, ale proszę panią, panno Marysiu, wyrzec się jakichkolwiek pośrednictw.
- MARYSIA               We własne siły pan tak ufa?
- JERZY                   Zawsze. – *(do siebie)* – Tym razem i siły i ufność odłożmy na bok.



## SCENA 16

*Wchodzą: Stefan i Janek.*

- ZOSIA Dobrze, żeście przyszli – Pan Jurek już chciał wyjeżdżać.
- JANEK Dlaczego?
- MARYSIA Nieprawda, bo wcale nie chce wyjeżdżać.
- JANEK Nic teraz nie rozumiem.
- ZOSIA Zaraz ci wytłumaczę...
- JANEK A wy, plotkarki niepoprawne!
- ZUZIA Jakie plotkarki???
- JANEK Takie zwyczajne, co mają język aż do pasa.
- ZUZIA i ZOSIA Cooo? A ty jesteś...
- ZOSIA *(sama)* ...wstrętny karaluch...
- JANEK Coś ty powiedziała???
- JANEK Ja ci zaraz pokażę! *(zaczynają się gonić – Zosia, Zuzia i Janek)*
- MARYSIA *(do siebie)* Ja już nie chcę mieszać się do niczego, choć szkoda mi ich obojga. *(przylączy się do wesolej grupy)*
- STEFAN Co tu się stało?
- JERZY Nie warto mówić.
- STEFAN Zerwałeś może?
- JERZY Ja nie zerwałem, ale wyszło na jedno z zerwaniem. Ach, jak te dziewczęta dziś rozumują?...
- STEFAN Zauważyłem to samo. *(po chwili)* Dobrze się stało, żeś zakończył tę zabawę. Nie bierz sobie tego do serca, ale ona ciebie ... nie jest warta.
- JERZY Ona mnie nie jest warta? Cóż więc ja jestem wart?
- STEFAN Jesteś wart więcej, niż byś sam sobie wziął.
- JERZY Mylisz się, jeśli uważasz, że jestem aniołem, czy czymś w tym rodzaju...
- STEFAN Co, na prawdę chciałeś wyjeżdżać?
- JERZY Chciałem, ale obiecałem Marysi zostać.
- STEFAN Szkoda, wyjechalibyśmy razem. Najlepiej, gdybyś o tym wszystkim zapomniał i oddzielił się od przeszłości.
- JERZY Masz rację. Czy to aby będzie takie łatwe?
- STEFAN Łatwe nie będzie, ale możliwe, jeśli nie będziesz takim fatalistą.

## SCENA 17

*Wchodzi Basia z Józefem Malczakiem pod rękę.*

BASIA *(przedstawia Józefa Dziewczętom i Jankowi)* Józek Malczak – moje koleżanki: Marysia, Zosia, Zuzia – Janek Gąsecki *(podchodzą do Jerzego i Stefana)* – Józek Malczak – pan Stefan Kalina, Jurek Karbiński.

JÓZEF Bardzo mi miło panów poznać.

JERZY i STEFAN Nam również.

BASIA Chodźmy do dziewczynek i Janka, połączmy się w jedno towarzystwo. Tu chłopcy, tam dziewczęta – razem będzie weselej. Prawda, Józiu?

JÓZEF A oczywiście. *(podchodzą, do grupy dziewcząt)*

STEFAN *(do Jerzego)* Jego brat wyleciał niedawno na jakiejś starej minie w Egipcie.

JERZY Słyszałem o tym wypadku. To był jego brat?

STEFAN Tak.

JERZY Bolesny wypadek. Gdy żołnierz umiera na froncie – śmierć jego ma jakiś wyższy sens: zginął za Sprawę. Ale tak zginąć – to straszne.

STEFAN Trudno – wypadek.

MARYSIA Słuchajcie dzieci: zabawmy się w coś!

ZOSIA Doskonale! Ale w co?

ZUZIA Potańczylibyśmy, lecz nie ma muzyki.

BASIA Dziś wieczorem, po kolacji, będziemy mieli patefon i płyty. Wyprosiłam od dyrektorki i zrobimy potańcówkę. A teraz zabawmy się w coś innego. Na przykład w „listonosza”.

ZUSIA Wspaniale!

MARYSIA Tylko czy panowie znają tę zabawę?

JÓZEF Ja nie znam.

STEFAN Ja też nie znam.

ZOSIA Ach, wy byście coś takiego znali!

ZUZIA Rzeczywiście, ci chłopcy nie znają żadnych ładnych zabaw...

STEFAN ...dla dzieci.

ZOSIA Dla jakich dzieci?!

ZUZIA A pan poważniejsze niby zna? Nawet tańczyć pan nie umie.

STEFAN Niestety. Jednak bez tego czuję się zupełnie dobrze.

MARYSIA Skoro pan taki odludek, to proszę choć z nas się nie śmiać. Zrozumiano?

STEFAN Ha, trudno! Musiano zrozumieć.

ZOSIA                   Basiu, powiedz, jak to się bawi.  
 BASIA                   Zuzia to lepiej robi.  
 MARYSIA               Zuziu, opowiedz!  
 ZUZIA                   Dobrze. A więc tak: jedna osoba wychodzi na chwilę z pokoju. Potem wraca i mówi: „przyniosłam list do pana ...Józka” – na przykład. Pan Józek musi powiedzieć w jakim kolorze chce go wykupić: czerwonym, zielonym czy białym. Jeśli pan Józek wybrał kolor czerwony – muszą się pocałować, jeśli zielony – musi powiedzieć jakiś komplement, a jak biały – podają sobie ręce. Ładna zabawa, prawda?

STEFAN               Rzeczywiście – piękna!  
 ZOSIA                   Pan znów zaczyna!  
 STEFAN               Ależ skąd. Mówię, że zabawa jest bardzo ładna.  
 ZOSIA                   *(grożąc palcem)* No, no, no!  
 MARYSIA               Jeszcze jeden warunek: chłopcy przynoszą listy tylko do dziewcząt i na odwrót.  
 BASIA                   To zrozumiałe.  
 ZUZIA                   A więc siadajmy i zaczynajmy zabawę.  
 ZOSIA                   Tylko kto pierwszy wyjdzie z pokoju?  
 JANEK                   Pierwszeństwo spada na osobę, która nas uświadomiła i wprowadziła w tajniki zabawy.  
 MARYSIA               Zuziu, jazda za drzwiami!  
 ZUZIA                   Niech więc będę pierwsza. *(Wychodzi przed scenę, wszyscy siadają na krzesłach i ławkach. Basia przez cały czas trzyma Józefa pod rękę i teraz, tuląc się do niego siada na ławce, sadowiąc go przy sobie).*

## SCENA 18

*Wchodzą Franek z Krysią i Felek z Karolką.*

ZUZIA                   Wspaniale! Mamy jeszcze czworo gości!  
 ZOSIA                   Ach, jak to dobrze. Będziemy bawili się jeszcze lepiej!  
 MARYSIA               Doskonale, żeście przyszli, moje dzieci. A już bałam się o ciebie, Krysiu...

KRYSIA               Przecież jestem pod opieką pana Franka.  
 FRANEK               Cóż złego mogło by się jej przydarzyć?  
 MARYSIA               Złego – nic. Obawiałam się, że będziemy mieli jeszcze jedną parę zakochanych. Widzę, że nie pomyliłam się...

KRYSIA               Marysiu...

- MARYSIA Czemu tak się spłoniłaś? Przecież być zakochanym to nic złego. Popatrz jaki pan Felek zakochany: A Karolka to już świata za nim nie widzi.
- KAROLKA Marysiu, ty tylko z Karolką nie zaczynaj! Bardzo cię proszę i ostrzegam. Bo zaraz możesz mesztem oberwać. Uważaj więc!
- JANEK Panna Karolka to niebezpieczna niewiasta.
- KAROLKA A co pan myśli, że ja żartuję?
- ZOSIA Karolciu, mesztem Janka w głowę: Czemu śmieje się z ciebie?
- KAROLKA Pewnie, że zaraz mesztem oberwie. Niech uważa!
- STEFAN A Felek porcje „mesztem” to chyba dostaje sto razy na dzień?
- KAROLKA Jak zasłuży. O, u mnie nie ma pardonu!
- FELEK *(do Jerzego)* Czy nie wspaniała ta moja Karolcia?
- JERZY Energiczna panienska.
- FELEK A pewnie – nie da sobie grać po nosie. A nie masz pojęcia jaka jest przy tym dobra. I jaka ładna, prawda? Sam możesz osądzić.
- JERZY Tak, prawda.
- FELEK Tak się w niej zakochałem, jak jeszcze nigdy.
- JERZY I pewnie masz zamiar z nią się ożenić?
- FELEK Ożenić się – jak mi Bóg miły – z zamkniętymi oczami!
- JERZY Pół roku temu miałeś się żenić z jakąś...
- FELEK Eh, tamto nie aktualne. Z Karolką to co innego. Z tą to się na prawdę ożenię.
- JERZY Niepoprawny jesteś. Ciągle się żenisz, a ożenić się nie możesz.
- MARYSIA Kochani, zaczynaliśmy zabawę w listonosza, a wy przyszłście i zabawa się przerwała. Proponuję więc teraz ją zacząć.
- ZOSIA Słusznie!
- KRYSIA Masz rację, Zosiu. Przeszkodziliśmy wam, więc dostosujemy się i będziemy bawili się razem.
- ZUZIA A więc siadajcie – ja wychodzę pierwsza. Tak jak postanowiono poprzednio *(wychodzi)*.
- BASIA *(do Józefa)* – Ach, jak ja jestem szczęśliwa, że się odnaleźliśmy! I że mam ciebie dzisiaj przy sobie!
- JÓZEF Ja też się cieszę. Tak dawno się nie widzieliśmy!
- BASIA Ile to już czasu? Cztery, tak, cztery lata!
- ZUZIA *(wchodzi)* – Przynoszę list do Janka.
- JANEK Doskonale! Wykupię w kolorze czerwonym! *(Wychodzą przed scenę, dokonują ceremonii)*.

- BASIA *(do Józefa)* – I dopiero teraz spotkaliśmy się. Nie poznałeś mnie pewnie? Cztery lata!
- JÓZEF Rzeczywiście, początkowo nie chciałem oczom wierzyć, że to ta sama Basia ze Złoczowa. Nic to dziwnego: wtedy byłaś małą dziewczynką.
- JANEK *(Zuzia uprzednio wróciła na miejsce)* – Mam list, mam list... dla Zosi.
- ZOSIA Tak? Dla mnie? – W kolorze białym. *(Wychodzą przed scenę, Zosia podaje rękę, lecz Janek ją obejmuje i całuje)* – Eh, Janek brzydki chłopiec! Nieładny! – *(Janek coś jej szepcze)*.
- BASIA *(do Józefa)* – Tak, zmieniłam się, ale kocham cię tak jak dawniej...
- JÓZEF Ty byłaś wtedy we mnie zakochana?!
- BASIA Ty tego wtedy nie wiedziałeś. Byłeś „starszy pan” i ledwie parzyłeś się na takie jak ja „smarkate”...
- JÓZEF Co ty mi teraz opowiadasz...
- BASIA Teraz za to kocham cię inaczej. Mocniej...
- FRANEK *(do Krysi)* Nie spodziewałem się, panno Krysiu, że będę się tu tak dobrze czuł.
- KRYZIA Na prawdę?
- FRANEK Tak, na prawdę! A to tylko dzięki pani.
- KRYZIA Panie Franku...
- FRANEK Kobieta jest radością w życiu mężczyzny, jest jego szczęściem, jego światłem. Ilekroć zabłyśnie – wesele wlewa się w duszę, wypełnia ją po brzegi, przelewa się, nie ma miary...
- ZOSIA *(i Janek jakiś czas coś szepotali sobie przed sceną)* – Wszystko jedno jesteś brzydki! Ach, idź już! *(Janek wraca na miejsce)*.
- FELEK *(do Karolki)* – Powiedz mi szczerze, najszczerzej jak umiesz: czy kochasz mnie tak gorąco, jak ja ciebie?
- KAROLKA O jej, dasz mi wreszcie spokój? Jak chcesz, to ci zaraz udowodnię moją miłość tak, jak najlepiej umiem: mesztem *(udaje, że zdejmuje bucik)*.
- MARYSIA Spokój dzieci, sza, bez kłótni!
- ZOSIA *(wchodzi)* – Przyniosłam liścik do pana Franka.
- FRANEK Do mnie? Ach, słusznie, przecież to jest taka zabawa. Wykupię za kolor zielony. *(do Krysi)* – Przepraszam, panno Krysiu, muszę wyjść – siła wyższa.
- KRYZIA Trudno, tego wymaga zabawa. *(Franek wychodzi z Zosią przed scenę)*.

- BASIA *(do Józefa)* – Kiedyś wrócimy do naszego Złoczowa i będziemy znów razem, tak blisko siebie...
- JÓZEF Tylko biednego Olka już nie będzie...
- BASIA Nie myśl o tym co najsmutniejsze. Tak samo czuję jak ty, lecz cóż można zrobić? Los odmienić?... Stało się...
- FRANEK *(do Zosi)* – Czarująco dziś pani wygląda.
- ZOSIA Szczera prawda, choć dzięki zabawie jest komplementem. *(Zosia wraca na miejsce)*.
- BASIA *(do Józefa)* – Cieszymy się więc dzisiaj sami sobą, gdyśmy sami zostali... *(obejmuje Józefa w pół, całuje go, spoglądając na Jerzego. – Do siebie)* Jurek musi być zazdrosny, wyobrażam sobie. A niech cierpi! Przełamie go!
- FRANEK *(wchodzi na scenę)* – Mam list wartościowy dla pani Krystyny.
- KRYZIA Zapłacę kolorem białym.
- FRANEK Tak tanio! Zapewniam, że jest więcej wart!
- KRYZIA Tyle ofiaruję, więcej nie mogę.
- FRANEK Trudno, muszę przyjąć co dają. *(Wychodzą przed scenę)*.
- JERZY *(do Stefana)* – Ta dziewczyna zakochała się w nim na prawdę. Jak on może tak robić? Wolno mu uwodzić stare czupiradła, ale dzieciom mógłby dać spokój.
- STEFAN Musimy powiedzieć jej prawdę. Lepiej zrzucić złudzenie wcześniej, niż by miało być za późno.
- JERZY Słusznie, musimy ją ostrzec.
- FRANEK Panno Krysiu, pani nie wie nawet, nie przypuszcza – ile światła dziś dla mnie zabłysło. Kocham panią. Od pierwszego wejrzenia kocham! Świat bym mógł oddać...
- KRYZIA Panie Franku, pan mnie przecież prawie nie zna...
- FRANEK Ależ znam doskonale! Mnie tych kilka godzin starczyło. Ach, pierwsze wejrzenie starczyło, by ulec czarowi miłości.
- KRYZIA Jakie to dziwne... Strasznie dziwne...
- FRANEK Może to było przeznaczenie?...
- KRYZIA Może to przeznaczenie...
- FRANEK Teraz szczęście nasze w naszych rękach.
- MARYSIA Ej, dzieci, czy tam, aby nie za długo?
- KRYZIA Wołają nas już. Niech pan już idzie...
- FRANEK Już idę, tylko... musi pani list wykupić w kolorze czerwonym...
- KRYZIA Czemu pan się tak targuje?

- FRANEK To będzie stało poza nawiasem niezbyt mądrej zabawy – okup uczucia. (*Krysią chwilę jeszcze się waha, lecz wreszcie ulega – całując się.*)
- KRYZIA Niech pan już idzie. My tu za długo zabawiliśmy. Co oni sobie pomysła...
- FRANEK Cóż oni nas obchodzą? Co nas teraz świat obchodzi? Nieprawda?...
- KRYZIA Och, niech pan idzie!
- FRANEK Przepraszam, już idę (*wraca na miejsce*).
- KRYZIA Jak ja muszę wyglądać? Jak się im pokażę?
- MARYSIA Krysiu, gdzieś się tam zgubiła?
- KRYZIA (*wchodzi*) – Przynoszę list...
- MARYSIA No, już tam pan Franek nie za kolor biały targował...
- KRYZIA Marysiu...
- MARYSIA No, powiedz lepiej, do kogo masz list?
- KRYZIA Mam list do... (*rozgląda się*) ... do pana Jurka.
- JERZY Pewnie smutną wiadomość przynosi?
- KRYZIA (*cichutko*) – Nie wiem jaką...
- JERZY Płacę białym kolorem. (*Wychodzą przed scenę*).
- BASIA (*do Józefa*) – Wiesz, że z Jurkiem miałam dziś się zaręczyć?
- JÓZEF Z tym podchorążym co teraz wyszedł?!
- BASIA Tak.
- JÓZEF Ty miałaś się zaręczyć?!?!
- BASIA Tak, przecież powiedziałam.
- JÓZEF Nic nie rozumiem...
- BASIA Co tu jest do nierozumienia?
- JÓZEF Dla czego więc teraz dopiero to mówisz?
- BASIA Bo te zaręczyny i tak już nie aktualne.
- JÓZEF Czemu nie aktualne? Teraz dopiero nie rozumiem...
- BASIA Nie pytaj lepiej. Tak już się złożyło...
- JÓZEF (*do siebie*) – Nie poznaję jej. Co ona zamyśla?...
- KRYZIA Czemu pan nie jest przy Basi? Co to się między wami stało?
- JERZY Ach, to nie ważne...
- KRYZIA A czemu Pan taki smutny?
- JERZY Bo dużo zła widzę dokoła.
- KRYZIA Zła dużo? – Świat taki radosny i piękny...
- JERZY Gdy Zła się nie zaznało. A Zło jest wokół i zrećcznie się ukrywa. Trzeba je znaleźć, za głowę wziąć i cisnąć o ziemię, aby siły

nie miało więcej się pozbierać. Wtedy dopiero świat pięknym być może.

KRYSIA Co to ma znaczyć? Czemu pan tak mówi?

JERZY Powiem krócej: chcąc zaoszczędzić większego bólu, trzeba nieraz dobrowolnie mniejszy znieść.

KRYSIA Co to wszystko znaczy? Wciąż nie rozumiem.

JERZY To znaczy, że pani musi uważać, bo miłość chodzi różnymi drogami...

KRYSIA Czy pan chce powiedzieć...

JERZY ...chcę powiedzieć... muszę powiedzieć, że Franek jest już żonaty.

KRYSIA On żonaty? Niemożliwe...

JERZY Głowa do góry, panno Krysiu. Wiem, że prawdę trudno nieraz przyjąć... Zauważyłem jak wielkie wrażenie Franek robi na pani. Ba, aż za wielkie. I nie mogłem na to patrzeć, wiedząc o nim więcej. Proszę się nie gniewać – ja musiałem tak postąpić.

KRYSIA On takie słodkie słowa miał w ustach... Taka obłuda... To straszne! Pojąć trudno...*(po chwili)* – Ja panu ze szczerego serca dziękuję, panie Jurku.

JERZY A ja przepraszam... *(podchodzi Franek. Widząc Krysię dziwnie bladą, podbiega do niej i bierze ją za rękę).*

FRANEK Panno Krysiu, co się stało? Czemu pani tak pobladła?...

KRYSIA Ach nic. Tak mi się słabo zrobiło... Przepraszam, muszę wyjść... *(wychodzi).*

FRANEK Co jej się stało?

JERZY *(idąc w kierunku grupy)* – Siła prawdy.

FRANEK Tyś jej powiedział...

JERZY Tak, powiedziałem.

FRANEK Dlaczegoś to mi zrobił?...

JERZY Porozmawiamy o tym kiedy indziej, bo teraz *(do Basi, która objęła Józefa za szyję i mimo jego niechęci szybko pocałowała)* przynoszę list do panny Barbary.

BASIA Do mnie masz list?

JERZY A tak, mam.

BASIA Dobrze! Wykupię go... w kolorze... żółtym! A wiecie dziewczynki, co oznacza kolor żółty?

ZUZIA Zazdrość!



- BASIA Tak właśnie, zazdrość! (*spogląda w oczy Jerzemu. Przerażony tym spojrzeniem Jerzy blednie i uchyla się do tyłu.*)
- SŁUŻBOWA (*wchodzi*) – Pani nauczycielka prosi na kolację.
- MARYSIA Słuchajcie dzieci, idziemy na kolację.
- BASIA Skoro pani nauczycielka prosi, więc idziemy. (*do Józefa*) – Chodź Józiu, pójdziemy na kolację (*chce go wziąć pod rękę*).
- JÓZEF Pozwól, ale odejdę na chwilę.
- BASIA Dokąd?
- JÓZEF Zadajesz niedyskretne pytanie.
- BASIA Och, wobec tego idę sama. Ale żebyś prędko też przyszedł.
- JERZY (*na boku*) – Ten sam błysk widziałem w rubinowym oczku... Taki sam... Dziwny błysk oczu żywych, oczu strasznych... Głębia jakaś wielka a nikczemna... Teraz odkryłem tajemnicę rubinowego oczka... Pierwsza część snu sprawdziła się!
- JÓZEF (*po chwili wahania podchodzi do Jerzego*) – Panie podchorąży...
- JERZY Co takiego?
- JÓZEF Proszę na mnie się nie gniewać. Ja o niczym nie wiedziałem...
- JERZY (*uśmiecha się*) – Ja na pana wcale się nie gniewam. (*wyciąga do niego rękę*).
- JÓZEF Nie śmiem panu podać ręki...
- JERZY To nie pana wina.
- JÓZEF (*ujmując wyciągniętą dłoń*) – Przepraszam. (*odchodzi; Jerzy uśmiecha się gorzko; młodzież wyszła już ze świetlicy*).
- STEFAN (*podchodzi do Jerzego*) – Nie chciałem ci zmać chwilę, w której ostatecznie otrząsałeś się ze złudzeń. A teraz chodź na kolację i zachowuj się tak, jak gdyby nigdy nic nie zaszło. To będzie twoje zwycięstwo.
- JERZY Stefan, jesteś kochany chłopak!
- SŁUŻBOWA (*Jadzia – podbiega do nich*) – A dlaczego to panowie nie idą na kolację?
- STEFAN Właśnie idziemy, panno Jadziu.
- JADZIA Pan dziś taki przygnębiony, panie Jurku...
- JERZY Przygnębiony? Przeciwnie – bardzo szczęśliwy, bo przejrzałem na oczy!
- JADZIA To dobrze! Bałam się, że pan takie doświadczenie przyjmie gorzej. A – swoją drogą – nie przypuszczałam, że Baśka mogłaby tak postąpić!

JERZY

To nie jest nawet jej wina. Za wcześnie wypadła z pod opieki matczynej. To są uboczne skutki polskiego dramatu... Chodźmy na kolację, bo jeść mi się chce srodze! (*biorąc się za ręce, wychodzą*).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO

## AKT II

### Włochy, 1944

#### ODSŁONA 1

*Izba włoska. Kominek, stół, kilka ław, krzesła, skrzynie. Na stole naftowy „kopciuch”.*

#### SCENA 1

*Na skrzyni, na ławach i na ziemi – śpiący żołnierze.*

*Przy płonącym kominku, na krześle drzemie żołnierz z Thompsonem.*

*Drzwi się otwierają, wchodzi: por. Bielewicz, ppor. Jerzy Karbiński.*

POR. BIELEWICZ Skarbiak, wy tutaj?! Spicie?!

SKARBIK *(budzi się)* P...panie poruczniku, ja nie śpię, ja tylko se ksynkę psycupnąłem...

POR. BIELEWICZ Jeszcze śmiecie bezczelnie kłamać? Mielicie być na posterunku.

SKARBIK Pogrzać się psysłem troche. Desc taki leje aż strach...

POR. BIELEWICZ Deszcz leje! Kulesza, Stankiewicz, Gomółka, ci mogą marznąć, moknąć, a wy przyszlście się grzać! Trzeba tylko, żeby przez bęcwała jednego z drugim lichu jakie wlaźło nam na kark.

SKARBIK Dyc kto ta psyjdzie na taką chlupę. Psa by nie wygnał.

POR. BIELEWICZ Bez gadania! Wy, Skarbiak, zawsze byliście łajzą. Na posterunek! I żeby mi się to więcej nie powtórzyło!

SKARBIK *(wstaje, przewraca krzesło, koło drzwi potrąca z brzękiem stojące wiadro; por. Bielewicz spogląda za nim i potrząsa z politowaniem głową)* – Diabeł jaki to tu poustawiał, cy co? Na samej drodze, psiakrew! *(wychodzi)*.

POR. BIELEWICZ *(do Jerzego)* – Jak z kolacją, panie poruczniku?

JERZY Muły jeszcze nie przyszły.

POR. BIELEWICZ Z tymi mułami zawsze kłopot.

JERZY Droga ciężka.

POR. BIELEWICZ Ach, droga ciężka! Im zawsze coś przeszkadza. Jak nie urok, to coś innego! – Idę do dowódcy Baonu. Jak przyjdzie kolacja, pan dopilnuje wydania. Niech pan czuwa. Niedługo powinien wrócić patrol. *(wychodzi)*

## SCENA 2

*Jerzy siada przy kominku, wpatruje się w ogień, pogrąża się w myślach.  
Z góry, po drabinie, schodzi Stefan.*

STEFAN O czym tak dumasz, Jurek?

JERZY Eh, nic. Tak sobie patrzę w ogień... Spójrz i ty: widzisz jak te iskry igrają? Przylepione do płonącego pnia nagle się odrywają i pojedynczo płyną gdzieś w górę... Drogę jedną, jedną, a wąską, mają... Odrywają się i lecą... Daleko lecieć by chciały..., lecz wszystkie gasną... (*ogląda się*) – Nasi chłopcy śpią mocno i spokojnie.

STEFAN Jutro rano natarcie...

JERZY Tak. Por. Bielewicz poszedł właśnie na odprawę do dowódcy Baonu.

STEFAN Zdaje się, że pójdę jako obserwator wysunięty...

JERZY Na pewno. Pójdziemy razem. (*po chwili*) – Ach, mam już szczerze dosyć tych wszystkich natarć. Jestem zmęczony tym życiem w ciągłym napięciu i niepokoju, w błocie i ziemi, na deszczu i wietrze. Wszystko obrzydło mi do cna...

STEFAN Wiesz, że nie rozumiem cię. Dotąd byłeś na linii pierwszy. Żadne natarcie nie odbyło się bez ciebie. Do walki paliłeś się jak panna do tańca. Skąd teraz takie zniechęcenie? Ja jestem niezmiernie zadowolony z jutrzejszej „roboty”. Dziś na to konto całą noc nie będę mógł spać. Aby tylko pogoda się poprawiła...

JERZY Wy, artylerzyści, myślicie, że nerwy są wielkością nieskończoną, czymś, co nigdy się nie wyczerpuje. Dla was natarcie lub patrol – to uciecha, to gratka co rzadko się trafia. Ale my, piechota, mamy tego dość. Prawda, że w potrzebie każdy da ze siebie wszystko. Ale nerwy, mówię ci – nerwy nie wytrzymają...

STEFAN Dajże spokój. Zdaje mi się, że przesadzasz.

JERZY Przesadzam? Obecne życie, w połączeniu ze świadomością naszej rzeczywistości, jest okropne.

STEFAN Jesteś pesymistą.

JERZY Może i jestem. Ale popatrz tylko: październik się zaczął, powstanie w Warszawie nie ma już żadnych szans, żadnych nadziei na wytrwanie i zwycięstwo. Bolszewicy sobie drwią. Pomocy umyślnie nie dają. Chcą, aby to gorejące ognisko

polskości padło raz na zawsze. Wiedzą, że Warszawianie zerwą się kiedyś przeciw nim tak, jak teraz zerwali się przeciwko Niemcom. Jakże przejrzysta gra! Gra w której cel uświęca środki. A celem jest narzucenie narodowi polskiemu zniemwidzonego systemu. Systemu, w którym człowiek nie ma prawa być człowiekiem. Musi stać się bydłem... Albo zginąć w walce o swoje człowieczeństwo... *(po chwili)* – A do zagrabienia połowy naszego kraju dążą całkiem już otwarcie. Wilno, Lwów – rdzennie polskie ziemie muszą być i c h! Ich, bo to warunkuje bezpieczeństwo i żywotność ich państwa. Dobrzy są! Jakie więc są warunki bezpieczeństwa i żywotności naszego państwa? Naszej niepodległości? Wychodząc z założeń podobnych do bolszewickich powinno ono wspierać się o Dniepr i sięgać po Smoleńsk. A żądania te byłyby z pewnością słuszniejsze od sowieckich, bo te ziemie były częścią zjednoczonego państwa polsko-litewskiego. Zostały zabrane przemocą dopiero w czasie rozbiorów. W czasie, kiedy przemoc sąsiadów połączyła się z upadkiem rozumu politycznego szlachty i zwała potężne państwo Jagiellonów i Batorego.

STEFAN Błędy szkoły krakowskiej! Szlachta została „obdrażowiona” przesadnie. Błędów tych nie powinieneś popełniać.

JERZY Ach, to nie istotne. Obecnie ważniejsze jest jak Polska będzie mogła istnieć bez tego minimum posiadłości na wschodzie? A co stanie się z Polakami zamieszkałymi w tej części kraju? Znękani długą niewolą niemiecką wpadną w opiekuńcze łapy bolszewików. Znow tysiące niewinnych ludzi pognane zostaną na wschód, do Azji, na Syberię, Kamczatkę! Dzielić będą los wywiezionych wcześniej, tych, których nie udało się naszemu dowódcy wyciągnąć z więzienia narodów.

STEFAN Ciekaw jestem, jak Anglia zareaguje na żądania i warunki sowieckie?

JERZY Nie łudzę się nadziejami.

STEFAN Przecież gwarantowali nasze granice...

JERZY Na Anglików liczyć nie możemy. Ani na nikogo obcego, podczas gdy sami nie jesteśmy też w stanie liczyć na własne siły. Jesteśmy uzależnieni od silnych sprzymierzeńców. Dramat narodu, który stale stoi wobec szekspirowskiego: „być, albo nie być”.

## SCENA 3

*Wchodzi zmoknięty i zmarznięty Janek.*

- JANEK                Jak się macie czciciele ognia.
- STEFAN              Bądź pozdrowiony królu lodów! (*witają się*)
- JERZY                Siadaj przy ogniu i osusz się trochę.
- JANEK                Skwapliwie to uczynię, bom zmókł i zmarzł jak nieszczęście. Dawajcie krzesło! (*siada przy kominku*) – Słyszeliście? Ten wariat Felek żeni się!
- STEFAN              Z kim?
- JANEK                Tym razem z Włoszką.
- JERZY                „Zeni się” chyba już nie pierwszy raz...
- STEFAN              A co z Karolką?
- JANEK                Karolką? Karolka już dawno nie aktualna.
- JERZY                Ta Włoszka też niedługo będzie aktualna.
- JANEK                Mówi, że tym razem rzecz jest poważna.
- STEFAN              A kiedy on mówił inaczej?
- JANEK                Bo on nie bawi się w „nieszczęśliwe” miłości jak ty. Ja wiedziałem, że Baśka cię puści, a ty tak się tym przejmujesz.
- STEFAN              A jak było z tym ostatnim listem?
- JERZY                (*speszony*) – Z ostatnim listem?... Co ty mówisz?... Wy też to wiecie?
- STEFAN              Ba, czego byśmy się od tych srok nie dowiedzieli! Powiedziała wtedy, że jesteś banalny.
- JANEK                I puściła cię.
- JERZY                Skończcie, bo...
- JANEK                Bo się zdenerwujesz. Teraz to ci nic nie pomoże.
- JERZY                Więc wyjdę.
- STEFAN              Masz go, obraził się...
- JERZY                Nie obraziłem się, lecz głupich żartów nie lubię.
- STEFAN              Nie gniewaj się, proszę...
- JERZY                Śmiejesz się i żartujesz, lecz strzeż się lepiej tego, co mnie duszę przeżarło. I uważaj, byś nie popadł sam w taki chaos odczuć, w jakim ja się znalazłem. (*wychodzi*)

## SCENA 4

- STEFAN              Nie przypuszczałem, że to go tak rozdrażni. Znając twoje zdolności do docinania nie powinienem był jego bólów wyciągać. Jednak to ja właśnie rozpocząłem tę głupią rozmowę.
- JANEK                I cóż takiego?

- STEFAN Niepotrzebnie wyrządziłem mu przykrość.
- JANEK *(machnąwszy niedbale ręką)* – O, wielka to rzecz! – *(po chwili)* – A tobie też nic nie brakuje. Jak Boga Kocham – świętoszek!
- STEFAN Ja świętoszek?
- JANEK Jasne, że świętoszek. Przesadzasz w swoich zasadach. A ja ci mówię, że nie warto. Lepiej korzystać z życia i czerpać z niego co się da.
- STEFAN Czerpać z niego co jest najlepsze i najpiękniejsze.
- JANEK Tak, – to co najlepsze. A najlepsze jest to, co radość daje.
- STEFAN Tak, to co radość daje. A największą radość daje szlachetne postępowanie.
- JANEK Co to jest szlachetne postępowanie?
- STEFAN Postępowanie zgodne z niewypaczonym sumieniem...
- JANEK Dajmy na to: asceza?
- STEFAN Asceza to raczej droga do uformowania sumienia.
- JANEK Droga, która łatwo staje się celem. Ascetom właśnie umartwianie ciała dawało zadowolenie.
- STEFAN Osiągali panowanie duszy nad ciałem i to było przyczyną ich radości.
- JANEK A ja ascezę zostawiam ascetom i wszelkiego rodzaju świętoszkom. Sam wolę wyznawać starą, a życiową zasadę „carpe diem”: bierz co twoje i ciesz się tym.
- STEFAN Zasada bezduszna, mogąca dać najwyżej namiastkę radości. Ja bym nie mógł żyć według niej.
- JANEK Ach, dlatego pewnie, że twoja „miłość” została w Warszawie...
- STEFAN A skąd ty o tym wiesz?
- JANEK Przecież sam kiedyś to powiedziałeś.
- STEFAN Możliwe, że powiedziałem. Tak więc choćby dlatego nie wolno mi trzymać się niesłusznych zasad.
- JANEK A czy to przeszkadza uciąć czasem jakiś niewinny romansik?
- STEFAN Cóż zrobić – ja mam inną mentalność... Co ona tam teraz musi przechodzić... Nasze boje, te „wielkie boje” nie dorównują naszym walcom w kraju. Tam, w Warszawie, walczą teraz o byt, o prawo do życia, o polskość. O wszystko, o wszystko muszą walczyć. Dlatego ludzie Kraju – to charaktery twarde, to stal hartowana w ogniu niewoli i walki. A nasze Hanki, Janiki czy Marysie trwają niezłomne i świadome tego, że one będą podstawą Nowej Polski! A my tu mamy stosować zasadę „carpe diem”...

- JANEK Tsss! Idealista! Chłopie, rozczarujesz się kiedyś tymi charakterami. A ty skąd masz taką pewność, że ta twoja tam Hanka, Haneczka, czy jak tam jej na imię, tak bardzo czeka na ciebie?
- STEFAN Nie mam powodu wątpić. Wierzę, że czeka na mnie i wiara w tej chwili mi wystarczy.
- JANEK Jesteś nie tylko świętoszek, ale i naiwniak.
- STEFAN Niech będzie – naiwniak. W twoim pojęciu wszystko co piękne – jest naiwne.
- JANEK Więc zrywasz całkiem z pojęciem „miłość”. Punkt, kropka, koniec, szlus i czekasz na rozkoszne połączenie z Haneczką, czy na ziemi, czy na niebie – rzecz drugorzędna. Nieprawda?...
- STEFAN Daj lepiej spokój. Wygadujesz coraz większe głupstwa.
- JANEK ... I zawsze będziesz takim wiernym, romantycznym kochankiem?
- STEFAN To jest moja rzecz.
- JANEK Niech żyje stoicka wierność! Ha! Ha! Ha!
- STEFAN Przestań z łaski twojej.
- JANEK Dlaczego mam przestać. Kiedy właśnie takie typy jak ty czy Jurek bawią mnie niesamowicie! Ha! Ha! Ha!
- STEFAN *(do siebie)* Idiota...
- JANEK Aż mi się humor poprawił!

## SCENA 5

- JERZY *(wchodzi)* – Widzę, że wam wesoło. – *(do żołnierzy)* – Wstawać chłopcy, kolacja przyszła. *(Żołnierze budzą się, wnoszą termosy, zaczynają jeść)* – *(do Stefana i Janka)* – Weźcie menażki. My też coś musimy zjeść.
- ŻOŁNIERZ *(do Strzelca Cegielki)* – Podnieście koniec końców, bo bałandy nie zostanie dla ciebie.
- CEGIEŁKA A co tu się dzieje?
- ŻOŁNIERZ Prospałbyś kolacju *(podaje mu menażkę)*.
- CEGIEŁKA *(jedząc w między czasie)* – Spać nie dają, panie, jeść każą... Takie czasy przyszli, że człowiek musi robić to, czego mu się akurat nie chce. Jak chce spać – kolacje, panie, dają. A jak jeść się chce – to bracie możesz iść spać. Ale czasy nastali! Nima to jak w domu było, panie. Żona śniadanko



do łóżka przyniosła, panie – a jakże. A łóżko było, panie, także jak się należy. Nie tak jak tu, co jak pies musisz leżeć. A w domu to było łóżko jak się patrzy, panie, na czterech nogach, mientkie, a jakże. To jak taki wieczór przyszed jak dzisiaj, to, panie, radio grało, żona tego... panie, prawda? ...tiu, tiu, tiu, ciepło było i muzyczka grała i żona zimna nie była. To były czasy, panie! A teraz to co? Płakać się chce, panie...

KPR. MARKIEWICZ Strzelec Cegiełka!

CEGIEŁKA *(staje na baczność)* – Na rozkaz!

KPR. MARKIEWICZ Wy, strzelec, idziecie zaraz na posterunek.

CEGIEŁKA Tak jest, panie kapral! *(do siebie)* Tego mi, panie, jeszcze brakowało... Taka pogoda, że psa by nie wygnał, a tu na posterunek każą iść. Ale czasy nastali!

KPR. MARKIEWICZ Co wy tam mamroczenie, Cegiełka?

CEGIEŁKA Tak jest, nic, panie kapral!

KPR. MARKIEWICZ No, no – wy sobie za dużo pozwalacie, Cegiełka!

CEGIEŁKA No, no, kapral! Tylko nie za dużo pozwalacie! Bo publika gotowa sobie pomyśleć, że byle pierwszy lepszy łapciuch między kapralami będzie mnom posadzkie floterował, czyli za gorszego jeszcze od siebie łapciucha trzymał. Ano, taraz kapral, na mojom komende: Baczność! Spoczniej! Baczność! Wyżej głowa! Przysiad. – Tak, kapral, zapiszta się tak w tej ciemnej łepetynie, że w tem piontem, w dzion-sło szarpanem roku wojny, nie bendzieta mnie, Hilarego Cegiełke, podmistrza brukarskiego z Warsiawy, za małoletniego rekruta trzymać. Tera jest armia demokratyczna. Wstańta, kapral i wyciongniyta te pocieszycielke strapionych, czyli tak zwany gonsiorek, z za szafy, bo byśta się w te głupie głowy nabili, żeśta podpadli u Cegiełki.

KPR. MARKIEWICZ No, Hilaruniu, nie gniewaj się. Przecież wiesz jak jest. No, już biorę gąsiorek.

CEGIEŁKA No, masz szczęście u mnie! *(popijają razem)* Ale ja mam iść na posterunek *(bierze karabin)*.

KPR. MARKIEWICZ Ano tak, Hilary. Innym razem popijemy sobie lepiej.

CEGIEŁKA No, serwus, stary! *(wychodzi)*.

## SCENA 6

*Wchodzi Skarbik, a po jakimś czasie pozostali zwolnieni z posterunku żołnierze.*

SKARBIK A jucha descysko sie zawzieno! Te na patrolu to sie w błocku potopiom. *(do Jerzego)* – Wie pan porucnik co? – Jak te psubraty kogós nie podstrzelili, to kiep jestem. Spandały tak grali, że aż strach! Ale oni zaraz wrócom, bo sie z daleka już cłapali.

JERZY Dobrze by było, gdyby już przyszli, kolację by zjedli i termosy z mułami można by było odesłać.

STEFAN Jakie zadanie miał ten patrol?

JERZY Sprawdzić siłę nieprzyjaciela w tych dwóch domkach, na które jutro pójdzie nasza kompania. Przy okazji mieli przejrzeć krzaki na wzgórzu, gdzie leżą zwłoki Szymka, jednego z moich strzelców. W tamtym tygodniu jeszcze, zaraz po natarciu, obsadziliśmy to wzgórze. Niemcy jednak obłożyli nas takim ogniem, że trzeba było się wycofać. Zostawiłem tylko dwóch ochotników, którzy mieli obserwować, czy Niemcy nie szykują przeciwnatarcia.

STEFAN A czy nie było można obserwować skąd inąd?

JERZY To był wówczas jedyny dostępny punkt. A obserwator musiał być. Niemcy rzeczywiście zrobili przeciwnatarcie. Ci dwaj w porę nas zaalarmowali, twój poprzednik zażądał ogień zaporowy, a myśmy byli w pogotowiu.

SKARBIK Ale starcył jem ten łogień z artylerii. Nawiali jak zmyte.

JERZY Tak, wycofali się, ale po naszym wzgórzu nie przestali łupić i postanowiłem tych dwóch także wycofać. Dowódca kompanii na to zezwolił jednak dopiero po obsadzeniu wzgórza sąsiedniego przez pluton Janka. A z tamtych dwóch wrócił tylko jeden i to dość ciężko ranny. Odtransportowaliśmy go do szpitala, a Szymek leży po dziś gdzieś w zaroślach. Na drugą noc na darmo go szukaliśmy. Za dnia nie można było się tam pokazać, bo zaraz okładali ogniem artylerii. Dziś mieli jeszcze raz przeszukać, ale przy tej siapaninie jest to zadaniem beznadziejnym. Jeśli weźmiemy te dwie chałupy na natępnym wzgórzu, wtedy dopiero będzie się można na naszym łatwiej poruszać i zwłoki Szymka odnaleźć.

STEFAN I bohaterowi urządzić należyty pogrzeb.

## SCENA 7

*Wchodzą żołnierze wracający z patrolu.*

- ŻOŁNIERZ I Niech diabli wezmą taką pogodę. Siąpi tak drobno a gęsto, że suchej nitki nie zostawia.
- JERZY Siądźcie chłopcy przy ogniu i zjedzcie kolację. A gdzie porucznik Wajs?
- ŻOŁNIERZ II Dostawszы ze spandała. Je teraz u dowódcy batalionu.
- JERZY Ciężko ranny?
- ŻOŁNIERZ III A nie tak ciężko. Miał kupę szczęścia, bo mógł całą serię dostać. Ale wszystkie kule świsnęły tylko tuż, tuż, a jedna tylko go zaczepiła w ramię. Chyba nawet kości nie naruszyła.
- ŻOŁNIERZ IV Na batalionowym punkcie opatrzą, odstawią do tyłu, a za tydzień albo dwa nasz porucznik będzie zdrow jak ryba.

## SCENA 8

*Wchodzą dwaj pozostali żołnierze z patrolu.*

- ZEFLIK *(niesie pod pachą ogromne zawiniątko)* – A niech zgadnom, co jo przyniósł?
- ŻOŁNIERZ I Zgadujcie, cośmy właśnie zdobyli?
- SKARBIK Gonsiorek wina...
- ZEFLIK Jakie tam wino! Onemu jeno ta pierońska bajura we łbie. Ano niech podziwujom! *(odkrywa)*
- STEFAN Akordeon!
- SKARBIK Harmoška!
- JERZY Skąd ją wzięłeś?
- ZEFLIK Pan porucznik to zaraz myśłom, że jo ukrod. Ale jo nie ukrod. Jo na Szwabach wzioł.
- JERZY Gdzie?
- ZEFLIK W ta chałupa, co to po boku stoi, tam ciut-ciut w lewo od naszyj góry, kaj Szymek leży. Wie pan porucznik?
- JERZY No wiem.
- ZEFLIK Tam my zdybali, jak pierony chcieli harmoške przeweksłować. Widzom nas, zostawujom harmoške a sami w nogi, pierona, prujom aż strach.
- ŻOŁNIERZ II Strzelili my za nimi, a wtedy szpandały na nas.
- ŻOŁNIERZ III Tam porucznika Wajsa trafiło.
- ZEFLIK A harmoške my przytragali!
- ŻOŁNIERZE Ano zagraj co Zeflik!

- ZEFLIK Niech zaczekajom trocha. Niech se Zeflik łapy zagrzeje i poje trocha (*rozciera ręce przy ogniu, kraje kawał chleba, bierze menażkę i zaczyna jeść*).
- SKARBIK (*nalewa mu szklankę wina i podaje*) – Tem sie lepiej zagzejes. Mas, łyknij se!
- ZEFLIK Fajny kumpel jezdeś! Zdróweczko, pierona!
- JERZY Ponalewajcie wszyscy sobie zupy do menażek, bo termosy trzeba odesłać.
- MULOWODNY, Cypryjczyk (*wchodzi, pokazuje palcem w kierunku podwórza*)  
Mula, mula! Piove! Mula volere via! Brrrr... Freddo!
- JERZY Scaldatevi poco (*do Skarbika*) – Nalej mu trochę wina.
- SKARBIK (*nalewa pełną szklankę i podaje Cypryjczykowi*) – Na mas! Bono wino! Napij se!
- MULOWODNY (*próbuje wino*) – Buono wino! Grazie! Buono compagna!
- JERZY (*do żołnierzy, którzy nie byli na patrolu*) – Wynieście termosy i załadujcie na muły. Niech chłopisko dłużej nie czeka (*wynoszą termosy*).
- SKARBIK Psia służba w takom pogodzie.
- JERZY Tak, ciężka służba.
- ZEFLIK No, dajta tera harmoška! (*zaczyna grać: „Raz późnym wieczorem”*).
- ŻOŁNIERZE (*śpiewają*) Raz późnym wieczorem, Pod dobrym humorem...  
JERZY (*przerywa*) – A co, Zeflik, pieronie, nie mógłbyś coś innego zagrać? Taka dziadowska piosenka!
- ZEFLIK Pan porucnik nie lubiom ta śpiewka, to co innego zagramy (*zaczyna grać: „Już karpacka idzie wiara”, a żołnierze podchwytyją i śpiewają*)  
Już karpacka idzie wiara  
Z piosenką na ustach w świat.  
Z okien błyszczący oczu para  
A buzia jak róży kwiat.  
Bacność! Z pośród mgieł i chmur,  
Z szumem orlich piór,  
Hej, z dalekich gór  
Pozdrowienia do stron ojczystych  
Niesie górali chór.  
Hej górale, hej juhasy,  
Tęsknota za serce rwie!  
Porzucili swe szałas

I piękne dziewczęta swe.

Bacność! Z pośród... itd.

*Śpiewają jeszcze kilka piosenek, a na końcu, kiedy wino zaczęło szumieć w głowach, Zeflik zaczyna grać «Góralu czy ci nie żal».*

JERZY *(przerywa)* – No, chłopcy, dość już tej zabawy. Musimy się wyśpać, bo jutro przed świtem musimy iść na podstawę wyjściową. I czeka nas natarcie i... trzeba wypocząć. *(Zeflik przerywa granie, żołnierze śpiewanie, tylko Skarbik zawodzi niemiłosiernie dalej)*

SKARBIK ... a góral na lasy spoziera  
i łyzy rękawem ociera.  
Góralu, czy ci nie żal...

## ODSŁONA 2

*Wzgórze podstawy wyjściowej. Słaby świt.*

### SCENA 1

*Żołnierze zajmują stanowiska w rowach wykopanych przy poprzednim natarciu.*

STEFAN *(do radiotów)* – Tu będziemy czekać aż ruszy piechota. Zamaskujcie stanowisko i za 10 minut *(spogląda na zegarek)*, tak – za 10 minut będzie sprawdzanie sieci. Nie zapomnijcie.

JERZY Dobrze, że choć deszcz ustał.

STEFAN Tak, całe szczęście!

JERZY Trupem śmierdzi, czy czujesz?

STEFAN Może twój Szynek tu gdzieś leży?...

JERZY Ach, napewno zwłoki Szymka zaczęły się już rozkładać. *(do żołnierzy)* – Tu gdzieś Szynek musi leżeć.

ŻOŁNIERZ II Z tych krzaków iście wonia...

JERZY Szukajmy go *(pochyleni przetrząsają zarośla)*.

ŻOŁNIERZ I Bardziej w lewo będzie.

JERZY Tam jest jakaś dziura...

ŻOŁNIERZ II Pewnikiem tamój będzie. Stamój najwięcej ciągnie...

ŻOŁNIERZ III Jest, panie poruczniku! *(Jerzy podbiega, wpatruje się w przysypiane ziemią zwłoki Szymka)*.

ŻOŁNIERZ IV Ale go z ziemią zmieszało... Nieborak w tę dziurę się schował i tu go przychyciło...

- JERZY Wyciągnijcie go zaraz... Nic dziwnego, że patrol go nie znalazły. (*Żołnierze wyciągają zwłoki i układają na ziemię; – do Stefana*) – Popatrz: ciało czarne w ziemię się jeszcze nie obróciło, a już jak ziemia wygląda... Opuchły trup, w błocie uszarżowany, czerep głowy potężny jakiś odłamek granatu odwalił... W mózg odkryty robaki się wżerają... Widzisz?
- STEFAN Widzę...
- JERZY To, co przed tym człowiekiem się zwało, jest padliną cuchnącą, pokarmem czerwi żarłocznych... Czy czujesz? – Bohater śmierdzi! Czujesz?...
- STEFAN Czuję...
- JERZY I czym jest człowiek? Czym są jego pojęcia o bohaterstwie, o wielkości, o geniuszu?... Sokrates, Arystoteles, Platon też cuchnęli po śmierci... I robactwo genialne mózgi wyżarło... (*nieśmiało*) – Myśl została...
- STEFAN (*z ironią*) – Tak, myśl została... (*po chwili*) – Wykopcie trochę dalej tymczasowy grób, ziemią przysypcie i zaznaczcie miejsce. Potem przyjdziemy i przeniesiemy zwłoki na cmentarz. (*Żołnierze odnoszą zwłoki na bok, aby wykonać polecenie; – do Stefana*) – Mam jedną prośbę do ciebie... Prośbę, którą... w razie czego... musisz wypełnić. (*Zdejmuje z szyi krzyżyk i daje Stefanowi*) – Wiesz gdzie mieszkałem w Warszawie. Kiedyś tam będziesz, ... pójdziesz i powiesz matce... Nie, nic nie powiesz, tylko dasz jej ten krzyżyk... Ja go nosiłem... Poświęcony na Grobie Chrystusowym... Masz... Weź go i... dobrze chowaj... Nie mów nic, proszę. Ja wiem, że to wszystko głupstwo, ale już koniec, Stefan. Nie wspominajmy więcej o tym.
- STEFAN Co tobie, Jurek?...
- JERZY Już nic. Możemy rozmawiać o czym innym. Wiesz, co mi się stale do głowy ciśnie?
- STEFAN Nie wiem, ale napewno coś dramatycznego.
- JERZY Dramatycznego! Coś tak dramatycznego, że jest na granicy jakiejś niepojętej komedii! Bo czym jest los Polaków i całej Polski? Dramatem, czy komedią?
- STEFAN Wojna jeszcze się nie skończyła...
- JERZY Straciłem wiarę w pomyślnie rozwiązanie naszej sprawy. Pamiętasz z pewnością styczniową mowę Churchila? Szliśmy właśnie na front, piękna to była wtedy dla nas zachęta.

STEFAN Wtedy mowa ta wielu przygnębiła, lecz w bojach przecież się okazało, że każdy szedł z jakąś dziwną, świętą niemal wiarą, która zwyciężała i... ostatecznie zwycięży!

## SCENA 2

*Wczółguje się Skarbik, dwie taśmy z pociskami na piersi, karabin w ręku, granaty przy pasie*

SKARBIK *(odpina manierkę, pociąga głęboko)* – Dobre winko! Trosecke dla odwagi!

STEFAN Ty się boisz, Skarbik?

SKARBIK Bać to ja sie nie boje. Ale z winkiem zawsze lżej na dusy.

JERZY *(kończąc myśl)* – I jeszcze teraz wszyscy mają tę samą wiarę. Lecz oby wiara ta nie została narażona na zbyt wielkie rozczarowania.

STEFAN Jesteś pod wrażeniem chwili. Koniunktura polityczna jest teraz taka, że wszystkie targi muszą iść niby to kosztem Polski. Nie bój się, Churchill jest nie lada politykiem. On na pewno rozumie intencje bolszewickie i prędzej on ich wyprowadzi w pole, niż oni jego.

SKARBIK Eh, Cercil jest wielgi polityk, ale dla swojego bzucha.

JERZY Tak, Churchill jest wielkim politykiem, ale – niestety – angielskim. Ich interesy nie pokrywają się z naszymi i nie wiadomo nawet, kiedy nas sprzedadzą.

SKARBIK Co oni majom nas spsedawać? Co my, bydło? A swoich renców to nie mamy?

STEFAN Słuchaj Skarbika! A te interesy nie są znów tak bardzo rozbieżne. Na pewno Anglii zależy więcej niż przypuszczasz na niepodległym, a silnym i przyjaznym państwie w tej części Europy.

JERZY Zależy, albo i nie zależy.

SKARBIK Jem kij na bolsewików potsebnny.

STEFAN Nic, tylko Skarbika słuchaj!

JERZY Skarbik to mądry chłop. Wiem ja o tym. Ale co dla naszego chłopca jasne, to niekoniecznie jest jasne dla alianckich polityków. Oni ze zwykłej słabości oddadzą nas Rosji sowieckiej, tak jak już przebąkiwał Churchill.

SKARBIK Niech spróbujom! Sami sie spsedadzom!

JERZY Niekoniecznie, kochany Skarbik. Nie przeszkadzaj lepiej!

SKARBIK *(do siebie)* – O ze tez! Jak mondre gadajom, to ty głupi chłopie nie pchaj gęby w koryto!

- JERZY                    Za wschodnie granice chcą dać wynagrodzenie na zachodzie. Dobre wyrównanie: nasze własne za nasze niegdyś własne. A do tego postawienie polskiego narodu w sytuacji, z którą Niemcy nigdy się nie pogodzą. Sytuacja szantażowa, tak na wszelki wypadek.
- STEFAN                 Sytuacja przejściowa, gra polityczna...
- JERZY                    Zawracanie głowy: sytuacja przejściowa! To takie chytre angielskie łatanie cudzych spodni uciętą z nich nogawką. Jak te spodnie będą mogły być noszone, to tego, który nie będzie musiał ich ubierać na co dzień, nie wiele obchodzi. Taką przeróbkę łatwo zrobić. Tak!... Rekompensata! A jaką rekompensatę dostanie Polska za krew przelaną, za wszystkie trudy i cierpienia, za łzy matek i płacz sierót, za ruiny i zgliszcza miast i wsi, za los tułaczy Polaków, za wszystkie krzywdy, jakich doznają czy to w okupowanym kraju, czy w obozach koncentracyjnych, czy na dalekiej zsyłce w nieprzemierzonej Azji?
- STEFAN                 Rekompensatą będzie wiara i nadzieja. Wiara, że istnieje sprawiedliwość. Nadzieja, że zwycięży rozsądek.
- JERZY                    Nie wierzę w sprawiedliwość i rozsądek ludzi. Wierzę jedynie, że istnieje Bóg, który wreszcie da siły narodowi, narodowi samemu, bez niczyjej pomocy, wywalczyć Polskę wielką i potężną, z którą każdy będzie musiał się liczyć i nikt nie będzie handlował jej poszczególnymi częściami, tak jak by były jego własnością. *(po chwili)* – Po cóż w takim razie przelewać krew na cudzej ziemi? Po co tracić żołnierzy i tak już nielicznych? Żołnierzy, którzy walczyć powinni raczej o swoją własną Ojczyznę, a nie o cudze interesy. Po co ginąć nie wiadomo dla jakiej idei?... To jest dramat narodu polskiego. Historia się powtarza... Niestety powtarza: Dąbrowski, Samosierra, książkę Józef Poniatowski, cała Napoleoniada... A teraz nowa Napoleoniada! Nowoczesna Napoleoniada!
- SKARBNIK             Pan ucony, panie poruczniku, a takie zecy gada! Z założonemi rencami mamy siedzieć? Grunt, żeby teraz Śwaba prać! Zeby jeno bić te swołocz! A psecie to jedno, cy tu, cy gdziesi indziej. Zeby nie ten Śwab, psia jego mama, tyleby nas te Włochy tu widzieli!
- STEFAN                 Brawo Skarbik! My musimy wykazać silnym sprzymierzeńcom maximum poświęcenia. Maximum wkładu do wspólnego



- zwycięstwa. W ten sposób będziemy ich sumieniem! Rozumiesz?
- JERZY Ty znów swoje! Sumieniem dzisiaj się handluje jak starą garderobą.
- STEFAN To nie prawda!
- JERZY Oby to nie było prawdą! Jeszcze się kiedyś przekonasz.
- SKARBİK Pan porucznik to krace jeno jak ten kruk! Pfuj! (*pociąga z manierki*).
- STEFAN Skończmy lepiej tę jałową rozmowę. (*do radiotów*) Hej, chłopaki, sprawdziliście łączność?
- RADIOTA I Tak jest, panie poruczniku.
- STEFAN Dobrze. Ogień artylerii zacnie się za 15 minut.
- JERZY (*w zamyśleniu*) – Jeszcze kiedyś się przekonasz... My tutaj ginimy,... lecz za darmo. Żebyście chociaż wy, którzy po zostanieie, uszanowali naszą daninę krwi... O wy, którzy włos na dwoje rozczepiacie, o wy, którzy komara z zupy cedzicie, a wielbłąda gładko przełykacie, wyniósłszy z pogromu całe szyje – czy poniesiecie przed narodem płomień jedności i zgody i wzajemnego poszanowania?
- STEFAN Już testament twój ułożyłeś. Odegnaj lepiej te myśli...
- RADIOTA II A może tak w brydzyka, panie poruczniku?
- RADIOTA I Ja karty mam...
- STEFAN Chodź, Jerzy! Zamiast tak truć się myślami, lepiej z nami zagraj!
- JERZY Weźcie sobie lepiej Skarbika na czwartego. Pisać, czytać wiele on tam nie umie, ale w bridge'a grać nauczył się niezłe.
- SKARBİK A bo co to za stuka?
- JERZY Widzisz, macie czwartego. A mnie zostawcie w spokoju. (*Podczas gdy tamci zaczynają grać, Jerzy wyciąga blok papieru i zaczyna pisać*).
- STEFAN (*nie przestając obserwować Jerzego*) – Co piszesz? Pewnie znów jakiś dramat składasz...
- JERZY Dramat piszę...
- Nic nie widzę, nic nie słyszę,  
Jeno ciągiem dramat piszę...  
Dramat piszę, dramat składam,  
Nic nie zmyślam, nic nie tworzę,  
Jeno myśli wypowiadam.  
I co czuję... Ach mój Boże,

W moim sercu co ja czuję,  
W mojej głowie co ja snuję...

(widzenie)

Ach, tam w dali  
Coś się pali...  
Coś tam płonie...  
Cisnę skronie,  
Wzrok wyteżam,  
Myśl wyteżam...  
Świat na stosie...  
Świat na stosie!  
Dziwny losie,  
Świat się pali, świat to płonie!  
Zło Wszelakie triumfy święci,  
Dobro Wszelkie drży na stronie,  
Drży na stronie bez pamięci...  
Myśl wyteżam, cisnę skronie...  
Zło Wszelakie się panoszy,  
Czy coś wyjdzie z tej pożogi?...  
Tak jak grzesznik drży z rozkoszy,  
Tak drży serce moje z trwogi...  
Głucho wszędzie,  
Straszno wszędzie,  
Co to będzie...  
Co to będzie?...  
Zło panuje, Zło na tronie,  
Dobro drętwe, jak bez duszy...  
Myśl wyteżam, cisnę skronie...  
Noc dokoła, deszczyk pruszy...  
Gwiazd na niebie kilka świeci...  
Jedne jaśniej, drugie słabiej,  
Jakby większych małe dzieci...  
Oczy tężę, myśli wabię...  
Gwiazdy większe ćmią te mniejsze –  
Czy są lepsze, czy silniejsze?  
Jedne z niebios upadają,  
Zabłykują jakieś inne...

.....

Kto tam tą zgrają?

Dobro dowodzi milczy – Dobro winne!

*(Zło Wszelakie ująwszy się za ręce, tańczy dokoła płonącego Globu. Dobro Wszelkie śpi w ciemnościach)*

- ZŁO WSZELAKIE Dalej razem, dalej w koło,  
Bawmy dzisiaj się wesoło,  
I za ręce schwyćmy wraz,  
Zatańczymy, póki czas.
- ZAKŁAMANIE Pójdź Obłudo, pójdź siostrzyco,  
Niech uścisnę twoje lico,  
Bom szalony dziś z radości,  
Aż do głębi, aż do kości.
- OBLUDA Jak twe sprawy, bracie, stoją?  
Gdzie wypchałeś tak kieszenie?
- ZAKŁAMANIE Spójrz, Obłudo, w kieszeń moją!  
Wszak nie lada jest to mienie!
- OBLUDA Skąd tak dużo, skąd tak wiele?  
Nadzwyczajne, niesłychane!
- ZAKŁAMANIE Te idee, mój aniele,  
Są powszechnie dobrze znane,  
Bo pomniejszych, ważnych mało,  
Mam ja jeszcze worek cały.  
Przez lat wiele się zbierało,  
Tak się wreszcie uskładały.
- OBLUDA Pójdź więc w tany, miły bracie,  
Wszak to dla nas są te święta,  
A więc dla mnie, a więc dla cię.  
Zło te czasy zapamięta!
- ZŁO WSZELAKIE Dalej razem, dalej w koło,  
Bawmy dzisiaj się wesoło  
I za ręce dzierzając wraz,  
Tańczmy dzisiaj, póki czas.
- PYCHA Małoduszność, chodź dziewczeczko,  
Twoich skarbów uchył wieczko,  
Bom słyszała, żeś zebrała  
Wielkie plony...
- MAŁODUSZNOŚĆ Czas szalony,  
Nadzwyczajny, urodzajny!  
Takie zbiory do tej pory

- Jeszcze mi się nie trafiły.  
 Ach doprawdy brak mi siły,  
 By udźwignąć mą szkatułkę.
- PYCHA A więc zanieś ją na półkę.  
 Moja też tam sobie leży.  
 Pełnusiénka, nie uwierzysz  
 Jakie kwiatki. Piękne kwiatki!  
 Posłyszałam dziś od matki,  
 Że okazów tak wspaniałych  
 Dawne Pychy nie widziały.
- MAŁODUSZNOŚĆ To zupełnie jest możliwe,  
 Wcale, wcale nie wątpliwe.
- PYCHA Byś wiedziała, moja mała,  
 Jakich ludzi pozyskałam,  
 To by oko ci zbiełało:  
 Wielkich wodzów jest niemało  
 W stałej ze mną konfidencji.  
 Bardzo wielu! Ba, co więcej,  
 Mam szalone znajomości  
 Pośród królów jegomości,  
 Pośród wielu dyktatorów,  
 Którzy często dla honoru  
 Krwi milionów nie żałują,  
 Palą, niszczą i mordują.
- MAŁODUSZNOŚĆ Sukces, sukces to nie lada!  
 Gratulacje tobie składam.
- PYCHA Chodź więc w tany, Mała Duszo,  
 Dziś tańcować wszyscy muszą.  
 Dziś radować się należy,  
 Bo dziś Dobro martwe leży.
- MAŁODUSZNOŚĆ Górą za to Zło Wszelakie!  
 Pójdźmy, Pycho, braci szlakiem  
 I za ręce schwyćmy wraz,  
 Zatańczymy, póki czas.
- ZŁO WSZELAKIE Dalej razem, dalej w koło,  
 Bawmy dzisiaj się wesoło,  
 Połączywszy ręce wraz,  
 Tańczmy, tańczmy, nasz dziś czas.

JERZY

Zbieram myśli, tęzę wzrok...  
Jakieś światło jaśni mrok...  
Jakiś dziwnie świeży wiew  
Płynie stamtąd, budzi krew.  
Jakaś postać dziwnie biała,  
A do tego naga cała...  
Któż to, ta kobieta cudna?  
Żywa, czyli mara złudna?  
Czemu ona naga cała,  
Czemu szaty nie przywdziała?  
Mimo tego w jej nagości  
Nie ma nawet źdźbła sprośności.  
Dumne czoło. któż to ona?  
Zadumana, zamyślona,  
Czemu milczy? Ciężkim stoi,  
Nie przemówi ani słowa,  
Czy się ust otworzyć boi?  
Czy też może jest niemowa?...  
Wiem, zgadują! Nie zgaduję,  
Nie przypuszczam i nie czuję,  
Jeno czytam na jej czole!  
Na jej czole PRAWDA pisze!  
Nie chcę wieszczy, czekać wolę...  
Wolę czekać, wnet zobaczę,  
Jaki tego będzie koniec.  
Zło Wszelakie hula, skacze,  
A świat gorze, a świat płonie!  
Oczy tęzę, myśli zbieram...  
Nowa karta się otwiera  
Historyji tej ponurej,  
Bo już oto Zło nadbiega  
I otacza PRAWDE sznurem  
Gęstym, zwartym. Czegoś czeka...  
O mój Boże, co to znaczy?  
Któż to ta kobieta stara,  
Co u PRAWDY stóp upadła?  
Dziwna moc w niej, dziwna wiara,  
Twarz szerniała i pobladła,

Wynędziała cała postać.  
 W ciężkiej chwili Ona jedna  
 Pragnie z PRAWDA, razem zostać.  
 Kto to ta kobieta stara?  
 Ach, już wiem, kto Ona!  
 W takiej chwili tylko Ona  
 Mogła na to się odważyć!  
 Zło gotowe do ataku,  
 Czeka widać tylko znaku...  
 Kto ma znak dać tamtej gadzi?  
 Polityka PRAWDEŻ zdradzi!  
 Polityka już wskazała!  
 Już opadła zgraja cała!  
 Wloką PRAWDEŻ na stracenie,  
 Wiodą PRAWDEŻ na spalenie.  
 A kobieta biedna, stara  
 Z PRAWDAŻ wiernie postępuje.  
 Dziwna moc w Niej, dziwna wiara  
 Na obliczu się maluje...  
 Już Zło sadza je na Globie,  
 Już w płomieniach stoją obie!  
 Dziwny losie, dziwny losie!  
 Świat na stosie, Świat na stosie,  
 A z nim PRAWDA!

A z nią POLSKA!

ZŁO WSZELAKIE Razem, razem, razem w koło,  
 Bawmy dzisiaj się wesoło  
 I za ręce dzierżąc wraz,  
 Tańczmy, tańczmy, póki czas.

*Wpada IRONIA z rozwianym włosiem i wybucha spazmatycznym śmiechem.  
 Wśród nieustającego Ha! Ha! Ha! IRONII – zapada CIEMNOŚĆ.*

JERZY Wiek dwudziesty, wiek szatański  
 Świat nikczemny dziś spowija,  
 Świat zgnuśniały, świat grubiański.  
 Wszelką cnotę chłonie ciemność,  
 Kłamstwo prawdę dziś zabija,  
 Złość ostaje i nikczemność.  
 Dziś rozumy biją serca,  
 Materializm zapanował –

- Iglę z jadem w dusze wwierca.  
 Minał z wiatrem ów romantyzm,  
 Co to niegdyś tak górował:  
 Zapanował obskurantyzm.
- GŁOS Z GÓRY    Duchu upadły, zmierzwiony z nicością,  
 Wyzwól się z więzów małości!  
 Nie za zbytciem goń, lecz brataj z wielkością.  
 Ocknij się i wynijdź z ciemności.  
 Wznieś się w wyżyny, gdzie wieszczce błędzili,  
 Kędy zapal tworzył cudy,  
 Kiedy na zamiary siły mierzyli,  
 Nie istniały żadne trudy.  
 Bo trud jest niczym, gdy wola motorem!  
 .....
- JERZY    Pędząc w wyżyny z szaleńczym uporem,  
 Porwij go, Duchu, ze sobą!  
 Spojrzałem raz w górę, gdzie białe obłoki  
 Płyną, a słońce je złoci promieniami.  
 Jakbym usłyszał głos z niebios wysokich  
 Co wołał: wzbijcie się tutaj, przyziemni!  
       Lecieć już chciałem,  
       Wokół spojrzałem  
       I sił mi zabrakło...
- GŁOS Z GÓRY    Módlcie się, nędzni, do Wszechmocnego,  
 Lecz nie o lepszą Go proście dolę  
 I nie o ziemskie dobra błagajcie,  
 Ale za głosem wieszca waszego  
 Do Pana waszego dzisiaj wołajcie,  
 Niech wam da jedno: niech dobrą da wolę!
- JERZY    Lecz my jesteśmy wieku synami  
 Ze zgnuśnialymi na wskroś duszami,  
 Nędzni i mali, sercem upadli.  
 Jacyż wrogowie siłę nam skradli?  
 Wielkości skrzydła któż nam odtrącił?  
 Czemu duch nasz w padołach wciąż błędzi?
- STEFAN    Wy, poeci dzisiejsi, zamiast podnosić ducha, walkę złu wy-  
 dać, roztkliwiacie się tylko, histeryzujecie. Bić słowem trze-  
 ba w schorzałe objawy, a nie nad gnuśnością się roztkliwiać.  
 Sił wam braknie?

- JERZY                   Ej, Stefan, Stefan, małoś jeszcze goryczy zaznać. Przyznaję ci w gruncie rzeczy rację... Może mnie jednak kiedyś zrozumiesz... Widzisz, starszy jestem trochę od ciebie i to... czasami wystarcza. Nie życzę ci wpaść w taki stan psychiczny, w jakim ja się znalazłem. Obawiam się jednak, że on ciebie z czasem także nawiedzi...
- STEFAN                Ciągle mi to przepowiadasz. Nie rozumiem cię dobrze.
- JERZY                Zrozumiesz kiedyś... *(po chwili)* – Poświęćmy lepiej kilka chwil Warszawie. Tam jest teraz WALKA! Te nasze natarcia – to zabawa. Tam jest zaparcie się siebie i prawdziwe bohaterstwo, które tym smutniejszy gotuje upadek.
- STEFAN                Tak, Warszawa jest bezsilna. Bolszewicy nie pomogą, a wysiłki ze strony aliantów udzielenia pomocy walczącym jedynie utrudniają.
- JERZY                Czytałeś kiedyś wiersz Powstańców Warszawskich?
- STEFAN                Tak. Mój radiota zna go nawet na pamięć,
- JERZY                Czy mógłby go powiedzieć?
- STEFAN                Wacek, zadeklamuj wiersz Powstańców!
- WACEK                Wiersz Powstańców Warszawskich? Dobrze! *(deklamuje)*  
 Tu na mogile leżą czapki na bakier,  
 Tu u nas nikt nie płacze w walczącej Warszawie.  
 Tu się Prusakom siada na kark okrakiem  
 I wroga gołą pięścią za gardło się dławi.  
 A wy tam wciąż śpiewacie, że „z kurzem krwi bratniej”  
 I że „z dymem pożarów” niszczy Warszawa,  
 A my tu nagą piersią na strzały armatnie  
 I z uśmiechem na wasz podziw i na wasze brawa.  
 Czemu w dalekich stronach śpiewacie w Londynie,  
 Gdy tu nadeszło wreszcie wyglądane święto?  
 Tu małe dzieci walczą, krew radośnie płynie,  
 U boku swoich chłopców walczą tu dziewczęta.  
 Tu bije serce Polski...
- JERZY                *(przerywa)* – Stefan, patrz! Patrz!...
- STEFAN                Co tobie?
- JERZY                Nie mów nic... Nie przeszkadzaj... – *(Widzenie: w głębi płonąca Warszawa; ulicą biegnie żołnierz-powstaniec; seria strzałów, żołnierz pada ranny)*
- WACEK                Ktoś strzela na przedpolu...
- JERZY                Tsss...



- POWSTANIEC      Warszawo... Warszawo moja...  
 Kurzawa... ciemno... oczy nie widzą...  
 Krew?... Boże, czemu tak straszno?  
 Ze wschodu śmiech szatański: tam szydzą,  
 Cieszą się...
- MYŚLI JEGO      Warszawo, padniesz!  
 Tak, padniesz prosto w nasze ramiona,  
 Bezsilna w szale wolności.  
 Padnie twój duch, na zawsze tu skona...
- POWSTANIEC      Precz... Precz!... Nam ducha wystarczy!  
 MYŚLI JEGO      Broni wam brak, tragiczni młodzieńcy.  
 Bracia pomocy nie dają,  
 Warszawę z ziemią zrównają Niemcy!
- POWSTANIEC      Precz! Ducha wystarczy za broń...  
 MYŚLI JEGO      Materia więcej jak duch stanowi.
- POWSTANIEC      Precz... Precz, daj skonać spokojnie...  
 MYŚLI JEGO      Świat urąga waszemu czynowi.
- POWSTANIEC      Kłamstwo!... Antoś... *(podbiega Antoś, brat jego)* ...  
 Antoś, weź broń... Ja konam... Tyś nie miał karabinu...  
 Walcz!... Ducha starczyć ci musi...
- MYŚLI JEGO      Giną synowie Warszawy... Giną...  
 POWSTANIEC      Warszawo! Warszawo... bywaj... *(umiera)*  
*(Antoś bierze karabin, ogląda go z radością, biegnie kilka kro-*  
*ków, lecz ugodzony zdradziecką kulą pada na ziemię i umiera,*  
*trzepocąc rękoma jak ptaszę. Nadchodzi Matka)*
- MATKA              Antoś syneczek  
 Uciekł ukradkiem.  
 Antoś, syneczku,  
 Wróć się do matki!  
 Ach, biednaż ja wdowa,  
 I chodzę i płaczę,  
 A siły już tracę –  
 Gdzież go odszukam?  
 Trzech synów ja miałam  
 I sama zostałam...  
 Gdzie Jurek najstarszy  
 Ach, nie wiem nieboga.  
 Pięć lat mnie ogarnia  
 Niepokój i trwoga,

Bo zbiry Jureczka  
 Z Ojczyzny porwali,  
 W więzieniu zamknęli,  
 Pożegnać nie dali.  
 Czy żyje Jureczek,  
 Najstarszy syneczek?...  
 JERZY           Matko, ja żyję i myślą jestem przy tobie!...  
 MATKA         A drugi mój synek  
                   Ma Andrzej na imię.  
                   Widziałam go wczoraj,  
                   Bo przyszedł z wieczora  
                   Andrzejek do matki,  
                   Buziaka mi złożył  
                   I odszedł syneczek.  
                   Opiece go bożej  
                   Oddałam nieboga,  
                   Bo broni Warszawy  
                   Andrzejek od wroga.  
                   A Antoś najmłodszy,  
                   Co w domu pozostał  
                   Syneczek najśłodszy,  
                   Ma latek dwanaście.  
                   Lecz w nocy ukradkiem  
                   Gdzieś uciekł syneczek.  
                   Wróć-że do matki,  
                   Dzieciątko ostatnie!  
                   Ach, biedna ja wdowa  
                   I chodzę i płaczę,  
                   A siły już tracę...  
                   Gdzież go odszukam?  
                   Trzech synów ja miałam  
                   I sama zostałam.

*(sposrzęga na ziemi Andrzeja, przykłęka, kładzie mu rękę na ramieniu)*

Andrzejek!... Andrzejku...  
 Wstań-że syneczku,  
 Chodź z matką, nieboże,  
 Bo tutaj na dworze  
 Spać tobie niedobrze.

*(potrząsa ramieniem, które opada bezwładnie)*

Andrzejek!... Andrzejku!...

Synek!... syneczku!...

*(upada na zwłoki, po chwili podnosi się do połowy i spogląda dokoła; spostrzega leżącego Antosia; wstaje, szybko podbiega, potrząsa martwym ciałem)*

Antoś!... Anteczku!...

Synku: – Syneczku!...

*(podnosi się, pozostając na kolanach, ręce wznosi ku niebu)*

O Boże na niebie,

Mam przekląć ja Ciebie

Za nieszczęść ogromy?

Bo znak to widomy,

Ze moc Twą potężną

Ku biednym obracasz.

Ach, Boże, ja bluźnię,

A gromu nie ześlesz

Na matkę przeklętą

Wśród matek na ziemi.

Gdyś Polka, mnie tworzył –

Nie drgnęła Twa ręka.

Nie drgnęła, gdyś złożył

Przekleństwo na głowie

Matki Polki...

JERZY                   Matko, to nie twoje słowa! To moja wyobraźnia!

MATKA                   *(upada na zwłoki Antosia, szlocha przez chwilę, po czym bierze jego ciało na ręce; w obłąkaniu)*

Chodź z matką, nieboże,

W łóžeczku położę,

Bo tutaj na dworze

Maleńkie nieboże

Przeziębic się może... *(widzenie znika)*

JERZY                   Boże wielki odpuść...

STEFAN                 Co tobie?

JERZY                   Widziałeś?

STEFAN                 Nic nie widziałem.

JERZY                   Nie widziałeś... Tyś tego widzieć nie mógł. *(Spogląda na zegarek)* – Za dwadzieścia minut rozpoczyna się natarcie. Za chwilę twoja artyleria zacznie przygotowanie ogniowe.

SKARBİK               Bez atu. Panie poruczniku, ja mówię: bez atu!

JERZY           Bez atu? Dobrze powiedział! Dwa bez atu! Cała gra – tam i tu – bez atu! (*Artyleria zaczyna strzelać*) – Muszę iść do mojego plutonu.

STEFAN       (*żartuje*) – Niech lew w ciebie wstąpi!

JERZY       Niech wstąpi...

## SCENA 3

STEFAN       (*do siebie*) – Z nim jest coraz gorzej...

RADIOTA I    Panie poruczniku, przeszliśmy na stały podsłuch.

STEFAN       Doskonałe. Nie ma zakłóceń.

RADIOTA I    Nie ma. Bardzo dobry odbiór.

RADIOTA II   (*Wacek*) – Czy pójdziemy razem z piechotą?

STEFAN       Najpierw muszą zająć te dwa domki na tamtym wzgórzu. Ile tam będzie? Może z pięćset metrów.

WACEK       Tak, mniej więcej. A potem pójdziemy do przodu?

STEFAN       Po wykurzeniu Niemców pójdziemy do przodu i będziemy posuwali się razem z piechotą.

## SCENA 4

JERZY       (*wchodzi, głosem zmienionym*) – Stefan...

STEFAN       Co z tobą się dzieje?

JERZY       Nie wiesz jeszcze nic...

STEFAN       Co się stało?

JERZY       Warszawa padła!

STEFAN       Padła? Skąd dostałeś wiadomość?

JERZY       Moi radiotelegrafisci zeszli z fali i usłyszeli.

STEFAN       Padła... To było do przewidzenia.

JERZY       Było do przewidzenia, lecz zawsze, gdzieś w głębi serca jakaś nadzieja się kołatała. A teraz stało się. Consummatum est...

STEFAN       Boże, czemuś nas stworzył Polakami... Żeby cierpieć?

JERZY       Tak, stworzeni jesteśmy, żeby cierpieć i być doświadczanymi. Lecz powinniśmy wytrwać... (*słychać grzmoty artylerii własnej, która rozpoczęła ogień przygotowawczy*)... a zwyciężymy!

STEFAN       Ty to mówisz?

JERZY       Tak, to ja mówię. Zwyciężymy, gdy siebie przezwyciężymy. – (*Woła podoficerów*) – Plutonowy Walczak, Kapral Śliwiński, Kapral Markiewicz!

- STEFAN *(do radiotów)* – Nasz ogień jest na celu U 371. Nie będzie trwał bardzo długo. Bądźcie na podsłuchu i meldujcie zdjęcie ognia z przedpola.
- RADIOCI Tak jest.
- JERZY *(do przybyłych podoficerów)* – Zadanie jest wam wszystkim wiadome. Na w szelki wypadek powtarzam: Plutonowy Walczak pochodzi ze strony lewej, Kapral Śliwiński idzie na ścianę frontową, Kapral Markiewicz wspiera ich swoimi kaemami i pozostaje w odwodzie aż do rozkazu.
- RADIOTA II Melduję zdjęcie ognia z przedpola.
- STEFAN Jerzy, możesz zacząć.
- JERZY Bywaj! *(Wraz z żołnierzami idzie do natarcia; rozwidnia się coraz bardziej. Wkrótce słychać ostrą strzelaninę na przedpolu).*

## SCENA 5

- STEFAN *(obserwuje nieustannie sytuację przez lornetkę)* – A jednak Niemcy umieją się bronić. Zdaje się, że tym razem nie pójdzie także gładko... Ale ten Skarbik rwie do przodu! Zacięta góralska krew... *(słysząc nawałę artylerii niemieckiej)* – Oho, kładą ogień zaporowy! – Chłopcy, schowajcie się! – *(Z lornetką w ręku nieustannie obserwuje)* – Co ten Jurek chce od Skarbika? Każe mu wracać? Wszyscy się wycofują?... Tam jacyś zabici czy ranni?...

## SCENA 6

- JERZY *(wraca)* – Stefan, nie da rady. Musisz im jeszcze przygrzać. Ja posłałem Skarbika po Piata. Przydałoby się lotnictwo na ich artylerię. Walczak ranny, dwóch strzelców zabitych.
- STEFAN *(do radiotów)* – Powtórzyc ogień na U371.
- RADIOTA I Powtórzyc U371. – *(wkrótce artyleria zaczyna strzelać).*
- JERZY *(obserwuje przez lornetkę)* – W „naszym domku” Niemcy mają główną siłę. Przynajmniej trzy szpandały. W prawym chyba tylko jeden... Pluton Janka tam został skierowany. Porucznik Bielewicz też z nimi.
- STEFAN Mój ogień zaraz się skończy. Mam go jeszcze podtrzymać?
- JERZY Czekaj, może nie będzie potrzeba. „Nasz” dom dostał?... Nie. Tylko prawy. Lewego pociski się jakby nie imaly. Mój Piat go wykończy!
- RADIOTA II Panie poruczniku, ogień wykonany!

STEFAN *(Artyleria własna przestaje strzelać)* – Jerzy, może teraz pójdzie lepiej.  
 JERZY Na pewno! Cześć! *(schodzi)*

## SCENA 7

STEFAN *(obserwuje przez lornetkę)* – Podciągnęli Piata... Co się stało z piacistą?... Ranny?... Może zabity?... Skarbik biegnie... I Jurek też. Skarbik łapie za Piata... Jurek widać sam chce strzelać... Skarbik nie chce mu oddać Piata... Ale zacięta bestia!... Coś mu gada... Gdzie Jerzy wlaź z tym Piatem?... Aha, jest! Skarbik podciąga amunicję... Strzelił! Chybił?... Tak! Znowu ładuje... Znowu chybił! Widać musi być zdenerwowany... Do trzech razy sztuka... Znow ładuje... Strzelił!... Trafił! Jest! Już ich mają! Teraz domek jest ich... Co jest z Jurkiem?... Skarbik, chłopie, ratuj go!... Podbiega Skarbik... Jurek każe mu odejść?... Co jest?... Skarbik chce go ratować, a ten wariat każe mu iść: Teraz też Markiewicz biegnie do niego... Obaj ze Skarbikiem biorą go... Umarł już?... Może tylko stracił przytomność? Niosą go!... Idą tu...

## SCENA 8

*Kapral Markiewicz i Skarbik wnoszą Jerzego.*

STEFAN *(podbiega)* – Ciężko ranny? Jurek! Jurek!  
 KPR. MARKIEWICZ Żeby ranny...  
 SKARBIK Już bez ducha nas porucnik... *(składają zwłoki na ziemię).*  
 KPR. MARKIEWICZ Skarbik chciał go ratować...  
 STEFAN Widziałem przez lornetkę...  
 SKARBIK Ja to chciałem sam stselać z tegój Piata. Ja to wiem jak sie z Piata stsela. Ale nie chciał mie dać! Potem wsyćko widzia-łek: raz nie trafił, drugi raz tez spudłował. Za tsecim mów,

ze jak nie trafi, to z granatami pódzie na te pseklente cha-  
łupe. Bo pan porucnik wiedzom, ze do Piata ino tsy štuki  
pocisków sie nosi. Ale trafił. Nie chybił. Jeno ze natencos  
Śwab psiajucha takōż stselił ze spandała. Ostotni roz, bo od  
Piata pana porucnika dostał w te samo chwile. Ale jak stse-  
lił, to go trafił i zabił, psiajucha. Jesce zył troske... Chciałek  
go zobaczyć, gdzie go trafił i opatsec, ale mi podeść nie doł.  
Taka to była štuka z nasego porucnika. Cosik tam jeno je-  
sce pisoł, swojom krwiom...

STEFAN Co ty mówisz? Na czym pisał?

SKARBIK Na jakimś papirku...

STEFAN A gdzie ten papierek?

SKARBIK Moze tam zostoł...

STEFAN *(dostrzega kartkę zaciśniętą w rękę Jerzego, wyciąga i czy-  
ta)* – „Tak, Basiu, życie jest banalne, ludzie są banalni i ich  
postępki są banalne...” *(do siebie)* – A wczoraj sobie z nie-  
go jeszcze podrwiwałem... Jurek! – *(Obejmuje zakrwawio-  
ne zwłoki)* – Czy ty masz jeszcze żal do mnie?... Jurek...

SKARBIK On juz nic nie powi...

STEFAN Dramat sobie ułożył... – *(wstaje, spogląda przez lornetkę  
na przedpole)* – To Niemcy jeszcze się bronią...

KPR. MARKIEWICZ Niedobitki tylko.

STEFAN Złóćcie zwłoki pok krzakami i wracajcie na swoje miejsce.

KPR. MARKIEWICZ Nie mamy dowódcy. Nie wiem jak to będzie... Poucznik  
Wajs został wczoraj ranny na patrolu...

STEFAN Prawda...

SKARBIK Panie porucniku, niech pan weźmie dziś komende! Diabłu  
za skóre polizujemy!

STEFAN Ja tak samorzutnie nie mogę.

SKARBIK Ejze tam! Jak Śwabów natłucem to i porucnik Bielewic  
bendzie rad. A cujem, co psiem krwiom pokazem!

STEFAN Skarbik, chłopie, żeby wszyscy tacy byli! Sam tu przecież  
nie zostanę. Pójdziemy razem! Wleziemy diabłu za skó-  
rę! – *(do radiotów)* – Aparaty na plecy i idziemy! Naprzód!  
Czasu szkoda! *(Wychodzą wszyscy prócz Skarbika, który  
sam jeszcze chwile zostaje).*

## SCENA 9

SKARBIK

*(Przyklęka przy zwłokach, żegna się)* – Wieczne odpoczywanie daj mu, Panie Bożycku, a wiekuista światłość niechaj ta mu świeci na wieki wieków. Amen. *(po chwili)* – Złe se casem myślał ten nos porucznik. Ale chłopisko dobre to on był. A te swoje Warszawe to lubiał on jak zaden inny. – *(odpina granaty od boku Jerzego)* – To będzie od ciebie, mój poruczniku, dla tych Śwabów, psich synów! *(wstaje i wychodzi)*.

KONIEC AKTU DRUGIEGO



# AKT III

## Włochy, 1945

### ODSŁONA 1

*Zamożny pokój włoski.*

*Młoda dziewczyna, Włoszka, trzyma w ręku swój portret malowany przez Stefana.*

*Stawia go na stoliku, w oparciu o ścianę i przygląda się.*

### SCENA 1

- STEFAN *(wchodzi)* – Dzień dobry, Anno!
- ANNA-LUIZA Dzień dobry, Stefanie!
- STEFAN *(spoglądając na obraz)* Nie wiele już zostało do roboty. Dziś jeszcze portret powinien być skończony.
- ANNA-LUIZA Tyle pracy dla mnie poświęcasz. Dziękuję ci, Stefanie.
- STEFAN Malując uczę się, czyli że czas nie stracony. Zresztą robię to dla ciebie z przyjemnością.
- ANNA-LUIZA Naprawdę?...
- STEFAN Naprawdę. Polubiłem cię, Anno, jak siostrę rodzoną. Tym goręcej, że siostry nie mam. Ach, siostry! Ani siostry, ani brata, ani przyjaciela... Nikogo, nikogo nie mam. Sam, sam jestem na świecie. *(po chwili)* Tak, sam jestem... Anno Luizo, chciałbym malować dalej. Czy masz ochotę znów trochę posiedzieć?
- ANNA-LUIZA Pewnie że mam! Bardzo mi się podoba jak ty malujesz. Taki skupiony jesteś, jakbyś o wszystkim innym zapomniał...
- STEFAN To prawda, jak maluję, wtedy wszystko inne idzie gdzieś w zapomnienie.
- ANNA-LUIZA Rodzaj transu...
- STEFAN *(przygotowuje wszystko do malowania)* – Nie powiedziałbym: transu. Po prostu istota malarza tak skupia się na tej czynności, że nic innego w tym momencie nie jest ważne. *(zaczyna malować).*
- ANNA-LUIZA Ale przecież z tobą można rozmawiać kiedy malujesz...
- STEFAN Rozmowa mi tak bardzo nie przeszkadza, o ile nie wymaga specjalnej koncentracji.

- ANNA-LUIZA To jest ciekawe... Jak uważasz ten portret, jest on udany?
- STEFAN Udany? Powiem ci prawdę, że tego nie jestem sam w stanie ocenić. To znaczy... brak mi dystansu do oceny obiektywnej.
- ANNA-LUIZA To znaczy, że jesteś pozbawiony zdolności oceny swej własnej pracy?
- STEFAN Tego nie powiedziałem. Ale namalowane przeze mnie obrazy mogą poprawnie ocenić po upływie jakiegoś czasu. Osoby postronne mają spojrzenie krytyczne od razu.
- ANNA-LUIZA Rozumiem! Artysta jest tak zaabsorbowany swym dziełem, że choć jest z nim w jakiś sposób zjednoczony, a może właśnie dlatego – nie jest w stanie być krytykiem własnej pracy. Dopiero dystans czasowy to mu umożliwia.
- STEFAN Jesteś bystra dziewczyna, Anno Luizo! Ale nie ruszaj się jak mówisz, bo wyjdiesz niedobrze.
- ANNA-LUIZA Już siedzę cicho... *(po chwili)* Teraz było dobrze?
- STEFAN Bardzo dobrze. Za to możesz szybko spojrzeć...
- ANNA-LUIZA O, chętnie... *(Stefan wciąż maluje, Anna przekręcając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, stara się ocenić pracę Stefana).*
- STEFAN Usiądź znów, proszę.
- ANNA-LUIZA Już siadam! *(siada)* Mnie się bardzo podoba co namalowałeś, tylko może rzęsy zrobiłeś za małe. Popatrz, jakie mam duże... *(do siebie)* Kobięca dusza przemawia: rzęsy za małe! A że ucho nie na miejscu – to mało ważne.
- ANNA-LUIZA Co ty tam mruczysz pod nosem?
- STEFAN Tak sobie rozważam w moim języku o kobiecej próżności...
- ANNA-LUIZA Ach, nieznośny jesteś! Powiedziałam nieprawdę?
- STEFAN Przecież wiesz, że obraz jeszcze nie całkiem skończony?
- ANNA-LUIZA Takim tonem to mówisz, Stefan... Widzę, że mnie jednak nie zupełnie lubisz...
- STEFAN Nie bądź dziecinna.
- ANNA-LUIZA Och...
- STEFAN Czemu wzdychasz?
- ANNA-LUIZA Stefanie...
- STEFAN Słucham.
- ANNA-LUIZA ...Czemu jesteś taki nieznośny...
- STEFAN Ja, nieznośny? W takim razie przywiążę cię do krzesła, żebyś się nie ruszała. Zobaczysz jak będziesz wyglądała przy takim wierceniu się i ciągłym gadaniu.

- ANNA-LUIZA Ooo, już nie będę się ruszała! (*po nieco dłuższej chwili*) Stefanie, powiedz mi, czemu ty jesteś taki poważny, taki... powiedziałabym... smutny, że aż czasem się boję...
- STEFAN (*grożąc na żarty palcem*) Zaraz zrobisz się wesoły, a wtedy tobie będzie smutno!
- ANNA-LUIZA Ej, niemożliwy jesteś! Gburek!
- STEFAN Prawda niestety.
- ANNA-LUIZA W takim razie muszę cię wychować, poruczniku!
- STEFAN Tak po wojskowemu do mnie? Chcesz mnie może musztrować? To nie skończymy portretu!
- ANNA-LUIZA Najwyżej nie skończymy! Połóż pędzle i farby. Tak... dobrze. Teraz powstań, naprzód marsz! Koło mnie usiądź! O tak! A teraz słuchaj! Jesteś młody i powinienes żyć pełnią należnego ci życia, a nie być takim mrukiem...
- STEFAN Mało że gburkiem, teraz jeszcze mrukiem.
- ANNA-LUIZA Teraz żarty na bok. Rozumiem, że jesteś przygnębiony dołą twojej ojczyzny...
- STEFAN Ho, ho, ho, ale kazanie mi prawisz (*uśmiecha się*).
- ANNA-LUIZA Cicho bądź! Znam cię na tyle i wiem, co tobie najbardziej dolega. Nie masz powodu, nie masz nawet prawa truć swego własnego życia z tego powodu. Musisz odetchnąć, więcej z życia korzystać. Gdy będziesz miał prawdziwą radość życia, wtedy i do twych szlachetnych dążeń siły się zdwoją. Rozumiesz mnie?
- STEFAN (*poważnie*) Tak, rozumiem. Nawet bardzo dobrze, ale...
- ANNA-LUIZA Nie ma żadnego „ale”. Musisz mnie słuchać, a później sam będziesz zadowolony.
- STEFAN A więc bezwzględne posłuszeństwo?
- ANNA-LUIZA Tak, po wojskowemu!
- STEFAN Dobry dowódca byłby z ciebie. A więc rozkazuj!
- ANNA-LUIZA Pierwsze – lekcja tańca.
- STEFAN Nic z tego nie wyjdzie. Rytmu nie czuję.
- ANNA-LUIZA Wojskowy, co rytmu nie czuje! Maszerować cię uczyli, więc najpierw tango – to rytm prawie marszowy (*nastawia patefon*). Tańczysz tak (*pokazuje kroki*). Rytm na cztery czwarte. Teraz spróbuj ty.
- STEFAN (*próbuje kroku*) Tak?
- ANNA-LUIZA Ależ nie! Przyjrzyj się dobrze: raz, dwa, zmiana kierunku – trzy, cztery.
- STEFAN Teraz dobrze?

- ANNA-LUIZA Już lepiej! Tylko nie tak sztywno. Och, ruszasz się jak słoń.
- STEFAN Widzisz? Mówiłem ci, że z tego nic nie wyjdzie.
- ANNA-LUIZA Nie przeszkadzaj w lekcji. A teraz to samo z partnerką.
- STEFAN Z partnerką?
- ANNA-LUIZA W tym wypadku ze mną. A więc – prawą ręką obejmuje się partnerkę w pół. Tak! Trzyma się mocno, bo mężczyzna prowadzi kobietę w tańcu.
- STEFAN Czy tak?
- ANNA-LUIZA Ach nie! O tak! Przyciśnij partnerkę do piersi! Niepojętny z ciebie uczeń!
- STEFAN Widzisz!
- ANNA-LUIZA Teraz daj drugą rękę i zaczynamy razem, w takt muzyki. Raz, dwa, trzy, cztery... Już zmyliłeś krok! Nie patrz się pod nogi. Partnerce w oczy się spogląda. *(Stefan się uśmiecha)* Widzisz, już ci weselej, gburku nieznośny. Raz, dwa, trzy, cztery... Tak, dobrze, zmiana kierunku...
- STEFAN *(przystaje i przyciska Annę mocniej)* – Zmiana kierunku, Anno... *(chce ją pocałować)*
- ANNA-LUIZA Och, nieznośny jesteś! *(wrywa się z objęć)* Daj łapę, muszę cię ukarać! *(Stefan nadstawia rękę, a po wykonaniu kary chwyta Annę powtórnie w pół i znów próbuje pocałować; Anna wrywa się)* – Jesteś niepoprawny! *(Odchodzi trochę na bok)* – Ale... pierwsza lekcja się udała, kawalerze. Prawda? Brak ci słów? Możesz powiedzieć: dziękuję ci, Anno Luizo... *(wyłączą patefon)*... i dowidzenia! Do następnej lekcji *(kłania się z gracją i wychodzi; Stefan stoi oniemiały)*.

## SCENA 2

- STEFAN Szalona dziewczyna! Ależ mnie podeszła! Nie mogę zaprzeczyć: lekcja jej się udała. Uważaj, Stefanie, jesteś gotów w niej na prawdę się zakochać. *(podchodzi do obrazu i przygląda się)* – A bestia jest na prawdę ładna! *(bierze pędzel i poprawia szczegóły, po chwili wstaje)* – Ach, gdybym tak mógł kochać... Ale prawa nie mam...

*(Ukazują się: SZATAN i ANIOŁ)*

- SZATAN Nie możesz? Prawa nie masz? Dlaczego? Masz tu złotą kadź miłości – czerp z niej nektar boski! Czerp bez miary i upajaj się do syta! Skąp się cały, jeśli zechcesz. Wszak miłość nie hańbi, uczuciem jest wzniosłym!

- ANIOŁ Tylko nie dla ciebie...
- STEFAN Dlaczego nie dla mnie?
- ANIOŁ Haneczkę byś zawiódł, duszę byś spodlił.
- SZATAN Ha, ha, ha! Chcesz być świętoszkiem, głupi młodzieńcze? Wszak życie jest twoje, a pięknym będzie, gdy czerpać zeń zechcesz. Bierz co twoje, bo stracisz jeśli nie weźmiesz...
- ANIOŁ Nieprawda! Nic nie stracisz! Cnota jest szlachetnym kruszcem, który nigdy nie śniedzieje...
- SZATAN Cnota? Co za naiwne pojęcia! Kto dziś patrzy na stare przesady, nazwane cnotą? Cnota jest dziś występkiem najgorszym. Wydrwią cię koledzy, żeś jest... marnym nieużytkiem... Świętoszkiem!
- STEFAN Ja raczej głupcem jestem...
- SZATAN Pierwsze mądre słowo!
- STEFAN Byle czym przejmuję się. Tak, takich głupców dziś jest już mało...
- SZATAN ...albo nie ma ich już wcale! Nie bądź więc wyjątkiem, młodzieńcze: masz tu złotą kadź miłości – kąp się! Kąp się w niej do woli!
- ANIOŁ Myśl realnie!
- STEFAN Ach, realnie trzeba myśleć! Przecież kochać jest mi wolno. Dziewczyna mi się spodobała, a dzieckiem w końcu nie jestem. Mogę się nawet ożenić!
- ANIOŁ A o tamtej nie wspomnisz? Nikczemność przez ciebie przemawia...
- SZATAN ...głupota! Tyle lat minęło, ślubu nie złożyłeś, więc po co trujesz się przeszłością? Możesz słodycz pić zamiast żółci!
- STEFAN Daj mi czarę złotą, miłości pełną!
- SZATAN Zaczep pełnymi usty!
- ANIOŁ Uczucie niskie, w duszę godzące, rozum ci odbiera. Myśl realnie!
- SZATAN Nie słuchaj, nie rozważaj, bo słodycz w gorycz się zamieni!
- STEFAN Daj mi zatem kadź miłości pełną, niech się skąpię w niej po uszy!
- ANIOŁ Milcz, bluźnierco! Jeśli duszy nie chcesz zagubić, wyżej płaskich myśli spojrzuj! Myśl realnie! kimże jesteś, odmieńcze?
- STEFAN Jestem człowiekiem.
- ANIOŁ Jesteś Polakiem. I to w twoim człowieczeństwie stoi na przdzie!

- STEFAN Jestem Polakiem. Więc cóż z tego?
- ANIOŁ Ród polski zachować musisz. Mało was, a ty jeszcze twoją siekierę do pnia chcesz przyłożyć. Dzieci twoje mają być Polakami. Czy kobieta nie – Polka – na Polaków je wychowa? Mieszkańców zrodzi, którzy polskości się zaprą...
- STEFAN ...jak Piotr Chrystusa...
- SZATAN Zniż lot!!! Zniż lot...
- ANIOŁ Polce duszę ślubuj! Haneczka nią będzie, albo inna – to mniejsza, lecz pierwsze jej imię będzie: Polka! (*widzenie znika*)
- STEFAN (*siada, spogląda na obraz*) – Tak, Polka jej musi być na imię... Zgrzeszyłem... zapomniałem się na chwilę... Moja jedyna Haneczko, gdzie jesteś, co robisz? ... Biegnij myśli moja poprzez góry i rzeki, pola i łąki, spadnij gdzieś niejblisko, w jej myśli wwierć się i dwie myśli złączone w jedną, wróćcie do mnie jako tęskne pocieszenie...

## SCENA 3

*Wchodzi por. Zieleniecki, dowódca baterii oraz ppor. Sitowicz.*

- POR. ZIELENIECKI (*spogląda na obraz*) – Cóż to pan taki zamyślony, panie poruczniku? Widzę, że Anna Luiza działa na pana jak mocne wino. Znów znajduję pana w stanie takiego zamroczenia, w jakie potrafią wpadać tylko zakochani.
- STEFAN Mimo pozorów, przy pełni zmysłów, nie jestem zakochany w Annie Luizie.
- PPOR. SITOWICZ Nie wypierałbyś się chociaż. Można przeglądnąć twoje prace?
- STEFAN Nie bądź śmieszny i nie nazywaj tych bazgranin pracami. A jeśli już chcesz koniecznie te nędzne powijaki sztuki malarzkiej zobaczyć – proszę – są w tej teczce.
- POR. ZIELENIECKI (*bierze gazetę do ręki*) – Cóż, dzisiaj oficjalnie skończyła się wojna...
- STEFAN A tak, skończyła.
- POR. ZIELENIECKI Powinni więc w najkrótszym czasie rozwiązać 2 Korpus i nas rozpuścić.
- STEFAN Jak to powinni rozwiązać Korpus?
- POR. ZIELENIECKI Ileż można służyć w wojsku? Walczyliśmy? Walczyliśmy. Wypełniliśmy nasze zadanie? Wypełniliśmy. Powinni nas teraz zwolnić? Powinni. Logiczne.

- STEFAN                   Panie poruczniku, to pan tak mówi?
- POR. ZIELENIECKI    Co w tym jest złego?
- STEFAN                   Ależ nasze zadanie wcale nie zostało wypełnione. Nasza rola nie skończyła się. Nie możemy rozbiec się po świecie.
- POR. ZIELENIECKI    Nie możemy? Anglicy nas rozpędzą. A każdy z nas ma prawo myśleć o swojej własnej przyszłości. Tobruk, Libia, Monte Cassino, Ancona, Bologna – I am sorry – wystarczy.
- STEFAN                   Przecież nie ma pan porucznik zamiaru wracać do Polski w obecnym stanie?
- POR. ZIELENIECKI    Też!
- STEFAN                   Więc musimy wywalczyć Polskę taką, aby można było do niej wrócić i żyć spokojnie.
- POR. ZIELENIECKI    Żyć możemy spokojnie i teraz, gdziekolwiek: w Anglii, Ameryce, Australii, Nowej Zelandii, Kanadzie, a chociażby i we Włoszech. Co za różnica?
- STEFAN                   Jakto co za różnica? Panie poruczniku!
- POR. ZIELENIECKI    I rzeczywiście – jest nawet różnica! Bo można ożenić się z cudzoziemką, zapomnieć, że jest się Polakiem i być pewnym, że dzieci będą miały spokojniejsze i szczęśliwsze życie. Co za różnica w narodowości? Żadna. Jak dzieci nie będą musiały być Polakami, to nie będą też musiały męczyć się na świecie, jak ich ojciec, dziad, pradziad, jak wszystkie pokolenia polskie od wielu, wielu lat. Niech pan lepiej poczęstuje nas papierosami.
- STEFAN                   Przepraszam, lecz nie mam. Oddałem jednemu z kanonierów.
- POR. ZIELENIECKI    O najbliższych powinien pan pamiętać. *(do por. Sitowicza) – Zapalimy wobec tego własne cygarka. (zapalają).*
- ŻOŁNIERZ               *(wchodzi) – Do pana porucznika Zielenieckiego telefon!*
- POR. ZIELENIECKI    Co takiego?
- ŻOŁNIERZ               Melduję: telefon do pana porucznika!
- POR. ZIELENIECKI    Co, telefon? Przecież godziny służbowe skończyły się. Ot dramat żołnierza: nie ma chwili spokoju! *(wychodzą: por. Zieleniecki i żołnierz).*

## SCENA 4

- STEFAN                   Wiesz, paradny jest ten Zieleniecki. I jak mają rozmawiać prości żołnierze, skoro ich dowódca tak myśli?
- PPOR. SITOWICZ       Ty jesteś specjalnie przewrażliwiony. On ma jednak wiele racji. My i tak nic nie poradzimy. Jesteśmy bezsilni. A przesadny patriotyzm nie popłaca. Nie ma sensu.
- STEFAN                   Ty też, widzę, nie lepszy.
- PPOR. SITOWICZ       Lepszy nie lepszy, lecz przecież to jest jasne jak słońce, że my teraz nic nie możemy zrobić...
- STEFAN                   Zdejmij ciemne okulary, a ujrzysz ile mamy do zrobienia.
- PPOR. SITOWICZ       Narazie nic. A pozostawanie w tej tak niezdrowej atmosferze, w niepewności jutra – przyniesie na pewno niezdrowe owoce. Powinniśmy tedy zdjąć mundury, a kiedy by przyszedł czas na dalszą walkę o nasze prawa, każdy by wrócił i walczył z nowym zapasem sił i energii.
- STEFAN                   Mylisz się.
- PPOR. SITOWICZ       Zdrowy rozsądek!
- STEFAN                   Zdrowy jak zdrowy, a rozumowanie o tyle słuszne, o ile ma dobre intencje. My na naszym stanowisku musimy wytrwać i nie możemy rozbijać się sami, gdy właśnie wróg najusilniej do tego dąży. Zresztą, czy sądzisz, że choćby połowa by się kiedyś znów zebrała?
- PPOR. SITOWICZ       Jestem przekonany.
- STEFAN                   Przekonanie za mało.

## SCENA 5

*Wchodzi Por. Zieleniecki.*

- POR. ZIELENIECKI     Proszę panów, mamy zaproszenie do kapitana Mielnickiego. Stanisław – wyprawia imieniny. Jedzie też nasz major. Musimy iść wszyscy trzej.
- STEFAN                   Ja nie pójdę.
- POR. ZIELENIECKI     Co znaczy: pan nie pójdzie?
- STEFAN                   Nie piję i nie mam ochoty na zabawę.
- POR. ZIELENIECKI     Co z pana za oficer! Nie pije pan, nie pali, nie używa, wesołego towarzystwa unika, do niczego się nie nadaje.
- PPOR. SITOWICZ       *(przerzywa)* – Bardzo dobre rzeczy masz już zrobione. *(do por. Zielenieckiego)* – Niech pan porucznik popatrzy. Doskonałe prace!
- POR. ZIELENIECKI     Ma on tam jakieś nagie kobiety?



- PPOR. SITOWICZ Jest jeden akt...
- POR. ZIELENIECKI A niech no pan pokaże! (*ppor. Sitowicz pokazuje*) – Aaa, to ja rozumiem! Panie Stefanie, pan takie rzeczy też maluje? A niech pan powie, co to za jedna?
- STEFAN Pewna włoszka.
- POR. ZIELENIECKI Pozowała panu?
- STEFAN Oczywiście. Pozowała, bo zapłaciłem.
- POR. ZIELENIECKI No tak, a co dalej...
- STEFAN Jaktó: co dalej? Widzi pan: namalowałem ją.
- POR. ZIELENIECKI Ba, to widzę. Nawet wcale dobrze pan to zrobił. I cóż, na tym koniec?
- STEFAN Cóż wreszcie pan porucznik sobie wyobraża?
- POR. ZIELENIECKI Już nic, panie. Młodyś pan jeszcze. Ale maleńki moralik: zgrzeszył pan, że pan nie zgrzeszył. Zapamiętaj pan to sobie! Jak pan wyrośnie ze swych lat, przyzna mi pan rację.
- STEFAN Panie poruczniku, ja bardzo pana przepraszam, ale dajmy spokój morałom.
- POR. ZIELENIECKI Już pana – widzę – nie wykształcę. Chodźmy więc po majora i pójdziemy do kapitana Mielnickiego.
- STEFAN Beze mnie.
- POR. ZIELENIECKI Chodźmy więc bez tego świętoszka.
- PPOR. SITOWICZ Niech mu już pan porucznik da spokój. Artystyczna dusza! Niech żyje pośród swych marzeń i ideałów, a my – twory przyziemne – idźmy gdzie kielichy dzwonią, a serca radość napełnia.

## SCENA 6

- MAJOR (*wchodzi*) – Dzień dobry panom!
- WSZYSCY (*powstają*) – Czołem, panie majorze!
- POR. ZIELENIECKI Mieliśmy właśnie iść po pana majora.
- MAJOR Mieliście iść, a w końcu ja po was przyszedłem.
- POR. ZIELENIECKI Panie poruczniku Sitowicz, niech pan każe Muszyńskiemu podjechać jego samochodem. (*ppor. Sitowicz wychodzi*)
- MAJOR (*do Stefana*) – Słyszałem, panie poruczniku Kalina, że chce pan iść na studia?
- STEFAN Tak jest, panie majorze. Cieszyłbym się, gdybym został odkomenderowany.
- MAJOR W takiej chwili chce pan uciekać z wojska? Mamy przecież wielkie zadania przed nami, a pan chce nas opuścić?

- Ja panu nie wróg, ale to nie jest w porządku! W takiej sytuacji myśleć o jakiejś nauce!
- PPOR. SITOWICZ (*wraca*) – Panie poruczniku, Muszyński za dużo wypił i nie może jechać.
- POR. ZIELENIECKI To niech Klimiak podjedzie swoim wozem.
- PPOR. SITOWICZ Kiedy w tej chwili tylko wóz Muszyńskiego jest „na chodzie”.
- PPOR. SITOWICZ Co jest do jasnej cholery? Z Muszyńskim porozmawiamy jutro, a na jego wóz niech siada Klimiak i zaraz tutaj podjeżdża!
- PPOR. SITOWICZ Tak jest! (*wychodzi*)
- MAJOR Coś tu u panów nie gra... Hm, hm... No, chodźmy już! (*wychodzą, Stefan zostaje*)

## SCENA 7

- STEFAN Boże, doprawdy można zwariować! Jakie wreszcie rozumowanie jest słuszne? Zieleniecki ze swoimi morałami i poglądami kosmopolitycznymi, Sitowicz ze zdrowym rozsądkiem i wreszcie major z najdziwniejszym podejściem do „wielkich zadań”. Teraz już nie dziwię się pesymizmowi Jurka. Był on nim przeżarty do cna, lecz słusznie obawiał się, czy my potrafimy uszanować ich daninę krwi. Czy w ogóle świat i ludzie byli warci stworzenia? (*po chwili*) Wszelki poryw, nawet najszlachetniejszy, może być zabity w załączku. Jak on to wyraził?... Aha, już wiem:
- Spojrzałem w górę, gdzie białe obłoki  
Płyną, a słońce je złoci promieniami.  
Jakbym usłyszał głos z niebios wysokich,  
Co wołał: wzbijcie się tutaj, przyziemni!  
Lecieć już chciałem,  
Wokół spojrzałem  
I sił mi zabrakło...
- Tak, sił może zabraknąć... I można dojść do takiego rozstroju nerwowego, w jakim znalazł się biedny Jerzy... I zginął ... Szczęśliwy!...

## SCENA 8

Słysząc hałas na zewnątrz i krzyki: „Gdzie porucznik Zieleniecki?”

Stefan podbiega do drzwi, które nagle otwierają się i mimo powstrzymywania przez dwóch żołnierzy,

wpada pijany Muszyński. W rękach trzyma dwa duże kamienie.

MUSZYNSKI Gdzie dowódca baterii? Gdzie porucznik Zieleniecki?!

STEFAN Co się stało?

MUSZYNSKI Gdzie jest porucznik Zieleniecki?

STEFAN Co z Muszyńskim się dzieje?

MUSZYNSKI Ze mną nic się nie dzieje, ja tylko do dowódcy baterii przyszedłem!

STEFAN Dowódcy nie ma.

MUSZYNSKI A tak! Nie ma go! Moim wozem pojechał. Moim! *(rzuca kamień na podłogę)* Moim! *(rzuca drugi kamień, żołnierze podbiegają, chwytają go za ręce i ciągną w kierunku drzwi)*

ŻOŁNIERZ I Spił se i co teraz wyprawuje!

ŻOŁNIERZ II Czeka, zaraz cię uciszym!

STEFAN O co właściwie chodzi?

ŻOŁNIERZ I Jo nie wiem prawie. Ale pił pieron z inszymi w hauzie na przeciwko. Wychodzi i nimo, pierona, jego maszyna. To jak sie rzuci wedle ziemi i zacnie tłuc głowom, aże strach! Woło: kaj moja maszyna? Ja mu pedom, co pan porucznik Zieleniecki wzieni. Tak łon podniósł sie i zaraz do mieszkania wali. My go chcieli zastopować, ale bestyja pijano, pieron. Tak wlecił tu, panie poruczniku.

MUSZYNSKI Pan porucznik nie chce ze mną mówić? Jak obydwaj byliśmy za kanonierów, to było dobrze. A teraz: „pan porucznik”! No i nie chce z kanonierem gadać.

STEFAN *(do żołnierzy)* – Puśćcie go i idźcie. Ja sobie z nim już dam radę.

ŻOŁNIERZ I Ale łon bestyjo szalona!

STEFAN Nie bójcie się, idźcie. *(wychodzą)* – Muszyński, spokojnie!

MUSZYNSKI Co spokojnie, kiedy dowódca krzywdę mi zrobił?

STEFAN Jaką krzywdę ci zrobił?

MUSZYNSKI Jak to jaką? Zabrał mi mój wóz, mój rodzony wóz, co go czyszczę i pielęgnuję własnymi rękami.

STEFAN Musiał pojechać, a tyś się upił i nie mogłeś prowadzić wozu.

MUSZYNSKI Ja piłem, bo nie wiedziałem, że będę potrzebny. Ale ja i tak nie jestem pijany *(zatacza się)*.

- STEFAN A kto się przewraca?
- MUSZYNSKI To ja nie chciałem z nim jechać, ale żeby mi choć słówko powiedział, komplement mały – ja nic: zgadzam się, niech kto inny jedzie moim wozem. To mój wóz, ja go pilnuję, czyszczę, jeżdżę, dbam jak o własne dziecko, a tu mi dowódca taką przykrość robi. Żeby choć marny komplement powiedział – ja nic, zgadzam się, niech inny jedzie, bo ja pijany. Ale tak, że ja nic nie wiem gdzie mój wóz? Czy tak dobrze jest? Taką przykrość mi zrobił dowódca! Żeby choć jedno słówko, jakiś mały komplement... (*placze*) – Widzisz, Stefek, panie poruczniku... nie gniewaj się, że tak mówię, ale byliśmy obydwaj za kanonierów, ale teraz ja zostałem kanonierem, a ty, że z cenzusem – zostałeś oficerem...
- STEFAN Ależ mów mi po imieniu. Teraz jesteśmy kolegami tak samo jak dawniej.
- MUSZYNSKI Więc Stefek, widzisz, że porucznik mi zrobił taką przykrość. Dlaczego? Dlatego, że on dowódca, a ja prosty żołnierz? To on, porucznik, taki sam rzemieślnik jak i ja. Że on w wojskowym fachu, a ja w innym – to co? Może mi taką przykrość robić? Ja nie mam szkoły, jestem kanonierem, ale w moim fachu na swojej robocie też się znam. Ja jestem w wojsku i rozumiem dobrze, że musimy służyć, bo nas wrogi gnębią. Ale nic, my jeszcze wygramy o co stoim! Zobaczysz, Stefek! Tylko dlaczego dowódca baterii taką przykrość może mi zrobić?
- STEFAN Nie bierz tego tak do siebie. Porucznik Zieleniecki nie przypuszczał, że ci tym przykrość wyrządzi. Bawiłeś się z kolegami i nie chciał ci w zabawie przeszkadzać. Ot co!
- MUSZYNSKI Może być, ale wszystko jedno przykrość. Ale ty, Stefek, nie miej mi za złe, że taką awanturę zrobiłem, ale widzisz – tak mnie roztkliwiło... To przez wino...
- STEFAN To dlaczego tyle pijesz?
- MUSZYNSKI Piję, bo tak nas wykiwali: ten Czerczil i ten Ruzwelt, sobaki! Za naszą wierność, za naszą krew, co my dla nich przelali – za to nas Stalinowi sprzedali. I co teraz z nami? Do takiej Polski wracać? Za taką my się nie bili. Widzisz, Stefan, panie poruczniku, to mnie i upić się chce. Żeby o tem nie myśleć. To mnie teraz nie mniej za złe, że ja pijany, Stefek. Ja wiem, że ty mnie rozumiesz...

- STEFAN            Rozumiem cię i nie mam ci za złe. Najlepiej idź spać, a twojemu wozowi nic się nie stanie.
- MUSZYNSKI        To ty tylko nie gniewaj się na mnie. Ja najlepiej pójdę spać. *(podnosi rzucone kamienie i idzie do drzwi, staje na baczność)* – Przepraszam, panie poruczniku! *(zataczając się z lekka, wychodzi)*.

## SCENA 9

- STEFAN            Tak, to jest postępowanie oficerów! Za co oni mają żołnierzy? A ty, głupcze, marz, śnij o twoich ideałach!... *(po chwili)* Czemu ja taki osamotniony? Czemu miast radości, wszystko co przykre, smutne, a przecież prawdziwe, na mnie spada?... Bezmiar zła i głupoty ludzkiej – czemu mnie o rozmyślania gorzkie przyprawia?... Czemu nad tym do porządku dziennego przejść nie mogę?... Czemu mnie radość życia nie chce ogarnąć?...

## SCENA 10

*Cicho wchodzi ANNA-LUIZA.*

- STEFAN            Czemu mnie czucie zabija? *(po chwili)* – Ach, gdybym umiał mą duszę w tym stanie odmalować! *(bierze kawałek papieru i szerokimi pociągnięciami pędzla kładzie farby. Odstępuje na krok do tyłu i spogląda, po czym chce znów malować, lecz Anna-Luiza go powstrzymuje)*.
- ANNA-LUIZA        Stefanie...
- STEFAN            *(ocknąwszy się)* – Anno, ty tutaj?
- ANNA-LUIZA        Przyszłam, bo słyszałam tę awanturę i byłam niespokojna o ciebie...
- STEFAN            Zbytecznie...
- ANNA-LUIZA        A czemu masz taki dziwny wyraz twarzy?
- STEFAN            Ej, to nic. Głowa mnie trochę boli.
- ANNA-LUIZA        Coś gorszego musi ci dokuczać...
- STEFAN            Coś gorszego? Może coś gorszego...
- ANNA-LUIZA        Stefanie...
- STEFAN            Co takiego?
- ANNA-LUIZA        Stefanie, ty musisz się zmienić. Ty nie możesz tak dłużej żyć! To grozi przykrymi następstwami. *(po chwili)* Popatrz: mieszkanie mamy ładne. Prawda? Atmosferę i otoczenie znajdziesz

- u nas dobre. Wiesz, jak ceni i kocha cię moja matka. Przestań tylko myśleć nad tym, co cię do takich stanów doprowadza.
- STEFAN Czemu tak martwisz się o mnie? Jestem Polakiem i nigdy mnie nie zrozumiesz. Jestem tobie obcy ciałem i duszą...
- ANNA-LUIZA O, Stefanie! Dla mnie obcym nie jesteś. Żal mi ciebie, bo... bo cię... Kocham... (*płoni się i spuszcza oczy*) – Stefanie. (*Stefan uśmiecha się gorzko*) – Tak, to dziwne, że kobieta pierwsza miłość wyznaje, ale widzisz,... ty masz taki dziwny, jakiś niezwykły charakter... Stefanie, Kocham cię!
- STEFAN Tak, Kochasz mnie... Zgadłem to wcześniej. Tego niepodobna było nie widzieć i nie czuć. A czy ty wiesz, Anno-Luizo, że ja ciebie też Kocham? (*spogląda na nią dogłębnie*)
- ANNA-LUIZA Ty... mnie... też Kochasz?...
- STEFAN (*podbiega i chwyta ją gwałtownie w pól*) – Tak, Anno, ja cię Kocham. Kocham cię każdą cząsteczką mojego ciała, najgłębszą istotą mojej duszy. Kocham cię całą i każdą cząstkę twojej istoty. Kocham twoje oczy, czarne i głębokie. Kokieteryjne, a rozumne. Kocham twoje puszyste włosy, pąsowe usta, wszystko, wszystko Kocham! Kocham tak potężnie,... lecz...
- ANNA-LUIZA Lecz co?...
- STEFAN Lecz... (*przyciska ją jeszcze mocniej i chce pocałować. Oczy ich chwilę onieśmielają, lecz gdy Stefan już usta ku jej ustom zbliża, nagle gdzieś z kątów słychać głosy*).
- SZATAN Ha, ha, ha!...
- ANIOŁ Co ty czynisz? Co cię kusi?...
- STEFAN ... lecz mi nie wolno! (*puszcza ją z objęć*).
- ANNA-LUIZA Stefanie, czemuś znów tak pobałdł?... Co tobie?...
- STEFAN (*uśmiecha się gorzko*) – Nic już. Już mi dobrze...
- ANNA-LUIZA Nic nie rozumiem?...
- STEFAN Ty tego, Anno-Luizo, nigdy nie zrozumiesz. Dlatego... gdy odejdę stąd, nie wspominaj mnie nigdy źle... Ja nie mogę cię Kochać. Nie wolno mi! (*odchodzi na bok, chwilę później znów do niej podchodzi i łagodnie mówi*) – Nie wolno mi! Rozumiesz? Anno-Luizo, zrozum...
- ANNA-LUIZA Nie rozumiem cię, Stefanie. (*odchodzi na bok*) – Ja nigdy cię nie rozumiem, Stefanie. (*szlocha*) – Nigdy... nigdy...

## ODSŁONA 2

*Noc gwieździsta. Pod samotną pinią siedzi Stefan. W okół Głosy Duszy.*

- STEFAN Czym jest życie żołnierza?
- SZATAN Losu igraszką...
- ANIOŁ Trudem szlachetnym!
- SZATAN Zabawą w ciuciubabkę.
- ANIOŁ Walką o najświętsze ideały!
- STEFAN I cóż jest warte życie żołnierza?
- SZATAN Nic, bo jest złem...
- ANIOŁ O, wiele, bo jest walką ze złem!
- STEFAN Lecz najpewniejsze, że jest cierpień źródłem.
- SZATAN Gdyż je sam szukasz.
- ANIOŁ Bóg zsyła na ciebie doświadczenia – nie wyrzekaj jak Job bliżni.
- STEFAN Nie wyrzekam Bogu i nie żałuję niczego:  
nie żałuję wczesnej młodości wepchniętej w zaduch cel więziennych;  
nie żałuję poniżenia w bezdni ludzkiej nikczemności;  
nie żałuję bezmiaru cierpień moralnych i fizycznych;  
nie żałuję dni katorżnych, spędzonych w chłodzie, głodzie i znużeniu śmiertelnym w tajdze syberyjskiej;  
nie żałuję życia młodzieńczego, spowitego w mundur najcięższy z pośród mundurów żołnierskich;  
nie żałuję chwil, w których krok brakował do obłądu i nieświadomości ducha;  
nie żałuję niczego i pragnę tylko sił, aby zwyciężyć siebie do końca...
- Czemu więc nie mam spokoju?...
- SZATAN Bo na złą drogę poszedłeś. Zamiast odtrącać smutki – melancholię zbierałeś do serca. Serce twoje zamknąłeś dla uciech świata i życia.
- STEFAN Nie chciałem mieć serca. Zdawało mi się, że wszystko muszę uczynić, aby ono przestało czuć. Chciałem je zdusić w sobie, aby spokój osiągnąć... Przychodziły chwile, w których tęsknota do śmiertelnych ze mną stawała zapasów – musiałem zwyciężać. Codzienne pokusy życia otaczały mnie lasem płomieni – musiałem przedzierać się przez nie. Gdzież serce miałem schronić? Nie, chronić go nawet nie chciałem, bo by

się stało twoją pastwą. Z lubością patrzałem, jak na popiół się spala... Jednak czuć nie przestałem...

ANIOŁ Maluczki jesteś.

STEFAN Widzi się przecież tylu maluczkich dokoła! Tak maluczkich, że ja przy nich...

SZATAN ...olbrzymem wydać byś się mógł. A oni jednak są szczęśliwsi od ciebie!

ANIOŁ Tak nie jest, ty tylko tego zrozumieć nie potrafisz. Myśl realnie!

STEFAN Dobrze, będę realnie myślał, co wart jestem. W obec wiedzy ogólnej – czym ja jestem?

SZATAN Ignorantem!

STEFAN Co ze szkoły wyniosłem – niepamięć pochłonęła.

ANIOŁ Ta wiedza wątła była jak doczesne istnienie. Teraz życia szkołę wszechstronną masz za sobą.

STEFAN Ja pragnąłem się kształcić...

SZATAN ...i zostałeś... maturzystą!

STEFAN Tak, tak w kartotekach napisano.

ANIOŁ To są papiery. Własnym siłom ufaj, a myśl realnie.

STEFAN Słusznie, dalej myślę realnie. Wobec muzyki – czym ja jestem?

SZATAN Ignorantem!

STEFAN Tańczyć nigdy się nie nauczę, bo mi zadowolenia nie daje. A gdy jazz zagra – jak pies bym wył, w najgłuchszy kąt schować bym się chciał...

ANIOŁ Muzyka religijna, piękne symfonie są twoim pokarmem. Te słuchaj, one przynoszą radość i ukojenie.

SZATAN One cię do szału doprowadzają, bezceremonialnie potrącają duszę, niby makówką, aż wszystko ziarno z niej wyleci...

ANIOŁ Ziarno szatańskie...

SZATAN ...a zostaje jeno gorsza jeszcze gorycz poczucia własnej małości.

ANIOŁ Nieprawda: Przeżycia z muzyki wielkiej dobrze na ciebie wpływają. Myśl realnie!

STEFAN Prawda, dalej myślę realnie. Wobec literatury czym ja jestem?

SZATAN Ignorantem!

STEFAN Kiedy czytać mogłem – nie chciałem: byłem młody i głupi. Teraz, gdy czytać bym chciał, poznać przez innych myśli zdobyte – tak mało możliwości mam.

ANIOŁ Nie szukaj u innych myśli zbawiennych. Myśli własne we własnym sercu szukaj, własnym je sumieniem mierz i oceniał.



- SZATAN Sam więc pisać zacznij!
- STEFAN Gdybym mógł...
- SZATAN Dopomogę...
- ANIOŁ Odrzuć precz tę pomoc!
- SZATAN Jeśli chcesz, w epokę romantyzmu cię przeniosę...
- STEFAN Precz!
- SZATAN Nie gardź życzliwą usługą...
- STEFAN Nie chcę twoich usług!
- SZATAN Boisz się losu Ludwika Szpicnagła?...
- STEFAN Precz, kusicielu!...
- SZATAN Byłbyś mój, byłbyś mój! Ha, ha, ha!...
- ANIOŁ Nic jemu do ciebie, póki sumienie masz czyste i wiarę silną. Myśl realnie!
- STEFAN Ach tak, realnie rozumować miałem! Wobec sztuki – czym ja jestem?
- SZATAN Ignorantem!
- STEFAN Na dzieła wielkich mistrzów z rozdziawioną gębą się patrzę i udaję, że coś się znam. Abstrakcjonistów nie rozumiem...
- SZATAN A sam duszy obrazy chciałbyś malować...
- STEFAN W majakach tylko.
- SZATAN Które po wytrzeźwieniu głupotą się okazują. Maluj! Maluj, a będziesz mój!... mój...
- STEFAN Moje obrazy na ogół podobają się...
- SZATAN A ludzie, którym podobają się, są dla ciebie śmieszni...
- STEFAN Bo zachwycają się nędznymi powijakami sztuki.
- ANIOŁ Tym są cenniejsze, że sam je zdobywasz.
- STEFAN Lecz czemu sam muszę je zdobywać?
- SZATAN Bo szkoły są zamknięte dla ciebie...
- ANIOŁ Bo musisz trwać, jak cały twój naród trwa.
- STEFAN Tak! Tak musi być...
- SZATAN Nie musi, ale będzie! Ha, ha, ha! W nicość się zapadniesz, będziesz mój! Będziesz mój!
- STEFAN Precz!... Precz, szatanie!
- ANIOŁ Otuchy!... Wiara głębsza przyjdzie, zachowaj tylko duszę zdrową i żywą, sumienie czyste i wolę dobrą, a egotyzm odrzuć precz! Nie sam jesteś! Nie sam...
- STEFAN Więc co mam czynić? Mam innych prowadzić, gdy sam słaby jestem, a oni u brzegu otchłani są?

DUCH MICKIEWICZA (*ukazuje się*)

O ile powiększycie i polepszycie dusze wasze, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice wasze. (*znika*).

STEFAN

Czy mogę mieć nadzieję na możliwość poprawy?

DUCH SŁOWACKIEGO (*ukazuje się*)

Niech żywi nie tracą nadziei  
I przed narodem niosą oświaty kaganiec,  
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei  
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec. (*znika*).

STEFAN

Poezji mi!

DUCH KRASŃSKIEGO (*ukazuje się*)

Idź i czyn! (*znika*).

STEFAN

Ach, czyn! Czyn!... Jak czynić? Zła tyle. Piękne myśli – brak wskazania.

SZATAN

Czyn! Czyn! (*Stefan zrywa się i biegnie w ciemność*) – Czyn!... Czyn!...czyn!...czyn!...

### ODSŁONA 3

*Wnętrze kościoła. W nawie głównej stoją szeregi żołnierzy.*

*Na ambonę wchodzi ksiądz. Koło drzwi wejściowych – Stefan, wsparty o kolumnę.*

GŁOS

Czyn!...czyn!...czyn!...

GŁOSY Z ZEWNĄTRZ Wyjdźcie stamtąd, żołnierze! Tu rozkosze was czekają, tam nuda bezbrzeżna. Wyjdźcie i wróćcie do nas...

STEFAN

Rzesze szatanów na zewnątrz kościoła. Nieodłączni towarzysze upadłego żołnierza.

KSIĄDZ

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

ŻOŁNIERZE

Amen.

KSIĄDZ

(*pod nosem*) Na większą cześć i chwałę Pana Boga w Trójcy jedynego, na pożytek nasz zbawienny, czyta nam Kościół Święty, Matka nasza, ewangelię świętą przeznaczoną na niedzielę dzisiejszą, której jako słów Bożych z uszanowaniem stojąc posłuchajcie...

STEFAN

Ksiądz się nie wyspał.

KSIĄDZ

Onego czasu powiedział Jezus faryzeuszom tę przypowieść: pewien człowiek wyprawił wieczerzę wielką i wezwał wielu. I posłał sługę swego o godzinie wieczerzy, aby powiedział zaproszonym, żeby przyszli, bo już wszystko gotowe. I zaczęli wszyscy razem się wymawiać. Pierwszy rzekł mu: kupilem

wieś i muszę wyjść ją obejrzeć – proszę cię, miej mnie za wymówionego. A drugi rzekł: kupiłem pięć wołów i idę ich spróbować – proszę cię, miej mnie za wymówionego. A trzeci rzekł: żonę pojąłem, a przeto nie mogę przyjść. A wróciwszy sługa, powiedział to panu swemu. Tedy rozgniewał się gospodarz i rzekł słudze swemu: wyjdź prędko na ulice i uliczki miasta, a ubogich i ułomnych i ślepych i chromych wprowadź tu. I rzekł sługa: Panie, stało się, jak powiedziałaś, a jeszcze jest miejsce. Rzekł pan słudze: wyjdź na drogi, między opłotki, a przymuś wniknąć, aby był napełniony mój dom. A powiadam, że żaden z tych mężów, którzy byli zaproszeni, nie skosztują wieczerzy mojej.

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

ŻOŁNIERZE

Amen.

STEFAN

Bezmyślna ceremonia.

KSIĄDZ

Kochani bracia w Chrystusie. Jak pięknie nauczał Pan Jezus: aby łatwiej Go mogli słuchacze zrozumieć – mówił przez przypowieści. Mądrość bożą zamieniał w porównania odniesione do życia. W dzisiejszej ewangelii świętej przez przypowieść wyrzuca Pan Jezus niewiarę faryzeuszom i gani ich za obłudę. Zaproszeni na Ucztę Pańską wymawiają się i odmawiają pójścia na nią. Jeden mówi, że kupił wieś i musi wyjść ją obejrzeć. Drugi kupił pięć par wołów i chce je wypróbować. A trzeci żonę pojął i dlatego odmawia pójścia na Ucztę Pańską...

STEFAN

Mocy mi!

GŁOS

Masz, dajęć ją!

STEFAN

Precz stąd!

KSIĄDZ

Tak jest podobnie i z wami, drogie dzieci. Ucztę Pańską jest msza święta. Czy wy ochotnie na nią przychodzicie? Muszą wam wasi przełożeni nakazywać, bo niechętnie to czynicie. Wolelibyście pójść na przechadzkę z dziewczętami, niż przyjść do kościoła. Łacniej wam do szklanki wina zajrzeć, niż wstąpić do miejsca świętego...

STEFAN

Mądrze mówi ksiądz, lecz oni śpią!

GŁOS

Obudź ich i wygnaj z kościoła, bo nie tam ich miejsce.

STEFAN

Precz, zły duchu!

KSIĄDZ

Tak, kochani bracia w Chrystusie, patrzajcie, aby Pan się nie rozgniewał jako w dzisiejszej przypowieści i nie odmówił wam wejścia do Królestwa Niebieskiego.

- STEFAN                   Wszystko nic: oni śpią.  
SZATAN                   Zbudź ich, zbudź!  
STEFAN                   Precz, kusicielu!  
KSIĄDZ                   Za niedbałość waszą możecie nie skosztować Wieczerzy Pańskiej, na którą wszyscy chrześcijanie są pozwani.  
STEFAN                   Oni poganie. Siły mi! Czemu poetą nie jestem? Poezji mi!  
GŁOS                     Masz, dając ją!  
STEFAN                   Precz!  
KSIĄDZ                   Zastanówcie się, kochane dzieci, ile czynicie, aby zaspokoić wasze potrzeby doczesne, wasze zmysły, a nie zważacie, że po krótkim życiu jest śmierć, sąd i albo nagroda wieczna, albo potępienie: dbajcie o wasze dusze.  
STEFAN                   Gdzież ich dusze? Oni dusz już chyba nie mają!  
GŁOS                     Idź i czyn!  
STEFAN                   Poezji mi!  
GŁOS                     Masz, dając ją!  
STEFAN                   Precz szatanie! *(zatrząskuje uchylone drzwi kościoła i szybko idzie nawą boczną ku kazalnicy).*  
ANIOŁ  
KSIĄDZ                   Opanuj się: co czynisz?  
Rozważcie postępowanie wasze i baczcie, gdzie przyjdzie wam w dniu ostatecznym miejsce zająć. Patrzajcie, aby w owym dniu Bóg się nie rozgniewał i nie zawołał: idźcie precz, żaden z tych, którzy byli zaproszeni, nie skosztuje szczęścia wiecznego. Patrzajcie, aby Bóg nie uczynił z wami, jako z owymi, którzy...  
STEFAN                   *(wychodzi na kazalnicę)*  
Zejdź-że stąd, kapłanie,  
Powiem dzisiaj ja kazanie.  
Zejdź, boś słaby i niezdrowy może.  
Tam na dole nikt nie słucha!  
Są w kościele jak na dworze!  
Gorzej, bo ziewają, patrz – od ucha.  
Zejdź-że więc kapłanie,  
Niech tu laik dzisiaj stanie  
I wygłosi wszem kazanie.  
Ustąp, księżu miły,  
Bo skargowskiej brak ci siły.  
*(Ksiądz, jakby stracił mowę, odstępuje)*  
Wstąpiłem na miejsce wysokie,

By ogarnąć łatwiej okiem  
 To, co duszą przeniknąłem,  
 To, co myślą ogarnąłem,  
 Co Chrystusa na krzyż wkładło,  
 Co do waszych serc się wkradło.  
 Wstąpiłem na miejsce wysokie,  
 By ogarnąć wszystkich okiem,  
 By do głębi wstrząsnąć wami,  
 By wstrząsnąć wami, maluczcy i wielcy,  
 Wielcy i maluczcy w doczesności,  
 A w wieczności – nicość!

.....

Słyszę, ktoś szepce na dole:

On szalony! On szalony!...

Czuję żar na czole:

Jam szalony... Jam Szalony!

Bijcie dzwony, bijcie w dzwony!

I zamknijcie drzwi świątyni,

Bo szalony prawdę czyni.

Bijcie dzwony! Bijcie w dzwony,

Bo w kościele dziś z ambony

Prawdę powie wam szalony!

Co czynisz, szaleńcze?

ANIOŁ

STEFAN

*(klęka)* – Wielki Boże, jam bez szaty

Przyjść ośmielił się w to miejsce.

Jam bez szaty, jam bez święceń,

Grzech popełniam, grzech śmiertelny...

Moją duszę gubię przeto...

Cóż Ci, Boże, jedna dusza,

Gdy dusz tyle?...

Jeśli zechcesz, dobry Boże,

Mnie przebaczysz. Wszystko możesz.

Twoja dobroć – tak niezmierna,

Tak ogromna, miłosierna...

Twa wszechmocność – nieskończona,

Twa cierpliwość – niezgłębiona,

Twa potęga – nieprzebrana,

Twoja łaska – nieskalana...

Twoja dobroć... Przebacz, Boże,

Jeśli zechcesz – wszystko możesz.

.....  
 Wstrzymać dzwony! Wstrzymać dzwony!  
 Rozlać ciszę na wsze strony!  
 Zająć ławy, sięść dokoła...  
 Skupić myśli – Ducha wołam.  
 Wołam Ducha... Zabłąkany,  
 Z ciał wyzuty, z serc wygnany,  
 Odrzucany, zapomniany  
 Od lat tylu, przez lat tyle,  
 Powróć Duchu, zstąp na chwilę,  
 Napełń myśli, ożyw serca,  
 Które szatan już uśmierca.  
 Powróć, Duchu, zstąp na ziemię...  
 Powróć, Duchu, zbudź sumienie...  
 Powróć, Duchu, wskrześ kamienie...

.....  
 O waszym mówię sumieniu,  
 O waszym, którzy na dole  
 Stoicie w tępych zdumieniu  
 I macie: Nicość na czole!  
 Stępieli – w co wy wierzycie?  
 W zwierzęta was obraca  
 Swoboda i łatwe życie.  
 Ulegacie wpływom świata,  
 Który tak chłoniecie chciwie,  
 Który z waszych serc wymiata  
 Waszą wiarę... waszą polskość...

.....  
 Kto was tu przywiódł, zakłęci?  
 Z własnej przyszłości tu chęci?  
 W Bożej bywacie świątyni,  
 Bo wam każą tak czynić.  
 Myśl wasza winem przyćmiona  
 I jeszcze dotąd czujecie  
 Grzesznicy jakiejś ramiona!  
 Wy w kościele – znaczy: śmiecie!

- ANIOŁ Dość! Szatańska pycha cię uniosła! Innych chcesz naprawiać, a sam chaos masz w sobie! *(Stefan pada na kolana i kryje twarz w dłonie. W kościele zalega cisza. Żołnierze stoją jakby uśpieni snem budzenia się: z lekkim szelestem skrzydeł spływają i stają między nimi Anieli).*
- GŁOS *(z tłumu żołnierzy)* – Co to się dzieje? Coś jakosi tak bardziej swojsko...
- INNY GŁOS Tak cały czas nie było... Tak jakoś jasno się stało...
- INNY GŁOS ...radośnie w sercu!
- INNY GŁOS Nie tak jak tam, na zewnątrz, gdzie jeno wódka na pocieszenie została...
- INNY GŁOS Tam jakoś się tak różnim od ludzi...
- INNY GŁOS Tam jakoś tak obco się czuję...
- GŁOS ANIELSKI Zaprawdę powiadam wam: póki się obco czujecie, póty zdrowi jesteście i nie zamiera Polskość wasza.
- GŁOSY ANIELSKIE Kwiaty polne, kwiaty skromne ale piękne z zielników serc waszych wyjmijcie. – Barwne, ale obumarłe kwiaty – plewygnię, świata bezdusznego ochłapy walające się po waszych drogach – odrzucajcie.  
– W zwiędłe wasze kwiaty – ducha polskiego tchnijcie.  
– Strzeżcie się ludzi złych: ci z jednej strony pragną waszej zguby.  
– Tym z drugiej – obojętny zupełnie jest wasz los. Dla swojej korzyści czynić wam dobrze będą, które to dobro nie będzie dobrem prawdziwym, bo odciąga was od myśli waszej, od ziemi waszej.
- CHÓR ANIELSKI Drogą idźcie waszą i proście Boga o odrodzenie ducha waszego.
- LITANIA *(Prowadzi Chór Aniołów, odpowiada Chór Żołnierzy)*  
Kyrie eleison  
Chryste eleison  
Kyrie eleison  
Chryste usłysz nas  
Chryste wysłuchaj nas  
Ojcze z nieba – zmiłuj się nad nami  
Boże Synu – zmiłuj się nad nami  
Odkupicielu świata – zmiłuj się nad nami  
Boże Duchu Święty – zmiłuj się nad nami  
Boże Święta Trójco – zmiłuj się nad nami

jedyny Boże – zmiłuj się nad nami  
O odrodzenie Ducha – prosimy Cię, Panie.  
O wiarę prawdziwą – prosimy Cię, Panie.  
O wiarę mocną – prosimy Cię, Panie.  
O wolę dobrą – prosimy Cię, Panie.  
O wolę silną – prosimy Cię, Panie.  
O myśli czystość – prosimy Cię, Panie.  
O siłę w zwalczaniu pokus – prosimy Cię, Panie.  
O wstręt do grzechu – prosimy Cię, Panie.  
O poczucie obowiązku – prosimy Cię, Panie.  
O uczciwość wewnętrzną – prosimy Cię, Panie.  
O zdolność do poświęceń – prosimy Cię, Panie.  
O stałość poglądów – prosimy Cię, Panie.  
O jedność – prosimy Cię, Panie.  
O solidarność – prosimy Cię, Panie.  
O wyrozumiałość wzajemną – prosimy Cię, Panie.  
O miłość wzajemną – prosimy Cię, Panie.  
O miłość do pracy – prosimy Cię, Panie.  
O moc trwania – prosimy Cię, Panie.  
O tęsknotę ciągnącą do chat waszych – prosimy Cię, Panie.  
O tęsknotę za polskim ogniskiem domowym – prosimy Cię, Panie.  
O dar odróżniania prawości od nieprawości – prosimy Cię, Panie.  
O dar odróżniania prawdy od nieprawdy – prosimy Cię, Panie.  
O dar odróżniania sprawiedliwości od niesprawiedliwości – prosimy Cię, Panie.  
O przywódców szlachetnych – prosimy Cię, Panie.  
O przywódców rozumnych – prosimy Cię, Panie.  
O przywódców roztropnych – prosimy Cię, Panie.  
O przywódców świątobliwych – prosimy Cię, Panie.  
Od myśli obcej duchowi polskiemu – zachowaj nas, Panie.  
Od myśli zwątpienia – zachowaj nas, Panie.  
Od myśli grzesznych – zachowaj nas, Panie.  
Od nieczystości – zachowaj nas, Panie.  
Od nałogów – zachowaj nas, Panie.  
Od występków wszelakich – zachowaj nas, Panie.  
Laskę Twoją, prosimy Cię, Panie, racz wlać w serca nasze, abyśmy przez pracę nad sobą do chwały odrodzenia Ojczyzny doprowadzeni byli. Amen.



STEFAN Laskę Twoją, proszę Cię, o Panie, racz wlać w serce moje, abym przez pracę nade mną samym dołożył cegiełkę do dzieła zmartwychwstania i odrodzenia Polski. Amen.

**KONIEC**  
**ŻOŁNIERSKIEJ KOMEDII**  
 lecz  
**POCZĄTEK**  
**MISJI WYCHODŹSTWA NARODOWEGO**



Autoportret  
 Tadeusza Wojnar-  
 skiego, wykonany  
 15.12.1945 roku.

Wojna była skończona:  
 zwycięska dla jednych,  
 tragicznie przegrana dla innych.  
 Dla nas trwała ona jeszcze dalszych 45 lat.

Kto był świadomy przegranej,  
 do Polski nie wrócił.  
 Walczył dalej, inną bronią.



## BIBLIOGRAFIA

- Anders W., „Bez ostatniego rozdziału”. *Wspomnienia z lat 1939–1946*, wyd. III, Londyn 1959.
- Appella G., *Amerigo Bartoli. Opere dal 1903 al 1971*, Roma 1995.
- Banaszek A., *Polonia hiszpańska. Charakterystyka historyczno-społeczna*, „Studia Polonijne” 2001, nr 22, s. 151–188.
- Biegus Z., Biegus J., *Polskie Obozy Przejściowe w Anglii i Walii*, „Polonia Inter Gentes” 2022, nr 3, s. 131–137.
- Bogdan M., *Radio Madryt 1949–1955*, Warszawa 2011.
- Buczek Z., *Rudniański Stefan* [w:] *Słownik psychologów polskich*, pod red. E. Kosnarewicz, T. Rzepy, R. Stachowskiego, Poznań 1992, s. 174–176.
- Co ich łączy?*, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1995, nr 25, b.p.
- Czulda R., *Brytyjsko-sowiecka agresja na Iran w 1941 roku: przyczyny, przebieg, konsekwencje*, „Przegląd Wojskowo-Historyczny”, 16 (1), 2015, s. 47–74.
- Draus J., *Szkoły i studia na włoskim szlaku 2 Korpusu Polskiego*, „Dzieje Najnowsze” 2021, r. LIII, nr 2, s. 67–90.
- Dworski A., *Hiszpania*, [w:] *Akcja Niepodległościowa na terenie międzynarodowym 1945–1990*, pod red. T. Piesakowskiego, Londyn 1999, s. 343–350.
- Dworski M., *Na hiszpańskiej ziemi. Rola i znaczenie misji dyplomatycznej Józefa hr. Potockiego w Madrycie po zakończeniu II wojny światowej – wybrane zagadnienia*, „Polonia Inter Gentes” 2020, nr 1, s. 77–100.
- Eiroa M., *Las relaciones de Franco con Europa Centro-Oriental (1939–1955)*, Barcelona 2001
- Essigman W., *Kompania sanitarna 6 Dywizji Piechoty i 5-ty ewakuacyjny Szpital Polowy wojsk polskich w ZSRR, na Bliskim Wschodzie i we Włoszech (1941–1946)*. *Wspomnienia osobiste*, „Archiwum Historii i Filozofii Medycyny” 1997, t. 61, z. 2, s. 149–157.

- Fundacja Jana Pawła II*, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1995, nr 29, b.p.
- Gałęzowski M., *Żydzi walczący o Polskę. Zapomniani obrońcy. Rzeczypospolitej*, Kraków 2021.
- Homenaje a los ministros de Hungaria y Polonia*, „ABC” z dn. 15.11.1956;
- Jarosław Henryk Rudniański, Encyklopedia PWN (<https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/3969854P>, dostęp: 18.10.2023 r.)
- Kuśnierz R., *Propaganda radziecka w okresie Wielkiego Głodu na Ukrainie (1932–1933)*, „Dzieje Najnowsze” 2004, nr 4, s. 29–46.
- List M. Sokołowskiego do redakcji, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1996, nr 40, b.p.
- Malinowski T., *Człowiek – istota niedoskonała. Klucz do zrozumienia nieszczęść i sukcesów naszego gatunku*, Kraków 2017.
- Mierzwiński Z., *Działalność Polskich Sił Zbrojnych w końcowej fazie II wojny światowej w Europie: zdobycie Bolonii i Wilhelmshaven*, „Niepodległość i Pamięć” 1995, nr 2/3 (4), s. 131–141.
- Mirosław Sokołowski. „Minęło pół wieku...”, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1995, nr 23, b.p.
- Narębski W., *Szkolnictwo średnie i wojskowe 2. Korpusu Polskiego*, „Prace Komisji Historii Nauki Polskiej Akademii Umiejętności” 2010, nr 10, s. 263–317.
- Obituarios de Mirosław Sokolowski*, „ABC” z dn. 26.01.2002 r., p. 66.
- Orella J. L., *Danubian and Polish exile in contemporary Spain*, [w:] *Poland and Spain in Contemporary World*, pod red. M. Mizerska-Wrotkowska, Warszawa 2014, s. 127–146.
- Orman E., „Energiczna pedagogika” Karoliny Lanckorońskiej. *Organizacja studiów dla żołnierzy 2. Korpusu we Włoszech w latach 1945–1947*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego” 2006, z. 133, s. 109–125.
- Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych (zob. Dz. U. 1939 nr 88 poz. 560)*.
- Sienkiewicz J. W., *Artysta piękna nie tylko w szkło zakłętego. Aleksander Werner (1920–2011)*, „Archiwum Emigracji” 2001, z. 1–2, nr 14–15, s. 394–395.
- Sienkiewicz J. W., *Artyści Andersa „Continuità e novità”*, Warszawa–Toruń 2013.
- Sienkiewicz J. W., *Marian Bohusz-Szyszko: życie i twórczość 1901–1995*, Lublin 1995.
- Spis poległych – żołnierzy pochowanych na cmentarzu Monte Cassino*, Rzym 1946.
- Strzyżewski S., *Dezercje Żydów z Armii Andersa w świetle dokumentów Instytutu Polskiego i Muzeum im. Władysława Sikorskiego w Londynie*, „Zeszyty Naukowe WSOWL” 2012, nr 3 (165), s. 220–237.

- Sylwetki Polonusów. Tadeusz Malinowski*, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1996, nr 30, b.p.
- Szczurowski M., *Artyleria Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w II wojnie światowej*, Toruń 2001.
- Szypowska I., *Nagle urodzona miłość: (J. Łobodowski w Hiszpanii)*, „Archiwum Emigracji: studia, szkice, dokumenty” 1999, nr 2, s. 69–86.
- Świadectwo Tadeusza Wojnarskiego zlokalizowane w Biurze Dokumentów Armii Polskiej na Wschodzie (Samodzielny Referat Historyczny Dowództwa PSZ w ZSRR), Archiwum Instytutu Hoovera, Dokumenty Władysława Andersa, sygn. 800/1/0/-/46, udostępniony w bazie Instytutu Pileckiego: Zapisy Terroru 1939–1945.
- Topolska M. B., Werner Aleksander, [w:] *Encyklopedia polskiej emigracji i Polonii*, pod red. K. Dopierały, t. 5, Toruń 2005, s. 232–233.
- Trzecia Dywizja Strzelców Karpackich 1942–1947*, pod red. M. Młotka, Londyn 1978.
- Urzędy konsularne Rzeczypospolitej Polskiej 1918–1945: informator archiwalny*, oprac. P. Ceranka, K. Szczepanik, Warszawa 2020.
- Wawer Z., *Bitwa o Ankonę*, „Kombatant” 2019, nr 7–8 (343–344), s. 12–15.
- Wawer Z., *Monte Cassino 1944*, Warszawa 2009.
- Wojnarski T., *Wojna skończona*, „Nasza Gazetka” 1995 nr 3/173.
- Wróbel J., *Uchodźcy polscy ze Związku Sowieckiego 1942–1950*, Łódź 2003.
- Wyrwa T., *Układ Sikorski – Majski*, „Zeszyty Historyczne”, 1992, z. 102, s. 198–203.
- Zawsze aktywny*, „Polonia. Boletín informativo de la colonia polaca en España” 1995, nr 20, b.p.
- Żak J., *Nie walczyli dla siebie. Powojenna odyseja 2. Korpusu Polskiego*, Warszawa 2014.